



Kontynuacja losów Siry,  
bohaterki bestsellerwowej  
*Krawcowej z Madrytu.*

MARIA  
DUEÑAS  
SIRA

MARÍA  
DUEÑAS  
SIRA

Z języka hiszpańskiego przełożyła  
Barbara Bardadyn



—  
WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Sira*

© María Dueñas 2021

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2023 for the Polish translation by Barbara Bardadyn  
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce © Inara Prusakova/Shutterstock  
Zdjęcie autorki: © Carlos Ruiz

Redakcja: Katarzyna Łopaciuk  
Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

Tłumaczenie tej książki powstało dzięki wsparciu  
Ministerstwa Kultury i Sportu Królestwa Hiszpanii.



ISBN: 978-83-8230-558-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)  
[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2023

# SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA. Palestyna

CZĘŚĆ DRUGA. Wielka Brytania

CZĘŚĆ TRZECIA. Hiszpania

CZĘŚĆ CZWARTA. Maroko

Epilog

Nota od Autorki

Przypisy

Dla Any Castro, innej dzielnej kobiety,  
którą podziwiam i kocham

# CZĘŚĆ PIERWSZA

PALESTYNA



Mój los wcale nie eksplodował za sprawą tamtej maszyny do pisania. Myliłam się, gdy tak myślałam, kiedy byłam młoda i naiwna. Wtedy jeszcze nie przechowywałam w pamięci takich słów jak przemoc, gorycz, rozpacz czy złość i nie potrafiłam przewidzieć łez, jakie zaplanowało dla mnie życie. Nie, mój los nie został odmieniony przez to niewinne urządzenie przeznaczone do łączenia słów. Chciałabym, żeby tak było, lecz przyszłość zarezerwowała dla mnie coś innego. Trzysta pięćdziesiąt kilogramów materiałów wybuchowych umieszczonych w piwnicy jednego z hoteli w Jerozolimie, a więc coś nieskończenie groźniejszego.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku przenieśliśmy się na Bliski Wschód, zostawiając za sobą wygłodniałą i uległą Hiszpanię oraz zniszczoną Europę, która z bolesnym wysiłkiem rozpoczynała swoją odbudowę. Rok i kilka miesięcy wcześniej – z pełnym przekonaniem, a także w trosce o moje bezpieczeństwo zagrożone z powodu wypełniania przeze mnie obowiązków współpracownicy brytyjskiego wywiadu – Marcus i ja zawarliśmy małżeństwo. Był wietrzny marcowy dzień na Gibraltarze. Po jednej stronie mieliśmy Półwysep Iberyjski, a po drugiej północną Afrykę – terytoria tak odmienne, a zarazem niezwykle bliskie, które dla nas obojga wiele znaczyły.

Zamiast zwyczajowej ceremonii mieliśmy urzędową formalność, równie krótką, co surową. Skała Gibraltarska była zmilitaryzowana od tuneli aż po szczyt, a terytorium prawie pozbawione ludności cywilnej, która została ewakuowana na początku drugiej wojny światowej z obawy przed niemieckim atakiem. W The Convent, siedzibie gubernatora, nie było kwiatów ani zdjęć, ani nawet obrączek. Marcus przedstawił swój dokument *bona fide*, paszport dyplomatyczny na nazwisko Mark Bonnard – swoją prawdziwą

tożsamość, bo nazwisko Logan było jedynie przykrywką na niespokojne czasy. Po niezbędnych *I do* łamanym angielskim złożyłam przysięgę wierności monarsze, po czym natychmiast wydano dokument z moją nową narodowością. Sira Bonnard, przedtem Arish Agoriuq, przedtem Sira Quiroga, została właśnie poddaną Wielkiej Brytanii. Moje ostatnie słowa były ledwie szeptem: *So help me God*. Być może nikt tego nie zauważył, ale w momencie ich wypowiedzenia nie mogłam powstrzymać wzruszenia – niezależnie od sztywnej procedury zawarliśmy właśnie przymierze zdolne pokonywać przeciwności i niewygody, granice i odległości.

Po powrocie do Madrytu akt małżeństwa i mój nowy paszport znalazły się pod nadzorem ambasady, a my nadal prowadziliśmy pozornie oddzielne życie, widując się zawsze po kryjomu – on kontynuował swoją działalność na rzecz ojczyzny, a ja w przebraniu wziętej krawcowej, która zupełnie nieoczekiwanie przybyła do stolicy, przekazywałam informacje wyciągnięte od żon nazistowskich oficjeli.

Kiedy na początku maja czterdziestego piątego roku Niemcy podpisały kapitulację i zakończono wszystkie działania wojenne, zamknęłam atelier przy Núñez de Balboa, które swego czasu urządzili dla mnie Anglicy, i przeprowadziłam się do mieszkania Marcusa. Niełatwo mi było porzucić zawód i obowiązki, które dotąd wypełniały mi dni, dając satysfakcję i dumę, kontakty i dochody. Jednakże w świetle ostatnich wydarzeń porzucenie szycia przyniosło mi pewną ulgę: ponieważ to, co od najmłodszych lat było moją pracą, ostatecznie zamieniło się w niewdzięczne zadanie nawiązywania kontaktów z niepożądaną klientelą, której obłudnie musiałam okazywać serdeczność. Odnosiłam nawet wrażenie, że tkaniny i wykroje były ciężkie jak płyty nagrobne, nici jawiły mi się jako sznury, które mnie dusiły, a samo przymierzanie moich ubrań na ciałach kobiet, którymi pogardzałam, przyprawiało mnie o mdłości. Kiedy przestałam kłamać, kiedy zapomniałam o nich wszystkich i nie musiałam już niczego ukrywać, na powrót poczułam spokój.

Miałam jednak świadomość, że to nasze wspólne życie w skromnym mieszkaniu przy ulicy Miguela Ángela będzie krótkie.

Rozpad Trzeciej Rzeszy i zwycięstwo aliantów oznaczały również koniec misji mojego, dotąd tajnego, męża na Półwyspie Iberyjskim. Nadszedł czas, żeby zastanowić się nad przyszłością, ale każde z nas miało swój interes wskazujący odmienny kierunek.

Marcus chciał, byśmy przeprowadzili się do Anglii i pomogli w przywracaniu dobrobytu jego ojczyźnie. Ja również pragnęłam wyjechać z Madrytu – miasta ciągłych nocnych zaciemnień, krzykliwej propagandy, czarnego chleba i zemsty; gdzie w każdym domu kogoś się opłakiwało, gdzie ludzie spali z urazą schowaną pod poduszką, a dzieciom golono włosy, żeby nie gryzły ich wszy. Nie, nie zamierzałam zostawać w tym strasznym otoczeniu, wolałam, żeby moje dzieci urodziły się w jakimś miejscu bez śladów horroru na ulicach czy rozpaczy na twarzach ludzi. Dlatego zaproponowałam Marcusowi, byśmy wrócili do Maroka, pod jego ciepłe słońce, blisko mojego poprzedniego życia i mojej matki. Pragnęłam uciec od scenerii tej naszej potajemnej egzystencji pełnej maskowania się i kłamstw, zapomnieć o tym, kim byliśmy, i pokazywać naszą prawdziwą twarz, bez fałszu, sekretów czy strachu.

Oba pragnienia wyparowały zaledwie kilka tygodni później, kiedy wciąż oswajaliśmy się z możliwością wspólnego chodzenia po chodnikach bez nieustannego zachowywania czujności i staraliśmy się przywyknąć do tego, że możemy robić coś tak zwyczajnego, jak pójść do kina przy Gran Vía czy tańczyć do rana w klubie Pasapoga. Wezwanie, jakie otrzymał Marcus, nie podlegało dyskusji. Miał objąć stanowisko w Brytyjskim Mandacie Palestyny. „Natychmiastowa inkorporacja, żona mile widziana”, przetłumaczył mi na głos. Nowe zadanie pod parasolem Secret Intelligence Service. Nie wyjaśnił nic więcej. A ja wolałam nie dopytywać. Mimo pokrzyżowanych planów starałam się nie okazywać otwarcie swojego rozczarowania.

W Sekcji Kobiecej Falangi byłyby ze mnie dumne, gdyby się dowiedziały o mojej postawie i gdyby moim mężem nie był Anglik: oto prawdziwa Hiszpanka realizuje narzucony przez reżim frankistowski model ofiarnej żony, posłusznej i życzliwej strażniczki domowego ogniska, idealnej małżonki. Koniec końców byłam tylko krawcową, która już nawet nie szyła, podczas gdy Marcus, dzięki swojej skuteczności, stał się bardzo cenny dla swojego rządu.

W mojej postawie nie chodziło jednak tylko o wypełnianie małżeńskich obowiązków. Prawda była taka, że czas skonsolidował naszą przelotną miłość, która narodziła się w Tetuanie, kiedy ja byłam zaledwie zahukaną dziewczyną, a on młodym agentem, który chodził wsparty na lasce i podawał się za dziennikarza.

Koła zębate nieustannie napędzające wielkie Imperium Brytyjskie zarządziły teraz przeprowadzkę, która nie zgadzała się z pierwotnym planem Marcusa, by zamieszkać we własnym kraju, a tym bardziej z moim zamiarem powrotu do Afryki. Ale ponieważ niesubordynacja i lekceważenie obowiązków nie znajdowały się wśród naszych zasad, spakowaliśmy ubrania i inne rzeczy w dwa kufry i kilka walizek i pod koniec czerwca ruszyliśmy w drogę do naszego nowego miejsca na świecie, z krótkim przystankiem w Londynie. Mieliśmy tam wystarczająco dużo czasu, żeby Marcus odebrał niezbędne instrukcje i byśmy mogli odwiedzić jego matkę, a także na własne oczy zobaczyć smutną rzeczywistość kolejnej zropaczonej stolicy.

Myśl o spotkaniu z nieznaną mi jeszcze lady Olivią Bonnard wywoływała we mnie zaskakujący niepokój. Ja, która latami obracałam się wśród wszelkiego typu ludzi, nagle poczułam się niepewnie.

– Mam się do niej zwracać *lady*? – wyszeptałam do Marcusa, gdy dotarliśmy na miejsce, ze wzrokiem wbitym w wyblakłą, popękaną, ale i tak wspaniałą białą fasadę.

Puścił do mnie oko, czego nie potrafiłam zinterpretować. Być może chciał rozładować moje napięcie, żartując sobie z niepokoju świeżo upieczonej żony obawiającej się spotkania z teściową. A może ostrzegał mnie przed kobietą, która czekała na nas w rezydencji przy The Boltons, w dzielnicy Brompton w gminie Royal Borough of Kensington and Chelsea. Wytworność okolicy nie okazała się wystarczającą tarczą chroniącą przed krwawymi atakami niemieckiego lotnictwa.

Dom i właścicielka pasowali do siebie idealnie: udręczeni, a jednocześnie wspaniali, harmonijni zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Nieco zaniedbani, ale godni i spokojni. Dostojni. Na szczęście całymi latami zdobywałam doświadczenie w sztuce udawania, nauczyłam się zręcznie poruszać w kręgach rozmaitych

ludzi i wszelkiego rodzaju ekstrawagancji; dzięki temu opanowałam początkowe zdenerwowanie i zdołałam zachować spokój podczas tej pierwszej herbatki w pięknym, dzikim ogrodzie. Udając pewność siebie, pokazywałam cały swój urok i najlepsze maniery, ograniczałam się do dawkowania ciepłych uśmiechów i lapidarnych spostrzeżeń. Krótko mówiąc, zachowywałam się jak najbardziej czarująca ze wszystkich możliwych żon.

Tymczasem stosunek teściowej względem mnie falował między minimum uprzejmości typowej dla osoby dobrze urodzonej, jakimś gestem lekceważenia i eteryczną obojętnością. Jej wizerunek w najmniejszym stopniu nie odpowiadał moim wyobrażeniom: spodziewałam się kobiety surowej i powściągliwej, z charakterem przystającym do trudnych czasów, w których kraj wiele wycierpiał i cierpiał nadal. Ale moja wizja całkowicie się rozpadła. Olivia Bonnard była zupełnie inną osobą.

Ze swoją kanciastą twarzą i długim siwym warkoczem na lewym ramieniu, ubrana w wysłużoną aksamitną tunikę, paląc jeden za drugim amerykańskie chesterfieldy, które Marcus zdobył dla niej w Madrycie na czarnym rynku, lady Olivia postarała się nawet o to, żeby uszczypnąć moją dumę, i to nie raz. Z wyniosłością, nie ukrywając min, reagowała na mój niedoskonały angielski i kilka razy udała, że nie pamięta, jak się wymawia moje imię. Saira? Sirea? Seira? Innym razem zostawiła mnie w pół słowa, żeby się nachylić i dać kawałek kanapki z ogórkiem jednemu z psów – wszystkie trzy były na wpół obłąkane i stare, a jeden był kulawy.

Najwyraźniej czuła się niezręcznie, zmuszona zaakceptować w roli synowej cudzoziemkę bez pochodzenia i majątku, urodzoną w kraju dzikim, zacofanym i katolickim, gdzie bratobójcze walki stały się krwawym zwyczajem.

Wszystkie uczucia przelała na Marcusa, swoje najstarsze dziecko i jedyne żyjącego potomka rodziny uszczuplonej już tylko do nich dwojga. Zachowywali się w sposób typowy dla Brytyjczyków, prawie nie mieli ze sobą kontaktu fizycznego: żadnych buziaków, uścisków, czułości. Jedynie w pewnym momencie matka zmierzwiła mu włosy swoimi kościstymi palcami – i to wszystko. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że nadają na tych samych falach, wyczuwało się

panującą między nimi harmonię. Mieli taki sam zielonkawy kolor oczu, takie same żyły na szyi, a nawet kształt uszu. Płynnie przechodzili z tematu na temat, rozmawiając wyrafinowanym angielskim, za którym trudno mi było nadążyć. W wielu momentach ich nieprzerwanego dialogu ona krzesła iskry naładowane eleganckim sarkazmem, co sprawiało, że Marcus głośno się śmiał, zrelaksowany jak rzadko kiedy, gdy tak siedział z długimi nogami skrzyżowanymi w kostkach na wysokiej trawie i oczami zmrużonymi w letnim słońcu w ogrodzie swojego dzieciństwa. Oto doświadczony i zazwyczaj sceptyczny agent z czterdziestką na karku na chwilę dziecinniał pod opiekuńczymi skrzydłami matki.

– Wojna była dla niej ciężka – wyszeptał, kiedy ponownie wsiadaliśmy do samochodu, który miał nas zawieźć na lotnisko Heathrow. Jak gdyby chciał usprawiedliwić matkę.

Obserwowaliśmy ją przez szybę: patrzyła, jak odjeżdżamy, stojąc na najwyższym stopniu przed wejściem, niewzruszona, między dwiema brudnymi stiukowymi kolumnami podtrzymującymi portyk, nad wyraz majestatyczna w swojej starej tunice, z psami koło nóg, papierosem w ustach i tymi osobliwymi długimi włosami. Wiktoriańskie wartości, w których została wychowana, nie pozwoliły jej na otwarte wyrażanie uczuć; na pożegnanie tylko pomachała nam ręką. Mimo to wyczułam, że ścisnęło ją w gardle, kiedy żegnała się z synem.

Wdowa po sir Hugh Bonnardzie jedyną córkę straciła z powodu zapalenia opon mózgowych, zanim ta osiągnęła pełnoletność, a młodszy syn, pilot RAF-u, zginął w walce na początku bitwy o Francję. Chociaż w życiu nie zajmowała się niczym innym niż rekreacją typową dla swego statusu i płci, ból oraz wszechobecny patriotyzm w czasie wojny sprawiły, że otrząsnęła się z marazmu i otworzyła swój dom dla tych, którzy tego potrzebowali, chętna do pomocy na tyle, na ile to tylko było możliwe. Nawet sprzedała za marne pieniądze niektóre ze swoich mebli, wiele wyrobów z brązu, klejnotów i obrazów, porcelanę, futra i dywany – uzyskane środki przeznaczyła na zaspokojenie potrzeb nieszczęśników, których bogini Fortuna zapomniała dotknąć swoją różdżką. Marcus wspominał mi już o tym w Madrycie, ale tonem czysto

informacyjnym. Teraz natomiast robił to z samych trzewi, kiedy zza szyb samochodu pokazywał mi zniszczenia po bombardowaniach w okolicy. Wspaniała posiadłość Bladen Lodge znajdująca się nieopodal jego domu obróciła się w gruzy, a pobliski kościół anglikański Saint Mary The Boltons stracił organy, witraże i dach. Nawet żelazne ogrodzenie wokół parku zostało wyrwane, przetopione i wykorzystane do produkcji broni.

Wiadomość o końcu wojny napełniła londyńczyków wielką radością: po ogłoszeniu komunikatu w centrum miasta znalazło się ponad milion osób, przybyli tu zatłoczonymi autobusami i ciężarówkami, samochodami, metrem, rowerem, pieszo, spacerując lub biegnąc. Nad świętującym miastem przelatowały samoloty, rozbrzmiewały syreny holowników rzecznych i dzwony zabrane kościołom. Ludzie tłoczyli się, krzycząc aż do utraty głosu, śpiewając, śmiejąc się, klaszcząc i wymachując flagami, w papierowych kapeluszach na głowach, wyzbyci wszelkiej powagi, uwolnieni od paniki. Na Piccadilly Circus chłopcy w mundurach tworzyli długie wężyki z promiennymi dziewczętami w niedzielnych sukienkach, wielu młodzieńców podwinęło nogawki spodni i weszło do fontanny przy Trafalgar Square; król, królowa i premier Winston Churchill pojawili się na balkonie pałacu Buckingham, powitani z entuzjazmem i radosnym aplauzem.

Kiedy jednak razem z Marcusem zatrzymaliśmy się na krótko w mieście, po tej zwycięskiej zbiorowej euforii nie został już niemal żaden ślad. Minęły prawie dwa miesiące i wszędzie panowała teraz surowa rzeczywistość. Po blisko sześciu latach wojny Wielka Brytania była zubożała, zniszczona i wyczerpana. Oprócz setek tysięcy poległych lub ciężko rannych żołnierzy na różnych frontach na kontynencie zginęło również ponad sześćdziesiąt tysięcy cywilów w bombardowaniach niemieckiej Luftwaffe na wyspach, blisko dziewięćdziesiąt tysięcy zostało rannych, mnóstwo ludzi straciło domy, pracę, otuchę. W samym tylko Londynie bombardowania zniszczyły ponad czterdzieści tysięcy nieruchomości, obracając je w gruzy, poskręcane żelastwo, spalone drewno i popiół. Brakowało wszystkiego, mieszkań i żywności, materiałów budowlanych, węgla,

ropy. Skarb państwa świecił pustkami, a zaciągnięte długi urosły do gigantycznych rozmiarów. Z każdego rogu wyzierał smutek.

Poczułam ogromną ulgę, kiedy weszłam na pokład naszego samolotu linii BOAC, żeby wkrótce stracić z oczu tę obcą wyspę, z którą jednak byłam nieodwracalnie związana poprzez paszport i męża. Kiedy samolot przygotowywał się do startu, nawet nie wyjrzałam przez okienko, tylko wzięłam Marcusa za rękę i mocno zacisnęłam powieki. Wiedziałam, że z nim u boku wszystko będzie bardziej znośne.

Podążając jedną z klasycznych tras Imperium Brytyjskiego, pierwsze międzylądowanie mieliśmy na Malcie, potem poleciliśmy do Kairu, a następnego dnia wreszcie wylądowaliśmy na małym aerodromie w Lod, zbudowanym na palestyńskiej ziemi dziesięć lat wcześniej przez Anglików.

Kiedy schodziliśmy na lotnisko po schodach Avro Yorku, by stanąć na Ziemi Świętej, nawet przez myśl mi nie przeszło, że już półtora roku później wrócę do zrujnowanego Londynu.

Nie mogłam przewidzieć wyboistych i nieszczęsnych odcinków życia, które Olivia Bonnard i ja miałyśmy przeżyć wspólnie. Bez Marcusa. Nie zgadzając się. Nie rozumiejąc.



Razem z nami z samolotu wysiadło tylko czworo innych pasażerów; pozostali lecieli do Karaczi. Na płycie lotniska czekał na nas usłużny i korpulentny arabski kierowca. Przejazd do Jerozolimy zajął nam blisko dwie godziny; od czasu do czasu mijaliśmy brytyjskie pojazdy wojskowe – nocne patrole na terytorium, które po cichu się uzbrajało. Marcus milczał przez prawie całą trasę; nie nalegałam na rozmowę, dobrze znałam tę ciszę. Myślał, zastanawiał się, powoli się odnajdował. Przyjechał do Palestyny pod rządami jego ojczyzny tuż po zakończeniu wojny, kiedy jeszcze nie było wiadomo, czy i w jakiej formie powrócą napięcia między Arabami, Żydami i Brytyjczykami po rozejmie. Nieokreślona długość pobytu, dyskrecja w najwyższym stopniu, maksymalna ostrożność – to jedyne, co powinnam wiedzieć. Nie miałam pojęcia ani o ich sposobie działania, ani o ich protokołach, kontaktach czy wysiłkach. Nie chodziło o brak zaufania, taki po prostu był sposób pracy. Jak gdyby oddzielała nas szyba. W szczelnych przedziałach.

– Nikt nie spodziewa się dobrych dni – wymamrotał Marcus, gdy mijaliśmy kolejny pojazd pełen jego umundurowanych rodaków.

Miał rację. W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku urząd Jego Królewskiej Mości zobowiązał się w deklaracji Balfoura do wspierania dążeń Żydów pragnących utworzenia żydowskiej siedziby narodowej, *national home*, co stanowiło rozmytą i niejasną koncepcję, która jednym niosła nadzieję, a innym obawy. Czy deklaracja oznaczała utworzenie niepodległego państwa żydowskiego na terytorium Palestyny? Czy może zapewnienie miejsca mniejszości żydowskiej w państwie arabskim? Na początku nikt nie zwracał sobie głowy doprecyzowaniem szczegółów.

Chociaż w samochodzie milczeliśmy, to w tygodniach poprzedzających wyjazd i podczas wcześniejszych lotów Marcus

nakreślił mi sytuację miejsca, w którym mieliśmy osiąść – nie wiadomo na jak długo. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej Imperium Brytyjskie, pod auspicjami Ligi Narodów, zaczęło aktywnie sprawować mandat kolonialny na terytorium Palestyny, sprowadzając swoich wojskowych i cywilów, często całe rodziny, a razem z nimi przenosząc swoje instytucje i sposoby organizacji życia, zwyczaje, język, dumę i interesy. Równocześnie nasiliło się osadnictwo Żydów przybywających z Europy Środkowej i Wschodniej, ludzi, którzy uciekali przed pogromami, prześladowaniami, niechęcią i pogardą; mających dość tego, że odmawiano im objęcia stanowisk mimo posiadania wystarczających kompetencji, oraz tego, że nimi wzgardzano i obrzucano kamieniami. Uciekając przed tym wszystkim, Żydzi napływali do Palestyny kolejnymi falami od końca dziewiętnastego wieku, jednak za czasów mandatu brytyjskiego te liczby znacznie wzrosły, a miejscowi Arabowie (mieszkający na tym terytorium od stuleci) stopniowo odczuwali coraz większe zagrożenie i zaczęli stawiać opór.

Tymczasem ludność hebrajska wciąż przybywała, przynosząc ze sobą pieniądze i kupując ziemie z żelaznym postanowieniem pozostania w granicach tego, co w Biblii określono mianem Eretz Israel. Pod koniec lat trzydziestych stanowili ponad jedną trzecią mieszkańców tego terytorium, a w połowie lat czterdziestych już blisko połowę. I cały czas napływali kolejni. Im więcej ich przybywało, tym bardziej nerwowe stawało się wspólne życie. Napięcie doprowadziło w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku do wybuchu arabskich protestów, których kulminacją były zamieszki i przemoc po obu stronach.

W odpowiedzi na żądania Arabów w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Brytyjczycy opublikowali białą księgę, dokument, w którym wyraźnie zaznaczyli, że brytyjski rząd nie zezwoli na podział Palestyny na dwa kraje, ponadto ustalili konkretne liczby, aby imigrację żydowską utrzymać pod ścisłą kontrolą, i drastycznie ograniczyli prawo do dalszego zakupu ziem. Kilka miesięcy później w Europie wybuchła druga wojna światowa.

Chociaż nie ustały ataki ze strony niektórych małych grup rebeliantów, to okres światowego konfliktu zbrojnego był na tych ziemiach czasem względnego spokoju, który zakończył się, gdy alianci odnieśli zwycięstwo. Wraz z końcem wojny pojawiła się groźba odrodzenia wrogości między Arabami a Żydami, między Żydami a Brytyjczykami, między Brytyjczykami a Arabami. Po klęsce Niemiec ocaleni z Holokaustu Żydzi bardziej niż kiedykolwiek przedtem pragnęli uciec z krwawej Europy, gdzie zgładzono miliony ich pobratymców, żeby na stałe osiedlić się w Ziemi Obiecanej i zbudować *national home*, dla którego utworzenia Anglicy udzielili im poparcia prawie trzy dziesięciolecia wcześniej. Tam czekali na nich przyjaciele, rodzina albo po prostu inni Żydzi, gotowi ich przyjąć.

Jednakże administracja brytyjska, zobowiązawszy się do zachowania równowagi i ochrony praw wszystkich mieszkańców, odmawiała zniesienia sztywnego limitu przyjmowanych osób, co żydowscy uchodźcy systematycznie łamali, gdy nielegalni imigranci przybywali na statkach załadowanych po same brzegi. Arabowie tymczasem czuli się coraz bardziej zdradzeni przez Brytyjczyków, coraz bardziej nękanymi przez Żydów i coraz mniej skłonni zaakceptować napływające fale ocalałych z wojny toczonyj między chrześcijańskimi potęgami, w której oni nie brali udziału. Konsekwencją były zbiorowa frustracja i wrogie nastawienie każdej strony, coraz bardziej radykalne stanowiska i brak perspektywy na znalezienie porozumienia.

Kiedy tamtego wieczoru wreszcie dotarliśmy na miejsce, zmęczeni i głodni, w American Colony zastaliśmy jedynie przytłumione światło oraz sennego recepcjonistę. Byłam przyzwyczajona do wielkich madryckich hoteli, do których często chodziłam w związku z moimi obowiązkami, dlatego na pierwszy rzut oka to miejsce nie wydało mi się typowym obiektem hotelowym, a raczej przerobioną rezydencją, wielką kamienną willą, w której z jakiegoś powodu przyjmowano gości. Ale było już zbyt późno, żeby wnikać w takie subtelności. Pochłonęliśmy jedynie kanapki, które przyniesiono nam na tacy, i od razu poszliśmy spać, przytuleni, wyczerpani i milcząco niespokojni.

Podobnie jak wiele razy wcześniej w naszym pełnym ryzyka związku, Marcusa już nie było, kiedy się obudziłam następnego ranka. Boso i z potarganymi włosami podeszłam do balkonu, otworzyłam drewniane okiennice i pozwoliłam, żeby do środka wlało się światło, czyste i przejrzyste.

Balkon naszego pokoju wychodził na zielony dziedziniec, do moich uszu dotarły bulgotanie fontanny znajdującej się na środku oraz głosy kobiet rozmawiających w języku, który wydał mi się znajomy, mimo że go nie rozumiałam. Jedna z nich zakrzyknęła, a pozostałe roześmiały się między kwiatami bugenwilli, wielkimi donicami i palmami. Po kilku sekundach mogłam je zobaczyć: trzy młode pracownice ubrane na biało, w chustach zakrywających im włosy, w rękach trzymały stosy pościeli. Przypomniały mi słodką Jamilę z tamtych marokańskich dni, tak już odległych, a jednocześnie zawsze tak bliskich w mojej pamięci.

Wszystkie trzy się odwróciły, gdy przerwał im inny donośny głos: z jednej z arkad na dziedziniec wyszła starsza kobieta, wysoka, energiczna, o szerokich ramionach, z wydatnym biustem i siwymi włosami zebranymi w kok, perfekcyjna w swojej porannej sukience. Mieszając angielski z arabskim, mocnym tonem wydała parę poleceń; dziewczęta przytaknęły grzecznie, po czym każda wróciła do swoich obowiązków. Kiedy kobieta została sama, schyliła się, żeby zebrać kilka liści jaśminu, które wpadły do fontanny. Zdało mi się, że gdy się prostowała, rzuciła okiem w stronę mojego balkonu, ukradkiem, dyskretnie. Potem wróciła tam, skąd przyszła. Mimo że zniknęła z mojego pola widzenia, echo jej obcasów nadal rozbrzmiewało na płytkach dziedzińca.

Tak, widziała mnie. Sprawdzała, czy już nie śpię. Wiedziałam to zaledwie po dziesięciu minutach, kiedy inna pracownica zapukała do drzwi i przekazała mi karteczkę: „Mrs Bertha Spafford Vester prosi o dotrzymanie towarzystwa przy śniadaniu o dziewiątej trzydzieści”. Spojrzałam na zegarek, było dziesięć po dziewiątej. Dwadzieścia minut później weszłam do jadalni, nie zdecydowawszy jeszcze, która z moich tożsamości byłaby najwłaściwsza, by się jej przedstawić – madrycka krawcowa, marokańska współpracowniczka Brytyjczyków

czy żona gotowa pojechać za swoim mężem na koniec świata. Ostatecznie wszystkie mniej lub bardziej odpowiadały prawdzie.

– Zawsze, gdy jest to możliwe, z radością witam naszych nowych gości osobiście.

Siedząc naprzeciwko niej, przy stoliku w rogu, oddzielona lnianym obrusem, delikatną porcelaną i srebrnymi sztucami, zdałam sobie sprawę z tego, że jest starsza, niż mi się początkowo wydawało. Prawdopodobnie dobiegała siedemdziesiątki. Starsza od mojej matki – pomyślałam. Starsza nawet od lady Olivii i zupełnie inna niż tamte dwie, przynajmniej z wyglądu.

Poprosiłam o kawę.

– Turecka, wyborna – powiedziała stanowczo.

Poprosiłam o tosty i gorzką konfiturę.

– Robimy ją tutaj – wyjaśniła – z własnych pomarańczy. Jajka też są nasze, jakie pani woli: sadzone czy jajecznicę?

Obserwowałam ją, gdy wydawała polecenia kelnerowi o ciemnej cerze. Miała niebieskie oczy, nosiła perły na szyi i w uszach. Na jej masywnej klatce piersiowej, wieńcząc dekolt sukienki, znajdowała się błyszcząca broszka w kształcie węża.

– Jesteśmy Amerykanami, niezależnymi chrześcijanami, nie tworzymy dużej społeczności, ale od dziesięcioleci angażujemy się głównie w sprawy społeczne i działalność filantropijną – wyjaśniła, smarując chleb masłem.

Domyśliłam się, że mówi o kolonii albo stowarzyszeniu, do którego należy.

– Moi rodzice opuścili Chicago pod koniec poprzedniego wieku. Śmierć moich czterech starszych sióstr, które zginęły w dzieciństwie w katastrofie statku, zdruzgotała ich na zawsze. Postanowili więc przeprowadzić się do Ziemi Świętej, szukając spokoju dla swoich biednych dusz. Kiedy mnie tu przywieźli, miałam dwa latka. Już nie żyją, mój mąż też nie, a szóstka moich dzieci jest rozrzucona po świecie. Teraz to ja prowadzę tę instytucję, wspomagana przez niestrudzoną i zaangażowaną grupę współpracowników.

Skończyłyśmy pić pierwsze filiżanki kawy, słodkiej i gęstej; wyśmienitej w porównaniu z substytutem, którym musieliśmy się zadowalać poprzednio w Hiszpanii.

Bez pytania ponownie napełniła filiżanki.

– Utrzymujemy szpital dziecięcy i ziemie uprawne – ciągnęła, podczas gdy strumień ciemnej cieczy wypełniał z bulgotem porcelanę. – A także warsztat dla arabskich dziewcząt i wiele jadłodajni charytatywnych.

Nie ulegało wątpliwości, że moja gospodyni chce pokazać przede wszystkim swoje referencje, a opisanie celów kolonii służyło jej zapewne za wizytówkę, którą witała każdego, kto zatrzymywał się pod jej dachem.

– Ten dom przy ulicy Nablusu, w którym teraz jesteśmy, kupiliśmy od potężnej rodziny Husseinich dekady temu i początkowo wprowadziliśmy się tutaj z myślą o tym, by żyć jak w komunie. Później postanowiliśmy zamienić to miejsce w obiekt hotelowy, z którego dochód teraz przeznaczamy na działalność dobroczynną.

Zrobiła pauzę, ugryzła tosta i upiła łyk kawy.

– Poza tym naprzykrzamy się władzom i uprzywilejowanym ludziom z Jerozolimy, prosząc, żeby wspomagali najbardziej potrzebujących, a kiedy to konieczne, szukamy pomocy wszędzie, gdzie się da, i jeśli możemy, próbujemy pozyskać innych dla naszej sprawy.

– A czym jest wasza sprawa, Mrs Vester?

– Jeśli pyta pani o to, czy jesteśmy proarabscy, czy prożydowscy, to musi pani wiedzieć, moja droga, że nasza kolonia nigdy nie opowiadała się po niczyjej stronie. Chcemy tylko wspólnego dobra. Polityka jest nam całkiem obca.

Pomimo nieco zbyt obszernych wyjaśnień Bertha Vester od razu mi się spodobała. Wydawała się bezpośrednia i szczerą, jej angielski, mimo akcentu, był dla mnie zrozumiały. W odróżnieniu od matki Marcusa, która mówiła z silną intonacją, moja gospodyni starała się, żebym z łatwością mogła śledzić wątek rozmowy.

Kiedy skończyłyśmy śniadanie, jadalnia była prawie pusta, zostali jedynie młoda matka z dwoma synami i starsza para czytająca prasę. Kiedy wstawaliśmy od stolika, pojawił się powiew wspomnień o innej, równie gościnnej kobiecie, choć mającej zupełnie odmienny styl: Candelarii z Tetuanu, z czasów, kiedy byłam tylko młodą naiwną dziewczyną porzuconą przez łajdaka.

Minęło prawie dziesięć lat, a tamten skromny pensjonat przy ulicy La Luneta w niczym nie przypominał tej wspaniałej willi na zamożnym osiedlu Asz-Szajch Dżarrah. Również prezencja i maniere mojej szmuglerki nie miały nic wspólnego z subtelną dystynkcją tej wytwornej damy. Nawet ja nie byłam taka sama: miałam za sobą szemrane sprawy, uczucia, obowiązki, poznałam różnych ludzi, którzy otworzyli mi oczy na to, co najlepsze i najgorsze w człowieku, i nauczyli mnie, jak dostrzec, gdzie czai się podłość, a skąd wychylają się uczciwość i przyzwoitość.

Chciałam właśnie podziękować mojej gospodyni za śniadanie, lecz ona mnie ubiegła.

– Czy w pokoju czeka jakaś sprawa, która wymaga pani uwagi w tej chwili?

Mój negatywny gest był wymowny.

– Muszę pojechać do banku, żeby zdeponować czeki. Będę zachwycona, jeśli zechce mi pani towarzyszyć – zaproponowała.

Szofer był Sudańczykiem, a samochód to ford tak amerykański, jak jego właścicielka. Siedziałyśmy na tylnej kanapie i w miarę jak auto zbliżało się do centrum Jerozolimy, pokazywała mi mijane miejsca: katedra anglikańska Świętego Jerzego, mury, Brama Damasceńska, rosyjska poczta, Brama Nowa, Szpital Francuski, kaplica Świętego Wincentego a Paulo, posterunek policji... Ja tymczasem chłonełam wszystko wzrokiem, pełna wątpliwości. Co to dziwne miejsce może wnieść do naszego życia? Czy zdołamy być tu względnie szczęśliwi, czy znajdziemy tutaj swoje miejsce? Czy uda nam się trzymać z dala od napięć panujących na tym terytorium, czy ostatecznie zostaniemy w nie wciągnięci?

Na początku naszego przejazdu widziałam głównie Arabów, przede wszystkim mężczyzn. Jedni nosili tradycyjne stroje, inni mieli na sobie marynarki w stylu europejskim, a na głowach zaplątane chusty; później miałam się dowiedzieć, że nazywa się je kefija. Niektórzy nosili czerwone fezy, nakrycie głowy typowe dla zamożnej klasy, takie same, jakie pamiętałam z moich krawieckich czasów w Maroku.

W miarę jak zagłębialiśmy się w nowoczesną część miasta, Arabowie przestawali być już tak widoczni, a ich miejsce zajęli Żydzi,

ale nie ci ultraortodoksyjni z długimi brodami, czarnymi chałatami, gołymi kostkami i wielkimi kapeluszami, lecz mężczyźni odziani w szyte na miarę garnitury, w których równie dobrze mogliby chodzić po Amsterdamie, Berlinie czy Warszawie, a także kobiety w kwiecistych sukienkach z odsłoniętymi ramionami, chłopcy w białych koszulach z podwiniętymi rękawami i rozpiętymi kołnierzykami, młode dziewczęta o kręconych włosach w jasnych letnich bluzkach. Krótko mówiąc, byli to najprzeróżniejsi ludzie, którzy z pozoru normalnie chodzili po chodnikach, przecinali ulice, wsiadali do autobusu i z niego wysiadali, zatrzymywali się na rogu, żeby się z kimś przywitać, albo siadali na tarasie kawiarni, żeby poczytać „The Palestine Post” lub jakiś dziennik wydawany w języku hebrajskim. Między nimi – co zgrzytało w tej pozornie spokojnej scenerii – zauważyłam także żołnierzy, licznych brytyjskich wojskowych w mundurach khaki, spodniach sięgających nad kolana, wysokich skarpetach, przechylonych na bok kapeluszach. A także policjantów. Mnóstwo policjantów.

Przed nami otwierały się porządnie wyasfaltowane ulice, szerokie chodniki i harmonijne budynki. Większość fasad była zbudowana z kamienia w kolorze piaskowym, piękne i symetryczne, zgodnie z przepisami Brytyjskiego Mandatu Palestyny, który – jak we wszystko – ingerował również w architekturę i urbanistykę: wedle brytyjskiego nakazu budynki miały być stawiane z kamieni wydobytych z pobliskich kamieniołomów. Szerokie markizy z jasnego brezentu chroniły fasady biur, kin, hoteli, sklepów i urzędów. W tej części miasta większość afiszy i napisów była w języku angielskim, wiele w hebrajskim, żaden zaś w arabskim.

Bank mojej gospodyni wyłonił się przed nami ze swoim półokrągłym kształtem, łukami przy wejściu i zawieszoną wysoko lśniącą flagą Union Jack, która falowała delikatnie barwami Imperium w porannym słońcu. BARCLAYS BANK, DOMINION COLONIAL AND OVERSEAS: wielkie metalowe litery błyszcząły na fasadzie. Tam wysiadłyśmy, ja powoli, rozglądając się dookoła, próbując wszystko chłonąć, nie potrafiąc jeszcze pojąć reguł gry ani sposobu, w jaki poruszają się figury na tej nowej szachownicy.



– Mustafo, odbierz nas, proszę, o pierwszej z King David – nakazała Bertha Vester kierowcy, nachylając się w stronę opuszczonej szyby.

Powiedziała: King David. Nie wiedziałam, co miała na myśli. Pierwszy raz słyszałam tę nazwę, która odtąd miała rozbrzmiewać mi w duszy przez resztę moich dni.

W banku znajdowało się kilkunastu klientów, prawie sami Brytyjczycy. Nasze letnie kapelusze, sukienki i rękawiczki stanowiły barwny kontrpunkt dla otaczającej nas męskiej większości. Moja gospodyni się witała, a odpowiedzi były zawsze serdeczne. *Good morning, Mrs Vester. Good morning, my dear friend. Isn't it a wonderful day?* Nie przedstawiła mnie nikomu; to nie było ani odpowiednie miejsce, ani czas. Zaproponowano, że zawołają dyrektora, żeby obsłużył ją osobiście, lecz ona nie chciała. Jej sprawa została załatwiona szybko, prawie nie musiała czekać; jak gdyby tego typu transakcja była czymś cyklicznym, a ona – osobistością, która zawsze cieszyła się szczególnymi względami.

Miałyśmy już opuścić bank, kiedy o mało nie zderzyłyśmy się z człowiekiem, który wchodził w pośpiechu, z nosem w papierach. Nasze ramiona nawet się o siebie otarły. Był wysoki, korpulentny, miał gęste ciemne włosy, garnitur z jasnej bawełny, trochę wygniecioną marynarkę, nieco rozluźniony krawat.

– Proszę uważać, panie Soutter! – przestrzegła go moja towarzyszka, nie dając mu nawet możliwości, by przeprosił. – Dlaczego zawsze chodzi pan z takim pośpiechem, mój drogi? Czyżby w PBS nie mogli się obyć bez pana ani minuty?

### 3

Wystarczyło szybko omieść wzrokiem ogromny salon, żeby go znaleźć. Marcus siedział przy jednym ze stolików po lewej stronie i rozmawiał z dwoma mężczyznami. Wyglądał na zrelaksowanego, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło – nawet w najbardziej nerwowych czy trudnych chwilach rzadko kiedy tracił spokój. W jednej dłoni trzymał szklankę z whisky z lodem, w drugiej zaś papierosa. Gdy mnie zobaczył, nie zmienił wyrazu twarzy. Wobec jego reakcji ja postąpiłam tak samo.

W taki właśnie sposób zachowywaliśmy się przez te wszystkie lata: za każdym razem, gdy spotykaliśmy się w miejscu publicznym, żadne z nas nie zdradzało, że zna to drugie. Dla bezpieczeństwa, dla zachowania ostrożności, zwyczajny podstawowy protokół. Jak gdybyśmy się nigdy wcześniej nie widzieli – tak zawsze postępowaliśmy. Jak gdybyśmy nigdy nie dzielili obaw ani łóżka, niepokojów, lojalności czy pieśczoł. Tutaj taka przezorność z pewnością nie była potrzebna – nie byliśmy już w proniemieckim Madrycie z czasów tuż po wojnie domowej, gdzie Franco nadal rozpieszczał nazistów, podczas gdy Brytyjczykami pomiatał. Mimo że wcale tego nie ustalaliśmy, to tamtego południa, prawdopodobnie zupełnie bezwiednie, oboje trzymaliśmy się naszych starych zasad. Udawana obojętność. Wykalkulowane roztargnienie. Jedno nie zwracało na drugie najmniejszej uwagi, jakbyśmy byli przezroczyści.

W odróżnieniu od przytulnego i urokliwego hotelu American Colony, King David Hotel okazał się miejscem wytwornym; w porównaniu z nim Palace czy Ritz, które często odwiedzałam, wydały mi się skromne. Ten hotel należał do zupełnie innej kategorii, był hołdem dla luksusu, łączył to, co typowe dla Bliskiego Wschodu, z atmosferą wielkiego świata. Sześciopiętrowa budowla na planie prostokąta wzniesiona za żydowskie pieniądze pochodzenia

egipskiego przez arabską siłę roboczą z kamienia wydobytego z kamieniołomu nieopodal Jerycha. Hotel był udekorowany białym i zielonkawym marmurem, ściany miał ozdobione biblijnymi scenami, a z sufitów zwisały na łańcuchach ogromne bizantyjskie lampy. Tak wyglądał King David Hotel.

Uprzejmy europejski pracownik, którego pochodzenia nie zdołałam ustalić, posadził nas przy jednym z nielicznych wolnych stolików, tuż przy jednym z okien wychodzących na ogród. Na szczęście w dużej odległości od Marcusa.

– Najbardziej reprezentatywne miejsca w Jerozolimie są zupełnie innej natury, o czym pani zapewne wie – powiedziała Bertha Vester, wachlując dyskretnie dekolt. – Żeby je odwiedzić i zrozumieć, potrzebne jest jednak skupienie. W tej nowoczesnej dzielnicy, poza murami Jerozolimy, prawdopodobnie jest to najlepsze miejsce na rozpoczęcie pani pobytu.

Zamówiła sok owocowy, poprosiłam o to samo.

– Tutaj codziennie wszyscy się spotykają, żeby *ad infinitum* rozmawiać o polityce i pieniądzach; żeby uzyskać informacje i knuć intrygi przeciwko światu i Bliskiemu Wschodowi ogólnie, a w szczególności przeciwko naszej nieszczęsnej Palestynie. Przedsiębiorcy, znamienici turyści, osoby zajmujące wysokie stanowiska w korporacjach, dziennikarze i kupcy, przemytnicy, rozmaici oportuniści. I naturalnie wielu miejscowych bogatych Żydów i Arabów dobrego pochodzenia – wyjaśniła, przebiegając wzrokiem szeroką przestrzeń. – Powiedzmy, że King David jest najbardziej kosmopolitycznym publicznym miejscem w Palestynie. I całkowicie neutralnym. Na razie.

Obok nas przeszli trzej wojskowi, oficerowie wyższego stopnia, jak wydedukowałam z belek i poważnego wyglądu.

– Jak się pani przekona, ponad nimi wszystkimi znajdują się oczywiście Brytyjczycy – dodała, odpowiadając grzecznym gestem na pozdrowienie jednego z nich. – Tutaj ulokowali swoją kwaterę główną oraz Sekretariat, cywilny rząd Mandatu Palestyny. Wszyscy się tu przenieśli tuż przed wybuchem wojny w Europie, podczas krwawej arabskiej rewolty, dla bezpieczeństwa i wygody. Zajmują prawie połowę hotelu, całe południowe skrzydło. Chociaż po tych

pomieszczeniach poruszają się oczywiście tylko oficerowie i osoby zajmujące najwyższe stanowiska. Żołnierze mają swoje koszary i swoje kluby. A urzędnicy, maszynistki, telefonistki i młodszy pracownicy wchodzą tylnymi drzwiami i korzystają ze schodów dla obsługi.

Smukły czarnoskóry kelner, ubrany jak do operetki, przyniósł nasze napoje na wytłaczanej miedzianej tacy, z którą zręcznie manewrował między stolikami.

– Sudańczycy ich obsługują, a Arabowie czyszczą im podłogi i zmywają naczynia, niech żyje Imperium! – dodała Bertha Vester z nutką sarkazmu.

Podniosłam szklankę do ust i nie przestając na nią patrzeć, napiłam się powoli. Później odstawiłam szklankę na stół, również pomalowany. Przez lata sumiennej współpracy z tajnymi służbami nauczyłam się nie tylko uważnie słuchać, lecz także prowokować swoim milczeniem, żeby inni mówili dalej.

– Ale życie tam, na zewnątrz, jest ciężkie, *my dear*. Sama się pani przekona, że Anglicy i reszta ekspatriantów mieszkają tutaj tak, jakby Jerozolima była czymś w rodzaju transatlantyku. Chodzą w te same miejsca o tych samych porach i spotykają się z tymi samymi ludźmi, wszyscy poruszają się w takim samym tempie, pozornie niezmienni. A tymczasem na przedmieściach i we wsiach, w obozach i osadach panuje niedostatek. I nienawiść, moja droga. Ogrom nienawiści, która bez przerwy narasta.

Inną umiejętnością, którą rozwinęłam podczas wykonywania moich potajemnych zadań, była zdolność do podzielności uwagi w taki sposób, by mój rozmówca się nie zorientował. Dlatego kiedy uważnie słuchałam mojej gospodyni, żeby nie uronić ani jednej sylaby, zauważyłam również, że Marcus i jego towarzysze kończą swoje aperitify i wstają. Jeden z nieznanym mężczyzną wziął kapelusz i podał Marcusowi rękę na pożegnanie. Drugi dał znak kelnerowi i wskazał miejsce na zewnątrz, do którego się kierowali; ponieważ zbliżała się pora obiadu, podejrzewałam, że chodzi o restaurację.

– Mój mąż – wyszeptałam wtedy, pokazując delikatnie podbródkiem w jego stronę. – *My husband*.

To był pierwszy raz, gdy wymówiłam przy kimś ten zaimek i ten rzeczownik razem. Nie miałam żadnego powodu, żeby to robić; nigdy przedtem te dwa słowa razem nie wyszły z moich ust, ukryte tak samo, jak my się ukrywaliśmy, zafałszowując rzeczywistość, maskując uczucia. Jednostronnie złamałam właśnie tajemnicę, nieustanną dyskrecję, do zachowania której mnie zobligowano. Ale jakie to miało teraz znaczenie, skoro mieszkaliśmy razem u Berthy Vester, dzieląc pokój i łóżko, łazienkę i szafę.

Musiała jednak wyczuć coś w moim tonie albo moim geście.

– Czasami małżeństwa wymykają się normom – stwierdziła z intuicyjną mądrością płynącą z doświadczenia, którego nabrała podczas siedmiu dekad życia.

Obie miałyśmy teraz wzrok utkwiony w oddalającym się Marcusie, w tych mocnych plecach, które dawały mi oparcie w niespokojne noce i poczucie bezpieczeństwa w niepewne dni. Szedł razem z tym drugim mężczyzną, rozmawiali.

– Zawsze jest łatwiej – ciągnęła ona – kiedy człowiek zwiąże się z kimś podobnym, osobą z tego samego świata. A jednak czasami, z jakichś dziwnych powodów, wchodzimy na statki, które muszą przewieźć nas przez wichury i sztormy.

Marcus i jego towarzysz zniknęli za ogromnymi cedrowymi drzwiami. Bertha Vester kontynuowała.

– Dobrze wiem, co mówię, moja droga. Mój mąż Frederik Vester był pochodzenia szwajcarsko-niemieckiego. Na początku znajomości, kiedy moja matka się dowiedziała o naszych spotkaniach, zarządziła tymczasowy powrót rodziny do Chicago. W ciągu dwuletniej rozłąki nie było ani jednego dnia, żebym przestała o nim myśleć. W końcu wróciliśmy do Palestyny i matka się z tym pogodziła. On bardzo łatwo się z nami zintegrował, tworzyliśmy szczęśliwą parę do czasu, aż trzy lata temu atak serca zabrał go z mojego życia.

Odwróciła głowę do okna, jakby zastanawiała się nad czymś przez chwilę. Na zewnątrz znajdowały się piękny różany ogród, fontanny i wybrukowane ścieżki, cyprusy przycięte tak, jakby zrobiono im manikiur.

– Ale równie dobrze mogliśmy być nieszczęśliwi.

Jej niebieskie oczy znowu spojrzały w moje. Odetchnęła ciężko, a wraz z oddechem uniosły się jej klatka piersiowa i duża broszka.

Milczałam, oglądając swoje dłonie na marmurowym stoliku, dłonie jedynaczki urodzonej przez samotną matkę, zmęczone szyciem od dzieciństwa wypełnionego biedą. Moje doświadczenie dotyczące małżeństwa było niewielkie, a w najbliższym otoczeniu brakowało osób, które mogłyby potwierdzić lub zaprzeczyć moim wyobrażeniom na ten temat. Rodzice nigdy się nie pobrali; ojciec ożenił się z kobietą, której nie poznałam, i z tego, co wiedziałam, nie byli zbyt szczęśliwi – nigdy jednak nie wnikałam w powody czy winę. Moja matka, Dolores, parę lat temu złożyła przysięgę w kościele w Tetuanie, „w zdrowiu i chorobie, w szczęściu i nieszczęściu”, poślubiając emerytowanego listonosza, spokojnego wdowca, który zapewniał jej towarzystwo, finansowe bezpieczeństwo i miłość, ale to był zupełnie odmienny związek od mojego, bardziej domknięcie kręgu niż początek nowej drogi życia, która miała być radosna i długa.

Kiedy kierowałyśmy się do wyjścia, zanim połknęły nas wielkie obrotowe drzwi, Bertha Vester wskazała mi lśniąca drewnianą ladę, na której znajdowały się ogłoszenia, mapy, broszury turystyczne oraz stojak z pocztówkami.

– Może będzie pani chciała wysłać bliskim jakąś widokówkę z tej ziemi równie świętej, co zagmatwanej.

O wszem, wysłałam te pocztówki. Później, z biegiem dni, tygodni i miesięcy, moje pisanie ograniczało się do listów. Listów do matki wysyłanych na jej tetuański adres szczęśliwej mężatki. Listów do mojego ojca, na adres jego mieszkania przy ulicy Hermosilli. Do mojego przyjaciela Félix, który przeprowadził się do Tangeru, pogrzebawszy swoją zniechęconą matkę, nie roniąc przy tym ani jednej łzy. Do Candelarii, do Rosalindy, chociaż adres tej drugiej ciągle się zmieniał. Długie listy do wszystkich – listy, w których mimo mnóstwa słów nigdy nie pisałam o niczym ważnym. Przekazywałam im tylko migawki, detale, opowiadałam anegdoty, jakbym patrzyła na miasto oczami turystki, w słabym świetle i z największą beztroską. Słodczyz arbuźów, wieczne targowanie się na sukach, uderzający obraz ultraortodoksyjnych Żydów bijących głowami w Ścianę Płaczu.

Nigdy nie wspominałam o tej mniej przyjemnej stronie, ani słowa na temat wybuchów przemocy. Jakby Jerozolima była kurortem, a ja turystką, która spędza w niej nieustający miesiąc miodowy. Po co opisywać zawiłości i konflikty, które komplikowały się w tej części świata bez żadnej nadziei na rozwiązanie. Jaki sens miało wspomnianie o zadaniach Marcusa i moich troskach, jego wątpliwościach, moich obawach.

Lato zakończyło się ponurymi prognozami: nowy brytyjski rząd laburzysty Clementa Attlee twardo trzymał się decyzji o niewpuszczaniu na palestyńską ziemię europejskich Żydów na dużą skalę. W odpowiedzi miejscowi Hebrajczycy otwarcie okazywali sprzeciw. Większość społeczności wyrażała swoje ogromne niezadowolenie protestami i roszczeniami, ale pokojowo. Były też jednak inne sposoby okazywania oburzenia. Trzy podziemne zbrojne organizacje – Hagana, Irgun i Lechi – które do tej pory działały

oddzielnie, stosując przemoc, tymczasowo odsunęły na bok dzielące je różnice i połączyły siły we wspólnym buncie przeciwko brytyjskiemu mandatowi. Za cel obrano posterunki policji, radary, rafinerie ropy naftowej, linie kolejowe. Skąd przyjdą następne ataki i na jakie cele skierowana będzie złość – to wciąż zaskakiwało Arabów oraz chrześcijan.

Marcus i ja tymczasem nadal mieszkaliśmy w American Colony, z dala od miejskiego zgiełku. Wyjazd innych gości pozwolił nam przenieść się do większego pokoju, niemal apartamentu. Bertha Vester i jej uprzejmy personel cały czas się nami zajmowali – karmili, prali ubrania, udostępniali mi samochód z kierowcą zawsze, gdy tego potrzebowałam, zapraszali mnie do udziału w różnych zajęciach i przyjęciach. Niemniej – może dlatego, że brakowało mi konkretnych obowiązków, a może ze względu na obce otoczenie – trudno mi było się odnaleźć w roli żony ekspatriantki, a przede wszystkim osoby bezrobotnej, mimo moich starań i mijających dni.

Początek jesieni przyniósł burze piaskowe i mnóstwo kurzu, a także kolejne strzelaniny i aresztowania, uliczne zamieszki; broń przekazywano sobie z rąk do rąk, wybuchały bomby domowej roboty. Potem nadeszły pierwsze deszcze – oczyszczające, zbawienne, uzdrawiające niespokojne umysły i wysuszone ziemie. Dni stawały się coraz krótsze, miasto jakby się zamykało. A w środku tego wszystkiego byłam ja, krawcowa, która już nie szyła, konspiratorka, która już nie konspirowała, niepracująca żona Brytyjczyka wypełniającego podejrzanе obowiązki, który więcej czasu spędzał w mieście niż ze mną. Tak upływało moje życie; próbowałam stać w rozkroku, starałam się utrzymać równowagę niczym linoskoczek.

Z jednej strony chciałam czerpać radość z tego, że mieszkam w Jerozolimie, miejscu tak ważnym dla trzech religii. Dlatego wiele razy chodziłam na Stare Miasto; moje stopy przemierzały via Dolorosa i schodkowe uliczki różnych dzielnic, moje oczy kontemplowały bazylikę Grobu Świętego i Wieczernik, wieżę Dawida, Kopułę na Skale, ormiańską katedrę Świętego Jakuba. Nauczyłam się rozpoznawać szczególne cechy różnych społeczności, mogłam je zidentyfikować po języku, modłach, ubiorze. Księża greckokatolicki ze swoimi brodami i mitrami na głowach, moi



rodacy franciszkanie w brązowych habitach przewiązanych zgrzebnym sznurem z trzema węzłami, ortodoksyjni Żydzi w czarnych chałatach, wielkich kapeluszach i z pejsami wiszącymi przy uszach.

Oprócz nich widziałam, przemierzając labirynt uliczek, także zwykłych ludzi, muzułmanów, żydów i chrześcijan, dzieci, kobiety i mężczyzn zajmujących się swoimi drobnymi codziennymi sprawami, sprzedawaniem i kupowaniem chleba, oliwy, fig, ciecierzycy, świec, ryb. Obserwowałam także wmieszanych pośród tych, którzy mieszkali tu od zawsze, młodych hebrajskich osadników spalonych słońcem i ubranych w khaki, poruszających się dziarskim krokiem; pielgrzymów i zwiedzających, którzy dopiero co przybyli z rozmaitych zakątków świata; chude kozy i osły obciążone towarami, Beduinów z pustyni, jasnowłose angielskie dziewczynki w szkolnych mundurkach i mnóstwo innych różnych ludzi, którzy nieustannie się zbierali i rozchodzili, spotykali i żegnali na ulicach, placach i w zaułkach, jakby byli wielobarwnymi szkiełkami w kalejdoskopie.

Chociaż się starałam, nie potrafiłam nie dopuszczać do siebie ciągłego niepokoju, który wrósł we mnie. Marcus wychodził wcześniej rano, często wracał spięty, czasami wyjeżdżał na dwa lub trzy dni, do Tel Awiwu albo Jafy, albo Bóg raczył wiedzieć gdzie. Zawsze powtarzał, żebym się o niego nie martwiła, żebym sama uważała na siebie. Kiedy był ze mną, starał się złagodzić moje zmartwienia, rozwiązać obawy. W niektóre wieczory – rzadziej – przychodziliśmy wcześniej do naszego pokoju w American Colony i Marcus opowiadał mi o swoich sprawach tyle, ile mógł, czasami nawet trochę więcej, niż wymagała ostrożność, a później się kochaliśmy, bez pośpiechu, i szeptaliśmy sobie do uszu przyrzeczenia i plany. W inne wieczory – częściej – proponował, byśmy gdzieś wyszli. Niewątpliwie mówił szczerze, gdy się upierał, by dostarczyć mi nieco rozrywki, pójść na kolację, na tańce, w różne miejsca, do ludzi. Ale prawda była też taka, i miałam tego pełną świadomość, że to intensywne nocne życie towarzyskie miało znaczenie dla jego misji: zdobywanie informacji, w taki czy inny

sposób, było jego pracą; a informacje mogły się kryć za każdym rogiem w środku nocy.

Często chadzaliśmy do Fink's Bar, niewielkiego lokalu pełnego dymu i rozmaitych twarzy, napojów i języków. Inne wieczory spędzaliśmy w klubie hotelu Semiramis albo w piwnicy Jasmine House Hotel, który Marcus nazywał *press ghetto*, ponieważ tam zatrzymywali się brytyjscy i amerykańscy korespondenci. Zazwyczaj jednak bywaliśmy w prywatnych domach, rezydencjach, w których organizowano tłumne spotkania, kolacje na arabskich osiedlach Katamon czy Talbija, sporadycznie w żydowskiej dzielnicy Rehavia, przyjęcia czy nocne spotkania towarzyskie w willach prawników, intelektualistów czy przedsiębiorców w jakiś sposób powiązanych z Europą, albo u rodaków Marcusa czy obcokrajowców będących tu przejazdem – to zawsze były wymówki, żeby dalej debatować, z kieliszkiem lub szklanką w dłoni, o kwestii palestyńskiej i niepokojącej przyszłości tego miejsca.

Niekiedy po powrocie do American Colony o drugiej albo o trzeciej w nocy, albo nawet o czwartej nad ranem, podczas gdy ja się kładłam, Marcus zdejmował marynarkę i krawat, podwijał rękawy koszuli, włączał małą lampkę na biurku i zasiadał do pracy, zdeterminowany i skoncentrowany. Zwykle obserwowałam go z łóżka, starając się powstrzymać sen. Lubiłam patrzeć na jego profil przecięty żółtawym światłem żarówki, na jego odsłonięte przedramiona, nieco potargane już o tej porze włosy. Aż odgłos pióra drapiącego papier sprawiał, że powieki same mi się zamykały, nie wiedziałam, jak długo jeszcze będzie pisał i jakich użyje słów, żeby przenieść do raportów obawy, które przetwarzał jego mózg.

Z początkiem listopada przybył wreszcie nowy wysoki komisarz, sir Alan Cunningham, jeden z adresatów tych szczegółowych dokumentów, które Marcus gromadził w teczkach w gabinecie przydzielonym mu w King David Hotel, obok biur jego rodaków z Sekretariatu. Cunningham był generałem o wspaniałej prezencji, któremu powierzono zadanie pełne przeszkód i zmartwień. Na jego zaprzysiężenie w Government House przybyli wysocy rangą urzędnicy, wojskowi przyozdobieni orderami i odznaczeniami, dyplomaci ze wszystkich zakątków, przedstawiciele wielkich

korporacji i prominentni miejscowi obywatele. Byli również przedstawiciele, jakżeby inaczej, Arabskiego Komitetu Wyższego oraz Agencji Żydowskiej. I my – Marcus ubrany na galowo, ja w jednej z moich kreacji.

Powitała nas gwardia honorowa Highland Light Infantry, były salwy i okrzyki na cześć króla i Imperium w ogrodach rezydencji na Górze Oliwnej, podczas gdy zmierzch zapadał nad Starym Miastem, rozświetlając złote kopuły i wydobywając z kamieni magiczne barwy. Akt powołania odczytano uroczyście w trzech językach w wielkiej sali balowej. Przysięgę odebrał prezes Sądu Najwyższego Mandatu Palestyny, ubrany z protokolarnym przepychem i w długiej peruce. Było to siódme mianowanie najwyższego dygnitarza w brytyjskiej administracji. Nikt nie przewidział, że ostatnie.

Podczas gdy orkiestra wojskowa posyłała w powietrze dźwięki *God Save the King*, mimowolnie nasunęło mi się wspomnienie o tamtym przyjęciu u wysokiego komisarza osiem lat wcześniej – był to pierwszy i ostatni raz, gdy Marcus i ja pojawiliśmy się razem na oficjalnej uroczystości. Serrano Suñer chciał wtedy poznać Beigbedera, a ten zabawiał go z uwagą i troską, nie podejrzewając, że kilka lat później Szwagrossimus da mu mocnego metaforycznego kopniaka w tyłek. Teraz, w Jerozolimie, wszystko wyglądało inaczej: Brytyjczycy grali w zupełnie innej lidze, gdy chodziło o potęgę kolonialną. Wszystko działo się w innym anturazie i z inną dostojnością, zgodnie z nieskończone bardziej uroczystym protokołem niż tamten obowiązujący w naszym skromnym protektoracie.

Nie mogłam się powstrzymać i mój głos dotarł do ucha Marcusa w formie szeptu.

– Na jak długo tu zostanie?

Odpowiedział jednym słowem.

– Nieokreślony.

Ugryzłam się w język, żeby nie zapytać: a my? Nie mogłam się doczekać, kiedy wyjedziemy z tej targanej niepokojem ziemi. Dokądkolwiek. Jak najszybciej.

**D**wa tygodnie później charyzmatyczna Katy Antonius zaprosiła nas na jedno ze swoich przyjęć. Bez wątpienia najlepsze w Jerozolimie, obwieściła mi Bertha Vester. Mimo to nie miałam najmniejszej ochoty tam iść. Od paru dni nie czułam się dobrze, sto razy bardziej wolałabym spędzić spokojny wieczór, nie ruszając się z American Colony, tylko Marcus i ja, jedząc cokolwiek na kolację. Albo nawet bez kolacji.

Powtarzałam mu to, kiedy kończyłam robić makijaż, podkreślając rzęsy przed lustrem, w bordowej sukience z szyfonu i w butach z safianu; we włosach miałam jeszcze kilka wsuwek, ponieważ chciałam, żeby powstały fale. On, odwrócony plecami, właśnie skończył zapinać spinki do mankietów, podszedł, chwycił mnie za ramiona i odwrócił.

– A co ja tam będę bez ciebie robił wśród tylu ludzi?

W odpowiedzi zaśmiałam się słabo, brakowało mi sił.

– Kłamca – wyszeptalam.

Jedna po drugiej zaczął wyjmować spinki z moich włosów.

– Nie kłamie. Ty zawsze potrafisz owinąć sobie wokół palca każdego, kogo tylko zechcesz – powiedział powoli, muskając mnie swoim oddechem.

Kiedy wyjął pierwszą spinkę i rzucił ją na podłogę, na płytkach rozległ się metaliczny brzęk. Kilka kosmyków opadło na moje lewe ramię.

– Pojawisz się jako piękna, olśniewająca żona wsparta na moim ramieniu...

Wyjął drugą, znów upadła z brzękiem, a kosmyki zakryły prawe ramię.

– ...dokładnie przyjrzyysz się obecnym, udając, że podziwiasz dekoracje albo atmosferę...

Wraz z usunięciem trzeciej spinki na moje plecy opadła reszta włosów.

– ...wyłapiesz swój obiekt i szczegółowo go przeanalizujesz...

Czwarta i ostatnia spinka sprawiła, że twarz zasłoniła mi kurtyna loków, on odsunął ją palcem wskazującym.

– ...i w ciągu pół godziny osiągniesz swój cel.

Pomimo złego samopoczucia nie miałam innego wyjścia, jak tylko uśmiechnąć się ironicznym. Doskonale wiedziałam, że komplementy Marcusa były przykrywką dla planu, jaki miał w zanadrzu.

– A dzisiejszego wieczoru kogo mam zdobyć, kochanie?

– Jakąś parę Żydów. Myślę, że będą tam państwo Valero.

Często tak działaliśmy, niczym uzupełniający się współpracownicy. Kiedy on podążał za jakimś celem podczas przyjacielskiego spotkania towarzyskiego, ja mu w tym pomagałam. Wcześniej zawsze udostępniał mi arsenał informacji.

– Pochodzenie sefardyjskie – wyliczał niemal w telegraficznym skrócie, wkładając marynarkę. – On, lekarz. Potomek zamożnej rodziny lokalnych bankierów, przodkowie przybyli z Hiszpanii kilka wieków temu.

Znowu odwróciłam się do lustra, zatopiłam palce we włosach, które Marcus właśnie mi rozpuścił, i skończyłam się czesać.

– Od wielu pokoleń żyją w zgodzie z Arabami, robią wspólnie interesy, budują harmonijne relacje, niemal bez żadnych animozji. Ale w ostatnim czasie, po napływie Żydów aszkenazyjskich z Europy Środkowej i Wschodniej, Żydzi sefardyjscy stali się mniejszością. Dlatego chciałbym poznać niektórych z nich. Dowiedzieć się z pierwszej ręki, czy posiadają jeszcze jakieś wpływy.

Otworzyłam i wysunęłam pomadkę.

– Czego dokładnie potrzebujesz?

Przesunęłam nią po ustach, najpierw po górnej wardze, następnie po dolnej. Stojący za moimi plecami Marcus włożył ręce do kieszeni spodni i patrzył na mnie z uznaniem. Zacisnęłam usta, żeby utrwalić szminkę, i znowu je otworzyłam.

– Na przykład zaproszenia na kolację w ich domu.

Szofer z American Colony zawiózł nas do Karm al-Mufti, okazałej willi Katy Antonius u podnóża góry Skopus, stosunkowo niedaleko

od naszego hotelu. Przejechaliśmy przez pełną arabesk bramę z kutego żelaza, a przed nami rozciągał się ogród rozświetlony pochodniami. Muzyka dobiegła na portyk, kiedy wysiedliśmy z forda Vesterów. Gdy tylko weszliśmy, służący o ciemnej cerze i w okazałej aksamitnej tunice wziął nasze okrycia, inny, odziany tak samo, zjawił się z tacą pełną napojów, trzeci kusił nas małymi kanapkami i suszonymi owocami. Marcus dobrze mnie znał: ten czas, kiedy uprzejmie odmówiłam zarówno koktajlu, jak i przekąsek, zupełnie mi wystarczył, żeby zlustrować obecnych. Z grubsza.

Około stu ciał płynęło przez salę między antycznymi dywanami, gobelinami z Damaszku i francuskimi meblami w stylu art déco. Europejki w wieczorowych sukniach siedziały na otomanach i fotelach z nogą założoną na nogę i kieliszkiem pink ginu w dłoniach; niektóre Arabki miały na sobie przepiękne tuniki, inne były ubrane zgodnie z panującą na świecie modą – wszystkie paliły długie papierosy z filtrem w karmazynowym kolorze. Kolonialni biurokraci w smokingach i muchach, oficerowie wojska Jego Królewskiej Mości w galowych mundurach oraz Arabowie w różnym wieku, niektórzy odziani w długie białe tuniki, większość zaś w trzyczędowych garniturach. Wymieszani między nimi, otoczeni regałami pełnymi książek, wielkimi lampionami, pięknymi grafikami i ekspresjonistycznymi płótnami, krążyli dyplomaci i intelektualiści rozmaitego pochodzenia, arystokraci będący tu przejazdem, aktywni reporterzy, znamienici wygnańcy i garść osób, które trudno mi było zaszufadkować. Jednakże Żydów, z wyjątkiem paru dziennikarzy, nie było prawie wcale: rosnące napięcie nie zachęcało do kontaktów towarzyskich, a Katy Antonius była zaciekle probrytyjską Arabką.

Dobiegające z gramofonu głosy i marakasy The Andrews Sisters rozbrzmiewały w sali w rytmie melodyjnego *Rum and Coca-Cola*. W powietrzu unosiły się dym papierosowy, ożywione rozmowy i od czasu do czasu także śmiechy. Moja ocena była szybka: miałam do czynienia z nieskończenie bardziej interesującą scenerią niż jakakolwiek z tych obserwowanych przeze mnie na rozlicznych oficjalnych przyjęciach, na których bywałam w Madrycie, gdzie wszystko było skromnie oświetlone żarówkami o niskim napięciu – może było tak dlatego, że moja ojczyzna leczyła jeszcze wojenne

rany, a w Palestynie żyło się w tych dniach z nieco lekkomyślną ekscytacją, charakterystyczną dla kogoś, kto jeszcze nie wie, co ma nadejść.

Niska kobieta w falbanach z organzy podeszła do nas, rozkładając ramiona. Twarz miała serdeczną, a głos nieco piskliwy. Była po czterdziestce, włosy miała krótkie, kręcone i ciemne, z wyjątkiem opadającego na czoło białego kosmyka. Na szyi nosiła długi naszyjnik z pereł barokowych.

– *Welcome, welcome*, moi drodzy przyjaciele...

Ledwie się znaleźliśmy, wcześniej spotkaliśmy się kilka razy, prawie nie zamieniając ze sobą słowa. Ale nie tak dawno temu widziała nas na uroczystości w Government House, musiała więc wyczuć, że Marcus pełni jakąś istotną funkcję wśród swoich rodaków, i postanowiła nas zaprosić. Po tak gorącym powitaniu można by sądzić, że łączyła nas wieloletnia przyjaźń.

– Proszę, śmiało. Jakże się cieszę, że przyszliście, moi drodzy. Tworzycie wspaniałą parę – ciągnęła wesoło. – Jesteś coraz przystojniejszy, mój najdroższy Marcu. A ty, *my dear*, olśniewająca *as usual* w tej cudownej sukni. Umieram z zazdrości, że nie mam tej samej krawcowej co ty. Chodź, kochana, wszyscy nie mogą się doczekać, by usłyszeć, jak według ciebie wygląda Hiszpania po przejściu władzy przez małego generała...

Katy Antonius należała do grupy Arabów wyznających chrześcijaństwo mieszkających w Jerozolimie; tych, którzy w opinii Anglików mieli bardziej umiarkowany punkt widzenia na konflikt. Nie stanowili większości, liczyli niewiele ponad sto tysięcy, ale byli dobrze wykształceni i obcy w świecie, wielu z nich to wybitni specjaliści, niemal wszyscy mieszkający na zamożnych osiedlach, prawie zawsze ubierający się w stylu zachodnim, wielbicieli koni i meczów tenisowych w YMCA; ich dzieci studiowały na brytyjskich uniwersytetach, na tolerancyjnym American University w Bejrucie albo w prestiżowym Victoria College w Aleksandrii. Wielu z nich zajmowało ważne stanowiska w administracji Mandatu Palestyny, a dla niektórych rozwiązanie sprawy terytorium palestyńskiego nie polegało na utworzeniu niepodległych państw, lecz wręcz przeciwnie: ich zdaniem wszystko zmieniłoby się na lepsze, gdyby

ten obszar stał się prawdziwą kolonią brytyjską. Nasza gospodyni, córka bogatego egipskiego wydawcy i wdowa po George'u Antoniusie, historyku libańskiego pochodzenia, wychowana w wierze greckokatolickiej i wykształcona w londyńskiej szkole dla panienek z szacownych rodzin, doskonale wpisywała się w ten wzorzec.

Wylewając z siebie błyskotliwy potok słów, Katy Antonius chwyciła mnie w pasie i wprowadziła do wielkiej sali, podczas gdy Marcus został z tyłu, uwikłany w kolejne powitania. Nasza gospodyni postanowiła zrobić ze mnie atrakcję wieczoru, niezwykłą Hiszpankę, która miała przydać kolorytu jej przyjęciu. Ja natomiast oddałabym wszystko, byle tylko stąd uciec, wrócić do mojego pokoju i zwinąć się pod kocami.

– Pozwól, że przedstawię cię kilkorgu przyjaciołom, ale zjedz coś wcześniej, kochana, na co masz ochotę, powiedz.

Próbowałam odmówić, kiedy ona władczy gestem przywoływała jednego ze służących. Pod moim nosem pojawiła się pełna taca.

– Spójrz, to jest humus, przypuszczam, że już to znasz.

Oczywiście, że znałam; wszystko, co próbowała we mnie wcisnąć, znałam doskonale; znałam i zazwyczaj bardzo mi smakowało, w każdej innej chwili częstowałabym się z wdzięcznością. Ale nie teraz. Teraz nie chciałam niczego. Przez cały dzień nie czułam się dobrze, a gęsty dym w sali albo może zaduch z powodu nagromadzenia się tylu osób, czy cokolwiek to było, stopniowo potęgował mój dyskomfort. Katy Antonius, gościnna aż do przesady, nie zamierzała mnie jednak puścić.

– Te pierożki nazywają się fatayer, ten jest z nadzieniem serowym, pyszny. Spróbuj, kochana, spróbuj...

Poczułam intensywne ciepło, zauważyłam, że pocą mi się ręce i plecy. Jak się nazywała ta para, do której miałam podejść? Może gdybym skoncentrowała się na tych dwojgu, zdołałabym odpędzić moje złe samopoczucie. Państwo Valero, tak, to jest to nazwisko, tylko... gdzie oni są? Moja niedyspozycja rosła, a niestrudzona gospodyni nie milkła.

– A to kibbeh, zrobione z jagnięciny. Skosztuj, proszę, skarbie, dopiero co wyszły z mojej kuchni.



Nie miałam innego wyjścia, jak się zgodzić. Chwyciłam w palce jedną z tych przekąsek w kształcie kroieta i powoli, z największą ostrożnością, podniosłam ją do ust, jakbym miała właśnie połknąć ampułkę z cyjankiem, a nie kulkę zrobioną z bulguru, mięsa mielonego i przypraw. Ugryzłam mały kawałek, przeżułam, jak mogłam. Dookoła mnie, niczym w świecie równoległym, nadal rozbrzmiewała amerykańska muzyka, wciąż unosił się gwar rozmów, z jakiegoś kółeczka dobiegł nagły wybuch śmiechu.

Pomimo usilnych starań nie mogłam przełknąć. Ale nie to było najgorsze. Mój żołądek nie tylko odmawiał przyjęcia tego malutkiego kawałka jedzenia, lecz także groził wyrzuceniem wszystkiego, co znajdowało się w środku. Przytłoczona do granic możliwości chciałam coś wyszeptać, sądząc jednak po reakcji Katy, dźwięki ostatecznie nie nabrały żadnego kształtu.

– *I beg your pardon?*

Spróbowałam ponownie.

– Nie rozumiem cię, moja droga. Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blada.

Nie, nie czułam się dobrze. Potrzebowałam natychmiast stamtąd wyjść.

– Może chcesz pójść do toalety, *my dear*? Jest w tym korytarzu, na końcu...

Nie zdążyła dokończyć zdania, bo zostawiwszy w jej dłoni resztę kibbeh, ruszyłam pospiesznie tam, gdzie mi wskazała. Niespodziewanie jednak coś zablokowało moje długie kroki. Ciało. Wielkie ciało mężczyzny, który w tym momencie oderwał się od swojej grupy w poszukiwaniu kolejnego kieliszka alkoholu, a może zamierzał już wyjść albo uciekał od rozmowy, która go nie interesowała.

Mglisty przebłysk wspomnienia pojawił się w mojej głowie. Ten mężczyzna, to ramię. Ten sam mężczyzna, jego ramię i ja już wcześniej znaleźliśmy się w podobnej sytuacji. W Barclays Bank, przypomniałam sobie nagle, jak w rozbłysku. On wchodził, ja wychodziłam, wpadliśmy na siebie.

– Wygląda na to, że przeznaczono nam się ze sobą zderzać. Proszę wybaczyć mi moją niezdarność. Skorzystam z okazji, żeby się

przedstawić, jestem Nicholas Soutter z...

Kiedy skończył wymawiać trzy litery PBS, nie dałam rady już dłużej wytrzymać i moje wymiociny opryskały jego nogawki i buty.

## 6

Z zaskoczeniem przyjęliśmy wiadomość o mojej ciąży. To nie mieściło się w naszych planach, nie było przewidziane. Dziecko w drodze, mój Boże. Nie byłam dziewczynką, miałam ponad trzydzieści lat, w moim wieku wiele kobiet miało już duże rodziny. Mimo to odczuwałam ogromny niepokój, byłam tak daleko od domu, w tej niespokojnej Palestynie, przy boku Marcusa, który ciągle pracował i często był nieobecny.

Oprócz tego, drapiąc moją duszę, wciąż pozostawało żywe wspomnienie z dawnych czasów. Tanger, hotel Continental, ucieczka Ramira, moja dezorientacja, gdy czytałam tamten list, który wreszcie otworzył mi oczy na jego prawdziwe zamiary i uczucia. Autobus do Tetuanu, niedające się zatamować krwawienie, komisarz Vázquez i niesprawiedliwe długi, które na mnie spadły. Od tamtego lata trzydziestego szóstego roku minęła prawie dekada, już dawno zostawiłam za sobą tamtą naiwną dziewczynę, którą swego czasu byłam, a i Marcus w niczym nie przypominał Ramira Arribasa. Ojciec dziecka, które zaczynało się we mnie rozwijać, był człowiekiem uczciwym, a nie kanalią. Niemniej znowu poczułam smutek tamtych straszliwych dni. Niepewność. Przygnębienie.

Marcus jak zwykle szybko zareagował. Jego pragmatyczny umysł natychmiast zracjonalizował sytuację, żeby móc spojrzeć na nią z najwłaściwszej strony.

– Kiedyś musieliśmy się rzucić w tę przygodę. A w Jerozolimie jest bardzo dobry brytyjski szpital – zapewnił. – Nie istnieje ryzyko braku higieny, żywność w American Colony jest najwyższej jakości, Bertha Vester jest gotowa gościć nas tu do końca świata.

Poprosiłam, by zamilkł, kładąc mu palce na ustach, potrzebowałam innego rodzaju zapewnienia.

– Ale wyjedziemy, zanim się urodzi, prawda?

Nie odpowiadając, przyciągnął mnie do piersi i objął, jakby chciał zarazić mnie odrobiną pewności siebie, którą sam emanował, a której mnie ostatnio tak bardzo brakowało.

– Nie wiem, Siro. Jeszcze nie wiem.

Początkowe złe samopoczucie, mdłości, które doprowadziły do tego, że zwymiotowałam na marmurową podłogę Katy Antonius i na nogi obcego człowieka, znikwały, w miarę jak mijał grudzień. W żydowskich domach celebrowano Chanukę, Święto Świąteł, zapalając w ustalonym rytmie kolejne świece na chanukii, dziewięcioramiennym świeczniku. Tymczasem w domach chrześcijan przygotowywano Boże Narodzenie; wszyscy składali sobie życzenia z nadzieją, że te dni i zbliżający się nowy rok przyniosą pokój, którego tak bardzo potrzebowała ta ziemia.

Bertha Vester ustawiła ogromne drzewko w głównym salonie American Colony i zaprosiła mnie, bym dołączyła do przystrajania go, jakby to było coś ekscytującego. W dzieciństwie, które spędzałam przy ulicy Redondilla, ustawiałyśmy tylko na piecu skromniutką szopkę z gliny; kiedy mieszkałam w Tetuanie, nigdy nie byłam w nastroju na świąteczne ozdoby; a w moim dorosłym mieszkaniu przy Núñez de Balboa czułam się zobligowana do umieszczania każdego roku różnych ozdób tylko po to, żeby zadowolić moje klientki. Nigdy jednak nie ustawiałam drzewka. Dla mnie, prostej dziewczyny z biednej części Madrytu, młodej szwaczki w Afryce i podstępnej krawcowej w reprezentacyjnej dzielnicy, sosna pełna błyskotek miała niewielkie znaczenie. Mimo to zgodziłam się z grzeczności.

Dwa dni później Bertha zaprosiła mnie do przygotowywania świątecznych wypieków. Znowu się zgodziłam, bez zainteresowania i chęci. Za trzecim razem zaproponowała, byśmy wybrały się na koncert kolęd. Wtedy postanowiłam się wymówić. Nie brakowało mi dni ciężkiej pracy w atelier ani moich tajnych zadań, zawsze tak drażliwych, ale owszem, tęskniłam za byciem aktywną, za tym, by w jakiś sposób czuć się potrzebną. Niemniej wieszanie papierowych łańcuchów i kolorowych bombek, robienie *gingerbread cookies* albo śpiewanie kolęd wśród nieznanym znacznie odbiegało od moich aspiracji na tym nowym etapie życia.

– Rozumiem, moja droga – powiedziała Bertha Vester, kiedy odrzuciłam jej propozycję pod pretekstem dolegliwości jelitowych. – W takim stanie potrzebuje pani odpoczynku. Tak czy inaczej, wychodzimy o wpół do czwartej, w razie gdyby poczuła się pani lepiej i postanowiła dołączyć.

Nie, to nie odpoczynek był mi potrzebny. Cięża mnie nie osłabiała – miałam werwę, miałam siłę. Chodziło o coś innego, coś, na co nie potrafiłam znaleźć słów. To było jakby coś w rodzaju melancholii, odczuwanie nieustannego niepokoju. A możliwe, że to tylko moje szalejące hormony.

Obiad zjadłam w pokoju, Marcus rzadko kiedy wracał na posiłek w środku dnia. Po drugiej położyłam się do łóżka, ale zasnąć nie pozwoliło mi szczekanie psów z kojców na tyłach budynku albo głosy dobiegające z dziedzińca, a może kapanie z niedokręconego kranu w łazience. Niewykluczone, że po prostu nie byłam senna. Spojrzałam na zegarek – za dwadzieścia trzecia. Postanowiłam więc poczytać, ostatnio odważniej sięgałam po niezbyt skomplikowane powieści w języku angielskim. Ale wersy *Hungry Hill* Daphne du Maurier tańczyły mi przed oczami, nie potrafiłam się także skoncentrować. Znowu spojrzałam na zegarek – pięć po trzeciej. Położyłam ręce na brzuchu w poszukiwaniu bicia serca albo jakiegoś ruchu, choć doskonale wiedziałam, że go nie znajdę: nie dało się jeszcze wyczuć tej maleńkiej istoty. Jak damy jej na imię? Czy będzie miała nos Marcusa, moje ciemne oczy, jego kościste kolana, moje wąskie stopy, jego kolor włosów? Jego pewność siebie? Moje obawy? Nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi, położyłam się na boku i znowu utkwiałam wzrok w budziku. Za dziesięć wpół do czwartej.

Wkładając rękawiczki, zjawiłam się w westybulu w tej samej chwili, gdy Bertha Vester zbierała się do wyjścia; towarzyszyły jej dwie inne mieszkanki hotelu, tak jak ona, dojrzałe Amerykanki.

– Cieszę się, że postanowiła pani dołączyć, moja droga. To będzie bardzo wyjątkowy koncert, zobaczy pani, że nie pożałuje.

Nie wiedziałam nawet dokładnie, dokąd się wybieramy, zadowoliliam się tylko obserwowaniem pejzażu, w miarę jak z osiedla Asz-Szajch Dżarrah samochód kierował się na południe. Po drodze widziałam dzieci bawiące się na poboczach, Arabki niosące na

plecach wiązki drewna na opał, pasterza w kefiji na głowie zaganiającego na chodnik stado wygłodniałych kóz. Wszystko otulone brzydkim popołudniem. Minęliśmy Bramę Damasceńską, a następnie skierowaliśmy się na piękną ulicę Proroków pełną konsulatów, zagranicznych szkół, małych sanatoriów i wspaniałych willi. Skręciliśmy w jedną z odchodzących od niej uliczek. Queen Melisande's Way – przeczytałam. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed wielkim budynkiem, zbudowanym z takiego samego kamienia i w podobnym stylu jak wszystko, co wznieśli tu Brytyjczycy. Wysoko nieodłączna flaga Union Jack trzepotała wściekle szarpana wiatrem.

Przyjechaliśmy do Broadcasting House, inne samochody zatrzymywały się tu w tym samym momencie albo zaparkowały chwilę wcześniej; wysiadało z nich mnóstwo dzieci, starannie uczesanych z przedziałkiem na boku, i dziesiątki kobiet, ich matek. Te pierwsze pospiesznie wchodziły po szerokich schodach; te drugie, w futrzanych etolach na szyi, filcowych kapeluszach i z eleganckimi torebkami, przystawały, żeby się przywitać, serdeczne i uważne. W większości byli to rodacy Marcusa, rodziny wysokich rangą wojskowych i najważniejszych urzędników. Uczniowie Saint George's School, uczennice English Girls' College i najbardziej światowe żony w całej Jerozolimie, jak Marcus zwykł mawiać z ironią. To one miały do pomocy nianię z południowej Anglii, rosyjską służącą, cypryjskiego ogrodnika, berberyjskiego kucharza i ormiańskiego szofera. Być może powinnam zdobyć się na wysiłek i spróbować się do nich upodobnić, pomyślałam, obserwując je – przyzwyczajone do wyjazdów swoich mężów zajmujących rozmaite stanowiska, piastowane w całym Imperium, w pełni świadome swojej drugoplanowej roli, doskonałe znawczynie etykiety, protokołu, szczebli kariery i nominacji; specjalistki od działalności dobroczynnej i biegłe w sztuce podawania do stołu.

Między tymi wszystkimi idealnymi żonami wyglądałam, w dobrym i złym znaczeniu, jak dziwny byt. Byłam żoną jednego z ich rodaków, ale ani nie mówiłam, ani się nie ubierałam, ani nie jadłam, ani się nie poruszałam tak jak one, nie rozumiałam też ich kodów ani tajników kolonialnej administracji czy nawet podstawowych zasad idealnego zarządzania domem. Zaczekałam więc, aż one zajmą

przednie rzędy auli, żeby wysłuchać śpiewu swoich pociech. Bertha Vester odszukała mnie i wskazała, bym usiadła obok niej. Podziękowałam jej gestem i pokazałam drzwi wyjściowe – wolałam trzymać się tylnej części sali, sama, na wypadek gdybym potrzebowała pilnie wyjść. To właśnie dałam jej do zrozumienia. Kłamstwo jak każde inne.

Kurtyna się rozsunęła, odsłaniając stojący z boku fortepian, jasnowłosą i krągłą dyrygentkę z batutą w dłoni oraz chór liczący czterdzieścioro albo pięćdziesięcioro dzieci poniżej dziesiątego roku życia; począwszy od tego wieku zwykle wysyłano je do Anglii, żeby kontynuowały edukację w internatach. W ciemnej sali, gdy rozbrzmiewały pierwsze nuty *Silent Night*, położyłam sobie rękę na brzuchu, gdzie z biegiem miesięcy miał się rozwijać nasz potomek. Czy ja też zdołam rozstać się z moim dzieckiem, gdy tylko dorośnie do wysokości mojego łokcia, jak robiły te wytworne Angielki? Czy stanę się matką zaborczą, porywczą, krzykliwą, w stylu kobiet z mojej ojczyzny i dzielnicy?

Samotność w tylnej części sali nie trwała jednak długo. Mnóstwo spóźnionych osób, pojedynczo i parami, wchodziło po cichu, dyskretnie zajmując miejsca. Zostały już tylko dwa lub trzy wolne, kiedy ktoś usiadł po mojej prawej stronie. Chór skończył właśnie *O Come, All Ye Faithful* i cała sala zatopiała się w oklaskach.

– Ufam, że już pani wydobrzała.

Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam obok mężczyznę; pomimo panującego mroku rozpoznałam go natychmiast. To ten sam, któremu ochlapałam nogi wymiocinami. Między tamtym przedpołudniem, kiedy o mało nie zderzyliśmy się w Barclays Bank, a katastrofalnym incydentem podczas przyjęcia widziałam go z daleka na kilku przyjęciach, nigdy jednak nas sobie nie przedstawiono.

Próbowałam się uśmiechnąć w geście powitania, ale wyszedł mi tylko napięty grymas. W mojej głowie na powrót pojawiło się wiele przebłysków z tej krępującej sceny; przypomniałam sobie, że wymówił swoje nazwisko w najbardziej krytycznym momencie, ale nie dałam rady tego powstrzymać. Kiedy Katy Antonius i inne kobiety niemal zniosły mnie do łazienki, a służący schylili się

pospiesznie, żeby posprzątać bałagan po mnie, on musiał się wymknąć; później powiadomiono Marcusa i od razu wyszliśmy. Następnego dnia, albo kolejnego czy w jakimś nieokreślonym momencie, pomyślałam, że może powinnam sprawdzić, kim on jest, odszukać go, przeprosić. Lecz nigdy tego nie zrobiłam. A teraz znowu był obok mnie, w odległości kilku centymetrów, niemal muskał moje ramię, gdy widownia entuzjastycznie odpowiedziała na zaproszenie dyrygentki chóru, by wspólnie zaśpiewać następną kolędę. My jako jedyni milczeliśmy.

– Dlaczego pani nie śpiewa? Nie wzrusza pani ta bożonarodzeniowa tkliwość? – zapytał szeptem.

Zdało mi się, że wyczułam szczyptę ironii w jego głosie, ale wolałam być dyskretna.

– Nie znam słów – przyznałam po prostu. – Nie jestem Angielką.

– Ja jej nie znoszę – wyznał otwarcie. – Przyszedłem tylko na kilka minut, żeby zachować pozory.

Z rzędu przed nami kilka głów odwróciło się nieznacznie w karcącym geście, a ja o mało nie wybuchłam śmiechem. Ściszył więc głos.

– Pozwoli pani, że zaproszę ją na herbatę? W ten sposób będzie pani mogła przeprosić za zniszczenie moich najlepszych butów.

Jego nazwisko, którego nie pamiętałam, to Nicholas Soutter. Albo Nick, jak witali się z nim niektórzy koledzy. Pracował w budynku, w którym się znajdowaliśmy, dla stacji radiowej Palestine Broadcasting Service, w skrócie PBS, oficjalnego nadawcy Brytyjskiego Mandatu Palestyny. To wszystko przekazał mi osobiście, kiedy przemierzaliśmy korytarz i wpuszczał mnie do przestronnego pomieszczenia z dwoma wielkimi oknami oraz biurkiem pełnym papierów i teczek. Po drugiej stronie, pod dużą oprawioną mapą świata, stały niewielka sofa, niski stolik i dwa fotele. Poprosił, bym usiadła, i w tej samej chwili do środka zajrzała młoda sekretarka w plisowanej spódnicy. Przekazał jej, by przygotowała herbatę, ona skinęła głową i zniknęła.

– Cieszy mnie fakt, że łączy nas awersja do kolęd – powiedział, siadając naprzeciwko.



Nieznacznie rozciągnęłam usta w neutralnym geście, który mógł oznaczać cokolwiek. Nawet sama nie wiedziałam, z jakiego absurdalnego powodu postanowiłam opuścić recital dziecięcych głosów, żeby w ciemno iść za nieznanym do jego gabinetu.

Pochylił się, żeby zgasić papierosa, dociskając go mocno do dna popielniczki. Obserwowałam tego mężczyznę. Był znacznie mniej lodowaty niż wysocy rangą urzędnicy administracji Mandatu Palestyny, nieskończenie mniej sztywny niż wojskowi. Przypominał bardziej korespondentów, którzy dyskutowali głośno, opróżniając skrzynki cypryjskiej brandy w piwnicy Jasmine House Hotel. A zarazem był też inny niż oni.

– Proszę wybaczyć, że się narzucam, ale musiałem sprawdzić, kim jest ta piękna kobieta, na którą wszędzie się natykam. Kiedy już się dowiedziałem, kilka razy byłem gotów zatelefonować do American Colony albo spróbować dotrzeć do pani poprzez jej męża.

Pozostałam niewzruszona; lata współpracy z Anglikami nauczyły mnie, żeby zachowywać się tak jak oni, gdy niespodziewanie znajdowałam się w sytuacji, nad którą nie miałam kontroli. Nieruchoma, nieugięta, wyczekująca.

– Owszem, znamy się. Mark Bonnard i ja spotkaliśmy się kilka razy, a poza tym mamy wspólnych przyjaciół rozrzuconych po całym świecie.

Zrobił krótką pauzę, jak gdyby nagle przypomniał sobie coś szczególnego, jakąś anegdotę, sytuację czy konkretną chwilę.

– Dobry człowiek, ten pani mąż – podsumował, wyciągając w moją stronę papierośnicę.

Podziękowałam, a on zapalił kolejnego papierosa i mocno się zaciągnął. Słowa wyszły z jego ust spowite gęstym dymem.

– Jeśli mam być szczery, cieszę się, że wreszcie się poznaliśmy. Chcę, by pani wiedziała, że tutaj, w PBS, może się pani czuć jak u siebie w domu. Nie wiem, czy kiedyś nas pani słuchała, nadajemy na falach średnich.

– Rzadko słucham radia – przyznałam. Tak naprawdę jednak kłamałam. Odkąd tu przyjechałam, nigdy go nie słuchałam.

– W Palestine Broadcasting Service zwracamy się do różnych społeczności, nadajemy po angielsku, arabsku i hebrajsku. Należymy

do rodziny BBC, jesteśmy typowym radiem publicznym, nie mamy reklamodawców ani interesów handlowych. Stacja powstała w trzydziestym szóstym roku z silnym postanowieniem, by nie zajmować się sprawami politycznymi, a jedynie poświęcać się edukowaniu, promowaniu kultury i wiedzy. Takie są zresztą zalecenia, jakie płyną do nas z Londynu: nasze programy mają się przyczyniać do tego, żeby wiejska niepiśmienna ludność arabska się rozwijała, żeby pracująca żydowska ludność miejska mogła znaleźć dla siebie ciekawe bloki kulturalne i żeby angielscy mieszkańcy nie umierali z nudów.

Zupełnie mimowolnie, po tylu latach pracy dla tajnych służb, nie przestając słuchać, dalej go obserwowałam. Musiał być w podobnym wieku co Marcus i był mniej więcej tego samego wzrostu. Na tym kończyły się podobieństwa. Marcus był szczupły, zwinny i gibki, miał kasztanowe włosy i jasną cerę, harmonijne rysy, wyważony charakter. Nick Soutter natomiast był korpulentny, miał ciemne włosy, okrągłe rysy i krzaczaste brwi; był bardziej spontaniczny, bardziej ekspansywny, niemal wybuchowy.

– Takie są wytyczne – ciągnął – i dlatego mamy niezależny program oraz liczny zespół złożony zarówno z Arabów, jak i Żydów. W zaufaniu powiem pani, że bardzo wątpię, czy to paternalistyczne podejście, choć w dobrych intencjach, i tak wyraźnie podzielony program mogą w jakiś sposób wpłynąć pozytywnie na łagodzenie nastrojów. Raczej odwrotnie, moim zdaniem, tylko zwiększamy różnice, ale w każdym razie to już inna historia, którą nie chcę pani teraz zanudzać.

Nie, nie zanudzał mnie. Wprost przeciwnie.

– I nigdy nie oddalacie się od bieżących spraw? Od codziennego życia, od tego, co dzieje się w tej bańce?

– Tak, to oczywiste. Zresztą jest to jeden z moich celów jako dyrektora programowego: otwierać perspektywy, wpuścić trochę powietrza. Właśnie dlatego ciągle poszukuję nowych współpracowników, żeby rozmawiali o interesujących sprawach na marginesie naszej gorzkiej rzeczywistości.

– Jakiego typu sprawach?

– Cóż, o wszystkim, co może się okazać zajmujące dla słuchaczy. Niedawno gościliśmy lekarza, który opowiadał o penicylinie, kilka tygodni temu profesora specjalizującego się w historii grecko-rzymskiej, który przyjechał tu z wizytą, a w poprzednim miesiącu mieliśmy kucharza z King David, który mówił o kuchni francuskiej...

– A o Hiszpanii?

Milczał przez kilka sekund, tym razem z poważnym wyrazem twarzy.

– Co ma pani na myśli?

Moja mina musiała być tak wymowna, że wybuchnął donośnym śmiechem.

– Proponuje mi pani swoją współpracę, pani Bonnard?

– Tak mi właśnie przyszło do głowy, proszę wybaczyć moją śmiałość.

– Nie, nie, absolutnie...

– Może to nieco zuchwałe z mojej strony, ale nagle pomyślałam, że może pańscy słuchacze chcieliby się czegoś dowiedzieć na temat mojej ojczyzny.

W tym momencie na korytarzu dało się słyszeć głosy, jakby skończył się już repertuar kolęd i sala się wyludniła. Wstałam, on zrobił to samo.

– Nie zabieram panu więcej czasu, pewnie mnie szukają – powiedziałam, wyciągając do niego rękę. – Proszę to przemyśleć na spokojnie, bez żadnych zobowiązań. Zrozumiem, jeżeli moja propozycja wyda się panu nie na miejscu, ale jeśli będzie pan zainteresowany, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Postarałam się, żeby mój uścisk dłoni był stanowczy, jakby przepełniała mnie pewność siebie. Za tym udawanym zdecydowaniem, mimo mojej zuchwałości, ukrywałam bowiem ogromny niepokój.

**N**ick Soutter był człowiekiem, który sprawy załatwiał bez zbędnej zwłoki. Przekonałam się o tym następnego dnia, gdy zadzwonił do mnie z samego rana. Mimo że pracował ze słowami, nie zwykł ich marnować, toteż w rozmowie ze mną użył tylko tych odpowiednich i potrzebnych. Ani jednego więcej. Ani jednego mniej.

– Zgoda. Ufam pani. Zaczynamy w styczniu.

Mając w perspektywie to moje nowe zajęcie, świętowaliśmy Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. W Wigilię przed bazyliką Narodzenia Pańskiego w Betlejem zgromadzony tłum ludzi błagał, by wpuścić ich do środka, podczas gdy ciasny kordon brytyjskich policjantów bezwzględnie odcinał im drogę. Mogły się tam dostać jedynie osoby z oficjalnymi przepustkami. My, oczywiście, znajdowaliśmy się w gronie tych szczęśliwców. I jako tacy z wielkim wysiłkiem próbowaliśmy torować sobie drogę pośród tłumu, ja w szaliku, który zakrywał mi nawet nos, mocno trzymałam się ramienia Marcusa i jednocześnie chroniałam brzuch; on ze skrzywioną miną z powodu nerwowego i hałaśliwego otoczenia. *Gloria in excelsis, in terra pax.*

Na zewnątrz została kipiąca ze złości masa chrześcijan. Wielu protestowało, przepychało się i głośno się skarżyło na odmowę przepustki, inni wylewali się na pobliskie ulice, krzycząc, śpiewając, ciesząc się świętem. W obydwu przypadkach było to całkowite przeciwieństwo skupienia czy duchowości, jakich spodziewałam się w tym miejscu. Z pochodniami, ubrani w swoje tradycyjne szaty, do małego miasteczka Betlejem przybyli także koptowie z Egiptu, maronici z Libanu, Anatolijczycy z Azji Mniejszej, Syryjczycy, Etiopczycy, Ormianie i Palestyńczycy z całego terytorium. A oprócz tego tysiące ludzi z Zachodu, którzy stali w karawanie pojazdów rozciągającej się na wiele kilometrów, nie mogąc ruszyć nawet

o centymetr. Wiał silny wiatr, w pobliżu rozstawiono mnóstwo stoisk i straganów z jedzeniem oświetlonych naftowymi latarniami. Świeżo upieczone mięso do kebabów leżało na rozżarzonych węglach, w niebo szły zapach i dym.

Wewnątrz świątyni, pogrążonej w przygaszonym świetle mnóstwa wiszących lamp, między przepychem a uroczystym nabożeństwem, między patriarchą łacińskim, barwnymi ornatami kapłanów, galonami, filcowymi płaszczami, mundurami i karabinami, ledwie było miejsce dla kogoś jeszcze. Korpus konsularny, wysocy rangą urzędnicy, dowódcy wojska i ważni obcokrajowcy górowali nad miejscowymi. Jak opowiadano, jeszcze kilka lat wcześniej wyglądało to inaczej: wstęp był wolny, uroczystość dostępna dla wszystkich, gwarna i chaotyczna. Teraz już nie. W obliczu narastających napięć podejmowano najwyższe środki ostrożności.

Nigdy nie byłam praktykującą chrześcijanką, nie licząc niedzielnych mszy, na które chodziłam w dzieciństwie do kościoła Świętego Andrzeja w mojej dzielnicy. Później koleje życia wydzierały ze mnie tę niewielką wiarę, jaką kiedyś miałam, aż w pewnym momencie zaczęłam się trzymać tylko tego, co ziemskie. Jednak tej nocy, pośród psalmów, dźwięków organów i odurzającego zapachu kadzidła, w tym miejscu, gdzie jak opowiadano, prawie dwa tysiące lat temu kobieta powiła dzieciątko, które owinęła w łachmany, postarałam się poszukać w głębi siebie jakiejś pozostałości wiary i pomodlić się za nas wszystkich. Za tych, którzy wcześniej czy później stąd wyjedziemy, za tych, którzy na zawsze zostaną w niespokojnej Palestynie. Za moich rodziców i przyjaciół, gdziekolwiek byli, za mój biedny wygłodniały i umęczony kraj, za zrujnowaną Anglię mojego męża. Za Marcusa i za siebie, za nasze dziecko.

Noc sylwestrowa natomiast była pełna przepychu. King David Hotel, w którego skrzydle Marcus i jego wojskowi oraz cywilni rodacy mieli swoje kwatery i biura, przywitał nas i setki innych uprzywilejowanych gości butelkami szampana Laurent-Perrier, ostrygami i innymi przysmakami, serpentynami, konfetti i muzyką graną przez orkiestrę. Wejście kolejny raz było dokładnie strzeżone. W środku wszyscy wyglądali tak, jakby na kilka godzin zapomnieli

o przemocy, terrorze i desperackich wysiłkach, żeby osiągnąć rozsądne porozumienie między trzema grupami ludzi, którzy wydawali się skazani na wieczne spory. Jak gdybyśmy na moment przenieśli się do świata równoległego, Marcus i ja tańczyliśmy w rytmie swingu i wznosiliśmy toasty za szczęśliwy tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty rok. Beztroscy przez jedną noc, nieco podchmieleni po być może zbyt wielu kieliszkach szampana – ani doświadczony agent, ani piękna krawcowa, nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, jak przerażająco nieszczęśliwy będzie nadchodzący rok.

Rankiem szóstego stycznia tuż przy drzwiach naszego pokoju znalazłam paczkę. Marcus jak zwykle wyszedł bardzo wcześnie. Nigdy nie zostawiał niczego nie na swoim miejscu – pod tym względem, jak niemal pod każdym innym, był skrupulatny i metodyczny aż do przesady. Nigdy nie pozostawiał niepowieszanej koszuli, otwartej książki czy koperty na widoku. Ani nawet jakiejś zagubionej skarpetki pod łóżkiem. Absolutnie niczego. Mimo to codziennie dostrzegałam jego ślad we wszystkich zakątkach: ciepło jego ciała w pościeli, krople wody na zasłonie prysznicowej, wilgotny pędzel do golenia na półce w łazience. Tamtego dnia, bez uprzedzenia, zostawił także coś nieporęcznego z odręcznie napisaną notką: „Prezent od Trzech Króli”. Wtedy wszystko zrozumiałam i z nagłym wybuchem nostalgii przypomniałam sobie poranki w dniu Trzech Króli z czasów dzieciństwa, skromne podarki, które znajdowałam przy kominku: paczka kandyzowanych migdałów, dwie pary skarpetek, szmaciana lalka uszyta przez mamę z resztek wykradzionych z pracy. Podekscytowana, jakbym znowu miała siedem lat, zabrałam się do rozpakowywania paczki. W środku znalazłam radio.

– Pani męża nie ma w biurze dzisiejszego poranka, Mrs Bonnard – poinformował mnie uprzejmy głos Esther Klausner, jego sekretarki.

Wykręcenie numeru Marcusa do jego gabinetu w King David Hotel było moją pierwszą reakcją. Chciałam mu podziękować i powiedzieć, ile dla mnie znaczy ten prezent: wiedziałam, że dzięki niemu zachęcał mnie do tej radiowej współpracy i audycji na temat Hiszpanii, cieszył się, widząc, że sama podejmuję się nowego zajęcia,

by moje dni nabrały sensu, i nie ograniczam się tylko do roli milczącej żony trzymającej się w cieniu.

Jego nieobecność w biurze Sekretariatu nie wydała mi się dziwna, dość często się zdarzało, że nie mogłam go zlokalizować. Czasami wykonywał swoją pracę tam, na miejscu, częściej jednak działał na własną rękę, spotykając się z ludźmi, bywając w różnych kręgach, w ruchu, zwracając na wszystko uwagę.

Potem poprosiłam centralę o połączenie z PBS.

– Mr Soutter jest w tej chwili w centrum dowodzenia – usłyszałam po drugiej stronie linii. – Jeśli zostawi pani swoje dane, oddzwoni niebawem.

Podając swoje nazwisko temu żeńskiemu głosowi, domyśliłam się, że była to młoda, żydowska i kompetentna sekretarka, kolejna z wielu, które pracowały dla Brytyjczyków, zajmując rozliczne stanowiska w machinie Mandatu Palestyny. Pół godziny później zadzwonił telefon. Potrzebowaliśmy zaledwie kilku sekund, żeby umówić się na spotkanie.

Nicholas Soutter czekał na mnie o jedenastej w kawiarni Atara. Siedział pod jednym z okien i czytał „The Palestine Post”. Przed nim, na stoliku, stały popielniczka z paroma niedopałkami, czarna kawa, w której unosiła się spirala skórki cytryny, i leżał otwarty notatnik z piórem bez nasadki przecinającym zapiski w ciasnych liniach. O tej porze w lokalu siedzieli liczni klienci, wielu mężczyzn i sporo kobiet – obrazek typowy dla wszystkich pobliskich kawiarni (Vienna, Europe, Kapulski, Alaska) prowadzonych przez Żydów przybyłych z Europy Środkowej, w stylu podobnym do miejsc, które zostawili w kraju swojego pochodzenia, gdy nie mogli już dłużej znieść marginalizacji ani krzywd, albo gdy tuż przed wybuchem wojny w ostatniej chwili udało im się uciec przed aresztowaniami i prześladowaniami. Całkiem blisko znajdowało się także kilka kawiarni arabskich – jedyna różnica polegała na tym, że kobiety nie miały do nich wstępu.

Wstał, gdy tylko mnie zobaczył, nieuważnie składając gazetę. Wysunął mi krzesło, żebym mogła usiąść, a potem dał znak kelnerowi. Zanim przyniesiono nam zamówienie, w ciągu tych kilku minut, gdy rozmawiał ze mną, jednocześnie przywitał się z trzema

czy czterema osobami, zamienił kilka słów z trzema czy czterema klientami.

– Ta kawiarnia jest jak moje drugie biuro. Kiedy tylko mogę, wymykam się z Broadcasting House i tutaj urządzam swoją kwaterę. Pracuję, planuję, spotykam się z tym, z kim mam się spotkać, a od czasu do czasu, jeśli akurat nie ma zbyt wielu klientów, ucinam sobie pogawędki z kelnerami. Proszę spojrzeć, ten jest muzykiem – powiedział, wskazując szczupłego mężczyznę, który w tej chwili balansował z tacą pełną napojów. – Przed wojną grał na flecie poprzecznym w Filharmonii Berlińskiej. A ten, który idzie w tę stronę, to polski filozof, który napisał kilka książek. Tamten, za ladą, był właścicielem fabryki lamp w Pradze i zatrudniał ponad pięćdziesięciu pracowników.

Wiedziałam o tym – tak wyglądała tragiczna sytuacja wielu Żydów przybyłych tu w ostatnich czasach. Ludzie wykształceni, wykwalifikowani, uzdolnieni byli zmuszeni do opuszczenia swojego świata i teraz radzili sobie, jak umieli, pracując w miejscach, w których udało im się zaczepić.

– Poza tym – ciągnął – w ten sposób lepiej można wybadać miasto i ludzi. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak pod tą pozorną warstwą normalności wszystko się gotuje.

Doskonale potrafiłam to sobie wyobrazić. Znaczną część ciemnej strony mojej pracy w ostatnich latach wykonywałam w herbaciarniach, restauracjach i holach hotelowych, przekazując informacje i zdając raporty z największą dokładnością i skutecznością. Dlatego też ani trochę by mnie nie zdziwiło, gdyby tutaj, w biały dzień, między kawą, kawałkami tarty, ciastkami i filiżankami gęstej czekolady, również prowadzono układkiem konspiracji i spiski. W odpowiedzi jednak na mojej twarzy pojawił się niewinny uśmiech. W oczach tego mężczyzny byłam jedynie dodatkiem do jego rodaka, niepracującą i nieco egzotyczną żoną.

– Dobrze, przejdźmy do naszej sprawy...

W odpowiedzi na moją ofertę Nick Soutter zaproponował mi cztery piętnastominutowe audycje. Cztery krótkie bloki na temat Hiszpanii, nagrane wcześniej, które miały być retransmitowane w kolejnych tygodniach. Sztuka, geografia, zarys historii,



gastronomia, zwyczaje, tradycje – cokolwiek zechcę. Naturalnie w języku angielskim. Moim własnym głosem, z moim silnym akcentem, drobnymi potknięciami w wymowie i nieprzewidzianymi błędami, które mogły się pojawić.

– To tylko doda autentyczności, proszę się nie przejmować, jeśli zdarzą się lapsusy. Tak, jak rozmawia pani teraz ze mną, brzmi pani uroczo. Szkoda, że słuchacze nie mogą pani też widzieć.

Gdybym była Sirą sprzed lat, oblałabym się rumieńcem po czubki uszu. A ponieważ już nią nie byłam, jedynie zamieszałam łyżeczką herbatę, ukrywając delikatny uśmiech: od dawna żaden nieznajomy nie komplementował mnie tak otwarcie. A może nawet Nick nie miał takiego zamiaru. Chwilę później obserwowałam go raz jeszcze, kiedy wymieniał pozdrowienia z przechodzącym obok nas mężczyzną w szarym garniturze.

Na swój niezbyt kanoniczny sposób Nicholas Soutter był nawet atrakcyjny, z mocną szyją i szerokimi ramionami, tymi gęstymi ciemnymi włosami, pierwszymi siwymi nitkami, które dało się dostrzec na skroniach. Daleko mu było do przystojnego mężczyzny, nie miał harmonijnych, eleganckich rysów jak Marcus, a tym bardziej uwodzicielskiego piękna Ramira Arribasa. Mimo to w okrągłej twarzy mojego rozmówcy, w jego mocnym podbródku, wyrazistym nosie, dużych zębach i gęstych brwiach nad żywymi oczami, był jakiś dziwny magnetyzm, coś wyjątkowego.

– A o kwestiach politycznych? – zapytałam, kiedy znowu skierował na mnie swoją uwagę, przeprasząc za przerwanie rozmowy. – Należałoby poruszyć jakieś tematy polityczne czy woli pan zostawić to na boku?

Jego palce zabębniły o marmurowy stolik.

– Nic nie podobałoby mi się bardziej niż dotarcie do samego jądra, ale obawiam się, że nie możemy tego zrobić. – Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Jaka jest pani opinia na temat sytuacji w pani kraju, jeśli to nie jest niewygodne pytanie?

Nie, to nie było niewygodne pytanie. Zaskoczyło mnie tylko bezpośredniością. Ale nie miałam absolutnie nic przeciwko niemu.

– Bardzo mi się nie podoba – odparłam krótko. Uznałam, że nie ma potrzeby się nad tym rozwodzić.

– Wyobrażam sobie. Podobnie jak wszystkim, choć niektórzy próbują to teraz wyciszyć.

Bębnienie palców zamieniło się w rytmiczne uderzanie lewą pięścią. Jak gdyby myśl, którą formułował, przyprowadzała go nieco o nerwy.

– Nasza wojna również była krwawa – dodałam. – I nadal ponosimy jej konsekwencje.

– Wiem – odparł Nick. – Mieszkała tam pani wtedy, w Madrycie?

– Nie, w tamtym czasie przebywałam w Maroku. Ale wiem z pierwszej ręki, co się działo, z relacji mojej matki, przyjaciół i tych, którzy widzieli wojnę z bliska. Ja wróciłam już po jej zakończeniu i byłam bezpośrednim świadkiem jej skutków.

– Poprzez związek z mężem – indagował – przypuszczam, że była pani też na bieżąco ze stanowiskiem reżimu frankistowskiego wobec Wielkiej Brytanii i Niemiec podczas wielkiej wojny.

Moja odpowiedź była klarowna.

– Poprzez mój związek z nim oraz własne doświadczenie.

Znowu spojrzął na mnie z błyskiem zaciekawienia w oczach, lecz ani ja nie dodałam nic więcej, ani on nie pytał dalej.

– Chociaż w sprawie wyboru naszych treści jesteśmy niezależni, w PBS kierujemy się też pewnymi kryteriami, które dostajemy od kierownictwa w Londynie, a ostatnie zalecenie jest takie, żeby nie atakować Hiszpanii Franco.

Obok nas, w drodze do swojego stolika, przeszły trzy Angielki ubrane w futra i wełniane płaszcze, żony kolonialnych służących Imperium. Przywitały się z nami obojgiem, na co odpowiedzieliśmy jednocześnie. Znałam je z innych spotkań, byłyśmy razem na jakiejś kolacji, w Government House, a może na jakiejś charytatywnej herbatce albo na jakimś koncercie, ale nie pamiętałam ich nazwisk. Nicholas Soutter również nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Być może zdziwiły się, widząc nas razem, możliwe, że dostarczyliśmy im tematu do rozmowy, żeby mogły urozmaicić swoje poranne spotkanie.

– W Londynie zaczynają się bardzo denerwować dynamicznym rozwojem komunizmu po wojnie światowej. Tak więc dopóki

Generalísimo będzie trzymał komunistów daleko, Wielka Brytania go nie zaatakuje i pozwoli, by robił swoje.

Powiedział „Generalísimo” po hiszpańsku straszną wymową, która o mało mnie nie rozśmieszyła, chociaż sprawa wcale nie była zabawna.

– W każdym razie nie chciałbym pani zatrzymywać, lepiej doprecyzujmy nasze sprawy.

Omówiliśmy szczegóły, wstaliśmy, skierowaliśmy się do wyjścia. Zauważyłam, że się nie zatrzymał, żeby zapłacić za nasze napoje; prawdopodobnie miał tu otwarty rachunek.

– W razie jakichkolwiek wątpliwości proszę do mnie zadzwonić – powiedział, podając mi rękę. Znowu uścisnęłam ją stanowczo, pewna siebie.

Staliśmy już na chodniku Ben Yehuda Street, Mustafa czekał na mnie w samochodzie Berthy Vester.

– Nie omieszka, Mr Soutter.

– Może będzie mi pani mówić po imieniu?

Wykonałam gest, który równie dobrze mógł oznaczać tak, nie albo coś zupełnie innego. Kiedy ruszaliśmy, śledziłam go ze swojego siedzenia w lusterku bocznym. Torował sobie drogę między innymi przechodniami, mężczyznami w jarmułkach albo filcowych kapeluszach, kobietami, które pchały wózki dziecięce, spacerowiczami w podeszłym wieku, sprzedawcami gazet. Zniknął mi z pola widzenia w drodze na Zion Square, idąc energicznym krokiem z kolejnym papierosem w ustach.

O d początku wiedziałam, że nie jestem gotowa usiąść przed mikrofonem jedynie z płataniną myśli krążących w mojej głowie; koniecznie musiałam się do tego wcześniej przygotować. Zasadniczo moje doświadczenie z pisaniem ograniczało się do spisywania informacji, które wyłapywałam we własnym atelier z ust moich niemieckich klientek, a także raportów i tajnych wiadomości, które później przepisywałam, żeby dotarły do Anglików. Nigdy nie pracowałam z pomysłami czy koncepcjami, zawsze jedynie dłońmi, oczami, palcami. Wbrew temu, co się mogło wydawać, moje umiejętności jako krawcowej oświeciły mi drogę. Kiedy podejmowałam się stworzenia nowego ubrania, czy to wytwornej wieczorowej kreacji, sukienki koktajlowej czy prostej bluzki z muślinu, zawsze należało zrobić kilka niezbędnych kroków. Trzeba było z góry opracować konkretny pomysł i dobrze wybrać tkaninę, dokładnie pobrać miarę, z największą precyzją przystąpić do wycinania i sprawnie uszyć, a potem przymierzyć ubranie, żeby wyłapać niedoróbki. Teraz, zachowując odpowiednie proporcje, czekało mnie podobne zadanie. Tyle że zamiast z tkaninami miałam pracować ze słowami. A zamiast klientek miałam mieć słuchaczy.

W sklepie papierniczym przy Mamilla Road kupiłam trzy notesy, opakowanie ołówków oraz nowoczesne narzędzie, które sprzedawca nazywał *biro*, gadżet w kształcie ołówka, który pozwalał pisać tuszem bez konieczności używania pióra i atramentu. Z tym zaopatrzeniem przez wiele kolejnych poranków udawałam się do imponującego budynku YMCA, centrum tej chrześcijańskiej organizacji, dokładnie naprzeciwko King David Hotel. Mówiono, że zbudował go ten sam architekt, który zaprojektował nowojorski Empire State Building; ponoć hojna darowizna w wysokości miliona dolarów pozwoliła na wzniesienie go kamień po kamieniu, z jego

wysokimi łukami i kopułami, okazałą wieżą, nowoczesnym wyposażeniem i biblioteką. Tak naprawdę jednak z tego wszystkiego interesowało mnie tylko to ostatnie. Wśród tysięcy woluminów stojących na regałach skoncentrowałam uwagę wyłącznie na tym, co na temat Hiszpanii napisano w *Encyclopaedia Britannica*. Ja, która prawie nie miałam szkoły i wychowywałam się w domu, w którym nigdy nie pojawiła się ani jedna książka, rzuciłam się teraz w wir czytania, ponownego czytania, tłumaczenia i porównywania, kopiowania, skreślania i układania różnych list, a niekiedy wyrywania kartek z notesów i robienia z nich zbitych kulek. I tak do czasu, aż przygotowałam mnóstwo treści na temat mojego kraju; treści, które wydały mi się spójne, traktujące o geografii i gastronomii, morzach, które nas oblewały, muzyce, której słuchaliśmy, i monarchach, którzy rządzą nami na mniejszą lub większą chwałę.

W czytelni American Colony – między gobelinami, dywanami i akwarelami, na małym biurku z drewna oliwnego – urządziłam moją drugą bazę. W ciągu kolejnych dni poświęcałam się porządkowaniu wszystkiego, co zgromadziłam w YMCA, żeby połączyć to z moją wiedzą i nadać całości własny, osobisty styl, żeby informacje nie brzmiały encyklopedycznie. Prawie codziennie telefonowałam do Nicka Souttera; kiedy go nie zastałam, wcześniej czy później zawsze do mnie oddzwaniał. Jego wizja była klarowna, a uwagi celne, więc wszystkie moje wątpliwości były natychmiast rozwiewane; niekiedy sam wnosił coś od siebie albo na moje propozycje reagował donośnym śmiechem. Na koniec wszystkich naszych rozmów obiecywałam, że nie będę mu się już naprzykrzać następnego dnia.

– Nawet o tym nie myśl – powtarzał. Wtedy pozbyliśmy się już formalizmów w naszych stosunkach. – Dzwon do mnie tyle razy, ile chcesz, Siro. Słuchanie ciebie to wielka radość w tych przygnębiających czasach.

Popołudniami zamykałam się w pokoju i słuchałam audycji PBS po angielsku, czasami też BBC, i chłonełam maniery oraz style – sposób, w jaki rozmówcy modulowali głos, robili pauzy, przeplatali wolniejsze fragmenty innymi, pełnymi werwy. Pod koniec dnia to

Marcus stawał się moją publicznością. W te wieczory wychodziliśmy rzadziej, styczeń był brzydkim miesiącem, na ulicach wciąż panowało napięcie, wszyscy wydawali się zamknięci, jakby wyczekiwali. Przy Marcusie, w naszym pokoju, ćwiczyłam szyk zdań, wymowę, rytm oraz intonację. W ciągu miesięcy spędzonych w Jerozolimie mój angielski znacznie się poprawił, ale nie mogło być inaczej, wszak nie miałam nikogo, z kim mogłabym rozmawiać w ojczystym języku. Mimo to czasami samogłoski mi się ześlizgiwały, spółgłoski podstawiały sobie nawzajem nogę i bywało, że zacinałam się z powodu luk w słownictwie. Całe szczęście, że mój cierpliwy mąż zaoferował, że będzie mnie słuchał i poprawiał, niczym zawodowy nauczyciel uczennicę, która przez siedem lat uciekała z lekcji. Nawet śmiał się ze mnie, kiedy udawałam, że zasiadam przed mikrofonem, używając jako narzędzia szczoteczki do zębów.

– Wręcz przeciwnie, Siro – odpowiadał, kiedy go pytałam, czy ma już dosyć roli Pigmaliona. – Słuchanie ciebie jest jak balsam w te niepewne dni.

I Nick, i Marcus nie bez przyczyny okazywali swoje przygnębienie wobec panującej wówczas atmosfery. Pomijając przytulność American Colony i naszego apartamentu, spokój w bibliotece YMCA i w innych prywatnych czy luksusowych miejscach, rok rozpoczął się bez perspektywy zmian, a nerwowość wyczuwało się na każdym rogu. Żydowskie organizacje ekstremistyczne w dalszym ciągu przeprowadzały swoje krwawe akcje. Czasami atakowali członkowie Irgunu pod przywództwem niejakiego Menachema Begina, innym razem ci z Lechi, którzy ogłosili się Bojownikami o Wolność Izraela i których powszechnie zwano Bandą Sterna, nawiązując do ich założyciela. Niekiedy do akcji wkraczała Hagana, nieoficjalne wojsko Jiszuwu wspierane przez Agencję Żydowską. W każdym razie, niezależnie od tego, kto dopuszczał się każdego z tych czynów, okrutna rzeczywistość w tamtych dniach wyglądała tak, że wszyscy byli zjednoczeni pod sztandarem Hebrajskiego Ruchu Oporu i mobilizowali się w jasnym i konkretnym celu: atakować Brytyjczyków, ich personel i obiekty. Mieli misję utworzenia państwa Izrael dla niepodległego narodu. A Anglicy im w tym przeszkadzali.

W dowolnym momencie dnia lub nocy straszyla nas seria strzałów albo wybuch granatu. Ataki na budynki rządowe również powtarzały się z dużą częstotliwością, co parę dni pojawiały się doniesienia o nowym sabotażu, kolejnej zasadzce, następnej ofensywie albo entej już kradzieży amunicji i broni.

Mimo wszystko codzienne życie toczyło się z pozoru zwyczajnie: ludzie chodzili do pracy, sklepy pozostały otwarte, amerykańskie filmy trafiały na ekrany kin, a w kuchniach gotowały się zupy. Osiemnastego stycznia spotkałam się w końcu z Nickiem Soutterem, żeby zrobić próbę głosu i dopiąć szczegóły, ostateczne nagranie mieliśmy zrealizować następnego dnia. Stojąc przed szafą jak każdego poranka, zdjęłam z wieszaka stonowany granatowy dwuczęściowy kostium. Gdy próbowałam zapiąć żakiet, po raz pierwszy zauważyłam, że moja talia nie jest już taka jak wcześniej. Niepokoił mnie fakt, że moje ciało się zmienia, poszerzając się, ustępując miejsca dziecku, które rosło w środku.

Samochód przysłany przez PBS odebrał mnie z American Colony i odstawił naprzeciwko Broadcasting House kilka minut przed dziesiątą. Wsiadłam, ściskając swoje notatki, starając się opanować treść. W ciągu ostatnich lat, w czasie współpracy z SOE, brytyjską tajną agencją rządową, w Madrycie i Lizbonie, byłam zaangażowana w wysoce delikatne sprawy, operowałam istotnymi informacjami i miałam do czynienia z ryzykownymi sytuacjami. Teraz natomiast czekało mnie zadanie wolne od wszelkich zawłości, bezpieczna przygoda. A mimo to nie mogłam powstrzymać uczucia niepokoju, które ogarnęło całe moje ciało.

Zapowiedziałam się przy ladzie recepcji. Po zaledwie dwóch minutach wyszedł po mnie Nick Soutter, tak energiczny i zdecydowany, że moja niepewność ulotniła się natychmiast. Przemierzając korytarze, zaglądając do biur i studiów, pokazywał mi pomieszczenia i sekcje, sporadycznie przedstawiał mnie kierownikom. Azmi Nashashibi, szef programów nadawanych po arabsku i członek jednej z najpotężniejszych rodzin w Jerozolimie, nachylił się przede mną szarmancko i pocałował mnie w rękę. Edwin Samuel, dyrektor stacji, Żyd pochodzenia angielskiego, przywitał się ze mną oficjalnie, co zabrzmiało szczerze. Ruth Belkine,

producentka programów, niska i dojrzała rosyjska Żydówka z wieloletnim doświadczeniem, obiecała, że będzie obecna podczas próby i obok mnie w studiu następnego dnia. Ucieszył mnie widok dużej liczby kobiet siedzących za biurkami i stołami; po raz pierwszy widziałam środowisko pracy, w którym znajdowało się tak wiele pracownic. Nadal stanowiły mniejszość, a ich kompetencje być może nie były na najwyższym poziomie, ale poczułam ukłucie zdrowej zazdrości, widząc, że pracują dynamicznie, tak zaangażowane i skuteczne.

– Mamy ponadstuosobowy zespół, wliczając producentów, scenarzystów, prezenterów, aktorów, pracowników administracji i realizatorów, a także członków orkiestry oraz tymczasowych współpracowników, takich jak ty, którzy też są liczni – opowiadał mi Nick. – Nadajemy na falach średnich w trzech językach, mamy pracowników wyznających trzy religie, niektórzy są zależni od administracji kolonialnej, inni nie. Codziennie otrzymujemy od słuchaczy setki listów, w których nas chwalą, krytykują, zgłaszają pomysły albo skargi. Nieustannie dokonujemy ekwilibrystyki, żeby uniknąć tarć i wszystkich zadowolić.

W końcu dotarliśmy do studia, w którym miałam nagrać swoje audycje. Ruth Belkine przekazała mi instrukcje na temat tego, jak powinnam siedzieć przed mikrofonem, oddechu, postawy, odległości, nauczyła mnie również znaków, które będą mi pokazywać, używając jedynie rąk. Potem zaczęłam próbę. W obecności Ruth, Nicka i arabskiego realizatora dźwięku w obcym języku zaczęłam czytać swój tekst na temat tej „starej skóry byka”, mojego kraju po drugiej stronie Morza Śródziemnego. Kiedy po kwadransie podniosłam wzrok znad kartek, rozległy się brawa. Były to zaledwie oklaski sześciu dłoni, skromna owacja, ale odebrałam je tak, jakby wręczono mi wspaniałą nagrodę.

Ostateczne nagranie zostało umówione na następny dzień.

– Też o dziesiątej, tak jak dziś? – zapytałam.

– O dziesiątej – potwierdził Nick.

Wtedy Ruth sprawdziła grafik i poprawiła swojego szefa.

– Nie, lepiej wcześniej, na wypadek jakichś nieprzewidzianych zdarzeń.



– O dziewiątej? – zaproponowałam.

– Może nieco wcześniej – stwierdziła. – Wpół do dziewiątej byłoby idealnie.

Następnego ranka Marcus i ja zjedliśmy razem śniadanie, on – jajka sadzone i kielbaski, które popił dużą ilością kawy, ja wypiałam tylko filiżankę herbaty i skubnęłam zaledwie trzy kęsy tosta. Razem wyszliśmy także z American Colony, przy drzwiach czekały na nas dwa samochody. Ogromnie spodobał mi się ten moment, niemal poczułam wzruszenie. Gdybym znajdowała się w innym zakątku świata, ta scena byłaby dla mnie ideałem naszego życia we dwoje: wyjść z domu i rozpocząć dzień ze świadomością, że każde z nas ma przed sobą motywujące zajęcie. Marcus dał mi szybkiego buziaka, życzył mi wszystkiego dobrego i poprosił, bym na siebie uważała. Miałam świadomość, że wolałby, abym została w hotelu, wypisując pocztówki, czytając powieści, słuchając radia albo patrząc, jak rosną jaśminowce Berthy Vester. Ponieważ jednak zawsze szanował moje decyzje, zachował to dla siebie i tylko wyszeptał mi na ucho:

– Powodzenia.

Oba samochody jednocześnie uruchomiły silniki. Ten wiozący Marcusa ruszył pierwszy, mój, morris należący do PBS, jechał za nim. Dotarliśmy do Bramy Damasceńskiej i tam się rozdzieliliśmy. Mój kierowca skręcił w prawo i wjechał w ulicę Proroków, szofer Marcusa podążał w stronę Julian's Way. Spojrzałam na zegarek – wskazówki pokazywały dwadzieścia po ósmej. Było zimno, zapowiadał się zimowy dzień pełen ostrego i jasnego słońca. Schowana na tylnym siedzeniu, z postawionym kołnierzem płaszcza, w kapeluszu i skórzanych rękawiczkach, cały czas myślałam o moich scenariuszach, ich treści, o mojej wymowie, o tych trudnych „es”, które ślizgały mi się między zębami. Na ulicy prawie nie było ruchu, nieliczni przechodnie i ledwie parę samochodów, wyprzedziłyśmy wóz załadowany drewnem na opał i ciągniony przez starego osła, jeszcze starszy Arab szedł obok, powłócząc nogami w obszarpanej dżelabie i czarnej kefiji na głowie.

Na wysokości imponującego Szpitala Włoskiego skręciliśmy w Saint Paul's Road, następnie w Queen Melisande's Way, w głębi wznosił się Broadcasting House ze swoimi dwoma piętrami

z kamienia, mimozami pozbawionymi kwiatów naprzeciwko wejścia, dużymi schodami. W środku dało się dostrzec kilka świateł, ale na zewnątrz, z uwagi na wczesną porę, nie było prawie nikogo. Samochód jechał niespiesznie, ja nadal byłam otulona płaszczem i ciepłymi rękawiczkami, myślami zatopiona w notatkach o mojej ojczyźnie.

Właśnie wtedy, gdy docieraliśmy pod wejście, niespodziewanie coś przebiegło przed nami. Cień, szybka, śliska, ludzka obecność. Szofer zahamował gwałtownie i krzyknął do mnie coś, czego nie zdołałam zrozumieć, moje ciało siłą inercji rzuciło się nagle do przodu, a ja natychmiast złapałam się za brzuch.

Wybuch był strasznie głośny, samochód zatrząsł się, jakby poruszany ręką wściekłego olbrzyma, dzwoniło mi w uszach. Wszędzie dookoła unosiły się dym i kurz, nagle rozległy się serie z karabinu maszynowego, ochrypłe krzyki i odgłosy bieganina, kierowca odwrócił się do mnie i bez wahania złapał mnie za głowę, zrywając mi kapelusz i zmuszając, bym się położyła, jednocześnie krzyczał coś po arabsku i próbował cofnąć, by się stamtąd oddalić.

Zwinięta w kłębek na tylnej kanapie, przez resztę czasu pozostałam z otwartymi oczami, milcząca, sparaliżowana, a zarazem dziwnie spokojna, z ramionami splecionymi na tułowiu niczym szczypce, osłoniętymi dodatkowo zgiętymi w kolanach nogami. Strzały, rozdzierające krzyki wokół po hebrajsku, angielsku i arabsku, bieganina, silniki innych samochodów, które przyjechały pospiesznie, ich opony ślizgające się na żwirze, syreny, które zaczęły wyc w oddali i stawały się coraz głośniejsze – wszystko, wszystko było mi obojętne. Moja postawa była nieugięta, mój spokój miał tylko jeden cel. Myślałam jedynie o tym, żeby moje ramiona ani drgnęły, żeby nadal chroniły dziecko, zapewniając mu ciepło, oddech.

Z trudem, nie przestając wyrzucać z siebie krzyków wściekłości i przekleństw, szofer zdołał w końcu wydostać się z piekielnego odcinka drogi naprzeciwko Broadcasting House i wrócił na Saint Paul's Road, gdzie znajdowali się zaniepokojeni ciekawscy i zatrzymane samochody, a furgonetki policji torowały sobie drogę dzięki włączonym syrenom. Z suchym gardłem poprosiłam, żeby zawiózł mnie do King David Hotel.

Gdy tylko przystanął przed fasadą hotelu, rzuciłam się w stronę drzwi obrotowych. Samochód pokrywała gruba warstwa kurzu, ja miałam potargane włosy, a wysiadając, rozerwałam sobie pończochę. Właśnie miałam wejść do środka, kiedy – w pośpiechu i z paniką wymalowaną na twarzy – Marcus wyszedł z drugiej strony. Chciał mnie szukać, wiadomość szybko się rozeszła. Przycisnął mnie do siebie, zapytał, czy dobrze się czuję raz, drugi, trzeci, czwarty, gładził mi plecy i kark, a ja zatapiałam twarz w jego klatce piersiowej. zaproponował, byśmy natychmiast pojechali do szpitala, żeby zbadał mnie lekarz.

– Nie, nie, nie... – powtórzyłam, nie odrywając się od niego.

Mój głos był zduszony, on nalegał, ja wciąż odmawiałam.

– Wejdźmy do środka – wyszeptałam jedynie. – Potrzebuję tylko ciszy i napić się wody.

Usiedliśmy w rogu holu, aż ogłuszający hałas opuścił moje uszy. Instynktownie wiedziałam, że dziecku nic się nie stało.

Późnym rankiem Marcus przyjechał ze mną z powrotem do American Colony, skontaktował się także z Nickiem Soutterem i poinformował go o wszystkim; ten po południu przyszedł mnie odwiedzić. Przyniósł butelkę burgunda, miał zmęczoną twarz i wygnieciony garnitur. Na powitanie rozłożył ramiona w geście bezsilności i wymamrotał zachrypnięte:

– Przykro mi.

W tym bestialstwie nie było jego winy, w jakiś sposób jednak czuł się odpowiedzialny za to, że wezwał mnie tego ranka akurat o tej przekłętej porze ataku. Wzruszona, przytuliłam go, a on odwzajemnił uścisk, choć z pewnością wydało mu się to dziwne.

Udaliśmy się do czytelnicy, do tego kącika, w którym jeszcze kilka dni wcześniej siadałam, żeby przygotować moje radiowe audycje. Nie wspomniałam mu o tych godzinach spędzonych przy biurku z drewna oliwnego, nie musiał wiedzieć, jak dużo znaczyło dla mnie to nieistotne zajęcie, jak bardzo podobało mi się, że na powrót czuję się aktywna, mając przed sobą choćby tylko tak małe zadanie. Jakie to miało teraz znaczenie.

– Najbardziej szarmancko z mojej strony byłoby przynieść ci kwiaty albo czekoladki, ale nie miałem czasu – powiedział, stawiając wino na jednym z bocznych stolików. – To jedyne, co znalazłem pod ręką. Ukradłem koledze.

Usiadł naprzeciwko mnie, przy kominku, w skórzanym fotelu. Ogień się palił, panowała przytulna atmosfera pośród gobelinów, ciężkich zasłon i perskich dywanów. Nastrój nas obojga był jednak minorowy.

– Twój mąż mi powiedział, że jesteś w ciąży, nie miałem pojęcia – wymamrotał z niejakim skrępowaniem. – Bardzo się cieszę, że nie... że nic się...

Przerwałam mu gestem. Nie wiedziałam, czy Nick Soutter ma dzieci, nie wiedziałam, czy kiedykolwiek dał początek życiu, które ostatecznie zostało przerwane. Przed wszystkim jednak nie miałam zamiaru rozmawiać z nim o czymś tak intymnym. Wciąż nie opuszczał mnie strach, moje dziecko było w drodze w najgorszym możliwym momencie, w burzliwych czasach, na niebezpiecznej i obcej ziemi. Mimo to myśl, że mogłabym je stracić, wydawała mi się przerażająca.

Assim, jeden z kelnerów, podszedł do nas w tym momencie z tacą w dłoniach i w milczeniu postawił na stoliku herbatę. Kiedy wróciliśmy do naszej rozmowy, Nick tylko krótko skomentował, jaki wpływ miał ten atak na zespół PBS i sam budynek.

– Do uderzenia przyznała się Banda Sterna, na szczęście obyło się bez ofiar.

Młody człowiek, który podłożył ładunek wybuchowy, zdołał uciec, ale policja miała podejrzenia co do jego tożsamości.

– Mimo to częściowo osiągnęli swój cel, niszcząc podstację elektryczną. – Zaczepnął powietrza, po czym wypuścił je gwałtownie. – Nie pierwszy raz stało się coś takiego – dodał. – W zeszłym roku zaatakowali centrum transmisyjne w Ramallah. Jeszcze wcześniej, przed wojną, trzy bomby wybuchły w czasie, gdy nadawane były audycje dla dzieci. Jedna zniszczyła centrum dowodzenia, druga rozwalila korytarz. Trzecia zabiła młodą kobietę prowadzącą audycję Children's Hour i realizatora.

Nie chcąc zagłębiać się bardziej w te przykre sprawy, Nick powoli przekierował rozmowę na nieco mniej przygnębiające tematy: radio i jego świat, jego poprzednia praca w Kairze, wyjazdy, przeprowadzki.

– Przypuszczam, że życie cudzoziemki związanej ze służbą Imperium też nie jest łatwe – powiedział.

– Nigdy nie sądziłam, że tak się ułoży moje życie.

Niezamierzenie mój ton zabrzmiał okrutnie szczerze, może nawet z nutką goryczy. Tym samym sugerowałam, jak trudno było mi radzić sobie z moją beczynnością, z nieobecnościami Marcusa i życiem w czterech ścianach hotelu na ziemi pełnej agresji.

– Nie wszystkie kobiety są gotowe towarzyszyć mężom w takich miejscach – odpowiedział ze wzrokiem utkwionym w dywan. – Moja na przykład stanowczo odmówiła.

Przecesał palcami włosy, od skroni do tyłu, gładząc skórę głowy, jakby w ten sposób aktywował swoje myśli. To był zły dzień, prawdopodobnie dlatego demony Nicka skorzystały z okazji, żeby pokazać się na chwilę. Jego głos zabrzmiał nieco ciszej, był ochryply, suchy.

– A teraz ponosimy konsekwencje.

Próbowałam sobie wyobrazić, jaka jest żona Nicka Souttera, co się z nią działo, gdzie była, kiedy on mieszkał w Jerozolimie, a teraz siedział tu ze mną. Akurat w tym momencie wszedł Marcus.

Przywitali się serdecznie, solidarni w nieszczęściu. Zaproponowaliśmy Nickowi, żeby został u nas na kolacji, lecz odrzucił zaproszenie, wymawiając się swoim fatalnym wyglądem, wspomniawszy także o jakimś niejasnym zobowiązaniu. W każdym razie wymówek mu nie brakowało. Miał za sobą okropny dzień i chciał wybrać się gdzieś sam. Z pewnością na kilka drinków do Fink's Bar. Żeby zapomnieć o horrorze i ogrzać duszę, z dala od żony, zanim wróci do zimnej samotności swojego mieszkania.

Chcąc przeciwdziałać kolejnym potencjalnym atakom, na dachach Broadcasting House umieszczono oddział Legionu Arabskiego włączonego do sił brytyjskich, z żołnierzami uzbrojonymi po zęby. Teren obiektu został ogrodzony drutem kolczastym, wizyty osób z zewnątrz zostały ograniczone do minimum, a członkom zespołu przydzielono konkretne godziny pracy i specjalne przepustki.

Podczas gdy władze podejmowały te wszystkie działania, a terroryści zmienili kurs w poszukiwaniu nowych celów, ja przez trzy dni siedziałam zamknięta w American Colony, w ogóle nie opuszczając naszego apartamentu, prawie z nikim nie rozmawiałam – jedynie z Marcusem, kiedy wracał wieczorem, choć prawdę mówiąc, niewiele. W taki sposób spędziłam całe trzy dni, właściwie odizolowana, i przez ten czas nie przestawałam zadrećcać się pewną myślą, która niemal zamieniła się w obsesję: wyjechać. Opuścić Palestynę, zadbać o życie, które się we mnie rozwijało, zabrać je z dala od nieszczęść i niebezpieczeństw. Agresja między Arabami, Żydami i Brytyjczykami nie miała ze mną nic wspólnego, cierpiałam już z powodu własnej wojny w moim kraju, współpracowałam z własnej woli z Anglikami w trakcie ich wojny, wyczerpałam swój limit. Ubolewałam nad dramatem Żydów pozbawionych ojczyzny, dramatem Arabów, którym zagrażał nienasycony syjonizm, i dramatem rodaków mojego męża pogardzanych zarówno przez jednych, jak i drugich, ale ani moje dziecko, ani ja nie mieliśmy czego szukać w tym żądnym krwi tłumie.

Zamknięta w naszym pokoju, leżałam na łóżku wpatrzona w sufit, wychodziłam na balkon zwrócony w stronę dziedzińca, siedziałam z zagubionym spojrzeniem w jednym z foteli albo przeglądałam się

w lustrze, nie widząc siebie, godzina po godzinie układałam i odrzucałam, wymyślałam i skreślałam kolejne plany, aż został mi tylko jeden: wrócić do Tetuanu, białego miasta, gdzie życie toczy się powoli i prosto, bez intensywności panującej w stolicy, bez jej goryczy ani ciasnoty. Z tego, co wiedziałam, w tym czasie nie było tam zbyt wielu wolnych domów. Koniec naszej wojny domowej sprawił, że wiele osób opuściło zniszczony Półwysep Iberyjski i przeprowadziło się do hiszpańskiego Maroka w poszukiwaniu przyszłości. Ale być może moja matka mogłaby przyjąć mnie na jakiś czas w mieszkaniu, które dzieliła ze swoim mężem przy ulicy Mohameda Torresa. A może Candelaria miałaby w swoim pensjonacie wolny pokój, może nawet ten sam pokój w głębi, gdzie mieszkałam dziesięć lat wcześniej, ten z zaciekami i rupieciami, włosianym materacem i szafą bez drzwi z drucianymi wieszakami. Nieważne. Wyszłabym na prostą, znalazłabym jakiś sposób. Tamte dni były jeszcze trudniejsze, a jakoś dałam sobie radę.

O tym i innych planach rozmyślałam na okrągło: co zrobię, kiedy urodzi się moje dziecko? Czy otworzę nowe atelier? Czy znajdę jakąś inną pracę, żeby móc nas utrzymać? Z Marcusem nie podzieliłam się jednak żadną z tych myśli. Z góry było wykluczone, żeby mógł ze mną wyjechać; nie mogłam go prosić, żeby podporządkował się moim obawom, miał jasno określone priorytety. Jego powinności były bezdyskusyjne, podobnie jak żelazne poczucie obowiązku wobec ojczyzny w tym trudnym okresie. Nie, nie zamierzałam wikłać go w moje lęki, wystarczająco miał własnych problemów i zadań, jakiegokolwiek by one były.

Dlatego każdego wieczoru po jego powrocie starałam się udawać taką samą Sirę, jaką byłam dotąd: dobrze ubraną, umalowaną, zakochaną, czarującą i uprzejmą. Nawet nie pytałam go o pracę, wolałam zaoszczędzić mu kłopotu, by nie musiał kłamać. I tak, rozmawiając o banałach, spędziliśmy w tamtych dniach czas przy kolacjach, jedząc faszerowane gołębie przyrządzane przez kucharza Alego, pieczenie i ryby, które trafiały tu z Jeziora Tyberiadzkiego, nawet popijając wino burgundzkie przyniesione mi przez Nicka Souttera. Delektowaliśmy się tym wszystkim, siedząc naprzeciwko siebie, przeżuwać i zachowując pozory normalności. W żadnym

jednak momencie nie spleliśmy swoich palców na obrusie ani nie musnęliśmy się kostkami pod stołem. Oboje mieliśmy świadomość, że otwierało się między nami coś w rodzaju przepaści.

Trzy dni trwały moje kłamstwa i moje zamknięcie. Czwartego dnia się ruszyłam, gdy tylko Marcus zniknął za drzwiami. Już nie spałam, kiedy uwolnił się od mojego ciała i wstał bez budzika – jak zawsze. Ale zostałam w łóżku, leżąc na boku, udając, że śpię, choć sen tak naprawdę opuścił mnie jeszcze przed brzaskiem. Z zamkniętymi oczami słyszałam, jak porusza się z typową dla siebie dyskrecją. Ledwie dobiegały do mnie odgłosy sprężyn stelaża, zawiasów, klamek; w łazience jak zwykle nie zabawił długo, nawet podeszwy butów nie zrobiły hałasu. Zanim wyszedł, nachylił się nade mną i pogłaskał moją szyję.

Zadrzałam w środku, ale udawałam dalej. Wytrzymanie jego dotyku wiele mnie kosztowało, musiałam zacisnąć dłonie w pięści, wbić paznokcie w skórę i ścisnąć zęby, żeby się na niego nie rzucić i nie błagać, by zaniechał swoich obowiązków, chwycił mnie za rękę i ruszył ze mną w poszukiwaniu świetlistego zakątka w jakimś innym miejscu na świecie.



**P**rzed wyjściem opróżniłam jedną z szuflad w komodzie. Na samym dnie trzymaliśmy pieniądze w kopercie, która znajdowała się w drugiej kopercie. Było tam kilkaset funtów szterlingów. I dolary, plik pięćdziesięciodolarowych banknotów. Oraz dwa tysiące nowych peset, tych, które wyemitowano po wojnie. Nie wiedziałam, ile będę potrzebować; zabrałam więc wszystko. Na wszelki wypadek.

Poprosiłam Mustafę, hotelowego szofera, żeby zabrał mnie do centrum Jerozolimy, na ruchliwe ulice i do gwaru ludzi. Przez całą drogę pełna obaw trzymałam się za brzuch, za każdym rogiem i w każdej furgonetce wyczuwałam bowiem zagrożenie, w każdym młodym człowieku, którego mijaliśmy, widziałam terrorystę. Ale nie, nic się nie urzeczywistniło na dystansie dzielącym American Colony od mojego miejsca docelowego.

Na zewnątrz pracownik ustawiał wielkie tablice z ogłoszeniami: biuro podróży Thomas Cook & Son rozpoczynało kolejny dzień pracy w swoim lokalu przy Bramie Jafy. Minęło prawie trzydzieści lat, odkąd generał Allenby zdobył Jerozolimę w imię Jego Królewskiej Mości i zsiadłszy z konia na znak szacunku, przekroczył pieszo tę wspaniałą bramę, wyznaczając tym samym początek Mandatu Palestyny. Wszyscy mieszkańcy Jerozolimy, zarówno Arabowie, jak i Żydzi, z zadowoleniem odebrali wtedy przybycie Brytyjczyków do Palestyny: tych pierwszych wyzwolili spod tureckiego panowania i pozwolili im sądzić, że są już na prostej drodze do niepodległości; drugim zaś dali nadzieję, że w końcu skonsolidują swoją ojczyznę. Teraz i jedni, i drudzy pragnęli, żeby Anglicy się wynieśli, chcieli bowiem sami decydować o przyszłości tej ziemi. W razie potrzeby nawet poprzez krwawą wojnę.

Tego zimowego poranka w pobliżu Bramy Jafy prowadzącej na Stare Miasto widziało się jednak tylko zwykłych ludzi. Rolnicy

rozstawiali swoje stragany z warzywami, owocami, żywymi kurczakami i jajkami, przygarbiony staruszek zamiatał przed wejściem do swojego sklepu, kręcili się wędrowni sprzedawcy pamiątek religijnych i dostawcy nafty, dzieci trzech wyznań szły do swoich szkół.

Przede mną stali już klienci, trzy ranne ptaszki: mężczyzna w borsalino oraz para młodych Amerykanów uzbrojonych w aparaty w futerałach i płócienne torby. Pomyślałam, że są archeologami, geologami, topografami albo istotami któregoś z tych rzadkich gatunków. Za ladą pod napisem WORLD TICKET OFFICE dwóch pracowników zaczęło ich obsługiwać, ja tymczasem usiadłam na jednej z bocznych ław, czekając na swoją kolej.

Z torebką na kolanach, przyciskając ją rękami, by chronić pieniądze, zajęłam się kontemplowaniem ścian pełnych plakatów i map. Reklamowano wycieczki do Galilei, nad rzekę Jordan, na górę Synaj, na Pustynię Judzką. Oferowano tłumaczy i przewodników, poganiaczy mułów, wypożyczenie namiotów i rowerów.

Do lokalu przychodziły kolejne osoby: tęgi Arab w czerwonym fezie i zachodnim ubraniu, dwie siostry benedyktyнки, mężczyzna, który tylko oglądał plakaty przez grube szkła swoich okularów. Po kilku minutach weszła pospiesznie jakaś kobieta. Gdy tylko zobaczyła licznych klientów, na jej twarzy pojawił się grymas irytacji.

Przypuszczałam, że powinna być mniej więcej w moim wieku. Domyśliłam się, że jest Angielką, jak wiele innych kobiet w tym mieście. Z wyglądu jednak nie przypominała żony wojskowego czy urzędnika Sekretariatu. Żadna z nich bowiem nie zwykła nosić marynarki o męskim kroju, flanelowych spodni ani butów na płaskiej podeszwie. Na swój sposób prezentowała się atrakcyjnie. Usiadła obok mnie, wyszeptała suche *good morning*, po czym z bocznej kieszeni wyjęła mały notes zapinany na gumkę, do której z kolei był przyczepiony ołówek. Założyła nogę na nogę i zaczęła pisać, opierając się o lewe udo. Nie zmieniając swojej pozycji, spojrzałam na nią kątem oka.

Miała ostry nos, włosy jasne, kręcone i zebrane w luźny kok na karku; gdy kosmyk opadł jej na twarz, mechanicznie założyła go za

ucho. Usiłowałam rozszyfrować, co pisała, ale nie dałam rady tego zrobić, jej kanciaste pismo wyglądało tak, jakby urywała słowa w połowie. Zapełniła część strony, gdy nagle podniosła wzrok. Pracownicy w dalszym ciągu obsługiwali pierwszych klientów, nic się jeszcze nie ruszyło. Niezadowolona, przez kilka sekund obracała ołówek między palcami, potem zamierzała kontynuować pisanie, ale ze złości tylko gwałtownie wbiła go w papier. Tak mocno, że złamała czubek.

Zakłęła pod nosem i zaczęła sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby dalej pisać, lecz niczego nie znalazła. Bez żadnego powodu, niemal bezwiednie, otworzyłam swoją torebkę, ominęłam kopertę z banknotami i sięgnęłam palcami na samo dno. Tam leżało biro, nowoczesne narzędzie z tuszem, które sprzedano mi w sklepie papierniczym przy Mamilla Road, kiedy moje naiwne radiowe marzenia pozostawały jeszcze nienaruszone.

Wyjęłam je. Podałam jej. Odwróciła głowę i na mnie spojrzała, nie biorąc jeszcze przedmiotu.

– Pani jest Angielką, prawda?

– Nie, ale mój mąż pochodzi z Anglii.

– Ach – rzuciła.

Wtedy wzięła biro, wymamrotała lakoniczne *thank you* i kontynuowała pisanie. Pięć czy sześć linijek później przerwała i ponownie na mnie spojrzała.

– Skąd? – Pytanie zabrzmiało szorstko, niemal ostro.

– Madryt, Hiszpania – odparłam.

– Ach – wymamrotała znowu. Tym razem wybrzmiało delikatne zaskoczenie. – Jak długo jesteście w Palestynie?

Odpowiedziałam bez wahania, czas odmierzałam z dokładnością minutnika.

– Prawie osiem miesięcy.

– A wie pani, jak się tam sprawy mają?

Kilka dni wcześniej dostaliśmy cotygodniową przesyłkę prasy hiszpańskiej, którą zamówiliśmy przed wyjazdem, trafiała do nas poprzez znajomego Marcusa z ambasady. Dlatego byłam mniej więcej na bieżąco z tym, co się działo w moim kraju; na pewno nic istotnego.

Przemilczałam błahostki, których ona by nie zrozumiała. Tryumfy matadora Manolete, sukces filmu *Garbancito de La Mancha*, popularność piosenki *Mi vaca lechera* czy występ więźniów politycznych z Carabanchel wykonujących *coplas* Juanito Valderramy. Nie wspomniałam też o tym, że szczęśliwcy z zamożnych madryckich dzielnic jadają obiady w dopiero co otwartej ekskluzywnej restauracji Jockey, podczas gdy większość mieszkańców nadal skazana jest na reglamentację tak podstawowych produktów jak warzywa, cukier i oliwa. Ani o tym, że dzięki nowatorskiej produkcji środka dezynfekującego DDT wyglądało na to, że powoli zwalczano pluskwy i wszy.

Rzeczy w miarę interesujące streściłam jej w kilku zdaniach.

- Wyjechali wszyscy ambasadorzy.
- A skąd pani o tym wie? – zapytała dociekliwie.
- Z „ABC”, „Ya”, „La Vanguardii”...
- To pewnie gazety sprzyjające reżimowi Franco.
- A mamy inne?

Skinęła głową, poważna, nie dzielając mojego sarkazmu. Akurat w tym momencie mężczyzna w kapeluszu załatwił swoją sprawę i pracownik z wąsami podniósł rękę, żebym podeszła, bo była moja kolej. Wstałam, choć wolałabym tego nie robić. Ani trochę nie podobało mi się bowiem to, że ta dociekliwa nieznajoma będzie siedzieć za moimi plecami i być może podsłuchiwać. Nie wiedziałam, kim jest, może świecką misjonarką albo żoną pracownika jakiejś zagranicznej firmy, albo zwyczajną turystką; prawdopodobnie już więcej miałam jej nie spotkać. Ale mimo wszystko. Przyszłam do tego biura podróży w prywatnej sprawie. Nie chciałam, żeby dotarła ona do uszu tej kobiety.

Podróże do Hiszpanii – o to zapytałam, starając się mówić na tyle głośno, na ile było to konieczne.

– Podróże do Hiszpanii? – powtórzył pracownik zdziwionym tonem – Do Hiszpanii, do Europy?

Właśnie tego chciałam. Jakichś opcji na wyjazd do Hiszpanii, żeby mi powiedział, jaki jest najlepszy sposób. Kiedy będę wiedzieć, jak się tam dostać, później już na własną rękę udam się do Tetuanu.

Pracownik zmarszczył brwi i podrapał się z tyłu głowy; nie ulegało wątpliwości, że moja destynacja nie należała do zbyt popularnych. Potem spojrzął na mapę.

– Może być Gibraltar?

Skinęłam głową. Gibraltar pasował mi idealnie. Przypomniałam sobie dzień naszego ślubu, prostą formalność, silny wschodni wiatr wiejący nad cieśniną, namiastkę miesiąca miodowego w hotelu The Rock, tak efemerycznego, że trwał tylko jeden wieczór, jedną noc i następny poranek. Podczas gdy paznokiec pracownika przesuwiał się po długiej liście firm i miejsc, w środku coś mi się ścisnęło. Na Gibraltarze zaczęło się moje małżeństwo z Marcusem i być może tam się również zakończy – nie miałam pojęcia, jak przyjmie mój wyjazd, czy zaakceptuje go ze zrozumieniem, czy może potraktuje jak nielojalne i perfidne porzucenie.

Mężczyzna z wąsami sprawdził coś w drugim przewodniku, następnie w trzecim.

– Jerozolima–Kair pociągiem albo samolotem, później Kair–Aleksandria–Famagusta, Cypr–La Valetta, a z Malty statkiem na Gibraltar, to jest najlepsza opcja. Najbliższy termin piąty marca. Sześćdziesiąt pięć funtów szterlingów. Chce pani od razu kupić bilet czy woli, żebym tylko zanotował?

Policzyłam szybko. To była kwestia dni. I miałam przy sobie pieniądze. Mężczyzna patrzył na mnie, nieruchomy, wyczekujący. Odwróciłam głowę i spojrzałam za siebie: w środku znajdowało się jeszcze więcej klientów. Zauważyłam też, że nieznajoma kobieta z ołówkiem bez czubka była już obsługiwana.

– A zatem, proszę pani?

Nie dałam rady. Nie zdołałam podjąć decyzji. Albo zabrakło mi odwagi. Popatrzyłam na niego, nie odpowiadając. Zauważyłam, że w wąsach miał kilka siwych nitek.

– Może lepiej zapiszę i na spokojnie sobie to pani przemyśli?

Złożyłam karteczkę, na której zanotował informację, słabym głosem wymamrotałam *thank you very much* i się odwróciłam. Strapiona ruszyłam do wyjścia, przyspieszając kroku, zła na samą siebie. Na swoje tchórzostwo. Na brak hartu ducha.

Usadowiłam się na tylnym siedzeniu samochodu i właśnie zamierzałam zamknąć drzwi, kiedy czyjaś ręka złapała je od góry, powstrzymując mnie.

– Biro, nie oddałam pani – powiedziała, wyciągając je w moją stronę.

To znowu ta zuchwała nieznajoma.

Chwyciłam biro i wymamrotałam podziękowanie.

– Proszę wybaczyć mi wścibstwo, ale chyba usłyszałam, że zamierza pani wrócić do swojego kraju. Czy to nastąpi niebawem?

Ugryzłam się w język, żeby nie zapytać: a co to panią obchodzi? Nie dała mi jednak tej możliwości, mówiła dalej.

– Proszę posłuchać, chciałabym coś pani zaproponować, jeśli zostanie tu pani jeszcze trochę.

Spojrzałam na nią, nie kryjąc niezadowolenia.

– Jeszcze nie zdecydowałam – odparłam szorstko.

Moja nikła empatia guzik ją obeszła, niestrudzona przypuściła kolejny atak.

– Pracowała pani kiedyś?

Nie rozumiałam pytania. Czy raczej: rozumiałam je dosłownie, ale wydało mi się ono tak nachalne, że wahałam się przez chwilę.

– To znaczy *for a living*? Żeby zarabiać na życie?

Przytaknęła. Cały czas patrzyła mi prosto w oczy. Jej oczy miały dziwny ciemnoniebieski kolor, niemal metaliczny.

– Tak, pracowałam. Wiele lat.

Od razu pożałowałam. Nie podałam jej żadnej konkretnej informacji, nie wspomniałam o swoim zawodzie krawcowej, a tym bardziej o mojej potajemnej współpracy. Mimo to skarciłam samą siebie za to, że nie ugryzłam się w język.

Nieświadoma moich myśli, wsadziła rękę do kieszeni marynarki. Nie znalazła tego, czego szukała, i spróbowała w drugiej, wreszcie wyjęła nieco wymiętoszoną wizytówkę.

– Jestem Frances Nash, kanadyjska reporterka – powiedziała, podając mi karteczkę. Potem zaczęła wiązać sobie na szyi popielaty szal. – Chciałabym móc z panią porozmawiać. Teraz się spieszę, ale jeśli zadzwoni pani pod ten numer, spotkam się z panią we wskazanym miejscu i o dogodnej dla pani porze.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się w stronę jeepa z opuszczonym dachem, zaparkowanego kilka metrów dalej. W tym nieosłoniętym pojeździe nie było szofera, ona sama usiadła za kierownicą. Zanim nasz solidny ford ruszył w drogę powrotną, nieznajoma dodała gazu i spowita kurzem skierowała się w stronę Jaffa Road.

**W**róciłam do American Colony wściekła na samą siebie za brak odwagi, za to, że nie ośmieliłam się kupić biletu gwarantującego bezpieczeństwo mnie i dziecku, które nosiłam pod sercem. Kiedy Marcus wrócił kilka godzin później, stosunkowo wcześniej tego dnia, swoją irytację schowałam za wymówką o fikcyjnych dolegliwościach.

– Nie sądzę, żeby pomagało ci siedzenie tu w zamknięciu przez cały dzień.

Nie odpowiedziałam ani nie zaprzeczyłam, lecz świadomość tego, że milczeniem ukrywam przed nim prawdę, jeszcze bardziej spotęgowała moją złość. Żeby ją zamaskować, unikałam patrzenia mu w oczy i zaczęłam układać ubrania na półce w szafie.

– A może wybierzemy się gdzieś na kolację? – zaproponował.

Usiadł w fotelu przy balkonie, założył nogę na nogę. Mówił spokojnym tonem, obserwując mnie, podczas gdy ja nadal byłam odwrócona do niego plecami. Gdybym zostawiła swoje zajęcie choćby na kilka sekund i zwróciła na niego odrobinę uwagi, zauważyłabym w jego zachowaniu delikatny cień podejrzliwości. Ale dalej robiłam swoje, pozornie pochłonięta absurdalnym układaniem apaszek.

– Do Hesse's? Do La Régence? – nalegał. – Słyszałem, że mają nowego szefa kuchni, zdaje się, że podkradli go kairskiemu Shepheard's. Sprawdzimy?

W końcu się odwróciłam, błyskawicznie wkładając kostium dobrej żony. Uśmiechnęłam się półgębkiem, podeszłam do niego, pogłaskałam go po policzku, właściwie tylko muskając; w głowie bezlitośnie rozbrzmiało mi słowo: zdrajczynie.

Zaledwie godzinę później usłużny pracownik lokalu zaprowadził nas do naszego stolika. Żeby dotrzeć do nocnego klubu w King David Hotel, musieliśmy przejechać wpółopustoszałymi ulicami



Jerozolimy, pokonać pilnie strzeżony wjazd na teren hotelu, a potem zejść dwa piętra po schodach. Podczas gdy na wyższych kondygnacjach mnóstwo wojskowych i cywilów za dnia wypełniało swoje oficjalne obowiązki, a na parterze, rozproszeni między Arab Lounge, hol i dużą restaurację zarówno miejscowi, jak i obcokrajowcy, nieustannie debatowali o polityce, terroryzmie i interesach, tu nisko, w podziemiach tego ogromnego budynku, klub La Régence wieczorami zapewniał spokojną atmosferę, gdzie na kilka godzin zapominało się o zajęciach na wyższych piętrach i ich bezduszości.

Światło było przygaszone, ściany obite materiałem, a sufit dość niski. Pianista wygrywał melodyjne kompozycje; w rogu znajdował się niewielki parkiet, ale wciąż pusty – nie było jeszcze nawet dziewiątej. Lokal jednak pękał w szwach. W głębi, przy lśniącym drewnianym barze, na taboretach i przy niskich stolikach, między likierami i koktajlami siedzieli rodacy Marcusa, przedsiębiorcy, dyplomaci i konspiratorzy będący tu przejazdem, zamożni handlarze i reporterzy, bogaci turyści odwiedzający Ziemię Świętą, arabscy gospodarze i Żydzi zabawiający swoich gości. Rozpoznałam kilka twarzy, Marcus – kilkanaście. Ale nie zatrzymaliśmy się przy nikim. Jedynie witaliśmy się z pewnej odległości.

Usiedliśmy z dala od zgiełku, obok szerokiej kolumny; nawet nie pomyśleliśmy o tym, że jest to jedna z architektonicznych podpór, które podtrzymywały to skrzydło budynku.

Kelner podał nam karty, napisane po francusku i oprawione w bordową skórę.

– Pamiętasz naszą pierwszą kolację, w hotelu Nacional?

Zdziwiło mnie to pytanie, Marcus nie był zbyt nostalgiczny.

– Jasne – wymamrotałam. Nagle spuściłam wzrok na menu, chcąc uniknąć jego spojrzenia.

Nie, nie zapomniałam ani chwili z tamtego wieczoru, którego on przybył do Tetuanu, podając się za reportera z pogruchotanym ciałem, wspierającego się na bambusowej lasce i z twarzą pełną ran. Ja otworzyłam właśnie swój interes do spółki z Candelarią i podawałam się za krawcową o nieskazitelnej opinii; za tą fasadą kryła się jednak tylko młoda dziewczyna, przestraszona i samotna,

zmuszona do pozostania w obcym miejscu. Marcus przynosił nadzieję na ewakuację mojej matki z Madrytu w zamian za długi wywiad z wysokim komisarzem Beigbederem, który załatwiła mu moja przyjaciółka Rosalinda Fox; niedługo po tym, jak przyniesiono nasze dania, ona musiała pilnie wyjść.

– Zamówiłaś wtedy solę – powiedział.

Nie miałam innego wyjścia, jak tylko uśmiechnąć się z nutką melancholii, bez otwierania ust. Solę – tak. A on garniowanego kurczaka. I dwa lub trzy kieliszki wina. I dwie porcje *natillas* na deser. Jego spokojne usposobienie radziło sobie ze wszystkim; mnie natomiast nerwy całkowicie zablokowały żołądek.

Szybko rzucił okiem i zamknął menu, odkładając je na obrus.

– Ledwie spróbowałaś – dodał.

Pojawił się w moim życiu zakamuflowany. Nie zamierzał publikować tego wywiadu z Beigbederem w żadnej gazecie, chciał go jedynie wy badać, porozmawiać z nim. Tak naprawdę bowiem był agentem w służbie wywiadu swojego kraju, chociaż musiało jeszcze upłynąć trochę czasu, zanim się o tym dowiedziałam.

Niemniej jego obecność od początku stała się mocnym oparciem dla moich niepewnych dni.

– Potem odprowadziłem cię do domu.

Tak, uparł się, żeby to zrobić. To był pierwszy raz z wielu. Odprowadzał mnie do mojego mieszkania przy Sidi Mandri w Tetuanie, potem do mieszkania przy Núñez de Balboa w Madrycie. I gdybym przeprowadziła się jeszcze tysiąc razy, zanim zamieszkaliśmy razem, odprowadzałyby mnie do tysiąca drzwi, każdego wieczoru.

Zamiast jednego z biednych pracowników Nacionalu, teraz, w La Régence, zamówione dania przyniósł nam sudański kelner. *Courgettes à la turque* dla mnie i mocno krwisty stek dla Marcusa. Przeżuwając bez apetytu moją faszerowaną cukinię, ponownie spojrzałam na jego twarz oświetloną blaskiem świecy. Młody Marcus Logan sprzed dziewięciu lat był i zarazem nie był tym samym Markiem Bonnardem, który tego wieczoru siedział naprzeciwko mnie. Na dowód tamtych dawnych ran zostało mu jeszcze parę blizn po lewej stronie twarzy, blisko ucha. Oznaką upływu lat w kącikach

ust były teraz fałdy, a wymieszane z jasnokasztanowymi włosami, pojawiły się pierwsze siwe nitki. Ale jego zwinne i gibkie ciało prawie się nie zmieniło. Jego siła także pozostała nienaruszona. Nigdy mnie nie zawiódł. Ja natomiast, nie zamieniając z nim ani słowa, nielojalna, niewdzięczna i wiecznie odwrócona plecami, od kilku dni knułam, żeby go zostawić.

– A teraz już nie potrzebujesz, bym dokądkolwiek się z tobą wybrał – powiedział nagle.

Spojrzałam na niego z osłupieniem; nie unosiliśmy się już w nostalgii dawnych czasów. Niespodziewanie, w gwałtowny sposób opadliśmy do naszej gorzkiej teraźniejszości. Chciałam coś powiedzieć, lecz on podniósł rękę i powstrzymał mnie, zanim otworzyłam usta.

– Nigdzie cię nie śledziłem, Siro, to po pierwsze. Nie pilnuję cię ani nie kontroluję, po prostu dostałem dziś rano informację na temat twojej obecności w biurze podróży i skojarzyłem fakty. – Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że jego zachowanie było rutynowe. – To właśnie robię codziennie ze sprawami, które są dla mnie znacznie mniej ważne niż ty. Znasz moją pracę.

Przytaknęłam, milcząc. Wszystko, o co chciałabym go zapytać, było niepotrzebne. Nie miało teraz wielkiego znaczenia, kto mu przekazał, że mnie widział; mógł to zrobić każdy, nieświadomie lub celowo, z całkowitą niewinnością albo z niezdrową chęcią wtrącania się w nie swoje sprawy.

– Od wielu dni udajesz, że jest normalnie, ale to oczywiste, że za tą pozą ukrywasz inne uczucia. Wiem, że to wszystko, co się dzieje w Jerozolimie, jest trudne i niespodziewane, tyle przemocy, tyle brutalności. Często wyrzucam sobie, że kazałem ci tu przyjechać. Na swoją obronę powiem ci tylko, że po zakończeniu wojny nikt nie przewidywał, że żydowska działalność dywersyjna powróci w takiej radykalnej i niebezpiecznej wersji. Dlatego nie mam do ciebie pretensji, że chcesz wyjechać. I nie czuję się też zdradzony, nie obwiniaj się.

W pewnym momencie odłożyłam sztucę na talerz. Ogarnęło mnie poczucie wielkiego osłabienia, jak gdyby nagle wypompowano ze mnie całą krew. Nie przewidziałam, że tak to się mogło potoczyć,

zamierzałam przedstawić mu swoją decyzję w sposób uargumentowany i przekonujący, a nie żeby on dowiedział się wcześniej, Bóg jeden wie, jakimi kanałami.

– Nie dziwię się, że odczuwasz lęk – ciągnął. – A tym bardziej w twoim stanie. To naturalne, że nie wytrzymujesz, nawet zupełnie zrozumiałe. Często przytrafia się to innym żonom w podobnych okolicznościach, kiedy muszą wyjechać ze swoimi mężami w nieprzyjazne miejsce. Nie jesteś pierwsza ani nie będziesz ostatnia, nie przejmuj się. Niektóre są przyzwyczajone albo może z góry wiedziały, z czym się wiąże zawieranie małżeństwa z wojskowym albo urzędnikiem administracji publicznej.

Pianista już nie grał, teraz czas umiłał kobiecy głos. My jednak pozostaliśmy na czymś w rodzaju własnej wyspy, jałowej i wyludnionej wysepce w samym środku burzy, z dala od muzyki, kelnerów i klientów.

– Twój przypadek jest jednak inny. Ty jesteś cudzoziemką wśród cudzoziemców, twoja sytuacja jest podwójnie złożona, bo nie możesz nawet czuć wsparcia swoich rodaków. Nie masz przyjaciół, nie masz pracy, obce są ci przepisy i system, nie możesz nawet z nikim rozmawiać w ojczystym języku. A poza tym nosisz w sobie życie. To, że chcesz uciec, zapewnić wam obojgu bezpieczeństwo, jest uzasadnione. Wręcz odpowiedzialne.

Znowu skinęłam głową, przełknęłam ślinę.

– Ale ja nie mogę wyjechać, Siro. Choć bardzo bym tego pragnęła, nie mogę ci towarzyszyć. Nie chcę, byś pomyślała, że umyłam ręce. Nie wiem, jak długo jeszcze my, Brytyjczycy, zostaniemy na tej ziemi, gdzie już nikt nas nie chce, ale mamy zadanie do wypełnienia, zobowiązanie nałożone przez Ligę Narodów, które nie pozwala nam zrobić kroku wstecz w sposób jednostronny. I dopóki mój kraj mnie potrzebuje, muszę zostać.

Ktoś przeszedł obok naszego stolika i przywitał się serdecznie, ale słowa nie dotarły do moich uszu. Kelner podszedł, żeby zmieść z obrusu okruchy swoją srebrną szczoteczką. Zobaczywszy nasze twarze, dyskretnie wykonał krok do tyłu i odszedł.

Prawdopodobnie artyści La Régence kontynuowali swój występ z lekkimi utworami, prawdopodobnie ze wszystkich zakątków

płynęły rozmowy, pojedyncze salwy śmiechu, brzęk talerzy. Mój umysł nie zarejestrował jednak żadnego dźwięku w tle. Jedynie głos Marcusa. A wokół przepastna cisza.

– Chcę cię tylko prosić o to, żebyś po wyjeździe nie zniknęła.

Zamierzałam zaprotestować, powiedzieć, że nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Ale słowa utknęły mi na jakimś zakręcie, nie mogąc wydostać się z gardła.

– Że kiedy wrócisz do swojej rodziny, nie zabierzesz z mojego życia naszego syna albo córki.

Ponownie wziął nóż i widelec i z powrotem przeniósł wzrok na swoje mięso. Wyrzucił już z siebie wszystko, co miał mi do powiedzenia. Zanim jednak metal dotknął jego *filet mignon*, wreszcie zdołałam zareagować. Wyciągnęłam ręce i chwyciłam go za nadgarstki.

– Moją jedyną rodziną jesteś ty, Marcusie.

W chwili gdy moje palce chwyciły materiał jego marynarki i poczułam jego kości, dokładnie w tym momencie wiedziałam, że nie wyjadę. Bez względu na to, jak ciężkie były czasy i jak ponure okoliczności, bez względu na to, jak silny wiał wiatr, wszystko, co zaplanował dla nas los, musieliśmy przejść wspólnie.

Myliłam się, kiedy sądziłam, że zabrakło mi odwagi, by kupić bilet na statek. Było inaczej, dokładnie na odwrót. Nie, odwaga nie polegała na podjęciu zdecydowanego kroku, żeby zniknąć, uciekając od problemów. Brakiem tchórzostwa było trwanie u boku tego, kto mnie potrzebował: bezwarunkowo, oferując wsparcie i dodając otuchy. Nie, nie zamierzałam wyjechać ani nie zamierzałam rozdzielać dziecka z jego ojcem. Moje miejsce było u boku Marcusa, i nie dlatego, że tak nakazywał małżeński obowiązek, lecz z powodu miłości, odpowiedzialności i oddania.

Kolacja przedłużyła się do późna w nocy, nareszcie otwarcie pokazaliśmy nasze obawy i wątpliwości i położyliśmy je niczym karty w talii, odkryte na stole. Wyszliśmy z La Régence objęci w pasie, gdy wokalistka śpiewała *You Are My Sunshine*, a kiedy szliśmy korytarzem w stronę ulicy, Marcus wyszeptał mi do ucha: *You make me happy when skies are grey...*

Jacy byliśmy naiwni, jacy głupi. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, że opuszczamy najmniej bezpieczne miejsce w King David Hotel, sam środek horroru.

Podążając za wskazówkami, znalazłam siedzibę Public Information Office przy King George V Street w nowoczesnym i funkcjonalnym budynku. Zaczekałam, aż młoda kobieta za ladą recepcji skończy rozmawiać przez telefon. Moją uwagę zwróciła jej umiejętność trzymania słuchawki między ramieniem, szczęką i uchem.

– Szukam Frances Nash – oznajmiłam, kiedy się rozłączyła.

Wyjęłam wizytówkę, którą ta osobliwa kobieta wręczyła mi poprzedniego dnia przed biurem podróży, zanim wsiadła za kierownicę jeepa. Powtórzyłam nazwisko i pokazałam karteczkę.

– Powiedziała mi, że mogę ją tu znaleźć.

Ponownie zadzwonił telefon. Recepcjonistka zwróciła się do mnie, zakrywając słuchawkę dłonią.

– Nie wiem, czy pani Nash jest w środku. Jeśli pani chce, proszę przejść do sali ogólnej i jej poszukać.

Wahałam się. Tak naprawdę zamiar spotkania z nią był tylko czymś w rodzaju próby ogniowej. Postanowiłam zostać w Jerozolimie, ze wszystkimi tego konsekwencjami. A żeby wzmocnić swoją decyzję, uznałam, że w pierwszej kolejności muszę się pozbyć strachu przed poruszaniem się po mieście. Wszyscy żyli dalej, chodzili do pracy, wsiadali do autobusów, kupowali chleb i oliwki, odwiedzali przyjaciół, uprawiali miłość, chadzali do kina. Owszem, przeraziłam się śmiertelnie przed wejściem do Broadcasting House, a wraz z tym zakończyła się moja przygoda z radiem. Ale to nie mogło mnie powstrzymać. Nie mając żadnego konkretnego miejsca, do którego mogłabym się udać, nikogo, z kim mogłabym się spotkać, i pozbawiona perspektywy jakiegokolwiek zajęcia, postanowiłam skontaktować się z nieznaną, która podeszła do mnie przy Bramie Jafy. Nie miałam pojęcia, czego może

ode mnie chcieć, ale był to przynajmniej jakiś punkt zaczepienia przy próbie kontaktu ze światem zewnętrznym. Albo zwyczajna wymówka, żeby nie zachwiały się fundamenty mojej decyzji.

Ruszyłam więc tam, gdzie wskazała mi recepcjonistka, aż dotarłam do widnego przestronnego pomieszczenia, w którym stało kilkadziesiąt biurek, przy niektórych siedzieli ludzie, wiele było pustych. Ten czy ów wydawał się pracować, pisząc sumiennie albo rozmawiając przez telefon. Inni dyskutowali, dwójkami, trójkami. Wśród nich zauważyłam kilka kobiet, ale szybko się przekonałam, że żadna z nich nie jest tą, której szukałam.

Nikt nie przerwał swojego zajęcia, żeby zapytać, czego chcę, domyśliłam się, że nieznajomi często tu zaglądali. Postanowiłam więc podejść do najbliższego stołu, zajmowali go mężczyzna i kobieta; on siedział na krześle obrotowym z marynarką wiszącą na oparciu, ona opierała się jednym pośladkiem na krawędzi stołu. Rozmawiali, czy może raczej ona mówiła, a on tylko słuchał.

– Przepraszam. Szukam Frances Nash.

Spojrzeli na mnie bez większego zainteresowania. Ona omiotła salę wzrokiem.

– Chyba jej nie ma.

Mężczyzna tymczasem przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– Przepraszam, czy pani nie jest żoną Marka Bonnarda?

Wstał i podszedł.

– Douglas Gallagher z „Daily Mail”. Widzieliśmy się na kilku spotkaniach...

Rzeczywiście, Marcus przedstawił mi już gdzieś tego mężczyznę o bystrym spojrzeniu i niechlujnym wyglądzie. U kogoś w domu w Rehavii albo Katamon, a może w barze w Jasmine House Hotel.

– Rozmawialiśmy o mojej pracy w Hiszpanii w czasie wojny, pamięta pani? – powiedział, podając mi rękę. – Pracowałem wtedy dla „Daily Express”.

Wtedy sobie przypomniałam: jakiś czas temu ten człowiek i ja gawędziliśmy w domu arabskiego adwokata Henry’ego Qatana. Opowiadał mi, że był jednym z ostatnich reporterów, którzy wyjechali z Barcelony, i jedynym zagranicznym dziennikarzem, który relacjonował wkroczenie nacjonalistów do Madrytu.



Rozmawialiśmy tamtego wieczoru, aż udało mi się go pozbyć. Niewątpliwie mówił zajmująco, ale w pewnym momencie położył rękę na moim udzie i tam ją zostawił; ulotniłam się, gdy tylko mogłam. Teraz był tak samo źle ogolony i doskonale wszystko pamiętał.

– Oczywiście – odparłam z fałszywą uprzejmością. – Cieszę się, że znowu pana widzę.

– W tej chwili nie ma tutaj Fran Nash. To jest ogólnodostępna sala. Korespondenci przychodzą i wychodzą o dowolnej porze. Możliwe, że nikt nie wie, kiedy wpadnie tu pani przyjaciółka – dodał. – Ani czy w ogóle zjawi się w ciągu dnia.

Dziennikarz zamilkł na chwilę, być może przypominał sobie dotyk jedwabnej sukienki na mojej nodze.

– Ale jeśli chce pani na nią poczekać, mogę pójść z panią do baru – zaproponował. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się z zadowoleniem. – Dochodzi dwunasta, to dobry moment na pierwszego drinka.

Uwolniłam się od niego pod pretekstem pośpiechu i nieistniejących zobowiązań. Ruszyłam po schodach z drugiego piętra. Zostały mi już ostatnie stopnie, by znaleźć się w wielkim holu, kiedy zobaczyłam, jak wchodzi do budynku, rozpoznałam jej sylwetkę w szeroko otwartych podwójnych drzwiach. Parę kręconych kosmyków wymknęło jej się z koka i opadało na twarz, znowu miała na sobie męskie ubranie, któremu ona, prawdopodobnie niezamierzenie, przydawała osobliwej elegancji. Pasek skórzanej torby na ramię przecinał jej klatkę piersiową.

Na mój widok na jej twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji, niemal tryumfu. Podeszła dziarskim krokiem i zaczęła, aż zejść z ostatnich stopni schodów.

– Właśnie przegrałam zakład z samą sobą, ale nawet sobie pani nie wyobraża, jak się cieszę.

Na wczesny aperitif, którego odmówiłam Gallagherowi, udałam się ostatecznie z Frances Nash do baru z przekąskami, który samo Public Information Office otworzyło w przyległym lokalu. Nie miałam pojęcia, czego ode mnie chce ta kobieta. Nic o niej nie

wiedziałam. Mimo to dałam się porwać i byłam gotowa jej wysłuchać.

– Od zakończenia wojny nowy dyrektor nie wie, jak pozyskać korespondentów dla brytyjskiej sprawy – powiedziała, kiedy siadałyśmy w fotelach z aksamitnym obiciem. Z powodu wczesnej pory były zajęte tylko dwa czy trzy stoliki. – Jeden z jego wspaniałych pomysłów – dodała – to stworzenie *press centre* na górze, a także tego świetnego lokalu tutaj.

Pokazała dookoła lekkim gestem, którego nie potrafiłam zinterpretować, równie dobrze mógł oznaczać sarkazm, który generalnie sobie cenię. Kelner ustawiał czyste szklanki na półkach za barem, przez duże okna widać było nieustanny ruch pieszych i pojazdów. Miejsce wyglądało przyjemnie, z dywanem w arabski i grubymi zasłonami, ja jednak nadal nie rozumiałam powiązania z agencją prasową w wyższej części budynku. A ponieważ ona mówiła z tak zaraźliwą spontanicznością, to postanowiłam zapytać ją wprost:

– Mówi mi pani, że Brytyjczycy zamierzają kupić zagranicznych dziennikarzy poprzez whisky, gin i piwo?

Parsknęła śmiechem; za niepomalowanymi ustami dostrzegłam duże zęby, które wyglądały na zdrowe i mocne. Była w zdecydowanie lepszym nastroju niż w czasie naszego pierwszego spotkania, gdy czekałyśmy w biurze podróży.

– Nie chodzi o to, że próbują nas kupić, ale oczywiście chcą nas tu zwabić, żeby odciągnąć od wpływu Agencji Żydowskiej i jej sprawnego biura prasowego.

Zrobiła pauzę, żeby podziękować kelnerowi za kieliszki *gin and bitters*, które właśnie nam przyniesiono. Ja ledwie umoczyłam usta, ona natomiast z przyjemnością delektowała się pierwszym łykiem.

– W czasie wojny – ciągnęła, stawiając kieliszek na szklany blat stolika – żadna zagraniczna gazeta nie interesowała się zbytnio tym, co się działo w Palestynie. Tymczasem teraz, gdy na świecie nastał nowy porządek, a tu nasilają się tarcia, zagranicznych korespondentów przyjeżdża coraz więcej, ktoś mi ostatnio powiedział, że jest nas około osiemdziesięciorga.

Znałam niektórych przez Marcusa, głównie Brytyjczyków, jak ten Gallagher sprzed chwili. Również kilku Amerykanów, z widzenia.

– A w Agencji Żydowskiej – mówiła dalej, kładąc rękę na oparciu fotela – są sprytni jak lisy, od początku wiedzieli, jak należy obchodzić się z dziennikarzami na tym nowym etapie, tak istotnym dla ich narodu. Podczas gdy Anglicy nadal pracowali tak jak w czasach wojny, ograniczając się do spraw biurokratycznych, typu przepustki, pozwolenia, komunikaty, biuletyny i nudne spotkania z wojskowymi oraz władzami Mandatu, żydowski departament prasy szybko reagował i błyskawicznie zwracał się do każdego zagranicznego dziennikarza, który się tu pojawił.

Znowu pociągnęła łyk, ja nie. Tylko słuchałam. Zachowując odpowiednie proporcje, przypominała mi Rosalindę Fox, którą poznałam w czasach Maroka: pewna siebie, wydająca stanowcze opinie, śmiała i otwarta. Z wyglądu w niczym nie były do siebie podobne: Frances Nash brakowało subtelności mojej przyjaciółki, jej okrągłe rysy były mniej harmonijne, włosy mniej zadbane, a styl, ogólnie rzecz biorąc, daleki od wytworności; miała krótkie paznokcie, ani śladu makijażu i żadnej ozdoby czy dodatku. Mimo to odnosiłam wrażenie, że coś je łączyło i przez chwilę naiwnie sądziłam, że może w żyłach żeńskich poddanych Jego Królewskiej Mości płynęła inna krew niż w naszych, nie przypominałam sobie, bym poznała jakąś Hiszpankę, która byłaby taka śmiała, skuteczna i zdecydowana. Doszłam jednak do wniosku, że może to wynikało z tego, że Angielkom nikt nigdy nie zakneblował ust.

– Wszystko dostarczają nam z *press bureau* Agencji Żydowskiej, wszystko, czego tylko potrzebujemy – podkreśliła. – Kiedy dochodzi do jakiegoś zdarzenia, do ataku, wypadku, czegokolwiek, jeszcze zanim skończy się hałas i opadnie kurz, oni już wydają komunikat prasowy, oczywiście z własną, stroniczą wersją wydarzeń, ale informacje są szczegółowe i kompletne. Kiedy jeden z żydowskich przywódców wygłasza oświadczenie lub przemowę, kopie po angielsku są dostępne od ręki. Jeśli jakaś gazeta prosi o wywiad z jednym z ich przedstawicieli, załatwiają to w ciągu paru dni, czasem godzin. Chcemy na przykład odwiedzić kibuc albo moszawę, zabierają nas tam samochodem, z kierowcą i tłumaczem w pakiecie.

Nawet udostępniają własne biura, z kablami, liniami telefonicznymi i wszystkim, czego potrzebujemy. Mówiąc krótko, wiedzą, jak działać szybko, sprawnie i skutecznie w relacjach zewnętrznych, a to oczywiście jest doceniane.

Dwóch mężczyzn przeszło obok nas, domyśliłam się, że to koledzy.

– Hey, Fran – przywitali się, a ona odpowiedziała, podnosząc rękę.

W dalszym ciągu nie wiedziałam, po co mi to wszystko opowiada, ale nie miałam nic przeciwko temu, by jej słuchać. Absolutnie. Mówiła z pewnością siebie i naturalnością, rozumiałam ją bez problemu, a poza tym nie miałam nic lepszego do roboty w to pierwsze południe reszty mojego życia.

– Na czym to ja skończyłam? – zapytała, upijając kolejny łyk swojego drinka. Pytanie było czysto retoryczne, w przeciwieństwie do mojej absolutnej nieświadomości, ona doskonale wiedziała, do czego zmierza. – Ach, tak. Jak mówiłam, nowy dyrektor brytyjskiego biura prasowego, Dick Stubbs, gdy tylko przyjechał jesienią, żeby objąć swoje stanowisko, zdał sobie sprawę z całkowitego braku skuteczności swoich usług i postanowił je gruntownie przeorganizować. To jest najgorszy okres Brytyjczyków w Ziemi Świętej i nie chcą, żeby informacje, które wypływają stąd w świat, były przychylnie sprawie żydowskiej, a w konsekwencji krytyczne wobec Mandatu Palestyny. I tak mają wystarczający kłopot z licznymi korespondentami wyznania żydowskiego albo otwarcie prosyjonistycznymi przysłanymi tu z zagranicy.

Nie mogłam się powstrzymać i przerwałam jej niezbyt subtelnie.

– A pani...?

– Proszę mi mówić Fran, dobrze?

– W porządku. A ty, Fran, do której strony się przychyłasz?

– Osobiście uważam, że każda ze stron, Arabowie i Żydzi, ma trochę racji w swoich żądaniach. Tak samo jak mają ją zresztą Anglicy. Ale nie na tym polega moja praca, pani Bonnard.

– Mów mi Sira.

– Dobrze, Siro. Moim zadaniem nie jest rozstrzygać, czyje argumenty są ważniejsze, tylko opowiadać o wszystkich rzeczach tak, jak się dzieją, bez przeinaczeń, manipulacji czy sympatii dla jednej lub drugiej strony. Ale prawda jest taka, że prasa światowa

zasadniczo sprzyja Żydom o wiele bardziej niż Arabom i Anglikom, po części dzięki świetnej pracy, jaką wykonuje ich biuro prasowe, i to właśnie próbuje zmienić nowy dyrektor tego miejsca. W tym celu stworzono tu wszelkie udogodnienia dla reporterów, żebyśmy nie byli uzależnieni wyłącznie od szczodrych ofert Agencji Żydowskiej. Dlatego kilka miesięcy temu otworzyli tę ogólnodostępną salę, którą widziałas na górze, zwiększyli liczbę pracowników i poinstruowali ich, żeby wykonywali wszystkie niezbędne działania z największą starannością. Od tamtej pory nawiązali z nami, korespondentami, bardziej płynne relacje pod każdym względem, nawet zapewniają nam zezwolenia, byśmy mogli towarzyszyć wojskowym w niektórych misjach albo podczas przechwytywania łodzi wypełnionych Żydami, które nadal przybijają do wybrzeża.

– I ten bar – wtrąciłam.

– I ten bar – potwierdziła. I dopiła swojego drinka.

Przez kilka chwil siedziałyśmy w milczeniu, aż ona postanowiła przestać wreszcie opowiadać i przejść do rzeczy.

– Télam. Coś ci to mówi?

Nagle zmieniła ton i temat. Pokręciłam głową.

– *Telenoticiosa Americana* – powiedziała w moim języku z fatalnym akcentem. – Znasz Argentynę?

Znowu pokręciłam głową.

– Ale hiszpański, którego tam używają, jest chyba podobny do twojego.

Przypomniałam sobie głos Carlosa Gardela, Celię Gámez śpiewającą tango jeszcze przed *Ya hemos pasao*. Do tego ograniczała się moja nikła wiedza na temat tego dalekiego kraju. I tak, teksty piosenek były dla mnie całkowicie zrozumiałe.

Zbliżała się pora obiadu i lokal powoli się zapełnił: wchodziły małe i większe grupy, wśród nich kilka kobiet, niezbyt dużo. Jeśli wszyscy tu obecni byli dziennikarzami, to nowa polityka brytyjskiego biura prasowego bez wątpienia okazała się trafna. Zostałyśmy przy naszym stoliku; Frances zamówiła kanapki, a ja przyjąłam propozycję, byśmy zjadły razem.

Po pierwszym kęsie porzuciła geograficzną eksplorację.

– Zamierzam z nimi współpracować i potrzebuję kogoś, kto będzie tłumaczył moje teksty z angielskiego na hiszpański. Dokładnie, a przede wszystkim niezwłocznie.

Byłam gotowa parsknąć śmiechem. A więc o to chodziło. Po tym przydługim wstępie, mającym na celu przybliżenie mi świata, w którym się obracała, wreszcie przestała owijać w bawełnę. Potrzebowała tłumaczki, to była jej pilna potrzeba. Początkowo przypuszczałam, że może dowiedziała się o moich krawieckich umiejętnościach albo została wtajemniczona w moją pracę dla SOE przez swoich pracodawców i informatorów.

– Nie jestem tłumaczką – powiedziałam krótko.

– Ale mogłabyś spróbować. Słuchaj, ja nie pracuję dla żadnej konkretnej gazety, tylko jako freelancerka dla korporacji z mojego kraju, Southam Company, do której należy wiele tytułów prasowych. Właściwie nie jestem ich korespondentką, ale po zakończeniu wojny osiadłam tu, w Palestynie, zaproponowałam im swoje usługi i przyjęli prawie wszystkie artykuły, jakie napisałam od tamtej pory. – Wzruszyła ramionami, jakby miała powiedzieć coś oczywistego. – Wiesz, Kanadyjczycy są częścią Commonwealthu i sprawy Brytyjczyków zawsze są dla nas interesujące. Poza tym jeszcze przed apogeum nazizmu w Kanadzie mieszkało ponad sto tysięcy Żydów, a po Holokauście przybyły z Europy kolejne dziesiątki tysięcy, tak więc w mojej ojczyźnie rośnie wrażliwość na wszystko, co dzieje się w tym Eretz Israel, gdzie Żydzi pragną zbudować swój kraj.

Zrobiła pauzę i zapytała:

– Rozumiesz?

Odpowiedziałam, że tak.

– Dobrze, tak więc żyję właśnie z takiej współpracy i muszę przyznać, że radzę sobie całkiem dobrze: zachowuję swoją niezależność, nie słucham żadnych wytycznych ani poleceń, dobrze mi płacą i robię, co chcę. Z drugiej jednak strony praca freelancerki oznacza w pewnym sensie ciągłe balansowanie na cienkiej linii. I dlatego, na wypadek gdyby lina się zerwała albo któregoś dnia bym się potknęła lub wiatr powiałby w przeciwnym kierunku, myślę, że warto byłoby mieć jakiś uchwyt, którego mogłabym się złapać.

Uniosła brwi, jakby znowu pytała: rozumiesz? Tym razem moja mina wyrażała mniejsze przekonanie.

– Podsumowując: potrzebuję więcej pracy. W skrócie właśnie to chcę ci powiedzieć. Otworzyć się na nowe możliwości, nawiązać kolejne współprace. I tu właśnie wchodzi Télam.

Znowu przerwały nam pozdrowienia, jedni przychodzili, inni wychodzili. *Good to see you, Fran; see you soon, Nash*, powtarzało się wiele razy. Ona odpowiadała wszystkim szybkimi gestami. Nie ulegało wątpliwości, że wołała się skoncentrować na naszej rozmowie.

– Dzięki koledze dyplomacie – ciągnęła – dowiedziałam się, że w Argentynie powstała właśnie agencja prasowa pod nazwą Télam. – Spojrzała na mnie, chyba nagle się połapała, kim tak naprawdę jestem: cudzoziemką nieznaną jej świata. – Zanim będę mówić dalej, powiedz mi, czy wiesz, jak funkcjonuje agencja prasowa?

Dzięki mojej długiej relacji z Brytyjczykami byłam dość dobrze zorientowana. Wołałam jednak odpowiedzieć dyskretnym potwierdzeniem.

– Nie kojarzę żadnej z twojego kraju – powiedziała.

– Jest agencja EFE.

Założył ją Serrano Suñer w Burgos pod koniec naszej wojny, kiedy to wtrącał się w tworzenie państwa frankistowskiego, ile tylko chciał; proponował lub odrzucał ministrów, jak zrobił z Beigbederem, i wkładał dużo wysiłku w to, by ze swojego potężnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych utrzymywać żelazną kontrolę informacyjną. Wiedziałam o tym, ponieważ w Madrycie Marcus dość często skarżył się na to, w jak bezczelny sposób zmieniali zagraniczne depesze przy tłumaczeniu, cenzurując je, ignorując lub retuszując wedle swojego upodobania, zanim wychodziły na światło dzienne. Gwiazda Szwagrossimusa ostatecznie szybko zgasła, ale agencja pozostała, działając skutecznie i sprawnie, żeby realizować jego cele.

– EFE, właśnie – potwierdziła. – A poza tym ona chyba jest agencją rządową, więc posłuży za idealny przykład, żeby opowiedzieć ci o Télam, która także jest głównie własnością rządu. W każdym razie to agencja, która może się zacząć szybko rozwijać:

Argentyna nadal jest bogatym krajem w porównaniu z państwami europejskimi; ma pełny skarbiec, bo podczas drugiej wojny światowej zachowała neutralność i zajmowała się eksportowaniem do Wielkiej Brytanii ton mięsa i zboża. Do tej pory wiadomości ze świata Argentyńczycy czerpali z Associated Press i United Press International, wielkich agencji amerykańskich. Ale chcą się w końcu uniezależnić od tych gigantów i mają wystarczająco pieniędzy, żeby móc to zrobić. I w ramach tego planu są zainteresowani korespondencjami z Jerozolimy. Nie wiem, czy to dlatego, że ich ekspansywny projekt jest po prostu tak ambitny, czy ze względu na to, że też mają w kraju setki tysięcy Żydów i chcą być na bieżąco z tym, co robią syjoniści, dokąd płyną łodzie pełne uchodźców i jak narastają te wszystkie napięcia, z którymi mamy tu do czynienia.

Ugryzła kolejny kęs kanapki, skorzystałam więc z okazji, żeby pospiesznie przetworzyć to, o czym mi opowiadała: jeśli świat dziennikarstwa był mi obcy, to jeszcze bardziej obca była mi Argentyna, kraj w Ameryce Południowej, do którego moi rodacy emigrowali od dziesięcioleci, uciekając przed głodem. O złożonej sytuacji w Palestynie wiedziałam niestety bardzo dużo.

– Mój problem – podjęła, nie przełknąwszy jeszcze wszystkiego – polega na tym, że muszę mieć pewność, że będę mogła wysyłać moje relacje od razu po hiszpańsku. I muszę jak najszybciej znaleźć na to sposób, żeby nie przysłali tu nikogo z zewnątrz ani żeby nie ubiegł mnie żaden z moich kolegów. Z góry wiem, że dla wielu z nich taki kontrakt to błahostka; nie wyobrażam sobie, że stara się o niego na przykład wielki Geoffrey Hoare z „The Times”, który jeździ swoim wolsleyem, udając Freda Astaire’a albo jakiegoś ministra, czy wyniosły korespondent „The New York Times” Clifton Daniels. Ale wielu innych, tak jak ja, posiada o wiele słabsze powiązania i także mogą w tym upatrywać całkiem niezłej szansy. Wszyscy jednak mamy jeden zasadniczy problem.

– Żadne z was nie mówi po hiszpańsku.

– Ani słowa. Przypuszczam, że wielu mogłoby liczyć na tłumacza lub tłumaczkę w siedzibie swojej agencji w Londynie czy Nowym Jorku albo na kogoś, kogo zdołaliby sobie załatwić na własną rękę.



Możliwośći by się znalazły, ale wszystkie spowolniłyby proces, a tym samym wiadomości nie docierałyby natychmiast.

Staralam się znaleźć w myślach kogoś, kto mógłby świadczyć jej takie usługi. Konsul Hiszpanii oczywiście nie. Może wicekonsul, który był młody i rzutki, ale nie, też odpada. Nie wiedziałam, czy w Jerozolimie mieszkali dyplomaci albo obywatele innych hiszpańskojęzycznych krajów. Być może jakiś Żyd sefardyjski, który wciąż mówił w ladino, choć z pewnością byłoby mu trudno przejść na dwudziestowieczny hiszpański. Byli również członkowie różnych zakonów, ale też wątpiłam w ich dyspozycyjność.

Nieświadoma moich rozmyślań, Frances przedstawiła swój pomysł z całą stanowczością.

– Ty jesteś jedyna, Siro. Proponuję ci, żebyśmy pracowały ręka w rękę i żebyśmy zostały współpracownikami. Ja przygotowywałabym tekst na podstawie tego samego materiału, który będę wysyłać do mojej kanadyjskiej firmy, nie wymagałoby to ode mnie wiele pracy. Ty przetłumaczyłabyś go szybko na hiszpański, a ja bym dopilnowała, żeby dotarł do Télam; potem podzieliłybyśmy się zarobkiem.

Prawie dziesięć lat wcześniej, jesienią trzydziestego szóstego roku, kiedy osiadłam w Tetuanie z morale na wysokości asfaltu, przepełniona wątpliwościami, szmuglerka Candelaria zaproponowała, byśmy wspólnie otworzyły warsztat krawiecki. Pewnego deszczowego wieczoru w swoim pensjonacie przedstawiła mi szczegóły planu: żeby zainwestować w nasz interes, zamierzała sprzedać mnóstwo pistoletów, czym ostatecznie ja się zajęłam. Kilka lat później, we wrześniu czterdziestego roku, Rosalinda Powell Fox poprosiła mnie, bym współpracowała z wywiadem jej kraju. Umówiła się ze mną w składziku Dean's Bar w Tangerze, z Billie Holiday rozbrzmiewającą z gramofonu, między stosami skrzynek i workami kawy. Zaproponowała mi współpracę z aliantami dla wspólnego dobra naszych krajów.

Teraz w samym środku dnia znajdowałam się w nowoczesnej części Jerozolimy w otwartym niedawno przez Anglików barze z przekąskami, który był naiwną próbą zrównoważenia zaburzonego porządku. Naprzeciwko mnie siedziała kanadyjska dziennikarka,

o której nic nie wiedziałam. Nie mówiła mi o sprzedawaniu pistoletów ani przekazywaniu tajnych informacji, jej propozycja jednak także mnie zaskoczyła. Obawiając się, że była może nazbyt bezpośrednia, zamiast poczekać na moją odpowiedź, Frances Nash wykonała wolte i podeszła mnie z drugiej strony.

– Powiedziałaś mi, że wcześniej pracowałaś. Mogę zapytać, co robiłaś?

Moja odpowiedź była szczerą tylko w połowie.

– Byłam krawcową. Miałam własne atelier.

– Dobrze działało?

– Bardzo dobrze – przyznałam. – Ale to było doraźne zajęcie. Zamknęłam atelier po wojnie.

– I nie brakuje ci tego?

Nie powiedziałam ani tak, ani nie. Ona znowu spojrzała na mnie badawczo, jak gdyby usiłowała przeniknąć do mojego mózgu, żeby się dowiedzieć, jakie myśli się w nim kłębią.

– Mogłybyśmy spróbować, zobaczyć, czy zadziała. Wybacz moją niedyskrecję, ale wczoraj zauważyłam, że ostatecznie nie kupiłaś żadnego biletu. Przypuszczam, że nie wyjedziesz od razu.

Owszem, wybaczyłam jej niedyskrecję. Albo przymknęłam na to oko.

– Wczoraj nie miałam dobrego dnia.

– Ja też nie – przyznała. – Chcę cię przeprosić. Zachowałam się obcesowo, bo byłam zdenerwowana, potrzebowałam bardzo szybko kupić bilet, ale i tak wszystko na nic, ponieważ... – Na jej twarzy pojawił się gest bezsilności. – Mój mąż... mój były mąż potrafi wyprowadzić mnie z równowagi i... Dobra, skupmy się. Powiedz, dlaczego tak trudno jest ci przyjąć moją propozycję?

Mogłabym podać jej wiele argumentów, wszystkie były solidne. Ale ograniczyłam się do jednego.

– Spodziewam się dziecka.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– A w czym ci to przeszkodzi? Cięża to coś wspaniałego, moja droga przyjaciółko. Dodaje siły, zapewnia jasność umysłu, rozświetla duszę...

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ta osobliwa kobieta może być matką. Chyba przewidziała moje przypuszczenie i postanowiła wyprowadzić mnie z błędu. Chwyciła swoją skórzaną torbę, pogrzebała w środku i wyjęła portfel. Nachyliła się w moją stronę i go otworzyła, a potem przytrzymała mi przed oczami.

– Moje dziewczynki – oznajmiła z dumą. Dwie blondynki z kręconymi włosami uśmiechały się na zdjęciu bez śladu nieśmiałości. – Mają trzynaście i jedenaście lat, są w internacie w Kairze, u francuskich zakonnicy w szkole La Mère de Dieu. Ich ojciec, mój...

Przerwała, ponieważ nagle ktoś pojawił się w jej polu widzenia.

– Hey, Nick!

Przywitała się z nim o wiele serdeczniej niż z poprzednimi kolegami i dała mu znak, żeby podszedł do stolika. W miarę jak się zbliżał, w miarę jak docierało do niego, że to ja siedzę z Frances Nash, na pyzatej twarzy Nicka Souttera przez ułamek sekundy zobaczyłam cień zdziwienia.

Podszedł i stanął tuż przy naszych fotelach. Najpierw zwrócił się do mnie, zapytał, jak się czuję, neutralnym tonem powiedział, że cieszy się, iż mnie widzi. Potem odwrócił się do dziennikarki.

– Jesteś podła, Nash.

Ona odpowiedziała wybuchem śmiechu.

– Miałeś całkowitą rację, Soutter. Sira Bonnard to wspaniała kobieta, wie już o mojej propozycji. Teraz musi się tylko zgodzić, czekam na to.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, nawet wycelował w nią dwa palce, w których trzymał papierosa, wyrzucając jej coś bez słów. Jak zwykle miał dość luźno zawiązany krawat, teczki pod pachą i się spieszył. Ostatecznie się powstrzymał i nic nie powiedział.

Nie milczała natomiast Frances.

– Nasz wspólny przyjaciel, moja droga, jest tak naprawdę za to wszystko odpowiedzialny. To on mi o tobie powiedział. O pięknej Hiszpance, która pierwotnie miała współpracować z nim w radiu, ale później wszystko się dramatycznie pokrzyżowało. Wychwalał twoje naturalne zdolności, twój magnetyzm, zrobiłaś na nim wrażenie, a uwierz mi, to nie jest człowiek, którego da się łatwo uwieść. To, że

spotkałam cię wczoraj w biurze podróży Thomas Cook, było jednym z tych cudownych zbiegów okoliczności, które od czasu do czasu zsyła nam niebo.

To wyznanie ani trochę nie spodobało się Nickowi Soutterowi, niezadowolenie malowało się na jego twarzy i nawet tego nie ukrywał. W tym momencie zawołał go ktoś z baru, pożegnał się więc szybko, a my patrzyłyśmy na jego szerokie plecy i pewny krok.

– Paradoksalnie łączą nas rozstania – powiedziała Fran Nash, odchylając się na oparcie fotela. – Ale nie myśl, że Nick Soutter i ja tworzymy związek, skądże. Jesteśmy starymi przyjaciółmi jeszcze z czasów Kairu i oboje przechodzimy teraz trudne chwile, patrząc, jak rozpadają się nasze małżeństwa. To nie jest przyjemne dla żadnego z nas, tak więc od czasu do czasu prowadzimy długie rozmowy przy rozgrzewającej butelce whisky i wyprowadzamy na spacer nasze demony.

**M**inął tydzień, zanim wreszcie dostałam telefon. Nie byłam pewna, czy w ogóle zadzwoni; w niektóre dni wyczekiwałam z niecierpliwością, w inne miałam nadzieję, że nigdy to nie nastąpi.

– *Ready?*

Przełknęłam ślinę.

– Gotowa.

– Świetnie. Zaczynamy jutro.

Usiadłam przed biurkiem i położyłam na blacie otwarte dłonie. Fran Nash właśnie mi potwierdziła, że dostała oficjalną zgodę na przekazywanie swoich relacji jako korespondentka *Télam* w Jerozolimie. Czy raczej: naszych relacji.

Wszystko było zaplanowane; zrobiliśmy próby i przekonaliśmy się, że możemy się uzupełniać bez większych problemów. Żeby być przygotowaną, z biblioteki Berthy Vester pożyczyłam słownik Webstera i miałam jeszcze drugi, dwujęzyczny, który towarzyszył Marcusowi, odkąd przybył do Hiszpanii na początku naszej wojny; mimo że egzemplarz był straszliwie wymięty, bardzo się przydawał.

Jeśli propozycja kanadyjskiej dziennikarki zdziwiła Marcusa albo mu się nie spodobała czy wywołała w nim jakieś obawy, to w żadnym momencie nie dał mi tego odczuć.

– Jesteś pewna? – zapytał jedynie. – W takim razie śmiało.

Pierwszy tekst, nad którym pracowałam, dotyczył, jakżeby inaczej, narastającego żydowskiego oporu, a konkretnie odnosił się do ataku Irgunu na kwaterę brytyjskiej policji, w którym zginęły cztery osoby, a wiele zostało rannych. Nie był to piękny ani długi artykuł – składał się zaledwie z kilkunastu linijek, które zwięźle relacjonowały zdarzenie. Nie podano wyjaśnień, nie przedstawiono tła i znalazło się w nim zaledwie parę informacji nakreślających kontekst. Po prostu konkretna i krótka relacja bez żadnych dodatków. Wykonanie

pracy zajęło mi zaledwie pół godziny, w słowniku musiałam poszukać tylko dwóch słów, żeby potwierdzić, czy intuicja mnie nie zawodzi. Następnie przeczytałam całość co najmniej siedem razy, podmieniłam jakiś wyraz na synonim, skreśliłam dwie czy trzy rzeczy, zmieniałam szyk w jednym zdaniu. Kiedy uznałam, że jest już dobrze, przepisałam cały tekst, złożyłam kartkę, wsadziłam ją do koperty i z balkonu zawołałam młodego Araba, który czekał na dziedzińcu z rowerem opartym o fontannę.

Za pół godziny Nash będzie miała tekst na stole. Za czterdzieści minut będzie go nadawać przez telegraf i moje słowa przemierzą morza i pustynie, łańcuchy górskie i ocean, aż dotrą do Buenos Aires, pod numer sto czterdzieści przy ulicy 25 de Mayo. Tam, na trzecim piętrze, w biurze z niewielką liczbą pracowników i nowymi meblami, bardzo blisko Banco Nación i rzut kamieniem od Casa de Gobierno, ktoś odbierze telegram pochodzący z dalekiej Jerozolimy i rozpowszechni jego treść w mediach w całej Argentynie. Nie spodziewaliśmy się tylko, że zostanie przyćmiony przez obszerne relacje związane z wyborami powszechnymi, które w tym czasie odbywały się w kraju i które miały przynieść pierwsze zwycięstwo generałowi Juanowi Domingowi Perónowi. Mimo to wiadomość tam była, gotowa dla osób zainteresowanych naszymi wydarzeniami.

Depesza była podpisana przez Frances Quiroge. Takiego właśnie nazwiska postanowiliśmy używać: *le nom de plume*, jak powiedziała moja koleżanka, pseudonim literacki. Dzięki nazwisku Quiroga zapewnialiśmy korespondencji hiszpański głos, a przy okazji ja odzyskałam to, które utraciłam w moim nowym życiu mężatki i w moim poprzednim życiu oszustki. Frances z kolei brzmiało dwuznacznie, nieco męsko, co prawdopodobnie zapewniałoby większy spokój szefostwu Télam, gdyby nie wiedzieli, że za tymi depeszami stoi kobieca dusza. A dzięki temu ja – podsumowała – nie ujawniam się bardziej, niż powinnam.

Wczesnym popołudniem Frances Nash zjawiała się w American Colony bez uprzedzenia. Żeby uczcić nasz debiut, jak oznajmiła. Potem zapytała o bar.

– Nie ma – odpowiedziałam.

Nasz hotel rozpoczął działalność jako część chrześcijańskiego projektu o niemal misyjnym charakterze. Z czasem zamienił się w wygodne zakwaterowanie, ale w niektórych kwestiach Bertha Vester była stanowcza i wzbraniała się przed zmianą charakteru tego miejsca.

– W takim razie wychodzimy. Wkładaj płaszcz, no już.

Pojechałyśmy w stronę centrum, tłukąc się jej starym jeepem, który dywizja jakiegoś wojska uznała prawdopodobnie za bezużyteczny po zakończeniu wojny. Było przenikliwie zimno, przez całą drogę trzymałam się za brzuch, zatrwożona, obwiniając się o lekkomyślność. Ona być może nie miała nic przeciwko pozbawieniu swoich córek matki, gdyby dachowała w przydrożnym rowie, ale ja myślałam tylko o tym, żeby ochronić własne dziecko.

– Nie bądź mięczakiem, Quiroga! – krzyknęła, objeżdżając wybój.

Potem minęła kilkoro dzieci, które nam pomachały, oraz stado owiec. Wjechała do nowoczesnej części miasta i w końcu zaparkowała na Zion Square, naprzeciwko jednego z wielkich okien kawiarni Europe.

– Tutaj mają najlepszy *sachertorte* w Jerozolimie. Cukiernik był właścicielem dużej ciastkarni w Wiedniu. Sądząc po twojej minie, będziesz wdzięczna za to, że nasz toast zamienimy na porządną dawkę cukru.

Usiadłyśmy, przyniesiono zamówienie. Zwróciła się do mnie w tej samej chwili, gdy podnosiłam widelczyk do ust.

– Mogę zadać ci pytanie? Naprawdę nigdy wcześniej nie zajmowałaś się tłumaczeniem, pisaniem albo...?

Ciasto czekoladowe musnęło moje podniebienie smakiem, który ponoć miał być wyśmienity, ale ja prawie go nie wyczułam. Na zmysł smaku nałożyła się bowiem wątpliwość – nie wiedziałam, do jakiego stopnia powinnam być z nią szczerą.

– Chociaż prawie nie znam hiszpańskiego, myślę, że mogę ocenić twoją pracę. Moją uwagę zwróciło to, że... – Zawiesiła głos, jakby szukała sposobu, żeby wyrazić się precyzyjniej. – Ta zwięzłość w budowaniu zdań, staranność w operowaniu słowem. – Zrobiła pauzę, a potem stwierdziła: – Nie wyglądasz na początkującą.

Ile ważnych informacji przechwyciłam z ust moich niemieckich klientek w Madrycie? Ile pospiesznych komentarzy zamieściłam później w moich notesach? Ile nocy spędziłam na składaniu tych notatek w zwięzłe i spójne zdania, zostawiając tylko rzeczy najistotniejsze? Setki, tysiące wiadomości, które później zamieniałam w kilometry kropek i kresek, nigdy ich nie liczyłam. I tak dzień po dniu, noc po nocy, prawie pięć lat pracy z cichym poświęceniem.

– Może to dzięki notatkom w mojej pracy krawcowej – zasugerowałam z fałszywą niewinnością.

SOE rozwiązano, gdy tylko siły Osi zostały pokonane, wtedy też zakończyłam moją misję jako tajna współpracowniczka. Z wyjątkiem Marcusa nigdy z nikim nie rozmawiałam na ten temat. I nadal nie zamierzałam tego robić.

Fran Nash spojrzała na mnie podejrzliwie, coś jej nie pasowało.

– Twój mąż pracuje dla wywiadu, prawda?

Oczywiście, że tak, zawsze dla nich pracował. Przedtem, w Hiszpanii, dla MI6. Teraz dla Defence Security Office, lokalnego oddziału MI5. W służbie Jego Królewskiej Mości i pod bezpośrednimi rozkazami sir Gylesa Ishama. Na pewno mogła to sprawdzić bez większych trudności. Ode mnie jednak nikt nigdy się tego nie dowie.

– Sama musiałabyś go zapytać. A właśnie, nie może się doczekać, kiedy cię pozna.

Roześmiała się.

– Za dobrze robisz uniki, Quiroga, żeby być zwykłą krawcową, jak twierdzisz. Koniec końców wszyscy trzymamy w szafie jakiegoś trupa. Najgorsze jest to, że czasami ktoś otwiera drzwi.

– A ty jakie trupy masz w swojej szafie, jeśli wybaczysz mi moją bezpośredniość, koleżanko?

Znowu się roześmiała, choć na koniec w kącikach jej ust pojawił się ślad melancholii.

– Co najmniej tuzin.

Spojrzała przez okno. Zapadał zmierzch, ludzie wychodzili z biur i zakładów przy Zion Square, zawsze tętniącego życiem. Brytyjski policjant kierował ruchem. Na chodnikach dziewczyny, chłopcy, kobiety i mężczyźni, którzy robili ostatnie zakupy, kierowali się



w stronę przystanków autobusowych albo stali w kolejce do kina lub szli w różnych kierunkach do swoich domów, dzielnic na zachodzie, południu, północy, obszarów zamieszkanym przez Żydów różnego pochodzenia i oddzielonych od siebie dużymi polami pełnymi ostów, kamieni i wyschniętej ziemi.

– Właśnie skończyłam trzydzieści cztery lata – powiedziała, odwracając się z powrotem w moją stronę. – Musiało minąć ponad dziesięć lat, zanim zaczęłam pisać własne teksty, ale jestem związana z tym światem od dwudziestego pierwszego roku życia, kiedy to rozpoczęłam pracę jako korektorka w „The Globe and Mail” w Toronto i przyszedł mi do głowy absurdalny pomysł, żeby zakochać się w żonatym dziennikarzu, starszym ode mnie o siedemnaście lat, który na dodatek był moim szefem. – Na jej twarzy pojawił się grymas gorzkiej ironii. – Pewnie sama wiesz, jak ślepa i głupia bywa czasami miłość. Kiedy zaproponowano mi stanowisko korespondenta na Bliskim Wschodzie, wybrałam się za Atlantyk razem z nim. Zamieszkaliśmy w Kairze, wynajęliśmy piękny dom, wstąpiliśmy do Gezira Club i włączyliśmy się w intensywne życie towarzyskie egipskiej stolicy, zresztą znacznie bardziej ożywione niż to w Jerozolimie. A poza tym sprowadziliśmy na świat dwie córki, mimo że on od początku pokazywał mi swoją drugą twarz. Tam spędziliśmy bardziej i mniej niespokojne dni wielkiej wojny, stamtąd też on wyjeżdżał do Bukaresztu, Trypolisu, Bejrutu, Aten, ciągle był w drodze, łącząc pracę z mroczną depresją, kochankami i pijaństwem; straciłam rachubę, ile tekstów sama przygotowałam i wysłałam z jego podpisem, podczas gdy on nie chciał wstać z łóżka albo spędzał całe dni w ogrodzie, drzemiąc w hamaku, pogrążony w smutku albo na kacu.

Mówiła bez przerwy z nagą szczerością. Ja tylko obserwowałam jej jakby metaliczne oczy i kanciastą twarz.

– Wytrzymałam tyle, ile mogłam, ale dla własnego zdrowia psychicznego uznałam, że to się musi skończyć, i sama wyznaczyłam termin: klęska Niemiec miała przynieść koniec mojego małżeństwa. Zorganizowałam się, przygotowałam dziewczynki, są bystre, wspaniałe, mimo swojego wieku doskonale rozumiały sytuację. Bez żadnego problemu zgodziły się zostać na jakiś czas w internacie

u katolickich zakonnic, niech Bóg je błogosławi, kiedy ich matka wyruszyła w świat i znowu zaczęła oddychać.

Umilkła na kilka sekund, jak gdyby nagłe wspomnienie córek nie pozwalało jej poruszyć tego tematu mimochodem i wymagało nieco dłuższego zastanowienia.

– Staram się odwiedzać je raz w miesiącu – podjęła po chwili. – Zawsze witają mnie tak, jakby przyszedł do nich Święty Mikołaj, nigdy nie usłyszałam z ich ust słowa skargi czy wyrzutu. Jestem przekonana, że to było najlepsze rozwiązanie dla nas trzech, nieskończenie bardziej znośne niż mieszkanie ze sfrustrowaną i rozgoryczoną matką, która powoli opada z sił. Żeby serce mi nie pękło, w dniu, w którym zostawiłam je w szkole, zorganizowałam wielkie pożegnalne przyjęcie, a następnego dnia wsiadłam w pociąg. Teraz mieszkam w małym studiu w Austrian Hospice. Prawie nie mam mebli, żadnego komfortu ani służby domowej. Mimo to, z wyjątkiem dziewczynek i kilkorga przyjaciół, nie tęsknię prawie za niczym z mojego poprzedniego życia. Czuję się dobrze, wolna, żywa. Tylko ojciec moich córek jest na mnie wściekły za to, że go zostawiłam; ten idiota nie rozumie, że swoją złością jeszcze bardziej motywuje mnie do tego, by iść do przodu, starać się i każdego dnia być coraz lepszą.

Godna podziwu Frances Nash, pomyślałam. Godna podziwu z powodu odwagi i niesamowitego braku jakichkolwiek obaw. A przynajmniej tak sądziłam, aż ośmieliłam się zapytać ją o to wprost.

– Naprawdę nie przejmuję cię strachem to wszystko, co się dzieje?

– Przeraza mnie – przyznała. – To, co się dzieje na co dzień i co może się stać później. Ale trzeba się nauczyć żyć ze strachem, moja droga. W przeciwnym razie zatoniemy.

Mijała reszta zimy tego czterdziestego szóstego roku, podczas gdy ja nosiłam w sobie życie, dalej słuchałam mojego radia i tłumaczyłam teksty, które traktowały o sporach, okrucieństwach i nikłych szansach na optymistyczny finał. Czasami spotykałam się z Fran Nash w związku z jej pracą i rozmawiałyśmy godzinami; innym razem ona poświęcała się swoim obowiązkom, wybierała się w odwiedziny do córek bądź jeździła do kibuców, arabskich wiosek albo do Tel Awiwu czy innych miast, a ja nie widywałam jej całymi tygodniami. Muezini nadal wzywali z meczetów na modlitwę, dzwony kościołów chrześcijańskich codziennie przywoływały swoich wiernych, a z pobliskiej ultraortodoksyjnej dzielnicy Mea She'arim o zmierzchu w każdy piątek słyszałam ogłoszenie początku szabat.

Równocześnie z biegiem dni i codziennych spraw środki bezpieczeństwa w Jerozolimie stawały się coraz surowsze. Anglo-Amerykański Komitet Badawczy, powołany kilka miesięcy wcześniej w celu zajęcia się sprawą tych uchodźców, którzy domagali się pozwolenia na wjazd, w końcu opublikował swoje wnioski: sto tysięcy Żydów powinno być natychmiast wpuszczonych do Palestyny.

Brytyjczycy stanęli więc przed diabelską alternatywą: gdyby zastosowali się do wytycznych komitetu i zezwolili na masowe przybycie uchodźców, zadowoliliby Hebrajczyków i Amerykanów, ale spotkaliby się z wrogością miejscowych Arabów oraz tych z krajów ościennych, których terytorium przecinał Kanał Sueski i gdzie znajdowały się tak pożądane szyby naftowe. Gdyby natomiast odmówili przyjęcia tych wszystkich Żydów, uszczęśliwiliby Arabów, ale złamaliby warunek Stanów Zjednoczonych, u których wciąż mieli zaciągnięte spore pożyczki i od których w znacznej mierze zależała odbudowa gospodarki Zjednoczonego Królestwa. Tymczasem, gdy

dni stawały się dłuższe, a temperatury rosły, na horyzoncie Morza Śródziemnego nieustannie pojawiały się nowe statki pełne ludzi ocalałych z komór gazowych, którzy szukali tu przyszłości. Niektórym udawało się potajemnie przybić do brzegu, wielu innych pozostawało na łasce wiatrów, stłoczonych na pokładzie rozklekotanych łodzi, bezbronnych i niepewnych jutra.

Ostatecznie szala przechyliła się na stronę tej drugiej opcji: laburzystowski premier Clement Attlee ogłosił, że Wielka Brytania nadal nie zgodzi się na masowy napływ uchodźców. Wobec odmowy w Palestynie natychmiast nasiliły się ataki terrorystyczne zbuntowanych Hebrajczyków przeciwko Brytyjczykom. Napady, sabotaże, porwania, rabunki, bezpośrednie zamachy na konkretne instytucje i osoby wskazane z imienia i nazwiska. Kradzież broni, amunicji i wszystkiego, czym można wyrządzić szkody: żelatyna wybuchowa, dynamit, trotyl, butelki z benzyną.

W odpowiedzi policja i wojsko Jego Królewskiej Mości dołożyły wszelkich starań, żeby znaleźć winnych: szukano ich w miastach i osadach, wszędzie były lotne punkty kontrolne oraz rewizje w kibucach, wioskach, anonimowych mieszkaniach na przedmieściach, w zaułkach, na dachach, w piwnicach, w magazynach i na zapleczach. Mieli szczegółowe dane: nazwiska, pochodzenie, wiek. Czesi, Polacy, Rosjanie, Austriacy, Irakijczycy, Niemcy w wieku dziewiętnastu, dwudziestu, dwudziestu dwóch, dwudziestu pięciu lat. Ich rysopisy wieszano na ścianach wszystkich komisariatów, oferowano rekompensaty za informacje o miejscu ich pobytu: dwieście, trzysta, pięćset funtów. Ale nikt nie puszczał pary z ust. Nikt nie współpracował, Żydzi nie chcieli się w to angażować, nie chcieli donosić na swoich, twardo okazywali solidarność, a tym samym sprzeciw wobec polityki nieprzyjmowania rodaków i odsyłania ich do obozów dla uchodźców w Europie.

Każdego poranka mnóstwo młodych Hebrajczyków, chłopców, dziewcząt, a nawet dzieci, wychodziło na ulice, żeby rozdawać ulotki i rozklejać ogłoszenia na latarniach i słupach albo wypisywać kredą na fasadach hasła przeciwko niegodziwym poddanym perfidnego Albionu. Często zwracali się również do Arabów, w ich języku,

obiecując im, że zostaną dobrze przyjęci w ramach przyszłego państwa hebrajskiego, o które oni nie przestają walczyć.

Władze brytyjskie zaczęły układać barykady z worków z piaskiem i rozwijać koncertyny, żeby chronić swoje obiekty w Jerozolimie. Żołnierze w mundurach khaki, beretach i uzbrojeni w *tommy guns* pilnie strzegli ulic; wojskowi w jeepach, czołgach i pojazdach opancerzonych patrolowali miasto o każdej porze, syreny wyły złowrogo. Dwa kolejne sygnały ostrzegały przed nieuniknioną akcją terrorystyczną. Wtedy na ulicach natychmiast zamierał ruch i wszyscy próbowali znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Później jeden dłuższy sygnał informował, że zagrożenie minęło, i życie znowu toczyło się dalej.

Ze względu na kłopoty z wykryciem sprawców w dzielnicach żydowskich wprowadzono godzinę policyjną: w ten sposób chciano ułatwić sobie rewizje w poszukiwaniu broni i bojowników. Ludzie bez przerwy organizowali protesty – karano bowiem niewinną większość za barbarzyństwo powodowane przez garstkę ekstremistów. Mimo to o wyznaczonej godzinie, zwykle o szóstej wieczorem, cała ludność żydowska zamykała swoje sklepy i znikła z ulic, wracając do domów; nie wolno im było wychodzić do własnych ogrodów ani nawet zbliżać się do okien. Mężczyźni, kobiety, dzieci, staruszkowie – nie miało znaczenia, czy chodziło o pracowników, przedsiębiorców, kupców czy bezrobotnych, rozkaz dotyczył wszystkich bez wyjątku. To właśnie PBS, publiczne radio Mandatu Palestyny, oficjalnie ogłaszało na antenie godziny policyjne, przypominając o nich regularnie. Równocześnie policja objeżdżała ulice miasta, uporczywie powtarzając przez głośniki po angielsku i hebrajsku komunikat o surowym zakazie wychodzenia z domu.

Kiedyś byłam świadkiem, jak mnóstwo matek biegło do swoich domów, ciągnąc za sobą dzieci, gdy kończyło się ostatnie pół godziny, w obawie, że jeśli nie zdążą na czas, zostaną zatrzymane, co siły porządkowe zwykle robiły bezceremonialnie i bez wahania. Ponad siedemdziesiąt tysięcy Żydów dzień w dzień musiało się dostosowywać do tych surowych restrykcji, zamknięci w swoich domach – zarówno ci ściśnięci w małych mieszkaniach, jak

i mieszkańcy bogatych willi czy skromnych niskich domów zbudowanych z betonowych płyt – wszyscy milczący i posłuszni, za opuszczonymi żaluzjami i zamkniętymi bramami, czytali gazety napisane w języku proroków, słuchali radia z głośnością na minimalnym poziomie, jeśli mieli szczęście i posiadali urządzenie, upokorzeni, przestraszeni, rozmawiający szeptem w ciemności. Wtedy do akcji wkraczały uzbrojone patrole policji, z reflektorami, latarkami i psami. Bez względu na to, do czyich drzwi zastukali, bez względu na porę, mieszkańcy domu mieli obowiązek otworzyć. I wpuścić ich do środka bez słowa sprzeciwu.

Godzina policyjna obowiązywała do samego rana, gdy radio i megafony obwieszczały jej koniec: wtedy żaluzje się podnosiły, sklepy i warsztaty znowu się otwierały, życie żydowskich mieszkańców ponownie wracało do normy i rozpoczynali kolejny pracowity dzień pełen powszednich zajęć przeplatanych wyrażaniem oporu. Bojowy zapach syjonistów był niezłomny, wydawało się, że wszystko da się znieść, gdy na horyzoncie jest perspektywa utworzenia własnego państwa.

Kiedy wiosna na dobre zagościła w Palestynie i pobliskie wzgórza zapełniły się makami, a powietrze stawało się cieplejsze za sprawą wiejącego z pustyni chamsinu, ja dalej tłumaczyłam teksty, które były przesyłane do Argentyny, i to coraz częściej, w miarę jak w Jerozolimie nasilały się rozruchy. Przygotowywałam również ubrania dla mojego dziecka, teraz, gdy znacznie już urosło: malutkie ciuszki z bawełny i batystu szyte drobnym ścięciem, owijki i pościel. Nasze życie towarzyskie nie zamarło. Odnosiło się wrażenie, jakby Brytyjczycy i reszta obcokrajowców próbowali opanować nerwy i przegonić strach, wypełniając kalendarz spotkaniami, zebraniem, *soirées* i kolacjami. W publicznych lokalach i prywatnych rezydencjach, pośród likierów, papierosów i talerzyków z *mezze*, wszyscy rozmawiali, dyskutowali, sugerowali, wyjaśniali, komentowali, kwestionowali i przewidywali.

Ludzkie namiętności pozostały więc żywe, niekiedy bezwstydnie publiczne, jakby panujące napięcie sprawiło, że chłodni Anglicy utracili wstydlivość i powściągliwość. Opowiadano, że żona ważnego urzędnika Sekretariatu ma gorący romans z przystojnym

Arabem, członkiem potężnej rodziny Nusseibeh. Że dyrektor British Electric Company odmawiał zakończenia pozamałżeńskiego związku ze swoją żydowską sekretarką. Że generał sir Evelyn Barker, naczelny dowódca wojsk brytyjskich w Palestynie i Transjordanii, był do szaleństwa zakochany we wspaniałej Katy Antonius, każdego wieczoru tańczyli *cheek to cheek* i każdego poranka on pisał do niej namiętny list miłosny na papierze z nagłówkiem armii.

Ale frywolności na bok. Prawda była bowiem taka, że zagrożenie terrorystyczne wisiało nad głowami tych wszystkich, wśród których się obracaliśmy. I Marcus, chociaż przy mnie udawał, że jest taki sam jak zawsze, i starał się ukryć przede mną swoje obawy, mimowolnie dawał do zrozumienia, że wszystko zmierza ku przepaści. Jadł mało i palił dużo, kości policzkowe zaczęły mu się odznaczać, a te niewielkie fałdy w kącikach ust wskazujące wchodzenie Marcusa w wiek dojrzały zamieniły się w bruzdy. Już nigdy nie opuszczał hotelu bez pistoletu, codziennie wychodził i wracał o innej godzinie, inną trasą, w innym samochodzie. Źle spał, wstawał w środku nocy i, żeby mi nie przeszkadzać, wymykał się cicho do pomieszczenia przyległego do sypialni. Ale mój sen też był lekki w tym czasie, gdy zaczynało się robić gorąco, a mój brzuch stał się ciężki, więc trudno mi było znaleźć odpowiednią pozycję i musiałam wstawać do łazienki.

Przez szparę pod drzwiami codziennie w środku nocy widziałam światło z pokoju po drugiej stronie, kiedy pisał lub rozmyślał podczas bezsennych godzin przy otwartym oknie. Martwiłam się, że nie mogę mu pomóc, ogarniało mnie wtedy uczucie głębokiego niepokoju i chwytałam się za brzuch. W takiej pozycji, w ciemności, mocno zaciskałam powieki i błagałam Jahwe jednych i Allaha drugich oraz Boga chrześcijan, żeby coś zrobił, by na tej ziemi zapanowały pokój i rozsądek. Niestety, udawał, że nie słyszy.

W nocy z szesnastego na siedemnasty czerwca w naszym apartamencie zadzwonił telefon. Marcus ubrał się w biegu, z trudem zdołał mnie uspokoić i szybko wyszedł. Hagana, organizacja wojskowa Agencji Żydowskiej, zniszczyła właśnie wszystkie mosty, które łączyły Palestynę z sąsiednimi krajami; mosty, które często pokonywały pojazdy brytyjskiego wojska, zostały jednocześnie

wysadzone dynamitem w znaczącym akcie, mającym być przypomnieniem dla władz Mandatu Palestyny i rządu Attlee o sile hebrajskiej rebelii.

Z powodu napięcia i nastrojów na krawędzi wybuchu wysoki komisarz Cunningham, na którego oficjalnym zaprzysiężeniu w Government House byliśmy kilka miesięcy wcześniej, poprosił Londyn o zgodę na przeprowadzenie stanowczego kontrataku. Po kilku dniach potajemnych przygotowań, w sobotę dwudziestego dziewiątego czerwca, w Palestynie odbyło się to, co Brytyjczycy nazwali operacją „Agatha”, a w pamięci Żydów zapisało się jako czarny szabat.

O godzinie czwartej piętnaście, przed wschodem słońca, siły brytyjskie skierowały się do wyznaczonych celów; PBS przez cały poranek bez przerwy powtarzało ten sam komunikat. Z założenia główny plan polegał na zajęciu siedziby Agencji Żydowskiej, lecz nie był to jedyny cel. Tamtej soboty i w ciągu kolejnych dni tysiące żołnierzy i policjantów aresztowało w całej Palestynie tysiące Żydów podejrzanych o związki z terroryzmem, równolegle skonfiskowano broń i mnóstwo dokumentów. Wysoki komisarz przemówił w radiu, później się dowiedziałam, że to Nick Soutter zajmował się tą transmisją. Zatrzymania nie były wymierzone w całą społeczność żydowską – jak przekonywał Cunningham – a wyłącznie w uczestników kampanii przemocy i osoby odpowiedzialne za podżeganie do nich.

Operacja trwała do jedenastego lipca. Potem wojska brytyjskie wróciły do swoich koszar, pozostawiając Jiszuw, społeczność żydowską, zranioną i wstrząśniętą. Następnego poranka ulice zapełniły się dziećmi, które całymi garściami rozrzucały na ulicach gwoździe, żeby przebić opony w policyjnych pojazdach, oraz młodymi ludźmi z twarzami zasłoniętymi chustami, gotowymi rozklejać plakaty na wszystkich widocznych powierzchniach. *NaziBritish. Fascist Hooligans. Exterminators.* Policję nazwali *The British Gestapo*; wojsko – *The British SS*. Były również nawiązania do wersów z Księgi Wyjścia: życie za życie, oko za oko, ząb za ząb... Na innych ulotkach zapowiadano, że opór syjonistów dopiero się rozpoczął.



W gorącym zakurzonej powietrzu wczesnego lata zawisła złowieszcza niepewność: kiedy dojdzie do odwetu na Anglikach.

**M**niej więcej tydzień później, kiedy minimalnie przycichł hałas związany z operacją „Agatha”, wybraliśmy się na przyjęcie pożegnalne kolegi Marcusa, weterana, który odchodził z czynnej służby i którego nazwisko zatarło mi się w mgłę pamięci. Był sobotni wieczór; kolega zorganizował spotkanie razem z żoną w swojej rezydencji na osiedlu Talbija. Było około dwadzieścioro gości, może trochę więcej, jak zawsze liczniejsi byli mężczyźni, sami Brytyjczycy, oprócz mnie – przywykłam już do mojej odmienności. Niektórzy byli dojrzali, inni mniej, niektórzy przyszli z kimś, inni sami. Mężczyźni mieli na sobie białe smokingi, kobiety – odsłonięte ramiona; ja tego samego popołudnia musiałam poszerzyć sobie sukienkę, żeby się w nią zmieścić.

Przywitano nas komplementami i gratulacjami z powodu mojego stanu. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni powtarzali, że wyglądam promiennie w końcowym okresie ciąży; pełne podziwu spojrzenie jednego z panów na mój dekolt nie pozostawiało wątpliwości co do wiarygodności tych słów. W ogrodzie, między palmami, figowcami i cyprysami, podano aperitify. Przez chwilę myślałam o tym, że w przyszłości chciałabym zamieszkać z Marcusem, naszym dzieckiem i kolejnymi latoroślami, które pojawią się później, w równie pięknym domu, ale w innym miejscu na świecie, daleko stąd, gdzie nie słychać pojedynczych strzałów, kiedy podawane są koktajle, ani serii z karabinów wymieszanych z brzękiem tac z przekąskami. Kiedy usiedliśmy do stołu, wszystko wyglądało z pozoru normalnie: obsługa, jedzenie, wyważony ton głosu gości, elegancja w granicach rozsądku. Mnie natomiast wciąż zdumiewał stoicyzm tych ludzi.

Z początku rozmowy toczyły się na rozmaite tematy, szybko jednak skupiły się tylko na jednym: tym, co zwykle w ostatnim

czasie, a więc roli Wielkiej Brytanii w Palestynie i możliwości rozwiązania kryzysu, którego sedno wydawało się niezniszczalne i coraz bardziej opancerzone. W obliczu wyjazdu rodaka, na którego cześć wydano tę kolację, jedyne, co czułam, to zazdrość, czystą i szczerą zazdrość.

W niedzielę planowaliśmy wybrać się na basen w hotelu Semiramis. Marcus mógłby się zrelaksować w wodzie, a ja odpoczywałabym w cieniu białej płóciennej markizy, popijając soki owocowe albo herbatę z lodem. W ostatniej chwili jednak coś mu wypadło, nie powiedział, co dokładnie, ale musiał wyjść. Egoistycznie się ucieszyłam. Miałam trudności z wsiadaniem do samochodu i wysiadaniem, bolały mnie miednica, okolica nerek, górna część pleców. Na tym etapie ciąży wszystko już było dla mnie nieznośne.

Wczesnym popołudniem wrócił do American Colony, lecz nie po to, żeby odpocząć. Po niespełna półgodzinie przyjął kogoś, później dołączyli jeszcze dwaj inni mężczyźni. Inaczej niż poprzednio, teraz wolał nie spotykać się z kolegami czy kontaktami, czy kimkolwiek oni byli, w bibliotece, tylko w naszym apartamencie, zapewniając sobie większą prywatność. Nie potrzebowałam żadnych wyjaśnień, dyskretnie się ulotniłam.

Niezdarnym krokiem, trzymając się poręczy schodów, zesłam na parter, przemierzyłam główny westybul aż do dużego salonu i usiadłam pod jednym z wentylatorów. W jednej ręce trzymałam powieść Grahama Greene'a, a w drugiej torebkę z robótkami. Przez dłuższą chwilę nie otworzyłam jednak żadnej z tych rzeczy. Siedziałam w fotelu z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą ku sufitowi, z rozsuniętymi udami i zwisającymi rękami, przyjmując chłodne powietrze, którym w znużonym rytmie poruszały drewniane łopatkki. Na szczęście w salonie nie było nikogo innego: moja pozycja była bowiem nieelegancka, wręcz nieprzyzwoita. Z odrobiną gorzkiej ironii rozmyślałam, czy kiedyś odzyskam talię, kostki, pełne wdzięku zakładanie nogi na nogę.

Poród się zbliżał. Ostatni tydzień sierpnia – oznajmił podczas poprzedniego badania lekarz, który przyjmował mnie w Government Hospital, ponury Szkot, od którego nigdy nie wyczułam choćby

odrobiny empatii, na wszystkich wizytach traktował mnie z chłodnym dystansem. Pomimo jego kalkulacji nie byłam przekonana, czy moje ciało wytrzyma tak długo, z tym ogromnym obniżonym brzuchem, twardym niczym wielki kamień.

Ci, z którymi Marcus się spotkał, wyszli w końcu o zmierzchu, tak samo dyskretnie jak przyszli. Kiedy szukając mnie, zajrzał do biblioteki, bez marynarki, w pogniecionej koszuli z podwiniętymi rękawami, na jego twarzy zauważyłam ogromne zmęczenie. Zapropnowałam, byśmy zjedli kolację na dziedzińcu, on wymamrotał wymówki, ostatecznie jednak zdołałam go przekonać.

Podczas kolacji lekceważyłam moje dolegliwości i skoncentrowałam się na jednym: byśmy spędzili miłe, względnie przyjemne chwile, jakbyśmy byli zwyczajną parą w normalnym otoczeniu. Dziedziniec zapewniał nam złudne wrażenie, że znajdujemy się w małym raju: kołysani szumem fontanny, oświetleni lampionami, które wypuszczały tańczące cienie na złotych kamiennych ścianach, otuleni zapachem drzewek pomarańczowych i jaśminu. Nacisk brzucha na miednicę stał się nie do zniesienia, a moje biedne plecy wprost wołały, żebym się położyła, lecz moja wola zwyciężyła i nadal dzielnie się trzymałam. Wydawało się, że nawet dźwięki strzałów postanowiły zawrzeć z nami rozejm i pozwoliły nam spokojnie porozmawiać o przyziemnych sprawach naszej powstającej rodziny. Czy dziecko będzie chłopczykiem o jasnych włosach i anglosaskich rysach, czy dziewczynką w typie Hiszpanki, delikatną oraz ciemnowłosą? Czy nadamy mu imię Mark, a może zdecydujemy się na Gonzalo, jak dziadek Marcusa ze strony matki? Damy jej na imię Olivia, jak jej ekstrawagancka londyńska babcia; María, jak tamta, która powiła Boże Dziecię dwa tysiące lat wcześniej na tej samej ziemi, a może Sira – moje imię, które zostało po prostu wzięte z kalendarza bez żadnego uzasadnienia?

– Podejmiemy decyzję, kiedy zobaczymy twarz dziecka – stwierdził Marcus.

Potem podniósł kieliszek wina w geście toastu, a na jego twarzy wreszcie pojawił się lekki zmęczony uśmiech. I mimo że akurat w tym momencie poczułam ostre ukłucie w najniższej części

brzucha, zacisnęłam uda i zdołałam znieść ból, nie dając po sobie niemal niczego poznać.

Trochę nam zajęło, zanim dostaliśmy się do naszego pokoju; pokonanie każdego schodka było dla mnie ogromnym wysiłkiem. Położyliśmy się, zostawiając balkon otwarty na noc, Marcus przytulił się do moich pleców. Oboje byliśmy nieświadomi tego, co ten gest będzie oznaczał, oboje nie znaliśmy jego wagi.

– Nie wychodź... – wymamrotałam.

Właśnie zaczęło świtać, delikatne światło sączyło się przez okiennice. Nadal leżałam, w te dni wstawałam późno, żeby nie dłużyły mi się tak bardzo. On stał obok łóżka, gotowy do wyjścia, jakby zaczynał się kolejny zwyczajny dzień pracy. Pociągnęłam go za marynarkę, sprawiając, że się nachylił, sięgnęłam nagą ręką do jego karku i zatopiłam palce w jego włosach. Przysunął się, pocałował mnie w usta, odgarnął kosmyk z mojej twarzy. Później podniósł kołdrę i położył dłoń na brzuchu.

– Wróć, żeby zjeść z tobą obiad – wyszeptał mi na ucho.

Znowu zasnęłam, z jego słowami unoszącymi się we mgle wczesnoporanego snu.

Około dziesiątej wstałam powoli i otworzyłam okiennice, żeby dzień mógł wpaść do sypialni. Jeszcze z półotwartymi oczami położyłam sobie ręce na biodrach i wygięłam plecy. Było już bardzo ciepło, do moich uszu docierały pochrząkiwania, piski i ryki zwierząt z tylnych zagród. Jak co rano zaczęłam sobie przygotowywać kąpiel. Podczas gdy woda lała się strumieniem z odkręconego kranu, stojąc bosy na zimnych płytkach, podniosłam ręce, żeby zebrać sobie włosy w kok. Z profilu przed lustrem obserwowałam moje potężne i nagie ciało.

O tej samej porze w jakimś pomieszczeniu w peryferyjnej dzielnicy żydowskiej ośmiu młodych ludzi zdejmowało swoje codzienne ubrania. Jasne koszulki z krótkimi rękawami i spodnie khaki rzucili na sienniki albo położyli na oparcia krzesel. Włożyli niebieskie kombinezony, takie same, jakie zazwyczaj nosili arabscy dostawcy.

Kilka kilometrów dalej, w King David Hotel, w miejscach, które wciąż były otwarte dla odwiedzających i klientów, każdy pracownik sumiennie wykonywał swoje obowiązki. Max Hamburger, znakomity szwajcarski dyrektor, sprawdzał w rejestrze wejścia i wyjścia gości, zwracając uwagę na nazwiska, znaczenie i stanowiska. Dwa piętra wyżej pokojówka przydzielała do pokoi ręczniki i pościel. W kuchni w piwnicy kilku kucharzy, dwudziestu kuchcików oraz kelnerów pracowało bez wytchnienia, przygotowując obiad.

W tym samym budynku, w częściach zamienionych na biura Sekretariatu i kwaterę generalną wojska brytyjskiego, trwała ożywiona aktywność, jak w każdy poniedziałek. Słyszało się polecenia i odpowiedzi, rozmowy, dźwięk przycisków i przesuwanie wózków maszyn do pisania, brzęczące telefony. Na korytarzach, w gabinetach i salach zebrali nieustannie krzatali się kolonialni urzędnicy, wojskowi i pracownicy; jedni wchodzili, inni wychodzili,

jedni informowali albo byli informowani, inni czytali dokumenty albo je sporządzali. Napływ osób z zewnątrz również był nieustający: zwykli mieszkańcy przychodzili w celu załatwienia różnych spraw i siadali w oczekiwaniu, aż zostaną obsłużeni.

W swoim gabinecie Marcus poprosił właśnie o połączenie z Bejrutem, żeby pomówić ze swoim przełożonym sir Gylesem Ishamem, który został tam oddelegowany kilka dni wcześniej. Niezmiernie wychudzony, w jasnym lnianym garniturze i ze skrzywioną miną, palił dziewiątego papierosa tego dnia, żeby skrócić sobie czas oczekiwania.

Okolo wpół do jedenastej wciąż leżałam w wannie, opierając kark na krawędzi, żeby nie zamoczyć włosów. Brzuch wystawał z wody niczym półksiężyc, połowa arbuza, połowa alabastrowej kuli, twarde i napięte.

O tej samej godzinie młodzi Żydzi ubrani w kombinezony zaczęli ładować do furgonetki siedem dużych cynowych kanek na mleko. Każda miała prawie metr wysokości i dwie piędzi średnicy; podstawa i korpus były cylindryczne, później się zwężały, tworząc szyjkę, a przy otworze znowu się rozszerzały. Wszystkie miały dwa mocne uchwyty ułatwiające przenoszenie oraz zamknięte wieczka zapobiegające rozlaniu. Pojemność każdej wynosiła trzydzieści litrów, napełnione ważyły około trzydziestu pięciu kilogramów. Oprócz kanek w tylnej części furgonetki umieścili również kilka worków jutowych, z gatunku tych powszechnie używanych do przechowywania ciecierzycy, soczewicy, pistacji czy orzeszków pinii. Tego dnia jednak dostawa była inna: produkty niejadalne, metalowe.

W kuchni King David Hotel kierownik sali Naim Nissam, iracki Żyd, który przedtem służył rodzinie królewskiej w Bagdadzie, inspekcjonował, czy wszystko jest jak należy: próbował sosów i dressingów, sprawdzał pieczywo, sery, słodkie desery. Dwa, trzy, cztery, pięć pięter wyżej sudańscy chłopcy ślali łóżka w apartamentach i pokojach. W swoim kąciku za ladą recepcji młoda telefonistka przyjmowała pierwsze rezerwacje na kolację.

W pomieszczeniach Sekretariatu, w południowym skrzydle, pracownice oderwały się na chwilę od swoich zajęć, żeby cieszyć się przedpołudniową *tea break*. Dwudziestokilkuletnie Arabki, Żydówki,

kilka Brytyjek, parę Ormianek i Greczynek. Kompetentne i pełne werwy, wszystkie ubierały się, malowały i czesały na modłę zachodnią. Pośród filiżanek herbaty i maślanych ciasteczek żywo rozmawiały w czasie przerwy o swoich szefach, lakierach do paznokci i kinowych amantach.

W gabinecie w tej samej strefie Marcus wreszcie zdołał się połączyć z Bejrutem i właśnie rozmawiał ze swoim bezpośrednim przełożonym, teraz nieobecnym. Oddzieleni od siebie o ponad czterysta kilometrów wymieniali opinie, nie mogąc dojść do porozumienia.

Około jedenastej, świeżo po wyjściu z wanny i owinięta ogromnym białym ręcznikiem, z wielkim trudem zdołałam powstrzymać chęć powrotu do łóżka. Wytrzymałam jednak i włączyłam radio. PBS nadawało właśnie jedną ze swoich audycji po hebrajsku, przesunęłam więc pokrętko i nastawiłam na Radio Cairo, rozbrzmiewała egipska muzyka, chwytliwa i skoczna; zostawiłam na tej stacji.

O tej samej godzinie furgonetka załadowana fałszywymi Arabami, diabelskimi workami i cynowymi kankami jechała Julian's Way, zbliżała się do King David Hotel i skręcała w zaułek prowadzący do hotelowych drzwi zaplecza, z których korzystali dostawcy, by rozładować przywiezione towary. Pomimo ścisłego nadzoru głównych wejść tam nie było nikogo, żeby ich zatrzymać.

W tym momencie w eleganckim męskim zakładzie fryzjerskim strzyżono zamożnego Araba i przycinano wąsy brytyjskiemu pułkownikowi. W lobby dwóch chłopców pomagało pewnej parze zanieść walizki do drzwi. W jadalni osoby pracujące w piwnicy, kelnerzy i kuchciki mieli właśnie usiąść do stołu. W ogrodzie stary ogrodnik Szlomo podlewał róże.

Po przerwie na herbatę sekretarki wróciły na swoje miejsca w południowym skrzydle. Upał najwyraźniej nie osłabiał ich efektywności: jedne pisały niewzruszone, inne sporządzały dyktowane memoranda. Niektóre odbierały telefony, a kilka archiwizowało raporty albo zносиło swoim przełożonym dokumenty do podpisania.



Nie opuszczając gabinetu, Marcus zakończył właśnie rozmowę z sir Gylesem Ishamem. Wstał i podszedł do okna. Zdawało się, że patrzy na pobliską wieżę YMCA z rękami w kieszeniach. Jego myśli krążyły jednak gdzie indziej. Chociaż wentylator bakelitowy pracował na najwyższych obrotach, on się pocił.

Około wpół do dwunastej otworzyłam drzwi szafy, wyjęłam bieliznę, niebieską spódnicę z gumką w pasie oraz białą bawełnianą bluzkę, przewiewną i bez rękawów. Na stole stała taca ze śniadaniem, które przynoszono mi każdego ranka, jeszcze go nie tknęłam. Herbata wystygła, a tosty obeschły, na pokrojonych owocach siedziało parę much. Odkąd wstałam, coś dziwnego i nieprzyjemnego przebiegało mi po ciele i duszy. Coś jakby złowrogie przeczucie.

Ubrałam się i na powrót zmieniałam stację na PBS. W paśmie kulturalnym po angielsku opowiadano teraz o wiktoriańskich pisarkach; ostatnio często powtarzali tego typu programy, które mieli nagrane już od dłuższego czasu. W radiu publicznym nie pojawiali się już zewnętrzni współpracownicy, audycje tworzył tylko stały zespół – ja byłam ostatnią zaproszoną osobą na początku tego roku i na dodatek nie udało mi się nagrać żadnej audycji. Usiadłam, żeby posłuchać, ale zanadto się nie skupiałam, nie miałam głowy do córek pastorów, wzgórz spowitych burzowymi chmurami, wrzosowisk ani pól. Jednakże z jakiegoś niejasnego powodu pozwoliłam, żeby słowa wchodziły do mojej głowy, i wolałam nie opuszczać pokoju.

O tej samej godzinie, tuż przy wejściu na zaplecze King David Hotel, do ośmiu młodych Żydów z furgonetki dołączyło kilku kolegów. Jeszcze parę minut wcześniej znajdowali się w ukryciu, sprytnie zakamuflowani w panoramie uliczki – ponieważ byli ubrani na modłę arabską, nie wzbudzili podejrzeń licznych pobliskich policjantów ani ochrony wojskowej. Zaczęli działać zgodnie z planem, nie potrzebowali żadnych instrukcji. Kolejne ich kroki były wcześniej dokładnie omówione: dwójkami wyjmowali z pojazdu kanki, ciągnąc je do drzwi. Ponieważ w środku nie znajdowało się mleko, tylko materiały wybuchowe, były znacznie cięższe. Inni koledzy tymczasem otwierali jutowe worki i rozdzielali ich

zawartość. *Tommy guns*. Pistolety maszynowe Sten. Kilka rewolwerów.

Ci z bronią pobiegli do kuchni i jadalni dla pracowników. Za drzwiami wahadłowymi nagle dało się słyszeć rozkazy, krzyki, szarpaninę, brzęk tłuczonych talerzy i garnków spadających na podłogę, parę strzałów. Ci zajmujący się kankami dalej sumiennie wykonywali swoje zadanie. Jedną po drugiej przeciągnęli je korytarzem, przenosząc aż do La Régence, klubu, w którym Marcus i ja jedliśmy kolację kilka miesięcy wcześniej, w to samo miejsce, gdzie podjęłam decyzję, żeby przełknąć swoje obawy, nie opuszczać Jerozolimy i nadal trwać u jego boku. Stolik, który zajmowaliśmy tamtego wieczoru, wyskoczył w górę jednym kopnięciem. Tam, tuż przy jednej z kolumn, umieścili dwie kanki pełne trotylu i żelatyny wybuchowej. Pozostałe rozstawili w innych częściach sali, dokładnie pod biurami Sekretariatu, przymocowane do kolumn podtrzymujących konstrukcję całego południowego skrzydła. Do każdej z kanek podpięli detonator. Kiedy skończyli, zgasili światło i wybiegli z budynku. Była dwunasta piętnaście.

Kilka minut później w centrali francuskiego konsulatu, nieopodal King David Hotel, odebrano telefon. Z pobliskiej apteki młody, kobiecy i nerwowy głos przekazał wiadomość. W imieniu hebrajskiego ruchu oporu ogłosił, że w hotelu za chwilę wybuchnie bomba. Młodszy urzędnik ruszył biegiem do gabinetu konsula generalnego. Mimo że groźby były dość powszechne, mężczyzna uwierzył w prawdziwość ostrzeżenia i nakazał wykonanie protokołu prewencyjnego: otworzyli wszystkie okna, zaciągnęli wszystkie zasłony i natychmiast ewakuowali personel. Była dwunasta dwadzieścia siedem.

Kilka minut później w centrali dziennika „The Palestine Post” odebrano kolejny telefon. Z zaplecza pobliskiego sklepu ten sam głos podał identyczne ostrzeżenie. Operatorka próbowała przekazać wiadomość do kwatery policji, ale przez dłuższą chwilę nikt nie odbierał. Była dwunasta trzydzieści dwie.

W kuchni King David Hotel, kiedy terroryści uciekli, uwalniając pracowników, zapanowały chaos i histeria. W samym środku tego zamieszania, pośród bezładnej wymiany języków, opinii i wersji,

jeden z kuchcików napomknął, że widział kilku Arabów ciągnących korytarzem kanki. Wydawało się, że nikt go nie słuchał.

Paru chłopców weszło po schodach do lobby i próbowało tam powiadomić o wszystkim. Ale informacja była niejasna, a poza tym ludzie przywykli już do fałszywych alarmów. W rezultacie puszczono to mimo uszu. Sudańscy kelnerzy w dalszym ciągu podawali miseczki z oliwkami i drinki od stolika do stolika, niewzruszeni w swoich turbanach, z dłońmi w rękawiczkach i tacami z brązu. Kolonialni poddani, zasłużeni wojskowi, zamożni mieszkańcy, goście i turyści – wydawało się, że nikt ze stałych bywalców nie zamierza zrezygnować z aperitifów z powodu entego zagrożenia.

Marcus pomyślał, żeby do mnie zadzwonić i uprzedzić, że ostatecznie nie wróci, by zjeść ze mną obiad. Zdekoncentrowany i podejrzliwy, nie mógł się pozbyć przeczucia, że w ten poniedziałkowy dzień coś jest nie tak.

Ja natomiast próbowałam się rozerwać, słuchając radia, które wciąż grało w tle, i przeglądając pobieżnie stary numer magazynu „Tatler”. Właśnie przewracałam stronę, gdy rozległ się wybuch, tak silny, że zatrzęśły się szyby w oknach. Moja twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia, jedną rękę przyłożyłam do serca, a drugą do brzucha.

Wtedy nie wiedziałam o tym, ale cały południowy róg King David Hotel wyleciał w powietrze. Trzysta pięćdziesiąt kilogramów trotylu zamieniło się w dwieście pięćdziesiąt tysięcy litrów gazu, podgrzewając powietrze do ponad trzech tysięcy stopni.

Kanki eksplodowały. Filary, które podtrzymywały konstrukcję budynku, rozpadły się. Kute żelazo stopiło się jak wosk. Wyższe piętra się zatrzęśły, jakby żyły własnym życiem. Ściany najpierw napęczniały, później zadrżały, następnie wpadły w konwulsje i wreszcie, z ogłuszającym hukiem, zamieniły się w kawałki, jęzory ognia i chmury czarnego dymu.

Sześć pięter zbudowanych z kamienia i żelbetonu się zawaliło, pociągając za sobą meble, kaloryfery, urządzenia, rury, sprzęty. I mnóstwo ludzi.

Pierwsze skurcze poczułam po wybuchu: bezpośrednio w nerkach, kłujące niczym brzytwy. Jeszcze całkiem nie ustały, kiedy zdołałam chwycić słuchawkę telefonu. Z zaschniętym nagle gardłem poprosiłam, żeby połączono mnie z Sekretariatem, ale okazało się to niemożliwe: w ich centrali nie było żadnego sygnału. Niecierpliwie zaczerpnęłam powietrza przez nos, podczas gdy strach przeszywał mi kości. Marcus. Marcus. Gdzie jest Marcus.

Słyszałam, że poród zapowiada się w sposób bardziej progresywny i mniej zdecydowany. Jednakże to, co działo się teraz w moim ciele, wskazywało na inny wariant. I ta eksplozja. Ta eksplozja. Przywykłam do wybuchów granatów, serii z karabinów maszynowych i najprzeróżniejszych huków; jednego doświadczyłam nawet bardzo blisko przed Broadcasting House kilka miesięcy wcześniej. Ten odgłos był jednak czymś zupełnie innym, potworną aberracją.

Następne skurcze sprawiały, że zaczęłam chodzić po sypialni tam i z powrotem, z jednego końca na drugi, nie mogąc się uspokoić i usiedzieć w miejscu. Kiedy zelżały, znowu podniosłam słuchawkę i zapytałam recepcjonistę o Berthę Vester. Wyszła godzinę temu, Mustafa zawiózł ją fordem do zakładu optycznego, usłyszałam w odpowiedzi.

Usiłowałam zachować spokój, oddychać regularnie, tak jak mi zalecono. Jednakże strach mi na to nie pozwolił, i niepokój też nie. Trzymając dłonie na dolnej części pleców, wyszłam na balkon. Gęsta chmura dymu unosiła się nad jakimś miejscem Jerozolimy, ciemnoszara, niemal czarna, co stanowiło upiorny kontrast z bezchmurnym letnim niebem. Z oddali usłyszałam syreny, najpierw jedną, potem kilka, gęsty dym nadal się unosił. Przy trzecim skurczu musiałam się chwycić żelaznej barierki. Stojąc tak

i trzymając się balustrady, ze wzrokiem utkwionym w dal, poczułam ciepłą wilgoć spływającą po wewnętrznej stronie ud. Po kolanach, łydkach, kostkach aż na podłogę.

Przerażona, z sercem bijącym jak szalone, pozwoliłam, żeby wypłynęła ze mnie cała ta ciecz, bo nie dało się jej zatrzymać. Zostawiając na płytkach mokre ślady, z wielkim trudem zdołałam znowu dostać się do telefonu. Ponownie poprosiłam, żeby skontaktowano mnie z Sekretariatem, lecz bez powodzenia. Zażądałam więc połączenia z centralą King David Hotel. Też nic.

– Marcus – wymamrotałam. – Gdzie jesteś, Marcus?

Wtedy spróbowałam skontaktować się z biurem prasowym w poszukiwaniu Frances Nash, ale sygnał wskazywał, że linia jest zajęta. Spokojnie, Siro – powtarzałam sobie – myśl powoli.

Marcus nie, Bertha nie, Frances też nie, podsumowałam, próbując nie tracić całkiem spokoju. Może – pomyślałam – mogłabym zadzwonić bezpośrednio do Government Hospital. Zrobiłam to, lecz bezskutecznie.

Mój strach rósł, w miarę jak się okazywało, że wszyscy wydają się być poza zasięgiem. Wtedy przyszło mi do głowy, że może do szpitala mógłby mnie zawieźć Said, pracownik, który zajmował się przesyłkami i dostawami, jeżdżąc furgonetką należącą do hotelu. Może dałabym radę wsiąść do tego pojazdu, którym przewożono bakłażany, worki ze zbożem, kury i jagnięta.

– Jego też nie ma, proszę pani – usłyszałam w odpowiedzi.

Syreny nadal wyły.

Skurcze przeplatały się z chwilami bez bólu i z tymi nie do wytrzymania, mokra spódnica kleiła mi się do nóg, panował straszny upał, cały czas się pociłam. Poród niewątpliwie się zbliżał, a ja nie miałam się do kogo zwrócić i ogarnęło mnie przerażające przekonanie, że Marcus też nie będzie mógł przy mnie być. Ponownie wyszłam na balkon, stąpając po wodzie, której pozbyło się moje własne ciało. W głębi ogrodu zauważyłam dziewczyny sprzątające i innych pracowników, którzy patrzyli wstrząśnięci w tę samą stronę co ja, na dym wydobywający się z centrum Jerozolimy, gęsty i złowrogi. Próbowałam krzyczeć, zwrócić na siebie uwagę którejś z dziewczyn; znałam je wszystkie – Amina, Lamya, Malak,

Sharifa, każda nieustannie dotykała mojego brzucha, żartując czule z jego rozmiarów. Być może dlatego, że one też krzyczały zdenerwowane albo dlatego, że mój głos okazał się za słaby, a może odległość była zbyt duża – nie usłyszały mnie. W każdym razie żadna nie zareagowała na moje krzyki, nawet się nie odwróciły.

– Mój Boże, mój Boże, mój Boże – powtarzałam, mamrocząc pod nosem i znowu wracając do środka. – Mój Boże, mój Boże, mój Boże...

Nagle zatrzymałam się na środku pokoju z szeroko rozstawionymi nogami. Do moich uszu dotarł właśnie znajomy głos. Rozejrzałam się zdezorientowana i wtedy mój wzrok padł na radio. Stamtąd dochodził. Nick Soutter przemawiał. Podeszłam do urządzenia i patrzyłam na nie uważnie. Poważnym i uroczystym tonem dyrektor wiadomości PBS przekazywał informacje o tragicznej w skutkach akcji terrorystycznej przeprowadzonej w samym sercu najważniejszych instytucji brytyjskich w Palestynie. Powiedział, że właśnie całkowicie zniszczono siedzibę Sekretariatu, cały południowy róg King David Hotel. Ofiary były liczne, ale jeszcze nie znano ich tożsamości.

Moje wycie musiało zabrzmieć tak wściekle, tak rozdzierająco, że dwie Arabki wkrótce zapukały gwałtownie do moich drzwi i weszły, nie czekając na pozwolenie.

– Nicholas Soutter, PBS – zawylałam, gdy tylko je ujrzałam. – Zadzwońcie do Nicholasa Souttera, do Public Broadcasting Service. – Wskazałam radio, ruszyłam niezdarnie w stronę urządzenia i z całych sił uderzyłam ręką w drewnianą obudowę. – Zadzwońcie do Nicholasa Souttera, na miłość boską, zadzwońcie do niego w moim imieniu.

Upłynął nieokreślony czas, pół godziny, może godzina. Skurcze pojawiały się co sześć albo siedem minut. Prezenter, którym nie był już Nick, przekazywał informacje o środkach nadzwyczajnych: nadchodząca godzina policyjna, zakaz zbliżania się do Julian's Way, zablokowanie dróg i dojazdów, natychmiastowe zamknięcie sklepów. Lamy trzymała mnie za rękę, Sharifa wachlowała gazetą, obie mówiły mi po arabsku coś, czego nie rozumiałam. Gdy tylko wracały

skurcze, wyrywałam się jednym szarpnięciem, wstawałam i błąkałam się po pokoju jak jakaś wariatka w klatce.

Nick Soutter nie przyjechał, ale w jego imieniu zjawily się dwie kobiety: Ruth Belkine, dojrzała producentka z PBS, i młoda dziewczyna, która przestraszyła się na mój widok, jakbym była potworem o trzech głowach. Chodźmy, chodźmy, chodźmy, zarządziła ta pierwsza, natychmiast przejmując kontrolę nad sytuacją. Pomogły mi zejść ze schodów, przeciąć westybul, wyjść i wsiąść do samochodu, podczas gdy ja głośno dopytywałam się o wybuch, o King David Hotel, o męża. Nieznajoma usiadła za kierownicą, Ruth zajęła miejsce obok mnie na tylnym siedzeniu.

– Oddychaj, oddychaj, *in and out, in and out, in and out* – powtarzała, nie tracąc zimnej krwi.

Lamya i Sharifa zostały przed budynkiem, otoczone swoimi koleżankami, ich smagłe twarze były napięte, wykręcały sobie palce.

Gdy tylko opuściłyśmy American Colony, zdałam sobie sprawę z tego, że jedziemy w odwrotnym kierunku, niż powinnyśmy: w stronę góry Skopus, a nie do centrum.

– Zabierzcie mnie do Government Hospital – błagałam. Może nawet to wykrzyczałam.

– Nie – powiedziała Ruth. – Jedziemy do Hadassah.

– Government Hospital – zażądałam, wrzeszcząc.

Tam, w angielskim szpitalu, była moja karta i tam pracował antypatyczny lekarz.

Nie słuchając mnie, nieznajoma nadal prowadziła w milczeniu i nie zmieniła kierunku. Zatrzymała się wreszcie przed żydowskim centrum medycznym, kolejne skurcze nie pozwoliły mi dalej protestować. Kilka dni później dowiedziałam się, że postanowiły nie zabierać mnie do Government Hospital, ponieważ kiedy mijały go, jadąc w stronę American Colony, obie kobiety widziały to, co widziały: mnóstwo karetek, policyjnych furgonetek i prywatnych samochodów, które podjeżdżały załadowane rannymi, okaleczonymi, spalonymi, martwymi.

Wszystko, co nastąpiło później, ostatecznie stopiło się w mojej pamięci i tworzyło nieuchwytną sekwencję zdarzeń. Zerwano ze mnie przemoczone ubranie, włożono mi coś w rodzaju otwartej na

plecach koszuli i położono mnie na noszach. Dookoła były same kobiety: położne, pielęgniarki w nieskazitelnych fartuchach, które starały się mnie uspokoić, rozsuwając mi nogi, kobiety, które prosiły, bym się opanowała, wkładając jednocześnie palce do mojej waginy. Możliwe, że nie było ich wiele, dwie lub trzy, najwyżej cztery, ale ich sylwetki mnożyły się w mojej głowie. Nie rozumiałam, dlaczego zabrano mnie w to miejsce, ból był ogromny, a strach potworny. Nie miałam pojęcia, czy Marcus żyje czy nie, i musiałam się tego dowiedzieć. Sprawdźcie, co z moim mężem, błagałam je za każdym razem, gdy skurcze dawały mi krótką chwilę wytchnienia. Mieszałam angielski z hiszpańskim, pot stapiał się ze łzami, błaganie i krzyki z płaczem. Zapytajcie o Marka Bonnarda w King David Hotel, zapytajcie o Marcusa Logana.

Pchały nosze długim korytarzem wyłożonym białymi płytkami, przechodziły przez białe drzwi, wreszcie umieściły mnie w kolejnej sali, jeszcze bielszej niż poprzednia. Skurcze nadchodziły teraz właściwie jeden po drugim. Zostawiły mnie tuż pod dziwną okrągłą lampą, ogromną, metalową. Włączyły ją, światło było tak intensywne, że oślepiło mnie na kilka chwil. Jedna z kobiet, położna, powiedziała do mnie coś stanowczym tonem, ale niczego nie zrozumiałam.

Wtedy wydała jakieś polecenie i jedna z pielęgniarek przysunęła swoją rękę do mojego nosa, w palcach trzymała urządzenie podłączone do małej butli. Domyśliłam się, że zamierzają podać mi środek uspokajający, więc odepchnęłam ją ręką. Wtedy chwyciły mnie za ramiona, dalej się opierałam, kręcąc głową z boku na bok, pocierałam się wszystkimi porami skóry, czułam kosmyki włosów przyklejone do twarzy.

Ostatecznie nie zdołały tego zrobić. W ciągu kilku sekund poczułam ogromną potrzebę parcia i wycia, wycia i parcia jednocześnie. Dziecko, które nosiłam w środku, przygotowywało się do wyjścia, torowało sobie drogę. Położna schyliła się między moimi nogami, czułam, jak coś robi, już myślałam, że rozerwie mnie na pół, zaczęłam czuć ogromne zmęczenie. Powtarzały, żebym parła jeszcze mocniej, robiłam to z całych swoich sił, jeden, dwa, sto razy.



Mój syn przyszedł na świat ciepły, śliski, z otwartymi oczami. Krzyczałam, żeby mi go podały, położna wahała się przez chwilę, ale w końcu ustąpiła. Przytuliłam go do siebie, był fioletowy, lepki, rozgrzany. Dotykałam go, wachałam, całowałam w główkę, powstrzymałam niepokój, żeby nie przekazać mu swoich przeczuć. Spojrzałam na niego, on popatrzył na mnie swoimi opuchniętymi oczami, rozpoznając mnie. Rozerwałam koszulę i przystawiłam go do piersi.

Na podłodze sali porodowej zostały kałuże krwi i ręczniki zabarwione ciemną czerwienią, bezlitosne słońce sączyło się między listwami żaluzji, metalowe narzędzia wyglądały jak te u rzeźnika.

Dałam mu na imię Víctor, ponieważ jego małe życie pojawiło się niczym zwycięstwo w samym środku cierpienia.

CZĘŚĆ DRUGA

WIELKA BRYTANIA

**D**o Londynu przyjechaliśmy na początku lutego, w połowie straszliwej zimy.

Władze Mandatu Palestyny, zniechęcone brakiem rozwiązań mogących powstrzymać terror, zdecydowały o wprowadzeniu stanu wojennego i nakazały natychmiast odesłać personel cywilny, który nie był tu niezbędny, oraz wszystkich członków brytyjskich rodzin. Próbowałam odmówić, udało mi się nawet spotkać z wysokim komisarzem Cunninghamem. Powołałam się na moje hiszpańskie pochodzenie i brak formalnego powiązania z Anglikami od czasu śmierci Marcusa. Od tamtej pory byłam sama, uczepiona wspomnień o nim i oddana mojemu synowi.

Wszystko na nic. Oficjalnie byłam brytyjską poddaną, wdową po brytyjskim urzędniku, matką brytyjskiego dziecka. W związku z tym musiałam zostać pilnie ewakuowana – zarządzenie było stanowcze i nie uwzględniało zwłoki ani wyjątków. W ciągu dwudziestu czterech godzin mieli nam przydzielić środek transportu. W ciągu czterdziestu ośmiu mieliśmy wyruszyć w drogę.

Pozwolono nam zabrać tylko to, co niezbędne, maksymalnie jedną sztukę bagażu na osobę. Wielu zniszczyło nagle swoje wieloletnie korzenie, porzucało małżonka, przyjaciół i wiernych służących, drzewa, które zasadzili, ściany, które pomalowali, zapachy, smaki i dźwięki, których już nigdy nie odzyskają. Inni, tacy jak ja, zostawiali ukochaną osobę pogrzebaną pod surową płytą. Po horrorze w King David Hotel Bertha Vester zaproponowała mi kameralny pochówek na małym prywatnym cmentarzu, który jej kolonia utrzymywała u stóp góry Skopus. Byłam gotowa się zgodzić – jakie miało znaczenie, gdzie będą spoczywać roztrzaskane szczątki, których nie pozwolono mi zobaczyć, skoro Marcus już nie żył. Po chwili jednak, w środku mojej rozpacz, odzyskałam nieco

przytomności umysłu i zdecydowałam się na to, co w moim odczuciu było najbardziej stosowne do okoliczności. Marcus zginął bowiem, służąc ojczyźnie, i jego miejsce znajdowało się pośród swoich, na anglikańskim cmentarzu na górze Syjon, w otoczeniu rodaków.

A teraz i ja żegnałam tę brutalną i nikczemną Ziemię Świętą, inaczej niż Marcus, zmierzając w inne miejsce. Natychmiastowy plan powrotu brytyjskich cywilów nazwano Operation Polly; początkowo wielu rodzinom przydzielono transport pociągiem do Kairu, a następnie rejs statkiem do angielskich portów. Te osoby wyruszyły jako pierwsze, ostatecznie jednak znalazły się w najmniej korzystnej sytuacji, ponieważ chaotyczna organizacja i niesprzyjające warunki pogodowe opóźniły wypłynięcie statku, zmuszając ludzi do czekania w koszarach wojskowych w Egipcie. Inni zostali umieszczeni na pokładach samolotów Halifax należących do Royal Air Force, a pozostałe osoby rozdzielono między loty cywilne, niektóre maszyny zmierzały bezpośrednio do Londynu, a inne na względnie bliskie lotniska. Nam przypadło lądowanie w Paryżu, skąd autobusami miano nas zabrać do Calais, potem statkiem mieliśmy przepłynąć kanał La Manche, a po dotarciu do Dover pociągiem udać się do Londynu.

Nasz samolot zapełnił się młodymi i starszymi matkami, licznymi chłopcami i dziewczynkami, szczęśliwymi, że pierwszy raz wchodzi na pokład żelaznego ptaka. Było też sporo niemowląt, które płakały, ponieważ ciśnienie zatykało im uszy albo dlatego, że dzięki swojej małej intuicji wyczuły, że coś w ich życiu właśnie się zmienia na zawsze. Tak było w przypadku Víctora: spędził cały lot niepokieszony na moich kolanach, w dziewiątym rzędzie, na miejscu przy oknie, jakby mając sześć i pół miesiąca, już był zły na świat, bo nie mógł niczego zrozumieć. Pozbawiłam go domu w Austrian Hospice na Starym Mieście, kołyski z drewna oliwnego, śpiewu muezinów z meczetów i bicia dzwonów, które codziennie go usypiało. Zabrałam go od ciepła i delikatnego arabskiego języka naszej kochanej Sharify, przemiłej dziewczyny, która przeniosła się razem z nami z American Colony; od gwałtownych gestów Fran Nash, naszej sąsiadki z piętra wyżej; od Nicka Souttera, który podnosił go wysoko, a on śmiał się do rozpuku; od przyjaciół

dziennikarzy, którzy wracali do pensjonatu po zamknięciu barów. Z tym wszystkim na zawsze żegnał się mój syn, nawet o tym nie wiedząc. I ze swoim pochowanym ojcem.

Dworzec Victoria Station był pełen krewnych, którzy chcieli odebrać podróżnych. Ponowne spotkania sprawiały, że wszędzie słyszało się krzyki, dziecięce piski, wołania, słowa gorących powitań, niekiedy szloch wzruszenia. Po nas przyjechała Olivia, matka Marcusa. Odkąd przekazałam jej informację o śmierci syna i narodzinach Víctora, w każdy możliwy sposób próbowała nakłonić nas do opuszczenia Jerozolimy i przyjazdu do Anglii. Zawsze odmawiałam. Ze względu na tak maleńkie dziecko i wspomnienie o Marcusie, ze względu na mnie samą i moją żalobę nie chciałam opuszczać miejsca, w którym żyliśmy razem – już przestałam się go bać.

Minęło trochę czasu, nim rozpoznałyśmy się pośród tłumu. Żadna nie wyglądała tak samo, jak zapamiętałyśmy siebie z tamtego słonecznego letniego popołudnia, gdy się poznałyśmy. Ona miała na sobie długie futro i okazały kapelusz z grubego filcu, a jej tak charakterystyczny warkocz był teraz schowany. Ja natomiast już wiele miesięcy temu porzuciłam wszelką wytworność. Jako że moje życie towarzyskie zostało zredukowane prawie do zera, dzięki Fran Nash przekonałam się, że spodnie są nieskończenie wygodniejsze niż spódnice, zmieniłam też jedwabne pończochy na skarpetki, pożegnałam się ze szpilkami i najczęściej nosiłam sznurowane buty na płaskiej podeszwie. Stare swetry Marcusa, pozbawione jego obecności, stały się częścią mojej garderoby, przerobiłam nawet jego tweedowe marynarki, żeby dopasować je do mojej figury, jak gdybym dzięki temu mogła czuć go bliżej. Już nie pamiętałam, kiedy ostatni raz robiłam makijaż, a włosy nosiłam zawsze upięte szpilkami nisko na karku. W moim wyglądzie nie zostało już niemal nic z tamtej eleganckiej cudzoziemki, która podczas pierwszej wizyty w Londynie naiwnie zamierzała zyskać aprobatę swojej teściowej.

Na środku zatłoczonego peronu zawahałyśmy się chwilę, kiedy wreszcie stanęłyśmy naprzeciwko siebie, ona ze swoją wspaniałą prezencją, ja z dzieckiem na rękach. Ale tak – nie było żadnych wątpliwości. Przed sobą miałam matkę człowieka, który był

mężczyznę mojego życia, kobietę, po której odziedziczył rysy i gesty, za którymi tak bardzo tęskniłam. To ja przełamalam lody: podeszłam, wymamrotałam jej imię bez żadnego tytułowania i ją uścisnęłam. Kiedy się rozdzieliliśmy, jej wzrok padł na półrocznego, pełnego życia Víctora. Miał wiele z Marcusa: zielonkawe oczy, jasną skórę i kasztanowe włosy. Gdy go zobaczyła, przełknęła ślinę, zagryzła wargę i wyciągnęła dłoń w rękawiczce w stronę jego policzka. Jej wnuk, zmęczony i zaskoczony, przekręcił gwałtownie głowę i wtulił się w moje ramię, unikając jej dotyku.

– Jeszcze będzie czas – wyszeptła, zabierając rękę. – Jeszcze będzie czas. Najważniejsze, że, dzięki Bogu, wreszcie jesteście w domu.

Kiedy wyszliśmy ze stacji, padał śnieg, zmrok zapadł już kilka godzin wcześniej. Przy wejściu stało mnóstwo taksówek i prywatnych samochodów gotowych do przewozu tak wielu rodzin przybyłych z dalekiej Palestyny po trzech wyczerpujących dniach w podróży. Było przeraźliwie zimno, zasłoniłam więc twarz Víctora klapą mojego płaszcza i mocno przycisnęłam go do siebie. Olivia zdecydowanie zaczęła torować sobie drogę między rykiem włączonych silników i dymem z rur wydechowych, a ja podążałam za nią. Z tyłu tragarz niósł naszą walizkę i kuferek – jedyne, co mieliśmy.

Podeszliśmy do dużego bentleya, szofer pospieszył, by otworzyć nam drzwi. Chciałam zapłacić tragarzowi, który nam pomógł, ale Olivia mnie powstrzymała i sama się tym zajęła. Ona też prowadziła rozmowę w trakcie jazdy, ja ograniczyłam się do słuchania i odpowiadania zwięźle od czasu do czasu. Kiedy zostawiliśmy za sobą tłum przed Victoria Station, trudno było zauważyć jakiś ruch; tego koszmarne wieczoru niewielu pieszych przemierzało ciemne i ośnieżone ulice. Kiedy przybyliśmy na miejsce, Víctor już spał.

Fasada domu przy The Boltons wydała mi się mniej imponująca, niż ją zapamiętałam, być może z powodu braku światła: jedynie skromna latarnia rzucała żółtawe cienie na portyk. Natychmiast otworzyły się główne drzwi i wyszła gosposia w podeszłym wieku, którą chyba poznałam podczas poprzedniej wizyty. Wsiadłam z samochodem z dzieckiem na rękach, starając się go nie obudzić.

Olivia władczym gestem pokazała, żebym weszła, posłuchałam, skinieniem głowy przywitałam się ze służącą, która przytrzymała mi otwartą małą żelazną furtkę. Zaczęłam wchodzić po schodach prowadzących do wejścia, kiedy zdałam sobie sprawę, że Víctor zgubił but. Odwróciłam się, by poprosić, żeby go poszukały, i wtedy zobaczyłam coś, co mnie zdumiało: podczas gdy gosposia wyjmowała mój bagaż, matka Marcusa przekazywała kierowcy pieniądze. Stało się jasne, że to nie był jej osobisty szofer. Znowu odwróciłam się ukradkiem, żadne z trojga się nie zorientowało.

W westybulu panował półmrok. Przeszłam kilka kroków, zaczerpnęłam powietrza i wypuściłam je z całej siły – z ust wydobyła się chmura gęstej pary.

– Oto jesteśmy – wyszeptałam.

Nie miałam bladego pojęcia, jak będzie wyglądał nasz pobyt w tym domu, tak odmiennym od wszystkich miejsc, w których do tej pory toczyło się moje życie. Jednakże pośród tej niepewności jedno było dla mnie oczywiste: wyjedziemy stąd jak najszybciej.

Przez kolejną godzinę rozpakowywałam bagaż w słabym świetle.

– Wolisz, żebyśmy umieściły dziecko w oddzielnym pokoju?

Musiałam na nią spojrzeć, jakby była niespełna rozumu, bo moją odmowę zrozumiała bez słów. Ulokowała nas w sypialni z dwoma dużymi oknami, zabezpieczonymi przed mroźną nocą grubymi zasłonami. Była przestronna i dawniej z pewnością piękna, teraz jednak zniszczenia wyzierały z każdej strony: drzwi ogromnej szafy się nie domykały, na ścianach były widoczne ślady po zdjętych obrazach, tapeta odstawała w niektórych miejscach. Ale był tu kominek, w którym palił się ogień, niewątpliwie przygotowany na nasz przyjazd. Kołyskę ustawiliśmy obok łóżka i kiedy wreszcie położyłam mojego syna, ogarnęło mnie głębokie uczucie ulgi połączone z przygnębieniem.

Zapewne powinnam zdobyć się na wysiłek, żeby zejść razem z Olivią na parter i chwilę z nią porozmawiać, okazując w ten sposób odrobinę wdzięczności za jej gościnność i fatygę. Nie byłam jednak w nastroju wspominać bardzo długiej podróży ani opisywać ponurej Jerozolimy, którą zostawiliśmy na zawsze, a tym bardziej, by wzruszać się razem z nią, wspominając Marcusa. Tak więc przyjęłam

jej propozycję, żeby służąca przyniosła do pokoju butelkę ciepłego mleka dla Víctora, a dla mnie jakąś kanapkę, potem życzyłam obu dobrej nocy i zamknęłam się w sypialni.

Obudziłam się, kiedy głód Víctora objawił się krzykami i groźbą płaczu. W środku nocy, kiedy ogień w kominku wygasł, wzięłam go do łóżka, żeby zapewnić mu ciepło. Teraz w sypialni panowały ciemność i chłód. Zebrałam się na odwagę, wyskoczyłam z łóżka, jednym szarpnięciem odsunęłam zasłony, rzuciłam okiem na zewnątrz i szybko wróciłam pod koce. Rozpoczął się mój pierwszy dzień w zaśnieżonym Londynie. Próbowałam pobawić się chwilę z synem, chciałam zająć jego uwagę, ale stanowczo zaprotestował. Trzeba było wstać.

Dwadzieścia minut później zeszłam z dzieckiem na rękach po schodach w poszukiwaniu śniadania dla obojga. Gdy tylko stanęłam na ostatnim stopniu, służąca wyszła nam na spotkanie, żeby nas poprowadzić.

– Milady czeka na was w jadalni – przekazała z akcentem, który zabrzmiał dla mnie dziwnie.

Miała ponad sześćdziesiąt lat, tęgie ciało i niezbyt ładną twarz. Nosiła czarny, wypłowiały w niektórych miejscach uniform, a na nim fartuch i gruby kardigan, na głowie zaś czepek w kolorze wątpliwej bieli. Kiedy za nią szłam, uświadomiłam sobie, że ma niesymetryczne nogi.

Wspaniała lady Olivia Bonnard czytała „The Times”, siedząc u szczytu stołu. Teraz owszem, bardziej przypominała wyjątkową teściową, którą poznałam półtora roku wcześniej: była okutana kolorowymi szalami nałożonymi jeden na drugi, a długie włosy znowu miała splecione w warkocz, który opadał jej na ramię, sięgając poniżej piersi. Jej wygląd ponownie mnie zaskoczył: wśród Angielek w jej wieku, które poznałam w Palestynie, nigdy nie widziałam żadnej takiej jak ona; wszystkie były nieskończenie bardziej powściągliwe i zachowawcze pod względem ubioru, stylu i fryzury. Obok jej stóp leżał zwinięty pies. Domyśliłam się, że pozostałe dwa zdechły ze starości.

Miejsce dla mnie było przygotowane z boku, po jej prawej stronie. A dla Víctora przyniesiono stare wysokie dziecięce krzeselko



z ciemnego drewna. Przypuszczałam, że wyciągnięto je z zakurzonego strychu; wzruszyłam się, wyobraziwszy sobie, że może w dzieciństwie służyło ono Marcusowi. Olivia jednak natychmiast zburzyła moje fałszywe przeczucie.

– *Oh, no, my dear.* Po dzieciach nic już tu nie zostało; zdobyłam je w minionym tygodniu razem z wózkiem na bazarze kościelnym.

Ogień się palił, ale wczesna pora i wielkość pomieszczenia nie pozwoliły jeszcze na ogrzanie jadalni. Od razu pożałowałam, że nie ubrałam nas ciepłej; nie mogliśmy się także wykąpać. Gdy próbowałam to zrobić, przekonałam się, że z kranów w połączonej z sypialnią łazience leci tylko zimna woda.

Jak gdyby czytała mi w myślach, obwieściła, zamykając gazetę:

– Mamy ciężką zimę, moja droga. Śnieg zaczął padać w ostatnim tygodniu stycznia i według meteorologów na razie nic nie wskazuje na to, by miał przestać.

Stół był elegancko nakryty: zastawa z porcelany ozdobionej delikatnymi kwiatami, srebrne sztucce, lniane serwetki. Szybko się jednak przekonałam, że takie nakrycie było zdecydowanie niewspółmierne do skromnego posiłku. Podano nam bowiem talerze z kopczykiem jajecznicą, nędzną kiełbasą i małą porcją grzybów. Żadnych wypieków. Ani śladu owoców. Trochę chleba, niewielka ilość masła i dżem sprytnie wyłożony na szklanym spodku, żeby sprawiać wrażenie dużej ilości.

– Wojna się skończyła, ale kraj jeszcze nie stanął na nogi – wyjaśniła moja dystygowana teściowa. – Ograniczenia obejmują wszystko i wszystkich: gaz, węgiel, elektryczność, nawet gazety, spójrz, każde wydanie może liczyć nie więcej niż cztery strony. I oczywiście ogranicza się przydział jedzenia. A właśnie, będziemy musiały jak najszybciej poprosić, żeby ujęto was w bonach zaopatrzeniowych.

Milczałam przez kilka chwil, przeżuając. Odpowiedziałam po przełknięciu.

– Może nie będzie trzeba.

Uniosła brwi, na poły zaskoczona, na poły zaciekawiona. Natychmiast rozwiałam jej zdziwienie.

– Nie zamierzamy tu zostać, Olivio.

Delikatnie zmarszczyła czoło.

– Nie chcę być niedyskretna, ale dokąd planujesz się wybrać, *darling*?

– Do Maroka.

Podczas podróży z Jerozolimy miałam czas, żeby się zastanowić i podjąć decyzję. Do Palestyny nie mogliśmy już wrócić, musiałam więc zdecydować, w jakim miejscu zacząć nowe życie. Być może ze względu na to, że nasza męcząca podróż zbiegła się z surową zimą, to kiedy rozważałam powrót do Madrytu lub powrót do Afryki, szala przechyliła się na południe, żeby mój syn mógł dorastać pod bezpiecznym słońcem.

– Maroko – wymamrotała powoli. Zacisnęła usta i skinęła głową, jakby mój pomysł był wyjątkowo błyskotliwy. Oczywiście jej gest wyrażał sarkazm.

– Tak, Maroko – potwierdziłam stanowczo. – Tam mieszka moja matka i tam mam przyjaciół.

– A na jak długo planujesz tę wizytę?

– To nie będzie wizyta. Postanowiłam, że tam zamieszkamy. Na stałe.

Podniosła do ust filiżankę herbaty. Odniosłam wrażenie, że gdy ustami dotknęła jej brzegu, trzęsły jej się ręce.

– Tutaj też masz więzi, Siro – powiedziała ze spokojem, odstawiając filiżankę na spodek.

Spojrzała na Víctora, który w tym momencie radośnie ssał kawałek chleba. Nie zwracając na nas uwagi, siedział na swoim małym tronie i z zaciekawieniem obserwował starego psa.

– To dziecko jest jedynym potomkiem rodziny, która od pokoleń służy Anglii i Koronie z szacunkiem, odpowiedzialnością i hartem ducha. Kiedyś odziedziczy ten dom i przyniesie zaszczyt nazwisku Bonnard, a w tym celu musi być odpowiednio wykształcony. Wątpię, czy biedna afrykańska kolonia pod hiszpańskimi rządami jest do tego najlepszym miejscem.

Nie zamierzałam się kłócić. Nie miałam na to ani ochoty, ani siły. Przemilczałam więc i podałam synowi kolejny kawałek chleba. Gdy tylko chwycił go swoją małą rączką, rzucił go psu i głośno się

roześmiał, kiedy chleb uderzył w głowę zwierzęcia. Obie się uśmiechnęłyśmy, udając, że napięcie opadło. Przynajmniej na razie.

Nawet ci, którzy urodzili się, zanim owdowiała królowa Wiktorja, nie pamiętali tak srogiej zimy. Przez pięć kolejnych tygodni temperatura ani razu nie przekroczyła zera stopni. Gaz wylatywał pod bardzo niskim ciśnieniem, dostawy węgla były niewielkie i codziennie dochodziło do wielogodzinnych przerw w dostawie prądu. W domach i budynkach użyteczności publicznej wieczorami wracano do korzystania z kandelabrow i świeczników, nawet w pomieszczeniu cały dzień spędzało się w rękawiczkach, dwóch parach skarpet i kilku warstwach ubrań. Zwierzęta w gospodarstwach zamarały na śmierć; świeże warzywa i owoce były produktami niemal luksusowymi; dostawy stały się trudne, a nawet w ogóle niemożliwe, zaś racje żywnościowe przydzielane na podstawie bonów zaopatrzeniowych były jeszcze mniejsze niż w czasie wojny. Pozamykano fabryki, sklepy, biura i szkoły; funkcjonowały jedynie pociągi i transport miejski; wojsko pracowało bez ustanku, odśnieżając ulice, drogi i tory kolejowe, do pomocy wzięto nawet niemieckich jeńców wojennych. Połowa kraju była sparaliżowana, a setki tysięcy osób straciły miejsce pracy.

Wobec braku możliwości wyjazdu w tę straszną pogodę nasz pobyt w Londynie siłą rzeczy musiał się przedłużyć. Zostaliśmy uziemieni w tej kapsule przy The Boltons, którą twardą ręką rządziła moja teściowa. Zatrudniła młodą nianię z kasztanowymi lokami imieniem Phillipa i zakwaterowała ją w domu. Zasadniczo jej nie potrzebowałam, ale żeby nie pozbawić tej biednej, nieśmiałej dziewczyny o niskim wzroście dachu nad głową, wołałam nie odmawiać. Bez protestów i narzekań przystosowałam się do rutyny Olivii Bonnard: śniadanie w jadalni o wpół do dziewiątej, rozwodniona kawa w salonie o jedenastej, skromny obiad o pierwszej, herbata o czwartej, kolacja o wpół do ósmej. Pierwszej

niedzieli po moim przyjeździe zaproponowała, bym poszła z nią do pobliskiego kościoła, Saint Mary The Boltons, i powoli stało się to naszym zwyczajem, mimo że śnieg sięgał nam powyżej kostek i byliśmy okutane jak Inuitki. Przedstawiła mnie pastorowi i jego żonie, sąsiadom i przyjaciołom; wszystkim z dumą pokazywała Víctora i otwarcie wyrażała swoją radość z faktu, że z nią mieszkamy.

We wtorki przychodziły jej przyjaciółki, żeby grać w brydża. Często przyjmowała również innych gości, nie wiem, czy spontanicznych, czy umówionych. A w każdy czwartek, bez wyjątku, pojawiały się najprzeróżniejsze osoby, osiem, dziesięć, czasami kilkanaście, żeby rozmawiać, pałac papierosy i pijąc to, co same przyniosły: whisky, sherry, francuskie czerwone wino, gin albo brandy.

Spotkania trwały tak długo, na jak długo wystarczała zawartość butelek. Rozmowy skupiały się najczęściej na sprawach przyziemnych, plotkach z wyższych sfer i drobiazgowych analizach politycznych, w trakcie których bezceremonialnie obmawiano premiera Attlee i jego lewicowy gabinet, fatalnych – ich zdaniem – wykonawców ostatniej nacjonalizacji kopalń węgla, elektrowni, kolei oraz Banku Anglii.

Podejrzewałam, że w innych, mniej niepomyślnych czasach, te spotkania – teraz tak bogate w dyskusje, jak ubogie w wiktuały – prawdopodobnie były obfitymi kolacjami podawanymi przez trzy służące; wtedy, gdy szanowany Hugh Bonnard nie umarł jeszcze na atak serca przed ukończeniem pięćdziesięciu czterech lat, a troje dzieci z Marcusem na czele kręciło się po domu, wszystkie zdrowe, energiczne i dobrze się zapowiadające. Teraz natomiast została tylko matka opatulona swoimi ekstrawaganckimi wełnianymi szalami; jadalni nie otwierało się dla gości, ponieważ nie było czego im podać, a jedyna służąca kładła się spać około ósmej, nie mając więcej obowiązków, zostawiała tylko parę popielniczek i słabe światło kilku świec.

W ciągu tych dni straszliwego zimna, kiedy prawie nie wyściubialiśmy nosa z domu, pośród ścian wytwornej rezydencji, która domagała się świeżego malowania, wizyty hydraulika, który naprawiłby rury, czy nowej tapety, pośród tych wszystkich ludzi, którzy przychodzili i wychodzili, mój syn i ja poruszaliśmy się niby

dwa ciche duchy: byliśmy, ale jakby nas nie było, swoi, ale obcy. Tymczasem relacje na linii teściowa–synowa pozostały poprawne, bez specjalnej wylewności, ale i bez wielkich nieporozumień; na tyle bezproblemowe, na ile mogą być stosunki między dwiema nieznanymi wywodzącymi się z tak diametralnie różnych światów.

Od początku było dla mnie jasne, że moja osoba jest dla Olivii Bonnard absolutnie obojętna. Interesowałam ją jedynie jako żona jej syna i matka jej wnuka. Nigdy nie zapytała o moje pochodzenie, moją rodzinę czy mój kraj, o moje poprzednie życie albo o to, jak wyglądał mój związek z Marcusem. W jej oczach bez cienia wątpliwości jawiłam się jako całkowite przeciwieństwo żony, jakiej życzyłaby sobie dla swojego pierworodnego, cudzoziemka pozbawiona korzeni społecznych, bez własnego majątku, pochodząca z zacofanego i ponurego kraju. Olivia była jednak inteligentna i ze względu na własny w tym interes starała się otwarcie nie okazywać mi pogardy. Wielką miłością darzyła natomiast Víctora; miłością bez całusów czy przytulania, którą ja, będąc matką, postrzegałam jako szczerą.

Jednym z moich zajęć w ciągu tych wielu martwych godzin było przemierzanie wielkiego domu w górę i w dół, od piwnicy, gdzie znajdowały się pralnia, pusta spiżarnia, biuro i duża kuchnia, aż po strych, gdzie swego czasu mieszkała służba domowa, teraz nieobecna, z wyjątkiem niani Phillippy i starej Gertrude. Poszukiwałam wtedy jakiegoś śladu Marcusa z czasów jego dzieciństwa i młodości, czegokolwiek, co by mnie do niego zbliżyło, ale jedyne, co znalazłam, to dwie rakietki tenisowe z powykrzywianymi drewnianymi ramami i pozbawione strun. W czasie wojny Olivia przyjmowała pod swój dach dalekich krewnych, przyjaciół i znajomych, pokoje udostępniła nawet kilkorgu nieznanym. Równocześnie sprzedawała meble, ozdoby i sprzęty, i nie miała innego wyjścia, jak pozbyć się drobiazgów na rzecz niemal barakowej funkcjonalności. Sprzedała nawet wielką bibliotekę swojego męża. Po tych, którzy mieszkali tam w przeszłości, zostało tylko wspomnienie.

Prawie co tydzień dostawałam pocztą wieści z Jerozolimy od Fran Nash, długie listy, które czytałam, siedząc zamknięta w moim

pokoju, na głos powtarzając synowi całe akapity, jakby potrafił je przetworzyć w swojej małej głowie. W jednym z listów opowiedziała mi o tym, jak udało jej się przekonać młodego andaluzyjskiego franciszkanina, żeby zastąpił mnie w roli tłumacza dla Télam; w innym – że mój apartament w Austrian Hospice wynajęto parze amerykańskich dziennikarzy. Przekazywała także nowiny dotyczące naszych wspólnych znajomych, pisała o swoich córkach, o filmach, które oglądała, przemyślała ironiczne teksty i anegdoty. Nie chcąc mnie niepokoić, prawie nie zagłębiała się w szczegóły dotyczące przemocy ze strony hebrajskiego ruchu oporu.

Rzadziej, ale także regularnie, docierały do mnie listy od Berthy Vester napisane na eleganckim papierze w kolorze kości słoniowej z emblematem American Colony. Mimo że wyprowadziłam się z jej hotelu, żeby zorganizować sobie nowe życie, wciąż utrzymywałyśmy serdeczne relacje. Dostawałam również korespondencję od niektórych znajomych z kręgu Fran, którzy po śmierci Marcusa i mojej przeprowadzce na Stare Miasto ostatecznie stali się niemalże moimi przyjaciółmi. I oczywiście dość często pisał do mnie Nick Soutter swoim zdecydowanym charakterem pisma, opowiadając o perypetiach PBS – okazało się, że żydowscy pracownicy, pod kierownictwem dyrektora Edwina Samuela, opuścili zbiorowo budynek publicznego radia Mandatu Palestyny i poszli na swoje. Na końcu listu Nick zawsze zamieszczał parę linijek poświęconych Víctorowi; nazywał go *old chap* albo *old chum*, zwracał się do niego tak, jakby byli przyjaciółmi. Na poły w żartach, na poły poważnie, prosił go, żeby o mnie dbał.

Raz i drugi czytałam te wszystkie listy, jakby tylko to łączyło mnie z moim dawnym życiem. Gdy przewijałam taśmę wspomnień, Jerozolima była niemal wszystkim, co pamiętałam, jakby cała moja egzystencja zaczęła się właśnie na tym terytorium. Madryt, Tetuan, Tanger, moje lata młodości i praca krawcowej wydawały się tak odległe, że czasami odnosiłam wrażenie, że nie należą już do mnie, tylko do jakiejś obcej osoby. Czas, jaki spędziłam w Palestynie, najpierw z Marcusem i kolejne miesiące już bez niego składały się na moją najprawdziwszą rzeczywistość. A z nią wiązali się moi najdrożsi przyjaciele, ci, którzy towarzyszyli mi w bezsenne noce

pełne bólu po jego śmierci, ci, którzy wyciągnęli do mnie rękę, żebym nie pogrążyła się całkiem w mętnych wodach cierpienia. To za nimi tak bardzo tęskniłam w tym zimnym Londynie i w tym surowym domu. I to z myślami o nich mijały moje dni, w oczekiwaniu na poprawę pogody, byśmy mogli wyruszyć w stronę słońca i wyrwać się raz na zawsze z tego chłodnego i obcego otoczenia.

Akurat czytałam ponownie list od Fran, który dostałam tego samego poranka, a Víctor ucinał sobie popołudniową drzemkę, kiedy Gertrude zapukała do drzwi mojej sypialni. Reszta domu była tak nieprzyjazna z powodu niskiej temperatury, że spędzałam tu długie godziny, a ze względu na znaczne rozmiary pokoju w rogu mogłam urządzić sobie coś w rodzaju małej kuchni z przenośną kuchenką do podgrzewania butelek mleka oraz czajnikiem. Oprócz tego Gertrude udostępniła mi mały piecyk naftowy, wieczorami przynosiła nam butelki z gorącą wodą, żeby ogrzać pościel, a od czasu do czasu zdobywała dla nas parę bananów albo paczkę herbatników. W głębi duszy uważałam, że szczodrość Gertrude nie wynikała z chęci zapewnienia mi dobrego samopoczucia, a miała na celu jedynie denerwować jej panią; łączyły je bowiem osobliwe relacje, które nieustannie oscylowały między sympatią a niechęcią, między szacunkiem a wrogością.

– Milady pyta, czy mogłaby pani zejść – obwieściła z tym dziwnym akcentem, do którego powoli się przyzwyczajałam.

Jedno oko miała bardziej przymknięte niż drugie, często się zastanawiałam, czy przypadkiem nie jest na nie ślepa. Jednak mimo uciekającego wzroku, utykania i wielu dekad na karku swoje obowiązki wypełniała nad wyraz sprawnie. Prała i prasowała pieluchy Víctora, zajmowała się moim pokojem i garderobą, mimo że się przed tym wzbraniałam, i sprawiała, że skromne produkty, które trafiały do jej kuchni (filety z wątróbki, małe jajka, pozbawiona smaku kapusta, puszki zupy, a nawet mięso wielorybie), dzięki jej umiejętnościom zamieniały się w coś w miarę dobrego.

Z powodu zamknięcia w domu, niewielkiej ilości bagażu, z jakim przyjechałam, oraz wysiłków, żeby jakoś znieść niskie temperatury, wyglądałam trochę niechlujnie: flanelowe spodnie, gruby golf



z wełny szetlandzkiej, a na to stara kurtka Marcusa. Pod spodem nosiłam kilka warstw bielizny. Dłonie chroniłam wydzierganymi na szydełku mitenkami, które teraz natychmiast zdjęłam. Włosy miałam zebrane w koński ogon związany chustką. Na twarzy ani cienia makijażu, na ustach ani śladu szminki, do której używania zachęcały w czasie wojny, dla zachowania wysokiego morale, brytyjskie władze.

Zastałam ich siedzących w fotelach naprzeciwko kominka i popijających rozwodnioną niesmaczną kawę o szarawym kolorze, którą zwykle przygotowywało się w tym czasie z braku dobrych ziaren. Zarówno Olivia, jak i nieznajomy wpatrywali się w wielkie zwoje papieru rozłożone na stole. Podnieśli głowy, gdy usłyszeli, że nadchodzę, on wstał. Był w średnim wieku, szczupły i dobrze ubrany, w okularach i z głębokimi zakolami; witając się z nim, zwróciłam uwagę, że nie zdjął szalika. Olivia przedstawiła mi go jako architekta. Baker albo Barker czy jakoś tak brzmiało jego nazwisko, nie zdołałam zapamiętać.

– Czeka nas, *my dear*, niezwykle trudne zadanie i chcielibyśmy poznać twoją opinię. Podzielić na dwa, na cztery czy na sześć, jak według ciebie byłoby najwygodniej?

Nie wiedziałam, dlaczego interesowało ich moje zdanie na temat czegoś, co ani mnie nie dotyczyło, ani nie obchodziło, ale usiadłam obok nich i udałam, że się angażuję. Były to plany rezydencji przy The Boltons, w której się znajdowaliśmy, i obejmowały różne rozwiązania. Jeden wariant polegał na podzieleniu jej na dwa domy. Drugi – na cztery niezależne mieszkania. Trzeci – na sześć apartamentów.

– Dom jest zbyt duży i należałoby coś z nim zrobić – wyjaśniła mi Olivia. – Nie był odnawiany od dziesięcioleci, a gruntowny remont wiązałyby się z wydatkami, jakich nie damy rady ponieść.

– W całym Londynie podejmuje się takie działania – podkreślił architekt. – Brak mieszkań to poważny problem, niemieckie bombardowania zrównały z ziemią mnóstwo budynków.

Pokazali mi, jak wyglądałyby możliwe konfiguracje. Nawet w tej najmniejszej opcji, z sześcioma oddzielnymi apartamentami, byłyby to mieszkania z pewnością nie ogromne, ale akceptowalne. Gdybym

miała je do czegoś porównać, to każde z nich liczyłoby znacznie więcej metrów kwadratowych niż skromne wynajmowane lokum przy ulicy Redondilla, gdzie spędziłam dzieciństwo.

– Wielu przyjaciół i znajomych, ludzie tacy jak my, robi to samo. Musimy się przystosować do nowych czasów, trzeba...

– Rezultat jest wspaniały, można zainstalować centralne ogrzewanie...

– Nowoczesną kuchnię...

– Krany ze stali nierdzewnej...

Podniosłam wzrok znad planów, bo coś mi zazgrzytało, gdy tak słuchałam, jak zgadzali się w swoich opiniach co do idealnego rozwiązania. Oboje jednak mieli rację. Z jednej strony w rodzinnym domu było wiele pustych pomieszczeń, z drugiej – jego stan wskazywał na brak płynności finansowej. To, co Olivia Bonnard miała na przeżycie, było z całą pewnością niewielką sumą.

Nigdy nie należeli do arystokracji ani nie posiadali wielu nieruchomości czy posiadłości. Wprawdzie ojca Marcusa swego czasu tytułowano *sir*, a do niej w konsekwencji przyłgnęło *lady* (zgodnie z prawem czy bezprawnie, *who knows*), nie oznaczało to jednak, że wywodzili się z wyższej warstwy społecznej. Chodziło o zwykłą formę grzecznościową, która została nadana wraz z mianowaniem Hugh Bonnarda sędzią High Court of Justice. Oboje małżonkowie pochodzili ze starych, zacnych rodzin zajmujących się praktyką adwokacką i służbą publiczną na różnych szczeblach, należeli do zamożnej, szanowanej i wykształconej klasy, która przez pokolenia edukowała swoje dzieci w Harrow School i w koledżach Oxbridge, a także wydawała swoje córki za członków podobnych rodzin z *upper middle class*, która żyła dostatnio, kiedy wiały pomyślne wiatry, i która musiała mocno zaciskać pasa, kiedy nadchodził sztorm. Etykieta i dobre maniery były znakiem rozpoznawczym domu i całej klasy, podobnie jak charakterystyczny sposób mówienia oraz liczne zwyczaje i konwenanse. Ale żywej gotówki w tym momencie prawie nie było.

Olivia była jeszcze właścicielką, a przynajmniej tak sądziłam, tej wspaniałej rezydencji, wiktoriańskiej willi ze stiukową fasadą, czterema piętami i znakomitą lokalizacją przy The Boltons, między

South Kensington, Chelsea i Earls Court, niemal w takiej samej odległości od Kensington Gardens i Tamizy, naprzeciwko ogrodu komunalnego, którym nie miałam jeszcze możliwości się nacieszyć z powodu przekłętego śniegu. Mimo że pomysł przebudowy domu wydawał się logiczny, tego popołudnia, patrząc na plany, obudziło się we mnie podejrzenie, że coś mi umyka.

Podczas gdy ja próbowałam znaleźć to coś, co mi w tym wszystkim nie pasowało, architekt nadal przedstawiał argumenty, opisując zalety każdej ze swoich propozycji. Aż w pewnym momencie, już podsumowując, czubkiem swojego srebrnego ołówka automatycznego wskazał konkretne miejsce na planie i spojrzał prosto na mnie.

– Chociaż gdybym ja miał taki wybór jak pani, bez wątpienia zdecydowałbym się na opcję z czterema mieszkaniami i wybrałbym dla siebie jedno z tych na parterze, z widokiem na ogród.

O mało nie wybuchnęłam śmiechem. A więc o to chodziło. Nagle wszystko stało się jasne. Ponieważ inne sposoby przekonania mnie okazały się daremne, moja tajemnicza teściowa zamierzała nie dopuścić do naszego wyjazdu, podtykając mi pod nos pokusę przyszłego mieszkania. Osobnego, lecz będącego jej własnością. Oddzielonego od niej, lecz przyległego. Jakby przedłużenie. Jako coś w rodzaju dodatku.

**B**ył już marzec, kiedy opady śniegu ustały, mrozy ustąpiły, temperatura zaczęła rosnąć i wreszcie mogłam się zapuścić na ulice Londynu. Po wielotygodniowym zamknięciu w domu nagromadziło mi się kilka zaległych spraw. Po pierwsze, musiałam kupić trochę materiałów na ubrania dla Víctora, który cały czas rósł, a z Palestyny zabrałam ze sobą tylko to, co było niezbędne. Po drugie, musiałam spróbować zdobyć żywność, żeby zrekompensować wydatki, jakie wiązały się z naszym pobytem. Wiele razy oferowałam Olivii, że dołożę się do domowego budżetu, ale ona – powodowana upartą dumą wielkodusznej głowy rodziny – stanowczo odmawiała.

Zakup mapy był kolejną z moich pilnych potrzeb. I wreszcie musiałam też znaleźć jakiejś miejsce, w którym mogłabym kupić bilety na naszą podróż. A poza tym, i nade wszystko, pragnęłam się przewietrzyć, i to nie tylko w sensie fizycznym – w tym celu wychodziłam do ogrodu na tyłach domu z porządnie opatulonym synem na rękach. Kiedy zrobiłam to po raz pierwszy, coś wbiło się w moje ciało niczym ostry szpikulec. Półtora roku wcześniej w tym samym miejscu był z nami Marcus, rozluźniony, z nogami wyciągniętymi na trawie i twarzą skierowaną w stronę letniego słońca, przystojny w swoim lnianym garniturze, zadowolony, ponieważ jego matka i jego żona wreszcie się poznały. Tamtego pogodnego lipcowego popołudnia nikt z naszej trójki nie mógł sobie nawet wyobrazić, że lot do Palestyny, gdzie mieliśmy wyruszyć tego samego dnia, będzie dla niego podróżą z biletem w jedną stronę.

W tym pięknym, zaniechanym, a teraz martwym z powodu surowej zimy ogrodzie spacerowałam z moim synem, do ceglanego muru i z powrotem, tam i z powrotem, wiele razy, by tlen dostał się przez pory naszych skór, nosy, oczy i uszy.

Poinformowałam o swoim zamiarze wyjścia z domu pierwszego poranka, kiedy przez okna zaczęło się przedostawać łagodne białawe słońce. Wciąż rozpoczynaliśmy dzień przy wielkim orzechowym stole w jadalni, gdzie na śniadanie składały się herbata i niewielka ilość jedzenia. Często się zastanawiałam, dlaczego Olivia trzyma się tego dość pompatycznego rytuału, kiedy w jej spiżarni nie było niczego prócz pajęczyn. Przypuszczałam, że w ten sposób chciała nie dać się przygnębieniu.

Zaciekawiona oderwała wzrok od „The Timesa” i spojrzała na mnie sponad okularów do czytania.

- Wybierasz się w jakieś konkretne miejsce?
- Muszę kupić parę rzeczy.

Przewróciła stronę, przeczytała kilka linijek i znowu przerwała.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?
- Dziękuję, nie trzeba.

Czytała dalej z okularami na czubku nosa. Miała na sobie kolejny ze swoich wyszukanych szali z dzianiny, a z ramienia jak zawsze spływał jej warkocz.

- Pożyczyć ci moje futro z lisa?

O mało nie parsknęłam śmiechem. Na usta cisnęły mi się trzy słowa: za żadne skarby. Ale zdołałam zatrzymać je dla siebie i tylko powtórzyłam:

- Dziękuję, Olivio, nie trzeba.

Niewątpliwie miała świadomość tego, jak skromna jest moja garderoba, ograniczona do tego, co zmieściło się do jedynej walizki: moje codzienne ubrania, ciuszki dziecka i kilka rzeczy Marcusa. Fran Nash zaoferowała, że prześle nam nasze kufry, które byłam zmuszona zostawić, ale przekazałam jej, że nie ma takiej potrzeby. Wszystko za mocno wiązało mnie z okresem, który zostawiłam już za sobą, wołałam o nim nie wspominać. Brakowało mi tylko mojego radia, ale już się z tym pogodziłam.

Tak właśnie rozpoczęłam swoją znajomość z Londynem: sama, oszołomiona, zaciekawiona. Okolica The Boltons bez wątpienia była atrakcyjna, ale dało się tu jeszcze dostrzec blizny po wojnie: błotniste zapadliska na drogach, zniszczone krawężniki chodników i zwały brudnego śniegu zmieszanego z gruzami. Przemierzając ulice

niemal pozbawione pieszych i z nielicznymi pojazdami, widziałam wiele fasad eleganckich domów, na których odbijała się trudna sytuacja mieszkańców: niektóre okna były zabite deskami zastępującymi szyby i prawie na wszystkich łuszczyła się farba, co wyglądało niczym łaty. Przypuszczałam, że wiele z nich też zostanie zamienionych w apartamenty. Idąc bez konkretnego kierunku, popychana jedynie energią moich nóg, wkrótce dotarłam do arterii, gdzie panorama przedstawiała się już inaczej: było więcej samochodów, więcej ludzi, autobusów, ruchu. Fulham road – przeczytałam na tablicy.

Parę godzin później byłam z powrotem z moimi skromnymi sprawunkami. Nie bez wysiłku, wchodząc do sklepów i pytając, wychodząc i próbując w innych, kupiłam trochę wełny, żeby wydziergać dla Víctora sweterki, czapeczki i skarpetki, tetkę na pieluchy, dwa kauczukowe smoczki i butelkę. Krótko mówiąc, rzeczy najpotrzebniejsze. Wolałam nie obciążać się nadmiernie przed podróżą do Maroka. Zdobycie jedzenia natomiast kosztowało mnie znacznie więcej. Wszędzie proszono mnie o bony zaopatrzeniowe, których nie miałam; dostawała je Olivia, ale dysponowała nimi Gertrude. W końcu udało mi się kupić butelkę sherry oraz – za wygórowaną cenę – kilka puszek przetworzonego mięsa.

Wszędzie widziałam kolejki: bladzi, często przygnębieni ludzie ustawiali się w milczeniu przed sklepami mięsnymi, piekarniami, warzywniakami i sklepami spożywczymi. Jedyne, co zdobyłam z dużą łatwością, to mapa, plan Londynu z drugiej ręki, dzięki któremu zamierzałam zlokalizować Rosalindę Powell Fox, moją dawną przyjaciółkę. Nic o niej nie wiedziałam, zniknęła dawno temu, i to ogromnie mnie dziwiło. Koniec wojny zastał ją w Lizbonie, w klubie El Galgo, który wciąż działał, zajmowała wtedy duże mieszkanie przy alei da Liberdade, gdzie spotkałam się z nią wiele lat wcześniej podczas moich mrocznych portugalskich perypetii. Krótko po tym, jak Marcus i ja osiedliśmy w Palestynie, ona wróciła do Anglii i na prośbę męża podjęli próbę pogodzenia się, wyjeżdżając do wiejskiego domu w Surrey. Ale trwało to zaledwie kilka miesięcy. Kiedy uzmysłowiła sobie, że przedłużanie tego nieszczęsnego małżeństwa jest tylko źródłem cierpienia, porzuciła Petera Foxa

i przeniosła się do Londynu. Właśnie wtedy napisała do mnie swój ostatni list: opowiadała w nim, że załatwia formalności, by otworzyć nowy klub, któremu zamierza nadać oryginalną nazwę The Patio. Na kopercie znajdował się adres nadawcy: 9 Tilney Street. Tam właśnie, dzięki mapie, zamierzałam skierować swoje kroki przed wjazdem z Anglii i poszukać nieuchwytniej przyjaciółki, z którą nic kontaktu wymknęła mi się z rąk.

W ten sposób załatwiłam tego przedpołudnia prawie wszystkie sprawy. Musiałam jeszcze tylko znaleźć biuro podróży, ale tym postanowiłam się zająć następnego dnia. Po powrocie do domu powitano mnie tak, jakbym przemierzyła ocean. Víctor rzucił mi się na szyję z okrzykiem radości, Gertrude próbowała rozpoznać zawartość mojej torby swoim zdrowym okiem, a Olivia długo mi się przyglądała. Młoda Phillippa, zawsze taka dyskretna, pozostała z tyłu ze złączonymi dłońmi.

– Wygląda na to, że świat znowu zaczął funkcjonować – tak brzmiało powitanie mojej teściowej.

Starła się nadać temu zdaniu ironiczny ton, swój znak firmowy. Zdało mi się jednak, że wyczułam coś więcej między słowami i tembrem jej głosu. Pewną niechęć. Odrobinę niezadowolonia.

– Masz pocztę – obwieściła następnie, unosząc brwi i kierując wzrok na srebrną tacę, na której codziennie kładziono listy. – Chyba z Jerozolimy.

Domyśliłam się, że to od Fran Nash albo od Nicka Souttera, a może od któregoś z dziennikarzy, przyjaciela ich dwojga i częściowo mojego, a może od Berthy Vester lub Katy Antonius, która również pisała do mnie od czasu do czasu. Ale nie. To była koperta z oficjalnym emblematem Mandatu Palestyny.

Poprosiłam Phillippę, żeby pottrzymała chłopca. Kiedy miałam już wolne ręce, pospiesznie rozerwałam kopertę, ale od razu pożałowałam, że nie poszłam do swojego pokoju, żeby otworzyć ją na spokojnie i dyskretnie nożykiem do listów. Nie mogłam się jednak powstrzymać: wszystko, co dotyczyło oficjalnych spraw Brytyjczyków w Palestynie, wciąż podnosiło mi ciśnienie.

Olivia musiała coś wyczuć, ponieważ nie ruszyła się na krok. Przesyłka zawierała dwie kartki napisane na maszynie, ale z trudem

zrozumiałam ten biurokratyczny język. Wspominano coś o służbie, świadczeniach, departamentach, adresach biur w Londynie. Ale istota tego listu mi umykała.

– To chyba coś o Marcusie – wymamrotałam, przekazując kartki Olivii.

Szłam za nią, kiedy kierowała się do swojego biurka, wpatrując się w papiery ze zmrużonymi oczami. Kiedy wreszcie znalazła okulary, usiadła i powoli przeczytała.

– Istotnie – potwierdziła, gdy tylko skończyła. Następnie złożyła list swoimi długimi powykręcanyimi palcami. – Ustalają ostateczną kwotę renty, jaka będzie dla was przeznaczona po jego śmierci, uprzedzają, że mogą być jeszcze korekty, może rekompensaty. Proszą, byś przyszła do biura w Westminsterze, żeby wyjaśnili...

Nie pozwoliłam jej dokończyć. Odmówiłam, kręcąc głową z boku na bok. Nagle wróciły wspomnienia z tygodni po ataku na King David Hotel, te wszystkie skomplikowane formalności, często zupełnie niezrozumiałe, którymi musiałam się zająć od razu po porodzie, wciąż jeszcze obficie krwawiąc, z twarzą we łzach i z obolałymi, pełnymi mleka piersiami.

Nie, nie chciałam znowu przechodzić przez ten czyściec. Wiedziałam jednak, że nie wolno zaniedbać tej sprawy, wszak mój syn i ja musieliśmy żyć z renty po Marcusie, na razie nie mieliśmy bowiem innych środków. Świadoma mojego wahania Olivia zakończyła w sposób zdecydowany.

– Chcesz, żebym się tym zajęła w twoim imieniu?

– *Please* – wyszeptalam z wdzięcznością.

– Zostaw to mnie, to żaden kłopot. A tak w ogóle...

Przypuszczałam, że chce zmienić temat rozmowy, żeby poprawić mi nastrój. Ale nie, nie chodziło o to. Tak naprawdę miała mi do powiedzenia coś konkretnego.

– Był do ciebie telefon.

Spojrzałam na nią na poły z powątpiewaniem, na poły z niedowierzaniem.

– Z BBC. Otrzymali przesyłkę na twoje nazwisko, także z Palestyny, pocztą wewnętrzną. Nie mogą wysłać jej tutaj, nie znam powodu. Prosilili, żebyś odebrała ją osobiście.



W przeciwieństwie do poprzedniej wiadomości ta poprawiła mi humor. Nadawcą mógł być tylko Nick Soutter, może na prośbę Fran Nash przesłał niektóre z moich rzeczy albo coś dla Víctora, którego tak bardzo polubił. Wszystko jedno – najważniejsze, że nie chodziło o niewdzięczne administracyjne formalności, jak te, o których informowano w liście, tylko o coś, co pochodziło od przyjaciela, i to mi wystarczało.

– Gdzie się znajduje?

– Co takiego?

– BBC.

– Broadcasting House? Chyba w Marylebone. Na końcu Regent Street, niedaleko Park Crescent. Naprzeciwko The Langham Hotel, jeśli pamięć mnie nie zawodzi. Ale mogłabyś nalegać, żeby przesłali ci to do domu. Mam zadzwonić i...?

Nie dałam jej dokończyć.

– Wybiorę się tam jutro.

**T**ego wieczoru, przy słabym świetle lampy naftowej, udało mi się znaleźć na mapie adres Rosalindy Fox. Klęcząc na wytartym dywanie przy łóżku, pochylona nad rozłożoną mapą, wydałam z siebie okrzyk radości. Tinley Street znajdowała się w dzielnicy Mayfair, w siatce wąskich uliczek obok Hyde Parku. To był mój punkt odniesienia. „Bardzo blisko parku” – napisała w swoim ostatnim liście. Nie wyjaśniła, czy chodzi o własność należącą do jej rodziny, czy wynajmowała od kogoś obcego, czy może mieszkała tam na czyjeś zaproszenie. Zaznaczyłam to miejsce krzyżykiem. Ku mojemu zadowoleniu okazało się, że znajduje się ono po drodze między The Boltons a siedzibą BBC.

Po przebudzeniu najpierw podeszłam do okna, aby się upewnić, że nie wrócił śnieg. Przez okno zobaczyłam takie samo popielate niebo jak poprzedniego dnia, ale nic z niego nie padało – to oznaczało, że mogę ruszać. Ubrałam się wciąż bez ekstrawagancji, ale starannie. Nie wybierałam się na żadną wyjątkową uroczystość, tylko szłam w konkretne miejsca w konkretnych sprawach w mieście, które wreszcie było przejezdne, a to różniło się już znacznie od tygodni spędzonych w zamknięciu.

Z mojej skromnej garderoby wybrałam najlepiej wyglądające rzeczy: spodnie z szewiotu, jasny sweter i płaszcz w kolorze burgunda, jedyny z mojego wytwornego poprzedniego życia, jaki zmieścił mi się w walizce. Poza tym wykonałam delikatny makijaż, zrobiłam porządek z włosami, a wokół szyi zawiązałam szalik z egipskiej wełny.

Olivia powitała mnie na śniadaniu gestem wyrażającym na poły podziw, na poły podejrzliwość. Równie dobrze mogłam zwrócić się do niej o pomoc, ale koniec końców chodziło tylko o drobiazgi. Musiałam jedynie odnaleźć moją przyjaciółkę i odebrać

niespodziewaną przesyłkę. Ale wolałam zrobić to sama, nawet gdybym miała się zgubić i pomylić ulice, a znalezienie celu miałyby mi zająć trochę czasu. Wystarczyło, że wzięła na siebie niewdzięczną sprawę renty po Marcusie. Wolałam nie wtajemniczać jej w resztę moich spraw. Potrzebowałam minimum prywatności, pragnęłam opuścić na chwilę jej strefę.

Miałam świadomość, że Olivia każdego dnia podejmuje wysiłek, by się kontrolować, i często gryzie się w język, żeby nie przekazać mi swoich opinii ani wytycznych. Mimo to było widać jak na dłoni, że niezbyt pochwała to, co robię. Nie podobało jej się, że nie zostawiam Víctora w rękach Phillippy na większość czasu i że noszę go na biodrze, chodząc z nim tak od pokoju do pokoju. Nie podobało jej się, że mówię do niego po hiszpańsku. Nie była zadowolona, że daję mu ssać kawałki chleba. Nie uważała za właściwe, że pozwalam mu chodzić na czworakach po dywanie przed kominkiem. Nie akceptowała tego, że nie przebieram się na kolację. Nie pochwałała, że traktuję Gertrude ze zbyt dużą poufałością. Nie była zadowolona, że jej mężczyźni przyjaciele, którzy przychodzili do domu, kątem oka patrzyli na mnie z uznaniem. A nade wszystko wciąż nie mogła zaakceptować tego, że chcę wywieźć z Anglii jej wnuka.

– Nie zamierzasz włożyć kapelusza?

Przypomniałam sobie pudła na kapelusze, które zostawiłam w apartamencie w Austrian Hospice, i tamte piękne dzieła z okresu, kiedy byłam krawcową dla eleganckich dam. Pomimo jej udawanego niewinnego tonu pytanie było nie na miejscu: doskonale wiedziała bowiem, że oprócz wełnianego beretu nie mogłam przywieźć ze sobą żadnego kapelusza.

– Powojenny pragmatyzm, jak sądzę – wymamrotała, na powrót przenosząc wzrok na gazetę.

Uśmiechnęłam się z fałszywą niewinnością.

– Właśnie.

Mogłam poszukać taksówki, ale wolałam się przejść. Czasu miałam nadto i wiedziałam, że Víctor nie będzie sprawiał problemów pod moją nieobecność. Miał dobry charakter, lubił Phillipę i rozumiał się zarówno z Gertrude, jak i z moją teściową. Poza tym wiedziałam, że im później wrócę, tym ona będzie miała więcej czasu,

żeby traktować go wedle własnego upodobania, mówić do niego w swoim języku, pozwalać, żeby jej stary pies go lizał, a może i fantazjować o znakomitej szkole z internatem dla dobrze urodzonych chłopców, do której pragnęła posłać go w przyszłości.

Wysłałam ze złożoną mapą w kieszeni płaszcza, chociaż prawie jej nie potrzebowałam. Trasa była długa, lecz prosta. Podziwiając otoczenie, przeszłam Old Brompton Road, która w pewnym momencie połączyła się z Brompton Road. Dotarłam do katolickiego Oratorium, po lewej zobaczyłam majestatyczny budynek Muzeum Wiktorii i Alberta; później minęłam dom towarowy Harrods, do którego bardzo chciałam zajrzeć. Ale to nie był odpowiedni moment, obejrzałam więc tylko bogate wystawy i poszłam dalej. Znajdowałam się już w luksusowej dzielnicy Knightsbridge i wkrótce przywędrowałam do Hyde Park Corner, gdzie okazały Łuk Wellingtona wskazał mi, że powinnam skrócić w Park Lane. Moim punktem odniesienia był The Dorchester. Tak zdecydowałam, ponieważ w ostatnim ze swoich listów Rosalinda wspomniała, że często tam bywa. Jakże *marvellously convenient*, pisała, jest mieszkać tuż obok jednego z najbardziej ekskluzywnych hoteli w Londynie.

W takim właśnie otoczeniu uwielbiała popijać herbatę lub koktajl. W tym hotelu, o czym nie wiedziałam, podczas wojny miały miejsce barwne wydarzenia. Amerykański prezydent Eisenhower zatrzymał się tu ze swoją sekretarką-szoferką-kochanką podczas dowodzenia operacją lądowania w Normandii. Brytyjski minister spraw zagranicznych lord Halifax razem ze swoją żoną zajmował tu osiem pokoi, a jednocześnie znajdował czas, by zdradzać ją w apartamencie ze wspaniałą Babą Metcalfe, która z kolei miała romans z ambasadorem Mussoliniego. Wszyscy ci szacowni goście niezbyt mnie jednak interesowali. Zależało mi tylko na tym, żeby znaleźć moją nieuchwytną przyjaciółkę, kobietę, która miała ogromny wpływ na moje życie.

Skuszona jej opisami, postanowiłam zajrzeć do eleganckiego westybulu. Zrobiłam ledwie kilka kroków, gdy nagle ścisnęło mnie w żołądku. To miejsce niezbyt przypominało lobby King David Hotel w Jerozolimie. Ani śladu orientalnych dekoracji, żadnych klientów w egzotycznych strojach czy sudańskich kelnerów; jedynie

zachodnie twarze o jasnej cerze i pracownicy odziani w surowe uniformy. A mimo to coś znajomego unosiło się w powietrzu tego eleganckiego miejsca, gdzie ludzie negocjowali, konspirowali albo ucinali sobie pogawędki: biznesmeni i ich kontrahenci, dumni amerykańscy turyści, grupki eleganckich dam trzymające w palcach fiki z kości słoniowej, może jacyś dyskretni agenci wywiadu, już czujni w obliczu nieuchronnej zimnej wojny. Ktoś wychodził z windy, ktoś inny jadł późne śniadanie lub pytał o coś przy ladzie recepcji. Widziałam także wiele atrakcyjnych, czarujących, obytych w świecie i bez wątpienia zakochanych par, takich jak swego czasu Marcus i ja, kiedy Fortuna nie planowała jeszcze zadania nam najbardziej krwawego ciosu.

Stałam na środku lobby, znacząc tyle co ziarenko piasku na palestyńskiej pustyni. Rozejrzałam się dookoła, próbując przełknąć niepokój. Ani nie było tu śladu Rosalindy, ani mnie nie umknął żaden szczegół tego miejsca; lepiej było jak najszybciej stąd wyjść.

Na tyłach hotelu rzeczywiście znalazłam Tilney Street: krótką i wąską, tak jak wskazywała mapa. Pod numerem dziewięć znajdował się niewielki trzypiętrowy wiktoriański budynek z cegły. Nie była to przyciągająca uwagę kamienica, ale na pewno nobliwa, sądząc po lokalizacji i dobrej konserwacji. Gdy zadzwoniłam, otworzyła służąca z zarumienioną twarzą; domyśliłam się, że właśnie wykonywała jakąś pracę, która wymagała energii, kiedy przerwał jej dzwonek. Mrs Rosalinda Fox? Mrs Rosalind Powell Fox? Mr Peter Fox? Na wszystkie moje pytania odpowiedziała przecząco, kręcąc głową.

Wtedy ze środka wyłoniła się kobieca postać o władczym głosie. Przedstawiłam się pani domu, wytłumaczyłam, z czym przychodzę, a ona w tym czasie obserwowała mnie z pewną podejrzliwością. Kiedy przewyciężyła obiekcje, wpuściła mnie do salonu przesadnie udekorowanego draperiami, porcelanami i ozdobami.

– Nie zdążyłam poznać pani Fox – wyjaśniła, wskazując, bym usiadła. – Kiedy wróciliśmy, jej już tu nie było. Podobnie jak wielu londyńczyków, czas wojny spędziliśmy na wsi, w Sussex, w domu moich rodziców. Bombardowania, dzieci, te sprawy, rozumie pani.

Rozwodziła się nad niepotrzebnymi szczegółami, bałam się, że zabawię tu dłużej, niż powinnam. Miała na nazwisko Tember,

Tembley, a może Tembluy, nie zrozumiałam zbyt dobrze. Była elegancko ubrana, kręcone włosy miała upięte, a na skroniach ułożone wymyślne fale. Ja w moich zwykłych flanelowych spodniach, jasnym wełnianym swetrze i w berecie musiałam w jej oczach wyglądać na nudną świętoszkę albo misjonarkę.

– Mój mąż podpisał swego czasu umowę z Mrs Fox na całoroczny wynajem, ale ona postanowiła wyprowadzić się wcześniej, nie podała nam żadnego powodu. I nie zostawiła też adresu, na który moglibyśmy przesłać jej korespondencję.

Wstanie kosztowało mnie trochę wysiłku, siedziałam bowiem zatopiona wśród mnóstwa miękkich poduszek. Powojenny pragmatyzm, o którym wspominała moja teściowa, oczywiście nie pasował do stylu tej kobiety. Podeszła do biurka, wysunęła szufladę z lewej strony i wyjęła plik listów.

– Czy mogłaby się pani nimi zająć?

Wahałam się kilka chwil, ale Mrs Tember, Tembley, a może Tembluy najwyraźniej nie była gotowa na odpowiedź odmowną. Wyciągnęła swoje krótkie ramię i nie zabrała tych dziewięciu czy dziesięciu listów spod mojego nosa, dopóki ich nie wzięłam.

Wychodząc, przejrzałam je pobieżnie. Dwa były ode mnie, z czego jeden wysłany z American Colony, a drugi z Austrian Hospice. Cztery pochodziły od różnych osób, których nie znałam, wszystkie z angielskimi adresami. Nadawcą trzech pozostałych był Juan Luis Beigbeder, na kopertach z madryckimi stemplami i znaczkami z Franco nie było jednak oficjalnego emblematu. Domyśliłam się, że przeszły przez ręce bezlitosnej cenzury, kiedy zobaczyłam, że wszystkie trzy były precyzyjnie otwarte wzdłuż górnej krawędzi.

Zanim ruszyłam w dalszą drogę, znowu spojrzałam na dom.

– Gdzieś ty się podziała, Rosalindo? – wyszeptałam, naiwnie zwracając się do fasady.

Nie było nikogo, żeby się tego dowiedzieć, ani w Londynie, ani w żadnym innym miejscu.

Spacerując zafascynowana po eleganckiej dzielnicy Mayfair, dotarłam do wspaniałej Regent Street, z mnóstwem okazałych budynków, arkad, domów towarowych, restauracji, *teashops*, dwupiętrowych czerwonych autobusów wyrzucających kłęby

czarnego dymu, a także multum ludzi w miejskim stylu, nowoczesnych, zadbanych. W tej części West Endu, niemal cudem wolnej od blizn po bombardowaniach, rozciągało się przede mną miasto nieskończenie bardziej kwitnące, dostatnie i piękniejsze niż mój biedny Madryt. Oba miasta zostały ciężko doświadczone podczas wojen, lecz skutek nie okazał się taki sam, ponieważ startowały z zupełnie różnych pozycji. Londyn od stuleci był stolicą największego imperium w historii ludzkości, legendarnym epicentrum potęgi gospodarczej, politycznej, kulturalnej i technologicznej całego świata. Madryt, który opuściłam, był natomiast czymś zupełnie innym. Plebejski, zaniedbany i zwarty, z mnóstwem żebraków, skromnych sklepów, ludzi pogrążonych w żałobie. Kastylijska wioska, mawiali o nim niektórzy złośliwie. Mimo to, będąc sama i zdezorientowana w środku tego obcego miasta, poczułam delikatne ukłucie nostalgii.

Przebiełam Oxford Circus i niedługo potem dotarłam do BBC, które mieściło się w budynku w stylu art déco z sześcioma, siedmioma, może ośmioma piętami na półokrągłej fasadzie, z rzeźbą brodatego mężczyzny i nagiego chłopca nad wejściem oraz długą anteną na dachu. Na pierwszy rzut oka jego architektura przypominała mi Barclays Bank w Jerozolimie, tyle że ten był o wiele większy.

W środku panował ciągły ruch, kręcili się pracownicy, dostawcy, goście. Podeszłam do lady recepcji, ale wobec niezbyt precyzyjnych informacji, jakie podałam, nie potrafiono mi pomóc. Skierowano mnie jednak do innego pomieszczenia, a stamtąd na inny korytarz i znowu do kolejnego biura, skąd musiałam się udać do jeszcze innego działu, gdzie wreszcie dostałam odpowiedź.

– Och, oczywiście, paczka z Palestyny – powiedział śpiewnym głosem młodzieniec w okularach i z zębami jak u królika. – Już przekazuję. Proszę zaczekać na korytarzu, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

Przemierzając korytarze tego budynku, widziałam mnóstwo kobiet. Najczęściej, jak mi się wydawało, zajmowały stanowiska administracyjne, ale wiele pełniło także inne funkcje. Brak mężczyzn w czasie wojny przyczynił się do tego, że – podobnie jak w innych

sektorach – masowo zatrudniano żeński personel. Kobiety zostawały pracownicami fabryk, kierowniczymi autobusów i karetek. W BBC do sekretarek, telefonistek i prezenterek, które pracowały tam od dawna, dołączyły realizatorki dźwięku, operatorki transmisji oraz kobiety na innych technicznych stanowiskach.

Obserwowałam niektóre z nich, jak chodziły tam i z powrotem, kiedy czekałam, siedząc na ławce pod ścianą. Aż pewna sympatyczna dziewczyna wystawiła głowę, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż tu jestem. Przekonawszy się o tym, odwróciła się i coś powiedziała do osoby za swoimi plecami. Po zaledwie kilku sekundach ten ktoś do mnie wyszedł.

Szczupła blondynka miała na sobie skromny dwuczęściowy granatowy kostium, który podkreślał jej figurę. Musiała być w moim wieku; może trochę starsza, może nieco młodsza.

– Pani Bonnard?

W jej grzecznym tonie wyczułam delikatną szorstkość. A w jej spojrzeniu – głęboką ciekawość.

– Tragarz zaniósł pani paczkę do głównego wejścia, tam może ją pani odebrać.

Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół w dość arogancki sposób. Nic nie umknęło jej lustracji: moja twarz, włosy, ubranie, buty.

– Jak rozumiem, niedawno przyjechała pani z Jerozolimy.

Dzieliła nas kilkumetrowa odległość; ja wstałam, ona podeszła tylko na tyle, na ile było to konieczne.

– Zgadza się.

Musiało minąć kilka chwil, zanim znowu się odezwała, jak gdyby oceniała także mój akcent.

– Proszę wybaczyć moją ciekawość, tak naprawdę nie powinno mnie tu być, pracuję w innym dziale, który nie ma nic wspólnego z przesyłkami z kolonii.

Mówiąc to, wykonała nieznaczny gest, jakby wskazywała jakieś wyższe piętro budynku, miejsce, w którym miała swoje obowiązki, jakiegokolwiek one były. Odwzajemniając jej zdumiewające zachowanie, ja również otaksowałam ją moimi oczami wytrenowanymi w innych czasach. Niewątpliwie atrakcyjna, zadbany



wygląd. Włosy przed ramiona, zawinięte na końcach. Jasne oczy i wąska twarz.

– Ale zaszła pomyłka – dodała. – Ktoś zobaczył nazwisko nadawcy paczki z Palestyny i mnie powiadomił, zakładając, że to ja jestem jej adresatką. Szybko jednak zdałam sobie sprawę z tego, że nie jest przeznaczona dla mnie, tylko dla innej kobiety. I nie mogłam się oprzeć pokusie, by ją poznać.

Wciąż trzymała się na dystans, gdy wreszcie się przedstawiła.

– Jestem Cora Soutter. Żona Nicholasa Souttera, choć nie wiem jeszcze, jak długo.

Gdy wyszłam z budynku, ostry wiatr smagnął mnie po twarzy i potargał mi włosy. Zaczynał padać deszcz; próbowałam znaleźć taksówkę, ale wszystkie jeździły zajęte. Przechodnie poruszali się szybkim krokiem z parasolami w dłoniach i przytrzymując kapelusze na głowach.

Szłam z przyciśniętą do ciała przesyłką, którą właśnie odebrałam. Nie była przesadnie duża, ale też niezbyt poręczna do niesienia pod pachą, tym bardziej w taką pogodę. A nie miałam bladego pojęcia, jak funkcjonują linie autobusowe czy metro. Wspaniałe miasto, jakie widziałam wcześniej, nagle wydało mi się okrutnie niegościnne.

Wróciłam więc do siedziby BBC, usiadłam na ławce w westybulu i strząsnęłam krople deszczu z ramion, rękawów i z włosów. Obok położyłam pudło, woda rozmyła nazwisko nadawcy. Po spotkaniu z jego żoną moja radość z przeczucia, że przysłał je Nick Soutter, teraz zamieniła się w konsternację.

Rozejrzałam się dookoła, patrzyłam na ludzi przecinających hol, przemieszczali się tam i z powrotem, wchodzili i wychodzili. Każdy był pochłonięty swoimi sprawami, nikt nawet nie rzucił okiem na zagubioną cudzoziemkę z paczką u boku. Domyślałam się jej zawartości, musiałam to tylko potwierdzić. I chociaż doskonale wiedziałam, że to nie było odpowiednie miejsce ani czas, nie mogłam się oprzeć. Wyjęłam z torebki małe nożyczki, które zawsze przy sobie nosiłam, końcówki posłużyły mi do usunięcia plomb. Tak jak przypuszczałam, pierwsze, co znalazłam w środku, to list od Nicka, którego na razie nie utworzyłam. Dalej przecinałam sznurek i opakowanie, aż łzy napłynęły mi do oczu, gdy opuszkami palców dotknęłam jego powierzchni.

To było moje radio, *wireless*, jak mówili Anglicy. Murphy A46, którego Marcus zamówił na Trzech Króli i który dotrzymywał mi

towarzystwa podczas jego nieobecności. W naszym pokoju w American Colony stało przez wiele miesięcy jako świadek naszej krzątaniny i strażnik naszego snu. Później, kiedy terroryści z Irgunu wysadzili King David Hotel i mój syn przyszedł na świat pozbawiony ojca, oboje przeprowadziliśmy się do apartamentu w Austrian Hospice, bo nie mogłabym pozostać w tym samym miejscu, w którym mieszkałam razem z Marcusem, radio zabrałam ze sobą. Ponieważ zostaliśmy zmuszeni do wyjazdu z Jerozolimy w pośpiechu, to pomimo prób nie dałam rady upchnąć go do walizki. To była jedyna materialna rzecz, której porzucenia żałowałam – została pod opieką przyjaciół. Poprosiłam, by pozbyli się moich rzeczy, tych nielicznych mebli, ubrań, kapeluszy, których brak tak bardzo spędzał sen z powiek mojej teściowej. Powiedziałam im, żeby zostawili tylko radio. Resztę mogli rozdać albo spalić – było mi to zupełnie obojętne.

Próbując rozproszyć melancholię, podniosłam wzrok i utkwiłam spojrzenie w ścianie naprzeciwko. Wisiała na niej tablica informacyjna z wypisanym wielkimi literami wykazem biur i sekcji znajdujących się w budynku. Zaczęłam czytać, nie dlatego, że jakoś szczególnie mnie to interesowało, chciałam po prostu pozbyć się przygnębienia. Wiedziałam, że związek Nicka Souttera i jego żony rozpadł się już dawno temu i byli w trakcie nerwowego procesu rozwodowego. Teraz, kiedy on zadał sobie trud, żeby przysłać mi najwartościowszą z moich rzeczy, jego żona wezwała mnie, żeby mnie bezceremonialnie zlustrować.

Wciąż przeglądałam ten spis biur, stosując absurdalny mechanizm obronny, żeby pokonać nostalgię. Nagle jednak mój wzrok się zatrzymał. Overseas Services, przeczytałam. A poniżej, wśród różnych sekcji, jedna od razu przykuła moją uwagę: Spanish Service. Wstałam bez zastanowienia, znowu chwyciłam moją paczkę, jeszcze większą po otwarciu, z rozerwanymi papierem i kartonem, słomianym wypełniaczem i wiszącymi plombami. Przy ladzie recepcji poinstruowano mnie, dokąd mam pójść: dwa piętra wyżej, po prawej stronie.

Na środku korytarza zastałam jednak zamknięte drzwi. Spojrzałam na zegarek, dochodziła pierwsza: ktokolwiek zajmował to

pomieszczenie, teraz był zapewne na obiedzie w innym miejscu. Chciałam już zawrócić, gdy usłyszałam jakieś głosy. Poszłam więc dalej i przystanęłam przed następnymi drzwiami, które były otwarte. Tabliczka informowała o moim niespodziewanym celu: „Latin American Service”.

Dwaj mężczyźni byli pochłonięci rozmową, wyrzucając z siebie słowa i dźwięki, które muskały moje uszy niczym pieszczoty. Jeden mówił hiszpańskim zza oceanu, a drugi czystym kastylijskim. Słyszając ich, niemal się wzruszyłam: od półtora roku przebywałam poza moim światem, daleko od mojego języka i jakiegokolwiek twarzy choć odrobinę bliskiej mojemu pochodzeniu. Wzięłam się jednak w garść, to nie był dobry moment na sentymenty, podjęłam decyzję i ci dwaj nieznajomi być może mogliby mi pomóc.

– Przepraszam, panowie.

Rozmowa nagle została przerwana, obie głowy się odwróciły i ich spojrzenia wbiły się we mnie ze zdziwieniem. Ten, który siedział przy stole, miał mięsiste policzki i ciemne włosy zaczesane do tyłu, wydawał się bardziej korpulentny. Drugi, naprzeciwko niego, był drobniejszy i chudszy, swoje kasztanowe loki ujarzmił sporą ilością pomady i nosił małe wąsy. Musieli mieć około czterdziestki. Na oddzielającym ich stole leżało mnóstwo czasopism, biuletynów i gazet.

– W biurze obok nie ma nikogo... – powiedziałam.

– Pewnie wyszli coś zjeść, ale my też pracujemy w La Voz de Londres.

La Voz de Londres, no jasne; to o niej ciągle mówił mój ojciec. Słuchał jej wieczorami w swoim salonie przy ulicy Hermosilli, w szlafroku i z kieliszkiem brandy. „Stacja BBC Londyn nadaje dla Hiszpanii” – tak zaczynała się audycja, o której następnego dnia rozmawiał ze swoimi kolegami podczas aperitif w La Gran Peña.

– My nadajemy dla Ameryki Łacińskiej, a oni dla Hiszpanii, ale jesteśmy jak rodzeństwo. Tak więc jeśli możemy w czymś pani pomóc...

Przełknęłam ślinę, podczas gdy oni czekali na moją odpowiedź.

– Chciałabym zaproponować swoją współpracę – zdołałam wydusić.

Patrzyli na mnie przez kilka sekund, potem odezwał się ten z łagodną intonacją i akcentem z dalekiego kraju.

– Dziękujemy za zainteresowanie, ale obecnie nie mamy w zespole wolnych miejsc.

– Ja mogę wam zaoferować coś innego.

Odchrząknął nieco skrępowany.

– Przykro mi, naprawdę. Proszę posłuchać, tutaj nie...

Przerwałam mu.

– Niedawno wróciłam z Jerozolimy. To, co się tam dzieje, martwi cały świat.

Brodą wskazałam gazety, które mieli przed sobą. Rzeczywiście, o napięciach w Ziemi Świętej pisano na pierwszych stronach wszystkich tytułów.

– Mogę opowiadać o tym waszym słuchaczom w pierwszej osobie.

Nie dając im szansy, by dalej mi odmawiali, odważyłam się wejść do środka i kontynuowałam.

Mieszając półprawdy, opowiedziałam o moich związkach z Public Broadcasting Service; jakie miało znaczenie, że nasza współpraca ostatecznie nie doszła do skutku, przynajmniej zostałam przyjęta i próbowałam. Podałam nazwiska i konkretne informacje dotyczące PBS oraz konfliktu, podkreśliłam, że w ostatnim czasie byłam tam jedyną obywatelką Hiszpanii, nie licząc paru dyplomatów ani garstki zakonników. Skoro nakłoniłam Nicka Souttera, żeby dał mi szansę opowiadania w Palestynie o Hiszpanii, być może zdołałabym przekonać tych nieznanomych, że bym teraz robiła to w drugą stronę.

– Zostałam tam do czasu, aż odesłali mnie w ramach Operation Polly.

Wiadomość o repatriacji rodzin i mniej istotnego cywilnego personelu nie była żadnym sekretem. Lecz to, że wśród tych wszystkich osób był ktoś taki jak ja, owszem, wymykało się wszelkim normom.

– Mój mąż jest... był... Mój mąż był Anglikiem – wyjaśniłam. – Musiałam tu przyjechać z moim synem, nie miałam innego wyjścia.

Dyrektor sekcji nazywał się George Camacho i był Kolumbijczykiem. Ten drugi, jego zastępca, to Hiszpan Ángel Ara. W tamtej chwili, gdy im przerwałam, rozmawiali o zbliżającym się

nagraniu adaptacji radiowej „Don Kichota”, która miała być po raz pierwszy emitowana w radiu. Ale wyczyny rycerza z La Manchy na razie zeszły na dalszy plan.

Nick Soutter potrzebował jednej nocy, żeby potwierdzić, iż zgadza się na moją współpracę z PBS. Ci dwaj ekspatrianci postanowili być tak samo ostrożni.

– Pani propozycja jest bez wątpienia interesująca, ale...

– Mogą to panowie przemyśleć – przerwałam mu stanowczo. – Nie oczekuję odpowiedzi w tej chwili.

– Dobrze, w takim razie...

– Mogę zadzwonić jutro? Na przykład o tej porze?

Mężczyzna wciąż się wahał, ale skinął głową.

– Jeśli się okaże, że propozycja zostanie przyjęta, musi pani wiedzieć, że byłaby to jedynie tymczasowa współpraca z zerowymi szansami na pozostanie w stacji.

– Jestem w Londynie tylko chwilowo, interesuje mnie właśnie coś takiego.

– Poza tym musiałyby się pani dostosować do określonego formatu, dość sztywnego.

– Naturalnie.

– I będziemy musieli wystąpić o oficjalne pozwolenie do naszych przełożonych.

– Doskonale to rozumiem.

Wyczerpawszy przestrogi, wyjął ze skórzanego pudełka wizytówkę i mi ją podał.

– W takim razie proszę do mnie zadzwonić – oznajmił Camacho, wyciągając rękę. – Ocenimy pani propozycję, zobaczymy...

Kiedy po raz drugi wyszłam na ulicę, przestało już padać, ale niebo nadal było ołowiane i wiał taki sam silny wiatr. Niosłam swoje radio, papier z opakowania trzepotał, sprawiając wrażenie, że w każdej chwili wiatr może go porwać.

**O**livia przyniosła mi wieści dotyczące formalności, do załatwienia których zobowiązała się w moim imieniu.

– Sprawdzają dokumentację strat spowodowanych w King David Hotel, żeby dokładnie ustalić ostateczne kwoty rent, które zostaną przyznane rodzinom. Trzeba poczekać na wyceny, raporty, może nawet opinie prawne, co zajmie trochę czasu.

– Ile?

– Trudno przewidzieć.

Zaciągnęła się głęboko papierosem, potem dodała:

– Co najmniej kilka tygodni. Może miesięcy.

– Czy to konieczne, żebym została tu do czasu, aż skończą się te czynności biurowe?

– Na to wygląda. Będziesz musiała to zaakceptować i osobiście podpisać postanowienia.

– A nie mogłabym tego przygotować i zostawić przed wyjazdem z Londynu? Może poprzez pełnomocnictwo albo jakiś inny rodzaj oficjalnego dokumentu, który... który... który by mi...

Plątał mi się język, zacinałam się. Oprócz tego, że chodziło o przykrą sprawę, nie znałam angielskiej terminologii z zakresu administracji, jej zawiłości i sformułowań.

– Wątpię.

– A nie mogłabym tego załatwić w jakiś sposób z...?

Uniosła brwi z tą tak charakterystyczną dla siebie ironią, nieco lekceważąco.

– Z Maroka? – zapytała z przesadnym zdziwieniem, jak gdybym zaproponowała, że będę się komunikować za pomocą krzyków z pola, na którym rosną afrykańskie opuncje.

– Załatwić to z konsulatu brytyjskiego w Tangerze, chciałam powiedzieć. Z pełnoprawnej placówki dyplomatycznej.

Stanowczość mojej odpowiedzi ucięła jej sarkazm.

– Musisz się wszystkim zająć i należy to zrobić tutaj, *darling* – oznajmiła, gasząc niecierpliwie papierosa. – Jeśli wątpisz w moje słowo, możesz spróbować sama ich przekonać.

Przez kilka nerwowych sekund mierzyłyśmy się wzrokiem.

– Nie wątpię – wymamrotałam. – Wprost przeciwnie. Wybacz.

Po kolacji na moim odzyskanym radiu ustawiłam Sekcję Latinoamerykańską BBC. Różnorodna muzyka, rozmaite wiadomości z Londynu i Europy, mieszanka akcentów, zapowiedź tej adaptacji radiowej *Don Kichota*. Rozbrzmiało nawet tango, które przeniosło mnie myślami do czasu, kiedy nieistniejąca Frances Quiroga wysyłała depesze do agencji Télam w Buenos Aires. Zastanawiałam się, czy Fran Nash wciąż podpisuje je tym samym nazwiskiem, skoro teraz za ich tłumaczenie odpowiada franciszkański mnich.

Kiedy program dobiegł końca, mój syn już spał, a pokój był pogrążony w półmroku, postanowiłam otworzyć wreszcie list od Nicka Souttera. Odkładałam to przez całe popołudnie, być może dlatego, że w głowie nadal miałam wizerunek jego żony stojącej naprzeciwko mnie na korytarzu – szorstkiej, wyniosłej i zarozumiałej blondynki.

Często rozmawiałam z Nickiem Soutterem podczas mojej żałoby, czasami w towarzystwie Fran Nash, czasami na osobności. Oni ze swoimi rozwodami, a ja z moim rozdzierającym serce wdowieństwem spędzaliśmy długie godziny w Austrian Hospice, obnażając swoje dusze, podczas gdy Jerozolima z każdym dniem stawała się coraz krwawsza. Dlatego też byłam wtajemniczona w zawiłości małżeństwa Nicka i wiedziałam o dwójce jego dzieci, które widywał tylko co sześć miesięcy; być może z tego powodu, chcąc złagodzić tęsknotę, obdarzył mojego małego Víctora tak silnym uczuciem.

Wiedziałam także, że swoją żonę poznał w Bombaju, kiedy oboje pracowali dla All India Radio, w służbie Imperium; jak również to, że razem wrócili do Londynu, już jako małżeństwo i z dziećmi, tuż przed wybuchem wojny. Jakiś czas później Nick objął stanowisko w Radio Cairo i wyjechał tam sam, już podczas wojny, podobnie jak później do PBS. Nigdy mi nie wyjawiał, co się stało między nimi



w tym okresie, gdy wrócili do ojczyzny, ale właśnie wtedy się od siebie oddalili. Później nastąpiła nieudana próba pogodzenia, a teraz rozwód wydawał się nieunikniony. Nick nie opowiadał jednak nigdy o żonie ze szczegółami. Że jest temperamentna, rzucił kiedyś. Że ma trudny charakter. Ale nigdy jej nie atakował.

W przeciwieństwie do jego poprzednich listów, serdecznych i poufanych, w tym nie pisał o niczym szczególnie interesującym, osobistym ani nowym. Była to jedynie zwykła kartka dołączona do przesyłki. Może się spodziewał, że paczka trafi w ręce jego impulsywnej żony. W każdym razie to wszystko nie miało teraz wielkiego znaczenia. Nasza przyjaźń została zamknięta w kapsule w innym czasie, nie było sensu za nią tęsknić, ponieważ te dni wzajemnego zaufania i zwierzeń należały już do przeszłości, prawdopodobnie już nigdy więcej miałam nie spotkać ani jego, ani Fran Nash. Od chwili wyjazdu z Palestyny swoją drogę miałam pokonywać już tylko z moim synem – to była jedyna pewna rzecz. Dlatego zamiast pograżać się w tęsknocie za odległymi czasami i nieobecnymi osobami, zmusiłam się do tego, żeby skupić się na tym, co jest teraz. A rzeczywistość była taka, że utknęłam w tej obcej rezydencji przy The Boltons w oczekiwaniu na przykre biurokratyczne formalności, które zmusiły mnie do przełożenia wyjazdu i pozostania w Londynie.

W południe następnego dnia wyjęłam z torebki wizytówkę George'a Camacho, dyrektora Serwisu Latynoamerykańskiego. Podczas gdy Olivia i Gertrude po raz enty energicznie walczyły z zatkanym piecem, ja podeszłam do telefonu. Myśl o tym, że miałabym przez kolejne miesiące siedzieć uczipiona teściowej pod jej dachem, nie mając absolutnie nic do robienia, wydawała mi się równie mało atrakcyjna, jak długa odsiadka w więzieniu. Postanowiłam zatem nie tracić więcej czasu: skoro byłam zmuszona tu zostać, lepiej nie zmarnować tej szansy, którą los postawił na mojej drodze.

Kiedy czekałam, aż mnie z nim połączą, czułam, jak ściska mnie w żołądku. Odpowiedź sprawiła, że o mało nie krzyknęłam.

– Jesteśmy zainteresowani – potwierdził. – Proszę przyjść do mnie jak najszybciej.

Wczesnym popołudniem wróciłam do Broadcasting House. Odkąd przekroczyłam drzwi budynku, nie przestawałam patrzeć na twarze i ciała, które mijałam po drodze. Na szczęście nigdzie nie zobaczyłam Cory Soutter.

George Camacho przyjął mnie ubrany w prążkowany garnitur. Tym razem był sam, zaoferował mi krzesło, herbatę, kawę, coś słodkiego, wodę, herbatniki. Kątem oka spojrzałam na te ostatnie – z wielką chęcią wzięłabym sporą garść i wsadziła do kieszeni, ale zachowałam dobre maniery i przyjąłam tylko to pierwsze. Zajęliśmy miejsca jedno naprzeciwko drugiego i przez chwilę wróciło wspomnienie o innym mężczyźnie z radia, który również przyjął mnie w swoim gabinecie, w innym miejscu i w innych czasach. Ale podczas gdy Nick Soutter był ekspansywny, bezpośredni, mówił stanowczo i tak samo się zachowywał, a do tego nałogowo palił papierosy, to mój kolumbijski gospodarz miał bardzo dobre maniery, spokojny ton głosu i nie okazywał żadnego zainteresowania tytoniem.

– Proszę mi pozwolić, że najpierw nakreślę kontekst, żeby miała pani wyobrażenie o skali naszej działalności. Sekcja Latinoamerykańska nadaje na falach krótkich do wszystkich krajów hiszpańskojęzycznych w Ameryce Środkowej i Południowej, oprócz tego mamy oddzielny program dla Brazylii w języku portugalskim. Istniejemy od trzydziestego ósmego roku, sam miałem zaszczyt odczytać akt otwarcia przed wszystkimi naszymi ambasadorami i może zabrzmiał to nieskromnie, ale od początku przyjęto nas wspaniale. Podczas wojny światowej staliśmy się najbardziej wiarygodnym źródłem informacji dla milionów słuchaczy na kontynencie amerykańskim, od Atlantyku po Pacyfik, od Patagonii po Meksyk.

Chciałam, żeby przeszedł do sedna, choć z przyjemnością słuchałam tego wstępu w płynnym i melodyjnym hiszpańskim. To, o czym opowiadał, bez wątpienia było ciekawe, ale słuchałabym go z taką samą radością, gdyby odmawiał tu pięćdziesiąt ojczenaszów. Zachwycały mnie dźwięki, znajome słowa, kolejne zdania łączące bliskie mi rzeczowniki i czasowniki; to, że jego akcent był inny niż mój, tylko przydawało mu atrakcyjności. Zaskoczyło mnie, że

dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, jak bardzo, bardzo tęskniłam za słuchaniem ojczystego języka.

Nieświadomy moich odczuć mówił dalej.

– Ponieważ jest to sprawa, która łączy aktualne wydarzenia z polityką międzynarodową oraz tematyką kulturalną i historyczną, podeszliśmy do pani propozycji niezwykle poważnie. I jak przekazałem pani przez telefon, odpowiedź brzmi: tak. Chcielibyśmy, żeby przygotowała pani kilka informacyjnych audycji. Przez cały czas może pani liczyć na naszą pomoc.

Przytaknęłam w milczeniu, starając się, żeby nie zauważył mojej satysfakcji.

– Trzy audycje to znakomita liczba, zapłacimy pani po pięć gwinei za każdą. Będzie pani pracować bezpośrednio z Ángelem Arą w Bush House. Poznała go pani wczoraj, teraz pokażę pani, gdzie go znaleźć. On będzie pani towarzyszył na wszystkich etapach projektu. A co się tyczy treści, interesują nas oczywiście kwestie związane z konfliktem, ale także różne zdarzenia, pani własne doświadczenia...

Nick Soutter swego czasu również zaproponował mi trzy segmenty, to musiał być standard stosowany tutaj i w filiach całego Imperium. Tyle że mój przyjaciel podczas tamtego spotkania w kawiarni Atara w Jerozolimie poprosił, żebym opowiadała o moim biednym kraju neutralnie i bez poruszania tematów drażliwych politycznie. Teraz natomiast Camacho wymagał ode mnie czegoś zupełnie innego. Moje własne doświadczenia, powiedział. Byłam gotowa wybuchnąć szorstkim śmiechem. Chciał, żebym skoncentrowała się na moich własnych nieszczęsnych, przerażających, krwawych doświadczeniach.

Przerwałam mu, wolałam zaoszczędzić mu wysiłku.

– Jeżeli mam mówić o sobie samej i moich przeżyciach, to z przykrością muszę panu powiedzieć, że nie uda nam się dojść do porozumienia.

Patrzył na mnie z wpółotwartymi ustami i następnym zdaniem gotowym do wypowiedzenia. Po chwili zamknął usta, odchrząknął i poprawił sobie węzeł krawata.

– Dobrze – powiedział spokojnie. – W takim razie...

Znowu mu przerwałam.

– Ale jeżeli pozwoli mi pan zostawić szczegóły z mojego życia prywatnego na boku, możemy zaczynać od razu.

**T**a niespodziewana współpraca z BBC fizycznie i mentalnie wyciągnęła mnie z mikroświata, w którym żyłam z Olivią. Nacisk z jej strony jednak nie ustawał. Nie wycofała się też ze swoich planów.

Na kolację w rezydencji Hodsonów w Belgravii miał nas zawieźć ten sam milczący kierowca, który odebrał mnie z synem z Victoria Station; osobiście wyjaśniła mi to, kiedy kierowałyśmy się do samochodu.

– Bernard, nasz szofer od zawsze, przeprowadził się na początku wojny do Swansea ze swoimi córkami. Wtedy postanowiłam przekazać bentleya Royal Hospital, dzięki temu wszystko jest łatwiejsze.

Sztucznie neutralnym tonem, jakby chodziło o jakąś drobnostkę, zawsze przedstawiała idealne wytłumaczenie, żeby usprawiedliwić przede mną swoje zubożenie. Jeśli nie miała ogrodnika, to dlatego, że sama uwielbiała się zajmować kwiatami; jeśli nie miała kucharki, to dlatego, że Gertrude wspianiale ją zastępowała; jeśli z powodu braku węgla grzejniki okazywały się zaledwie letnie, to dlatego, że do rozgrzania kości nie było nic lepszego niż porządny ogień. Nigdy nie śmiałam się jej sprzeciwić. I teraz też po prostu milczałam.

O tym zaproszeniu powiedziała mi tydzień wcześniej i już wtedy utknęło mi ono gdzieś w jelitach, ciężkie i dokuczliwe niczym niestrawione jedzenie. Nie odmówiłam jednak, udawałam wręcz zainteresowanie, gotowa zdobyć się na wysiłek. Koniec końców chodziło o nawiązanie kontaktu z dawnym światem Marcusa i pomyślałam, że odrzucenie udziału w nim byłoby w jakiejś mierze brakiem lojalności wobec jego pamięci.

Nadszedł ten dzień i w momencie wyboru ubrania nie miałam zbyt wielu możliwości: wśród skromnej garderoby, którą przywiozłam

z Jerozolimy, znajdowała się tylko jedna *evening dress*, chyba najskromniejsza z całej mojej dawnej kolekcji. Ubrana, umalowana i uczesana bez zbytku, przed wyjściem przejrzałam się w lustrze. Od śmierci Marcusa po raz pierwszy tak się wyszykowałam; tę sukienkę miałam na sobie ostatni raz podczas uroczystości zaprzysiężenia w Government House, na początku ciąży. Przez kilka naiwnych sekund wydawało mi się, że za chwilę w jednym z rogów lustra zobaczę jego postać za moimi plecami, jego ostry profil, kiedy poprawia sobie muszkę albo zapina spinki. Zacisnęłam mocno powieki, żeby nie spłynął mi tusz do rzęs, i zrobiłam głęboki wdech. Nie, w tej dużej i zaniedbanej sypialni nie było nikogo prócz mnie samej, przygotowującej się na spotkanie z obcymi ludźmi.

Olivia zlustrowała mnie z góry na dół, kiedy zeszłam ze schodów odziana w prostą krepeę w kolorze tytoniu. Nie oczekiwałam od niej żadnego komplementu i oczywiście go nie usłyszałam. Zamiast jednoznacznej aprobaty rzuciła mi jedną ze swoich subtelnych uwag.

– Jakieś piękne brylanty, *my dear*, byłyby idealnym uzupełnieniem.

Nigdy nie nosiłam biżuterii. Tylko przez krótki czas posiadałam kilka wspaniałych kosztowności. Należały do babci ze strony ojca, wielkiej doñi Carloty, której nigdy nie poznałam; tej samej, która raz na zawsze zakończyła związek moich rodziców jeszcze przed moimi narodzinami, kiedy on, Gonzalo Alvarado, był dobrze się zapowiadającym młodym człowiekiem z zamożnej i szanowanej rodziny, a moja matka, Dolores Quiroga, nic nieznaczącą szwaczką. Ale te klejnoty szybko zniknęły z mojego życia; przywłaszczył je sobie Ramiro Arribas, ten łajdak, który skomplikował mój los. Od tamtej pory nigdy nie czułam najmniejszego zainteresowania biżuterią.

Po krótkim przejeździe nieomal pustymi ulicami wysiadłyśmy z samochodu przed rzędem eleganckich rezydencji z białymi stiukami, portykami i wielkim balkonem wzdłuż całej fasady. Zaproszenie pochodziło od rodziny, którą z Bonnardami łączyła kilkudziesięcioletnia przyjaźń. Jeden z ich synów był szkolnym kolegą Marcusa, z czasem został urzędnikiem na wysokim

stanowisku w administracji kolonialnej w Kenii, a teraz spędzał kilka dni w Londynie i zaproponował, byśmy się spotkali.

Sędziwy kamerdyner zapowiedział nas metalicznym głosem. Za podwójnymi drzwiami ukazał się nam salon ze swoim ciepłym przepychem. Przyjemne oświetlenie, meble z polerowanego drewna, zasłony, gobeliny i grube dywany. Pomieszczenie tu i ówdzie wypełniali wytworni ludzie: jedni stali przy kominku, inni zajmowali sofę i fotele, piękna kobieta siedziała na poręczy fotela ze smukłymi nogami założonymi jedna na drugą pośród szyfonowych fałd. Rozmowy brzmiały przyjemnie i zajmująco. Ten sam kamerdyner zaczął krążyć po pomieszczeniu: w jednej dłoni w rękawiczce niósł tacę z aperitifami, a drugą trzymał za plecami. Wspomnienie o mojej kochanej Rosalindzie Fox przez kilka sekund trzepotało mi w głowie. Oto jak żyje elita w tym kraju, *my dear* – powiedziałyby z ironią, puszczając do mnie oko – kiedy jej konta bankowe, szkatułki na biżuterię i sejfy nie są pełne pajęczyn.

Gospodarze przywitali się z nami serdecznie. Olivia nie kłamała, mówiąc o wieloletniej przyjaźni między obiema rodzinami. On był zgarbionym staruszkiem, znacznie niższym od swojej żony; ona zaś okazała się korpulentną damą o jasnych oczach i wydatnym biuście. Małżeństwo Hodsonów i Olivia jako jedyni z obecnych urodzili się jeszcze w poprzednim stuleciu; pozostali mieli od trzydziestu kilku do czterdziestu kilku lat, mężczyźni eleganccy w swoich *dinner jackets*, kobiety wytworne w sukniach wieczorowych wybranych mniej lub bardziej trafnie. *Well-born, well-bred*: wszyscy dobrze urodzeni, co rzucało się w oczy; dobrze wychowani, dobrze odżywieni, uprzejmi, błyskotliwi, wykształceni, obyci, czytani; przynależący do tej samej klasy i prowadzący ten sam styl życia, ze swoimi kryteriami i normami, swoimi konwenansami, regułami i manierami.

Między kieliszkami sherry, ginu i szklankami whisky znalazłam się w centrum uwagi, wcale tego nie chcąc; wszyscy pragnęli poznać wdowę po dawnym przyjacielu, najdroższym Marku Bonnardzie. Powitania oscyływały z wdzięczną równowagą pomiędzy wspaniałymi komplementami a najszczerzszymi kondolencjami. Przeplecione jedne drugimi, jak wiele razy wcześniej. Dostrzegłam

także zaciekawienie moją niepasującą tu egzotycznością, jak gdyby próbowali się dowiedzieć, co takiego, u licha, ich serdeczny przyjaciel zobaczył w takiej kobiecie jak ja, żeby pozwolić sobie na ekstrawagancję i zawrzeć z nią małżeństwo i mieć dziecko.

Kamerdyner oznajmił, że możemy już przejść do jadalni. Po szybkim przeliczeniu stwierdziłam, że jest nas dokładnie tuzin. Oprócz gospodarzy były jeszcze trzy inne pary. Jedną tworzyli Fiona, córka Hodsonów, gadatliwa i nieco głośna, ubrana w jedwabną suknię w kolorze lawendowym z koliaż z szafirów na szyi, oraz jej mąż, niejaki Evan. Dwie pozostałe pary to piękna Alexia i milcząca Adrian, a także niespokojna Harriett i jej mąż Bruce. I jeszcze dwóch kawalerów, a przynajmniej bez pary, nawiasem mówiąc, obaj w czasach młodości byli bliscy Marcusowi, wspominał mi o nich nie raz: Raymond był obrotnym finansistą pracującym w City, a Dominic to syn Hodsonów i pomysłodawca tego spotkania.

Właśnie między nimi dwoma znalazłam swoje miejsce przy stole. Kolacja rozpoczęła się od wędzonego łososa i rozmów między sąsiadami przy stole. Choć bez ekstrawagancji, najwyraźniej trudy okresu powojennego były mniej dotkliwe w tej rezydencji w dzielnicy Belgravia niż w domu mojej teściowej. Raymond dużo mówił o koniunkturze na giełdzie, zaś mniej rozmowny Dominic powiedział, że przybył do Londynu tylko na kilka dni i że zamierza wrócić do Nairobi, gdy tylko załatwi parę spraw. W tym samym czasie przy stole toczyły się inne, tak samo błahe rozmowy: ostatni wzrost poziomu wody w Tamizie, mianowanie Mountbattena wicekrólem Indii, narzekania na laburzystowski rząd i podwyżki podatków.

Kolacja przebiegała w miłej atmosferze, głosy były stonowane, następnie podano nam kaczkę z sosem z czerwonych owoców. Ponad delikatnym szkłem i świecami zauważyłam, że kamerdyner napełnia kieliszek Fiony, córki gospodarzy, o wiele szybciej niż kieliszki pozostałych biesiadników.

Akurat uzupełnił go po raz czwarty czy piąty, kiedy okrzyk Fiony zmącił spokój.

– Proponuję toast!



Jej mąż wybuchnął absurdalnym śmiechem, a jej matka, siedząca u szczytu stołu, rzuciła jej karcące spojrzenie. Młoda kobieta właśnie bezceremonialnie złamała etykietę, ponieważ toasty powinien proponować gospodarz, i to dopiero na zakończenie kolacji. Kątem oka zauważyłam, że jej brat, po mojej lewej stronie, mocno ścisnął sztucę, niewątpliwie skrępowany. Ojciec, siedzący u drugiego szczytu stołu, dalej jadł niczym mały ptaszek, jakby w ogóle jej nie słyszał. Pozostałe głosy zawisły w powietrzu, niepewne twarze wyrażały coś między zdumieniem a wesołością.

– Proponuję toast za pamięć o naszym najdroższym przyjacielu Marku Bonnardzie!

Z mniejszą lub większą chęcią ostatecznie wszyscy jej posłuchaliśmy. Wyglądało jednak na to, że Fiona nie zamierza na tym poprzestać.

– Proponuję także, byśmy go powspominali! Dominic! Raymond! Bruce! Adrian! Opowiedzcie jakąś anegdotę z waszego wspólnego okresu w Harrow!

Najpierw ostrożnie, a potem z coraz większym zapalem rzeczeni mężczyźni wspominali chwile z dzieciństwa i nastoletniości, wybryki, wyczyny i różne zdarzenia. Fiona tymczasem opróżniała kolejny kieliszek.

Wśród reakcji gości dominowały uśmiechy, przytakiwania, parę okrzyków, jakiś wybuch śmiechu. Te wszystkie zabawne historie kolegów z Harrow School – o nauczycielach i kolegach, uroczystościach, wydarzeniach sportowych, wakacjach w wiejskich domach i dwuczłonowych nazwiskach trafiały do moich uszu tak, jakbym słuchała deszczu uderzającego o asfalt. Marcusa poznałam w Tetuanie, kiedy miał trzydzieści lat, a nasze wspólne życie było tak pospieszne, tak potajemne, tak gwałtowne, zawile i niepewne, że zawsze koncentrowaliśmy się tylko na najbliższym czasie, prawie nie pozwalając sobie na oderwanie się od teraźniejszości. Anegdoty, które rzekomo miały traktować o nim, mnie wydawały się opowieściami o kimś obcym, kimś odległym.

Spojrzałam na Olivię, która siedziała daleko ode mnie. W swojej okazałej, wyszywanej kryształami sukni, zupełnie już niemodnej,

z wystającymi kośćmi policzkowymi i wspaniałymi białymi włosami, wyglądała pięknie w blasku świec.

– Przypuszczam, że Marcus Logan, którego pani znała, mocno się różnił od tego, o którym jest mowa.

Błyskawicznie odwróciłam się do Dominica. Chyba usłyszałam Marcus Logan. Powiedział: Marcus Logan.

– Proszę się nie dziwić, że znam to drugie nazwisko – dodał. – Życie rozdzieliło nas na kilka lat, ale w pewnym momencie znów nawiązaliśmy kontakt.

Dominic miał ciepły głos, był życzliwy i uprzejmy. Na tym kończyła się jego atrakcyjność, co do reszty bowiem był mężczyzną brzydkim w dokładnym tego słowa znaczeniu. Wyłupiaste i wodniste oczy, niemal pozbawione rzęs i z przedwczesnymi workami; włosy przerzedzone, czego nie ukryło staranne uczesanie; mięsisty nos, zaczerwieniona skóra i wielkie uszy – wszystko rozmieszczone na zbyt małej i nadmiernie okrągłej głowie.

Podano nam już deser, a kieliszki napełniono porto. Fiona w dalszym ciągu pochłaniała wino niczym gąbka. Równocześnie jej cera nabierała żywego koloru, podczas gdy jej słowa wybrzmiewały szybciej i głośniej.

– A teraz! A teraz, uwaga! Uwaga wszyscy!

Rozmowy ponownie ustały, znowu na nią spojrzeliśmy.

– Teraz! Teraz porozmawiamy o Marku i jego miłościach!

Zauważyłam, że siedzący obok mnie Dominic zamierza ją powstrzymać.

– Zamknij się, Dominic! – wydarła się, ubiegając go. – Nie bądź nudziarzem!

Wszystkie spojrzenia były utkwione w jej zarumienionej twarzy, wyczekujące i niespokojne.

– Dzisiejszego wieczoru poznaliśmy tajemniczą cudzoziemkę, która skradła serce naszemu najprzystojniejszemu chłopakowi, ale opowiedz nam, Alexio Burke-Landon, z domu Alexio Durbin...

Zwróciła się do kobiety, która siedziała naprzeciwko niej, po tej samej stronie stołu co ja i poza moim polem widzenia. Przypatrzyłam się jej od razu po przybyciu: w swojej szyfonowej sukience w maślanym kolorze, z mahoniowymi włosami

i delikatnymi rysami, była bez wątpienia najpiękniejszą z obecnych tu kobiet.

– Opowiadaj, opowiadaj, moja droga, jak się poczułaś, kiedy Mark ci wyznał, że ulokował swoje uczucia w innej kobiecie i zerwał wasze zaręczyny?

Zapadła gęsta cisza, drepcząc po obrusie, wślizgując się między srebrne świeczniki i śliwki w syropie. Następnie dało się słyszeć upadające na podłogę krzesło. Alexia Burke-Landon właśnie wstała, żeby opuścić jadalnię pospiesznym krokiem.

Dominic natychmiast przejął kontrolę nad sytuacją.

– Kawa w salonie – oznajmił, rzucając na stół serwetkę z głośnym uderzeniem dłoni.

Podczas gdy wszyscy wstawaliśmy w milczeniu, z ulgą, że ta żenująca scena dobiegła końca, on odwrócił się w moją stronę, po czym wyszeptał zwięźle i szczerze:

– Przepraszam.

**B**iuuro, w którym przyjął mnie Ángel Ara, wyglądało zupełnie inaczej niż gabinet kolumbijskiego dyrektora, zarówno pod względem rozmiarów, jak i wystroju. Wszystko było tu wywrócone do góry nogami: wszędzie leżały stosy książek, notatników, płyt, zeszytów. Mimo to udało mu się opróżnić dwa fotele i zaproponował, bym usiadła na jednym, a on zajął miejsce naprzeciwko.

– Proszę mi wybaczyć ten bałagan. Na początku wojny, żeby uchronić się przed bombardowaniami, znaczną część zespołu Serwisu Latynoamerykańskiego przeniesiono razem z innymi sekcjami na wieś, do Wood Norton Hall, wielkiej posiadłości diuka Orleanu w Evesham, na północny zachód od Londynu. Teraz ponownie łączą nas z resztą zagranicznych serwisów. Tutaj, w Bush House, znajdują się już prawie wszystkie Overseas Services stacji BBC; na początku to się nazywało Imperial Service, ale zmieniło swoją nazwę, kiedy liczba języków, w jakich nadawano, przekroczyła granice Imperium.

Byliśmy bowiem w Bush House, budynku przy Aldwych – dokładnie na wprost miejsca, od którego zaczyna się Kingsway – na pierwszy rzut oka mniej zniszczonego niż Broadcasting House. Dwie potężne kolumny prowadziły do wielkiego marmurowego westybulu; tu jednak kończyła się jego świetność. Wnętrze stanowiło funkcjonalny labirynt korytarzy, biur i studiów nagraniowych.

– Ogromnie się cieszę, że pani do nas dołącza, naprawdę – powiedział. – Bardzo nam brakuje współpracowniczek mówiących w naszym języku. Mamy wprawdzie kilka prezenterek, ale niewiele z nich może zasiąść przed mikrofonem, by mówić własnym głosem.

– To będą tylko trzy audycje – przypomniałam mu.

– Nieważne, nieważne... Dobrze, przede wszystkim proszę mi powiedzieć, czy zamierza pani używać jakiegoś *nom de plume*, czy

otwarcie wchodzi pani do gry?

*Nom de plume.* To przypomniało mi Fran Nash i naszą hybrydę dla Télam, Frances Quirogę.

– Proszę się zastanowić – nalegał. – Tutaj prawie wszyscy mamy jakiś pseudonim.

– Mogę poznać pański?

Uśmiechnął się, słysząc moje spontaniczne pytanie. Był szczupły, niezbyt wysoki, miał spiczastą twarz i nerwowe gesty. Przed wyjściem z domu niewątpliwie próbował ujarzmić swoje kręcone włosy, przy porannej toalecie na pewno nałożył sporą ilość pomady, żeby je okiełznać. Późnym przedpołudniem jednak ten rezultat zaczynał się już psuć, nadając mu dość młodzieńczy wygląd.

– Mój pseudonim nie może być bardziej banalny: Juan Español.

Obserwowałam go w milczeniu, w oczekiwaniu na coś więcej.

– Co chce pani wiedzieć, moja droga, patrząc tak na mnie tymi nieprzeniknionymi dużymi oczami? Powód mojej przykrywki?

Teraz to ja się uśmiechnęłam. Pomimo komplementu nie próbował ze mną flirtować. Był po prostu uprzejmy.

– Jeśli to nie jest zbyt duża niedyskrecja.

– Musi więc pani wiedzieć, że za tym pospolitym nazwiskiem kryje się tylko prawnik o republikańskiej duszy, którego ta nieszczęsna wojna starła z mapy jego ojczyzny, podobnie jak wielu innych. Teraz zarabiam na życie jako zastępca dyrektora programowego Serwisu Latynoamerykańskiego tej świętej stacji i proszę nie traktować tego określenia jako ironii, bo dzięki jej budżetowi wielu biednych rodaków, którzy przybywają na tę wyspę, może napełnić sobie brzuchy. Po latach przerywanej współpracy teraz z największą dumą mogę powiedzieć, że mam godną stałą umowę i z tego powodu wielu hiszpańskich przyjaciół, którym nie dopisało szczęście, ale nie mogą narzekać na brak pomysłowości, nazwało mnie prześmiewczo Księciem Fal.

Kiedy wypowiadał ostatnie zdanie, na korytarzu dało się słyszeć stukot, który zbliżał się coraz bardziej. Po chwili zza otwartych drzwi odezwał się śpiewny głos; jednocześnie odwróciliśmy głowy. Zobaczyłam młodą dziewczynę z metalowym wózkiem na kółkach, pełnym cynowych czajników.

– Ma pani ochotę na filiżankę herbaty?

Podziękowałam, a on pożegnał dziewczynę dość sztywnym angielskim. Znowu rozległo się stukanie, domyśliłam się, że jej zadaniem jest oferowanie swojego objazdowego serwisu wszystkim pracownikom.

– Ileż można pić tej herbaty, na litość boską... – wymamrotał z sarkazmem.

Miałam już parsknąć śmiechem, gdy odkleił plecy od oparcia fotela i nachylił się w moją stronę, jakby miał mi się z czegoś po cichu zwierzyć.

– Nie napiłaby się pani teraz kawki z mlekiem, takiej, jaką piło się u nas przed wojną? Kawa świeżo palona i świeżo mielona, czarna jak smoła. Ciepłe i gęste mleko, dwie kostki cukru... A do tego pyszna magdalenka. Albo nie, lepiej nie. Lepiej pączki smażone na oleju.

Podniósł rękę, jakby jego nostalgiczne wspomnienie było muchą i chciał je przegonić.

– Dobrze, jak już mówiłem, w trakcie tego procesu stanę się pani cieniem. Od teraz...

Jedno pytanie chodziło mi po głowie, jeszcze zanim przerwała nam dziewczyna z wózkim z herbatą. Wolałam poznać na nie odpowiedź, zanim przeszlibyśmy dalej.

– A dlaczego Juan Español pracuje w Serwisie Latynoamerykańskim, a nie w sekcji, która nadaje do jego własnego kraju?

– A skąd się pani urwała, moja droga? Nie słyszała pani o cenzurze, której podlegają przeciwnicy reżimu naszego caudilla?

Jego pytanie mogłoby zabrzmieć ostro, wręcz bezczelnie, gdyby nie wypowiedział go z przesadnym gestem zdumienia, a potem nie wybuchnął śmiechem. Chociaż nie byli do siebie podobni pod względem wyglądu ani zachowania, przez chwilę przypominał mi mojego dawnego przyjaciela z Tetuanu, Félix Arandę – błyskotliwego, inteligentnego, o ciętym języku, wykształconego tak samo jak on, prowokującego odrobiną wybaczalnej zgryźliwości.

– Przypuszczam, że zna pani funkcje, jakie pełni ta święta, podkreślam, święta radiowa korporacja, prawda?

Wyciągnął cztery palce i zaczął je odginać.

– Przekazywać prawdę, rozbudzać w słuchaczach nowe zainteresowania, edukować i bawić. To są teoretycznie jej cztery filary.

Wtedy dodał kciuk i pokazał mi całą dłoń.

– Chociaż w serwisach zagranicznych mamy inny potężny powód, żeby istnieć. A to nic innego jak...

Dokończyłam zdanie za niego.

– Propaganda.

Przytaknął z zadowoleniem, jakbym była wzorową uczennicą.

– W tym celu powstały te wszystkie zagraniczne serwisy na krótko przed wybuchem wojny. Żeby zyskać zwolenników dla brytyjskiej sprawy. I nie mogli znaleźć lepszego kanału niż radio, które przekracza granice, przeskakuje nad frontami, tylnymi strażami i okopami, przenika do domów i ludzkich umysłów... Słowem: okazja.

– Wiem, jak to wygląda w krajach europejskich, ale po co Serwis Latynoamerykański?

– Cóż, tak Niemcy, jak i Włosi już od połowy lat trzydziestych mieli sprawnie zorganizowane sieci propagandy radiowej na kontynencie południowoamerykańskim. Naziści, jak zapewne pani wie, byli radiowymi fanatykami, używali radia jako potężnej broni zarówno w celu indoktrynacji i rozpalania nastrojów w swoim kraju, jak i zatruwania propagandą poza swoimi granicami. Włosi również, choć z mniejszym radiowym zapalem, mieli własne sposoby, żeby zyskać sympatyków dla faszystowskiej sprawy. Aż BBC zaczęło nadawać po hiszpańsku, z całym swoim know-how i profesjonalizmem, stając się najbardziej szanowanym głosem w czasie wojny, zwłaszcza wśród ludzi zamożnych i wykształconych. Serwis Latynoamerykański stał się kultowy. W zeszłym roku nasz dyrektor, Camacho, wybrał się w podróż po wielu krajach, żeby wygłosić przemówienia dziękczynne, i wszędzie witano go tak, jakby był zwycięskim generałem; najważniejsze gazety w każdym kraju pisały o jego wizycie na pierwszych stronach, odnosiło się wrażenie, jakby w pojedynkę wygrał bitwę o Normandię.

Znowu wybuchnął śmiechem, naturalnie i zaraźliwie. Ángel Ara był naprawdę zabawnym człowiekiem. W duchu nawet mu

dziękowałam za to, że jest taki gadatliwy, bo im więcej on się będzie rozwodził, tym mniej będę musiała kłamać na swój temat.

– Chociaż oficjalnie jest to niezależna korporacja, to BBC powstało, jak pani wie, pod bezpośrednimi, skutecznymi i ostrożnymi auspicjami Foreign Office, Ministerstwa Informacji i służb wywiadowczych. A ponieważ Anglicy nie robią niczego bez powodu, rezultaty od początku były fantastyczne: mają już w kieszeni dziesiątki tysięcy słuchaczy po drugiej stronie oceanu.

Spojrzał na zegarek i zmarszczył czoło.

– Jeszcze za wcześnie na obiad dla naszych iberyjskich żołądków, ale obawiam się, że musimy się dostosować do zwyczajów miejscowych. Pozwoli pani, że zaproszę ją na posiłek do naszej znamienitej kantyny?

Zgodziłam się, nie wiedząc, czy przymiotnika „znamienity” znów nie rzucił ironicznie.

Podczas spaceru po labiryncie korytarzy i galerii Ara nadal opowiadał bez ogródek, dobitnie i stanowczo.

– W serwisie przeznaczonym dla Hiszpanii pracuje się jednak z nieskończenie bardziej związanymi rękami niż przy programach dla Ameryki Łacińskiej. Tutaj nie chodzi o to, żeby zasiać, by potem móc zebrać. W Hiszpanii BBC zawsze miała ważny cel polityczny. Podczas wojny światowej konieczne było wzmocnienie neutralności Franco za wszelką cenę, żeby nie opowiedział się po stronie Niemiec.

Dotarliśmy do windy i czekaliśmy.

– A teraz? – zapytałam.

Moja ciekawość była szczerą. Od prawie dwóch lat mieszkałam poza ojczyzną, wyjechałam w kluczowym momencie, kiedy Niemcy i Włochy, dwa kraje przyjazne reżimowi, zostały pokonane. Od tamtej pory na temat naszej polityki wewnętrznej wiedziałam jedynie tyle, ile ojciec opowiadał mi w swoich listach i co przeczytałam w nielicznych gazetach, które docierały do nas do Jerozolimy, kiedy Marcus jeszcze żył, z opóźnieniem i odpowiednio ocenzurowane.

Drzwi windy się otwarły; w środku było pełno ludzi różnego wzrostu, różnych ras i stylów. Wszyscy dali mały krok do tyłu albo w bok, żeby zrobić dla nas miejsce.



Kiedy dźwig zjeżdżał, milczeliśmy, przyklejeni do pozostałych.

– Foreign Office zmienił swoją politykę – ciągnął Ara po wyjściu z windy – a nam, emigrantom, złamało to serce. Wszyscy wierzyliśmy, że zwycięzcy wojny światowej doprowadzą do upadku Franco po zakończeniu konfliktu, ale tak się nie stało. Ostatecznie ograniczyli się do wystosowania oficjalnej noty, w której potępili reżim, ale postanowili nie interweniować w sprawy wewnętrzne Hiszpanii. Stwierdzili, że naród hiszpański powinien sam ukształtować własny los. Inaczej mówiąc, każdy musi odcierpieć swoje.

Kiedy tak szliśmy dalej, oboje poczuliśmy przeszywającą melancholię. Myśleliśmy o tym samym. Nasz biedny kraj, taki samotny. Biedna Hiszpania.

– Wielka Brytania utrzymuje niejednoznaczne stanowisko i stara się, żeby w najmniejszym stopniu nie urazić Franco. Dlatego Foreign Office wymaga od BBC, żeby w jej serwisach nie było politycznie zaangażowanych pracowników. Stąd też, kiedy w charakterze współpracownika lub gościa pojawia się ktoś o znaczącym bagażu antyfrankistowskim, zawsze robi to pod pseudonimem. A tych z nas, którzy nie jesteśmy zbyt skłonni, żeby trzymać język za zębami, wołać mieć w Serwisie Latynoamerykańskim.

Przystanął, puścił mnie przodem i mrugnął.

– W ten sposób jesteśmy mniej problematyczni.

Weszliśmy do ogromnej podziemnej sali pełnej dymu, szmeru rozmów i dźwięku sztućców dzwoniących o talerze. Mnóstwo mężczyzn, kilka kobiet. Karnacje w każdym możliwym odcieniu, od jasnobiałego po najciemniejsze. Włosy blond, kręcone, rude, napuszone, kasztanowe, proste, czarne. Wzrost wysoki, średni, niski. Trudne do rozszyfrowania języki wychodziły z ich ust w tym samym tempie, w jakim wchodziły w nie łyżki, widelce albo papierosy. Wielu już siedziało, inni wciąż czekali w kolejce, żeby wziąć tacę, którą później zapełnią im pracownice w białych czepkach uzbrojone w wielkie chochle.

– Witam w kantynie Bush House, najbardziej kosmopolitycznym miejscu w całej Anglii. Urdu, rosyjski, suahili, norweski, malajski, perski, grecki, polski, birmański, w sumie ponad trzydzieści języków.

Może pani zapytać o jakikolwiek język, a z pewnością któryś redaktor, tłumacz albo prezenter podniesie rękę.

Zniżył ton i przysunął się do mojego ucha, jak gdyby zamierzał mi przekazać jakiś sekret.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby wśród nich niejeden był szpiegiem.

**W** kominku palił się ogień, a Víctor bawił się na dywanie, rzucając psu drewniane klocki. Kupiłam je w Woolworths, sklepie, na który trafiłam w Chelsea w drodze powrotnej ze spotkania z Arą. Potem miałam się dowiedzieć, że mnóstwo podobnych sklepów było rozrzuconych po całym Londynie, po całej Wielkiej Brytanii, po całych Stanach Zjednoczonych; okazało się, że ta sieć stanowiła gigantyczne imperium. Podczas tamtej pierwszej wizyty kupiłam też kilka przydatnych rzeczy: małe zabawki, dwie bawełniane piżamy, a także talerz i szklankę z wytrzymałego bakelitu, żeby mój syn mógł jeść, pić i zrzucać je na podłogę bez obawy, że zbije naczynia Olivii.

Popołudnie upływało spokojnie, było jeszcze naturalne światło i przez wielkie okna mogłam obserwować, jak dni stopniowo stają się coraz dłuższe. Teściowa wybrała się do jednej ze swoich przyjaciółek na partyjkę brydża; gdy tylko zniknęła za drzwiami, dałam Phillippie kilka godzin wolnego. Teraz siedziałam na sofie z notesem w rękach i ołówkiem między zębami, podczas gdy mój mózg wyszukiwał szczegóły z Jerozolimy, próbując utkać treść na moje radiowe audycje. Tak się umówiłam z Ángelem Arą: ja zbiorę wszystkie pomysły, a potem je z nim omówię i razem je uporządkujemy i nadamy im odpowiedni kształt.

Kilka chwil wcześniej słyszałam pukanie do drzwi, domyśliłam się, że otworzy Gertrude. I tak się stało, a teraz miałam ją tu przed sobą, z jej dziwnym okiem i sztywnym ramieniem, podającą mi kopertę. Ku mojemu zdumieniu nadawcą listu był Dominic Hodson. Najpierw przeproszał za przykry wieczór w domu jego rodziców, następnie proponował mi spotkanie, sugerował, byśmy wybrali się na herbatę do Fortnum & Mason. Muszę z panią porozmawiać, podkreślił. Ani „chciałbym”, ani „miałbym ochotę”, ani „byłoby mi przyjemnie” – nic z tych rzeczy. „Muszę” – od czasownika musieć, stanowczo.

Z jakiegoś nieuchwytnego powodu nie powiedziałam Olivii o tym zaproszeniu. Powrót z kolacji u Hodsonów był krępujący i drętwy, a ja nie zamierzałam wspominać tego, co się stało. Ona jednak nalegała.

– Mogłabyś wybaczyć Fionie – powiedziała, gdy tylko wsiadłyśmy do samochodu. – Zwykle to urocza dziewczyna, może tylko...

Przerwałam jej.

– Byłabym ci wdzięczna, gdybyś oszczędziła mi tego nieprzyjemnego spotkania – odparłam chłodno.

Jej odpowiedź była wymijająca.

– Nie miałam pojęcia, moja droga, że Alexia wróciła do Londynu, a poza tym ta sprawa z nią i Markiem wydarzyła się dawno temu. Teraz jest szczęśliwie zamężna z najmłodszym synem Burke-Landonów, mają dwie córki, jak powiedziała mi jej matka, kiedy widziałyśmy się ostatnim razem, spotkałyśmy się chyba na koncercie w Royal Albert Hall...

Pozwoliłam teściowej, żeby ciągnęła tę swoją gadkę pełną miejsc, nazwisk i finezyjnych przysłówków, a moja pamięć wróciła do krępującego pytania tej pijanej i prowokacyjnej kobiety, hałasu upadającego krzesła, szyfonu żółtej sukienki pospiesznie znikającego za drzwiami jadalni. Ani Alexia, ani jej mąż nie zostali na kawę. Wspomnienie zerwanych zaręczyn rozbrzmiewało we mnie niczym podstępne echo. Teraz, kiedy pamięć o tej nieprzyjemnej kolacji zaczęła się rozplýwać, postanowiłam przyjąć zaproszenie od mojego sąsiada przy stole, nie pisnąwszy Olivii ani słowa. Po spotkaniu zdecyduję, czy jej o tym powiedzieć, czy nie.

Następnego poranka wyszłam wcześniej w poszukiwaniu jakichś ubrań. Pośród moich swetrów, spodni na co dzień i jedynej wieczorowej sukienki nie było bowiem niczego pomiędzy. Kilka dni wcześniej urzekł mnie pewien sklep, na który przypadkiem trafiłam przy jednej z ulic w Kensington. DIGBY MORTON. READY-TO-WEAR, widniał napis na fasadzie, wygrawerowany na tabliczce z brązu. Wystawa wyglądała równie prosto, co wyrafinowanie, a za drzwiami powitała mnie atmosfera dyskretnej finezji. Pracownica pokazała mi wiele kostiumów wykończonych w doskonały sposób. To było dla mnie coś absolutnie nowego, przywykłam bowiem do szycia

strojów na osobistą prośbę klientek. Przymierzyłam kilka idealnie skrojonych garsonków, bardzo modnych, powiedziała sprzedawczyni. Zachwyciły mnie ich stylowe linie, proste, czyste, pozbawione ostentacji czy ekstrawagancji, adekwatne do surowości, która panowała w kraju pod każdym względem. Ceny natomiast zupełnie nie przystawały do sytuacji ekonomicznej ani reglamentacji. Postanowiłam kupić dwie, a do tego parę pantofli na smukłym obcasie oraz mały kapelusz przypominający pojemnik na lekarstwa.

O wpół do piątej weszłam do herbaciarni w Fortnum & Mason w moim tweedowym *tailleur* w ołowianoniebieskim kolorze. Włosy miałam upięte w niski kok, a na powiekach ciemny cień: surowa elegancja na spotkanie z właściwie nieznanym człowiekiem o niejasnych zamiarach. Dominic Hodson czekał na mnie przy jednym ze stolików przy ścianie; wstał, gdy tylko mnie zobaczył. Był ubrany w zwyczajny garnitur i krawat w dyskretny wzór, miał takie same wodniste oczy i wyglądał tak samo mało atrakcyjnie, co zwróciło moją uwagę już podczas kolacji.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Kelner, który do mnie podszedł, wysunął krzesło, żebym mogła usiąść. Lokal, utrzymany w pastelowych barwach, był pełen identycznych stolików. Ludzie siedzieli przy nich po dwoje, troje, czworo; kilku mężczyzn pośród wielu kobiet, które trajkotały po zrobionych zakupach, między filiżankami herbaty o egzotycznych aromatach i wyśmienitym podwieczorkiem. Siedząc w tej wyszukanej atmosferze, podobnie jak odbierając rachunki za ubrania zaprojektowane przez Digby'ego Mortona, wszyscy sprawiali wrażenie, jakby byli nonszalancko nieświadomi bonów, kolejek i trudności.

– Nie wiem, czy znała pani to miejsce i czy się pani spodoba – odezwał się nieśmiało. – To kultowy lokal, bardzo znany wśród pań. Wybrałam go z myślą o tym, że będzie się tu pani czuć swobodnie, chociaż jeśli mam być szczery, sam jestem tu po raz pierwszy.

Spodobała mi się szczerłość jego powitania, ten miły gest, na jaki się zdobył, wychodząc ze swojego otoczenia, jakiegokolwiek ono było, i zaproponował, byśmy się spotkali w tym miejscu, które miało być dla mnie wygodne.

– Przede wszystkim pozwolę sobie raz jeszcze przekazać moje najszczerze przeprosiny za żenujące zachowanie mojej siostry Fiony. Jej niedyskrecja względem pani Burke-Landon, a równocześnie wobec pani, była doprawdy niestosowna.

Przytaknęłam bez słowa, jakby przyjmując jego przeprosiny. W odpowiedzi on też przytaknął, jakby akceptował moją replikę.

– Chociaż jej zachowanie nie ma żadnego usprawiedliwienia – ciągnął – pozwoli pani, że na jej obronę powiem tylko, że siostra przechodzi przez trudny okres we własnym małżeństwie. Publicznie zachowują pozory, ale ona za dużo pije i wygląda na to, że pojawiła się w niej pewna... powiedzmy, pewna niechęć, wręcz słowna agresja wobec innych kobiet, może bardziej... bardziej atrakcyjnych albo statecznych, albo... Proszę wybaczyć mi brak elokwencji, jestem kawalerem i niezbyt się rozeznaję w tego typu sprawach.

Znowu wzruszyła mnie jego szczerość. Stanowczy urzędnik kolonialny, zahartowany w afrykańskim otoczeniu i tamtejszych trudach, wdeptywał w kałuże, zagłębiając się w niepokoje kobiecej duszy przed nieznaną i w otoczeniu mnóstwa dam rozprawiających o zasłonach i poduszeczkach, wiosennych trendach czy absurdalnie zawitych kłopotach ze służbą domową.

Zamówiliśmy herbatę: on czarną i mocną, ja zdecydowałam się na darjeeling, mały hołd dla mojej nieuchwytniej przyjaciółki Rosalindy.

– Chcę, aby pani wiedziała, że mój dyskomfort jest podwójnie głęboki, ponieważ na dodatek to ja zaproponowałam to spotkanie w domu moich rodziców. Chciałem poznać panią osobiście i uznałem, że w takiej atmosferze będzie przyjemniej. Poprosiłem matkę, żeby zorganizowała małą kolację według moich wytycznych, ale ostatecznie, bez mojej wiedzy, wtrąciła się moja siostra, dodając kilku gości.

Nie mogłam się powstrzymać.

– Takich jak na przykład Alexia Burke-Landon.

Potwierdził powolnym ruchem brody. Następnie z największą starannością dobierał słowa.

– Nie wiem, czy miała pani świadomość bliskości, jaka istniała między nią a pani mężem, kiedy oboje byli wolni.

– Nie bardzo – przyznałam.

Nie ulegało wątpliwości, że przede mną w życiu Marcusa były inne kobiety. Nigdy jednak żadnej nie poznałam i nie miałam pojęcia, że zaręczył się z jedną z nich.

– Choć może to zabrzmieć niedyskretnie, pozwoli pani, że wyrażę swoje podejrzenie, iż w tym związku szala zainteresowania zawsze była bardziej przechylona po stronie Alexii.

Uśmiechnęłam się, a w kąciку ust zawisł mi grymas smutku. Subtelny sposób na przekazanie mi, że być może Marcus nie kochał jej zbyt mocno; elegancka próba złagodzenia mojej ewentualnej retrospektywnej zazdrości.

– Ale sentymenty na bok – oznajmił. – Przypuszczam, że wydało się pani dziwne, że zaprosiłem ją w taki sposób.

Bardzo dziwne, chciałam już powiedzieć. Wolałam jednak, żeby mówił dalej.

– Dla mnie, muszę przyznać, jest dość niezwykle, że dziś pani i ja siedzimy tu razem. – Odchrząknął, jakby zbierał się na odwagę. – Proszę posłuchać, muszę pani zakomunikować, że jej mąż, mój stary przyjaciel Mark Bonnard, dla pani Marcus, postanowił swego czasu uczynić mnie wykonawcą swojego testamentu.

Zesztywniałam oszołomiona i zmarszczyłam brwi. Co takiego? Co on powiedział?

– To jest powód, dla którego przyjechałem do Londynu. Żeby się z panią spotkać i załatwić wszelkie formalności.

Nadal nie potrafiłam zwerbalizować mojego zdumienia. W tym momencie pojawił się kelner z trzypoziomową tacą, na której znajdowały się małe kanapeczki, ciastka i delikatne ciasta. Potrzebował zaledwie kilku sekund, żeby to zręcznie ustawić i podać, mnie jednak ta pauza wydała się ciemna i długa jak zimowa noc.

Kiedy na powrót zostaliśmy sami, Dominic kontynuował.

– Na początku zeszłego roku, po długim okresie bez kontaktu, otrzymałem od Marka list z Jerozolimy. Przekazał mi w nim, że już jakiś czas temu zawarł z panią małżeństwo na Gibraltarze i że spodziewacie się narodzin pierwszego dziecka. Wobec narastającej przemocy, która wstrząsała Palestyną, i spodziewając się... – Zamilkł, jabłko Adama nabrzmiało mu na szyi. – Spodziewając się ewentualnych niekorzystnych wydarzeń, do czego niestety doszło,

postanowił uporządkować swoje sprawy prawne i finansowe. I dlatego podjął decyzję, by wyznaczyć mnie na wykonawcę swojego testamentu, mimo że nie widzieliśmy się przez wiele lat.

Spuścił wzrok na swoją filiżankę, skupił go na ciemnej herbacie, której jeszcze nie spróbował.

– Po początkowym zdumieniu muszę przyznać, że świadomość, iż Mark obdarza mnie takim zaufaniem, była dla mnie zaszczytem. – Podniósł oczy, brzydkie jak u ryby, lecz głęboko szczerze. – Tak więc oto jestem, z dumą przyjmując zobowiązanie, by zadbać o interesy pani i małego Víctora.

Wreszcie podniósł filiżankę do ust, ja zrobiłam to samo, starając się przełknąć ciepły napój i oszołomienie. Nie rozumiałam, o czym Dominic Hodson mi mówił. Przecież osobiście zamknęłam nasze konta w oddziale Barclays Bank w Jerozolimie; wszystkie nasze pieniądze znajdowały się teraz w kopercie w szafie w mojej sypialni. Czekałam także, aż wyznaczą ostateczną sumę oficjalnej renty, która należała nam się po kimś, kto zginął na służbie Imperium, ale tym zajmowała się Olivia. Oprócz tego, nie licząc rysów twarzy mojego syna i koloru jego włosów, nie sądziłam, że zostawił nam jeszcze jakieś dziedzictwo.

– Ale... – wycedziłam. – Ale czy nie mogłabym...?

Dokończył zdanie za mnie.

– Zająć się wszystkim sama? On nie chciał sprawiać pani kłopotu, zamierzał panią jedynie chronić. Przede wszystkim, choć pani może też to przeczuwała, nie chciał otwarcie dawać pani odczuć, że jego życie jest zagrożone. Równocześnie, w razie gdyby doszło do takiego nieszczęścia, pragnął oszczędzić pani administracyjnych zawiłości w kraju, którego funkcjonowanie oraz instytucje nie są pani znane; musiałyby pani radzić sobie z uciążliwymi formalnościami natury prawnej, potrzebowałyby pani doradcy, który...

Przerwałam mu.

– Jego matka mogłaby mi pomóc.

Wyciągnął rękę w stronę trzypoziomowej tacy i wziął kanapkę z jajkiem i majonezem. Zanim włożył ją do ust, powiedział:

– Obawiam się, moja droga, że lady Olivia Bonnard, bardziej niż rozwiązaniem, może być istotną częścią problemu.



Następnego poranka zadzwonił do mnie Ángel Ara. Dobrze mi to zrobiło: wyciągnęło mnie z rozmyślań i zmusiło, by znowu twardo stąpać po ziemi. Dzięki temu przestałam w kółko myśleć o spotkaniu w Fortnum & Mason, o jakże zaskakującym testamencie Marcusa i rzeczowym Dominicu Hodsonie: Jako wykonawca testamentu – *executor*, powiedział w swoim języku – zobowiązałem się do uporządkowania spraw pani męża i już się tym zajmuję. Niech sobie pani tylko nie wyobraża, że chodzi o uporządkowanie ogromnego majątku czy coś w tym rodzaju, proszę panią jedynie, żeby dała mi pani kilka dni, bym mógł załatwić parę spraw administracyjnych. Skontaktuję się z panią, kiedy wszystko będzie gotowe. Skinęłam głową. Nie pozostało mi nic innego.

Głos mojego rodaka po drugiej stronie linii zabrzmiał wesoło i dziarsko.

– No dobrze, jak tam te palestyńskie notatki? Jak pani sądzi, kiedy będziemy się mogli spotkać? Jutro? Pojutrze? Popojutrze?

Ara był niezmordowany. Energiczny i wytrwały, jak tylko on potrafi.

– Pracuję nad tym – zapewniłam go. – Ale będę ogromnie wdzięczna, jeśli da mi pan jeszcze parę dni.

– Załatwione, w takim razie widzimy się za dwa dni. Może spotkamy się znowu w Bush House? Na przykład o dziesiątej rano?

– Będę.

– Świetnie. Przejrzemy pani pracę i z pewnością znajdziemy jakiś sposób, żeby przystosować tekst do naszego formatu.

I na tym stanęło. Miałam się już rozłączyć, kiedy usłyszałam jego krzyk po drugiej stronie linii.

– Byłbym zapomniał! Lubi pani sztukę? Mój bliski przyjaciel, nasz rodak, otwiera jutro wystawę. Chciałaby pani przyjść?

Nie czekając na odpowiedź – wypowiadając władczy tonem „proszę zapisać, proszę zapisać!” – Ara w biegu podyktował mi wskazówki dojazdu.

Taksówka zostawiła mnie na Bond Street, naprzeciwko Lefevre Gallery; w najbliższym sąsiedztwie zobaczyłam inne galerie sztuki, antykwariaty i domy aukcyjne. Przed wejściem zawahałam się chwilę, nie miałam zaproszenia ani niczego, co by potwierdziło, że jestem znajomą przyjaciela malarza. Mimo to weszłam pewnym krokiem, wyniosła i wyprostowana, jak robiłam za każdym razem, gdy niezdecydowanie albo wątpliwość próbowały mną zawładnąć.

Sala była przestronna, jasna, z kolumnami na środku i szerokimi białymi ścianami. Na nich wisiały symetrycznie rozmieszczone liczne oprawione w ramki rysunki, przedstawiające jedynie czarne kontury ludzkich postaci – proste, a zarazem ekspresyjne i nowoczesne.

Wśród mnóstwa gości nietrudno było mi znaleźć Arę, z tymi jego kręconymi włosami i wąsami. Stał w kółku, w którym żywo rozmawiano po hiszpańsku, nieco głośniejszy niż zazwyczaj się rozmawia w tej flegmatycznej Anglii.

– Ależ wygląda pani olśniewająco w tym kostiumie w kolorze wina z naszych winorośli...

Na powitanie dał mi dwa buziaki w policzki, okazując czystą uprzejmość. Zareagowałam z opóźnieniem, wszak byłam przyzwyczajona do zwykłego podania ręki albo sterylnej wymiany pozdrowień delikatnym skinieniem głowy.

– Proszę ze mną, niech weźmie mnie pani pod ramię, przejdziemy się i pokażę pani *who's who* wśród naszych.

Nie opierałam się. W jego słowach i propozycjach nigdy nie było choćby najmniejszego flirtu, a jedynie szczerą uprzejmość. I tak, spleceni, zaczęliśmy przemierzać ogromną salę, krążąc wśród dzieł sztuki, kolumn i gości.

– Proszę spojrzeć – oznajmił z niezbyt dużą dyskrecją – ten w niebieskim krawacie to Martínez Nadal, słynny Antonio Torres z La Voz de Londres, bardzo znany w Hiszpanii ze swoich programów nadawanych w czasie wojny. Kojarzy pani? Teraz pracuje dla „The Observera”. To sprytny facet i niczego się nie boi. Samej BBC

pokazał środkowy palec, kiedy go poproszono, żeby przy słuchaczach starał się nie okazywać swoich czerwonych poglądów. A ta dziewczyna, która poprawia mu chusteczkę w kieszonce marynarki, choć ze względu na wiek mogłaby być jego córką, to w rzeczywistości jego żona, Jacinta Castillejo, tancerka, córka wielkiego don Joségo Castillejo, kojarzy pani Castillejo? Był jednym z wykładowców usuniętych po zwycięstwie Franco, wspaniały intelektualista, który wyładował w Anglii, prowadząc nędznie opłacane zajęcia i mieszkając jak asceta na Uniwersytecie w Liverpoolu; nawet wymieniał swoim dzieciom zelówki, siedząc na zydłu i przedstawiając studentom kwestie natury filozoficznej.

Dalej kręciliśmy się po sali, do której przybywało coraz więcej osób. Powitania i gratulacje rozbrzmiewały coraz głośniej.

– Tamta piękna kobieta to Nieves Matthews, córka Salvadora de Madariagi, wielka znawczyni sztuki. Ojciec też musi gdzieś tu być, a może jeszcze nie przyszedł. Nie wiem, czy go pani kojarzy, był ministrem i dyplomata i wciąż jest wybitnym myślicielem. Od czasu do czasu współpracuje także z BBC, a konkretnie z naszym serwisem nadającym za Ocean, w programach dla Hiszpanii nawet nie chcą o nim słyszeć.

Ten z wydatnym brzuchem to Deric Pearson, właściciel Atlantic-Pacific Press, agencji informacyjnej, która rozpowszechnia depesze dla całej Ameryki Łacińskiej. Jego firma uratowała od nędzy wielu Hiszpanów, dając im pracę na stanowiskach redaktorów; tam właśnie pracował Chaves Nogales, wspaniały sewilski dziennikarz, który zmarł w Anglii kilka lat temu. Kojarzy pani?

Ta elegancka kobieta to Natalia de Cossío, żona Alberta Jiménez de Frauda, który był dyrektorem Domu Studenckiego. Spośród naszych wykładowców zrobił największą karierę, piastuje posadę profesora na Oksfordzie.

A ten z dużym nosem to Salazar Chapela; wygląda na bardzo poważnego, ale to naprawdę zabawny człowiek, pochodzi z Malagi. W Buenos Aires ukaze się niedługo jego powieść, w której podobno pojawiają się my wszyscy. Trochę się obawiamy, bo nie wiadomo, co tam napisał.

To natomiast jest Luis Portillo, wykładał prawo cywilne na Uniwersytecie w Salamance. Teraz zajmuje się tłumaczeniami i współpracuje z prasą, ale żeby przeżyć, biedak musiał nawet obierać ziemniaki i kopać rowy na lotnisku.

Proszę spojrzeć, ten z cienkim wąsikiem, który wygląda jak melancholijny dandys, to poeta Luis Cernuda. Mieszka w Anglii od prawie dziesięciu lat, ale wciąż nie potrafi się przystosować. Zaproponowano mu posadę na jednym z amerykańskich uniwersytetów, więc niedługo wyjedzie.

Ten wysoki łyсы mężczyzna w okularach to don Pablo de Azcárate: w czasie wojny był tu ambasadorem Republiki, a teraz wygląda na to, że pojedzie do Genewy, gdzie ma objąć ważne stanowisko w Organizacji Narodów Zjednoczonych. To prawdziwy autorytet, wzbudza ogromny szacunek, ilekroć go widzimy, wszyscy stajemy na baczność.

Tamten śniady dżentelmen z włosami zaczesanymi do tyłu to Arturo Barea, współpracuje z nami i ma wielką publiczność w całej Ameryce Południowej, występuje pod pseudonimem Juan de Castilla. Pisze też książki, ponoć doskonałe, ale na razie publikuje tylko po angielsku, więc niewielu z nas mogło je przeczytać. Nie spotyka się z nami zbyt często, bo mieszka na wsi ze swoją żoną Ilse, która tam stoi odwrócona plecami.

Ten utykający młodzieniec to Pepito Estruch, ma świra na punkcie teatru; biedak spędził sześć miesięcy w obozie koncentracyjnym na terenie Francji. Później, już po przyjeździe do Anglii, zainteresował się dziećmi, które przysłano tu po bombardowaniu Guerniki, bo o wiele z nich nikt się nie upomniał po zakończeniu naszej wojny.

A ten, który mówi po hiszpańsku z akcentem, to Tomás Harris, marszand i znawca naszych wielkich mistrzów. Podobno jego ojciec, angielski antykwariusz, nie miał sobie równych w plądrowaniu hiszpańskich kościołów i klasztorów.

Tamten książk to Onaindía, baskijski nacjonalista, który robi furorę przed mikrofonami pod pseudonimem James Masterton...

Ciągle z kimś się witaliśmy, prawie się nie zatrzymując, żeby podziwiać ekspozycję. Ara znał wszystkich i wydawało się, że wszyscy znali jego. Ktoś do nas podszedł, grupa się powiększała, on

dalej mnie przedstawiał, a ja otrzymywałam ciepłe słowa. W pewnym momencie jeden z gości zaproponował, by pójść na kolację do Martíneza, ale niewielu dołączyło.

– Martínez to najbardziej renomowana restauracja w Londynie – wyjaśnił mi mój nowy kolega na boku, niemal szepcząc na ucho. – Nawet Franco w niej jadł, kiedy przybył tu na początku trzydziestego szóstego przed zamachem stanu, by wziąć udział w pogrzebie króla Jerzego V. Mimo tego nieszczęsnego szczegółu – dodał z nutką ironii – wszyscy uwielbiamy tam chodzić.

Omiótł sałę wzrokiem, poruszając szyją od lewej do prawej. Potem zniżył głos, jakby miał mi wyjawić sekret.

– Jeśli pani usłyszy, jak ktoś się wymawia, żeby nie iść do Martíneza, to nie z braku chęci, tylko dlatego, że nie zgadzają mu się rachunki.

W wymownym geście kilka razy potarł kciuk o palec wskazujący. W tej znakomitej grupie było mnóstwo mądrości, kultury, wiedzy i talentu. Ale niestety brakowało pieniędzy. Przed naszą wojną wszyscy cieszyli się mniejszą lub większą, lecz stabilną pozycją finansową, zajmowali ważne stanowiska, posiadali majątki, byli szanowani. Teraz, ponad dziesięć lat po opuszczeniu ojczyzny, uziemieni w obcym kraju, powoli godzili się z tym, że możliwość powrotu się opóźnia, a ich zesłanie będzie długotrwałe.

Ara przedstawił mi wreszcie Gregoria Prieto, autora prac pokazywanych na wernisażu. Artysta pochodzący z regionu Kastylia-La Mancha był żwawy, przystojny, ogromnie manieryczny; zewsząd otrzymywał gratulacje i wyrazy uznania.

W środku tej wrzawy, ukołysana głosami w moim języku, zaczęłam odczuwać coś w rodzaju psychicznego komfortu, coś, o czym zapomniałam już bardzo dawno temu. Ci wszyscy ludzie byli mi obcy, podobnie jak ich zajęcia: polityka, poezja, sztuka czy świat akademicki należały do obszarów, o które nigdy się nawet nie otarłam. A mimo to odnosiłam wrażenie, jakby sam fakt, że znajduję się między rodakami, dawał mi jakiś rodzaj spokoju.

Było to jednak uczucie przelotne. Jak niemal wszystko, co spotykało mnie w ostatnim czasie, również ta entelechia, poczucie celowości własnego istnienia, rozplynęła się w mgnieniu oka.

Dostrzegłam torującego sobie drogę pośród coraz liczniejszego tłumu George'a Camacho, dyrektora Serwisu Latinoamerykańskiego; mojego mentora, że się tak wyrażę. Zauważył moją obecność, rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie i wymownie uniósł brwi. W mig rozumiałam jego wiadomość: proszę poczekać.

Zdołał przedostać się do malarza, żeby mu pogratulować; wyglądało na to, że artysta też współpracował z serwisem. Dyrektor nie zabawił przy nim długo – tylko go uścisnął, powiedział kilka zdań i zostawił wśród pozostałych wielbicieli, opuszczając krąg.

Wtedy skierował się do Ary i do mnie, na uboczu.

– Poświęćcie mi chwilę uwagi?

Wciąż miał melodyjny ton głosu, typowy dla miejsca swojego pochodzenia, na jego twarzy natomiast malował się poważny grymas. Odwrócił głowę, by się upewnić, że nikt prócz nas go nie usłyszy.

– Proszę posłuchać, pani Bonnard, wygląda na to, że pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda.

Wrzawa panująca w sali nagle została stłumiona w moich uszach, jak gdyby była tylko tłem.

– Dział zatrudniania BBC cofnął naszą propozycję dotyczącą pani współpracy. Otrzymaliśmy stanowczą odmowę. Bez jakichkolwiek wyjaśnień.

Ara postanowił odprowadzić mnie do ulicy, Camacho został zawołany przez kogoś z sali; z pewnością usłyszał prośbę o możliwość występu w jego serwisie, chleb powszedni licznych zebranych tu osób.

Mżyło, kiedy wyszliśmy, wystawy sklepowe były już zgaszone, prawie nie widziało się przechodniów ani pojazdów. W słabym świetle latarni zauważyłam, że mój rodak miał strapioną minę.

– To... to jest coś... to coś... – Zamilkł, jak gdyby jego umysł potrzebował uporządkować myśli. – Spiesz się pani? Chciałbym, żebyśmy porozmawiali, tu niedaleko jest pub.

Wszedł do galerii po swoje rzeczy i wrócił pospiesznie, stawiając kołnierz prochowca.

W przeciwieństwie do wpółpustych ulic w Coach & Horses nie brakowało ludzi. Lokal był pełen dymu, głosów i zapachów. W kącie znaleźliśmy wolne miejsce. Panele ścienne oraz meble były wykonane z ciemnego drewna. Położyłam dłonie na stoliku i natychmiast je zabrałam – był lepki. Ara wyciągnął chusteczkę z górnej kieszeni płaszcza i próbował wyczyścić blat, lecz bez powodzenia.

– Proszę się nie opierać, zaraz wracam. Czego się pani napije?

– Tego samego co pan.

– Świetnie.

Podszedł do baru. Wzdłuż niego na taboretach siedziało kilku samotnych mężczyzn. Widziałam, jak obsługuje go matrona z obfitym biustem i siwymi kręconymi włosami. Wrócił do stolika z dwoma kuflami mild ale oraz szklanką wody. Umoczył w niej kawałek chusteczki, a potem zaczął wycierać blat.

– Milady zaoferowała mi jedną ze swoich ścierek, ale uznałem, że bezpieczniej będzie skorzystać z własnych środków.

Piwo miało barwę ciemnej miedzi, było letnie, słodkawe i gęste. Arze zostały na wąsach resztki piany.

– Proszę posłuchać, moja droga przyjaciółko – powiedział po tym pierwszym łyku. – Zdarzały nam się nieco skomplikowane przypadki zatrudnienia ze względu na charakter i bagaż współpracowników.

Przerwałam mu stanowczo.

– Nieważne. To naprawdę nieważne, przysięgam.

Kłamałam, jak zwykle. Moja obojętność była udawana. I nie chodziło o to, ile te audycje dla mnie znaczyły, byłam wszak absolutną nowicjuską, która zgłosiła się bezczelnie, posiłkując się paroma kłamstwami, tylko bardziej o to, że zostałam tak bezdusznie i arbitralnie odrzucona. Wciąż się zastanawiałam, na czym mogli się opierać przy podejmowaniu tej decyzji. Czy chodziło o moje zadania w Madrycie? O to, że byłam żoną Marcusa?

Głos Ary przerwał moje rozmyślenia.

– Pozwoli pani, że zadam może nieco niedyskretne pytanie?

Skinęłam głową, on odchrząknął.

– Czy istnieje jakiś polityczny powód, który uzasadnia tę cenzurę BBC wobec pani osoby?

Pociągnęłam kolejny łyk, choć niechętnie. Nigdy nie lubiłam piwa.

– Jeżeli przez powód polityczny ma pan na myśli moje związki z jakąś partią albo organizacją, która ma coś wspólnego z Hiszpanią i naszą wojną, to odpowiedź brzmi: stanowczo nie. Ale widzi pan, panie Ara...

– Po prostu Ara.

– Widzi pan, Ara – powtórzyłam. Zrobiłam pauzę, zastanawiając się, od czego rozpocząć moją opowieść. – Jest wiele rzeczy, których pan o mnie nie wie. Tak naprawdę nie wie pan prawie niczego, oprócz tego, że pochodzimy z tego samego kraju, że moim mężem był Anglik i że przez pewien czas mieszkałam w Jerozolimie.

Teraz to on skinął głową. Podczas naszych dotychczasowych spotkań zawsze dominował w rozmowie z tą swoją ogromną życzliwością i tym wspaniałym podejściem do ludzi. Może wreszcie zdał sobie z tego sprawę.

– Ale opowiem panu więcej – ciągnęłam – w razie gdyby chciał pan przekazać te informacje komu trzeba w kierownictwie BBC albo



komukolwiek uzna pan za stosowne.

Znowu skinął głową, żadne z nas nie tknęło piwa.

– Przez pięć lat, w trakcie całej wojny światowej, bardzo blisko współpracowałam z brytyjskim wywiadem. Nie będę ujawniać charakteru moich zadań ani tego, w jakim miejscu i w jaki sposób je wykonywałam, ale proszę mi wierzyć, że z pracy, którą mi powierzono, wywiązałam się z nawiązką.

Oczy mego rodaka, teraz pozbawione blasku, którego nabierały wraz z wyrzucanym przez niego potokiem słów, patrzyły na mnie zaintrygowane i uważne.

– Po wojnie mój mąż, wierny sługa swojego narodu, został wysłany do Jerozolimy, żeby znowu wypełniać obowiązki na rzecz ojczyzny. Więc oboje się tam przeprowadziliśmy. I wie pan, co się stało? Został zabity. Podczas gdy on dwoił się i troił, żeby Wielka Brytania mogła w miarę bezpiecznie wydostać się z tej pułapki na myszy, w którą sama złapała się w Palestynie, pewnego dnia, kiedy pracował w swoim gabinecie, potężny ładunek materiałów wybuchowych podłożonych przez żydowskich terrorystów zakończył jego życie. Zamordowali go, rozerwali na strzępy. Byłam wtedy w ciąży, wybuch przyspieszył poród, mój syn urodził się w tym samym czasie, kiedy zbierano szczątki jego ojca rozrzucone pośród gruzów.

Teraz wypiliśmy pół kufła naraz, żeby móc przełknąć tę gorzką gulę, która ugrzęzła mi w gardle. On wymamrotał zachrypnięte: przykro mi. Następnie położyłam dłonie na stoliku, z dala od warstwy brudu. Nachyliłam się, żeby moje słowa dotarły do niego z mniejszej odległości.

– Nie znam powodów, dla których pańska korporacja mnie nie zaakceptowała, ale musi mieć pan świadomość, że ten kraj, kiedy byłam mu potrzebna, zręcznie mnie wykorzystał. A to, co jego instytucje są mi winne, ze względu na mnie i mego męża, to nie bezpodstawne odrzucenie, tylko minimum szacunku i wdzięczności.

Teraz to on powoli podniósł kufel do ust.

– Wie pani, kim my dla nich jesteśmy?

W jego słowach dało się wyczuć ślad melancholii, nagły smutek.

– Pionkami. Zwykłymi pionkami na ich szachownicy. Pani, ja, wszyscy ci, którzy pracują w serwisach zagranicznych, wszyscy ci, których widziała pani ostatnio w Bush House, mężczyźni i kobiety, których spotkała pani w kantine, w windzie i na korytarzach, ludzie pochodzący z bliższych i dalszych zakątków ziemi, wszyscy jesteśmy tym samym: zwyczajnymi pionkami, mającymi uczynić tę grę użyteczną. Działamy na rzecz brytyjskiego rządu, podporządkowujemy się jego interesom i wysiłkom propagandowym, jego zasadom i wytycznym. Tak było w czasie wojny i tak, w imię demokracji na świecie, jest także teraz, gdy pokój zapanował na dobre. Nasza indywidualność w ramach ich systemu jest tak nieznacząca, że traktują nas tylko jak małe, łatwe do przesuwania i dające się zastąpić pionki.

W pubie nadal panował duży gwar. Prawie wszystkie stoliki były zajęte, grupa osób zaczęła partyjkę darta. Za barem przysadzista matrona wycierała szklanki jedną ze swoich podejrzanych ścierek.

– A mimo to wchodzimy do tej gry dobrowolnie, wdzięczni, a nawet dumni. – Pociągnął kolejny łyk, prawie opróżnił kufel. – Oni są aroganckimi imperialistami, ale dla prawie wszystkich tych ludzi przepędzonych z własnej ojczyzny, których widziała pani przed chwilą w sali wystawowej, BBC była darem z nieba. Przede wszystkim dlatego, że zapewnia im wynagradzane zajęcie, a za te trzy i pół, cztery czy najwyżej pięć gwinei, które płacą za każdą audycję, mają na część czynszu albo mogą sobie kupić węgiel i żywność; w ten sposób niektórym udało się zamienić kilof i łopatę na pióro i pracę ze słowami. Ale nie tylko. Oprócz kwestii finansowych interesuje ich rola prezenterów radiowych, ponieważ dzięki temu mogą w produktywny sposób wykorzystywać swój intelekt, swoją wiedzę, swój talent albo po prostu swoje biedne poobijane ego. Usunięci ze swoich katedr i ważnych stanowisk, pozbawieni zawodowych obowiązków albo swojej publiczności, przed mikrofonami na chwilę znowu się czują, znowu się czujemy, potrzebni. A to, moja droga przyjaciółko, w tych niepewnych czasach jest zastrzykiem podnoszącym morale i poczucie własnej wartości, które czasami odżywiają człowieka lepiej niż porządny stek.

Dokończył swoje piwo, opuszkami palców chwycił wilgotną chusteczkę, złożył ją starannie i z powrotem wsadził do kieszeni.

Rozumiałam jego argumenty, były solidne i przekonujące. Tyle że dla mnie kompletnie bezużyteczne. Ja nie byłam intelektualistką na wygnaniu ani polityczną uciekinierką.

– W każdym razie spróbujemy się dowiedzieć, niech się pani nie przejmuje. Poprosimy o podanie uzasadnionego powodu tej niezrozumiałej odmowy. Przynajmniej na tyle pani zasługuje.

Nalegał, że pojedzie ze mną taksówką aż na The Boltons. Jeśli zdziwiło go, że mieszkam w zamożnej dzielnicy, zachował to dla siebie.

Kiedy wysiadłam z samochodu, ulica była pusta, z daleka dobiegało jedynie szczekanie psów. Pożegnałam się z nim, stojąc na chodniku. Właśnie miałam przejść przez małą furtkę, kiedy uświadomiłam sobie, że w oknie pokoju Olivii jest światło. Światło i sylwetka.

**W** domu Olivii obowiązywała rutyna i należało jej przestrzegać co do minuty. O wpół do dziewiątej, jak codziennie rano, zasiadłyśmy do stołu. Już nie było tak przeraźliwie zimno jak tuż po naszym przyjeździe, więc teściowa stopniowo pozbywała się swoich wełnianych szali. Teraz miała na sobie tylko długi kardigan i piękną kaszmirową chustkę. Z ramienia jak zawsze spływał jej popielaty warkocz, który sięgał już prawie do pasa.

– Spędziłaś miły wieczór, moja droga?

– Wspaniały. Byłam na wystawie prac hiszpańskiego malarza.

Na jej twarzy pojawiło się udawane zadowolenie, gdy rozbijała skorupkę gotowanego jajka.

– I dobrze sobie poradziłaś, żeby tam pojechać i wrócić sama taksówką?

Świetnie wiedziała, że nie wróciłam sama. Ze swojego okna bez wątpienia widziała, jak żegnam się z Arą. Udałam, że skupiam się na Phillippie, która pojawiła się z Victorem na rękach, po czym odpowiedziałam:

– Doskonale.

Posadziłam syna na kolanach, włożyłam mu do buzi moją własną łyżeczkę napełnioną jajkiem na miękko. Wiedziałam, że ona nie pochwała takiego bliskiego kontaktu z moim dzieckiem, skóra do skóry, ślina do śliny. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że takie sprzeciwianie się jej nie sprawiało mi radości.

– Widziałam, że kupiłaś mu kilka rzeczy w Woolworths, w tym popularnym domu towarowym, który jest tak...

Nie znałam znaczenia słowa, które wypowiedziała potem, ale powstrzymałam się i nie zapytałam o to.

– Nigdy nie byłam w żadnym z tych sklepów – przyznała, upiwszy łyk herbaty.

W jej tonie wyczułam wyraźną pogardę.

– Mają dużo artykułów – powiedziałam jedynie. – I dobre ceny.

– Och, nie wątpię. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do tego typu lokali.

Dalej dzieliłam się moim jajkiem z Victorem, śmiejąc się z jego min, kiedy się krzywił, próbując białka, i z apetytem zjadał żółtko.

– Dziedziczka jest chyba mniej więcej w twoim wieku, a ma już trzeciego czy czwartego męża. Przez jakiś czas mieszkała w Londynie, ale przeczytałam, że w końcu sprzedała swoją rezydencję przy Regent's Park rządowi Stanów Zjednoczonych za dolara.

Umilkła, jak gdyby czekała na moją odpowiedź.

– Nie wiem, o kim mówisz, Olivio.

Potrząsnęła głową w tym jakże typowym dla siebie geście, jakby była zmuszona tolerować moją ignorancję i podjąć ogromny wysiłek.

– Barbara Hutton, *my dear*. Nowojorska milionerka. Wnuczka właściciela sieci sklepów Woolworths, bywalczyni salonów, która udaje arystokratkę, chociaż jej dziadek był ledwie nieokrzesanym farmerem, który został drobnym kupcem i wymyślił formułę sprzedaży wszystkich towarów ze swojego sklepu za dziesięć centów. Ona, Barbara...

Nieoczekiwane przybycie gosposi uwolniło mnie od tej gadaniny.

– Tak, Gertrude?

– Telefon do pani.

Z dzieckiem na rękach przeprosiłam teściową i wyszłam do westybulu. Po drugiej stronie linii głos Ary zabrzmiał pospiesznie.

– Przez całą noc myślałem o pani sprawie. Właśnie zwróciliśmy się do biura dyrektora serwisów zagranicznych o przedstawienie oficjalnego powodu sprzeciwu. W razie gdyby jednak udało się odwrócić tę sytuację, myślę, że nie powinniśmy przerywać całego procesu.

– Chce pan, byśmy pracowali jak gdyby nigdy nic? – zapytałam z powątpiewaniem.

– Otóż to. Proponuję, żeby dokończyła pani spisywanie tych treści dotyczących Palestyny, a potem zgodnie z planem spotkamy się,

żeby nadać im odpowiedni format i zaczniemy nagrania bez zbędnej zwłoki.

Milczałam przez kilka sekund.

– A jeśli ostatecznie odpowiedź i tak będzie odmowna?

– Wtedy nagrania z pani głosem spiszemy na straty, ale będziemy mogli zaoferować tekst Atlantic-Pacific Press, agencji, która rozpowszechnia swoje depesze w całej Ameryce Łacińskiej. Z pewnością go przyjmą.

Znowu milczałam, starając się przeanalizować tę propozycję. Víctor się wiercił, chcąc się wyrwać, zostawiłam go więc na podłodze.

– Halo? Jest pani tam?

– Jestem.

– I co pani na to?

– Jest pan pewien?

– Absolutnie.

– W takim razie zróbmy to.

Tego samego ranka zamknęłam się w pokoju, żeby pracować, podczas gdy Phillippa zabrała Víctora na spacer, a Gertrude i Olivia starały się doprowadzić ogród do porządku po srogiej zimie. Przez okno zobaczyłam, że zjawili się dwaj starsi mężczyźni, z pewnością wynajęci do pomocy: jeden był niezdarny i gruby, a drugi niski i trochę skrzywiony. Obaj nosili brudne czapki z dzianiny, mieli ponad sześćdziesiąt lat, a w zębach trzymali obrzydliwe papierosy. Niewątpliwie brakowało im energii potrzebnej do tego, by poradzić sobie z niepożądanym działaniem natury, ale zostali, znosząc ze stoickim spokojem polecenia mojej teściowej. Cała czwórka tworzyła istic malowniczy obrazek: Olivia ubrana w swoim osobliwym stylu i na dodatek w ubłoconych gumowcach Wellington, Gertrude w starej wojskowej kurtce zarzuconej na uniform, i ci dwaj nieszczęśnicy, pragnący za wszelką cenę zarobić kilka szylingów.

Tak naprawdę, pomyślałam, to było nic innego jak typowy obrazek powojennego świata, w którym brakowało mężczyźn w sile wieku. Zarówno w wojsku brytyjskim, jak i w innych armiach niemal całe pokolenie młodych chłopaków straciło życie, służąc dzielnie jako żołnierze, lotnicy i marynarze. Zostało mnóstwo kobiet, dzieci

i starców, leciwych ojców i matek jak Olivia, która przeżyła swoje potomstwo, dziewczyn bez narzeczonych jak Phillippa, młodych wdów jak ja sama albo dzieci jak mój mały Víctor, które nie zdążyły poznać swoich ojców.

Potrząsnęłam głową, jakbym chciała zrzucić z siebie emocje, które sprawiały, że wzruszałam się od czasu do czasu; starałam się nie zadreć znowu myślami o nieobecności Marcusa. Jerozolima, nakazałam sobie, chwytając ołówek. Jerozolima, jakby była widziana obojętnymi oczami – na tym musiałam się skoncentrować. Bez łez i bólu. Bez złości, gniewu ani urazy.

Oderwałam się od pisania dopiero wtedy, gdy ponownie zadzwonił telefon.

– Pani Bonnard? Sira Bonnard?

To był Dominic Hodson, przyjaciel Marcusa. Od tamtego popołudnia w Fortnum & Mason nie miałam od niego żadnych wieści.

– Jestem niedaleko The Boltons i chciałbym się z panią zobaczyć. Byłaby pani tak uprzejma i poświęciła mi pół godziny?

Zanim włożyłam płaszcz, ponownie wyjrzałam przez okno. Czwórka nieudolnych ogrodników wciąż tam była, teraz rozpalili ognisko. Mężczyźni wrzucali do niego naręcza gałęzi i łopaty suchych liści, Gertrude nadal wyrywała chwasty, a Olivia zagrabiała na kupkę gałązki i martwe liście; na dłoniach miała brudne, wielkie skórzane rękawice. Poczulałam wyrzuty sumienia, że im nie pomagam, ale to nie był dobry moment.

Umówiłam się z Dominikiem przed Saint Mary, kościołem, do którego wciąż chodziliśmy co niedzielę. Świeciło nieśmiałe słońce, temperatura była przyjemna. Gdy zjawiłam się na miejscu, on już na mnie czekał. Ruszyliśmy od razu jedną ze ścieżek, bez konkretnego kierunku. Między drzewami i klombami wyczuwało się początek wiosny.

– The Boltons to bardzo piękne miejsce – powiedział. Domyśliłam się, że po to tylko, aby coś powiedzieć.

Rzeczywiście to było ładne miejsce, spokojne, z dużymi domami. Dwie ulice o łukowatym kształcie i wielki owalny ogród na środku – tak to w zasadzie wyglądało. O tej porze, gdy zbliżało się południe,

w pobliżu było widać jedynie bawiące się dzieci, ich opiekunki i paru przechodniów.

– Wie pani, że sto lat temu było tu tylko pole? Teraz to ceniona miejska enklawa, a jeszcze popularniejsza stanie się w przyszłości, kiedy wszystko się ustabilizuje i ożywi się rynek nieruchomości.

Skinieniem głowy potwierdziłam, że to rozumiem, chociaż te opinie nie miały dla mnie znaczenia.

– Zasadniczo korzystanie z tych ogrodów jest zarezerwowane dla właścicieli rezydencji – ciągnął. – Wcześniej było tu nawet ogrodzenie. Ale podobnie jak w wielu innych miejscach, na początku wojny zostało usunięte, aby żelazo przeznaczyć na produkcję broni. To przykład *war efforts*.

Wiedziałam o tym, Marcus mi kiedyś opowiadał, ale zdobyłam się na kolejny prawdziwy *effort*, żeby milczeć, słuchając jego zachwyków i historycznych informacji. Aż w pewnym momencie nie dałam rady się powstrzymać.

– Przepraszam, jeśli wydam się panu impulsywna, ale proszę mi powiedzieć, jakie są nowe wieści w związku z testamentem?

Właśnie chciał odpowiedzieć, kiedy zza zakrętu wyłoniła się Phillippa, pchając wózek z Victorem.

– Mój syn – wymamrotałam.

Jak zawsze przywitał mnie radośnie, śmiejąc się i wyciągając rączki, żebym go wyjęła. Pokazałam go Dominikowi, nie potrafiąc ukryć dumy.

– To przyjaciel taty, przywitaj się – poprosiłam w moim języku.

Nie zrobił tego, ale obserwował go swoimi zielonymi oczami, zaciekawiony i poważny. Phillippa odeszła dyskretnie kilka metrów dalej. Dominic przyglądał się mu przez kilka sekund, później położył rękę na jego wełnianej czapce, powoli, niezdarnie. Niewątpliwie nie był przyzwyczajony do kontaktów z dziećmi.

– Ten chłopiec i pani – oznajmił wtedy powściągliwym tonem – jesteście spadkobiercami majątku Bonnardów. Jedynymi spadkobiercami.

Zmarszczyłam brwi, on mówił dalej, powoli, starając się, bym dokładnie zrozumiała każdą sylabę.



– Ku mojemu zaskoczeniu wśród dokumentów Marka znalazłem kilka kwestii związanych z testamentem jego ojca, sędziego Bonnarda. – Zrobił pauzę, jak gdyby przygotowywał się do tego, co ma powiedzieć dalej. – Jak się wydaje, ze względu na szereg niefortunnych okoliczności sprzed kilku dekad pani teściowej nie należy się nawet najmniejszy procent posiadłości, którą zajmuje. A w związku z tym nie ma nawet prawa do jej użytkowania.

Przeniósł wzrok na dom. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, przez pozbawione jeszcze liści gałęzie drzew można go było zobaczyć w całej okazałości. Stał tam, biały i brudny, ze swoimi podniszczonymi kolumnami, poodpryskiwanym stiukiem, wyblakły, ale piękny.

– Rezydencja przy The Boltons z jej wyposażeniem była w całości własnością pani męża. Najprościej rzecz ujmując, przez te wszystkie lata pani teściowa korzystała gościnnie z tego wszystkiego dzięki uprzejmości własnego syna.

Nie zdołałam zareagować; Víctor wyciągnął rękę do Dominica i pociągnął za rondo kapelusza. On, niewzruszony, mówił dalej.

– Teraz, kiedy Marka, Marcusa, nie ma już z nami, sytuacja się zmienia. – Zrobił kolejną pauzę i przełknął ślinę. – Ufam, że do tego nie dojdzie, ale prawnie i bez potrzeby jakiegokolwiek uzasadnienia od teraz może pani wyrzucić z domu Oliwię Bonnard, gdy tylko uzna to pani za wskazane.

Nie bez trudu wsadziłam dziecko z powrotem do wózka i poprosiłam Phillipę, żeby zabrała je do domu. Musiałam porozmawiać z Dominikiem, będąc skoncentrowana i uważna. Wszystko, co właśnie mi przekazał, było tak nieoczekiwane, tak trudne do przetrawienia i tak pozbawione logiki, że potrzebowałam szczegółowych wyjaśnień. Ale Víctor zaprotestował i zaczął głośno płakać. Razem z Phillipą próbowaliśmy go uspokoić, lecz bez powodzenia. W pewnym momencie Dominic dyskretnie spojrzął na zegarek.

– Obawiam się, że będzie mi pani musiała wybaczyć, ale za pół godziny mam umówiony obiad w moim klubie. Jeżeli to pani odpowiada, choć to zadanie wykracza poza moje obowiązki jako wykonawcy testamentu, zbiorę dokładniejsze informacje, żeby przekazać pani dodatkowe szczegóły. W tym celu proszę, by dała mi pani więcej czasu.

Zgodziłam się, jakżeby inaczej. Víctor tymczasem nadal płakał i kopał jak źrebiątko, zdeterminowany, żeby za wszelką cenę wydostać się z wózka. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko ustąpić.

– Zgoda – powiedziałam, ponownie biorąc małego na ręce. – Ale proszę, żeby nie zwlekał pan zbyt długo, bo to wszystko jest takie... takie...

Nie potrafiłam znaleźć słowa. Ani po angielsku, ani po hiszpańsku nie przyszedł mi do głowy żaden przymiotnik, który opisałby oszołomienie, jakie mnie ogarnęło.

– Doskonale panią rozumiem. Proszę mi wierzyć, że podzielam pani konsternację.

Wróciliśmy do domu. Víctor się uspokoił, zjadł swoje warzywne purée, a potem położyłam go, żeby się zdrzemnął. Nadeszła pora, byśmy, jak co dzień, usiadły z Olivią do stołu i wspólnie zjadły

kolejny z naszych skromnych obiadów: gotowaną kapustę, pół gotowanego ziemniaka, może jakiś nędzny kawałek ozora wołowego. Słyszałam, jak wchodzi do domu wzburzona, narzekając na niekompetencję dwóch chciwców i rugając Gertrude. Perspektywa tego, co mnie czeka, nagle stała się nie do zniesienia. Dlatego kiedy ona wciąż była na dole, w biegu nabazgrałam pretekst, zostawiłam karteczkę przy wejściu i wyszłam po cichu.

Nie miałam żadnego konkretnego miejsca, w jakie mogłabym pójść, po prostu brakowało mi sił, by stanąć naprzeciwko niej. Olivia Bonnard, moja teściowa: wspaniała, elegancka, apodyktyczna, egzaltowana lady Olivia Bonnard, serce i dusza The Boltons, z jakiegoś zdumiewającego powodu mieszkała w tej rezydencji niczym nieuchwytny duch, pozbawiona praw wielkiej damy, które codziennie władczo rozpościerała przed innymi.

Spacerowałam po South Kensington, ugniatając w myślach słowa Dominica Hodsona, tę rewelację, że prawowitymi właścicielami rezydencji są chłopiec urodzony na Bliskim Wschodzie, który nie skończył jeszcze roku, i zagubiona cudzoziemka bez pochodzenia.

Mając już dość zadawania sobie pytań bez odpowiedzi, postanowiłam usiąść na ławce naprzeciwko Muzeum Historii Naturalnej, wyciągnęłam swój notes i usiłowałam się skupić na notatkach do nagrania radiowego, którego los pozostawał niepewny. Być może ostatecznie to wszystko wyląduje w koszu, nigdzie przedtem nie trafiając: ani przed mikrofony BBC, ani do depeš agencji informacyjnej, o której wspominał Ara. Na razie jednak zajęcie pozwalało mi się oderwać, wyciągnąć ze mnie demony i skupić uwagę na czymś konkretnym ze złudną nadzieją, że znajdę wytchnienie od trosk.

Kiedy wróciłam na The Boltons, Olivii na szczęście nie było. Gertrude mi przekazała, że pani zamierza zjeść kolację poza domem; strumień ulgi przepłynął przez moje ciało. Kiedy Víctora zmorzył sen, w domu bez energicznej obecności teściowej znacznie wcześniej niż zwykle zrobiło się ciemno i cicho. Gertrude i Phillippa poszły do swoich pokoi, ja do mojego i skorzystałam z okazji, żeby dalej pracować nad notatkami. Było około dziesiątej, kiedy z oddali, na parterze, zadzwonił telefon.

Kusiło mnie, żeby się nie ruszać. Byłam przekonana, że to nie do mnie, bo komu przychodzi do głowy, żeby dzwonić o tej porze. Ale dźwięk nie ustawał. W końcu postanowiłam zejść po schodach po ciemku, z grubym szalem na ramionach, przeklinając winowajcę tej natarczywości w tak nieodpowiednim momencie.

– Proszę mi wybaczyć, że ośmieliłem się zadzwonić o tak później porze. Kontaktuję się z panią z budki na chodniku, wolałem nie czekać do jutra.

To był George Camacho, kolumbijski dyrektor.

– Proszę posłuchać, wracam właśnie ze spotkania z kolegami z BBC i, co zaskakujące, ktoś rozwiązał nasze wątpliwości.

Słyszałam go z daleka, na linii były zakłócenia.

– W sprawie pani współpracy nastąpił niebywały zwrot. Z tego co się dowiedziałem, nie została pani odrzucona z żadnego politycznego powodu związanego z sytuacją w Hiszpanii. Zresztą do dzisiejszego popołudnia nawet nie ma adnotacji, żeby pani teczka trafiła do przełożonych w Foreign Office.

– A zatem? – spytałam zdumiona.

– Wygląda na to, że ktoś zajmujący ważne stanowisko kierownicze osobiście i jednostronnie podjął decyzję, by panią odrzucić. Tak po prostu.

Mocniej przycisnęłam słuchawkę do ucha.

– Czy nazwisko Cora Soutter brzmi pani znajomo?

Przez całą noc rozmyślałam o tym, jaką my, ludzie, mamy absurdalną zdolność, by niepotrzebnie komplikować sobie życie.

Wszystkie moje przypuszczenia okazały się błędne. Byłam naiwna. Nikt w BBC nie odrzucił mnie z powodu podejrzeń natury politycznej. Ani ze względu na potajemną współpracę z SOE w Hiszpanii w czasie wojny, a tym bardziej ze względu na bycie żoną agenta, który zginął w czasie wykonywania swoich obowiązków. Nie, nie stawiałam czoła cenzurze świętych służb wywiadowczych. Spotkałam się po prostu z odwetem ze strony zazdrosnej kobiety. Zazdrosnej bez powodu i podstaw. A przynajmniej tak sądziłam.

Niemniej jednak, choć sprawa była pozornie błaha, nie zamierzałam jej lekceważyć i z biegiem czasu moje oburzenie tylko rosło. Po wstaniu z łóżka próbowałam w łazience się zastanowić nad tym, co powinnam zrobić, świadoma mojej smutnej sytuacji. Nie miałam bowiem nikogo, z kim mogłam się podzielić swoim zakłopotaniem, komu mogłabym powiedzieć o wątpliwościach, od kogo mogłabym usłyszeć radę. Ani rodziny, ani przyjaciół, ani nikogo bliskiego. Kobieta, na którą patrzyłam w lustrze, jako jedyna mogła pomóc mi w podjęciu decyzji: ja sama, taka jak zawsze, a jednocześnie zupełnie inna.

Twarz, którą widziałam w odbiciu, nie była już tak okrągła i gładka jak u naiwnej dziewczyny, która jedenaście lat wcześniej przemierzyła Cieśninę Gibraltarską, kurczowo trzymając się miłości człowieka, który okazał się łajdakiem. Nie zostało też na niej ani śladu światła, jakim promieniowała podczas ciąży, kiedy obok był jeszcze Marcus. Odbijający się w lustrze wizerunek kobiety wskazywał na dojrzałość – ostrzejsze i bardziej kanciaste rysy, wystające kości policzkowe, wysokie brwi nad spojrzeniem pełnym niewiadomych. Tylko w niej znajdowała się odpowiedź.

Rozmyślałam dalej, kiedy się ubierałam, kiedy zatapiałam twarz w kołysce syna, żeby się z nim przywitać. Czy byłoby lepiej, gdyby sprawa z BBC została załatwiona oficjalnymi kanałami, poprzez George'a Camacho i jego ludzi? Czy sama powinnam stawić czoło żonie Nicka Souttera?

Przez cały czas mojego pobytu w Anglii dostawałam listy od Nicka; wciąż ogromnie tęskniłam za naszą przyjaźnią. Brakowało mi jego pewności siebie, błyskotliwości, charyzmy i opinii. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, nasze długie nocne rozmowy przy piecu w moim apartamencie w Austrian Hospice w Jerozolimie bez wątpienia pomogłyby rzucić nowe światło na otaczający mnie mroczny zamęt. On słuchałby mnie, ja słuchałabym jego, wymienialibyśmy poglądy, zderzali perspektywy, razem w sposób zrównoważony i zdroworozsądkowy moglibyśmy przeanalizować sprzeczności, które mną targały. Ale te rozmowy zostały w dawnym życiu; teraz dzieliło nas pięć tysięcy kilometrów. I z jakiegoś bezsensownego powodu moją przeciwniczką była jego własna żona.

Poranek upływał spokojnie i powoli: wrócili ci dwaj nieszczęśnicy, żeby oczyścić ogród, znowu słyszałam despotyczne polecenia teściowej. O wpół do dziesiątej doszłam do wniosku, że stawię czoła Corze Soutter. Kiedy o dziesiątej Phillippa zabrała Víctora na spacer, uznałam, że tak, że muszę przynajmniej usłyszeć jej argumenty. O wpół do jedenastej przekonałam siebie, żeby tego nie robić. O jedenastej, zmęczona debatowaniem z samą sobą, zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak postąpiłyby kobiety, które znaczyły coś w moim życiu, przyjaciółki, które dzięki swojej odwadze i przebojowości stały się dla mnie wzorami. Rosalinda Fox, Fran Nash, nawet nieustraszona szmuglerka Candelaria. Czy one siedziałyby cicho i spokojnie? Czy pokazałyby pazury, choćby po to, żeby podkreślić swoją godność i nie pozwolić się despotycznie deptać?

Wciąż pogrążona w rozważaniach, znowu przejrzałam się w lustrze, sięgnęłam po ciemnoczerwoną szminkę i zdecydowanym ruchem przeciągnęłam nią po ustach. Potem się uczesałam i wyszłam z pokoju, trzaskając drzwiami.

Wolałam o nią nie pytać, kiedy przyszedłam do Broadcasting House, po prostu usiadłam z boku przy głównym wejściu i na nią czekałam. Zbliżało się południe, a wtedy wielu pracowników przerywało swoje obowiązki i wychodziło na obiad do któregoś z pobliskich lokali. Nie znałam dokładnie kategorii zawodowej Cory Soutter, byłam jednak pewna, że nie była telefonistką czy zwyczajną maszynistką, tylko zajmowała wyższe stanowisko. Jej obycie i styl, gdy stanęła przede mną tamtego dnia, kiedy przyszedłam odebrać radio, oraz pewność, jaka emanowała z jej głosu i ruchów, kazały mi przypuszczać, że nie opuści budynku z grupą rozszczebiotanych koleżanek. I wkrótce się o tym przekonałam – nie minęło pół godziny, a ona była już na zewnątrz.

Szła sama, tym razem miała na sobie garsonkę w kolorze oberżyny. Patrząc na nią z tyłu, można było dostrzec ładną sylwetkę, blond włosy obcięte na wysokości ramion i smukłe nogi. Poruszała się pewnym krokiem. Pokonała kawałek chodnika, a potem przeszła między samochodami; gdy patrzyła w jedną i w drugą stronę, zafalowały jej końcówki włosów. Szłam za nią w dyskretnej odległości. Ani na moment się nie zawahała, nie zwolniła tempa, jak gdyby pokonywała tę trasę wiele razy wcześniej. Skręciła w lewo i zdecydowanym krokiem weszła do niewielkiego lokalu. Ja przystanęłam kilka metrów dalej. Popatrzyłam na fasadę wyłożoną ciemnozielonym drewnem i na kotary zasłaniające nieduże okno. CHEZ LOUIS, przeczytałam na szyldzie znajdującym się nad drzwiami. Odczekałam dwie minuty i weszłam za nią.

Restauracja, długa i wąska, była prawie pełna. Odszukanie jej zajęło mi kilka chwil. W końcu ją zobaczyłam, siedziała w głębi naprzeciwko jakiegoś mężczyzny, przy małym stoliku przylegającym do ściany. Znowu widziałam ją od tyłu; jej przyjaciel, czy kimkolwiek był, w tym momencie wyciągnął rękę i pogładził jej prawą dłoń.

Kelner zaproponował mi jeden z nielicznych wolnych stolików; odmówiłam jednak i wskazałam inny, dalej od wejścia, a bliżej tamtych dwojga. Zgodził się, wzruszając ramionami, wręczył mi kartę i odszedł w swoim długim fartuchu, by obsługiwać innych klientów. Ze swojego miejsca nadal widziałam jej ramiona i kark, ale nie twarz; mężczyznę natomiast miałam niemal na wprost siebie.

Był w wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką, miał na sobie prążkowany garnitur i krawat w geometryczne wzory. Włosy zaczesywał do tyłu, emanował pewnością siebie i był średnio atrakcyjny.

Zamówiłam *soupe à l'oignon*. Kelner zaproponował mi kieliszek wina, zamierzałam już podziękować, ale pomyślałam: *why not?* Pomyliłam się, oceniając to miejsce na pierwszy rzut oka. Pomimo ciasnoty i dyskretnej fasady wygląd gości oraz ceny w karcie wskazywały na francuską restaurację wyższej kategorii. A zażyłość między żoną Nicka i jej towarzyszem kazały mi przypuszczać, że taki dyskretny obiad *à deux* powtarzał się dosyć często.

Kiedy przez tak długi czas byłam zdana na nędzną kuchnię w domu mojej teściowej, teraz treściwa zupa i łyki *bordeaux* wzmocniły moją duszę, ale starałam się nie roztkliwiać z powodu tych przysmaków. Przyszłam tu w konkretnym celu, nie mogłam się zdekoncentrować. Dlatego też bezwstydnie zaczęłam kusić towarzysza Cory Soutter, z czego on szybko zdał sobie sprawę. Początkowo to ukrywał, jak gdyby przeczuwał, że się myli, sądząc, że stał się obiektem zainteresowania brunetki samotnie jedzącej obiad. Kiedy posłałam mu bezczelny uśmiech, wreszcie się przekonał, że to się dzieje naprawdę, i za każdym razem, gdy ona nachylała się nad swoim talerzem, korzystał z okazji, żeby wymienić ze mną spojrzenie. Aż w pewnym momencie Cora zaczęła coś podejrzewać. Odwróciła więc głowę, żeby zobaczyć obiekt, na który ciągle popatrywał jej towarzysz.

Gdy mnie rozpoznała, jej twarz nagle się ściągnęła. W odpowiedzi uniosłam delikatnie kieliszek. Jestem tu, chciałam jej przekazać, i czekam na ciebie. Żeby nie mogła jej usłyszeć, wyciągnęła szyję i powiedziała do niego coś niewątpliwie mało przyjemnego. Szybko skończyli posiłek, nie zamieniając prawie słowa, wyraźnie skrępowani. Nie zamówili deseru ani kawy, nawet nie zaczęli na rachunek, tylko on położył koło serwetki kilka banknotów.

Zaczekałam, aż wstaną, żeby uczynić to samo. Dopiero wtedy, zanim jeszcze ruszyli w stronę wyjścia, zrobiłam cztery kroki i znalazłam się tuż przy ich stoliku.



– Piękny krawat, mój drogi – powiedziałam z dezynwolturą. – Przepraszam, że tak uparcie na pana spoglądałam. Jednak to nie pan mnie interesuje. – Odwróciłam się do niej. – Miło mi znowu panią widzieć, pani Soutter.

Nie odmówiła, kiedy poprosiłam, żeby usiadła ponownie. Ja zajęłam krzesło, które on właśnie zostawił wolne, naprzeciwno. Mężczyzna z wahaniem szukał u swojej przyjaciółki albo kochanki jakiejś informacji. Ona, tytułem pożegnania, wymamrotała jedynie: porozmawiamy później.

– Wolałam, byśmy się spotkały na neutralnym gruncie. To lepsze niż w miejscu pracy, nie sądzi pani?

Wytrzymała mój wzrok, bojaźliwość bynajmniej nie leżała w jej naturze. Miała bardzo ładne jasne oczy, być może nieco zbyt blisko osadzone. Brwi, jak na mój gust, za mocno wyskubane. Nie odezwawszy się jeszcze słowem, wyjęła papierośnicę ze skóry węża. Zaproponowała mi papierosa, ale podziękowałam. Usłużny kelner podsunął jej zapalniczkę, zaciągnęła się głęboko. Ja milczałam, cierpliwa, wyczekująca. Pytań miałam aż nadto.

– Nie jestem zachwycona pani bliskością z Nickiem – przyznała, powoli wydmuchnąwszy dym. – Po prostu mi się to nie podoba. Nie podoba mi się, że wysyła pani paczki z Jerozolimy, nie jestem zadowolona z tego, że się o panią martwi i stara się panią zadowolić.

– I dlatego utrudnia mi pani pracę?

– Nie chcę, żeby powtórzył z kimś innym naszą historię.

Zaciągnęła się ponownie, słowa wyszły teraz z jej ust zawinięte w obłoczki dymu.

– Nie mogę znieść tego, że naszą historię przeżywa z inną kobietą.

Uniosłam kącki ust w geście między niedowierzaniem a sarkazmem. Wtedy podszedł do nas kelner i zaproponował kawę, którą przyjęłyśmy obie.

– O ile mi wiadomo – powiedziałam – pani i on prowadzicie osobne życie.

– Zgadza się. I niebawem dostaniemy rozwód, mam nadzieję.

Ostatniemu słowu towarzyszyło uderzenie paznokciem o papieros, żeby strząsnąć popiół. Miała manikiur w intensywnym koralowym

kolorze. Zdało mi się, że w tym drobnym geście dostrzegłam pewną dawkę agresji.

– Ufam, że to dla dobra obojga – odpowiedziałam spokojnie. – I chociaż wcale nie muszę tego pani mówić, wolę to zrobić; chcę, żeby pani wiedziała, że nie mam żadnego romansu z mężczyzną, który choć jeszcze tylko przez krótki czas, wciąż jest pani mężem.

Wzruszyła ramionami.

– Być może. Ale jeśli mam być szczerą, to jest najmniej istotne.

– Dlaczego w takim razie tak mnie pani traktuje?

Upiła łyk kawy, jak gdyby zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Może nie pogłębiliście relacji – oznajmiła, oderwawszy usta od filiżanki. – Ale on znalazł za mnie zastępstwo, jeśli chodzi o uczucia.

Obserwowałam ją wyczekująco.

– Sam mi to wyznał. Był tutaj w ostatnie Boże Narodzenie, nie wiem, czy pani pamięta.

Rzeczywiście, Nick nie spędził ostatnich świąt w Jerozolimie. Chociaż nie cierpiał kolęd, przyjechał do Anglii, by odwiedzić swoje dzieci. Dla mnie to były okropne dni, bez Marcusa, z moim synem i smutkiem. Całe szczęście, że towarzyszyły mi Fran Nash i jej przepełnione życzliwością córki, które przyjechały z Kairu na świąteczną przerwę. Mieliśmy trochę wytchnienia od krwawej przemocy, wybraliśmy się nawet na bożonarodzeniowe nabożeństwo do kaplicy w kompleksie Notre Dame. Ale Nicka faktycznie nie było, prawie dwa tygodnie spędził poza Palestyną. A ja strasznie za nim tęskniłam.

– Nick się w pani zakochał, moja droga – powiedziała, gasząc papierosa.

Wypaliła tylko połowę. Docisnęła go mocno, aż rozerwała pozostały papier, nitki tytoniu zostały na dnie popielniczki.

– Zakochał się jak głupiec. I chociaż nie zostało już ani śladu tego, co było między nami, to jego uczucie skręca mi wnętrzności i rani do żywego.

Nie zdziwiło mnie, że po powrocie na The Boltons zastałam Dominica rozmawiającego z Olivią. W tym momencie wszystko wydawało mi się już wiarygodne.

Jej powitanie zabrzmiało wyjątkowo ciepło.

– Wreszcie jesteś, moja droga!

Skończyli już pić herbatę, ale Gertrude nie zabrała jeszcze serwisu. Mieli przed sobą puste filiżanki, zimny imbryk, talerzyki z okruszkami i resztkami *plum cake*.

– Cudowny ten żakiet, który masz na sobie, *my dear*, wyglądasz zupełnie inaczej.

Na twarzy Dominica malowało się wyraźne odprężenie, kiedy wstał, by się ze mną przywitać. Mój powrót bez wątpienia przyniósł mu ulgę; przypuszczałam, że moja teściowa za bardzo mu się naprzykrzała, a on, zawsze taki uprzejmy, nie mógł się wykręcić.

Przed nim, na stole, leżała skórzana teczka. Ścisnęło mnie w środku, domyśliłam się bowiem, że znajdują się w niej dokumenty dotyczące testamentu Marcusa i jego konsekwencji.

Jego słowa poprzedziło odchrząknięcie.

– Miło mi było spędzić z panią tę przyjemną chwilę, szanowna lady Olivio. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, teraz chciałbym pomówić na osobności z żoną Marka.

Usiadłam między nimi, dokładnie na środku sofy, która rozdzielala oba fotele. Oboje odwrócili głowy w moją stronę, gdy usłyszeli, jak powiedziałam:

– Wolę, żeby została.

Ona odchyliła się na oparcie, jakbym właśnie przedstawiła jej nad wyraz atrakcyjną propozycję. Dominic rzucił mi pytające spojrzenie, ja potwierdziłam delikatnym gestem.

– Jeżeli tego sobie pani życzy, dla mnie to żadna niedogodność. – Przynął palce do zamka teczki. – Dobrze, żeby wprowadzić panią w temat – powiedział, zwracając się do Olivii – będziemy rozmawiać o ostatniej woli pani syna. Wyznaczył mnie bowiem na wykonawcę swojego testamentu i miałem zaszczyt wypełnić powierzone mi zadanie, korzystając ze swoich uprawnień i zgodnie z jego interesami.

Mówił językiem biurokratycznym, typowym dla kolonialnego urzędnika wyższego szczebla, którym był. Siedział wyprostowany, plecy nie dotykały oparcia. Jego niezbyt atrakcyjna twarz była poważna, miał złączone kolana, dłonie ułożone symetrycznie po obu stronach papierów.

– Chociaż znajdujemy się w warunkach domowych – ciągnął uroczyście – to spotkanie można formalnie uznać za pełnoprawne odczytanie testamentu.

Kątem oka spojrzałam na teściową, wyraz jej twarzy uległ drastycznej zmianie. Liczne zmarszczki, które normalnie miała rozrzucone po całej twarzy, teraz jakby skoncentrowały się wokół zaciśniętych ust oraz między brwiami.

– *But Dominic...*

Patrzyliśmy na nią w milczeniu, czekając, aż będzie mówić dalej. Nie powiedziała jednak nic więcej. Na wszelki wypadek on podkreślił warunki.

– Taka jest ostatnia wola Marka i muszę ją wypełnić zgodnie z prawem i zasadami moralnymi. Szanując jego wytyczne. I jego pamięć.

– Skoro już do tego doszliśmy... – wymamrotała szorstkim tonem.

Dało się słyszeć dwa uderzenia o tapicerkę fotela, gdy gwałtownie opuściła ręce. Potem uniosła ramiona i klatkę piersiową, jak gdyby napełniała płuca powietrzem. Zdobyła się na wysiłek, żeby wydobyć z siebie głos i nadać mu stanowczy ton.

– Chociaż nie przewidziałam, że to ty się tym zajmiesz, mój drogi, wiedziałam, że ten moment kiedyś nadejdzie. W każdym razie, uprzedzając to, co zamierzasz nam powiedzieć – oznajmiła – może powinnam sama to zrobić i w ten sposób zaoszczędzić ci wikłania się w wyjaśnienia krępujące pod każdym względem.

Przez kilka chwil wodziła wzrokiem po pomieszczeniu, nie zatrzymując go w żadnym miejscu, tylko przelatując po wytartej tapecie i starych zasłonach. Jej myśli wracały do czasów, które od naszej terażniejszości dzieliły całe dziesięciolecie.

– Czasami – ciągnęła ponurym tonem – podejmujemy błędne decyzje, nie przewidując, że ich konsekwencje będą nas prześladować przez całe życie, niczym długie czarne cienie.

Potem wstała, opierając się na rękach, i skierowała do komody, gdzie niczym w barku na tacy stały karafki oraz butelki, które jej przyjaciele zwykli przynosić na czwartkowe spotkania. Podniosła kilka i obejrzała z bliska, wszystkie były prawie puste. W końcu wzięła trochę pełniejszą z Plymouth Gin. Odwróciła się do nas i ją pokazała, jakby proponowała, byśmy się napili. Dominic i ja odmówiliśmy, ona naląła sobie hojnie.

Po powrocie na swój fotel pociągnęła długi łyk. Następnie w ciągu kilku minut streściła kawałek swojego życia, który na zawsze zmienił losy rodziny. Troje małych dzieci oraz zbyt zajęty i niespecjalnie czuły mąż. Czasy pierwszej wielkiej wojny, atrakcyjny amerykański przedsiębiorca, który przybył do Anglii, żeby zająć się biznesem związanym z przemysłem zbrojeniowym; wielka namiętność oraz historia pełna kłamstw, zawirowań i cudzołóstwa. Dowiedziawszy się o niewierności, sędzieja Bonnard, głęboko zraniony, uruchomił całą dostępną mu machinę prawną, żeby odsunąć ją od dzieci i pozbawić majątku oraz praw; ona zgodziła się na to w zamian za swoją wolność, wkrótce jednak pojawiły się wyrzuty sumienia. Po długiej nieobecności wróciła do domu – wtedy małżeństwo było już oficjalnie zakończone. Codzienny porządek został mniej więcej odbudowany, ale ani prawne warunki rozwodu nie zostały odwrócone, ani jej mąż nigdy nie zmienił restrykcyjnych decyzji testamentowych, które podjął pod jej nieobecność.

Nie opowiadała o tym z melancholią, Olivia nie zwykła okazywać otwarcie swoich emocji, czasami wątpiłam nawet, czy w ogóle je odczuwa. Marcus też nigdy nie wspominał mi o tym epizodzie, zawsze przypuszczałam, że jego rodzice tworzyli tradycyjną i stabilną parę. Kolejne pudło z przeszłości mojego męża, którego nigdy nie otworzył.

– W taki właśnie sposób własność tego domu i reszta majątku przeszły bezpośrednio z ojca na dzieci – powiedziała, pociągając kolejny długi łyk ginu. – A potem wszystko na Marka, kiedy dwoje moich małych umarło bezpotomnie...

Nie byli wcale tacy mali, kiedy odeszli z tego świata – o tym i owszem, wiedziałam. Jedyna córka, Ann, w wieku czternastu lat zachorowała na nieuleczalne zapalenie opon mózgowych, zaś środkowy syn, Hugh, zaciągnął się do sił powietrznych i zginął w walce krótko przed tym, jak Marcus i ja ponownie spotkaliśmy się w Lizbonie. Mimo to w jej wspomnieniach pozostali dwojgiem małych dzieci.

Formalny ton głosu Dominica przywrócił nas do rzeczywistości i do naszej sprawy.

– W takim razie warunki są jasne i nie ma miejsca na większe dociekania. Jednakże decyzją pani syna Marka jestem zobowiązany przekazać pani, że wśród jego wytycznych znajduje się klauzula dotycząca zapewnienia pani środków.

Obie spojrzałyśmy na niego z zaciekawieniem.

– Mark ustanowił, że jego matka winna dysponować pewną sumą, aby móc godnie żyć ze środków masy spadkowej – wyjaśnił, biorąc do ręki jeden z dokumentów. – Nie będzie to stała, ustalona z góry kwota, lecz roczne dożywotnie uposażenie, którego wysokość mam ustalić razem z wdową po spadkodawcy.

Na miłość boską! Na miłość boską! Pomimo tak formalnego języka, jakiego używał Dominic, zrozumiałam sedno sprawy: to w moich rękach leżało zapewnienie środków na utrzymanie Olivii. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać. Dlaczego Marcus mi to zrobił? Z jakiego powodu zrzucił na mnie podobną odpowiedzialność? Może nie ufał własnej matce. Może, choć nie wyznał mi niektórych rzeczy ze swojej przeszłości, darzył mnie ogromnym zaufaniem.

Reakcja Olivii była zdumiewająca. Najpierw zamruwała oszołomiona. Później, z zaciśniętymi ustami, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– *Splendid...* – wymamrotała, podnosząc kieliszek. Jak gdyby wznosiła toast za swojego syna, gdziekolwiek był.

Elementy puzzli zaczęły się układać w mojej głowie. Niektóre jednak nie pasowały. Olivia nie kryła zaskoczenia na wieść, że będzie regularnie otrzymywać pewną sumę pieniędzy, co oznaczało, że nie spodziewała się niczego. Z jakiej więc racji jej poprzednie kroki?

Skoro już ujawnialiśmy prawdę, postanowiłam jasno wyrazić swoje wątpliwości.

– Olivio, mam pytanie. Jeśli oczekiwałaś takiego obrotu spraw, to dlaczego sprowadziłaś tu architekta?

Wybuchnęła ochrypłym śmiechem.

– Ach, to...!

– Może po to, żeby mnie przekonać – naciskałam – zanim dowiedziałabym się o wszystkim na własną rękę?

– Cóż, gdybyś była skłonna się zgodzić, znalazłabym jakiś sposób na formalne załatwienie kwestii nieruchomości. Do tego czasu, przy odrobinie szczęścia, zdobyłabym dla siebie jakiś kawałek, mieszkanie, z którego trudno by ci było mnie ewakuować. Ale źle cię oceniłam. Zupełnie się pomyliłam.

Umilkła, jak gdyby przypominała sobie tamto spotkanie. Potem uśmiechnęła się z gorzką ironią.

– W ogóle nie byłaś tym zainteresowana. Sądziłam, że jesteś o wiele bardziej banalna i kapryśna, niż się okazałaś, *my dear*. Muszę przyznać, że wielce mnie zaskoczyłaś.

Chciałam zaprotestować, usprawiedliwić się, ale ona mnie ubiegła.

– W tamto lato, gdy cię poznałam, wydałaś mi się zupełnie inną osobą. Powierzchnową, trywialną, uzależnioną od Marka do granic możliwości. Co takiego, do diabła, strzeliło do głowy mojemu synowi, tak bystremu i inteligentnemu, że ożenił się z... z kimś w rodzaju egzotycznej lalki.

Z ust Dominica wydobył się pomruk dezaprobaty.

– Próbowałam ci się tylko przypodobać – wymamrotałam.

Wspomnienie tamtego popołudnia wciąż było żywe w mojej pamięci. Przyjechałam skrępowana do obcego kraju, starając się mówić w języku, który opanowałam tylko do pewnego stopnia, pragnąc wywrzeć dobre wrażenie i z nadzieją, że Marcus będzie ze mnie dumny. Tymczasem zamiast uprzejmej teściowej spotkałam

kobietę o przytłaczającej osobowości, która traktowała mnie z najwyższą pogardą, prawie nie dając mi szansy się odezwać.

– W każdym razie – dodałam, próbując nie stracić spokoju – to już przeszłość. A teraz, kiedy ostatnia wola twojego syna stała się jasna, przypuszczam, że nie będziesz musiała już zbyt długo mnie znosić. Gdy tylko wyjaśni się sprawa z rentą, która jeszcze...

Dominic zabrzmiał stanowczo.

– Słucham?

Ignorując go, Olivia wstała, żeby ponownie napełnić sobie kieliszek. Na jego twarzy malowała się niespokojna ciekawość.

– Co ma pani na myśli, mówiąc o sprawie z rentą?

Opowiedziałam mu o otrzymanym liście, o mojej bezradności wobec zawiłych biurokratycznych kwestii i jej propozycji, by się tym zająć. Podczas gdy ja naświetlałam mu sprawę, ona wciąż stała do nas tyłem, nalewając sobie pozostałości z jakiejś innej butelki. Chciałam go o coś zapytać, ale Dominic mnie powstrzymał, podnosząc dłoń.

– Lady Olivio?

Powiedział to głośno, ale ona nawet się nie odwróciła.

– Olivio?

Nic.

– Olivio?

Kiedy w napiętym tonie Dominica wyczuła, że nie ma już innego wyjścia, jak wziąć na siebie odpowiedzialność, powoli odwróciła się zrezygnowana.

– To oficjalne zawiadomienie, o którym wspomniała pani synowa i którym się pani rzekomo zajęła... – Dominic nie dawał za wygraną. – Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, o co chodzi?

Wciąż stojąc, zasłoniła się kolejnym łykiem, żeby dalej milczeć. I tak trwała, nieuchwytna, wyniosła, udając niechęć i obojętność, w jednym ze swoich długich strojów, z popielatymi włosami i władczą postawą.

– O ile mi wiadomo – ciągnął Dominic, nie zmieniając swojego poważnego tonu – nie ma już żadnych oficjalnych spraw pani syna, które należałoby załatwić. A zapewniam panią, że przejrzałem wszystko bardzo dokładnie, co zresztą było moim obowiązkiem.



Patrzyliśmy na nią, czekając na odpowiedź.

– Olivio? – powtórzył Dominic z wielką powagą.

Przyciśnięta do muru, wyrzuciła rękę w górę, jakby bagatelizując sprawę. Jak gdyby to wszystko – testament, pamięć jej syna, nasza obecność – wywołało w niej nagle głębokie znudzenie.

– O co chodziło? – naciskał. – Czy to coś istotnego?

Mając świadomość, że Dominic nie odpuści, w końcu pokręciła lekko głową.

– A zatem to była tylko jakaś drobna formalność? Sprawa urzędowa bez większego znaczenia?

Teraz pokiwała, poruszając głową z góry na dół, znów powoli, nie otwierając ust.

Wtedy stało się to dla mnie jasne. Jasne jak słońce. Ależ ja byłam głupia. Jaka naiwna i niedorzecznie łatwowierna.

Wstałam i podeszłam, aż znalazłam się naprzeciwko jej twarzy pełnej zmarszczek, jej ekstrawaganckiego stroju, jej wyniosłości i bezczelności. Pytania wylały się ze mnie niczym wodospad, moje oburzenie nie miało granic.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie musiałaś się zajmować żadną formalnością w moim imieniu? Że nie czekamy na żadne rozstrzygnięcie czegoś ważnego w sprawie renty po Marcusie? Że zatrzymałaś nas w Londynie przez cały ten czas bez żadnego powodu, tylko po to, żebym nie dociekała, czy mi się coś należy, i nie domagała się żadnego spadku? Próbujesz mi powiedzieć, że przez cały czas mnie okłamywałaś i nie pozwoliłaś nam wyjechać tylko przez swoje... przez swoje... przez swoje wyrachowane knowania?

**B**yć może zamach na King David Hotel osłabił moją zdolność zadawania rzeczy jasno i klarownie. I to tak bardzo, że nawet nie zdałam sobie sprawy z tego, że teściowa manipulowała mną w tak bezczelny sposób, ani nie zdołałam dostrzec prawdziwych uczuć Nicka Souttera, swoich być może też nie. W obliczu trudności jednak wreszcie zaczęłam przeglądać na oczy.

Śmierć Marcusa wstrząsnęła mną do głębi: rozdarła mnie, zniszczyła całe moje życie. Ale ze względu na samą siebie i mojego syna nie mogłam pozwolić, żeby to nieszczęście na długi czas stłumiło moją zdolność postrzegania rzeczywistości, z jej zawiłościami i sprzecznościami, jej podłościami i subtelnościami. Musiałam zmienić podejście, choćby miało mnie to wiele kosztować; musiałam w sposób radykalny zmienić moje zachowanie, teraz sobie to uświadomiłam. Koniec biernego oporu i pozwalania na upokarzanie, koniec posłusznego czekania: nadszedł czas podejmowania decyzji, zamykania rozdziałów i pójścia własną drogą. W tym celu najpierw musiałam rozwiązać wreszcie sprawę z BBC. A później niezwłocznie poszukać biletów, byśmy mogli natychmiast wyjechać z Londynu.

Poprzedniego wieczoru, po tym, jak starłam się z Olivią, poprosiłam Dominica, żeby to on się wszystkim zajął. Żeby upłynął to, co Marcus zostawił mnie i mojemu synowi, żeby zapewnił Olivię, iż nie zamierzam wyrzucać jej z domu. Żeby przeznaczył dla niej taką sumę, jaką uzna za stosowną, a resztę wpłacił na rachunek bankowy na pewien czas, dopóki nie będę wiedzieć, gdzie się urządzę. Nie miałam najmniejszego zamiaru zostawać w Anglii – bardzo dziękuję. Miałam już tego dość.

Następnego dnia w pierwszej kolejności zadzwoniłam do Ángela Ary.

– Mam już notatki i jestem przygotowana. Jeśli sprawa z pozwoleniem dla mnie została wyjaśniona, możemy zacząć jak najszybciej. Nie mogę zbyt długo zwlekać, bo wkrótce wyjeżdżam z Londynu.

– Chyba czytała mi pani w myślach, moja droga, właśnie miałem do pani zatelefonować. Zaczynamy jutro o dziewiątej.

Przyszłam pięć minut wcześniej, on już na mnie czekał. Opowiedziałam mu o moich pomysłach, a on na wszystkie notatki zareagował z entuzjazmem.

– To wspaniałe obrazki z dzisiejszej Jerozolimy, słuchacze będą zachwyceni. Znakomite, prawdziwe, świeże, wyraziste, pouczające...

Pozwoliłam, żeby się rozwodził, ale tak, by potok jego przymiotników nie wywołał we mnie zbyt wielkiego samozadowolenia. Ograniczyłam się jedynie do przedstawienia tego, jak wyglądało miasto w ciągu półtora roku mojego pobytu, bez owijania w bawełnę i ozdobników. Nie zagłębiałam się w bolesne prywatne sprawy, jak śmierć Marcusa, ani nie zamieściłam żadnych osobistych szczegółów, nie szczędziłam jednak wzmianek o okrucieństwie ataków, codziennych konfliktach, kontrowersjach, racjach jednej i drugiej strony, o niepokoju i cierpieniu.

Pracowaliśmy bez wytchnienia, najpierw nadając kształt moim notatkom. On siedział przed maszyną do pisania, a ja sugerowałam różne rzeczy, zmieniałam na bieżąco, poprawiałam – krótko mówiąc, tworzyliśmy tekst, który później miał się zamienić w nagrany głos. Doprecyzowywaliśmy właśnie ostatnie szczegóły w biurze przyległym do studia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Oboje się odwróciliśmy, za szybą zobaczyliśmy George'a Camacho. Wszedł i przywitał się uprzejmie, po czym, ku mojemu zdumieniu, poprosił Arę, żeby zostawił nas na chwilę samych.

Od razu przeszedł do rzeczy.

– Mam dla pani wiadomość. Całkowicie poufną, proszę więc o maksymalną dyskrecję.

Oblałam się zimnym potem.

– Muszę przyznać, że cała ta sprawa przybiera zupełnie nietypowy obrót, ale w trakcie wyjaśniania kwestii pani pozwolenia na

współpracę z nami, jak się wydaje, wyszły na jaw pewne rzeczy... pewne niezwykle szczegóły.

Ton jego głosu był jak zawsze opanowany, mimo to brzmiał poważnie.

– Dowiedziawszy się o pani pobycie w Londynie, pewne osoby chciałyby z panią porozmawiać, pani Bonnard. Pozwolę sobie panią poprosić, żeby się pani zgodziła.

To zmaćiło mój spokój. Przypomniały mi się dawne dni, kiedy moje obowiązki sprowadzały się do tajnych wiadomości, dyskretnych spotkań i tajemnic.

Dokończył to, co miał mi przekazać.

– Jeżeli się pani zgadza, przed wejściem czeka na panią samochód.

W tym przyległym do studia nagraniowego pomieszczeniu nie było okien ani żadnej szczeliny, przez którą mogłabym rzucić okiem, podczas gdy próbowałam poukładać to sobie w głowie. Dlatego skupiałam się na swoich dłoniach, patrzyłam na nie, zagłębiając się w rozważaniach.

Minęła długa chwila, on czekał cierpliwie.

– Proszę posłuchać, mój drogi przyjacielu – powiedziałam, odrywając w końcu wzrok od swoich palców. – Myślę, że wysłucham tych dżentelmenów, tak jak mnie pan prosi. Ale zrobimy to w sposób, który ja uznam za odpowiedni, bez poleceń i żądań. Nie wsiądę teraz do żadnego samochodu. Nie spotkam się też z nikim w miejscu, które mi wskażą.

George Camacho patrzył na mnie osłupiały. Wstałam i stanęłam naprzeciwko niego.

– Jeśli to nie kłopot, proszę przekazać ode mnie tym, którzy pana przysłali, że będą mieli okazję spotkać się ze mną dziś po południu, o trzeciej w The Dorchester. Albo nie, przepraszam. Lepiej o wpół do czwartej.

Nazwa tego hotelu natychmiast wpadła mi do głowy: to był mój punkt odniesienia, kiedy szukałam Rosalindy i nie znalazłam po niej ani śladu. Do mojej impertynenckiej odpowiedzi dorzuciłam równie fałszywy, co promienny uśmiech; musiałam go również wydobyć z czeluści moich wspomnień, bo od dawna go nie używałam.

Wyszedł zdezorientowany, niczego nie rozumiejąc. Po chwili wrócił Ara, który przyniósł dwie zupełnie pozbawione smaku kanapki – nasz obiad. Ani ja nic mu nie wyjaśniałam, ani on o nic nie pytał, pracowaliśmy dalej jak gdyby nigdy nic. Skończyliśmy za dziesięć trzecia. Złapałam taksówkę i dwadzieścia po trzeciej byłam przy wejściu do The Dorchester. Nogi miałam już poza autem, kiedy nagle je cofnęłam i poprosiłam kierowcę, żeby pojechał dalej.

– Dokąd panią zawieźć, *ma'am*?

– Przejedźmy się bez pośpiechu – odpowiedziałam. – Proszę mi pokazać to, co pan chce.

Przez okno oglądałam pałac Buckingham, legendarnego Big Bena, szeroką i ciemną Tamizę, pałac Westminster. Za dwadzieścia czwarta ponownie wjechaliśmy na Park Lane i wreszcie wysiadłam z taksówki przed wejściem do hotelu. Zazwyczaj zjawiałam się punktualnie, tym razem jednak celowo wolałam przyjść później. Jeśli to było to, co podejrzewałam, teraz to ja zamierzałam dyktować warunki.

Czekali na mnie, siedząc w dyskretnym miejscu. Obaj wstali, gdy tylko zobaczyli, że idę przez eleganckie lobby The Dorchester. Byli w garniturach, dobrze uczesani i ogoleni. Jeden był około trzydziestoletnim blondynem, ten drugi, starszy, miał siwe włosy, nosił okulary i piękny jedwabny krawat. Nie znałam żadnego z nich, ale kilku ich pokroju – i owszem, tak więc w pewnym sensie wydali mi się znajomi. Przywitałam się z pozorną pewnością siebie, usiadłam zgrabnie, zakładając nogę na nogę, jak dawniej. Przed nimi stały filiżanki kawy, ja nie chciałam niczego, kiedy zaproponowali mi coś do picia.

Pobliskie stoliki nie były zajęte. A nawet gdyby, to przestrzeń była na tyle duża, że niemal nie istniało ryzyko, że rozmowa dotarłaby do obcych uszu. Po powitaniach złożyli mi kondolencje z powodu śmierci Marcusa i podkreślili, jak bardzo im przykro, że doszło do godnego ubolewania odrzucenia mnie w BBC.

– Szefowa pewnego działu popełniła nierozważny błąd – powiedział ten starszy. – Ale wszystko zostało już załatwione. Dla nas pozytywny efekt jest taki, że dzięki temu błędowi dyrektor Serwisu Latinoamerykańskiego zaczął dociekać, zakładając, że chodzi o sprzeciw natury politycznej, i w ten sposób sprawa

przechodziła przez kolejne wydziały, aż dotarła do nas. Dlatego panią znaleźliśmy. Musimy przyznać, że wiadomość o pani pobycie w Londynie była dla nas absolutnym zaskoczeniem.

Młodszy wyjął dyskretnie z teczki kilka kartek i podał je swojemu przełożonemu. Ten zsunął okulary w złotej oprawce na sam czubek nosa i ciągnął łagodnie, wyraźnie artykułując słowa.

– Odświeżmy sobie trochę pamięć: jak widnieje w naszych aktach, pani, brytyjska poddana Sira Bonnard, wcześniej obywatelka hiszpańska Sira Quiroga, między tysiąc dziewięćset czterdziestym a tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym rokiem świadczyła usługi dla Special Operations Executive pod przykrywką rzekomej marokańskiej krawcowej Arish Agoriuq o kryptonimie Sidi, z bazą operacyjną w Hiszpanii, okazjonalnie przenosząc się do Portugalii i przez cały czas wypełniając swoje obowiązki absolutnie kompetentnie, skrupulatnie, sumiennie i uczciwie.

Potwierdziłam, nie otwierając ust. Wtedy odezwał się ten drugi.

– W celu poświadczenia tych informacji i zdobycia bardziej osobistej opinii chcemy panią poinformować, że pozwoliliśmy sobie skonsultować się z oficerem, który swego czasu panią rekrutował.

Delikatny zarys uśmiechu pojawił się w kącikach moich ust, kiedy wyszeptałam jego nazwisko.

– Hillgarth.

Przypomniałam sobie taras American Legation w Tangerze. Tam go poznałam i tam rozpoczęło się moje szkolenie. Z pewnością siebie przekazywał mi polecenia, wytyczne i instrukcje, jak komunikować się alfabetem Morse'a, zasady dostarczania wiadomości, reguły dotyczące nadawania meldunków i odbierania informacji. Udostępnił mi również listę żon nazistów, które miały zostać moimi klientkami, podpowiedział, jak mam się zachowywać, żeby nie wzbudzać podejrzeń, do kogo się zbliżyć, a kogo odrzucić, w jakich miejscach bywać, a jakich unikać za wszelką cenę.

Chcąc wyciągnąć mnie z potoku wspomnień, blondyn znowu zabrał głos.

– Właśnie. Kapitan Alan Hillgarth, attaché marynarki wojennej w naszej ambasadzie w Madrycie podczas wojny, dokonał pozytywnej i wyjątkowo entuzjastycznej oceny pani osoby. Nie

wiem, czy ma pani świadomość, że po zwycięstwie postanowił zrezygnować zarówno ze służby w marynarce, jak i zadań dla nas. Teraz mieszka w Irlandii, skąd uprzejmie odpowiedział na nasze pytania i skąd przesyła pani najserdeczniejsze pozdrowienia. Prosił nas ponadto o adres pocztowy, na który mógłby napisać do pani osobiście.

Starszy zamierzał coś wtrącić; dzięki temu zaoszczędził mi niezręczności, by przyznać, że nie mam stałego adresu ani na razie perspektyw, by go znaleźć. Sąsiednie i dalsze stoliki stopniowo zapełniały się gośćmi; szmer rozmów, choć miękki, stawał się coraz intensywniejszy. Kelnerzy zaczęli przesuwać wózki i podawać herbatę, łyżeczki uderzały o filiżanki, mnożyły się głosy.

– Jest pani pewna, że niczego się nie napije?

Całkowicie pewna. Z powodu dyscypliny panującej przy The Boltons, gdybym nie czuła się taka spięta, byłabym wdzięczna za pełen *afternoon tea*, tak jak w Fortnum & Mason, z kanapkami, *scones* i innymi ciastkami. Mogłabym nawet ukradkiem zawinąć kilka w chusteczkę i zanieść Víctorowi, który zjadłby je z apetytem. Ale ponownie tylko podziękowałam. Chciałam jedynie, żeby przeszli do rzeczy bez zbędnej zwłoki. Oni jednak w dalszym ciągu oddawali sobie nawzajem głos, realizując coś w rodzaju wstępnego protokołu.

– Jak pani wie, pani Bonnard, w ciągu tych ostatnich dwóch lat wszystko zmieniło się w sposób radykalny. Porządek światowy wygląda już inaczej i musimy przystosować się do sytuacji, które nie mają nic wspólnego z dynamiką konfliktu zbrojnego. Nie stoją już przed nami tak trudne zadania jak w czasie wojny, mamy jednak do czynienia z innymi sytuacjami, które muszą być dokładnie przeanalizowane.

Wiedziałam o tym. Wystarczająco dobrze. Wystarczająco dobrze wiedziałam, że ani miejsca, ani konflikty nie są już takie same. Jak miałam o tym nie wiedzieć, skoro w jednym z tych piekieł straciłam Marcusa. Ale nadal milczałam, czekając, aż dojdą do sedna.

Obaj kontynuowali swoją werbalną choreografię.

– Do jednej z naszych nowych misji potrzebujemy kogoś o bardzo konkretnym profilu.

– Osoby rozsądnej, a jednocześnie światowej, która zna zasady panujące na terenie, na którym musi się poruszać, która biegle zna język i potrafi działać dyskretnie, skrupulatnie i taktownie.

– Zadania, do których potrzebujemy takiej osoby, są naglące.

– Kłopot w tym, że do tej pory nie znaleźliśmy nikogo, kto spełniałby nasze wymagania.

Jedna, dwie, trzy, pięć sekund ciszy. W końcu ten o siwych skroniach przeszedł do meritum.

– Aż nagle pojawiła się pani.



Zakręciło mi się w głowie. Jakbym zamiast odmowy napicia się czegoś wypić trzy lub cztery kieliszki martini. Oto i on. Był tu i znowu wchodził w moje życie. Brytyjski wywiad na powrót rzucał mi swoją przynętę.

– W związku z powyższym, pani Bonnard, zamierzamy zaproponować pani nową misję w Hiszpanii.

W oczekiwaniu na jakąś reakcję czworo oczu dwóch nieznanomych przykleiło się do mnie niczym magnesy. Ja nawet nie mrugnęłam. Pozostałam niewzruszona, siedząc z nogą założoną na nogę, zamkniętymi ustami i prostymi plecami.

Jednakże pod delikatnym materiałem mojego płaszcza przyspieszony puls nie dawał mi chwili wytchnienia.

Wcześniej, podczas przydługiego wstępu, każdy z nich trzymał się swojej kwestii, teraz jednak wydawało się, że starszy i wyższy rangą nie zamierza wypuścić cugli z rąk.

– Chodzi o operację ściśle określoną i ograniczoną w czasie, trającą około trzech tygodni. Chociaż musimy panią uprzedzić, że będą to intensywne tygodnie. Ryzyko byłoby kontrolowane i pozbawione najmniejszych politycznych kontrowersji, które mogłyby pani zaszkodzić. Właściwie pani przykrywka byłaby tak solidna, że zostałaaby pani nawet oficjalnie zaakceptowana przez władze.

Wreszcie zdołałam połączyć kilka sylab, zabrzmiały ochryple i cicho.

– Na czym by to miało polegać?

Trzymając się sztywno procedur, nie odpowiedzieli. Brakowało jeszcze szczegółów dotyczących kontekstu.

– Czy ma pani jakieś osobiste związki z Argentyną?

Argentyna? Co, do diabła, Argentyna miała wspólnego z obawami tych mężczyzn ze służb specjalnych? W szufladzie mojej szafy przy The Boltos trzymałam legitymację prasową Télam, którą Fran Nash przekazała mi, zanim wyjechałam. Z Buenos Aires przysłali jej dwie sztuki oraz kauczukową pieczętkę, żeby podbiła je po uzupełnieniu swoim zdjęciem, i w ten sposób zostałaaby potwierdzona jej współpraca z nową agencją. Ona jednak postanowiła wydać jedną legitymację na moje nazwisko, bez konkretnego powodu. Kto wie, Siro, powiedziała, legitymacja prasowa może ci czasami otworzyć różne drzwi.

Nie podzieliłam się tym jednak z tymi dwoma, odpowiedziałam krótko:

– Żadnych, o ile mi wiadomo.

– A czy w jakiś sposób jest pani na bieżąco, jeśli chodzi o wydarzenia w tym kraju i jego przywódców?

Coś tam wiedziałam, owszem, choć tylko pobieżnie. W ciągu ostatnich miesięcy w Jerozolimie Fran postarała się, żeby od czasu do czasu przysyłała nam po egzemplarzu gazet, w których pojawiały się tłumaczone przeze mnie teksty. Z pewnością robiła to tylko po to, żeby pobudzać mój zapał, bo sama nie rozumiała po hiszpańsku ani słowa. Często rzucałam na nie okiem, nie mając nic innego do czytania w moim języku, odkąd po śmierci Marcusa przestała przychodzić prasa z Madrytu. Dzięki temu zaznajomiłam się z pewnymi nazwiskami, sytuacją w Argentynie i wydarzeniami.

Teraz wołałam jednak zachować ostrożność.

– Niezbyt.

– Jeżeli zechciałaby pani poświęcić nam jeszcze kilka chwil, w sposób zwięzły możemy nakreślić kontekst.

Wyszeptałam, że się zgadzam, choć ledwie było mnie słychać. Przełożony zdjął wtedy okulary w cienkich oprawkach, jak gdyby przeszkadzały mu one w dalszym mówieniu.

– A zatem. Przez długie dziesięciolecia relacje między Wielką Brytanią a Argentyną układały się bardzo owocnie, zwłaszcza pod względem handlowym. Od końca poprzedniego stulecia byliśmy największymi odbiorcami argentyńskich artykułów, głównie mięsa; wołowiną z Las Pampas żywiły się całe pokolenia Brytyjczyków.

I odwrotnie: z biegiem czasu poczyniliśmy ogromne inwestycje w tym kraju. Linie kolejowe, przemysł chłodniczy, pożyczki dla rządu, przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, firmy ubezpieczeniowe i banki... Dzięki temu mieliśmy wyjątkowo dobre i serdeczne związki z najbardziej wpływowymi klasami; wciąż jest tam znaczna kolonia brytyjskich rezydentów. Niektórzy z poprzednich rządzących twierdzili wręcz, że pod względem gospodarczym Argentyna jest niemal częścią Imperium Brytyjskiego.

Mówił niskim i monotonnym głosem, choć bardzo wyraźnie. Zrobił pauzę, składając zauszuki okularów i ważąc słowa. Jego kolega i ja czekaliśmy na dalszy ciąg.

– Jednakże w ostatnim czasie sytuacja uległa diametralnej zmianie. Wielka Brytania, jak pani wie, jest po wojnie zdruzgotana pod względem finansowym, podczas gdy Argentyna dynamicznie się rozwija gospodarczo i jest jednym z naszych największych wierzycieli w związku z zakupami, za które przez ostatnie lata nie płaciliśmy od razu. Swego czasu zablokowaliśmy płatności długów i środki argentyńskie zdeponowane w Londynie, wiedząc jednak, że w którymś momencie trzeba będzie usiąść do negocjacji. Ubiegłoroczne wybory przyniosły zwycięstwo generałowi Perónowi, który kierował polityką poprzedniego rządu – zapewne więc Argentyna utrzyma nacjonalistyczny kierunek. Od tamtej pory negocjacje przebiegają dość opornie. Wywłaszczenia i wykupowanie przez argentyński rząd linii kolejowych oraz przedsiębiorstw gazowych i energetycznych oznaczają koniec pewnej ery dla naszych interesów w Argentynie; do tego nacjonalizacja systemu finansowego jest dość mocnym ciosem dla naszych banków i firm ubezpieczeniowych; zmiany nastąpiły również w handlu zagranicznym i innych obszarach. To wszystko, krótko mówiąc, wiąże się z ogromnymi stratami dla brytyjskiego kapitału, znacznym osłabieniem naszych przedsiębiorstw i ogólnie obniżeniem naszych wpływów w Argentynie i w dużej części Ameryki Łacińskiej.

Znowu założył okulary, palcem wskazującym przesunął je po nosie, aż znalazły się we właściwym miejscu. Puentując, wyszeptał:

– *Sic transit gloria mundi.*

Tak przemija chwała świata.

Przyjęłam te wszystkie informacje z najwyższą ostrożnością. Bez wątpienia to, co usłyszałam, ogólnie rzecz biorąc, było prawdą. Ale wiedziałam też, że Brytyjczycy są wyrobionymi negocjatorami, wytrawnymi kupcami i sprawnymi przedsiębiorcami, którzy od stuleci przemieszczali się po świecie, mocno chciwi i zuchwali, narzucając innym swoje zasady i zawsze osiągając olbrzymie zyski. Zachowałam to oczywiście dla siebie.

– W każdym razie ta sytuacja – ciągnął – by użyć łagodnych słów, szkodzi nam i nas dezorientuje. Nie zamierzamy się jednak poddawać, wolimy zachować umiarkowany optymizm i myśleć, że być może nasze relacje się naprostują, choćby po części. Możliwe, że mamy w rękawie jeszcze jednego asa, który przybliży nas do tego celu.

Uniosłam nieco brwi, sugerując pytanie.

– W ramach wysiłków rządu Peróna, zmierzających do maksymalnego zredukowania naszej obecności w gospodarce jego kraju, swoją pozycję coraz bardziej umacnia postać, wokół której rodzi się wiele pytań.

Do stolika znowu podszedł kelner; ten młodszy odesłał go gestem.

– Mam na myśli panią Evę Duarte – powiedział, zniżając głos. – Madame Perón, żonę prezydenta.

Czytałam o niej. I widziałam w prasie jej niewyraźne zdjęcie. Kobieta ani ładna, ani brzydka, znacznie młodsza od swojego męża, nosząca się dość ekstrawagancko.

– Wiemy, że zaczyna odgrywać coraz większą rolę w kwestiach politycznych, co nawet w jej własnym otoczeniu niewielu się podoba, a licznym wręcz przeszkadza. Angażuje się w szereg spraw rządowych i jak się wydaje, ma ogromny wpływ na swojego męża. Cieszy się też coraz większą akceptacją w niektórych kręgach społeczeństwa, zwłaszcza wśród najniższych klas. Mimo to odnosimy wrażenie, że brakuje nam na jej temat informacji z pierwszej ręki, bardziej rzetelnych i bezpośrednich.

Umilkł na kilka chwil, jakby układał sobie najpierw to, co chce mi teraz powiedzieć.

– Chociaż dość niezręcznie się do tego przyznawać, niekiedy raporty dyplomatyczne, które otrzymujemy, budzą w nas niejake

wątpliwości. Odnosimy wrażenie, że nasi urzędnicy niezbyt dobrze poruszają się w nowych kręgach argentyńskiej władzy i w zależności od tego, z kim mają do czynienia, wysyłają sprzeczne sygnały. Poza tym, jak już wspominałem, mamy w Argentynie wspaniałych przyjaciół, rodziny, z którymi od dziesięcioleci prowadziło się dobrze prosperujące interesy. Niestety wiele z tych osób, które przedtem uważaliśmy za najbardziej wiarygodne, teraz nie jest dla nas przydatnych, ponieważ w większości należą do opozycyjnych elit, do bardzo krytycznych wobec władzy kręgów społecznych i dalekich od peronizmu, który głosi, że sprzyja klasom pracującym i zamierza skończyć z oligarchią, a przynajmniej ograniczyć jej przywileje. Dlatego też nie możemy na nich liczyć w tej tak palącej sprawie.

Rozumiałam wszystko, o czym profesorskim tonem opowiadał ten mężczyzna, znałam znaczenie wszystkich rzeczowników, przymiotników i czasowników. Nadal jednak nie miałam zielonego pojęcia, jak niby miałabym gładko wejść do tej tawerny z tangiem.

Jakby czytał w moich myślach, dodał:

– Dobrze, wystarczy już tych wstępów. Skupmy się teraz na tym, co nas interesuje.

Wreszcie. Chcąc uspokoić swoje emocje, zacisnęłam dłonie w pięści.

– Madame Perón planuje wkrótce podróż do Europy na oficjalne zaproszenie, które generał Franco wystosował początkowo do samego generała Peróna w podziękowaniu za szczodłą pomoc finansową, jaką argentyński rząd przekazuje Hiszpanii będącej w wielkiej potrzebie po własnej wojnie. Perón nie przyjął tego zaproszenia. Zbytne zbliżenie z frankistowskim reżimem po porażce jego przyjaciół z Osi to bowiem delikatna sprawa dla każdego rządu. Zamiast jednak całkowicie odrzucić propozycję, prezydent Republiki Argentyny wpadł na pomysł, by w swoim imieniu wysłać do Europy żonę.

Mężczyzna wykonał ledwie zauważalny gest brodą; ten młodszy zrozumiał go w okamgnieniu i wyjął z teczki kilka złożonych pierwszych stron gazet. Rozłożył je przede mną, abym mogła przeczytać nagłówki.

– Niektóre cele podróży są już powszechnie znane. Rozpocznie się ona w Hiszpanii, gdzie zostanie wyznaczony ogólny ton delegacji, a stamtąd pani Perón uda się do Włoch, gdzie pojawi się na audiencji u papieża. Mówi się także o ewentualnych wizytach we Francji, Portugalii i Szwajcarii. Poza tym, między nami mówiąc, jest możliwy jeszcze jeden etap podróży, o którym na razie nikt nie wspomina.

Na powrót złożyłam strony gazet, chciałam mu je oddać, ale odmówił gestem.

– Argentyńskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zapytało przedstawicieli naszej ambasady o możliwość przyjęcia pani Perón przez naszego monarchę, co byłoby eleganckim zwieńczeniem jej podróży po Starym Kontynencie, zaproponowano nawet termin mniej więcej w połowie lipca.

Nagle umilkł, znowu odwrócił głowę w swoją lewą stronę i szepnął coś krótko; ten drugi natychmiast dał znak najbliższemu kelnerowi. Poprosił o wodę. Podwieczorek skończył się już jakiś czas temu i w lobby na powrót panował spokój – gwar zapewne wróci podczas koktajli poprzedzających kolację.

– Wobec takiej ewentualności muszę przyznać, że dręczą nas spore wątpliwości z powodu stanu naszych relacji gospodarczych, ale nie tylko. Do tego trzeba dodać wcale nie mniejsze zmartwienie sytuacją polityczną, zważywszy że, choć prezydent Perón został wybrany w sposób demokratyczny, nasz obecny rząd laburzystowski uznaje go za bardzo bliskiego reżimom faszystowskim, których pokonanie w wojnie kosztowało nas tyle wysiłku. To prawdziwy paradoks, biorąc pod uwagę, że Perón wygrał wybory jako kandydat argentyńskiej Partii Pracy, głosząc swoje prorobotnicze nastawienie.

Głos zaczął go zawodzić, zdałam sobie sprawę, że męczy go mówienie przez tak długi czas. Mimo pewności siebie i nieskazitelnego wyglądu prawdopodobnie był starszy, niż się wydawało. Nie zrobił jednak przerwy.

– Przy naszych obecnych relacjach przyjęcie pani Perón, małżonki głowy państwa argentyńskiego, przez króla Jerzego Szóstego i królową z odpowiednimi honorami mogłoby być postrzegane jako nasze upokorzenie. Z drugiej strony musimy przyznać, że ta wizyta mogłaby też przelożyć się na konkretne zyski.

Ton jego głosu robił się coraz wyższy, poczerwieniał, a na jego czole zauważyłam maleńkie krople potu.

– Nawet w naszej niestabilnej sytuacji gospodarczej wciąż mamy rzeczy, które chcielibyśmy im sprzedać: samoloty bojowe, milionowe zamówienia dla marynarki wojennej, różnego rodzaju sprzęt. I oczywiście wciąż potrzebujemy od nich mięsa, żeby wyżywić nasz biedny naród. Z tych wszystkich powodów uważamy, że wizyta madame Perón, odpowiednio zorganizowana, być może pomogłaby złagodzić napięcia, zniwelować chropowatości w naszych stosunkach i naprawić więzi między oboma narodami. Krótko mówiąc, mogłaby stać się dla nas ciekawą strategicznie szansą.

Podszedł kelner ze szklanką wody na srebrnej tacy, blondyn wskazał, żeby postawił ją przed jego szefem.

– W związku z powyższym – powiedział, delikatnie biorąc do ręki szklankę – i w celu zdobycia konkretnych informacji, które pomogą nam podjąć najważniejszą decyzję, zanim prześlemy nasz raport parlamentowi, pilnie potrzebujemy kogoś, kto będzie bezpośrednim świadkiem podróży, kogoś, kto będzie na miejscu podczas całej wizyty pani Perón w Hiszpanii. Oczu, które będą ją obserwować, uszu, które będą jej słuchać, i mózgu, który przyswoi i zatrzyma informacje, oceni je, przefiltruje, a następnie nam przekaże.

Upił łyk wody. Na myśl o tym, co miało niebawem nastąpić, ogarnęła mnie nagle ogromna chęć, żeby wyrwać mu szklankę i wypić całą zawartość.

– Dodatkowo chcielibyśmy wysondować jej otoczenie. Będzie jej towarzyszyć wiele osób, które pełnią rozmaite funkcje. W razie przyjęcia naszej propozycji przekazalibyśmy pani w odpowiednim czasie niezbędne dane na ich temat. Przewidujemy, że w takim czy innym stopniu większość może się okazać cenna dla zdobycia różnych informacji odnośnie do tego, jaka jest madame Perón, jak się zachowuje, jak mówi, jak reaguje, jakie ma opinie, jeśli w ogóle je wyraża, a nade wszystko, co myśli na temat Wielkiej Brytanii, jeśli w ogóle ma jakieś zdanie, i swojej ewentualnej wizyty u nas.

Odchrząknął i znowu się napił. Kiedy to robił, gestem przekazał swojemu podwładnemu, żeby kontynuował.

– Byłaby to misja powiązana z Foreign Office i naturalnie otrzymałaby pani odpowiednie honorarium oraz przykrywkę dyplomatyczną, w razie gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót.

– Czy mogliby panowie mówić jaśniej, bardzo proszę?

– Wizyta madame Perón w Hiszpanii będzie relacjonowana przez liczne media zarówno krajowe, jak i zagraniczne – wyjaśnił przełożony, przepłukawszy gardło. – I tu byłoby miejsce dla pani.

Pochylił się, odrywając tułów od oparcia fotela. Jego oczy znalazły się na tej samej wysokości co moje oczy, jego nos na tej samej wysokości co mój nos. Popatrzył na mnie bystro przez szkła swoich okularów.

– Zamierzamy wprowadzić panią do grona międzynarodowych korespondentów. Jako rzekomą reporterkę BBC.



**K**iedy kilka lat temu Rosalinda Fox zaprosiła mnie do Dean's Bar w Fangerze, żeby zaproponować mi współpracę z brytyjskim wywiadem, pomyślałam, że to istne szaleństwo, absolutny nonsens. W ciemnym składziku, między workami kawy i skrzynkami butelek, powiedziała mi o możliwości włączenia mnie do sieci tajnych informatorów, którzy zdobywają dane na temat nazistowskiej kolonii osiadłej w Madrycie; w tym celu musiałabym zmienić miasto i kraj, sfalszować swoją przeszłość, zmienić nazwisko. Początkowo stanowczo odmówiłam, sądziłam, że to przekracza moje możliwości, niewiele mogłabym wnieść do tego równie ryzykownego, co wielkiego przedsięwzięcia. Jednak sama Rosalinda i moja matka, każda za pomocą własnych argumentów, zmusiły mnie, bym spojrzała na tę sprawę pod różnymi kątami. Przedstawiły mi swoje racje, mówiły o lojalności, zaangażowaniu i poczuciu obowiązku. Ostatecznie zdołały mnie przekonać i podjęłam się tej pracy, żeby dołożyć swoje ziarenko piasku.

W odróżnieniu od tamtych dni w tym obcym Londynie, gdzie rzuciły mnie nieszczęsne wiatry losu, nie miałam nikogo, kto budziłby moje zaufanie. Nikt nie mógł teraz wysłuchać moich wątpliwości i zastrzeżeń ani rzucić światła między cienie, które unosiły się w mojej głowie po spotkaniu z pracownikami wywiadu w lobby hotelu The Dorchester. Ani Rosalinda, ani moja matka. Ani Marcus, ani Fran Nash, ani Nick Soutter. Nikogo nie mogłam zawołać, by poprosić o pomoc w środku burzy.

Miałam jednak świadomość, że ten brak bliskich osób nie powinien mnie paraliżować. Wprost przeciwnie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem, kiedy jestem sama i mam pod opieką syna, nadszedł czas, żeby z potrzeby uczynić zaletę: wyciągnąć tę niewielką odwagę, jaka jeszcze we mnie została, i zamienić ją w coś

pożytecznego, obudzić wolę walki i znowu zrobić krok do przodu. Uwolnienie się od Olivii było dla mnie ulgą, w miarę jednak jak zbliżał się dzień mojego wyjazdu, uświadamiałam sobie, że ucieczka od niej, żeby schronić się pod skrzydłami mojej matki, też nie była najkorzystniejszą perspektywą. Dlatego rozważywszy na spokojnie tę zaskakującą propozycję, w końcu postanowiłam się zgodzić.

Tak, przystałam na to, żeby przeniknąć między tych dziennikarzy, którzy przez trzy tygodnie będą jeździć po Hiszpanii, ścigając cień dawnej aktorki występującej w słuchowiskach radiowych. Aktorki, która została pierwszą damą jedyne go kraju na świecie wyciągającego pomocną dłoń do mojej biednej wygłodniałej ojczyzny. Tak, zgodziłam się na to, żeby ponownie podawać się za kogoś, kim nie jestem, kolejny raz zasłaniając się bezczelnymi kłamstwami i fałszywymi tożsamościami. Jaką korzyść przyniesie to mnie samej oprócz tego, co zdobędę dla gorliwych Anglików? Pomijając wynagrodzenie finansowe – jeszcze tego nie wiedziałam. Jasne było dla mnie tylko to, że dzięki temu zadaniu stanę na nogi i poczuję, że mogę się podjąć czegoś pożytecznego. Że wciąż jestem potrzebna i nadal się liczę.

Dwa dni później wreszcie zarejestrowaliśmy nagrania na temat Palestyny. W czasie prób i przygotowań z największą uwagą chłonęłam wszystko, co mnie otaczało: realizatorzy dźwięku, sprzęt, metody i sposoby pracy, gesty, zachowania i czynności. Aż usiadłam przed mikrofonem, urządzeniem z literami BBC z polerowanej stali. Wszystkim obecnym wyraźnie ulżyło, kiedy moje słowa zabrzmiały wyraźnie i spokojnie, bez śladu nerwowości, bez cienia niepewności czy zawahania. I tak został zarejestrowany mój głos, na przemian z głosem Ángela Ary, na rowkach trzech płyt. Retransmisja na falach krótkich miała później przepłynąć Atlantyk i dotrzeć do słuchaczy w kilkunastu krajach. Dostali świadectwo tego, co działo się w Palestynie, opowiedziane przez kogoś, kto cierpiał i kochał, płakał i urodził dziecko w tej chaotycznej Ziemi Świętej u progu jej najkrwawszych dni.

Nagrania kontynuowaliśmy już bez jakichkolwiek przeszkód formalnych; wszystko przebiegało niezwykle gładko. Kilka razy kusił mnie, żeby zapytać o Corę Soutter, ale przełknęłam ciekawość

i nigdy się nie dowiedziałam, czy ta stanowcza decyzja, by mnie odrzucić, wiązała się dla niej z jakimiś nieprzyjemnymi konsekwencjami ze strony jakiegoś wydziału. O jej wyznaniu na temat uczuć Nicka wolałam nie rozmyślać ani go nie roztrząsać. Za bardzo mnie to niepokoiło, sprawiło, że kwestionowałam relację, która teraz nie miała już znaczenia. Dlatego wolałam po prostu zostawić to wyznanie zamknięte w jakimś kącie, nie wiedziałam tylko, czy w moim sercu, czy w głowie.

Kiedy skończyliśmy nagrania dla Serwisu Latinoamerykańskiego BBC i w miarę jak wiosna rozpościerała się nad Londynem, rozpoczęłam przygotowania do moich następnych zadań. Na The Boltons, bez żadnego nazwiska nadawcy, codziennie rano przychodziła koperta z grubego papieru z argentyńskimi gazetami o największym nakładzie, wszystkie oczywiście z opóźnieniem i wszystkie zupełnie inaczej traktujące wiadomą osobę. Od razu zwróciłam uwagę, że takie dzienniki jak „La Prensa”, „La Nación” i – o ile docierał – „La Vanguardia” były wyraźnie krytyczne, ten ostatni zamieszczał na łamach nawet satyryczne rysunki i bezlitosne karykatury. Inne natomiast, jak „Democracia”, wychwalały pod niebiosa peronistowski rząd i kobietę, której wizytę w Hiszpanii miałam relacjonować. Mimo że gazety prasowano, zanim do mnie trafiały, i tak widziałam, że strony były pomięte, czasami nawet niektóre kartki rozerwane albo jakiś artykuł wycięty nożyczkami. Bywało, że natrafiałam na kleksy albo tłuste plamy, a nawet odcisnięte kółka, które wskazywały na to, że ktoś nieopatrznie postawił tam filiżankę kawy albo kieliszek wina. Wszystko wskazywało na to, że była to prasa już przeczytana i przeznaczona do wyrzucenia, egzemplarze, które z argentyńskiej ambasady ktoś zabierał, zanim wylądowałyby w koszu na śmieci, kuchennym piecu albo – w obliczu deficytu środków higienicznych – może w jakimś bardziej ustronnym miejscu.

Z myślą o ułatwieniu mi przygotowań oddano do mojej dyspozycji samochód z szoferem. W kolejnych dniach miałam głównie opanować sztukę radzenia sobie wśród dziennikarzy, by później być jako tako wiarygodną. Nie chodziło o nauczenie się zawodu, mieliśmy bowiem świadomość, że z dnia na dzień nie stanę się

rutynowaną zagraniczną korespondentką. Było jednak mnóstwo małych elementów, które mogłam sobie przyswoić – kwestie poboczne w pracy dziennikarza, rzeczy natury ogólnej czy pomocniczej, które miały mi pomóc poruszać się w tym środowisku bez wzbudzania podejrzeń.

Jednym z pierwszych zadań był przyspieszony kurs maszynopisania w ciemnych biurach przy Whitehall. Za moją naukę odpowiedzialna była dojrzała sekretarka z włosami upiętymi w ścisły kok, chuda i szorstka, cały czas przyklejona do moich pleców. Kiedy tak mierzyłam się z tajemnicami szybkości wózka i naciskania klawiszy, wróciły smutne wspomnienia z dawnych czasów. W sklepie, w którym sprzedawano maszyny do pisania, poznałam tego łajdaka Ramira Arribasa, kiedy mój ówczesny narzeczony, poczciwy Ignacio, uznał, że powinnam zostać urzędniczką. I to właśnie z Argentyny – cóż za zrządzenie losu – miała wtedy przyjść licencja na otwarcie sieci nowoczesnych ośrodków Akademii Pitmana. Mieliśmy z Ramirem zainwestować w nie pieniądze, które otrzymałam od ojca, kiedy po latach postanowił mnie wreszcie poznać. Sroga Miss Crossman, stosująca surowe metody wiktoriańskiej guwernantki, przerwała moje wspomnienia, żądając całkowitego skupienia na pracy; w ten sposób na szczęście udało mi się trzymać nostalgię na dystans.

Żeby nie wyszła na kompletną ignorantkę wśród fotografów, zostałam przeszkolona w studiu w Fitzrovii w zakresie obsługi i podstawowej terminologii dotyczącej różnych aparatów, rodzajów rolek i obiektywów; pokazano mi, jak używać migawki, wyzwalacza, spustu, jak zmienić film. W innym studiu w Broadcasting House nauczono mnie obsługiwać magnetofon szpulowy, na wypadek gdyby okazało się to potrzebne. Raz za razem manewrowałam kontrolkami, sprawdzałam głowice, wkładałam i zdejmowałam szpule taśmy magnetycznej, aż udało mi się powtórzyć wszystko automatycznie.

Musiałam się również zapoznać z nazwiskami i obowiązkami niektórych członków zaufanej świty, która będzie towarzyszyć żonie argentyńskiego prezydenta: jej prawa ręka, jej brat i sekretarz generalny, armator, który miał pokryć koszty podróży poza

granicami Hiszpanii, adiutanci, ksiądz, krawcowe, fryzjer i informator. Nie mieli jeszcze pełnej listy, musiałam więc zachować czujność i zlokalizować kolejne osoby, jeśli jakieś przybędą.

Miałam także spotkania informacyjne dotyczące najważniejszych gazet, czasopism i agencji prasowych z całego świata – Reuters, France-Presse, Continental, Associated Press, United Press, zapamiętałam nawet rzeczy związane z agencją EFE. Musiałam poznać w ogólnym zarysie większość z nich, ponieważ brakowało jeszcze danych, które konkretnie media będą relacjonować wizytę pierwszej damy. Przewidywano jednak, że będzie ich wiele, zarówno bowiem wyjątkowo samowystarczalna Hiszpania, jak i postać, która ją odwiedzi, wywoływały ogromne zainteresowanie międzynarodowej prasy.

Zorganizowano mi również spotkania z osobami, które uznano za ważne. W Press Club, niedaleko Fleet Street, zobaczyłam się z korespondentem „Evening Standard”, który rok wcześniej relacjonował wybory prezydenckie z Buenos Aires. W Argentine Club przy Hamilton Place, klubie dżentelmenów w pełnym znaczeniu tego słowa, pozwolono mi wejść do małej prywatnej jadalni, gdzie zjadłam obiad z głównym udziałowcem jednej z anglo-argentyńskich kompanii kolejowych, szacownym staruszkiem o znaczącym nazwisku, który kończył posiłek mocno wstawiony, roniąc łzy nostalgii za swoim utraconym przedsiębiorstwem i próbując mnie pocałować przy dźwiękach Cuartito *azul*. Podczas pewnej grupowej kolacji posadzono mnie obok urzędnika z konsulatu generalnego, straszego nudziarza, od którego nie zdołałam wyciągnąć nic prócz opisów pięknych lasów w okolicach Bariloche. I tak, z większym lub mniejszym pożytkiem, brałam udział w wielu spotkaniach, podczas których nikt nie wymówił nigdy mojego prawdziwego nazwiska ani nie podaliśmy ani jednej informacji o mnie samej, mojej przeszłości, przyszłości czy moich intencjach. Niczym nieuchwytna postać, przy wszystkich tych osobach słuchałam z największą uwagą, okazjonalnie rzucałam jakieś pytanie, robiłam w pamięci liczne notatki i wychodziłam, nie robiąc hałasu ani nie zostawiając po sobie śladu.

Pomiędzy tymi niekończącymi się spotkaniami w czasie moich ostatnich dni w Londynie znalazłam chwilę, żeby pożegnać się z Dominikiem Hodsonem. Nie zdążyliśmy się zaprzyjaźnić; był uważny, obowiązkowy i wielkoduszny, lecz nieprzenikniony. Zaprosił mnie na pożegnalny obiad, ale wykręciłam się paroma kłamstwami. Wychodząc z kontrpropozycją, i korzystając z okazji, że znowu miałam spotkanie w The Dorchester, zasugerowałam kolejny spacer, tym razem w Hyde Parku, a nie przy The Boltons. Po półgodzinnej przechadzce między drzewami już w pełnym rozkwicie wyciągnął rękę, żeby się pożegnać. Szczerze wdzięczna za jego wysiłki związane z ostatnią wolą Marcusa, troskę o mnie i mojego syna, nie mogłam się powstrzymać i go uścisnęłam. Niemal się zarumienił i trochę się jąkał.

– Mój przyjaciel Mark miał szczęście, że panią poznał – wymamrotał, nie patrząc na mnie. W końcu podniósł oczy, okrągłe, wyblakłe i pozbawione rzęs, jak u ryby. – Wie pani, ja też bardzo go kochałem.

Nie dodając nic więcej, dotknął róna kapelusza, odwrócił się i ruszył w kierunku Marble Arch. Bardzo go kochałem, przyznał, używając tego zwięzłego czasownika, *to love*, tak nieuchwytnego. Zmieszana i wzruszona obserwowałam, jak odchodzi szerokim chodnikiem, jak tył jego prochowca ginie w oddali. Dominic bardzo kochał Marcusa, wciąż był kawalerem, w towarzystwie kobiet zachowywał się nieporadnie, a damski dotyk był dla niego krępujący. Bardzo go kochał, ale Marcus odsunął się od niego na wiele lat i nigdy mi o nim nie opowiadał. Być może dlatego.

Tuż przed wyjazdem wreszcie znalazłam trochę czasu na to wszystko, co wymykało się wytycznym tajnych służb. Na przykład pójście do fryzjera. Zakup ubrań dla mojego syna, który ważył już dziesięć kilogramów, i z myślą o umiarkowanie ciepłych dniach czekających nas w Madrycie na początku czerwca.

– Pani syn? Przepraszam?

W ten sposób zareagował Kavannagh, marszcząc swoje dystyngowane brwi. Sir Nigel Kavannagh, tak się nazywał ten mężczyzna w okularach w złotych oprawkach i ze srebrzystymi

włosami, który zaproponował mi ponowną współpracę ze swoimi ludźmi. Moja postawa była stanowcza.

– Albo jadę z dzieckiem i jego opiekunką, albo nigdzie się nie ruszam.

Phillippa zgodziła się nam towarzyszyć, zresztą na pobyt obojga w Madrycie miałam już wszystko zorganizowane. Zapewniłam też Kavannagh, że ich obecność nie będzie mieć najmniejszego wpływu na moją pracę. Trzymałabym ich na uboczu, podczas gdy przed światem odgrywałabym rolę wysłanniczki BBC, pół Hiszpanki, pół Angielki, w stu procentach skoncentrowana na swoich obowiązkach, niezależna i kompetentna. Chociaż wcale mu się to nie podobało, elegancki funkcjonariusz nie miał innego wyjścia, jak zaakceptować mój warunek.

Niewłaściwe byłoby stwierdzenie, że odnowiłam moją garderobę, ponieważ tak naprawdę prawie nie miałam ubrań, które mogłabym wymienić na nowe. W walizce, z którą przyjechałam z Jerozolimy, znajdowała się tylko zimowa odzież. Żeby się zaopatrzyć, wróciłam do butiku Digby'ego Mortona w Kensington. Miałam wielkie szczęście, że akurat był tam projektant we własnej osobie, więc razem wybraliśmy stroje. Łyknął kłamstwo, że jestem żoną portugalskiego dyplomaty, słowem nie pisnęłam o mojej krawieckiej przeszłości. Dzięki naszym połączonym opiniom skompletowałam wspaniałą garderobę, za którą zapłaciłam nieprzyzwoitą sumę. Wyznałam ten grzech tylko przed własnym sumieniem i natychmiast dałam sobie rozgrzeszenie, wszak za misję w Hiszpanii miałam dostać hojne wynagrodzenie i czekałam na niespodziewane środki z majątku Marcusa. Projektant odprowadził mnie do samochodu.

– Ma pani wyśmienity gust, *my dear* – powiedział. – Proszę wracać, kiedy pani zechce, zawsze będzie tu pani mile widziana.

Szofer uruchomił już silnik, kiedy rzuciłam mu ostatnie pytanie.

– Najlepszy sklep z artykułami papierniczymi?

– Bez wątpienia Smythson przy Bond Street.

Tam się właśnie udałam, żeby zaopatrzyć się w notesy oprawione w skórę, papier do korespondencji i koperty, bloczki i aktówkę, która wyglądała profesjonalnie, a jednocześnie bardzo elegancko. W pamięci zachowałam wizerunki kilku kobiet dziennikarek, które

przez Fran Nash poznałam w Jerozolimie w ciągu tych miesięcy już bez Marcusa. Były to kobiety pracowite, charyzmatyczne i sumienne, jak Clare Hollingworth z „The Observera”, Ruth Gruber z „The New York Post” oraz wiele innych. Od wszystkich ukradłam gesty i styl bycia, ekspresję i sposoby patrzenia na świat.

Bezceremonialnie ignorując zasadę narzuconą przez Kavannagh, żeby przed wyjazdem unikać wszelkiego kontaktu z Hiszpanami albo Latynosami, ostatniego wieczoru zjadłam kolację z Ángelem Arą i George’em Camacho w restauracji Martínez; chciałam ich zaprosić w geście wdzięczności za to, że we mnie uwierzyli i mnie bronili. Nie znali dokładnego charakteru moich nowych obowiązków, a ja sprzedawałam im bajkę łączącą zainteresowanie Kavannagh z przeszłością mojego męża. Wątpię, by mi uwierzyli, ale kolacja przebiegała bardzo przyjemnie w tej restauracji ozdobionej płytkami talavera, lampionami z kutego żelaza i głową byka rasy miura wiszącą na jednej ze ścian, mimo że lokal znajdował się rzut beretem od Piccadilly Circus.

Już w drzwiach, podczas gdy Camacho zatrzymywał taksówkę, przekazałam Arze kopertę z grubym plikiem funtów szterlingów i wyszeptałam mu na ucho:

– Proszę dostarczyć to dzieciom, które wywieziono z Hiszpanii pośród bomb, tym, o które po wojnie nikt się nie upomniał.

W Londynie spędziliśmy cztery miesiące: przybyliśmy tu, kiedy miasto pokrywały śnieg i lód najsrozszej od dziesięcioleci zimy, a wyjeżdżaliśmy, gdy rozkwitła w nim wiosna, czyniąc jego surowość bardziej znośną. Olivia wyszła, żeby nas pożegnać; mimo typowej dla siebie rezerwy mocno przytuliła Víctora do piersi. Z powodu moich nieustannych wyjść w ostatnich tygodniach nie miałyśmy okazji, żeby spędzić ze sobą więcej czasu, a kiedy już się spotykałyśmy, to obie zachowywałyśmy się spokojnie, z dyplomatyczną uprzejmością, lecz cały czas trzymając dystans. Co będzie z domem, to się miało jeszcze okazać; Dominic i ona powinni o tym zdecydować, ja miałam teraz inne rzeczy na głowie.

Weszliśmy na lotnisko z naszym ogromnym bagażem na wózku pchanym przez dwóch tragarzy. Tam spotkaliśmy się z Deanem Hainesem, jasnowłosym podwładnym Kavannagh, którego poznałam



w The Dorchester i z którym potem spotykałam się jeszcze wiele razy. Niezwykle dyskretnie wręczył mi kopertę. W środku znajdowały się trzy nowiutkie paszporty z odpowiednimi fałszywymi nazwiskami, legitymacja prasowa i jej duplikat. W innej, mniejszej kopercie były banknoty po pięć, dziesięć, sto i tysiąc peset.

Na dnie znalazłam małe pudełeczko z wizytówkami. Na wszystkich figurowały adres Broadcasting House oraz numer telefonu, który oczywiście nie łączył z radiem, tylko z nimi, bo w razie gdyby ktoś chciał zadać jakieś pytania, oni jako pierwsi mieli się o tym dowiedzieć. Dokładnie na środku każdej kartonowej wizytówki, wydrukowane eleganckimi wielkimi literami, znajdowało się moje nowe nazwisko, które sama wybrałam.

LIVIA NASH  
BBC  
REPORTER

Teściowej ukradłam pięć liter, a mojej przyjaciółce nazwisko. Z całym prawdopodobieństwem żadna z nich miała się o tym nigdy nie dowiedzieć.

# CZEŚĆ TRZECIA

HISZPANIA

**N**ie zmrużyłam oka prawie do samego rana. Wszystkie sprawy kołatały się po mojej głowie, upominając się o zajęcie nimi w pierwszej kolejności. Czy zdołam wykonać moje zadanie? Czy napotkam jakąś przeszkodę, która mnie zdemaskuje? Czy Víctorowi będzie dobrze w domu jego dziadka, z dala ode mnie?

Leżałam sama w obcym łóżku, sen uparł się, by mnie unikać, więc patrzyłam, jak obraca się wskazówka minutowa mojego podróżnego budzika, wskazując pierwszą w nocy, drugą, trzecią, prawie czwartą. W pewnym momencie usłyszałam głosy dobiegające z niższego piętra, kroki na schodach, dźwięk otwieranych pobliskich drzwi i przekręcanie klucza w zamku. A później tylko cisza.

Do Madrytu przylecieliśmy tego samego popołudnia, z jednodniowym wyprzedzeniem względem pierwotnego planu. Kiedy opuściliśmy samolot i weszliśmy do terminalu, Phillippa trzymała się z tyłu z dzieckiem, podczas gdy ja szłam pewnym krokiem radiowej reporterki, w którą właśnie miałam się przeobrazić.

Powiadomiono mnie, że będzie na nas czekał szofer; znalazłam go natychmiast, udawałam jednak, że go nie dostrzegam, żeby dokładnie omieść wzrokiem całą poczekalnię i poszukać kogoś innego. Poczułam ulgę, gdy go zobaczyłam, czekającego cierpliwie z boku; musiałam bardzo się starać, żeby do niego nie pobiec i nie uściskać. Stał tam mój ojciec, Gonzalo Alvarado, trochę starszy, trochę chudszy w swoim trzyrzędowym garniturze. On oczywiście także mnie zobaczył. Ale zgodnie z tym, co ustaliliśmy podczas naszej rozmowy telefonicznej, ignorowaliśmy się nawzajem. Obok niego, ubrana skromnie, stała Miguela, pochodząca z Estremadury dojrzała gospoia, która zastąpiła Servandę. Oboje przyjechali, żeby zabrać Phillippę i mojego syna do swojego mieszkania przy ulicy

Hermosilli, gdzie mieli się zatrzymać, podczas gdy ja będę odgrywać rolę reporterki.

Wjechałam do Madrytu, nie zamieniając z szoferem ani słowa, ukryta w samotności tylnego siedzenia. Zaczęły mnie prześladować dziesiątki obrazów z niedawnej przeszłości, z Marcusem w centrum każdego z nich, w miarę jak ponownie oglądałam miejsca, szyldy i fasady. Od czasu do czasu łzy cisnęły mi się do oczu, na szczęście miałam na nosie duże okulary przeciwsłoneczne, żeby chronić się zarówno przed czerwcowym światłem, jak i strumieniami niechcianej melancholii. Dwa lata temu wyjeżdżaliśmy z tego miasta z Marcusem, szczęśliwi po zwycięstwie w wielkiej wojnie, dumni z wypełnienia swoich zadań i podeksycytowani, że nadszedł czas, kiedy wreszcie mogliśmy otwarcie pokazywać się razem bez wybiegów czy kłamstw. Teraz, gdy jego rozerwane na strzępy szczątki spoczywały pod marmurową płytą u podnóża palestyńskiej góry, wracałam tu z synem, który miał jego oczy i karnację. Starając się nie popaść w przygnębienie, zajęłam się obserwowaniem ulic oraz ludzi szukających zmian, szans, jakiegoś śladu nadziei w tym biednym, tak wycieńczonym kraju.

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to zniknięcie Niemców i ich hałaśliwych demonstracji, jak gdyby zapadli się pod ziemię. W miarę jak jechaliśmy aleją Castellana (teraz była to aleja Generalísimo), nie widziałam już czerwono-biało-czarnych flag ze swastyką, które wcześniej powiewały na każdym rogu.

Do budynku, w którym mieściła się niemiecka ambasada, bardzo blisko plaza de Colón, nie wchodzili już urzędnicy ani przedstawiciele dyplomatyczni. W środku Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec dyskretnie przeprowadzała teraz denazyfikację w celu zniszczenia wszelkich pozostałości po nazistach. Przeprowadzali skrupulatny proces identyfikowania i wywłaszczania dziesiątek budynków urzędowych, wyceniania wszelkiego typu instytucji i organizacji, blokowania setek firm i zamrażania kapitałów i aktywów, łącznie ze słynnym nazistowskim złotem pochodzącym z grabieży w różnych miejscach w Europie.

Zza okien samochodu pośród rezydencji, willi i pałacyków wyraźnie widziałam upadek Trzeciej Rzeszy. Z tyłu niczym pusta

skorupa stał Niemiecki Bank Transatlantycki. Trochę dalej, pod numerem osiemnastym, siedziba Gestapo wydawała się zamknięta na cztery spusty, z grubymi łańcuchami oplatającymi kołatki na drzwiach. Po drugiej stronie ulicy eleganckie niegdyś biura Sofindus miały zamknięte okiennice, a Deutsche Schule, na rogu ulicy Zurbarána, chroniła swoje kraty przy wejściu solidną kłódką. Przed imponującym budynkiem, w którym wcześniej mieścił się Niemiecki Instytut Kultury, stojący skośnie do alei Cisne (teraz przemianowanej na cześć Eduarda Dato), dało się dostrzec zarośnięty i zachwaszczony przedni ogród. Przy rondzie imienia Castelara rdza zaczęła już zatapiać zęby w żelaznej bramie przed Biurem Niemieckiej Prasy.

Chociaż nie zdołałam ich zobaczyć na mojej trasie, domyślałam się, że podobnie niszczyć także pozostałe budynki, zawsze takie eleganckie i reprezentatywne, w których toczyło się codzienne życie nazistów w Hiszpanii; w niektórych z nich goszczono mnie na przyjęciach i bankietach. Rezydencja ambasadora przy ulicy Hermanos Bécquer czy tętniący życiem klub towarzyski tuż przy kościele Świętego Fermina z Nawarry. Siedziba partii nazistowskiej dokładnie naprzeciwko, przy skrzyżowaniu z ulicą Zurbana. Biuro Informacji Turystycznej przy Alcalá. Niemiecka Izba Gospodarcza przy ulicy Claudia Coella. Agencja informacyjna Transocean pod numerem sto ileś przy ulicy Serrana. Wszystkie te nieruchomości i wiele innych rozrzuconych po całej Hiszpanii były już kontrolowane przez aliantów – co do pozostałych trwały negocjacje z rządem Franco, bo strony bawiły się w nerwowe przeciąganie liny, żeby się przekonać, kto dostanie najlepszy kawałek.

Samochód jechał w stronę Klubu Prasowego, nieznanego mi miejsca, w którym wyznaczono mi zakwaterowanie. Przejechaliśmy też obok rezydencji sir Samuela Hoare'a, dawnego brytyjskiego ambasadora; zastanawiałam się, z którego z otwartych na oścież okien mógł widzieć orszak pogrzebowy z trumną swojego odpowiednika Hansa Adolfa von Moltkego, który zmarł w Madrycie po trzech miesiącach od objęcia stanowiska szefa niemieckiej dyplomacji. Ze środka swojego domu, lecz na widoku, ubrany w obowiązkowy smoking, sir Sam zapewne zdjął kapelusz podczas

przejazdu konduktu z trumną i uroczyście pochylił głowę na znak żałoby – wzorowa dyplomatyczna etykieta wobec wroga, nawet w środku wojny.

Kawałek dalej, już nieopodal Altos del Hipódromo, samochód skręcił w prawo, wjechał w wąską ulicę Pinara i zatrzymał się przed numerem pięć, przy drzwiach budynku przypominającego coś pomiędzy dużym domem a pałacym. Szofer oznajmił:

– Dojechaliśmy, proszę pani.

Wysiadłam i coś mnie ścisnęło w środku, kiedy patrzyłam na wejście. Znałam to miejsce, byłam tu przynajmniej dwa razy. I nie, w tamtym czasie nie mieściła się tu siedziba niczego, co przypominałoby klub prasowy. Ani trochę.

Gdy tylko weszłam, moją uwagę zwróciło to, że wciąż pachniało świeżą farbą. W salonie w prawym skrzydle, gdzie moja dawna klientka Helga Henke wystawiała swego czasu swoje przeciętne obrazy z kwiatowymi motywami, teraz stało duże radio, a wokół niego wiele foteli. Na klatce schodowej, gdzie przedtem w serdecznej harmonii wisiały portrety Hitlera i Franco, teraz znajdował się duży obraz olejny przedstawiający scenę polowania. Przywitała mnie dojrzała kobieta ubrana z surową skromnością – przypominała kogoś między guwernantką a gosposią. Powitała mnie, przedstawiając się nazwiskiem Cortés, i zaczęła pokazywać wspólne części: bibliotekę i czytelnię, kabiny telefoniczne, jadalnię z oknami wychodzącymi na tylny ogród oraz sąsiednie pomieszczenie z małym barem i asortymentem alkoholi.

Wszystko urządzone zupełnie inaczej, ale pomieszczenia były dokładnie te same co wtedy, kiedy Serrano Suñer, w swoim szaleńczym proniemieckim zapale tuż po wojnie domowej, postanowił wynająć ten budynek baronowi de Sacro Lirio, by powstało tu wspaniałe Stowarzyszenie Hiszpańsko-Niemieckie. Zamówiono wtedy meble i sprzęty, urządzone bogatą bibliotekę z książkami po niemiecku i o Niemczech, powiększono część kuchenną, instalując nowoczesne urządzenia gospodarstwa domowego podarowane przez niemieckie firmy; któreś przedsiębiorstwo przekazało nawet kompletną zastawę stołową ze swastyką oraz jarmem i strzałami obok siebie. W czasie wojny

światowej organizowano tu przepełnione patriotyzmem konferencje i koncerty, wystawy i dyskusje ku najwyższej chwale Trzeciej Rzeszy i jej harmonijnych stosunków z Hiszpanią.

Teraz, dwa lata po klęsce nazistów, po wszystkich tych mówcach, artystach oraz gościach nie został już żaden ślad. Po przemalowaniu pomieszczeń, a także pozbyciu się tego wszystkiego, co zalaływało nazizmem, w przededniu pierwszej oficjalnej wizyty zagranicznej osobistości w Hiszpanii ery Franco, naprędce zamieniono tę instytucję kulturalną w wyrafinowany klub gotowy na przyjęcie zagranicznych dziennikarzy. Przypomniało mi się Press Centre, które Brytyjczycy z Mandatu Palestyny urządzili w Jerozolimie dla wygody międzynarodowych reporterów; bar, w którym wypiałam pierwszy aperitif z Fran Nash, kiedy się dowiedziałam, że ona i Nick Soutter są przyjaciółmi. Wyglądało na to, że wysiłki czynione w celu zadowolenia przedstawicieli prasy przekraczały granice państw.

Poważna pani Cortés skończyła pokazywać mi pomieszczenia na parterze, a ja nie zauważyłam jeszcze ani śladu jakiegoś innego rezydenta. Wtedy wyciągnęła rękę w stronę schodów.

– Pozwoli pani, że zaprowadzę ją do sypialni. Tutaj kwaterujemy tylko panie dziennikarki. Panowie zostali rozmieszczeni w hotelach, chociaż tu będzie miejsce spotkań dla wszystkich.

Ktoś zajął się wniesieniem mojego bagażu; kiedy weszłam do pokoju, stał już pod ścianą w głębi. Umeblowanie było współczesne, niemalże nowoczesne. Biurko z krzesłem, tapicerowany fotel przy oknie, wbudowana szafa, mała łazienka, dość szerokie pojedyncze łóżko z krzyżem wiszącym nad wezłowiem. Na szafce nocnej znalazłam bukiet białych kwiatów i liścik. Diego Tovar, dyrektor Biura Informacji Dyplomatycznej, serdecznie witał w Hiszpanii Livię Nash, reporterkę BBC. Obok leżał program na następny dzień. Zwoływano nas na dziesiątą rano w sali konferencyjnej w celu przekazania nam odpowiednich informacji dotyczących pierwszego dnia pobytu madame Perón.

Za plecami usłyszałam głos kobiety.

– Kolacja będzie podawana od wpół do dziewiątej.

Nie mówiąc nic więcej, dyskretnie zamknęła drzwi i zostawiła mnie samą w moim pokoju. Spojrzałam na zegarek, było dwadzieścia

po siódmej. Wahałam się kilka chwil, dusza prosiła mnie, bym pobiegła na dół, zamknęła się w kabinie telefonicznej i zadzwoniła do ojca. Chciałam się dowiedzieć, jak się miewa mój syn, jak reaguje pod moją nieobecność. Ale się powstrzymałam: nie, nie będę nigdzie dzwonić z Klubu Prasowego. Żeby przestać się martwić, zaczęłam rozpakowywać bagaż.

Kiedy pięć kwadransów później zeszłam do jadalni, zajęte były tylko dwa stoliki. Przy jednym z nich siedziała tęga starsza kobieta, miała krótkie włosy i nosiła okulary o grubych szklach zawieszane na szyi na srebrnym łańcuszku. W jednej ręce trzymała czasopismo, a w drugiej widelec; ledwie uniosła głowę, gdy rzuciłam w przestrzeń słowa powitania. Bez wątpienia nie miała najmniejszej ochoty mnie poznać, a tym bardziej zaprosić do swojego stolika. Przy drugim z kolei, plecami do wejścia i patrząc na ogród, siedziała druga kobieta, której twarzy nie zdołałam zobaczyć. Wyglądała na szczupłą, domyśliłam się, że jest młoda, wnosząc po naturalnym tonie jej kasztanowych włosów, niezbyt dobrze ułożonych. Ona również zignorowała moje powitanie, jak gdyby mnie nie usłyszała. Zważywszy na powszechną obojętność, postanowiłam zająć miejsce w rogu.

Obsługiwał mnie milczący kelner w białej koszuli zapiętej pod szyję. Kończyłam właśnie przystawki, kiedy młoda kobieta wstała i powiedziała dobranoc amerykańskim angielskim, nawet na nas nie patrząc.

– *Good night, sweet pie* – odpowiedziała ta w okularach na łańcuszku w tym samym języku, z takim samym akcentem i nie odrywając wzroku od lektury. Akurat przyniesiono mi smażonego morszczuka z majonezem, kiedy ona też się pożegnała, tak samo zwięźle.

W porównaniu z oszczędnymi posiłkami w domu mojej teściowej te dania powinny mi smakować wybornie. Tymczasem zostawiłam je w połowie. Nigdy nie przypuszczałam, że będę tęsknić za The Boltons, Londynem, nawet za Olivią. A jednak brakowało mi jej bliskości, zaufania i siły, jaką emanowali ona i jej rodacy; cały kraj wspólnie walczył o odbudowę – oszczędni, odważni i zaskakująco spokojni Anglicy, niczym jeden organizm, stawiali czoło



trudnościom, wszyscy razem podejmowali wysiłek i byli zdolni do największych poświęceń. Hiszpania natomiast, moja biedna ojczyzna, przystępowała do odbudowy przedzielona złowrogą szczeliną.

Odmówiwszy *natillas* na deser, wyszłam do ogrodu i usiadłam w jednym z białych foteli z kutego żelaza. Z dala od centrum Madrytu i jego gwaru tutaj słyszało się jedynie świerszcze i cykady. Nie było jeszcze całkiem ciemno, pachniał jaśmin, panowała przyjemna temperatura: wszystko, co składa się na idealny wieczór. Ja tymczasem siedziałam pogrążona w samotności głębokiej niczym przepaść, z dala od syna, ignorowana przez wyniosłe Amerykanki, po raz kolejny roztrząsałam, dlaczego zgodziłam się podjąć tak niedorzecznego zadania.

Po powrocie do pokoju, chcąc odegnać duchy, wyjęłam jedną z kopert, które swego czasu przekazał mi Kavannagh, i zaczęłam przeglądać zawartość, którą znałam już niemal na pamięć. Oprócz argentyńskiej pierwszej damy, głównej bohaterki wizyty, polecono mi, żebym jak najlepiej wybadła towarzyszące jej osoby; sama, według własnej oceny, miałam odróżnić ważnych członków świty od tych drugoplanowych, oddzielić ziarno od plew.

Lillian Lagomarsino de Guardo, przeczytałam ponownie. Trzydzieści pięć lat. Siostra Rolanda Lagomarsino, jednego z głównych argentyńskich przedsiębiorców, sekretarza w Ministerstwie Przemysłu, i żona Ricarda Guardo, przewodniczącego Izby Deputowanych. Matka czwórki dzieci, osobista towarzyszka, doradczyni w kwestiach protokołu i etykiety. Juan Duarte, brat, trzydzieści trzy lata, kawaler, prywatny sekretarz prezydenta, dawniej wędrowny sprzedawca mydła, miłośnik kina. Alberto Doderó, sześćdziesiąt jeden lat, dwukrotnie żonaty i dwukrotnie rozwiedziony, bogaty przedsiębiorca działający w sektorze żeglugi morskiej, bywały w świecie i szczodry, koordynator i człowiek finansujący znaczną część podróży. Julio Alcaraz, żonaty, pięćdziesiąt kilka lat, fryzjer. Asunta Fernández, wiek i stan cywilny bez znaczenia, zaufana krawcowa, zatrudniona w domu mody Henriette. Juanita Palmou, wiek i stan cywilny bez

znaczenia, zaufana krawcowa, zatrudniona w domu mody Paula Naletoff.

Było tu więcej nazwisk i pełnionych funkcji: adiutanci, lekarz, fotograf, nawet ksiądz i trzech dziennikarzy, których powinnam unikać. Jednym z nich był scenarzysta słuchowisk radiowych Francisco Muñoz Azpiri, wysłany w celu pisania przemówień; drugi to młody fotograf Emilio Abras, który miał uwiecznić pierwszą damę we wszystkich możliwych sytuacjach, i wreszcie niejaki Valentín Thiebaut, reporter dziennika „Democracia”, który miał ponadto błogosławieństwo Sekretariatu Informacji kancelarii prezydenta. Niewykluczone, że ze względu na swój zawód mogli utrudniać mi pracę, lepiej więc zostawić ich w spokoju. Interesowali mnie ci poprzedni: dama z wyższych sfer, brat kobieciarz, dojrzały bogacz skory do hulanek, fryzjer i dwie wprawne krawcowe, takie jak niegdyś ja sama. Do nich wszystkich w taki czy inny sposób musiałam się zbliżyć. Jak miałam to zrobić i z jakim skutkiem – to na razie pozostawało niewiadomą.

Nie mogąc zasnąć, znowu spojrzałam na budzik. Wskazówki z fluorescencyjnymi końcówkami wskazywały za pięć czwartą. Zacisnęłam powieki i po raz nie wiem który obróciłam się na łóżku.

**P**rzyszłam odpowiednio wcześniej, żeby przed spotkaniem napić się kawy. W przeciwieństwie do poprzedniego wieczoru w jadalni było tłoczno i przeważali w niej mężczyźni; w powietrzu unosiły się rozmowy, wymieniane powitania i gęsty papierosowy dym. Z udawaną pewnością siebie skierowałam się do jedyne go wolnego stolika. Ledwie podano mi kawę, gdy jadalnia zaczęła pustoszeć. Nie spieszyłam się jednak zbyt. Wolałam zaczekać, obserwować, zobaczyć, jak się zachowują moi przyszli koledzy. Dlatego też jako jedna z ostatnich weszłam do przyległej sali. Z przodu ktoś był już gotowy do zabrania głosu.

Miałam ze sobą jeden z notesów oprawionych w skórę i długopis, który kupiłam w Jerozolimie. Włożyłam garsonkę z chłodnej wełny z rękawami do łokci, ani zbyt oficjalną, ani zbyt na luzie. W sali zapanowała cisza. Skonstatowałam, że jest nas około dwadzieścioro, poczułam ulgę, przekonawszy się, że notatnik jest nieodłącznym elementem w każdych dłoniach. Ze swojego krzesła na końcu zobaczyłam, jak osobno wchodzi dwie Amerykanki, które spotkałam poprzedniego wieczoru; obie usiadły przede mną. Dostrzegłam ponadto jeszcze jedną kobietę głowę, z pewnością to ją słyszałam późno w nocy, gdy przyszła do swojego pokoju. Reszta to mężczyźni.

Sztywny trzydziestokilkulatek przywitał się i poprosił, byśmy się po kolei przedstawili, podając najpierw swoje nazwisko, a potem nazwę redakcji, która nas przysłała. Zauważyłam, że niektórzy robili to w sposób zdecydowany, inni z nutką obojętności; domyśliłam się, że w tym wypadku byli to korespondenci mieszkający na co dzień w Madrycie, którzy zapewne mieli już serdecznie dosyć ciągłego podawania swoich personaliów. Dwóch z nich powiedziało, że pracuje dla argentyńskich gazet, „La Tribuna” i „Democracia”.

Pozostali byli wysłannikami „The New York Herald Tribune”, „Christian Science Monitor”, „Magazine World Report”, „The New York Timesa”, „Diário da Manhã” z Lizbony, „Time Magazine” oraz niemieckiego tygodnika „Der Spiegel”. Byli tu również przedstawiciele agencji Associated Press, United Press i Reutersa, wszystkie z biurami w Madrycie. Ta dojrzała pulchna Amerykanka to, jak się okazało, Anne Allen z „Lady’s Home Journal”. Z kolei ta młoda, która w jadalni siedziała plecami do mnie, nazywała się Rita Hume i współpracowała z agencją International News Service. Nie było na razie żadnych przedstawicieli z Włoch ani z Francji, ponieważ podróż madame Perón obejmowała również te kraje, więc jej wizyta miała być relacjonowana *in situ*, ale organizatorzy pominęli tę informację, żeby nie odbierać blasku jej wspaniałemu pobytowi w Hiszpanii.

Podczas gdy ci kolejni dziennikarze się przedstawiali, ja się przygotowywałam, usiłując trzymać nerwy na wodzy. Odchrząknęłam tak, by nie zwrócić na siebie uwagi, kilka razy przełknęłam ślinę, cały czas miałam złączone kolana i trzymałam swój długopis, jakby to była tratwa ratunkowa. Aż nadeszła moja kolej.

– Livia Nash, Serwis Latinoamerykański BBC z Londynu.

I już. W końcu to powiedziałam. Kilka głów odwróciło się w moją stronę, dla wielu BBC nie było zwykłym medium.

Po zakończeniu prezentacji bardzo szczupły mężczyzna z włosami starannie zaczesanymi do tyłu zrobił krok naprzód. Musiał mieć około czterdziestu lat i był ubrany w nieskazitelny perłowski garnitur. Ten, który pełnił funkcję prowadzącego, odsunął się na bok, gotowy słuchać go z szacunkiem.

– Drogie panie i drodzy panowie, pragnę powitać państwa w imieniu Biura Informacji Dyplomatycznej i w swoim własnym jako jego dyrektor...

To był Diego Tovar, ten sam, który podpisał się na liściku dołączonym do kwiatów, jakie poprzedniego wieczoru znalazłam w moim pokoju. W ciągu kolejnych nieuniknionych protokolarnych minut wychwalał szczodrość i ogromny wysiłek władz hiszpańskich i argentyńskich w celu zorganizowania tej wizyty, jak również

wyraził głęboką wdzięczność mediom za to, że z mniejszym lub większym zaangażowaniem będziemy ją relacjonować. Następnie powtórzył to samo bardziej niż przyzwoitym angielskim.

– Chociaż zamierzamy przekazać państwu wszystkie informacje w osobnej szczegółowej notatce, pozwolą państwo, że już teraz przybliżę dotychczasowy przebieg podróży argentyńskiej pierwszej damy.

Kątem oka spojrzałam od lewej do prawej i zauważyłam, że wszyscy otworzyli swoje notatniki. Natychmiast zrobiłam to samo.

– Odnośnie do środka transportu, pragnę państwu przekazać, że pani María Eva Duarte de Perón i jej świta lecą nowym czterosilnikowym DC-4 linii lotniczych Iberia, nabytym na polecenie generalissimusa specjalnie z myślą o tej podróży, wyjątkowo wyposażonym, aby zapewnić największy komfort argentyńskiej pierwszej damie. W kabinie pasażerskiej ma ona do dyspozycji dwie sypialnie urządzone w stylu mauretańskim, salon, jadalnię dla ośmiu osób, kuchnię oraz pomieszczenia dodatkowe. Towarzyszy im maszyna linii Flota Aérea Mercante Argentina z personelem pomocniczym i bagażami.

Tovar mówił z dezynwolturą – nijak to nie przystawało do krzykliwego tonu wielu innych oficjeli. Prawie nie patrzył na kartki, które trzymał w ręce, i cały czas płynnie przechodził z jednego języka na drugi. Niemal wszyscy dookoła mnie robili notatki, więc znowu wzięłam z nich przykład.

– Wylot z aerodromu Presidente Rivadavia w miejscowości Castelar, w prowincji Buenos Aires, miał miejsce w ten piątek, szóstego czerwca około wpół do piątej po południu, w obecności prezydenta generała don Juana Dominga Peróna, jego rządu w pełnym składzie, urzędników oraz licznie zgromadzonej publiczności. Po wielu godzinach wieczornego i nocnego lotu nad Ameryką Południową samolot miał międzylądowanie w bazie lotniczej w Parnamirim, nieopodal brazylijskiego miasta Natal, na północnym wschodzie tego kraju.

Pióra i długopisy sunęły pospiesznie po papierze; ja nie potrafiłam dotrzymać im kroku, miałam nadzieję, że mówiąc o szczegółowej

notatce, którą obiecali nam przekazać, Tovar nie rzucał słów na wiatr. On tymczasem kontynuował swoją opowieść.

– Po zatankowaniu rozpoczął się lot nad Oceanem Atlantyckim. Pozwolą państwo, że w charakterze anegdoty dodam tylko, że podczas przekraczania równika pasażerowie wzniesli toast szampanem, aby uczcić chrzest tych, którzy po raz pierwszy przelatywali nad tym symbolicznym miejscem. Po niemal dwunastu godzinach lotu transoceanicznego samolot wylądował na aerodromie w Villa Cisneros, na atlantyckim wybrzeżu hiszpańskiej Sahary, wczoraj, w sobotę, o godzinie jedenastej jedenaście w nocy. Po powitaniu na uroczystej kolacji w Casino de Oficiales i odpoczynku w rezydencji gubernatora pani Perón i jej towarzysze dziś rano wyruszyli w dalszą podróż do Las Palmas de Gran Canaria, gdzie mają wylądować...

Zrobił pauzę, eleganckim gestem zgiął lewy łokieć i sprawdził godzinę.

– ...za mniej więcej dwadzieścia pięć minut. Po wizycie w siedzibie Rady Wyspiarskiej i udziale w mszy świętej zaplanowano, że o drugiej po południu delegacja po raz ostatni wsiądzie na pokład, by skierować się do Madrytu, gdzie przylot jest przewidziany na godzinę wpół do dziewiątej wieczorem.

Diego Tovar zakończył swoje wystąpienie praktycznymi informacjami. Bardzo miło z jego strony, że to zrobił, a nie zrzucił na podwładnego. Powiadomił nas o naszym wyjeździe na lotnisko, zaprosił na obiad każdego, kto chciałby coś zjeść w Klubie Prasowym, i podkreślił, że jego biuro jest do naszej dyspozycji w każdej sprawie. Podawano ostatnie szczegóły, kiedy ja też dyskretnie spojrzałam na zegarek. Było dziesięć po jedenastej. Tovar właśnie nam przekazał, że autobus zabierze nas stąd punktualnie o godzinie piątej. Obliczyłam, ile mam czasu, żeby wymknąć się do domu mojego ojca i wrócić tu o wskazanej porze.

Gdy tylko skończyło się spotkanie, kilka osób wstało i wyszło pośpiesznie; obaj Argentyńczycy podeszli do Tovara, żeby oficjalnie się z nim przywitać, podczas gdy inni rozmawiali między sobą albo zostali na swoich miejscach skupieni na notatkach. Nie odzywając się słowem, opuściłam salę i wróciłam do mojego pokoju.

Odczekałam chwilę, a kiedy gwar na dole ucichł i domyśliłam się, że przy wejściu nie ma już nikogo, wyszłam z budynku.

Początek ulicy Pinara znajdował się dość blisko Hermosilli, mogłam więc wybrać się tam pieszo. Nie spodziewałam się jednak, że przy wejściu spotkam dyrektora Biura Informacji Dyplomatycznej. Zanim wsiadł do samochodu, w cieniu akacji wydawał jeszcze ostatnie polecenia. Gdy tylko mnie zobaczył, odesłał swoich podwładnych i poprosił kierowcę, żeby zaczekał.

– Pani Nash – powiedział, podchodząc. – Cóż za zaszczyt móc wreszcie przywitać się z panią osobiście. Chciałem zrobić to wcześniej, ale zatrzymali mnie argentyńscy korespondenci, a później nie mogłem już pani znaleźć.

Ujął w palce dłoń, którą do niego wyciągnęłam, i pocałował ją z uprzejmością, podczas gdy ja przeklinałam siebie za to, że nie czekałam trochę dłużej, aż miałabym całkowitą pewność, że mogę dyskretnie wyjść.

– Musi pani wiedzieć, że to prawdziwy zaszczyt móc panią gościć, moja droga. Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, proszę śmiało o to prosić.

Wykonałam delikatny gest podziękowania, pragnęłam tylko stąd odejść.

– Teraz ogromnie się spieszę, zostało jeszcze mnóstwo szczegółów do dopracowania na dzisiejszy wieczór, a wcześniej muszę wstąpić do ministerstwa. Ale mogę panią zabrać moim samochodem, dokądkolwiek pani zechce. Dokąd się pani wybiera, jeśli to nie jest niedyskretne pytanie?

Wahałam się, nie przyszykowałam sobie żadnego kłamstwa, znowu wyrzucałam sobie, że nie byłam bardziej przezorna.

– Idę do... do... chcę poszukać kościoła, żeby wysłuchać mszy, proszę nie robić sobie kłopotu.

Chwilę wcześniej usłyszałam, jak sam mówił o uczestnictwie we mszy madame Perón, więc była to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Przytaknął z zadowoleniem, aprobując mój zamiar. Diego Tovar był przystojnym mężczyzną o dystyngowanych manierach, miał ostre rysy i bardzo jasne oczy, wyglądał niemal chłopięco, mimo że we włosach dało się dostrzec kilka siwych nitek.

– Obawiam się, że w tej okolicy trudno będzie pani znaleźć to, czego szuka, ale jeśli to pani odpowiada, mogę podwieźć panią do Najświętszego Chrystusa przy Ayali. To wspaniały kościół, spokojnie zdąży pani na nabożeństwo o dwunastej.

Przypomniałam sobie, że ulica Ayali biegnie równolegle do Hermosilli, zgodziłam się więc bez wahania. Poza tym, patrząc na to z dobrej strony, przydałby mi się ten pierwszy bliski kontakt z człowiekiem odpowiedzialnym za rozpieszczanie zagranicznych mediów; być może w pewnym momencie mógłby mi się do czegoś przydać.

Po kilku minutach zostawił mnie naprzeciwko kościoła, raz jeszcze przepraszając za to, że nie może mi poświęcić więcej czasu. Liczni wierni wchodzili już do środka, ubrani wytwornie, jak przystało w wielki dzień w eleganckiej okolicy dzielnicy Salamanca. Prawie wszystkie kobiety nosiły welony z delikatnej koronki na swoich falach jak prosto od fryzjera, wszyscy mężczyźni z kolei mieli na sobie letnie garnitury i kapelusze – niedzielną msza o dwunastej w narodowo-katolickiej Hiszpanii była największym towarzyskim wydarzeniem tygodnia. Szłam za nimi z pozorną żarliwością i usiadłam w jednej z ostatnich ławek. Ulotniłam się, gdy tylko ksiądz zaintonował swoje *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti*.

W mieszkaniu przy Hermosilli wszyscy powitali mnie z radością. Wreszcie mogłam się przekonać, że Víctor dobrze znosił moją nieobecność, uścisnąć ojca, upewnić się, czy Phillippa rozłożyła mały obóz dziecięcych zabawek i czy Miguela bez problemu radzi sobie z nowymi gośćmi. Godziny minęły jak z bicza strzelił, chciałabym mieć więcej czasu, żeby zabrać syna na spacer do Retiro, porozmawiać z Gonzalem. Nie było to jednak możliwe, ponieważ musiałam niezwłocznie wracać. Miguela wpadła na pomysł, żeby przynieść kota od dozorczyń i dzięki zwierzęciu odwrócić uwagę Víctora, kiedy ja się wymykałam. W biegu wsiadłam do taksówki i dotarłam pod numer pięć przy ulicy Pinara, gdzie kilku reporterów czekało już przy wejściu.

Autobus mający zawieźć nas na lotnisko Barajas wyruszył punktualnie. Usiadłam sama na jednym z miejsc w środkowej części



pojazdu i nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych, wyglądałam przez okno.

Bieda w kraju w tych dniach w połowie czterdziestego siódmego roku była nieco mniejsza niż w pierwszych latach po wojnie domowej, ale nadal brakowało niemal wszystkiego w miastach, miasteczkach i we wsiach. Nie było z czego żyć ani sposobu, by coś zdobyć. Oprócz niszczących sił wewnętrznych Hiszpania odczuwała też skutki decyzji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych o zatrzaśnięciu drzwi przed reżimem Franco, narzuconym siłą wojskową, co tak bardzo przystawało do państw Osi.

W takich okolicznościach tylko jeden zagraniczny przywódca wyciągnął rękę do kraju umierającego z głodu i pozbawionego przyjaciół. Generał Perón, ze swoim reżimem i dobrze prosperującą gospodarką, zaoferował biednej Hiszpanii pszenicę, mięso i jajka, skóry, kredyty i odrobinę nadziei. Nie była to jednak zupełnie altruistyczna szczodrość – między oboma reżimami istniało pewne ideologiczne pokrewieństwo, a poza tym ważne było wzmocnienie więzi między krajami podobnie oddalonymi od dwóch głównych bloków, na które już dzielił się świat. Krótko mówiąc, argentyńskie wsparcie finansowe zapewniało mieszkańcom Hiszpanii chleb, a dla Franco oznaczało butlę z tlenem. Postanowił się więc odwdziżyć, szastając pieniędzmi na prawo i lewo. Generalissimus nie robił też nic bez ukrytego motywu, przy okazji chciał bowiem oczyścić swój wizerunek i otworzyć dla świata szczelinę dzięki zainteresowaniu zagranicznych mediów.

Urząd Miasta Madrytu opublikował w poprzednich dniach szereg instrukcji dla mieszkańców, wzywając ich do udekorowania balkonów i zapraszając do tłumnego wyjścia na ulice.

Zza szyby autobusu przekonałam się, że moi krajanie sumiennie wykonali to zadanie. Mnóstwo ludzi wypełniło ulice i place, a nawet pobocza drogi prowadzącej na lotnisko, mimo palącego słońca.

Lądowanie samolotu obserwowałam z trybuny prasowej w otoczeniu moich rzekomych zagranicznych kolegów oraz sporej grupy hiszpańskich dziennikarzy przybyłych z różnych prowincji. Nimi nie zajmowało się znakomite Biuro Informacji Dyplomatycznej kierowane przez Diega Tovarą, tylko Generalna Dyrekcja Prasy, raczej mniej przyjazny organ cenzury, pilnujący, żeby ton i treść publikowanych informacji były zawsze zgodne z wytycznymi reżimu.

Zaproszeni goście zajmowali szerokie tarasy oraz wnętrza terminalu, ci spontaniczni stali dalej, wokół lotniska, a nawet na pobliskich wysuszonych terenach. Wszyscy krzyczeli i zapamiętale wymachiwali flagami Hiszpanii i Argentyny, mieszając biel i jasny błękit, czerwień i żółć. Obiekt przyozdobiono gobelinami i dywanami, chorągiewkami oraz bujnymi kwiatowymi girlandami. Naprzeciwko głównej wieży ustawiono podium z bordowym obiciem, na nim trzy bogato zdobione fotele, a jako tło umieszczono gigantyczny sztandar z herbem głowy państwa. Cały rząd i setki przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych stały po obu stronach, oczekując dostojnej gościni.

Przez głośniki informowano o kursie samolotu, prędkości, z jaką leci, oraz ile jeszcze trzeba poczekać, żeby móc go zobaczyć. Rozszalały tłum ryknął niczym jeden organizm w tej samej chwili, gdy na horyzoncie pojawiły się sylwetki eskortujących go maszyn sił powietrznych. Dokładnie w tym momencie Franco i jego żona zeszli z podium na płytę lotniska. Srebrna maszyna Iberii wyłoniła się na wieczornym niebie, wykonała powitalne okrążenie i miękko wylądowała. Owacja zebranych ludzi była tak ogłuszająca, że musiałam niemal zatykać sobie uszy.

Kiedy samolot się zatrzymał, ludzie nagle umilkli, a pracownicy lotniska podstawiali schody. Drzwi zaczęły się powoli otwierać;

najpierw wyszły dwie stewardesy, które natychmiast stanęły z boku, następnie pojawiła się ona. Oklaski i wiwaty, euforyczne okrzyki, wymachiwanie chustkami i chorągiewkami – czyste szaleństwo.

A oto i ona, ubrana w niebieską garsonkę, Jej Ekscelencja doña María Eva Duarte de Perón: żadne krajowe medium nie śmiałyby skrócić jej długiego nazwiska. Blondwłosa, młoda, szczupła, w pompatycznej fryzurze i kapeluszu w podobnym stylu. W klapę miała wpięty kwiat, a na ustach uśmiech, który nie osłabł ani na chwilę. Najpierw pomachała prawą ręką, a potem zaczęła schodzić eskortowana przez ministra spraw zagranicznych.

Caudillo i doña Carmen czekali na nią u dołu schodów; on radosny i podekscytowany w swoim mundurze w kolorze oliwkowej zieleni, ona w wielkim czarnym słomkowym kapeluszu i letnich białych rękawiczkach. Wciąż rozbrzmiewały żarliwe oklaski i wiwaty, podczas gdy Franco przedstawiał madame Perón członkom rządu. Jeden po drugim całowali ją w rękę; ona z kolei zrobiła to samo, podchodząc do biskupa. Następnie odbył się przegląd Pierwszej Dywizji Powietrznej, rozbrzmiały salwy armatnie, ktoś wręczył jej gigantyczny bukiet kwiatów. Gdy cała trójka znalazła się na podium, orkiestra wojskowa z werwą odegrała oba hymny państwowe.

Wszyscy uważnie obserwowaliśmy to widowisko z trybuny prasowej. *My goodness* – usłyszałam szept stojącej obok mnie młodej reporterki International News Service, będącej pod wrażeniem pokazu. Trochę dalej inny z Amerykanów, korpulentny figlarz z United Press, rzucił żartobliwy komentarz i stojący najbliżej niego koledzy wybuchnęli głośnym śmiechem. Argentyńczyk z dziennika „Democracia” zapytał mnie, co powiedział Amerykanin, a ja tylko wzruszyłam ramionami, jakbym nie usłyszała. Ale owszem, zrozumiałam dokładnie i właśnie dlatego zaśmiałam się w duchu, lecz uznałam, że lepiej będzie zachować to dla siebie.

Nie ustała jeszcze wrzawa publiczności, kiedy wezwano nas do autobusów, oddzielając dziennikarzy zagranicznych od miejscowych. Dygnitarze tymczasem szykowali się do przejścia przez terminal, żeby wsiąść do swoich pojazdów. Tym, którym jechał Franco, był mercedes pullman limousine, identyczny jak ten, którym zwykle poruszali się Himmler i wierchuszka SS; nie było jeszcze czasu, żeby

zastąpić go modelami brytyjskimi i amerykańskimi, z których miał korzystać z biegiem czasu, w zależności od zawirowań w jego przyjaźniach. Do tego pojazdu wsiedli on sam i madame Perón, otoczeni eskortą motocyklistów w białych kaskach. W kolejnych samochodach jechali jego żona i minister spraw zagranicznych; w następnych cała śmietanka argentyńskiej świty i hiszpańscy oficjele. I wreszcie my, zamykający konwój, a za nami biegła gromada krzyżących i podekscytowanych dzieci i nastoletnich chłopców, póki szybkość silników nie wygrała z szybkością ich nóg.

W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, było widać coraz więcej stłoczonych ludzi. Dalej, w pobliżu Retiro, czekała ustawiona w szyku kompania piechoty, a z przodu konna Gwardia Mauretańska. Zaczął już zapadać zmrok, kiedy konwój dotarł do Puerta de Alcalá, gdzie czekali burmistrz i członkowie Rady Miasta, a także kolejna ogromna grupa urzędników, osobistości i tłum mieszkańców. Nad okolicą przeleciało czterdzieści myśliwców, wiwaty i krzyki również były ogłuszające, tysiące osób znowu machało chustkami i chorągiewkami, na balkonach wisiały proporce, małe flagi i manilskie chusty.

Franco i argentyńska pierwsza dama wysiedli z mercedesa i dokonali przeglądu wojsk przy nieustających okrzykach i dźwiękach marsza wojskowego; burmistrz wręczył jej kolejny olbrzymi bukiet kwiatów. Po kilku minutach wsiedli do innego pojazdu, tym razem odkrytego, i ponownie ruszyli. Fontanny Cibeles i Neptuno, a także wiele placów oraz rond przyozdobiono kolorowymi światełkami; plotka głosiła, że aby je zainstalować, potrzebowano ośmiu dni i trzystu tysięcy peset, a także dziewięciu inżynierów, kilkunastu techników i dwustu robotników. Efektem była spektakularna świetlna sceneria w kraju, gdzie w domach prawie wszyscy używali łąsych żarówek dających marne światło i co chwilę dochodziło do przerw w dostawie prądu.

Powoli, tak żeby jadący mogli pozdrawiać i być pozdrawiani, konwój przemierzył pośród tłumu ulicę Alcalá, Gran Vía (którą wówczas nazywano aleją José Antonio), plaza de España, a stamtąd skierował się do Ciudad Universitaria, gdzie kolumna pojazdów się rozdzieliła i wreszcie Franco, madame Perón i jej najbliższa świta

udali się w stronę pałacu El Pardo, rezydencji generalissimusa, gdzie miała się także zatrzymać nowo przybyła. Pozostali – każdy w swoją stronę, dzięki Bogu.

Poczułam ogromną ulgę, gdy się okazało, że w ten sposób kończy się dzień; wszystko było takie gorączkowe i szalone, tak hałaśliwe, wystawne i rozbuchane, że moja biedna głowa potrzebowała odrobiny spokoju. Dzień okazał się bardzo długi, na trybunie w słońcu było strasznie gorąco, przez otwarte okna autobusu wpadało mnóstwo kurzu i pyłu, w uszach wciąż dzwoniły mi żarliwe okrzyki, ryk silników samolotów i motocykli, salwy honorowe, bębny i trąbki orkiestr wojskowych. A do tego poprzedniej nocy spałam niewiele i źle. Krótko mówiąc, byłam wykończona. Dziękowałam więc w duchu, że to już koniec, i pragnęłam jedynie, żeby autobus zostawił mnie pod numerem pięć przy ulicy Pinara, a potem zdjęć wygniecioną garsonkę, wziąć chłodny prysznic i położyć się do łóżka. Nie przewidziałam jednak – cóż za naiwność – że ten upragniony odpoczynek spełźnie na niczym, gdy tylko znajdę się na miejscu.

Kopertę przekazała mi powściągliwa pani Cortés. Otworzyłam ją, siedząc w fotelu w moim pokoju, zdejmując zarazem buty. Gdy czytałam, z ust wyrwał mi się okrzyk irytacji. Diego Tovar, dyrektor Biura Informacji Dyplomatycznej, jeszcze tego samego wieczoru zapraszał mnie na kolację. Miał mnie odebrać o dziesiątej, a była dokładnie... Spojrzałam na zegarek i wydałam z siebie jęk lamentu. Za dwadzieścia dziesiąta.

Gdy zobaczył mnie na schodach, w jego oczach dostrzegłam wyraz najwyższego uznania; szybko jednak zniknął, miał bowiem świadomość swojego stanowiska i intencji. Nasze spotkanie służyło kwestiom zawodowym, a nie prywatnym interesom, a tym bardziej zalotom. Było to wieczorne wyjście, postanowiłam więc wyszykować się zgodnie z etykietą przewidzianą na *event after six* w eleganckim świecie. Mając niewiele czasu, wzięłam szybki prysznic, umalowałam się ze względną starannością i włożyłam piękną wzorzystą sukienkę

z dekoltem i bez rękawów, którą kupiłam u Digby'ego Mortona w Londynie. Żeby się nie spóźnić, zostawiłam rozpuszczone włosy.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo jestem wdzięczny, że przyjęła pani moje zaproszenie, ufam, że nie jest pani nazbyt wyczerpana.

Kłamałam beczelnie, zapewniłam go, że ja też ogromnie się cieszę na to spotkanie, ani słowem nie wspominając o swoim zmęczeniu czy uznaniu jego zaproszenia za zupełnie nie w porę. On też się przebrał; miał na sobie półformalny strój składający się z ciemnych spodni i jasnej koszuli – w jego ubraniach rozpoznałam rękę dobrego krawca, a on sam wydał mi się niezaprzeczalnie atrakcyjny. Mimo wszystko tysiąc razy bardziej wolałabym nie musieć nigdzie z nim iść.

– Na co ma pani większą ochotę, taras czy środek restauracji? Poprosiłem, żeby na wszelki wypadek zarezerwowano nam stolik w obu miejscach.

Naturalnie wolałam pierwszą opcję. Gdy tylko wyszliśmy na ulicę, przekonałam się, że zrezygnował ze służbowego samochodu i przyjechał własnym, dwuosobowym mercurym ze złożonym dachem. Nie było to oczywiście auto człowieka mającego rodzinę; a on nie wyglądał na kogoś zmuszonego do ciągłych wyrzeczeń, jak reszta narodu, dla którego pracował.

– Tak naprawdę nie wiem, na ile zna pani Hiszpanię, nie wiem nawet, czy powinienem zwracać się per pani czy panno Nash – powiedział, przytrzymując mi drzwi auta.

Wiele mnie to kosztowało, ale zdołałam wydobyć słowa z gardła.

– Może mi pan mówić po prostu Livia.

Nie było go z nami na trybunie prasowej na lotnisku; stał na tej przeznaczonej dla oficjeli, ale przed lądowaniem podszedł do nas i przywitał się serdecznie, przyprowadzając ze sobą dwóch kelnerów roznoszących chłodne napoje i tace z kanapkami z Viena Capellanes. Potem go już nie widziałam, a teraz wyglądał na niesamowicie zadowolonego z przebiegu powitania. Do jego zadań nie należała organizacja, tym zajmowała się konkretna komisja. Pełnił jednak ważną funkcję, dbając o to, żeby media zagraniczne relacjonowały wszystko jak trzeba i bez złośliwości. Niewykluczone, że w taki czy inny sposób próbował wybadać innych reporterów, tak samo jak

teraz zamierzał zrobić to ze mną. Bez wątpienia uznał, że mogę być bardziej podatna na wpływy niż asertywni dziennikarze z innych mediów i agencji.

Wyjechaliśmy z Madrytu i skierowaliśmy się w stronę Cuesta de las Perdices, ruch był niewielki. Niebawem skręcił w lewo, w kierunku skupiska świąteł. Villa Romana, przeczytałem na szyldzie z fluorescencyjnymi literami. Przy wejściu do budynku stało zaparkowanych kilkanaście samochodów. Przytrzymał mi ponownie drzwi i podał rękę, pomagając wysiąść, a potem przekazał kluczyki pikolakowi. W środku powitały nas wielki ogród z pergolami i bujną roślinnością, restauracja na tarasie i parkiet taneczny, wydawało mi się, że w głębi był też basen. Orkiestra grała muzykę rozrywkową. Mimo że następnego dnia był poniedziałek, przy stolikach wciąż siedziało mnóstwo gości.

– Znała pani to miejsce?

– Nawet nie wiedziałam, że istnieje, od lat nie byłam w Hiszpanii.

Posadzono nas i złożyliśmy zamówienie, a potem czekaliśmy, rozmawiając.

– Ale wcześniej była pani w Madrycie, prawda?

– Tak, wiele razy, mam tu... – zawahałam się – mam tu rodzinę, choć nie widuję jej zbyt często.

Milczał, wbijając we mnie wzrok.

– Jestem przyzwyczajony do kontaktów z obcokrajowcami – powiedział z niespodziewaną ufnością. – Ciągłe podróżuję, byłem w wielu miejscach za granicą. Mimo to nie mogę umiejscowić pani akcentu.

Jak miał to zrobić, skoro wszystko we mnie było jedną wielką farsą? Żeby się chronić, postanowiłam rozmawiać z nim poprawnym hiszpańskim, ale od czasu do czasu wtrącałam jakieś wyrazy po angielsku albo mówiłam ze sztuczną intonacją czy też wymawiałam słowa z akcentem wyciągniętym z kapelusza.

– Pochodzę z Tangeru, z wielonarodowej rodziny.

Jako że był człowiekiem taktownym pod każdym względem, nie pytał dalej. Swoim milczeniem jednak dyskretnie wyraził swoje zainteresowanie. Żeby dopełnić kłamstwo, dodałam kolejne wyjaśnienie.

– W Serwisie Latinoamerykańskim pracuję z osobami z bardzo różnych krajów. Być może dlatego mój sposób mówienia nie jest dla pana zbyt oczywisty.

– Nash to zatem nazwisko ojca?

O mało nie parsknęłam śmiechem. Ciekawiło go pochodzenie mojej rodziny, chciał się również dowiedzieć, czy noszę nazwisko po mężu, czy po ojcu. Już wcześniej wykręciłam się od jego pytania o to, czy ma się do mnie zwracać per pani czy panno, ale najwyraźniej nie zamierzał się poddawać. Pod presją jego zainteresowania postanowiłam się opancerzyć.

– Nash to nazwisko, które wzięłam od kogoś, kto teraz jest bardzo daleko.

Tak naprawdę nie było to do końca kłamstwo, mimo mojej dwuznacznej odpowiedzi. Tyle że tym kimś była przyjaciółka, a nie mąż.

Uprzejmości na bok, dyrektor Biura Informacji Dyplomatycznej był poważnie zainteresowany BBC i serwisem, dla którego rzekomo pracowałam.

– Pozwoli pani, że będę szczery, gdy już zaczęliśmy się poznawać. Widzi pani, moja szanowna Livio, na tym nowym etapie, w jakim znalazł się nasz kraj, jesteśmy ogromnie zainteresowani kontaktem z narodami Ameryki Łacińskiej. Wcześniej... Podczas wojny światowej mieliśmy inne, pilniejsze sprawy, teraz natomiast, już bez wojennych niepokojów i z nowymi rozmówcami, mamy świadomość, gdzie tak naprawdę leżą nasze główne interesy.

Zdawałam sobie z tego sprawę. Z raportów, które Kavannagh dostarczył mi w Londynie, oraz z rozmowy z moim ojcem tego popołudnia wiedziałam, że Ameryka Łacińska jest jedną z nowych ambicji reżimu. Od czasu zakończenia wojny domowej istniało duże zainteresowanie odrodzeniem koncepcji *hispanidad*, hiszpańskości państw dawniej tworzących imperium hiszpańskie. Teraz, po kopniaku ze strony Organizacji Narodów Zjednoczonych i z wyciągniętą ręką Argentyny, stratedzy frankizmu dostrzegli idealny moment, żeby spróbować odnowić dawne przyjaźnie z krajami po drugiej stronie oceanu. Nie było to jednak takie łatwe – wiele tamtejszych rządów zdecydowanie się temu sprzeciwiało,



a obecność w ich krajach rzeszy wygnanych z Hiszpanii republikanów komplikowała te tak pożądane przez Franco relacje.

Choć nie zapytał mnie o to wprost, nie ulegało kwestii, że Diego Tovar chciałby poznać kształt, jakiego ostatecznie nabierze moja praca, jaki będzie jej wydźwięk i zasięg. I chociaż robił to niezwykle delikatnie, to jednak jasno dawał mi do zrozumienia, jak bardzo byłby wdzięczny, gdybym była tak miła i opowiadając o wizycie doñi Evy, nie mówiła źle o Hiszpanii. Chociaż byłam bezwstydną intruzką, w tym momencie w pełni uświadomiłam sobie, że moje osobiste wrażenia, spostrzeżenia i moja opinia dotrą do dziesiątek tysięcy słuchaczy po drugiej stronie Atlantyku. Wszystko zależało od tego, jaki zastosuję filtr.

Skończyliśmy deser. Wbrew wszelkim obawom to była przyjemna kolacja. Villa Romana okazała się miłym miejscem, z zielenią i muzyką pod czerwcowym niebem. Zamiast osłabnąć, około północy atmosfera ożywiła się jeszcze bardziej. Wyglądało na to, że wszyscy goście doskonale się bawią, dobrze ubrani i obuci, dobrze uczesani, popijający drinki i wina musujące, zajadający steki, sałatki z owocami morza i filety z żabnicy. Tovar chciał, żebym informowała właśnie o tej, a nie o tamtej drugiej Hiszpanii.

W tym momencie zjawiała się spora grupa, dziesięć albo dwanaście osób. Śmiali się i głośno rozmawiali, kelnerzy połączyli dwa stoły, żeby mogli usiąść.

– Argentyńscy – wyjaśnił Tovar, wykonując delikatny gest swoim papierosem. – W Madrycie jest ich pełno.

– Przylecieli z madame Perón?

– Niezupełnie, ona przybyła z własną świtą. Nie jest dla nas do końca jasne, kim oni są, i nie było czasu, żeby to sprawdzić. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że chcą się schronić pod jej skrzydłami. Przypuszczamy, że to zwyczajni oportuniści, ludzie, którzy zamierzają odnieść jakiś rodzaj korzyści osobistej lub zawodowej przy okazji wizyty pierwszej damy.

Wypalił papierosa i zgasił go w trójkątnej popielniczce z napisem Cinzano. Rozbrzmiały właśnie pierwsze takty *Solamente una vez*. Kiedy zwrócił się do mnie ponownie, pomyślałam, że zasugeruje, byśmy już wyszli.

– Czy byłaby to zbyt duża śmiałość z mojej strony, gdybym poprosił panią do tańca?

Ścisnęłam palce pod obrusem, ale zebrałam się na odwagę i wyszeptałam:

– Oczywiście, że nie.

Ruszyliśmy na parkiet wypełniony parami. Nie tańczyłam od czasu ostatnich tygodni ciąży. Wspomnienie o Marcusie wróciło z całą mocą, ale starałam się je odgonić, kiedy przysunęłam się do tego, w gruncie rzeczy nieznanego, mężczyzny. Diego Tovar okazał się doskonałym tancerzem, wprawnym i zwinnym, ani trochę przytłaczającym. Zatańczyliśmy pierwszą piosenkę, potem jeszcze dwa inne bolera. Wtedy piosenkarz poprosił o uwagę, zapadła cisza, wszyscy odwrócili głowy w stronę sceny. Mężczyzna odchrząknął i z przyjemnością poinformował, że teraz wykonają tango na cześć przybyłej do Hiszpanii żony generała Peróna oraz argentyńskich klientów, którzy byli tu z nami tego wieczoru.

– Siadamy? – zapytałam szeptem, gdy rozbrzmiewał entuzjastyczny aplauz w reakcji na słowa wokalisty.

Wróciliśmy do naszego stolika, podczas gdy pianista zaczął grać pierwsze takty *La cumparsita*. Niektórzy z dopiero co przybyłych Argentyńczyków kierowali się na parkiet, w przeciwną stronę niż my. Wszyscy się uśmiechali, wyraźnie zadowoleni z hołdu dla swej ojczyzny. Pozostali tancerze odsunęli się na bok, nie przestając bić brawo i robiąc dla nich miejsce.

Obserwowałam pierwszą parę tancerzy: mężczyzna z mocną szyją i szczupłą brunetka. Za nimi łysy facet i tleniona blondynka z włosami upiętymi w kształcie ślimaków. Kiedy na parkiet weszła trzecia para i oczy mężczyzny skrzyżowały się z moim spojrzeniem, poczułam, jakby żelazna pięść ścisnęła mi duszę.

Wysoki, przystojny, uśmiechnięty, włosy zaczesane brylantyną, prowadził około trzydziestoletnią dziewczynę z włosami ufarbowanymi na mahoń. Oto i Ramiro Arribas, ten drań, który pokomplikował mi życie.

Rozporządzenie Rady Miasta wzywało mieszkańców Madrytu, by w ten poniedziałek zapełnili plaza de Oriente. Studentom odwołano zajęcia, a urzędnikom dano dzień wolny; przedsiębiorstwa i sklepy otrzymały nakaz, by pozwoliły wyjść swoim pracownikom wczesnym przedpołudniem.

Autobus miał przyjechać po nas na ulicę Pinara o wpół do jedenastej. Spodziewając się natłoku zajęć, postanowiłam wstać wcześniej rano i o ósmej byłam już w windzie w budynku mojego ojca; chciałam przynajmniej przez chwilę zobaczyć syna, zanim stawię czoło obowiązkowi. Dom dopiero zaczynał funkcjonować, Víctor jeszcze spał. Phillippa zdała mi wyczerpujący raport i zapewniła, że dziecko jest szczęśliwe, nie rozstaje się z kotem dozorczyńni i ogólnie wyglądało na to, że niezbyt mu doskwiera moja nieobecność. Miguela podała kawę ojcu i mnie, on był jeszcze w piżamie i szlafroku, ja miałam już na sobie ciemnoturkusowy kostium, który wybrałam na ten dzień. Mimo że mieszkanie było wspaniałe, z powodu mojego pośpiechu usiedliśmy w kuchni, nieskrępowani żadnym protokołem; przez chwilę się zastanawiałam, co pomyślałaby Olivia, gdyby nas zobaczyła.

Przekazałam ojcu strzępy rozmowy z kolacji z dyrektorem Biura Informacji Dyplomatycznej, a on rzucił trochę światła na niektóre z moich cieni.

– Ten cały Diego Tovar, o którym mówisz, ze względu na swoje stanowisko musi być jednym z propagandzistów Akcji Katolickiej.

Upiwszy łyk kawy, opowiedział mi, że po upadku nazizmu i włoskiego faszystów Falanga straciła część wpływów w niektórych ważnych miejscach, przede wszystkim w środowiskach związanych z relacjami międzynarodowymi. Wykorzystując rozmaite rodziny, które gromadziły się wokół niego, caudillo zastosował teraz

przeciwwagę i postawił na przywódców propagandzistów: członków ruchu głęboko chrześcijańskiego i tak samo antykomunistycznego, ale nie tak radykalnego.

– Mimo tego wahnięcia – dodał – nie myśl sobie, że sytuacja uległa radykalnej zmianie. Teraz chcą pokazać, że reżim jest łagodniejszy, usunięto faszystowskie pozdrowienie i rzekomo obowiązuje prawo sukcesji. Ale wśród rodaków, którzy chwytają się ironii, żeby się nie załamać, krąży taki żart: wszystko zasadniczo wygląda tak samo, tyle że wcześniej, wchodząc do urzędu czy jakiegokolwiek instytucji, powszechnie były podnoszenie ręki i energiczny okrzyk „Niech żyje Hiszpania!”. Teraz wystarczy wyszeptać „Zdrowaś Maryjo” i są szczęśliwi.

Zaśmiałam się słabo, dopijając kawę. Musiałam już iść.

– Martín Artajo, minister spraw zagranicznych, jest teraz wśród nich najważniejszy – dodał ojciec, wstając, by odprowadzić mnie do drzwi. – Można więc przypuszczać, że w ministerstwie zatrudnił ludzi swojego pokroju. Na przykład takich jak twój nowy przyjaciel.

Nauczywszy się tego słowa, propagandziści, ruszyłam w drogę powrotną. Czułam odrobinę smutku, bo widziałam Víctora jedynie śpiącego, a jednocześnie ogromny spokój, ponieważ wiedziałam, że jest w dobrych rękach i czuje się dobrze. Jednakże ponad tym wszystkim, pomijając katolików zamieszanych w politykę i sen mojego syna, w środku czułam coś, co mnie niepokoiło, drażniło i mocno mną targało: Ramiro Arribas. Mężczyzna, który w środku nocy, przystojny i pewny siebie, kierował się na parkiet, żeby zatańczyć tango pod gwiazdami w Cuesta de las Perdices.

Króciutki moment, gdy nasze spojrzenia się zetknęły, wystarczył, byśmy się rozpoznali. Minęło prawie jedenaście lat, odkąd zostawił tamten druzgocący list w naszym pokoju w hotelu Continental w Tangerze, a potem uciekł jak niegodziwiec. A ja tam zostałam, porzucona, w ciąży, bez pieniędzy i biżuterii z mojego spadku, pełna strachu i z potężnym długiem. Żadne z nas nie wiedziało, jak ułożyliśmy sobie życie. Ja nigdy nie próbowałam się dowiedzieć, gdzie przebywa, a gdyby on chciał podążać moim śladem, byłoby to dość trudne zadanie po moich zmianach tożsamości i miejsc pobytu. Niemniej, bez cienia wątpliwości, oboje natychmiast wiedzieliśmy,

kim jesteśmy. Wstrząśnięta, chwyciłam się ramienia Diega Tovarą, żeby jak najszybciej opuścić to miejsce. Ramiro stał nieruchomo i na mnie patrzył, podczas gdy jego atrakcyjna towarzyszka szarpała go za rękaw, próbując wyciągnąć go na środek parkietu. Z jego obecnością wciąż w pamięci, po wczesnej wizycie w mieszkaniu przy Hermosilli, wróciłam pod numer pięć przy ulicy Pinara.

Autobus przywiózł nas na patio zbrojowni Pałacu Królewskiego. Chciałabym mieć trochę czasu – wystarczyłoby dwadzieścia minut – żeby zajrzeć do mojej dzielnicy, na mój plac i na moją ulicę, miejsca mojego dzieciństwa i młodości, tak niedaleko stąd. Nie było to jednak możliwe, nie mogłam oderwać się od grupy. Weszliśmy po imponujących marmurowych schodach, przy których stali halabardnicy, a wszystko wokół było majestatyczne: bogate pomieszczenia, gobeliny, dywany, żyrandole. Bezwzględność wojny doprowadziła do uszkodzenia budynku, ale trwające dwa lata prace remontowe zdołały uleczyć rany i teraz blizny były prawie niewidoczne. Po tym, kiedy rodzina królewska udała się na wygnanie, tymczasowo mieszkał tu tylko Azaña jako prezydent Republiki. Franco, ze swoim surowym gustem, postanowił osiaść w pałacu El Pardo, bardziej oddalonym i skromnym. Do Pałacu Królewskiego przybywał wyłącznie na pełne przepychu uroczystości. Takie jak ta dzisiejsza.

Nas, dziennikarzy, zaprowadzono do sali znajdującej się nieopodal pomieszczenia, w którym miała się odbyć ceremonia. Otaczały nas meble pokryte złotem płatkowym, freski przedstawiające wiejskie sceny i ściany obite zielonkawym jedwabiem. Z drugiej strony balkonów dobiegał szorstki, nieustający gwar, niczym wzburzone morze w tle. Niektórzy z nas, zaciekawieni, podeszli do okien. Dyskretnie odsunęliśmy zasłony. Widok robił niesamowite wrażenie: tysiące, dziesiątki tysięcy, może setki tysięcy ludzi zgromadziło się na wielkim plaza de Oriente i w jego pobliżu; mnóstwo, całe mnóstwo stłoczonych ciał, które trzymały mnóstwo, całe mnóstwo transparentów i chorągiewek. Na niebie nie było ani jednej chmury

i upał zaczynał się dawać we znaki; wyobraziłam sobie, jak musi się czuć ta zbita ludzka masa, nie mogąc się schronić w cieniu.

W którymś momencie pojawił się Diego Tovar, wyglądał nienagannie jak zawsze. Przywitał się uprzejmie, kobiety całując w dłoń, a mężczyznom ściskając ręce. Niektórych poklepał serdecznie po plecach, nawet pożartował z kilkoma bardziej nieprzystępnymi amerykańskimi dziennikarzami, aż razem wybuchnęli śmiechem. Jego umiejętności nawiązywania kontaktów były niezaprzeczalne; zastanawiałam się, ile korzyści przyniesie mu to w ostatecznym rozrachunku. Mnie zostawił na sam koniec swojego łańcuszka powitań. Nie chodziło bynajmniej o lekceważenie, lecz uprzejmość, chciał bowiem poświęcić mi trochę więcej czasu. Zapytał, jak się czuję, czy odpoczęłam. Po niespodziewanym spotkaniu z Ramirem poprzedniego wieczoru w Villi Romana w drodze powrotnej uskarżałam się bowiem na ogromne zmęczenie, żeby ukryć konsternację.

Wkrótce dało się słyszeć bieganinę i polecenia. Już przyjechali, caudillo i pierwsza dama Argentyny już tu byli. Poproszono, byśmy przeszli do wielkiej sali tronowej, gdzie usadzono nas dyskretnie przy jednej ze ścian. Kotary były zaciągnięte, chroniąc pomieszczenie przed słonecznym południem; dziesiątki świec w kandelabrach i lampy z łagodnymi żarówkami oświetlały salę, nadając jej nieco mroczny wygląd. Być może z powodu braku światła wydawało mi się, że wzrok płata mi figła, kiedy zobaczyłam wchodzącą madame Perón razem z Franco w mundurze. Ale nie. W miarę jak zbliżali się do środka pomieszczenia, nabierałam pewności, że się nie myliłam. Tamtego dziewiątego czerwca, kiedy termometr wskazywał ponad trzydzieści stopni, żona argentyńskiego prezydenta narzuciła na suknię z tafty wystawne futro z soboli, które sama chciałam mieć w ciągu moich pierwszych tygodni w Londynie, gdy temperatura uparcie utrzymywała się poniżej zera stopni. Odrzucając prostotę, ta znamienita dama jako dodatek do swojego osobliwego stroju wybrała coś w rodzaju czapki, z której aż do ramion zwisały pęki efektownych piór.

Oboje stanęli na środku sali i rozpoczęło się długie powitanie. Przed nami przetoczyła się defilada oficjeli cywilnych we frakach, wojskowych ubranych na galowo i kobiet w wielkich słomkowych kapeluszach. Pojawiło się kilka potknięć i błędów, nie zabrakło szturchnięć łokciem, a nawet popchnięć; proszę się stąd zabierać, to jest moje miejsce, wyszeptał niejeden, wszyscy starali się być jak najbliżej głównych aktorów tego przedstawienia, w pewnym momencie musieli nawet interweniować funkcjonariusze, żeby przywrócić porządek. Kiedy już skończyła się ta nużąca formalność, z Wielkim Łańcuchem Orderu Wyzwoliciela Generała San Martína zwisającym z ramion i odpowiednią szarfą przecinającą jego pękaty brzuch, hiszpański caudillo z Bożej łaski założył okulary na czubek nosa i zaczął odczytywać poruszające przemówienie pełne odniesień do wiary, zgody, miłości między narodami i wielkiej hiszpańskojęzycznej rodziny.

Następnie nadszedł moment, by przypiąć doñi Marii Evie Duarte de Perón Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej w kształcie okazałej broszki. Wartość symboliczna odznaczenia była ogromna, a wartość materialna też wcale nie miała: czyste złoto, rubiny wypełniające ramiona krzyża, perły na jego wierzchołkach i liczne diamenty. Na środku, na emaliowanym polu, dwie kolumny Herkulesa przepasane wstęgą z napisem Plus Ultra. Nieliczni dostępowali tego najwyższego zaszczytu, był to wielki gest.

Po gromkich brawach żona argentyńskiego prezydenta przygotowała się, by odpowiedzieć równie pompatycznym przemówieniem, w którym połączyła ducha królowej katolickiej z kolejnymi odniesieniami do wiary, Bożej Opatrzności i miłości między narodami. Przekonałam się, że czyta bardzo swobodnie. Chociaż w prasie hiszpańskiej zupełnie pominięto aluzje do jej przeszłości, to z raportów Kavannagh wiedziałam, że Eva Perón przez wiele lat była aktorką, a przynajmniej aspirowała do tego miana. Nigdy nie osiągnęła sukcesu, lecz fakt, że występowała na scenie, a przede wszystkim w słuchowiskach radiowych, pomagał jej poruszać się przed widownią, aparatami fotograficznymi i mikrofonami bez skrępowania.

Korespondent „The New York Herald Tribune” w czasie przejazdu autobusem swoim kiepskim, lecz zrozumiałym hiszpańskim zapytał Valentína Thiebauta, wysłannika argentyńskiego dziennika „Democracia”, czy to prawda, że autora przemówień wsadzono do samolotu w ostatniej chwili na polecenie samego prezydenta, który miał obawy związane z oratorskimi umiejętnościami pierwszej damy. Wtedy wszyscy już wiedzieliśmy, że „Democracia” była argentyńską gazetą najmocniej powiązaną z peronizmem, ktoś nawet skomentował, że to osobista własność Evy Perón.

Podczas gdy ona wypowiadała pompatyczne zdania, które jej napisano, i rozbrzmiewały błyski fleszy, ja zajęłam się realizacją moich planów. Pierwszym celem, jaki sobie postawiłam, było odszukanie wśród obecnych osób członków jej świty, do których powinnam spróbować się zbliżyć. Zlokalizowałam ich w pierwszym rzędzie, w otoczeniu generałów, prałatów i wysokich rangą oficjeli. W żadnym z nich nie zauważyłam niczego charakterystycznego, wszystko w nich było poprawne, ale oceniłam, że w pewnym sensie się odróżniali, wydawali się mniej sztywni i spięci niż nasi. Domyśliłam się, że kobieta w fioletowym stroju z dyskretnym kwiatowym stroikiem na głowie to Lillian Lagomarsino, towarzyszka i doradczyni. Dojrzały mężczyzna z szerokim torsem wyglądał mi na Alberta Doderó, magnata z sektora żeglugi morskiej odpowiedzialnego za koordynowanie i pokrycie kosztów nieoficjalnej części podróży. A ten młodszy, z włosami zaczesanymi do góry i z cienkim wąsikiem, to pewnie brat, ten fircyk, który kilka lat wcześniej sprzedawał mydła, a teraz pełnił istotną funkcję w strukturze kancelarii prezydenta. Zwano go zdrobniale Juancitem.

Przemówienie dobiegło końca i rozległy się gromkie brawa. Niżsi rangą pracownicy pospieszyli, by wreszcie otworzyć balkony, a z placu dobiegło coś w rodzaju przeszywającego ryku. Wyszli Franco, doña Eva, a za nimi ministrowie i co ważniejsi urzędnicy; były już przygotowane mikrofony Radio Nacional de España. Tłum zachowywał się jak oszalały, wymachując euforycznie chorągiewkami i chustkami, czapkami, transparentami, kapeluszami. Ludzie zaczęli skandować rytmicznie, coraz głośniej i głośniej.



– Co krzyczą? – zapytali mnie koledzy.

Staliśmy stłoczeni, wyostrzyłam więc słuch, bo trudno było wyłuskać konkretne słowa w tej wibracji, która przypominała głośnie bębny. Dopiero kiedy miałam pewność, odwróciłam się i powtórzyłam, a potem przetłumaczyłam. *Franco, Perón, un solo corazón* – Franco, Perón, jedno serce. Właśnie to skandował tłum. Zachwyceni, z zadowolonymi uśmiechami na ustach, Franco i madame Perón czekali, a ludzie wciąż głośnie krzyczeli. Franco, Perón, jedno serce. Franco, Perón, jedno serce. Aż wreszcie ona zabrała głos.

Krótko, lecz wyjątkowo treściwie, przemawiała stanowczo i energicznie. Teraz już z pamięci, bez kartek, nawiązała do ubogich, potrzebujących i robotników, do praw pracowników i sprawiedliwości społecznej. Niektórym przywódcom frankistowskim, którzy stali z tyłu głównego balkonu, po skroniach spływały krople potu, niejeden musiał odnieść wrażenie, że słyszy echa słów Pasionarii<sup>1</sup> z argentyńskim akcentem.

Setki tysięcy madrytczyków, nie zważając na upał, nadal żarliwie wiwatowało i biło brawo. Prawdopodobnie konkretne słowa pierwszej damy niezbyt ich obchodziły; tak samo oklaskiwaliby cokolwiek, co wyszłoby z jej ust. To była zabawa, darmowy cyrk, dzień wolny, poza tym powiedziano im, że ta pani sprowadzi do Hiszpanii mnóstwo zboża i mięsa, a to tak naprawdę ich interesowało. Franco, mimo nieco wywrotowych stwierdzeń pierwszej damy, z zachwytem obserwował odpowiedź mieszkańców na swoje wezwanie. Tego właśnie chciał: masowego aplauzu obywateli, pokazania narodu zjednoczonego wokół swojego przywódcy. Żeby cały świat się dowiedział, jak Hiszpania go oklaskuje.

Już się żegnali, machając rękami, i właśnie mieli wrócić do sali tronowej, gdy z placu zaczęły płynąć słowa piosenki.

– Co śpiewają? – ponownie zapytali mnie moi rzekomi koledzy po fachu.

Potrzebowałam kilku sekund, żeby zrozumieć, aż w końcu skojarzyłam: intonowali *Cara al sol, Twarzą ku słońcu*, z werwą i na

całe gardło. Gigantyczny tłum, spontaniczny i nie do zatrzymania, z uniesioną prawą ręką zdzierał gardło, śpiewając hymn Falangi, zupełnie nieświadomy, jaki odnowiony wizerunek Hiszpanii zamierzały pokazać światu siły wzmocnionej Akcji Katolickiej. Żeby się przypodobać albo okazać wdzięczność, a może całkiem bezwiednie, doña Eva Duarte przyłączyła się do tłumy i odnosiło się wrażenie, że na chwilę pokazała stare faszystowskie pozdrowienie. Pomruk niezadowolenia rozszedł się pośród zagranicznych dziennikarzy stojących za moimi plecami. Rozejrzałam się dookoła: zobaczyłam ministra spraw zagranicznych ze zmienionym wyrazem twarzy, Diega Tovarą, który powstrzymywał się, by nie złapać się za głowę, oraz kilku innych propagandzistów, narzekających pod nosem albo z wyrazem irytacji na twarzy. Tłum tymczasem wciąż śpiewał na placu z żarliwym entuzjazmem: „stanę wraz z moimi towarzyszami, którzy trzymają straż nad gwiazdami...”. W pałacu niektórzy już przewidywali, jakiego rodzaju artykuły pojawią się w międzynarodowej prasie następnego dnia. Mimo pozornych zmian w Hiszpanii nic się nie zmieniło, napiszą gazety amerykańskie, angielskie, francuskie. W nowej koszuli, którą wyszyłaś wczoraj czerwieni... wraca echo pieśni. Groźna oś faszyzmu Rzym–Berlin zniknęła po zakończeniu wojny, ale zdaje się, że powstaje kolejna, z podobną ideologią – podkreśli wielu korespondentów – między Madrytem a Buenos Aires. A Eva Perón przybyła po to, żeby ją zainicjować – napiszą niektórzy.

Uroczystość dobiegła końca, tworzyły się grupki, słyszało się pożegnania i wymiany opinii, nikt jednak nie śmiał wyjść, dopóki caudillo i żona prezydenta Peróna nie znikną za drzwiami. Rozejrzałam się uważnie i oceniłam szanse, aż uznałam, że to jest ten moment. Do dzieła, wyszeptałam, dyskretnie przesuwając dłońmi po biodrach, aby spódnica idealnie przylegała do ciała. Uśmiechnęłam się szeroko i dziarskim krokiem skierowałam się w stronę mojej ofiary.

– Livia Nash z Serwisu Latinoamerykańskiego BBC – przedstawiłam się, wyciągając do niego rękę. – To prawdziwy zaszczyt móc pana poznać, panie Dodero.

**A**rmator zaprosił mnie na taras restauracji Riscal; wolałabym bardziej odosobnione miejsce, na przykład gabinet w argentyńskiej ambasadzie albo jakiś dyskretny kąt w lobby jego hotelu. Po spotkaniu z Ramirem zamierzałam za wszelką cenę unikać publicznych lokali. A zwłaszcza tych najbardziej znanych i popularnych.

Nieświadomy moich zmartwień, Alberto Dodero przysłał po mnie samochód, luksusowego czarnego cadillaca, który wzbudzał zainteresowanie na ulicach. Czekał na mnie, pijąc whisky z lodem i rozmawiając z dwoma mężczyznami, którzy ulotnili się, gdy tylko dał im znak. Dookoła, co było do przewidzenia, bezczelnie krążyli ciekawscy i gapie; mówiono, że cała stolica chodzi z ustawionym radarem, żeby wykryć obecność argentyńskiej dostojniczki albo członków jej świty. Z elegancją pocałował mnie w rękę, przytrzymał mi krzesło i skomplementował mój styl. Powiedział, że jeszcze nigdy nie udzielał wywiadu tak pięknej kobiecie, ja przyjąłam jego męskie uprzejmości z neutralnym uśmiechem, nie miałam innego wyjścia.

– Tak naprawdę nie chodzi o typowy wywiad, panie Dodero – wyjaśniłam, rozkładając na kolanach serwetkę. – Raczej o swobodną rozmowę, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Przygotowujemy wielki radiowy reportaż na temat wizyty w Hiszpanii żony prezydenta Peróna. Zostanie on wyemitowany w naszym serwisie.

– W Argentynie i Urugwaju dużo się słucha BBC – powiedział, podnosząc swoją szklankę z wyrazem uznania. – Z przyjemnością porozmawiam... panno czy pani, jak powinienem się zwracać?

Ponownie użyłam tej samej strategii, co w przypadku Diega Tovarą.

– Może mi pan mówić po prostu Livia.

Miał ponad sześćdziesiąt lat i był największym armatorem Río de la Plata i jednym z najważniejszych w Ameryce Południowej. Stał na czele grupy rodzinnych firm, które posiadały setki statków, od dużych frachtowców i liniowców po holowniki i łodzie rzeczne. Wojna, zamiast go zubożyć, przyniosła mu zyski dzięki wysokim cenom frachtu. A po zakończeniu walk, w ostatnich latach, za niewielkie pieniądze nabywał jednostki amerykańskiej marynarki, przebudowane w taki sposób, żeby służyły już nie transportowi żołnierzy i broni, lecz pasażerów i towarów. Bogaty, bajecznie bogaty był mój towarzysz, pozbawiony obłudy i kompleksów.

Zamówił dla nas obojga, nie zadając sobie trudu, by zajrzeć do karty. Paella, powiedział po prostu; ktoś musiał mu ją polecić. Dobrze zrobiłam, przemilczając, że w Hiszpanii paellę zazwyczaj jada się w południe na obiad, a nie na kolację prawie o jedenastej w nocy, wydawało się bowiem, że w Riscalu jest to danie popisowe.

– Dobrze, panie Dodero, zacznijmy...

– Może mi pani mówić po prostu Alberto – powiedział. Miał mnóstwo pewności siebie, worki pod oczami i czarne włosy, niewątpliwie farbowane, ponieważ nie było widać ani jednej siwej nitki. – Skoro pani nalega, abym używał jej imienia, mnie nie pozostaje nic innego, jak być po prostu Albertem.

– Zacznijmy zatem, Alberto, od przygotowań do tej podróży. Jak wyglądały...?

Nie potrzebowałam nawet kończyć pytania, ponieważ od tego momentu on mówił przez cały czas. Zrobił pauzę tylko po to, żeby pochwalić paellę, którą nam przyniesiono, kolorową niczym wściekły współczesny obraz; paella dla dwóch osób pełna homarów, ćwiartek cytryny i pasków czerwonej papryki, która równie dobrze wystarczyłaby dla pół tuzina gości.

Z tą skłonnością, którą często mają mężczyźni o wybujałym ego, Alberto Dodero zabrał głos i rozwodził się w nieskończoność, ciągle wplatając w swoją opowieść „ja”, „moje”, „dla mnie”, „ze mną”, i mówił tak aż do deseru. Urodzony w Urugwaju syn włoskich imigrantów morze miał we krwi. Syn, wnuk i prawnuk genueńskich żeglarzy, uparty i odważny, za młodu przeniósł się do Buenos Aires i razem ze swoimi braćmi zbudował imperium, które porty Río de la

Plata łączyło z resztą świata. Był dwukrotnie żonaty, a jego życie uczuciowe toczyło się według typowego wzoru: dojrzały mężczyzna z pieniędzmi poszukuje wiecznej młodości. Pierwsza żona była jego rówieśniczką i dała mu potomstwo, druga to piękna wedeta, młodsza od niego o prawie trzydzieści lat. Wielbiciel luksusu i savoir-vivre'u, miał posiadłości i przyjaźnie rozrzucone po całym świecie. Do tych pierwszych należały elegancka Villa Betalba w Montevideo, hotel Cataratas w Iguazú i letnia rezydencja na Lazurowym Wybrzeżu. Do tych drugich zaś – niejaki Ari Onassis i oczywiście małżeństwo Perónów.

Raport Kavannagh sugerował, a moi koledzy dziennikarze również to podkreślali, że Dodero był prywatnym dostarczycielem biżuterii dla pierwszej damy: wspaniałe klejnoty z domów jubilerskich Walser Wald i Ricciardi z Buenos Aires, które niebawem miały być zastąpione francuskimi Cartier oraz Van Cleef & Arpels. Przekazywał je w prezencie pani Perón, a ona je przyjmowała i nosiła publicznie z ogromnym zadowoleniem; wydawało się, że nie istnieje żaden konflikt między interesami armatora a tym wystawnym pokazem szczodrości wobec żony prezydenta. Mówiono, że miała słabość do złota, podczas gdy żona Franco uwielbiała perły – różne gusta i upodobania.

– I, jak rozumiem – zdołałam sformułować pytanie, korzystając z okazji, że podniósł do ust kieliszek wina – po opuszczeniu Hiszpanii pan zajmie się pokryciem kosztów pozostałej części podróży po Europie, czy to prawda?

Dodero nie okazywał też najmniejszego skrępowania, mówiąc o tej sprawie zupełnie otwarcie.

– To dla mnie ogromny zaszczyt, że generał Perón zgodził się przyjąć moje finansowanie tych etapów podróży; dzięki temu ojczyzna nie ponosi niepotrzebnych kosztów, a płacę za to z własnej kieszeni z największą przyjemnością. Niestety nie wszystkie kraje europejskie są tak szczodre jak Hiszpania.

Wybuchnął głośnym śmiechem, trzymając w palcach głowę homara. Wszyscy dookoła spojrzeli na niego kolejny już raz. Innego dnia każdy klient, każda grupa, każda para na tarasie robiłoby swoje, koncentrując się na daniach i własnych rozmowach, obojętni na

gwar przy innych stolikach. Tego wieczoru jednak wśród gości krążyła plotka, że ten mężczyzna po sześćdziesiątce o kruczoczarnych włosach to argentyński potentat, który najwyraźniej należy do świty doñi Evy.

– A jeśli chodzi o kolejne etapy podróży, czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie są plany?

Właśnie to mnie interesowało, jego najbliższa przyszłość, a nie dotychczasowa kariera, bez względu na to, jakkolwiek była zasłużona i niezwykła. Przerwało nam jednak dwóch gości: podeszli tylko po to, żeby uścisnąć dłoń magnata, być może chcieli mieć o czym opowiadać następnego dnia. Witamy w Hiszpanii! Proszę przekazać nasze podziękowania prezydentowi Perónowi! Niech żyje Argentyna, wielki bratni naród!

Gdy tylko odeszli, armator powiedział o przyszłej wizycie prezydenckiej delegacji u Ojca Świętego. Potem wspomniał, że kolejnym etapem będzie Francja, może Szwajcaria, niewykluczone, że Portugalia. Intuicja mi podpowiadała, że na razie Rzym był jedynym potwierdzonym celem podróży poza hiszpańskimi granicami. Może za Pirenejami wizyta żony Peróna nie była na rękę.

Słuchałam go, dopóki nie przerwał nam kelner, proponując deser. Gdy tylko odszedł, przyjąwszy zamówienie na suflet flambirowany, pospiesznie wbiłam niczym żądło moje najważniejsze pytanie.

– A Wielka Brytania? Jak wyglądają plany związane z wizytą w Londynie, Alberto?

Znowu przekierował rozmowę na samego siebie: swoje własne interesy z brytyjskimi wspólnikami, liczne podróże w celu domknięcia tam różnych spraw, nieużywane hydroplany, które właśnie kupił od Anglików, żeby rozpocząć komercyjną żeglugę powietrzną, nową i ryzykowną przygodę.

– A czy madame Perón – nalegałam – jest naprawdę zainteresowana tym kierunkiem, czy raczej uważa pan, że...?

Przyglądał mi się bacznie, przysuwając zapalniczkę ze szczerego złota do końcówki dunhilla. Rozległ się trzask, wyskoczył płomień i natychmiast pożałowałam swojej zawziętości. Może wydałam mu się nazbyt natarczywa, ale kolacja dobiegała końca, a potrzebowałam jakiejś odpowiedzi, czegoś konkretnego, zanim spiszę to spotkanie

na straty. Musiałam jednak uważać, by nie sprawiać wrażenia natrętnej. Nie pozostało mi nic innego, jak wyciągnąć z rękawa kolejne kłamstwo, żeby wyjść z tego cało.

– Bo jeśli ostatecznie wybiorą się państwo do Anglii, to może moglibyśmy dostąpić zaszczytu, by pani Perón stanęła przed naszym mikrofonem.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, powoli wypuszczając dym nosem i nie przestając na mnie patrzeć.

– Podobają mi się stanowcze kobiety...

Nie miał możliwości, by znowu się rozwodzić, ponieważ akurat w tym momencie do naszego stolika podszedł kolejny gość. Wyłonił się zza moich pleców, do tej pory widział więc tylko moje odkryte ramiona, ciemne związane włosy oraz tył mojej wzorzystej sukienki.

– Szacowny pan Doderó, cóż za ogromna radość móc spotkać pana tu, w Hiszpanii. Román Altares, do usług – dodał, wyciągając do niego rękę. Miał bardziej argentyński akcent niż sam armator. – Przepraszam, że przerywam panu i jego pięknej towarzyszce...

Odwrócił się w moją stronę i wtedy poczułam na plecach zimny pot. Uśmiech na jego twarzy zastygł, jakby został wyryty w kamieniu. Największa z moich obaw właśnie nabrała realnych kształtów. Ubrany w elegancki letni garnitur, zaczesany na brylantynę, atrakcyjny zaklinacz węży – oto miałam przed sobą Ramira Arribasa. Znowu.

Zareagował szybko, oderwał ode mnie wzrok i ponownie skupił się na Doderze. Wyrzucił z siebie całą litanie nazwisk, miejsc i spotkań, pokaźny *name-dropping*, jak mawiają Anglicy. Mój towarzysz zmarszczył lekko czoło, jak gdyby starał się go skojarzyć, choć bez większego zainteresowania. Po kilku sekundach wymamrotał bez przekonania:

– Tak, tak, pamiętam.

Nie potrafiąc zachować spokoju, wstałam od stolika.

– Przepraszam na chwilę...

Ruszyłam w stronę toalety. Z największą przyjemnością bym tam krzyczała, przeklinała i wsadziła głowę pod kran. Ale nie, nie mogłam stracić nad sobą panowania. Nie powinnam pozwolić, żeby

obecność, zwykła egzystencja tego łajdaka znowu mnie zdenerwowała. Mocno zacisnęłam zęby i odetchnęłam głęboko.

Ramiro Arribas zmienił swoje nazwisko na Román Altares, które różniło się od oryginalnego, ale brzmiało względnie podobnie. Teraz nie mówił takim kastylijskim jak ja, lecz płynnym hiszpańskim z Buenos Aires. Najwyraźniej nie wiodło mu się źle, sądząc po jego wyglądzie i znajomości, przynajmniej pośredniej, z Albertem Doderem. Ale, co on, do diabła, robił w Madrycie, skoro dał do zrozumienia, że na stałe mieszka w Argentynie? I czego chciał od armatora, oprócz samego przywitania się? Przypomniałam sobie słowa Diega Tovara w Villi Romana: stolica zapełniła się Argentyńczykami, których trudno zaszukawać, oportunistami bez cienia wątpliwości. I Ramiro pasował do tego profilu jak ulał.

Umyłam ręce i przejrzałam się w lustrze. Nie widziałam już naiwnej młodej dziewczyny, którą ten mydłek manipulował, jak mu się żywnie podobało, tej dwudziestokilkulatki, którą oszukał i porzucił bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Przed sobą miałam odbicie kobiety, którą byłam teraz: obytej, z bliznami na duszy, światem na barkach i malutką rodziną pod opieką. Zrób to dla swojego dziecka, wyszeptalam. Natychmiast jednak się poprawiłam. Zrób to dla swoich dzieci, nakazałam sobie. Dla małego Víctora i dla dziecka, które się nie urodziło, dla tego, które on spółdził w moim łonie, a później uśmiercił wraz ze swoim odejściem, dla tej istoty, która zniknęła między skrzepami krwi, kiedy uciekałam z Tangeru autobusem, sama i przerażona po jego wyjeździe. Ze względu na to nienarodzone dziecko, mojego żyjącego syna i siebie samą nie mogłam pozwolić, żeby Ramiro pozbawił mnie teraz hartu ducha.

Wróciłam do stolika, idąc z pozorną swobodą. Zobaczyłam, że ten skończony kretyń nadal opowiada o czymś z zachwytem, podczas gdy Doder bawi się zapalniczką; raczej nie zwracał na niego większej uwagi. Gdy Ramiro mnie zauważył, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, ten szczwany lis chciał nawet coś powiedzieć, rzucić jakiś komplement, żeby przypodobać się magnatowi. Ale nie dałam mu na to szansy. Ignorując go i nawet nie siadając, zaproponowałam:

– Moglibyśmy już iść, Alberto?



Armator wstał i położył na stole serwetkę, która wyglądała jak psu z gardła wyciągnięta. Kelner zjawił się błyskawicznie i ustalili coś w trzech słowach. Domyśliłam się, że poprosił, by przysłano mu rachunek do Palace; mężczyźni jego pokroju często nie zawracali sobie głowy wyciąganiem portfela w miejscu publicznym. Pożegnał się z Ramirem, wykonując w jego stronę obojętny ruch brodą. Jeszcze jeden natręt, musiał sobie pomyśleć. Kolejny karierowicz, który zuchwale przysuwał się do najmocniej grzejącego słońca.

Pozwoliłam, by Doderó poprowadził mnie do wyjścia z ręką położoną na mojej talii. Zostawiliśmy za sobą nietknięty suflet i szepczącą klientelę, wbijającą w nas swoje oczy. Przez chwilę byłam ciekawa, co Ramiro sobie o mnie myśli, co takiego kotłuje mu się w głowie.

Przez cały wieczór na plaza Mayor odbywała się uroczystość, hołd hiszpańskich prowincji złożony szanowanej argentyńskiej pierwszej damie. Tańce ludowe, śpiewy, defilady i prezenty, nudna tłumna feta, która miała trwać do późna w nocy. Następnego dnia gazety miały się zachwycać wdziękiem madame Perón, jej czułymi gestami wobec mieszkańców oraz okazałym białym futrem, które nosiła u progu lata. Nie chcąc zostawiać jej samej w tej ekstrawagancji, żona caudilla oraz inne ważne damy w pośpiechu wyciągnęły z dna swoich szaf własne futra i również miały je na sobie tego wieczoru, mdlejąc z gorąca, byle tylko nie odstawać od Argentynki; jeszcze tego brakowało. Na końcową część tej uroczystości wybierał się też Doderó, zostawiwszy mnie najpierw pod numerem pięć przy ulicy Pinara. Po drodze zdołałam się pozbierać i znowu emanowałam udawanym wdziękiem.

– To była bardzo przyjemna kolacja, Alberto. Pańskie spostrzeżenia bez wątpienia wzbogacą mój reportaż.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, nieświadomy mojej hipokryzji. Nie, absolutnie nie była to niezapomniana kolacja – nie wniósł żadnych istotnych informacji i przez cały wieczór mówił o sobie, prawie nie zahaczając o to, czego potrzebowałam. A feralne pojawienie się Ramira nie pozwoliło mi przeciągnąć rozmowy jeszcze co najmniej na czas deseru i kawy, kiedy to być może udałoby mi się coś z niego wydobyć. W takiej sytuacji, gdy nasze spotkanie

właśnie miało dobiec końca, nie przynosząc żadnych efektów, w komorze został mi tylko jeden nabój: musiałam wykorzystać tego milionera, żeby przynajmniej otworzyć sobie drogę na inny front.

– Choć ryzykuję, że nadużyję pańskiego zaufania, jest coś, co chciałabym...

– Czego tylko pani zapragnie, moja droga – uciął stanowczo. – Wszystko, co będzie w mojej mocy.

– Żeby kontynuować moją pracę i móc dokładnie sportretować madame Perón i jej otoczenie, bardzo by mi się przydała rozmowa z jej krawcowymi. O ile wiem, one też zatrzymały się w El Pardo. Może jeśli...

Alberto Dodero nie zwykł się długo zastanawiać.

– Może pani na to liczyć.

Plan wizyty, jaki ułożono na początku, kręcił się wokół ważnych dla Hiszpanii symboli: klasztor Escorial, Ávila i jej średniowieczne mury obronne, bohaterskie ruiny twierdzy w Toledo i inne wspaniałe miejsca tego typu. Jednakże program musiał być kilkakrotnie zmieniany. Ze względu na żądanie samej zainteresowanej organizatorom nie pozostało nic innego, jak włączyć do niego wiele wizyt bardziej prozaicznej natury. Sztuka, historia, dawna potęga Hiszpanii guzik obchodziły Evę Perón; ona chciała nade wszystko zobaczyć robotników i dowiedzieć się, jakie świadczenia otrzymują od państwa. Jeśli postawią ich przed jej nosem, to świetnie. W przeciwnym razie, uprzedziła, sama sobie ich poszuka.

W popłochu ułożono zatem alternatywny plan, żeby spełnić to niecodzienne żądanie. Razem z żoną generalissimusa zabrano ją do sierocińca, na otwarcie przychodni lekarskiej, do szkoły przygotowania zawodowego dla robotników oraz na osiedle domów zbudowanych przez Narodowy Instytut Mieszkalnictwa. Pozwolono nawet na to, żeby w Toledo podeszła do niej grupa murarzy, którzy uścisnęli jej rękę. We wszystkich miejscach miała coś do powiedzenia; za każdym razem, gdy mówiła o konieczności dalszej walki o sprawiedliwość społeczną bez względu na wszystko, doña Carmen i zgromadzonym oficjelom włosy stawały dęba.

Ja tymczasem żonglowałam między tymi oficjałkami, wypadami, żeby zobaczyć syna, i notowaniem spostrzeżeń z myślą o raporcie dla Kavannagh. Po pierwszych dniach zdałam sobie sprawę, że zagranicznych dziennikarzy robi się coraz mniej. Po uroczystości na plaza de Oriente ku niezadowoleniu Diega Tovara i całego Biura Informacji Dyplomatycznej prasa międzynarodowa znowu zaczęła wściekle krytykować reżim generałów Peróna i Franco, opisując pseudofaszystowski pokaz, którego byli świadkami w Pałacu

Królewskim, podkreślając represje i nędzę panującą w kraju, a także olbrzymie wydatki, jakie wiązały się z tą wizytą. Żeby zneutralizować ataki, argentyńska pierwsza dama podczas kolejnych swoich wystąpień więcej mówiła o harmonii, radości i zgodzie. Tęczowa Podróż – takiej mdłej nazwy zaczęto używać, aby podkolorować jej delegację.

Krążyła plotka, że pani Perón od czasu do czasu wyłamuje się z protokołu i wymyka, żeby odwiedzać biedne dzielnice, i garściami rozdaje pieniądze. Nigdy nie byłam tego świadkiem, a biorąc pod uwagę szalenie napięty program, jaki dla niej przygotowano, naprawdę nie wiem, kiedy mogłaby robić coś takiego. Mówiono również, i jak się wydaje, była to prawda, że wstawiła się u Franco, żeby ułaskawił pewną komunistkę skazaną na śmierć za to, że kilka miesięcy wcześniej podłożyła pod ambasadę Argentyny ładunek wybuchowy, który spowodował ogromny hałas, lecz nie zabił nikogo; nazywała się Juana Doña. W zamian za to, że nie rozstrzelano jej przed murem cmentarza w dzielnicy Carabanchel, jak postąpiono z jej towarzyszami, Jego Ekscelencja wielkodusznie zamienił jej wyrok śmierci na trzydzieści lat więzienia.

Wieczory były tak samo pełne rozmaitych uroczystości, na których Eva Perón, w miarę upływu kolejnych dni, nieodmiennie zaczęła się zjawiać coraz później. W pałacu El Pardo zorganizowano galę z występami początkujących artystów, wśród których błyszczeli niejaka Carmen Sevilla oraz para Manolo Caracol i śniada dziewczyna, która przedstawiała się jako Lola Flores. Zorganizowano również uroczystą kolację w Casa de Cisneros oraz przedstawienie *Owczę źródło* w Teatrze Hiszpańskim. Następnie odbyła się wielka impreza plenerowa w parku El Retiro – tego wieczoru zjawilo się najwięcej osób. Pomimo starań nie zdołałam się od niej wymigać.

Diego Tovar, który zauważył moją nieobecność na kilku poprzednich uroczystościach, zaproponował, że osobiście odbierze mnie z budynku przy ulicy Pinara. Wielu zagranicznych korespondentów prasy codziennej wysłało już swoje teksty dotyczące pierwszych dni wizyty, tymczasem ja rzekomo nadal zbierałam materiały do mojego reportażu. Jako dyrektor Biura

Informacji Dyplomatycznej być może doszedł do wniosku, że ma jeszcze czas, by pozyskać mnie dla swojej sprawy.

Uroczystość została zaplanowana na wpół do jedenastej wieczorem, a już przed dziesiątą czekały tysiące gości, oficjele, rząd w pełnym składzie i grupa radnych. Samochód Franco i madame Perón przyjechał jednak dopiero dwadzieścia po dwunastej. Wszyscy się przeżegnali, gdy rozeszła się wieść, że pierwsza dama kazała czekać generalissimusowi i doñi Carmen prawie dwie godziny w El Pardo; oni byli gotowi, z galonami i naszyjnikami, podczas gdy Argentyńska dopiero się stroiła. Słynący z wojskowej punktualności i przyzwyczajony do rządzenia twardą ręką Franco musiał być oburzony wobec takiej impertynencji, ale przełknął tę żabę i uśmiechnięty pojawił się z Evą Perón u swojego boku, nie okazując najmniejszego niezadowolenia. Coś za coś, musiał pomyśleć, bo tego samego poranka do portu w Barcelonie przybił Río Santa Cruz, statek argentyńskiej floty handlowej – pierwszy, jaki przypłynął do Hiszpanii od końca wojny światowej. W swoich ładowniach miał tysiąc ton pszenicy, prawie dwieście ton fasoli i drugie tyle cukru. To miał być początek ciągłych dostaw. Franco tolerował więc wszelkie spóźnienia argentyńskiej pierwszej damy.

Wszyscy, którzy znaczyli coś w Madrycie, byli tego wieczoru w El Retiro, niecierpliwie czekając na rozpoczęcie występów. Mówiono, że dopuszczano się niezłych machinacji, żeby zdobyć zaproszenie, niektórzy nawet sprzedali swoje za niewyobrażalne sumy albo oddali je w zamian za przysługi. Przedsiębiorcy, oficjele, artyści, handlarze z czarnego rynku, zasłużeni mężczyźni i ich połowice oraz kilku karierowiczów, którzy zdołali się wcisnąć: wszyscy jak jeden mąż ubrani na galowo. Kiedy przyjazd się opóźniał, pośród parkowej zieleni unosiły się komentarze i plotki na temat doñi Maríi Ewy Duarte de Perón, jak jednomyślnie nadal nazywano ją w prasie. Że była artystką varietés, że ma za mocno tlenione włosy, terkotały kobiety. Że posiada magnetyczny urok, pozwalający zawładnąć takim stanowczym facetem jak generał Perón, komentowali mężczyźni z nutką zazdrości.

Zaproszenia otrzymała również cała śmietanka towarzyska: arystokraci z tytułami i szanowani bogacze z tradycjami. Każdy

wiedział, poczynając od samego Franco, że teraz ta szacowna mniejszość jedną świeczkę stawia Bogu, a drugą diabłu. Prywatnie zachowywali swoje monarchiczne dusze, pragnęli restauracji Korony w osobie Jana Burbona i uważali generalissimusa za zwykłego prostaka, pozbawionego wzrostu i klasy. Na zewnątrz jednak rozsiedli się wygodnie w reżimie i umocnili swoje przywileje.

Elitarni i światowi, wielu miało jakieś powiązania z Argentyną i dlatego z pierwszej ręki wiedzieli o napięciach, jakie istnieją między tamtejszą oligarchią a pierwszą damą. Prominenci z Buenos Aires atakowali ją ze wstrętem, zarzucając jej pospolitość, oportunizm i złośliwość. Ona z kolei ostro krytykowała tę zamożną elitę, tak daleką od jej skromnych korzeni i wysiłków, by zabłysnąć w świecie rozrywki. Słynna stała się jej pogarda dla tych, którzy posiadali ogromne rancza, zatrudniali angielską guwernantkę dla swoich dzieci, zakupy robili w Harrodsie i co roku podróżowali do Europy; mówiła, że ci najbogatsi zabierają ze sobą nawet krowę na statek. Rodziny o nazwiskach takich jak Álzaga, Anchorena, Unzué, Larreta, Martínez de Hoz, Blaquier, Uriburu czy Lezica mieszkały w pałacykach zbudowanych na modłę francuską, jeździły wystawnymi bentleyami, grały w golfa i polo w klubie Tortugas, tańczyły w Roof Garden w hotelu Alvear i miały prywatne łoże na hipodromie. Rodziny, których zdjęcia z wakacji, przyjęć i ślubów pojawiały się w czasopiśmie „El Hogar”. Klany, których mężczyźni przedstawiciele byli członkami Jockey Club, a kobiety popijały herbatę w kawiarni París albo Gas i zajmowały się działalnością charytatywną w ramach elitarnego Towarzystwa Dobroczyńnych Dam.

Ten argentyński przepych niewiele miał wspólnego z obecnymi wyższymi sferami w Hiszpanii, poranionymi przez wojny domową i światową; w większości wywodzącymi się ze szlacheckich rodów, z ziemiami i tytułami, lecz z niewielkimi środkami w kieszeniach i na kontaktach bankowych. Wykrojeni byli jednak z tego samego szablonu, bogato urodzeni i dlatego odnosili się do pierwszej damy w sposób protekcjonalny, nieomal pogardliwy.

Wśród drzew w parku El Retiro ustawiono wielką scenę, a wokół znajdowało się mnóstwo krzeseł, stolików nakrytych obrusami,

girlandy świateł oraz kelnerzy. Gdy tylko zjawili się Franco i żona prezydenta Peróna, znów rozbrzmiały hymny państwowe, a po nich rozpoczęło się widowisko i równocześnie serwowano kolację; wszyscy byli już głodni jak wilki.

Podawano kawę, kiedy dyskretnie zaczęłam się rozglądać za Albertem Dodero. Uprzejmy i szarmancki, przedstawił mnie dwóm innym ważnym osobom ze świty Evy Perón, które zidentyfikowałam już podczas uroczystości w Pałacu Królewskim i których byłam ogromnie ciekawa: towarzyszka i brat.

Ona, Lillian Lagomarsino, wytworna, bogata i konserwatywna ze względu na swoje pochodzenie, razem z mężem przyjęła wiarę peronistów i rada nierada została wierną służką żony prezydenta na czas tej podróży. Cierpliwie towarzyszyła jej wszędzie, doradzała w kwestiach etykiety, uczyła manier i pełniła funkcję łagodnej przeciwwagi dla często nieprzewidywalnego charakteru pierwszej damy. Gdy tylko zamieniłam z nią kilka zdań, miałam już pewność, że nie przyda mi się do moich celów: wyjątkowo zdyscyplinowana i dyskretna, pozostała nieugięta wobec moich pytań.

Kolejną osobą był Juan Duarte, Juancito. Dwie minuty rozmowy wystarczyły, żebym skreśliła także tego byłego sprzedawcę mydła. Stał tam w smokingu w kolorze wanilii, ze swoim wąsikiem, papierosem i kieliszkiem brandy wciśniętym w dłoń, gapiąc się na tyłki najmłodszych kobiet, obojętny na wszystko, znudzony jak mops. Ani nie wiedział, jakie są kolejne etapy podróży, ani go to nie obchodziło. Jedyne, co w tej chwili figurowało w jego planach, to wyrwać się stąd jak najszybciej i dalej korzystać z nocy. Kilka dni wcześniej w Villa Rosa w dzielnicy Chamartín poznał niejaką Mimí, w Pasapodze niejaką Monique, a w Chicote niejaką Lupe; teraz wszystkie trzy na niego czekały, musiał jeszcze zdecydować, którą z nich wybrać, a może zabrać je razem do swojego pokoju w hotelu Palace.

W obliczu zerowych szans na wyciągnięcie od obojga jakichkolwiek informacji kolejny raz skupiłam swoją uwagę na magnacie. Pochwaliłam jego krawat, przyjęłam dunhilla i kilka komplementów, pośmiałam się z paru dowcipów i pozwoliłam, żeby położył rękę na moich ramionach pod pretekstem usunięcia robaka,

który spadł z jakiejś gałęzi. Gdy tylko uznałam, że minęło wystarczająco dużo czasu, by nie zabrzmieć nazbyt bezczelnie, przypuściłam kolejny atak.

– A jeśli chodzi o krawcowe, *my dear Alberto*, są jakieś wieści?

– Krawcowe, racja...

Oczywiście ta sprawa w ogóle go nie interesowała. Ale już się zobowiązał, a ja stałam tu naprzeciwko niego, żeby mu o tym przypomnieć: natarczywa, uśmiechnięta, wyczekująca.

– Lubi pani byki, moja droga?

– Niezbyt.

– Jutro jest corrida, o piątej, jeśli mnie pamięć nie myli. One tam nie pojedą, to pewne. Może to byłby dobry moment, żeby je odwiedzić.

Przysunął się bliżej, jak gdyby chciał mi powiedzieć coś dyskretnie, żeby nie mogli tego usłyszeć wierna towarzyszka i brat. Pachniał tytoniem i zbyt dużą ilością tłustego balsamu po goleniu, domyśliłam się, że francuskiego i drogiego.

– Lepiej, żeby to zostało między nami, ale nie wiem, czy Evicie spodobałby się ten pomysł. Ja natomiast uważam, że to będzie dobra reklama dla niej i jej podróży. Wyślę po panią mojego kierowcę o wpół do piątej.

Nie mógł powiedzieć mi nic więcej, bo przerwała nam grupa mężczyzn. Podobnie jak wielu innych, chcieli przywitać się z przyjacielem generała Peróna, uśmiechnąć do niego, poschlebiać, mocno uścisnąć mu dłoń. Gdy tylko zobaczyłam, że Ralph Forte, dziennikarz United Press, szykuje się do wyjścia, dołączyłam do niego i opuściłam przyjęcie prawie niezauważona.

Udało mi się wymknąć na kilka godzin także następnego dnia i mogłam zjeść obiad w domu przy Hermosilli. Víctor powitał mnie wesoło jak zawsze, uradowany zarzucając mi ręce na szyję. Za każdym razem, gdy to robił, wracało do mnie niestety niewygodne wspomnienie o Ramirze i nutka goryczy z powodu jego straconego dziecka wbijała mi się głęboko w serce.

Ojciec słuchał moich zwierzeń z osłupieniem.

– Naprawdę zamierzasz dostać się do El Pardo bez oficjalnego pozwolenia, żeby porozmawiać z jakimiś krawcowymi?



Tak właśnie miało być, jakkolwiek dziwne by się to wydawało. Cadillac armatora nie przyjechał po mnie o wpół do piątej, jak uzgodniliśmy, tylko za kwadrans szósta. Kierowca, ukryty pod zbyt dużą czapką garnizonową, przywitał się z akcentem z Buenos Aires. Armando – przypomniałam sobie jego imię.

– Proszę wybaczyć spóźnienie, ale orszak dopiero co wyruszył w stronę areny.

O mało nie parsknęłam śmiechem – Eva Perón miała niezły tupet. Po tym jak poprzedniego wieczoru kazała Franco i całemu Madrytowi czekać na siebie dwie godziny, teraz zrobiła to samo, wystawiając na próbę cierpliwość torreadorów.

– Czy jest dla mnie jakaś wiadomość od don Alberta? – zapytałam, powstrzymując śmiech. Było jasne, że jechałam do pałacu El Pardo, ale nie miałam najmniejszego pojęcia, co mam zrobić, kiedy znaję się na miejscu, do kogo powinnam się udać, czy w ogóle ktoś został uprzedzony o moim przybyciu.

– Nie, proszę pani.

Po zakończeniu wojny domowej Franco wybrał na swoją oficjalną rezydencję ten stary pałac otoczony lasem, który przez stulecia służył jako kwatera łowiecka i miejsce odpoczynku władców z dynastii Habsburgów i Burbonów. Wzniesiona kilka kilometrów od Madrytu budowla wyglądała surowo, a zarazem majestatycznie, z łupkowym dachem i wielką bramą z kutego żelaza. Ku mojemu zaskoczeniu szofer Dodera musiał się tylko przywitać, żeby natychmiast go wpuszczono: jak gdyby na tylnej kanapie, zamiast fałszywej reporterki, wiózł co najmniej ministra. Gdy znaleźliśmy się już na terenie posiadłości, minąwszy ogrody, podjechaliśmy przez szeroki kamienny łuk pod budynek. Zatrzymaliśmy się naprzeciwko dawnego wejścia do stajni. Armando wysiadł pośpiesznie, żeby otworzyć mi drzwi.

O tej samej porze, w innym równie okazałym aucie, doña María Eva Duarte de Perón pozdrawiała dłonią zebranych naprzeciwko areny Las Ventas. W środku tłum rozgrzany półtoragodzinnym oczekiwaniem znowu powitał ją euforycznie, podskakując, żeby dostrzec jej czarną mantylę, i komentując potem, że nad uchem miała wpięte trzy goździki w bordowym kolorze. Towarzyszyli jej

Franco w cywilnym ubraniu, doña Carmen i ich córka w bogatych mantylach na głowach – wszyscy ukrywali złość z powodu kolejnego spóźnienia, uśmiechając się fałszywie, jak gdyby nic się nie stało.

Wieczór miał się rozpocząć od parady uczestników w rytmie paso doble. Matadorami mieli być Gitanillo de Triana, Pepe Luis Vázquez i Argentyńczyk z pochodzenia Raúl Acha, znany jako Rovira. Arenę przyozdobiono herbami i kwiecistymi chustami; trybuny były wypełnione po brzegi. Nikt nie zamierzał wspominać, że zaledwie kilka lat wcześniej, podczas wizyty Himmlera w Hiszpanii, arenę zdobiły swastyki wielkie jak prześcieradła, podczas gdy orkiestra wykonywała niemiecki hymn, a widzowie, wszyscy co do jednego, stali z uniesioną ręką.

– Osoba z wizytą do pomieszczeń pani Perón – oznajmił Armando dwóm żołnierzom pilnującym wejścia. Zabrzmiał pewnie, jak gdyby wypowiadał to zdanie już wiele razy.

Obaj stanęli na baczność, pozwalając mi wejść. Ani o nic nie dopytali, ani nie poprosili, bym się wylegitymowała.

Stukot moich obcasów rozbrzmiał na płytkach wielkiego dziedzińca, ale nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Wahałam się kilka sekund, nawet odwróciłam głowę, żeby zapytać szofera, czy wie, dokąd powinnam się kierować, ale on siedział już z powrotem za kierownicą. Powoli szłam więc dalej.

Mówiono, że obecność argentyńskiej pierwszej damy oraz jej świty zburzyła spokój panujący w tym wspaniałym domu. Przed jej przybyciem należało odświeżyć pokoje, niektóre stare ubikacje wyłożono płytkami od góry do dołu, wymieniono materace i przestawiono wiele mebli i sprzętów. Trzeba było dorobić połączenia elektryczne, punkty świetlne i gniazda, pociągnięto nowe linie telefoniczne, a kable poprowadzono przez dachy i okna. Kiedy madame Perón już się urządziła, bez przerwy przyjeżdżały samochody, przywożąc i odwożąc ludzi, przesyłki, sprawunki i prezenty.

Centrala aż dymiła, dniami i nocami proszono o mnóstwo połączeń z Buenos Aires, żeby pierwsza dama porozmawiała ze swoim mężem albo z jego ministrami.

Z całej świty zatrzymali się tu tylko krawcove, fryzjer i towarzyszka. Mimo to Dodero i Juancito, jak im się żywnie podobało, wchodzili do El Pardo i z niego wychodzili, tak samo jak adiutanci, liczni asystenci, oficjalny fotograf, autor przemówień, ksiądz Hernán Benítez i personel ambasady. O dowolnej godzinie proszono kucharzy o przygotowanie różnych potraw; ciągle rozbrzmiewały polecenia, słyszało się krzątanie i zamykanie drzwi. Wszędzie należało wprowadzić zmiany organizacyjne. W pałacu po raz pierwszy zatrzymał się ktoś nienależący do rodziny, a to całe wojsko zwawych Argentyńczyków zniszczyło dyskretny mieszczański komfort, w jakim mieszkała rodzina Franco. Podobno doña Carmen toczyła pianę z ust, przysięgając na wszystkie świętości, że już nigdy więcej nie wpuści pod swój dach obcych ludzi.

Mimo że mieszkali razem, plotkowano, że Eva Perón widywała się ze swoimi gospodarzami tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Zachowując dystans, robiła, co chciała, w swoich pokojach – nie rezygnując z typowego dla siebie sposobu bycia i mówienia, krzycząc i perorując za każdym razem, gdy miała na to ochotę. Tam, między swoimi, w prywatnej przestrzeni, żonę caudilla nazywała Grubą, choć była chuda jak patyk. O Franco mówiła, że ma zadatki na sklepikarza, a córkę Carmencitę przechrzciała na Podglądaczkę, ponieważ dziewczyna często obserwowowała ją zafascynowana.

Tego popołudnia jednak, w porze corridy, panował wyjątkowy spokój. Przeszłam jeszcze kilka metrów, ale wciąż nikt się nie zjawił. Było gorąco, opóźniony wyjazd na Las Ventas bez wątplenia był nerwowy i nieprzyjemny. Wreszcie jednak pojechali, a cała służba wiedziała, że corrida potrwa wiele godzin. Wieczorem zaś miała się odbyć kolejna uroczysta kolacja zorganizowana przez burmistrza, więc służący nie musieli niczego przygotowywać. Łącząc te fakty, przypuszczałam, że personel korzysta z tymczasowego oddechu, chwili spokoju w środku burzy, może drzemiąc w swoich pokojach, rozwiązując krzyżówki albo słuchając serialu radiowego.

Powoli szłam dalej, z zaschniętym gardłem i ściśniętym żołądkiem. Wchodziłam właśnie do oficjalnej rezydencji szefa hiszpańskiego rządu, jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci na świecie, znanego z braku jakiegokolwiek litości dla tych, którzy mu

się przeciwstawiają. W torebce miałam brytyjski paszport ze zmyślonym nazwiskiem i legitymację BBC, zagranicznej korporacji, dla której w gruncie rzeczy nie pracowałam. Nikt mnie nie zaprosił ani nie wydał pozwolenia, bym weszła do tego budynku, nie licząc argentyńskiego bogacza, przywykłego do robienia wszystkiego wedle własnego upodobania, powodowanego jedynie śmiałością, jaką dają pieniądze. A moja misja polegała na znalezieniu dwóch anonimowych krawcowych; dwóch zwykłych pracowników, a nie żadnych szanowanych osób.

Gdyby stawką w tych podchodach okazało się jakieś nieszczęście, byłam na dobrej drodze.

Weszłam do korytarza pogrążonego w półmroku. Jedyne dźwięki, jakie usłyszałam, to ciężkie tik-tak, tik-tak, tik-tak. Kilkanaście metrów dalej, na pękatej komodzie, znalazłam źródło tego dźwięku: okazały zegar na marmurowej podstawie. Wskazywał dwadzieścia po szóstej.

Na ścianach wisały proporce i herby, obrazy olejne i wielkie gobeliny. Powoli naciskając klamkę, otworzyłam pierwsze drzwi. Za nimi zobaczyłam salę pałacową z niskimi stolikami i fotelami, wielkim żyrandolem i freskami na ścianach; domyśliłam się, że to poczekalnia dla ważniejszych osób. Ostrożnie zamknęłam drzwi i szłam dalej. Moje kroki nie robiły teraz hałasu, na korytarzu leżał bowiem gruby dywan. Chwyciłam kolejną klamkę i powoli nacisnęłam. Drzwi zaskrzypiały, a ja wstrzymałam oddech; ta sala była jeszcze większa, z ogromnym stołem przykrytym adamaszkiem, przy którym równie dobrze mogłoby zjeść posiłek trzydzieści osób, jak i dałoby się organizować tłumne zebranie. Szłam dalej, nie zauważając niczyjej obecności. Troje drzwi dalej musiałam zasłonić dłonią usta, żeby powstrzymać krzyk. Właśnie zajrzałam bowiem, tak mi się przynajmniej wydawało, do gabinetu Franco.

Zawróciłam pospiesznie, zamierzając wyjść z powrotem na dziedziniec; zapuściłam się do paszczy wilka, musiałam stąd wyjść jak najszybciej. W oddali usłyszałam jednak głosy, męskie głosy, ale nie miałam pewności, czy się zbliżały, czy stały w miejscu. Speszona postanowiłam znowu zagłębić się w korytarz. Szłam szybko, szybko, od czasu do czasu odwracając głowę i patrząc za siebie. Skręcałam, szłam innymi korytarzami długimi jak dni bez chleba, ale już się nie zatrzymywałam i nie otwierałam żadnych drzwi. Wreszcie znalazłam schody, przypuszczałam, że zaprowadzą mnie do bardziej prywatnych części, raczej niedostępnych dla gości. Zeszłam na

palcach, nie zatrzymując się. Znowu panowała cisza, było słycać jedynie nieustające tykanie, jak gdyby w całym pałacu porozstawiano setki zegarów. Zdałam się na intuicję: jeśli poprzednio byłam w części, w której witano gości, to logika podpowiadała, że madame Perón i jej świta zostali ulokowani w zupełnie innym miejscu. Pokonawszy długie odcinki korytarzy, poczułam intensywny zapach kwiatów. Wtedy pomyślałam z ulgą, że się nie pomyliłam.

Na wszystkich komodach, stolikach i półkach stały ogromne stroiki, bukiety i kwiatowe kompozycje, rywalizując między sobą kolorami i przepychem. Większość była przepasana wstążkami wskazującymi nadawców. Hiszpańska Organizacja Związków Zawodowych, Sąd Prowincji, Gildia Drukarzy, Bractwo Kolejowe i tak dalej, dziesiątki wyrazów miłości dla argentyńskiej pierwszej damy, emanujących słodkim, niemal odurzającym zapachem.

Meble i dekoracje nadal były pełne przepychu, coś jednak wydało mi się inne. Potrzebowałam chwili, żeby zrozumieć, co to takiego: ściany i sufity były dopiero co pomalowane i miały znacznie jaśniejszy biały kolor niż wyblakły ton całej reszty. Mnóstwo kwiatów, świeża farba i przeciwległa część pałacu: wszystko wskazywało na to, że wreszcie znalazłam się tu, gdzie powinnam być. Choć nikt na mnie nie czekał.

Kostkami dłoni zaczęłam pukać do drzwi, ale za nimi nie odpowiedział mi żaden głos. Powtórzyłam mocniej, zaczekałam. Też nic. Jak już grać, to do końca, pomyślałam sobie wtedy. Podobnie jak robiłam na parterze, zaczęłam otwierać drzwi jedno po drugim. Pierwsze, podwójne i szerokie, prowadziły do salonu – przesadnie udekorowanego, żeby mógł być wygodny. Drugie – do niewielkiej jadalni z okrągłym stołem na osiem osób; wyobraziłam sobie, że właśnie tutaj Eva Duarte jada śniadania albo obiady, kiedy chce uciec od nudnego towarzystwa rodziny Franco. W żadnym z tych dwóch pierwszych pomieszczeń nie znalazłam niczego osobistego, poza mnóstwem kolejnych kwiatowych prezentów.

W trzecim pomieszczeniu jednak wszystko wyglądało inaczej. Z ręką na klamce przez kilka chwil w oszołomieniu obserwowałam wnętrze. Sala była zamieniona w coś w rodzaju garderoby, toaletki,

salonu fryzjerskiego i przebieralni w jednym. Właściwie mimowolnie, nie biorąc pod uwagę ewentualnych nieprzyjemności i konsekwencji, weszłam wolnym krokiem. Tam też nie było nikogo.

Na drążkach do zasłon wisiało kilkanaście sukni wieczorowych, peleryn i szali. Jedwabie, satyny, lamy i aksamity rozlewały z wysoka swoje fale i fałdy i unosiły się w powietrzu, jakby to była garderoba w jakiejś operze. Rzuciłam okiem na modele; wystarczyło mi kilka sekund, by zauważyć dwa zupełnie odmienne style. Niektóre były subtelne i eleganckie, godne prawdziwej dostojniczki podczas oficjalnej wizyty w Europie. Inne, bogato zdobione i krzykliwe, bardziej przypominały kostiumy sceniczne niż stroje pierwszej damy.

Na brokatowych obiciach sof leżały futra i etole: błyszczące lisy, gładkie norki, długa peleryna z gronostajów, sobole. W ogromnej szafie z otwartymi drzwiami wisiały komplety na co dzień. Po lewej znajdowały się garsonki w stonowanych kolorach i z dużymi poduszczkami na ramionach; proste i oszczędne jak żołnierskie mundury, przypominające modę z czasów niedawno zakończonej wojny. Po prawej zaś sukienki poranne, cały wachlarz letnich wzorów, kwiaty, grochy.

Oczarowana tą ekspozycją podeszłam do biurka, które służyło za toaletkę; znajdowały się na nim słoiczki kremów, puderniczki, szminki, pojemniki z talkiem. Chociaż zawsze patrzyłam na nią z daleka, odnosiłam wrażenie, że Eva Perón ma idealną cerę i prawie nie stosuje makijażu, a jedynie maluje usta przyciągającą oko szminką. Wzięłam do ręki pomadkę, rozpoznałam markę. Otworzyłam, przekręciłam podstawę, aż pojawił się słupek w kolorze perłowej mandarynki.

Kolejny stolik, który pierwotnie służył być może do serwowania na nim wybornych przekąsek, był przykryty białym ręcznikiem. Na nim idealnie ułożono przybory fryzjerskie. Szczotki i grzebienie o różnym przeznaczeniu. Lokówki, papiloty, siatki, wałki we wszystkich rozmiarach. Na stojakach z plecionego drutu znalazłam wiele tresiek w kształcie koków i warkoczy. Były także buteleczki z lakierem do paznokci i kilka flakoników perfum.

Pod jedną ze ścian stały dwie komody w stylu empire, na których przechowywano nakrycia głowy. Każde zajmowało własny wieszak: czapki, kaszkiety i wymyślne tiary, toczki z tiulem albo piórami, wielkie letnie kapelusze z rafii, abaki i krynoliny plisowanej; z trudem się powstrzymałam, by któregoś nie przymierzyć. Na podłodze w długim rzędku stały buty, zapewne robione na miarę; naliczyłam ich ponad dwadzieścia par. Z jednej strony znajdowały się te na co dzień, skromniejsze, ze skóry węża, jaszczurki czy ze skóry barwionej. Dalej stały buty wieczorowe, pokryte brokatem i gagatem.

Ze stolika narożnego usunięto parę świeczników, żeby postawić tam mały kufer ze skóry zabarwionej na niebiesko. Próbowałam go otworzyć, lecz bez powodzenia. Domyśliłam się, że to szkatułka na biżuterię i że ktoś pilnie strzegł do niej klucza.

Kiedy byłam jeszcze w Londynie, z raportów Kavannagh nie dowiedziałam się prawie niczego o korzeniach pierwszej damy. *Humble origins*, wspomniano jedynie. Skromne pochodzenie, nic więcej. *Cinderella from the Pampas* – tak nazwało ją prestiżowe amerykańskie czasopismo „Time”. Tutaj, w tej kompletnie odmienionej sali, nawiązanie do kopciuszka nabierało mocy i sensu. Trudno byłoby komukolwiek zgadnąć, że cały ten arsenał należy do kobiety, która nie skończyła jeszcze trzydziestu lat, córki z nieprawego łoża wychowywanej w niedostatku w zapyziałym miasteczku; kobiety o przeciętnej urodzie, bez większych talentów i prawie bez wykształcenia. Podążając za marzeniem o karierze artystki, wrzuciła cztery łachy do starej walizki z preszpanu, włożyła sto razy praną bluzkę, spódnicę z taniego perkalu i parę znoszonych butów odziedziczonych po siostrze. W takim skromnym ubraniu i ze swoją niezłomną odwagą pod pachą wsiadła w pociąg do stolicy. Miała wtedy piętnaście lat i ciemne włosy, żadnych kontaktów ani pieniędzy. Mimo to zdołała utorować sobie drogę do świata słuchowisk radiowych, aż pod wpływem znajomości z Perónem kierunek jej zainteresowań się zmienił, a ona w rezultacie została jedną z najpotężniejszych kobiet na świecie.

Jedni zarzucali jej, że jest despotyczną karierowiczką, inni twierdzili, że świętą dobrodziejką. Jedni ją odtrącali, drudzy ją



uwielbiali. Brakowało mi informacji, żeby wyrobić sobie zdanie. W tym momencie, wobec tej inscenizacji, byłam świadoma, w pełni świadoma, że Eva Perón jest nieposkromiona i niczego się nie boi.

– Mogę w czymś pani pomóc?

O mało nie krzyknęłam. Za moimi plecami usłyszałam głos mężczyzny z argentyńskim akcentem. Moja obecność niewątpliwie go zaskoczyła. Zaskoczyła i zdenerwowała, sądząc po jego tonie. W odnowionej dla Evy Perón części pałacu leżał wspaniały dywan, dlatego nie usłyszałam jego kroków. Zacisnęłam mocno powieki, chciałam się zapaść pod ziemię. Aż w moim umyśle zapaliła się iskra i wykrzyknęłam:

– Don Julio!

Nagle w głowie pojawiły się kompletne dane. Julio Alcaraz, osobisty fryzjer madame Perón. Dojrzały, sumiennie wykonujący swój zawód, głowa rodziny. Poznali się, kiedy ona aspirowała do miana scenicznej gwiazdy; tego celu nigdy nie osiągnęła, ale po drodze nawiązała kilka przyjaźni. Ten fryzjer aktorek był jednym z najsolidniejszych. Spod jego palców wychodziły misterne upięcia w stylu Pompadour, które zdobiły głowę pierwszej damy.

Podeszłam do niego szybkim krokiem, bo nie ruszył się od drzwi. Pięćdziesięciokilkuletni i siwowłosy, zauważyłam, niezbyt wysoki. Był ubrany w jasne spodnie i koszulę rozpiętą na klatce piersiowej, na lewym ramieniu miał zawieszony ręcznik. Bardziej niż podałam mu rękę, złapałam jego dłoń i nieomal zmusiłam go, żeby mi ją uścisnął.

– To dla mnie wielka radość, że mogę pana poznać. Jestem tutaj z polecenia pana Dodera, osobiście upoważnił mnie do spotkania z panem i jego koleżankami.

Stał nieruchomo, milczący, wciąż z surowym wyrazem twarzy. Kim, do diabła, jest ta intruzka, która wdarła się do naszego sanktuarium, musiał sobie pomyśleć. Ja też się nie spodziewałam, że go spotkam, teraz jednak wiedziałam, że muszę go do siebie przekonać.

– Don Alberto nalegał, żebym poznała także pana. Wykonują państwo niezwykłą pracę, żeby podkreślić styl madame Perón i żeby ta podróż okazała się sukcesem.

Dodero. Don Alberto. Don Alberto Dodero. Poczułam, że być może w tym tkwi klucz do tego, aby moja obecność nie wzbudzała podejrzeń: powinnam podkreślać, że przybyłam do nich wspierana przez magnata, chociaż on najwyraźniej zapomniał albo nie zdążył ich o tym uprzedzić. Ale fryzjer wciąż pozostawał obojętny na moje słowa. Z kieszeni jego koszuli, niczym znak rozpoznawczy, wystawała końcówka grzebienia.

Wobec braku reakcji mój mózg pracował na pełnych obrotach. Uprzejmość nie była najwyraźniej odpowiednią bronią. Zdecydowałam się więc na inną strategię, przypominając sobie stare motto, że nie ma lepszej obrony niż dobry atak.

– Ogromnie się cieszę, że wreszcie ktoś przyszedł na nasze spotkanie, bo czekam już od dłuższej chwili.

Wtedy owszem, zmienił wyraz twarzy, kwestionując moje słowa ściągnięciem brwi.

– Nie dostali państwo wiadomości od don Alberta?

Teraz to ja byłam poważna. W moim głosie zabrzmiały nutki niedowierzania i irytacji, a na mojej twarzy pojawił się udawany grymas wyrzutu.

– Ci posłańcy to kompletni nieudacznicy – burknęłam z udawanym oburzeniem. – Powinni byli państwa uprzedzić o moim przybyciu. Nasze spotkanie zostało zaplanowane punktualnie na szóstą, bardzo mnie zdziwiło, że nie zastałam tu państwa o tej porze.

Wreszcie zareagował, unosząc ramiona, zakłopotany.

– Nie wiedzieliśmy, że...

Starłam się nie okazywać radości. Cel już osiągnęłam. Już to miałam. Mimo to naciskałam jeszcze trochę. Na wszelki wypadek.

– Możliwe, że to nie państwa wina, ale to spóźnienie sprawiło, że poczułam się bardzo niezręcznie i nie wiem, czy nie pociągnie to za sobą jakichś konsekwencji...

Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak zuchwale, ale nie znalazłam innego sposobu, by przeciągnąć go na swoją stronę. Eva Perón słynęła ze swojego temperamentnego charakteru i żywiołowych reakcji; było jasne, że fryzjer Alcaraz nie miał najmniejszego zamiaru wywoływać u niej napadu furii.

– Już je wołam... – wymamrotał oschle.

Wyszedł, a ja ruszyłam za nim, teraz bez pośpiechu. Skierował się do drzwi na końcu korytarza, zostałam kilka metrów z tyłu, czekając. Gdy je otworzył, na pierwszym planie zobaczyłam trzy ogromne skrzynie, za nimi wysoki stos kapeluszy, a jeszcze dalej nogi łóżka, być może było to łóżko samego Alcaraza – zawsze przy doñi Evie, żeby ją czesać i rozplatać fryzurę, gdy tego potrzebuje.

Widziałam, jak otwiera okno i na zewnątrz wykonuje gesty, machając z werwą prawą ręką. Chyba nikt nie odpowiedział, bo próbował dalej, poruszając teraz obiema rękami niczym skrzydłami wiatraka. Bez rezultatu. W końcu nie pozostało mu nic innego, jak włożyć palce do ust, żeby głośno zagwizdać w stronę królewskich ogrodów Jego Ekscelencji.

Krawcowe zjawily się po kilku minutach, zakłopotane i zdezorientowane. Zaalarmował je nagły gest don Julia wołającego je z okna – znak, że coś jest nie tak, jak powinno.

Asunta Fernández, z domu mody Henriette, była po czterdziestce, włosy miała związane jedwabną chustą. Juanita Palmou, *de la maison* Paula Naletoff, musiała być w podobnym wieku, w rękę trzymała okulary przeciwsłoneczne i jasny słomkowy kapelusz. Pierwsza była wysoka i chuda, druga miała bardziej zaokrągloną figurę i rozgrzaną skórę. Spodziewałam się, że obie będą młode, wyobrażałam sobie dwie urocze asystentki zajmujące się prasowaniem ubrań i zapinaniem guzików – takie dziewczyny jadłyby mi z ręki. Nie kryłam więc zaskoczenia, gdy zobaczyłam dwie dojrzałe kobiety, takie jak moja matka, kiedy pracowała w warsztacie doñi Manueli. Tyle że one pochodziły z Buenos Aires, gdzie było znacznie więcej przepychu i pieniędzy niż w biednym przedwojennym Madrycie. Ja sama jako krawcowa ominęłam ten pośredni etap: z młodej szwaczki z potencjałem stałam się właścicielką własnego atelier, najpierw w Tetuanie, a później w dzielnicy Salamanca w Madrycie. Ale one nie musiały o tym wiedzieć.

Przywitałam się bez lekkomyślnej arogancji, którą okazałam fryzjerowi, aby pokonać jego nieufność. Mimo to wciąż naciskałam odpowiednie sprężyny, żeby przeciągnąć je na swoją stronę.

– Jestem tutaj dzięki pośrednictwu don Alberta Dodero – podkreśliłam. – Bardzo ubolewam, że nikt nie uprzedził pań o moim przybyciu.

Czekałam na jakąś reakcję, ale obie milczały jak zakłute, wyraźnie skrepowane. To był dla nich pracowity i ciężki dzień, jak wszystkie od czasu przyjazdu do Hiszpanii. Nie, nie od czasu przyjazdu, być może należałoby się cofnąć jeszcze dalej. To był dla nich pracowity

i ciężki dzień, jak wszystkie, odkąd do ich *maisons de couture* przyszła prośba, żeby wyznaczyć dwie pracownice, które odpowiadałyby za garderobę pierwszej damy w czasie jej podróży do Europy. Nie była stałą klientką żadnego z tych domów mody, jedynie okazjonalnie korzystała z ich usługi od poprzedniego roku po tym, jak generał Perón objął urząd prezydenta. Nawiasem mówiąc, oba domy mody prawie nigdy nie obsługiwały jej z przyjemnością. Renomowane atelier i punkty sprzedaży – zarówno Henriette, jak i Paula Naletoff – od lat ubierały kobiety ze stołecznej arystokracji. Te, które miały gust, klasę, nazwisko, własne opinie i mnóstwo pieniędzy. Te same, z którymi żona prezydenta toczyła otwartą wojnę – albo one z nią, to nie miało znaczenia.

Prośba spadła na obie firmy niczym grom z jasnego nieba. W obawie, że zdenerwują albo nawet stracą swoją wyjątkową klientelę, nie chciały, żeby ich nazwy otwarcie łączono z żoną prezydenta. Ale odmowa byłaby zuchwałością. Nikt nie odmawiał niczego Evie Perón. A ten, kto by się ośmielił to zrobić, musiałby ponieść konsekwencje. Oczywiście oba domy mody ostatecznie się zgodziły i specjalnie dla madame Perón uszyły wiele strojów. A także zaproponowały Asuntę Fernández i Juanitę Palmou jako towarzyszek: dwie zaufane pracownice, rozsądne i odpowiedzialne, które wypełniały swoje obowiązki z największym profesjonalizmem.

W dniu mojej wizyty przewidziane aktywności pierwszej damy wymagały od nich przygotowania czterech kreacji: poranek w pałacu, poranek na zewnątrz, popołudnie na *corridzie* i uroczysta kolacja. Być może dlatego, kiedy zakończyły swoje zajęcia i orszak wyruszył w stronę Las Ventas, one pozwoliły sobie na chwilę odpoczynku i nabrały ochoty na wizytę w pałacowym basenie. Teraz, sądząc po ich zachowaniu, uznały, że to nie był zbyt dobry pomysł. Nikt nie dał im pozwolenia, ponieważ nie było nikogo, kogo mogłyby o nie zapytać: ich jedyną szefową była pierwsza dama, okazjonalnie także don Alberto Doderó. Pod ich nieobecność same udzieliły sobie zezwolenia na odpoczynek, a teraz, stojąc przede mną milcząco, w duchu żałowały tego błędu.

– Przysłało mnie BBC z Londynu, żebym relacjonowała wizytę madame Perón w Hiszpanii. Przygotowuję reportaż, który będzie

poruszał różne kwestie, a wśród nich elegancja doñi Evy odgrywa ważną rolę. Pan Dodero upoważnił mnie do rozmowy z paniami. Osobistą decyzją don Alberta jest także to, żeby nie niepokoić pani Perón komentarzami dotyczącymi tego spotkania.

Zabrzmiałam przekonująco. Bez kręactwa ani pochlebstw, przedstawiając im prawdę. Prawdę, która z kolei zawierała w sobie oczywiście olbrzymie kłamstwo na temat tego, kim jestem. Trochę się rozluźniły, ale ani się nie ruszyły, ani nie odezwały.

– Muszą też panie wiedzieć – dodałam – że nie łączą mnie żadne związki z oficjalnymi hiszpańskimi władzami ani z tym pałacem. Jestem tylko, tak samo jak panie, osobą, która wykonuje swoje obowiązki.

– A tak dokładniej, czego panie od nas chce?

Wreszcie odezwała się ta wyższa, z chustką we włosach. Wyglądała na kogoś, kto nie marnuje czasu na głupstwa; mgliście przypominała mi moją matkę sprzed lat – szacowna i poważna, zawsze na swoim miejscu. Z raportów Kavanaugh znałam jej tożsamość, ale teraz się nie przyznałam.

– Pani Palmou czy pani Fernández? – zwróciłam się do niej.

– Asunta Fernández, kierowniczka atelier w domu mody Henriette z Buenos Aires, do usług.

Mówiła po hiszpańsku z mieszanym akcentem, lekko argentyńskim nałożonym na kastylijski. Pomyślałam, że może jest emigrantką, jak wiele innych osób, które przeniosły się do tego kraju dobrobytu. Mojej uwadze nie uszło też spojrzenie, które rzuciła fryzjerowi. Domyśliłam się funkcji każdego z tej trójki. Julio Alcaraz był najstarszy i zarazem cieszył się największym zaufaniem pierwszej damy. Dlatego zanim zgodziłaby się na moją prośbę, chciała się z nim skonsultować; nie tyle z należnego mu szacunku, co raczej z obawy, że wygada się podczas czesania doñi Evy. Z dwóch krawcowych to Asunta Fernández grała pierwsze skrzypce, ale inicjatywa, żeby tego popołudnia spędzić chwilę w basenie, zapewne wyszła od Juanity, kobiety o mniej surowym wyglądzie. Pomysł był absurdalny – wydawało się, że co do tego zgadzała się teraz cała trójka. Wprawdzie niemal od tygodnia wszyscy siedzieli w zamknięciu, pracując pod presją, ignorowani przez pozostałych,

odosobnieni, osamotnieni, często wykonujący również pomniejsze zadania nieprzystające do ich stanowisk, ponieważ madame Perón podróżowała bez pokojówki czy osobistych asystentek, a w El Pardo nie przydzielono jej żadnej służącej. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby wyrwać ich stąd na kilka godzin, żeby mogli pospacerować po Madrycie albo chociaż napić się marnej orszady; nikt nawet nie pamiętał o ich istnieniu. Podczas gdy w Buenos Aires prowadzili niezależne życie, wychodzili i przychodzili, kiedy chcieli, sami podejmowali decyzje, mieli dobre pensje i własne mieszkania, teraz spali w pokojach dla służby; on w otoczeniu pustych kufrów, one dzieląc wąskie pomieszczenie, na lichych łózkach.

Nieznacznym skinieniem głowy fryzjer wydał wreszcie swoje zezwolenie. Wtedy kobiety zaczęły mi opisywać najważniejsze kreacje madame Perón, przeznaczone na różnego rodzaju uroczystości – najpierw proste, sztywne, później nieco luźniejsze. Wahałam się, czy wyjąć swój notatnik i zapisywać, albo przynajmniej udawać, że coś notuję. Postanowiłam go jednak nie wyciągać; uznałam, że dzięki temu będą się czuć swobodniej.

Od początku stało się dla mnie jasne, że – poza kilkoma wyjątkami – zasadniczo nie było z góry zaplanowanego terminarza: one proponowały kreacje w zależności od programu dnia, a madame podejmowała decyzje na bieżąco. Część strojów znałam już z uroczystości, na których pierwsza dama miała je na sobie, inne były dla mnie nowe. Kobiety pokazywały mi je i dziękowały za moje spontaniczne spostrzeżenia, podzielałyśmy też wiele opinii. Rozumiałyśmy się w lot, ale nie mogło być inaczej, wszak mówiłyśmy tym samym językiem. Krepa mongolska, jedwab charmeuse, szyfon, matowa satyna.

W miarę jak oglądałam kolejne rzeczy, utwierdzałam się w przekonaniu, że istnieją dwie odmienne kategorie kreacji. Z domów mody, w których pracowały obie krawcowe, oraz z jeszcze jednej ekskluzywnej firmy pochodziły stroje bardziej *haute couture*, prostsze i eleganckie. Spod zupełnie innych rąk – niejakiego Jamandreu, jak powiedziały – wyszły nieco bardziej zbytkowne ubrania: błyszczące, nadmiernie marszczone i drapowane, niektóre ozdobione nawet piórami marabuta.

Znalazłyśmy wspólny język i dzięki temu kobiety stopniowo nabierały do mnie zaufania, a kiedy don Julio zniknął na chwilę, podzieliły się nawet małymi sekretami. Że one i doña Lillian próbowały przekonać fryzjera, żeby czesał madame w mniej filmowym i pompatycznym stylu, bez tych obfitych loków i uniesionych włosów, tresek czy bananów. Że one i doña Lillian próbowały doradzić madame, żeby wybierała bardziej harmonijne, a mniej pstrokate stroje. I że ostatecznie zawsze, bez wyjątku, doña Eva robiła to, na co miała ochotę.

– Powinna nosić właśnie coś takiego jak pani – zaznaczyła Juanita, oglądając dokładnie mój *tailleur*.

Z wyrazem aprobaty Asunta poruszała głową w górę i w dół. Miałam na sobie kostium z piaskowej krepy, zupełnie nieprzystający do sztywnego wzorca, jaki narzuciła wielka wojna, a jednocześnie bez przesady. Z lżejszymi poduszczkami na ramionach, mocniej zaznaczoną talią i szerszą spódnicą. To nie była moja kreacja, ale podziękowałam za komplement.

– A ten strój?

W palcach trzymałam rąbek bardzo długiej sukienki z błękitnej koronki, usianej cekinami. Obie odwróciły głowy w stronę drzwi, żeby sprawdzić, czy fryzjer wciąż jest na zewnątrz.

– To wyjątkowy model od Any de Pombo. Pani trzyma go na wypadek, gdyby ostatecznie wybrała się do Londynu – oznajmiła powściągliwie Asunta. – W razie gdyby...

Juanita jej przerwała.

– W razie gdyby ostatecznie przyjęła ją brytyjska para królewska.

Zrobiłam się czujna. Właśnie tego chciałam się dowiedzieć. I nie musiałam nawet o to pytać.

– Ale... – badałam grunt – ten etap podróży jeszcze nie jest pewny, prawda?

Spojrzały na siebie, jak gdyby chciały coś uzgodnić.

– Ta sprawa – przyznała Asunta – jest dla doñi Ewy źródłem goryczy, jeśli mamy być z panią szczerze.

O to mi właśnie chodziło. Wyteńczyłam słuch, wyostrzyłam zmysły. Żeby ukryć moje zainteresowanie, udałam, że dalej podziwiam suknię, skupiona teraz na dołączonej pelerynie. Była przyozdobiona



strusimi piórami, a po włożeniu musiała się ciągnąć po ziemi co najmniej metr. Przyciągający wzrok zestaw był zbyt jaskrawy, niemal karnawałowy.

– A od czego zależy, czy pojedzie do Anglii, czy nie? – zapytałam mimochodem, pozwalając, by tkanina prześlizgiwała się między moimi palcami.

Asunta westchnęła, jakby ten temat ją już nużył.

– Chociaż nie powiedziała tego publicznie, czeka na oficjalne zaproszenie z pałacu Buckingham. Chciałaby się tam zatrzymać i, podobnie jak w Hiszpanii, być traktowana z honorami głowy państwa. Sprawdzają terminy. Słyszałam, że mogłaby tam pojechać przed dwudziestym lipca, po wizytach we Włoszech i Francji.

Ponownie wzięłam do ręki materiał cudacznej peleryny, w której miała nadzieję przemierzać sale, schody i korytarze pałacu Buckingham. A więc o to chodziło. Evita domagała się królewskiego protokołu. *Tête à tête* z monarchami.

– I pani mówi, że albo para królewska się zgodzi, albo ona się tam nie pokaże.

Nie mogłam powstrzymać smutnego uśmiechu. Duże miała aspiracje ta zuchwała Eva Duarte de Perón, szykując sobie tę rzekomo królewską pelerynę, która wyglądała jak wyciągnięta z hollywoodzkiego melodramatu. Być może od nikogo ze swojego otoczenia nie usłyszała, jak trudne i pełne wyrzeczeń czasy panują teraz w Wielkiej Brytanii i że najważniejszą sprawą dla rządu i mieszkańców jest przetrwanie. A może o tym wiedziała, ale jej to nie obchodziło.

– Londyn to jedno z jej dwóch głównych zmartwień – podkreśliła Juanita. – Wspomina o tym co chwilę i dopytuje, czy przyszło już zaproszenie, za każdym razem, gdy telefonuje do Argentyny i rozmawia z prezydentem albo ministrami.

– Wie, że w Hiszpanii odniosła sukces, i dla niej ten etap jest już zaliczony – wyjaśniła jej koleżanka. – Teraz interesują ją Londyn i Ojciec Święty.

Uniosłam brwi, zaciekawiona. W tym momencie nie musiałam nawet zadawać pytań. Na szczęście dla mnie, długie dni odosobnienia bez możliwości zamienienia z kimś słowa, moja

pozorna bliskość i delikatne znudzenie rozwiązały krawcowym języki.

– Proszę spojrzeć, tę sukienkę włoży w Watykanie.

Pokazały mi czarną ekstrawagancką szatę, która zwisała z drążka na zasłony, z peleryną, kapturem i szerokim dołem. Odnosiłam wrażenie, że w środku zmieściłyby się trzy Ewy.

– To projekt madame Grès dla domu Bernardy Meneses. Będzie go nosić razem z Krzyżem Wielkim Orderu Izabeli Katolickiej na piersi podczas audiencji u papieża Piusa Dwunastego, zobaczymy, czy uda jej się sprawić, żeby nadał jej tytuł markizy – wyjaśniła Asunta. Twarz miała niesamowicie poważną, wydawało mi się jednak, że w jej tonie wyczułam delikatną nutkę sarkazmu. Potem dodała: – Żeby Ojciec Święty zrobił z niej papieską markizę, tego właśnie chce.

– Jeśli jej się to uda – dodała Juanita – do pełnego sukcesu podróży będzie już tylko brakować wejścia do pałacu Buckingham w wielkim stylu.

– A... nie zadowoliliby się mniej oficjalnym zaproszeniem? – sondowałam.

Razem przeniosły błękitną pelerynę, zsynchronizowane i nie patrząc na mnie, używając swoich czterech zwinnych rąk. Parę cekinów spadło na podłogę i Asunta się schyliła, żeby je podnieść. Stamtąd, w kuckach, uniosła głowę w moją stronę.

– Albo przyjmie ją Korona, albo nic z tego.

Gdy tylko wróciłam do swojego pokoju przy ulicy Pinara, zabrałam się do spisywania wszystkiego, co krawcowe powiedziały na temat madame Perón i Wielkiej Brytanii. Siedząc przy biurku przy otwartym oknie wychodzącym na ogród, najpierw sporządziłam kilka szybkich notatek, które później zamierzałam spalić zapalką nad sedesem. Następnie wyjęłam przywiezioną z Londynu maszynę do pisania i przypomniałam sobie sztukę maszynopisania, którą poznawałam pod okiem przydzielonej mi srogiej nauczycielki. Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd musiałam przejść ten przyspieszony kurs; później przyleciałam do Madrytu, zostawiając za sobą Olivię i The Boltons, BBC z Arą i Camachem, Kavannagh i jego ludzi. To wszystko wydarzyło się w bardzo nieodległej przeszłości, czasami jednak miałam wrażenie, że minęły długie miesiące. Zdziwiło mnie, kiedy sobie uświadomiłam, że zamiast odczuwać ulgę po opuszczeniu tego obcego mi Londynu, będąc teraz w mojej nieszczęsnej i przygnębionej Hiszpanii, z biegiem dni coraz bardziej doceniałam Anglię i Anglików. Chociaż mój pobyt wśród nich był krótki, udzielili mi wspaniałych lekcji pragmatyzmu, godności i hartu ducha.

Ale to nie był dobry moment na nostalgię, musiałam się skoncentrować. Słońce powoli zachodziło tego jednego z najdłuższych dni w roku, a ja zaczęłam szybko pisać, stosując metody podobne do tych z czasów atelier przy Núñez de Balboa i nazistowskich klientek. Szczegółowo opisałam oczekiwania żony prezydenta Peróna i jej naciski, by zaproszenie przyszło od monarchy. Uznałam, że warto także wspomnieć o jej zainteresowaniu otrzymaniem od papieża tytułu markizy, po tym jak w Madrycie została odznaczona Krzyżem Wielkim Orderu Izabeli Katolickiej – być może Anglicy powinni się przygotowywać, w razie

gdyby musieli zaoferować jej jakieś ważne odznaczenie. Gdy skończyłam, wyjęłam kartkę z wózka, złożyłam ją na pół, wsadziłam do koperty i ukryłam w podwójnym dnie walizki, razem z innymi krótkimi raportami, które sporządzałam w poprzednich dniach. Zaplanowano, że spotkam się z moim kontaktem następnego dnia, czyli ostatniego dnia wizyty pani Perón w Madrycie. Jeszcze nie wiedziałam, kto jest tym łącznikiem, nie znałam też miejsca ani godziny.

Otworzyłam szafę na oścież i moja garderoba, choć pełna stylu i dobrego gustu, nagle wydała mi się niebywale skromna. Szybko się zdecydowałam: miałam niewiele czasu i nie mogłam liczyć na osobistego fryzjera ani zwinne szwaczki, które pomogłyby mi się przyszykować. Na kolację w Ritzu tego wieczoru zapraszała madame Perón w ramach wdzięczności za gościnność generalissimusa. Następnego dnia miała wyruszyć w tournée do innych zakątków Półwyspu Iberyjskiego.

Biuro Informacji Dyplomatycznej przysłało po nas kilku szoferów; tym razem nie przyjechał po mnie Diego Tovar, ale spotkałam go po przybyciu na plaza de la Lealtad – czekał w nieskazitelnym fraku, z wyciągniętą ręką, gotowy, by pomóc mi wysiąść z auta. Jako człowiek, który zawsze wiedział, jak się zachować, doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie jest dobry moment, by obsypywać mnie komplementami. Jego pełne uznania spojrzenie było jednak wymowne.

W oczekiwaniu na argentyńską pierwszą damę obok hotelu zebrał się tłum. Ciekawscy oddawali się taniej rozrywce polegającej na obserwowaniu gości. Mieszkańcy innych dzielnic, którzy wybrali się na wieczorny spacer, telefonistki, studenci, marzący o karierze w świecie rozrywki, sprzedawczynie, manikiurzystki i praktykantki, dzieciarnia, plotkarze i mnóstwo służących z szanowanych pobliskich domów – wszyscy oni oraz jeszcze więcej osób zmieściło się w tłumie, który wiwatował, schlebiał i oklaskiwał każdego bez wyjątku, kto wchodził na przyjęcie.

– Ta w niebieskiej sukience, ta w niebieskiej sukience! – krzyczeli, gdy przechodziłam. – Piękna! Pięknaaa!

To masowe zgromadzenie najwyraźniej ani trochę nie podobało się mojemu towarzyszowi. Ale w tych dniach, kiedy niemal wszystko było zakazane albo ocenzurowane, władze wydały stanowczy nakaz, aby w żadnym wypadku nie powstrzymywać przejawów spontanicznego entuzjazmu. Tak więc Diego Tovar, ubrany na galowo i ze mną pod ramię, nie miał innego wyjścia, jak robić dobrą minę do złej gry.

W miarę jak zbliżaliśmy się do wielkich drzwi z czarnego żelaza, tłum stawał się coraz gęstszy. Czuło się jednak pewną kontrolę: jedna sprawa to pozwolić ludowi na krzyki, a druga – nie dopuścić, by lud wcisnął się do środka. I za to odpowiadała grupa mężczyzn stojących sztywno w pobliżu wejścia. Bez okrzyków i okłasków, z poważnymi twarzami i zimnymi spojrzeniami. Ich zadanie polegało na tym, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli.

Już blisko wejścia pojawił się fotograf. Właśnie miał wcisnąć spust migawki, żeby uwiecznić nas na zdjęciu, kiedy – pośród zbiorowego entuzjazmu – został niechcący popchnięty. Potknął się i w tym momencie nadepnął na brzeg mojej szerokiej sukienki. Gdy moje kroki gwałtownie zatrzymano, nie miałam innego wyjścia, jak puścić Diega Tovarą. Przez chwilę bałam się, że stracę równowagę i się przewrócę. Minęło kilka stresujących sekund, które wydawały się wiecznością, nim ktoś za moimi plecami, kogo nie mogłam widzieć, przytrzymał mnie mocno w pasie i nie dopuścił do tego, bym padła jak długa. Spłynęła na mnie fala ulgi, gdy na powrót odzyskałam pion; dyskretnie doprowadziłam się do porządku i, jeszcze oszołomiona, odwróciłam się, żeby podziękować mojemu wybawcy.

– Nie ma za co.

Jego głos brzmiał głębiej, niż pamiętałam, a rysy twarzy wydały mi się bardziej ostre. Miał na sobie nieco pognieciony garnitur średniej jakości, zakola zapowiadały łysienie w niezbyt odległej przyszłości. Poza tym wyglądał tak samo. Ignacio Montes, mój pierwszy narzeczony, własnymi rękami zapobiegł właśnie mojemu upadkowi w miejscu publicznym. Tymi samymi rękami, które dawniej mnie dotykały, które witały mnie każdego popołudnia przy drzwiach atelier, gdy kończyłam pracę, te same, które zimą podarowywały mi różki z pieczonymi kasztanami, a latem gałązki jaśminu kupione za

dwa reale. Ręce, na których miała błyszczeć obrączka małżeńska, wiążąc nas na całe życie, gdyby nie wszedł między nas pewien łajdak, który teraz udawał Argentyńczyka i wrócił do Madrytu, prześlizgując się w rytmie bezczelności i tanga.

Nie zamieniliśmy ani słowa więcej. Milczący pośród tłumu, po prostu patrzyliśmy sobie w oczy. Aż w końcu, w geście pożegnania, Ignacio podniósł dwa palce, jakby dotykał róna kapelusza, którego nie nosił. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko oderwać od niego wzrok i iść dalej, znowu trzymając pod rękę mężczyznę, którym nie był on, ponownie słyszałam komplementy, odgłosy fleszy, krzyki, oklaski. Za sobą zostawiałam kawałek dawnego życia i człowieka, który dalej wykonywał swoje obowiązki, nadzorując podwładnych, aby nic tego wieczoru nie wymknęło się spod kontroli. Gdzieś głęboko we mnie została szczypta nostalgii.

Ofiarowując mi swoje opiekuńcze skrzydła, nieświadomy mojego spotkania z przeszłością, Diego poprowadził mnie do westybulu.

– Pozwoliłem sobie poprosić, żeby posadzono cię przy moim stole. Myślę, że jest ktoś, kogo chciałabyś poznać ze względu na swój reportaż.

Zazwyczaj dostawałam miejsce obok moich rzekomych kolegów po fachu, wśród których coraz mniej było tych zagranicznych i niezmiennie dużo tych krajowych. Tymczasem Diego, jako dyrektor Biura Informacji Dyplomatycznej, zwykle trafiał do bardziej znaczących kręgów. Skinęłam głową roztargniona, wciąż mając w pamięci obecność mojego poczciwego Ignacia.

Stopy zaczynały już wszystkich boleć od długiego czekania na stojąco, kiedy – jak zwykle z opóźnieniem – poruszenie i zgiełk zapowiedziały przybycie Jego Ekscelencji i argentyńskiej pierwszej damy. Na szczęście, jako że funkcje gospodarzy pełnili tego wieczoru Argentyńczycy, po zakończeniu obowiązkowych hymnów państwowych nie było żadnych oficjalnych prezentacji, więc wkrótce zasiedliśmy do kolacji. Z daleka zauważyłam, że na ten pożegnalny wieczór madame Perón ubrała się według własnego uznania, zupełnie lekceważąc rady swoich dyskretnych szwaczek, i uczesała jak na galę Metro-Goldwyn-Mayer, a nie oficjalną kolację w pruderyjnym Madrycie czterdziestego siódmego roku. Suknia

o kroju syreny ze srebrnym połyskiem, a do tego bardzo długi szal przyczepiony do włosów. Ogromne kolczyki, okazały naszyjnik, pierścienie, bransoletki, szarfa i broszka. Don Julio przeszedł samego siebie, jeśli chodzi o użycie utrwalacza; zwinięta blond treska miała piędź wysokości. Generalissimus nie był ubrany w mundur, lecz frak, i miał na sobie Order Złotego Runa; na piersiach pozostałych gości błyszczały rodzinne klejnoty i odznaczenia, szarfy, orderzy i medale za zasługi. Otoczona tyloma szacownymi osobami, w mig wyłapałam szepty: Franco ani trochę się nie spodobało, że goszczona przez niego argentyńska pierwsza dama na swój ostatni wieczór w Madrycie nie przypięła Krzyża Wielkiego Orderu Izabeli Katolickiej, który nadał jej osobiście.

Odnosiłam wrażenie, że wszyscy prócz mnie znają się przy tym długim stole, gdzie siedziało ponad dwudziestu gości. Osobą, która zdaniem Diega Tovara mogłaby mnie zainteresować, okazał się otyły mężczyzna o pulchnej twarzy i kręconych włosach zaczesanych do tyłu z dużą ilością pomady. Nie pierwszy raz go widziałam: stale bywał na uroczystościach. Nazywał się Agustín de Foxá i był drugim sekretarzem ambasady Hiszpanii w Buenos Aires. Hrabia de Foxá, jak zwykł się przedstawiać.

Wspaniała jadalnia w Ritzu emanowała przepychem tego pożegnalnego wieczoru, pełna bujnych roślin i okazałych lamp – wielki zbytek w mrocznym powojennym Madrycie, gdzie na ulicach prawie nie było świateł, a ludzie kradli żarówki z latarni i kable z przewodów miejskich, żeby wyciągnąć z nich miedziane druty, a potem sprzedać je na Rastro. Mimo respektu, wynikającego z obecności głowy państwa i pierwszej damy Argentyny, panował wesoły nastrój: wielu z obecnych odetchnęło z ulgą, ponieważ począwszy od następnego dnia odpowiedzialność za wizytę przechodziła na inne miasta. Jedź z Bogiem, dobra kobieto – myśleli bez wątpienia. Baba z wozu, koniom lżej. Koniec przygotowań i poleceń, wymogów, pilnych potrzeb, hysterii i nerwów, żeby wszystko wyglądało idealnie, żeby olśnić żonę argentyńskiego prezydenta, wychwalać wizerunek caudilla i wysłać światu wiadomość, że reżim ma się świetnie.

Miałam Diega Tovarę po mojej prawej stronie i nudnego urzędnika z jakiegoś ministerstwa po lewej, gdy bankiet się rozpoczął. Jeden z sąsiadów, wiedząc o moim powiązaniu z BBC, wyrzucił z siebie długi monolog na temat polowania w Anglii; udawałam, że słucham go z zainteresowaniem, podczas gdy tak naprawdę moje oczy i uszy pozostawały czujne na to, co działo się w pozostałej części stołu. Bez wątplenia najwięcej mówił Foxá – wprawnie i żartobliwie zaczął właśnie opisywać niedawną podróż po Ameryce Południowej. Lima to Sewilla z trzęsieniami ziemi – opowiadał, jedząc pospiesznie przystawki. Jezioro Titicaca to Morze Śródziemne uniesione jak kieliszek. Nocne Rio de Janeiro z góry wygląda cudownie, niesamowicie, robi większe wrażenie niż Konstantynopol. Wszyscy wokół przyklaskiwali jego spostrzeżeniom, on tymczasem między jednym zdaniem a drugim pochłaniał wino i jadło.

– Hiszpania jest dla Argentyny absolutnym zerem – oznajmił później z kieliszkiem białego wina uniesionym wysoko niczym sztandar. – Bogaci i wykształceni z Río de la Plata albo uwielbiają anglosaski snobizm, albo za wzór stawiają sobie Francję i wszystko, co francuskie. Wobec Hiszpanii natomiast nie czują nic prócz obojętności, jak gdybyśmy w ogóle nie istnieli. Już nawet nie pamiętają o tym, ile znaczyliśmy na tych ziemiach przez całe stulecia; dla nich jesteśmy już tylko krajem emigrantów. Jesteśmy im znani tylko jako nieokrzesani Galisyjczycy. Uparci, skąpi półdiodoci. W tym samym worku co Andaluzyjczyk łąduje Aragończyk czy Walencjanin, bo dla nich wszyscy jesteśmy Galisyjczykami, zdolnymi jedynie do tego, żeby zostać portierami, kelnerami, sklepikarzami albo murarzami z chustą na głowie zawiązaną na cztery supełki. Wiedzą państwo, w jaki sposób ministrowie Peróna przyjmują najczęściej ambasadora Areilzę? Idzie ten głodujący Galisyjczyk, mówią, ciekawe, czego zechce.

Foxá mówił dalej, czarując słuchaczy swoimi opowieściami. Kiedy podawano łososia Bidasoa, ściągnął już na siebie uwagę całego stołu, niczym primadonna. Tym, którzy siedzieli nieco dalej i nie docierał do nich jego głos, sąsiedzi z największą uciechą przekazywali słowa i opinie trzeciego hrabiego de Foxá i markiza de Armendáriz, falangisty jeszcze sprzed wojny domowej, zawodowego dyplomaty,



publicysty, pisarza i poety. Nawet osoby siedzące przy niektórych pobliskich stołach nadstawiały uszu, czekając na jego zabawne historie. Z rzadkimi wyjątkami, do jakich się zaliczałam, wszyscy obecni w jadalni bez wątpienia przeczytali jego powieść *Madrid, de Corte a checa*. Przedstawił w niej losy nacjonalistów w czasie wojny w republikańskim Madrycie, cierpienie tej części społeczeństwa, do której należeli oczywiście wszyscy tu obecni.

– Jak mam nie być prawicowcem – zawołał z dumą – skoro jestem gruby, jestem hrabią i palę cygara!

Wyglądało na to, że jego cięty język tylko u dwóch osób nie wywoływał żadnego zainteresowania. Jedną był mój sąsiad, który nadal głądził o bażantach i kuropatwach, dzikach i jeleniach. Druga siedziała na skos ode mnie, ją też już wcześniej widziałam, na innych przyjęciach i spotkaniach, choć tylko z daleka: niezwykle atrakcyjna młoda kobieta, która wyróżniała się wzrostem i bardziej światowym stylem niż pozostałe cnotliwe damy wchodzące w skład świty doñi Carmen Polo. Podczas gdy Foxá wywoływał kolejną falę śmiechu, opowiadając jedną ze swoich anegdot, obserwowałam tę kobietę ukradkiem. Niewzruszona, wpatrywała się w swoje danie i skrobała je nożem do ryby; skupiona na samej sobie, nawet nie jadła. Była ubrana w suknię w kolorze wiśni bez rękawów, miała długą szyję, ciemnokasztanowe włosy, piękne rysy i smutnie opuszczone powieki.

Zabrano talerze, przyniesiono chateaubriand z ziemniakami księżnej, a łakomy dyplomata skorzystał z okazji, żeby zmienić temat. Kiedy kroił mięso i pociągał długie łyki czerwonego wina, centralną postacią swojej gadki uczynił teraz samą Evę Perón. Mówił ze znajomością rzeczy: od pół roku pracował w hiszpańskiej ambasadzie w Buenos Aires i z pierwszej ręki znał mechanizmy systemu peronistycznego. Ze swoją barokową ironią zaczął opisywać sposób, w jaki pierwsza dama działa na rzecz sprawiedliwości społecznej.

Przez wiele godzin, jak opowiadał, w pomieszczeniach Sekretariatu Pracy i Opieki Społecznej przyjmuje zarówno głodujących, pokrzywdzonych czy staruszki, jak i ambasadorów czy biskupów. Żona prezydenta Peróna sprawowała tam swoją władzę

tak, jakby wiecznie trwała fiesta, balansując, jak mówił Foxá, na chwiejnej linii między świętością Dziewicy z Lourdes a największą szczodrością. Dzięki niej pojawiały się rowery, renty dla wdów i sztuczne szczęki, materace i posagi dla panien młodych, naprawy dachów, operacje chirurgiczne, protezy nóg i tysiące puszek mleka w proszku.

Między jedną anegdotą a drugą, zachęcany do dalszych opowieści komentarzami i wybuchami śmiechu szacownych biesiadników, Foxá znalazł jeszcze sposobność, by dokończyć swoje mięso i poprosić kelnera, żeby ponownie napełnił mu talerz, podczas gdy on opróżniał kolejny kieliszek. Mój sąsiad z lewej podzielił się ze mną entym spostrzeżeniem na temat polowania na lisy z psami, choć prawie nie zwracałam na niego uwagi. Piękna i niewzruszona młoda kobieta natomiast wciąż pozostawała obojętna na wszystko: jak gdyby ta historyjka, która dla innych była tak ucieszna, ją zanudzała na śmierć.

– Prawda, Mery? Sama powiedz, czy to, co mówię, nie jest prawdą.

Foxá podniósł głos i, ku mojemu zaskoczeniu, nagle wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. W odpowiedzi wzruszyła ramionami, nawet na niego nie patrząc, jakby to pytanie i ten męczyzna kompletnie jej nie obchodzili. Bierność kobiety wydawała się nie mieć dla dyplomaty większego znaczenia; nie przejmując się brakiem reakcji, opowiadał dalej, odzyskując uwagę gości.

W naszej części stołu zapanowała jednak krępująca atmosfera. Diego Tovar próbował temu zaradzić.

– Mery, dobrze się czujesz?

Milczała w dalszym ciągu, tymczasem w wystawnej jadalni Ritza słyhać było głosy, brzęk sztućców o talerze i odkorkowywanych pierwszych butelek hiszpańskiego szampana, jak napisano w wydrukowanym menu.

Diego nie dawał za wygraną.

– Mery?

Wreszcie podniosła oczy, wielkie i ciemne, wypełnione melancholią między długimi rzęsami. Uśmiechnęła się mechanicznie, a potem wymamrotała:

– Doskonale, *darling*, dziękuję.

W tym momencie mieliśmy już nad sobą rój kelnerów, którzy zabierali talerze, serwowali deser i szampana w kieliszkach o szerokiej czaszy. Rozgadany Foxá dał spokój Evie Perón i przeskoczył do Manolete i jego zbliżającego się pożegnania z areną. Od takiej ilości jedzenia, picia oraz żarliwego potoku słów jego gruba twarz napuchła i poczerwieniała; żeby usunąć pot, wycierał swój wielki podwójny podbródek pomiętą chusteczką. Na białą kamizelkę spadała kropla sosu.

Obojętna Mery powoli wstała, pokazując swoją wspaniałą sylwetkę.

– Tylko mi nie mów, że to jego żona... – wyszeptałam do Diega, ukrywając za serwetką moje niedowierzanie.

Przytaknął dyskretnie. Zaskoczyło mnie, kiedy zwróciła się do mnie i perfekcyjnym angielskim poprosiła, żebym wyszła z nią do toalety.

**W** sumie ciekawe są te opowieści pani męża.  
Tak powiedziałam. Chciałam przełamać lody.

Razem opuściliśmy wielką jadalnię i przecięliśmy westybul. Przed lustrem każda przypudrowała sobie nosek i dekol, jednocześnie też poprawiłyśmy szminkę. Ale do tego momentu nie zamieniłyśmy ze sobą więcej słów.

– Mój mąż to dureń.

Mówiła bez dramatyzmu, jak gdyby opowiadała o jakimś dniu w środku tygodnia albo o wizycie u okulisty. Później usiadła na tapicerowanej ławie, założyła nogę na nogę pod czerwonym szyfonem swojej sukienki i zapaliła papierosa – najwyraźniej nie spieszyła się z powrotem do stołu. Para, jaką tworzyła z tym mężczyzną, była tak pełna sprzeczności, że wciąż nie mogłam tego zrozumieć. Ona – młoda, elegancka, piękna i spokojna. On – żywiołowy do granic możliwości, obżartuch, bez wątplenia inteligentny, ale brzydki, wygadany i głośny.

Uwagę, której skąpiła swojemu mężowi, teraz poświęciła mnie.

– A zatem mieszka pani w Londynie?

Nie miałam pojęcia, w którym momencie wyłapała tę informację, wydawało się bowiem, że przez cały wieczór nie zwracała na mnie uwagi.

– Ja też mieszkałam tam przez kilka lat, zanim miałam nieszczęście przeprowadzić się do Hiszpanii.

Zaciągnęła się głęboko i na końcówce papierosa zostawiła ślad szminki.

– Nie cierpię tego kraju ani jego mieszkańców.

Stałam przed lustrem, udając, że wsuwam kosmyk włosów do upięcia na karku.

– A Buenos Aires? – zapytałam po chwili. – Podoba się pani?

– To przynajmniej stolica młodego i dobrze prosperującego kraju. Wie pani, że mają nawet Harrodsa? – powiedziała z grymasem ironii. – Tam mogę chociaż pływać, grać w tenisa, poruszać się sama i nikt mi nie wytknie, że jestem grzesznicą. Albo wariatką.

Jej słowa nadal brzmiały obojętnie, nieco nonszalancko. Mimo to dobrze wiedziałam, że mam przed sobą potencjalnie przydatne źródło informacji. Skoro ot tak potrafiła mi powiedzieć, że jej mąż jest durniem, to może mogłaby tak samo otwarcie opowiedzieć mi o kilku innych rzeczach.

– A zna pani bliżej madame Perón? Miała pani sposobność, by z nią porozmawiać?

Obserwowała mnie, zaciągając się ponownie. Nie odrywała wzroku od mojej niebieskiej tafty.

– Naprawdę przygotowuje pani o niej reportaż? Nie wygląda mi pani na dziennikarkę, nie sądzę, by ze swoją pensją mogła sobie pani pozwolić na taką *evening dress*.

Bez pozwolenia sięgnęłam do jej papierośnicy i włożyłam do ust jednego z jej papierosów. Skoro ona była taka bezpośrednia, to ja też.

– *A full-time reporter* British Broadcasting Corporation – zapewniłam beczelnie, wydmuchując dym. – Rasowa dziennikarka.

Zdjęła nogę z nogi i założyła je odwrotnie. W gruncie rzeczy było jej obojętne, kim jestem.

– Wszystko, co ten papla Agustín powiedział o Evie Perón, to prawda. Publicznie lubi się obnosić ze swoją szczodrością, pokazywać, jak bardzo angażuje się w pracę na rzecz najbiedniejszych, i rozkazywać tym, którzy również mają możliwości okazywania hojności.

W jej hiszpańskim była dziwna mieszanka akcentów.

– Evita nie daje się zaszufładować – dodała. – Dla jednych jest beczelna, zgorzkniała, apodyktyczna, zarozumiała i despotyczna, bez ogłady, kultury i klasy. Dla innych natomiast jest dobrą wróżką, która dzielnie walczy o godność i dobrobyt robotników, kobiet, dzieci i wszystkich nieszczęśników, którymi nikt nigdy się nie przejmował.

No tak. O tym podwójnym postrzeganiu już co nieco wiedziałam. Ale chciałam, żeby ktoś poszedł dalej, przedstawił mi bardziej

rzeczową opinię, pokazał punkt widzenia kogoś znajdującego się pomiędzy tymi, którzy oddawali jej cześć, jakby była Najświętszą Maryją Panną, a tymi, którzy chcieli posłać ją do diabła.

– Wie pani, co dla mnie jest w niej naprawdę godne podziwu? – ciągnęła.

Wstała, zaciągnęła się ostatni raz i przymknęła oczy, by nie dostał się do nich dym.

– Że jest wolną kobietą.

Przytaknęłam powoli, chyba ją rozumiałam.

– Jako piętnastolatka Eva Duarte sama zdecydowała o swojej przyszłości i ruszyła w jej poszukiwaniu. Kiedy miała dwadzieścia kilka lat, wybrała mężczyznę, z którym chciała się związać, i go zdobyła. Potem nie zadowolila się życiem pod skrzydłami najpotężniejszego człowieka w jednym z bogatszych krajów na świecie. U jego boku, ale nigdy jako gorsza, nakreśliła własną drogę i ruszyła nią sama.

Piękna Mery popchnęła drzwi jednej z kabin, podniosła klapę sedesu i celnie wrzuciła niedopałek.

– Nic jej nie onieśmiela – stwierdziła, wychodząc z kabiny. – Nikomu nie daje się zastraszyć. Proszę bardzo, siedzi tam obok tego tyrana Franco, wystrojona jak królowa i absolutnie pewna siebie. Nigdy nie poznałam równie wyzwolonej kobiety, która jest panią własnych opinii, decyzji i działań.

Zrobiła krok w moją stronę.

– Czy pani może powiedzieć to samo o swoim życiu, *my dear*?

Nie odpowiedziałam. I moje milczenie było wymowne.

– Ja też nie.

Ostatni raz przejrzałyśmy się w lustrze i chwyciłyśmy torebki, gotowe wrócić tam, gdzie nasze miejsce; uległe i posłuszne.

– Proszę opowiedzieć o tym w BBC, niech się dowie cały świat – dodała, gdy nasze obcasy stukały o marmurową podłogę westybulu. Z jadalni dobiegały podniesione głosy, podawano już kawę i likiery. – Proszę powiedzieć przed swoim mikrofonem, że Evita jest wyjątkowa i zapisze się w historii. Kiedy o pani, o mnie i o bzdurach mojego męża już nikt nie będzie pamiętał, kiedy chwała Franco zamieni się

w dym, a wszyscy ci, którzy teraz mu schlebiają, będą ledwie cieniami, pamięć o Evie Perón przetrwa.

Jechaliśmy niemal pustą aleją Castellana, nocne powietrze smagało nam twarze. Zostawiliśmy za sobą plaza de la Lealtad i Neptuna z jego trójzębem, pozdrowiliśmy boginię Kybele, a Diego Tovar poinformował mnie o kolejnych punktach programu.

– Samoloty do Granady wylatują jutro o wpół do szóstej po południu. Jednym poleci pani Perón razem ze swoją świtą, a drugim my, oficjalni opiekunowie wizyty i dziennikarze. Gdy tylko wylądujemy, rozpoczną się uroczystości.

Minęliśmy jedynie dwa czy trzy samochody jadące w przeciwnym kierunku. Przy plaza de Colón dwóch pracowników polewało drogę wielkimi szlauchami i Diego musiał odbić w bok, żeby nas nie zmoczyli. Jechaliśmy dalej szeroką aleją pośród roślinności, budynków użyteczności publicznej i wiekowych pałacyków. Na chwilę zamknęłam oczy, a nocne powietrze przenikało do porów mojej skóry i cebulek włosów.

– Chciałem cię przeprosić, Livio. Może posadzenie cię przy naszym stole nie było dobrym pomysłem – przyznał, kompletnie zmieniając temat. – Foxá nie był dziś w najlepszej formie.

Przypomniałam sobie tę dziwną parę. Wyszli z Ritza w tym samym czasie co my. Ona szła przodem, wyprostowana, wysoka i piękna w swojej sukience. On – kilka kroków z tyłu, spocony i pijany, stawiał ciężkie kroki, ubranie na klatce piersiowej miał brudne, krawat poluzowany.

Z hałasującym silnikiem w tle Diego przybliżył mi krótko życiorys Mery Larrañagi de Foxá. Córka Hiszpanki i peruwiańskiego dyrektora kompanii Shell jako młoda dziewczyna musiała ze względów rodzinnych przenieść się z Londynu do Sewilli, a niedługo potem została zmuszona do małżeństwa z dwukrotnie od siebie starszym mężczyzną, który wszystkim się podobał. Wszystkim oprócz niej



samej. Ale był arystokratą, bogatym i sławnym. I dyplomata. Być może to choć trochę się jej podobało: szansa, że zabierze ją daleko od tej biednej i zakurzonej Hiszpanii.

– Wszyscy przyjaciele mieli świadomość, że ten związek to niedorzeczność, odkąd byliśmy na ich ślubie w Sewilli. Nie znam się na sprawach małżeńskich, brakuje mi doświadczenia, ale tam, w kościele Bractwa Miłosierdzia i podczas aperitif, który podano później na dziedzińcu, wyraźnie zobaczyłem, że ta para nie ma sensu. – Umilkł na chwilę, jak gdyby chciał sobie coś przypomnieć. – W ciągu tych kilku godzin nie odezwała się do niego ani słowem. A on upił się w trupa.

Na jego twarzy pojawił się grymas na poły melancholii, na poły sarkazmu. Przez kilka sekund obserwowałam jego profil, podczas gdy on wciąż mocno ścisnął kierownicę. Wiatr potargał mu włosy, kasztanowa grzywka powiewała w nieładzie na czole, nadając mu niemal młodzieńczy wygląd, choć miał około czterdziestki. Atrakcyjny był ten Diego Tovar de las Torres. Dobry wygląd, dobre nazwiska, dobra kariera. Krótka mowa, dobra partia. Zastanawiałam się, dlaczego wciąż jest kawalerem.

– Ale Agustín ją uwielbia – ciągnął, jakby chciał go usprawiedliwić.

– Ona go nie znosi. Uważa go za durnia.

Uśmiechnął się gorzko.

– To nonszalancki bon vivant, który nie zna umiaru, nie milknie nawet pod wodą i jest beznadziejny w sprawach, które wymagają dyscypliny i metodycznej pracy. Ale facet ma błyskotliwy dowcip i kocha swoją żonę. Mocno.

Wyprzedziliśmy wóz gałganiarza ciągniony przez dwa muły. Był pełen rupieci. Na samej górze, utrzymując kruchą równowagę, leżały kartony i paczki papierów. Wtedy powiedział mi coś w zaufaniu.

– Ona postanowiła zrekompensować swoje nieszczęście niewiernością. Nawet tego nie ukrywa, robi to na widoku, wszyscy o tym wiedzą.

Przypomniałam sobie, jak paliła papierosa, siedząc na ławie z nogą założoną na nogę, plecami oparta o płytki. Zastanawiałam się, czy utrzymywała też relacje z moim towarzyszem.

– A on, jak na to reaguje?

Diego parsknął śmiechem.

– Z godnym podziwu stoicyzmem. Bez zażenowania stwierdza, że woli diament, którym się dzieli, niż gówno tylko dla siebie.

Roześmialiśmy się oboje. Prawie nie było już światła na tym ostatnim odcinku alei Castellana, nieopodal hipodromu i otwartych przestrzeni.

– Później, żeby się pocieszyć, ciętym dowcipem smaga swoich rywali i dedykuje im wiersze.

Skręcił w prawo i znaleźliśmy się na ulicy Pinara, ciemnej i pustej. Zatrzymał samochód przed wejściem do Klubu Prasowego. Zwykle przy takich okazjach natychmiast wysiadał i zwinnym krokiem przechodził na moją stronę, by otworzyć mi drzwi. Tym razem się nie ruszył.

– Związki kobiet z mężczyznami bywają dziwne – wymamrotał, przekręcając kluczyk, aż silnik przestał pracować. To było banalne stwierdzenie, ale nadał mu taki ton, takie coś, co napełniło je szczerością.

– Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś?

Od razu pożałowałam tego pytania. Chociaż dobrze się rozumieliśmy, chociaż on dopiero co opowiedział mi o małżeńskich sprawach swojego przyjaciela, to nasze relacje miały charakter czysto zawodowy, i takie powinny pozostać. Ale wymknęło mi się to pytanie, może dlatego, że było bardzo późno, a ja miałam już dość udawania kogoś, kim nie jestem, albo może dlatego, że coraz mniej rozumiałam zawilości ludzkiej duszy.

Wyglądało jednak na to, że moja ciekawość mu nie przeszkadzała. Ani nawet go nie zaskoczyła.

– Niewiele brakowało, ale wybuchła wojna, ona musiała wyjechać, bo była córką dyplomaty i... W skrócie rzecz ujmując, nie było szansy na ponowne spotkanie. Później ja też wyjechałem z Hiszpanii, byłem w Brazylii, w Chile, na Filipinach. Potem wróciłem do Madrytu...

Nagle umilkł i uśmiechnął się gorzko.

– Kłamstwo, Livio. Wszystko, co ci właśnie powiedziałem, jest kłamstwem. Wymówki, jakie podaję samemu sobie. Prawda jest taka,

że po tamtej historii nie myślałem już więcej o małżeństwie, bo nie spotkałem nikogo, kto spodobałby mi się wystarczająco.

Dalej siedzieliśmy w samochodzie zaparkowanym przed Klubem Prasowym, było widać tylko delikatne błyski na bramach sąsiednich willi, niebo usiane gwiazdami, a w oddali dwie żółtawe latarnie. Dochodził do nas jedynie dźwięk świerszczy, cykad i pojedyncze odgłosy szczekania psów.

– Nie spotkałem nikogo... – powtórzył – na razie.

W tym momencie wiedziałam, że muszę już iść. Powinnam natychmiast wysiąść z samochodu. Ale on mnie powstrzymał. Położył dłoń na mojej dłoni. Jego głos zabrzmiał pewnie, jak chrapliwy szept.

– Zaczekaj.

Reszta przyszła naturalnie: jego palce na moim karku, jego usta na moich ustach. Nie mogłam go odtrącić, bo nagle ogarnęła mnie słabość. Jak gdyby świat wokół zniknął. Jak gdyby moje ciało się rozpadło, a ja byłabym tylko mydlaną bańką.

Weszłam po schodach na palcach, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. W pokoju na podłodze za drzwiami znalazłam kopertę. W bezpieczny sposób, pod przykrywką niewinnego spotkania, zapraszano mnie na śniadanie do herbaciarni Embassy na dziesiątą. Ścisnęło mnie w żołądku. Embassy. Szmat czasu.

Tej nocy źle spałam, śniło mi się wiele dziwnych rzeczy. Ręka Ignacia na moich plecach i ja bliska runięcia w przepaść, nalana twarz Foxá śmiejącego się na całe gardło, jego żona siedząca na desce klozetowej i paląca niekończącego się papierosa, pocałunek Diega Tovarą zamieniający się w długi gwizd. Obudziłam się wcześniej i jeszcze oszołomiona przygotowałam bagaż na wyjazd z Madrytu.

Wyjęłam z dna walizki ukryte raporty i ruszyłam w stronę Embassy. Nie było jeszcze gorąco, więc postanowiłam udać się tam pieszo i dzięki temu mogłam myśleć w rytmie stawianych kroków. Nie podano, kto będzie na mnie czekał, czy to ktoś nieznajomy, czy ktoś, z kim widziałam się już wcześniej. W każdym razie nie zaprzętałam sobie tym głowy: byłam przyzwyczajona, w przeszłości działaliśmy tak mnóstwo razy. Przypomniałam sobie siebie

z tamtego okresu, młodszą i kruchszą, wrażliwszą i bardziej szykowną, spełniającą wymagania moich klientek. Teraz szłam w lekkich, jasnych spodniach; niewiele kobiet w tej pruderyjnej frankistowskiej Hiszpanii miało śmiałość nosić spodnie, ja jednak mogłam sobie na to pozwolić jako rzekoma cudzoziemka. Do tego włożyłam lnianą marynarkę, na nosie miałam duże okulary przeciwsłoneczne, a włosy upięłam i przewiązałam jedwabną chustką. Minęły niewiele ponad dwa lata od czasu moich ostatnich zadań tu w Madrycie; od tamtej pory na świecie nastał nowy porządek. Ja, zarówno na zewnątrz, jak i w środku, także byłam inna.

Porcje informacji, jakie zamierzałam przekazać brytyjskim tajnym służbom, nie były zbyt solidne, ale na razie posłusznie wywiązywałam się ze swoich zadań. Spisałam to, o czym rozmawiałam z tym i owym, co widziałam na własne oczy, oraz moje ogólne spostrzeżenia dotyczące argentyńskiej pierwszej damy i przebiegu jej wizyty. Teraz czekała mnie obserwacja podczas reszty jej podróży po Półwyspie Iberyjskim, by na koniec wrócić do Londynu i przekazać kolejną partię raportów. Tu miał być finał tego niespodziewanego rozdziału w moim życiu i moment odzyskania przeze mnie własnej teraźniejszości. Jeszcze nieokreślonej, mgliście torującej mi drogę ku przyszłości – o niej wolałam jednak na razie nie myśleć.

Wejście do Embassy znajdowało się na ukos między aleją Castellana a ulicą Ayali. Z jednej strony pucybut gawędził z drobnym sprzedawcą, z drugiej staruszka owinięta chustą z czarnej wełny prosiła o jałmużnę, wyciągając brudną rękę. Młody pracownik w uniformie otworzył mi szklane drzwi herbaciarni. Jeszcze zanim zdjęłam okulary przeciwsłoneczne, przekonałam się, że w środku są już klienci. Kilku cudzoziemców, spośród tych nielicznych, którzy wciąż byli w Madrycie. Paru Hiszpanów, którzy wracali z porannej mszy i chcieli przynieść do domu ciastka na śniadanie albo tartę cytrynową na deser. Dobrze ubrane kobiety przed swoimi filiżankami czekolady i mężczyźni, którzy usiedli, żeby napić się kawy z mlekiem i poczytać „ABC” albo „El Alcázar”. Kilku paniczów dopiero wracających ze swoich nocnych zabaw.

Zaledwie kilka lat wcześniej, kiedy Niemcy spacerowali po Madrycie groźnie i dumnie, tych niewiele metrów kwadratowych lokalu stanowiło epicentrum intryg, napięć, konspiracji i relokacji uchodźców. A w środku tego wszystkiego byłam też ja, by przekazywać poufne wiadomości kapitanowi Alanowi Hillgarthowi albo któremuś z jego ludzi, popijając niewinne aperitify z moimi klientkami i zostawiając tajne informacje rozmaitym łącznikom. Czasami spotykałam tu także Marcusa, choć zawsze udawaliśmy, że się nie znamy.

Do mojego nosa natychmiast dotarł zapach absolutnych pyszności: świeżo upieczonych szwajcarskich bułeczek, ciastek, *plum cakes* i croissantów zrobionych z białej mąki i świeżego masła. Nie, w tym eleganckim miejscu nie wyczekiwali z niepokojem na pszenicę, którą obiecała przysłać szczodra Argentyna Peróna, aby zaspokoić głód wielu ludzi; godna podziwu Margaret Taylor, dzięki swoim kontaktom, bez trudu zdobywała podstawowe produkty sprowadzone z różnych miejsc. I tak, podczas gdy większość zwykłych Hiszpanów rozpoczynała niedzielę od kubka rozwodnionego mleka, oszukanej kawy z cykorii albo zwykłego kawałka twardego chleba, a miliony rodzin ledwie miały co włożyć do garnka, w Embassy nie było miejsca na słowo niedostatek.

Gdy tylko zdjęłam okulary przeciwsłoneczne, zobaczyłam go od wejścia i serce zaczęło mi walić jak młot. Właśnie się przekonałam, że przysłano mi kogoś znajomego. Tom Burns, były attaché prasowy brytyjskiej ambasady, czekał na mnie przy ladzie, czytając stary numer „The Timesa” i paląc fajkę. Nigdy nie łączyły nas bliskie relacje, ale wiedziałam, że Marcus pracował z nim ramię w ramię w walce z nazistowskim zagrożeniem; wiedziałam, że on miał świadomość istnienia naszego dyskretnego małżeństwa, i wiedziałam także, że ogromnie się nawzajem z Marcusem szanowali. Zwykłe wspomnienie o tym wszystkim sprawiło, że powiew melancholii mocno smagnął mnie po twarzy. Zdołałam się jednak opanować i udawałam, jak mogłam, wykorzystując sztukę kłamstwa, podobnie jak kiedyś w tych samych murach. Z wystudiowanym chłodem, powstrzymując chęć, by się rozplakać albo go uściskać, łagodnie wyciągnęłam do niego rękę.

– Miło znów cię widzieć, moja droga.

Powiedział: moja droga. Ani Livia, ani Arish, ani tym bardziej Sira. Nie było tu już Niemców, należało przypuszczać, że informatorów czy kretów też nie. Mimo to wypadało zachować ostrożność.

Usiedliśmy przy dyskretnym stoliku obok kolumny, oboje zamówiliśmy herbatę. Gdy tylko kelner odszedł, Tom Burns przekazał mi kondolencje z powodu śmierci Marcusa, a ja czułam, jak ściska mnie w gardle. Powiedział o nim kilka pochlebnych słów, ale był taktowny i zatrzymał się w samą porę, zanim się rozkleiłam. Nie pracował już w brytyjskiej dyplomacji; podobnie jak sir Samuel Hoare i wielu innych z tamtego okresu, wrócił do Londynu. Zresztą już prawie nikt nie został w ambasadzie w tych dniach, kiedy – po decyzji Organizacji Narodów Zjednoczonych, żeby bojkotować Hiszpanię – większość ambasadorów została wycofana z Madrytu rządzonego przez Franco, a misje dyplomatyczne działały bardzo słabo. Tyle że żona Toma Burnsa była Hiszpanką, córką doktora Marañoña, i dlatego para wracała tu dość często. I przy tych okazjach, przez wzgląd na dawne czasy, jego starzy przyjaciele z Secret Service od czasu do czasu prosili go o przysługę. Jak na przykład zobaczenie się ze mną tego poranka.

Rozmawialiśmy o banalnych sprawach, żadne z nas nie zająknęło się słowem o klęsce Niemiec, spuściźnie nazistów w Hiszpanii czy krwawym zamachu na King David Hotel. Mówiliśmy jedynie o zaczynających się upałach, jego pracy wydawcy w Anglii, londyńskiej restauracji Martínez czy przeraźliwie mroźnej tegorocznej zimie. Nikt nie zauważył, jak w trakcie naszego spotkania wyjęłam z torebki moje raporty, udając, że szukam chusteczki. Nikt nie zwrócił też uwagi, gdy wkładałam je między strony „The Timesa”, który on celowo położył na nieskazitelnym obrusie, tuż obok cukiernicy. Po załatwieniu sprawy pożegnaliśmy się bez zbędnej zwłoki. Śledziłam go wzrokiem, kiedy płacił przy ladzie, a potem wychodził z gazetą pod pachą i fajką w ustach. Przez szybę widziałam, jak przeszukuje kieszeń i się nachyla, żeby położyć jałmużnę na brudnej dłoni staruszki w czerni.

Odczekałam parę minut, siedząc nad moją zimną już herbatą i odczuwając przejmującą samotność. Tom Burns, w tym samym

wieku co Marcus, i pełniący podobną funkcję, wracał do swojego życia, rodziny, budowania przyszłości i patrzenia do przodu. Z powodu okrutnej ruletki losu jego przyjaciela Marcusa Logana, Marka Bonnarda, nie było już pośród żywych.

Zdołałam wziąć się w garść i powoli wstałam. Chciałabym kupić tackę słodczy, by zanieść je do mieszkania przy Hermosilli, jakiś smakołyk, który ucieszyłby Víctora, czy pralinki, by odwdzińczyć się Phillipie i Migueli za opiekę nad moim synem. Ale brakowało mi sił. Ruszyłam w górę alei Castellana, szukając cienia akacji. Z oczu za ciemnymi okularami popłynęło mi kilka łez. Nie mogłam ani nie chciałam tego powstrzymać.

**W** ogrodzie czeka na panią gość. Mężczyzna, dawny przyjaciel. Nie podał nazwiska.

Zacisnęłam dłonie w pięści. Od kilku dni przeczuwałam, że ta chwila nadejdzie. Nie wiedziałam kiedy ani gdzie, lecz byłam całkowicie przekonana, że wcześniej czy później przyjdzie mi stawić mu czoło.

Kusiło mnie, żeby wrócić na ulicę i stąd uciec. Albo wejść na górę do mojego pokoju, zaryglować drzwi, opuścić żaluzje i siedzieć tam, dopóki sobie nie pójdzie. Nie chciałam, żeby wracał do mojego życia. Nie chciałam z nim rozmawiać, nie chciałam go widzieć. Nie chciałam nawet pamiętać, że Ramiro Arribas wciąż istnieje.

– Dziękuję, pani Cortés – powiedziałam zamiast tego spokojnym głosem. – Czy byłaby pani tak uprzejma i zamówiła dla mnie taksówkę za pół godziny?

Siedział na tarasie pod markizą, na jednym z foteli z kutego żelaza. Noga założona na nogę, dumna postawa, jak u kogoś, kto w każdym miejscu czuje się swobodnie. Podano mu jakiś napój z lodem, szklanek opróżnił w połowie. Może nie był taki szczupły jak dawniej, ale wciąż bardzo atrakcyjny w swojej białej koszuli i letniej marynarce w prążki. Tak samo jak ja miał okulary przeciwsłoneczne, które zdjął, gdy wstał, by się ze mną przywitać. Ja natomiast zostawiłam je na nosie, niczym ochronę przed nim, tarczę albo schronienie.

Z miłości do tego mężczyzny zniszczyłam sobie życie. Potrafił wywołać we mnie obsesyjną, nieokiełznaną, głuchą i ślepał namiętność; dla niego rzuciłam swój świat, zerwałam zaręczyny z Ignaciem, oddaliłam się fizycznie i duchowo od mojej matki; porzuciłam moją dzielnicę i moją przyszłość, bliskich i ojczyznę. Chwyciłam go za rękę i zawiązałam sobie oczy, osłabiłam swoją wolę



i pozwoliłam, by mnie za sobą pociągnął. Ufałam mu, dałam się oślepić jego planami, nie kwestionowałam jego działań ani decyzji, nie sprzeciwiłam się żadnemu z jego nierozsądnych marzeń. Ofiarowałam mu całą siebie, z moim ciałem, umysłem i dopiero co otrzymanym dziedzictwem. A on, koniec końców, zawiódł mnie na całej linii.

– Wiedzieć, jak się miewasz, Siro, tego chcę przede wszystkim – odezwał się w odpowiedzi na niemiłe pytanie, jakie mu rzuciłam. – Choć może powinienem zapytać, jak się miewacie, w liczbie mnogiej.

Teraz mówił bez argentyńskiego akcentu, który słyszałam u niego w Riscalu, wrócił do swojej poprzedniej intonacji.

– Jak widzisz, mam się dobrze – odparłam gniewnie. – A jeśli mówiąc o liczbie mnogiej, masz na myśli dziecko, które w sobie nosiłam, kiedy mnie porzuciłeś, to ono nie istnieje. Cięża została przerwana, nigdy się nie narodziło.

Zamrugałam za okularami, by się nie rozkleić. Nigdy nie mówiłam na głos o tamtym dziecku, które nie przyszło na świat. Przez te wszystkie lata dużo o nim myślałam, bardzo dużo, wciąż to robiłam. Ale od tamtych odległych dni mojej ucieczki z Tangeru i przyjazdu do Tetuanu, odkąd krew zaczęła płynąć mi po udach w autobusie „Walencjanka” i komisarz Vázquez zawiózł mnie do szpitala miejskiego, żebym doszła do siebie, nigdy już nie mówiłam o tym w niczyjej obecności.

Oboje staliśmy, chronieni przed prawie już południowym słońcem pod biało-czarnymi pasami markizy. W ogrodzie nie było na razie nikogo poza nami.

– Proszę cię, Siro, usiądźmy. Poświęć mi pięć minut, góra dziesięć.

Wahałam się, ale ostatecznie ustąpiłam. Klub Prasowy nie był najlepszym miejscem do urządzania scen. Dla mojego własnego dobra powinnam hamować swoje reakcje, choć kosztowało mnie to mnóstwo wysiłku.

– Przede wszystkim chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo żałuję tego, jak się zachowałem w Tangerze – ciągnął, kiedy już usiedliśmy. – Są rzeczy, o których wołałem ci wtedy nie mówić, ale popełniłem błędy, byłem pod presją, zostałem zmuszony...

Uniosłam energicznie rękę, żeby go powstrzymać. W tym momencie nie potrzebowałam wyjaśnień. Mimo to dodał z udawaną powagą:

– Ostatnie, czego chciałem, to cię zranić.

Sukinsyn, powiedziałam sobie w duchu. Ale to należało już do przeszłości, to nie był odpowiedni moment na robienie wyrzutów. Pragnęłam tylko, żeby szybko skończył, wyszedł i zostawił mnie w spokoju.

– Dlatego cieszę się, że los był dla ciebie łaskawy – dodał, odchylając się na oparcie. – Że stałaś się kobietą... – Wykonał gest, jakby obejmował mnie całą. – Kobietą zjawiskową.

Podszedł do nas kelner, ten sam, który podawał mi kolację pierwszego wieczoru, powiedziałam, że niczego nie chcę. Nie zamierzałam pić z Ramirem nawet zwykłej wody.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś niezwykła, wyjątkowa – ciągnął, gdy tylko pracownik się odwrócił. – Wiele razy się zastanawiałem, co u ciebie, jak sobie...

Nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Z Tangeru wyjechałam do Londynu, podczas gdy w Hiszpanii trwała wojna. Zaproponowano mi pracę, rozwinęłam się i poradziłam sobie dobrze, dziękuję.

Kłamstwo wymyśliłam na poczekaniu, musiałam postawić ścianę oporową, choćby była to ściana zbudowana z łgarstw. Nie chciałam, żeby wiedział, co się ze mną tak naprawdę działo; nie miał prawa naruszać mojej przeszłości, tak samo jak teraz próbował zrobić to z moją teraźniejszością. Tetuan, Marcus, Madryt i moje potajemne zadania, Jerozolima i Víctor. Od tego wszystkiego Ramiro musiał się trzymać daleko. Absolutnie.

– Powiedzieć, że poradziłaś sobie dobrze, to jak nic nie powiedzieć. Poradziłaś sobie bardzo dobrze – podkreślił. – Wystarczy na ciebie popatrzeć. Wciąż wyglądasz pięknie, ale oprócz tego teraz są w tobie wyrafinowanie i swoboda, styl i...

Widząc moją niezadowoloną minę, zareagował szybko i przestał komplementować mój wygląd, ale wychwalał inne aspekty.

– I przede wszystkim jestem pod wrażeniem tego, jak dobrze potrafisz nawiązywać kontakty.

- To sprawy zawodowe – ucięłam.
- Cóż, praca dla BBC w Londynie to nie było co...

Węszył – to nie ulegało wątpliwości. Nie mogłam się dowiedzieć, jak i poprzez kogo, nie umiałam też przewidzieć, ile o mnie wiedział i jak daleko zaszło jego dochodzenie. Nadal chroniona zasiekami w postaci moich okularów przeciwsłonecznych, obserwowałam go uważnie. Na skroniach miał siwe włosy, niemało, ale były zadbane; zauważyłam to już tamtego wieczoru, kiedy natknęłam się na niego w restauracji Villa Romana. Jego ubrania były eleganckie, broda ogolona u fryzjera. Pod nieskazitelnym mankietem koszuli wystającej spod rękawa marynarki widać było wysokiej jakości zegarek z paskiem w węzowy wzór, nie zdołałam dostrzec firmy. Może i przytył parę kilogramów, ale poza tym prawie się nie zmienił. Ten łajdak nadal był przystojny. Przystojny i niebezpieczny.

- Mój zawód to nie twoja sprawa – powiedziałam ostro.

Wykonał przeproszający gest.

- Nie jest, masz rację. Choć jeśli mam być z tobą szczery, interesuje mnie świat, w którym się obracasz...

Oderwał plecy od oparcia i nachylił się w moją stronę.

- Wiem, że jesteś zajęta, i nie chcę marnować twojego czasu, dlatego przejdę do rzeczy. Potrzebuję przysługi, Siro – oznajmił poważnym tonem. – Jednej jedynej przysługi i potem nie będę ci się więcej naprzykrzał, zniknę z twojego życia na zawsze.

Prawą rękę położył sobie na sercu, jak gdyby potwierdzał, że dotrzyma słowa. Chciałam mu już powiedzieć, żeby wsadził ją sobie w pewną część ciała i przestał bredzić. Nie, nie zamierzałam zrobić żadnej przysługi temu draniowi. Cokolwiek by to było – nie. Nic, nigdy, przenigdy. Zanim jednak zdążyłam odmówić, on wyłożył karty na stół.

- Doderó. Potrzebuję osobistego, prywatnego i zarekomendowanego przez ciebie spotkania z Albertem Doderó. – Zrobił krótką pauzę, a potem dodał, jak gdyby potrzebne było wyjaśnienie: – Argentyński armator. Twój przyjaciel.

Powstrzymałam gorzki wybuch śmiechu. Łajdak przechodził samego siebie. Najpierw widział, jak tańczyłam z Diegiem Tovarem w Villi Romana, później, jak jadłam paellę na tarasie Riscalu

z Albertem Doderem; a może, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy, widział mnie także w innych miejscach. Ciekawe, co zamierzał na tym ugrać.

– Przyjechałem z grupą przedsiębiorców z Buenos Aires. Przez ostatnie lata w Argentynie zajmowałem się inwestowaniem i różnymi projektami. Jestem...

Jeżeli w tych jego rzekomych zajęciach było choć trochę prawdy, to niewątpliwie dzięki pieniądзом i klejnotom, które swego czasu przekazał mi ojciec, a które ja, z wielką naiwnością, zostawiłam pod jego opieką. Dzięki tym plikom banknotów i cennej biżuterii, które zabrał, uciekając z Tangeru i zostawiając mnie w ciąży w hotelu Continental bez grosza przy duszy i z wysokim niezapłaconym rachunkiem.

– Jestem poważnym człowiekiem interesu, Siro, mam wspólników i firmy. I chciałbym, żeby się rozrosły, dorównując firmom Doderów, to moja jedyna szansa, by się błyskawicznie rozwinąć. Nie chcę cię zanudzać szczegółami, chcę tylko, żebyś wiedziała...

Nie zwracając uwagi na jego słowa, przywoływałam wspomnienia. Minęło jedenaście lat, odkąd zapełnił mi głowę głupstwami o innej przedsiębiorczej iluzji, tamtych Akademiach Pitmana: mieliśmy otworzyć je razem w kolonialnym Maroku, to miał być ogromny sukces, mieliśmy się wzbogacić raz-dwa. Ponad dekadę później Ramiro Arribas albo Román Altares czy jak się tam teraz nazywał, siedział tu równie beczelny, donkiszotowski i pewny siebie. Zmienił tylko rozmiar swoich ambicji: wcześniej zadowalał się maszynami do pisania i metodami maszynopisania, teraz zamierzał robić interesy z jednym z najpotężniejszych armatorów w Ameryce Południowej. Poza tym jego plany osiągnięcia łatwego i natychmiastowego sukcesu wydawały się niezmiennie.

Wciąż opowiadał o swoich korzystnych przedsięwzięciach, kiedy wstałam. Miałam już tego dosyć.

– Muszę iść, czekają na mnie.

Nagle umilkł, przez kilka chwil się nie odzywał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Siro, Siro...

Udałam, że go nie słyszę, i odwróciłam głowę. Po drugiej stronie ogrodu zobaczyłam, że kelner właśnie zamierza wrócić do środka, zostawiwszy napój korespondentowi z Portugalii.

– Chwileczkę! – zawołałam.

Usłużnie podszedł do naszego stolika.

– Ten pan już wychodzi. Proszę odprowadzić go do drzwi.

Stanął obok niego wyprostowany jak struna, niemal na baczność.

Choć niechętnie, Ramiro w końcu wstał, nie pozostało mu nic innego. Ja obeszałam stolik, aż znalazłam się naprzeciwko niego, w odległości zaledwie kilku centymetrów. Podniosłam głowę i przysunęłam twarz do jego twarzy, do tej harmonijnej i chłopięcej twarzy, którą uwielbiałam w tamtych dniach idiotycznej namiętności. Byłam tak blisko, że niemal dotykałam ust, które tyle razy mnie całowały; znowu poczułam zapach tego toksycznego ciała, które zmaćniało mi zmysły. Powoli przysunęłam usta do jego ucha, w które wypowiedziałam tyle słów w nocie szalonej miłości.

Mój głos, podobnie jak wtedy, był szeptem.

– Zapomnij o moim istnieniu. Nie chcę cię więcej widzieć.

**B**agaż był gotowy, taksówka czekała przed drzwiami, a ja byłam tak zdenerwowana, że o mało nie wybuchłam. Zirykowało mnie spotkanie z Ramirem, jego bezczelność oraz fakt, że zmusił mnie, bym wróciła do trudnej i bolesnej przeszłości. A poza tym z powodu jego wizyty musiałam odwlec moment wyjścia do mojego syna, jeszcze bardziej skracając ten krótki czas, jaki miałam, by się z nim zobaczyć.

Wychodziłam już z Klubu Prasowego, kiedy wiecznie poważna pani Cortés pojawiła się za moimi plecami, idąc pospiesznym krokiem, i poprosiła, bym chwilę zaczekała; z trudem ukryłam wściekłość. Chciałam jej przekazać, żeby pod moją nieobecność nie wpuszczano nikogo, kto podaje się za mojego przyjaciela, znajomego, krewnego czy kogokolwiek innego; bezczelność łajdaków przybierała najrozmaitsze formy. Ale ona mnie ubiegła; miała mi coś do powiedzenia i przekazania.

– Pani Nash, ten pan, który przyszedł się z panią zobaczyć, zostawił wiadomość.

Z koperty, którą mi podała, wyjęłam kartkę i rozłożyłam ją pospiesznie.

*Zapomniałem Cię zapytać, jak się miewają Twoi rodzice.*

*Wiem, że Twoja matka już dawno wyprowadziła się z dzielnicy.*

*A czy don Gonzalo Alvarado nadal zajmuje swoje wielkie mieszkanie w dzielnicy Salamanca?*

*Kontakt do mnie:*

*Román Altares, hotel Buen Retiro, pokój 417.*

Poczułam taki przypływ gniewu, jakby ktoś smagnął mnie biczem. Ramiro poszedł na moją ulicę i o nas rozpytywał. Na szczęście moja matka, zawsze rozsądna i zachowująca największą ostrożność

w czasie wojny, po wyjeździe do Tetuanu nie powiadomiła nikogo o swoim miejscu pobytu. Sąsiedzi z ulicy Redondilla musieli mu powiedzieć, że nie mieszkamy tam od lat. Na szczęście nikt nie miał więcej informacji.

Jeśli zaś chodzi o mojego ojca, to sprawa przedstawiała się inaczej. Ramiro nigdy nie był w jego mieszkaniu, ponieważ w tamtym czasie Gonzalo Alvarado i ja prawie nie utrzymywaliśmy kontaktu. Ale miał świadomość istnienia dystyngowanego pana, o którego ojcostwie długo się w moim domu nie mówiło. Wiedział jednak o jego okazałym mieszkaniu w dzielnicy Salamanca, o jego majątku i – jakżeby inaczej – o spadku, który ojciec przekazał mi niespodziewanie, kiedy miała wybuchnąć wojna, a on sądził, że go zabiją. Nie pamiętałam jednak dokładnych szczegółów, jakimi swego czasu podzieliłam się z Ramirem. Czy powiedziałam mu kiedyś, że ojciec mieszka przy Hermosilli? Czy podałam, że jego numer to osiem? Czy opisałam mu, jak wygląda Gonzalo Alvarado? Rozpoznałby go, gdyby go zobaczył? Wszystkie te niewygodne pytania prześladowały mnie, kiedy jechałam do niego na spotkanie.

Tych parę godzin, jakie spędziłam z bliskimi, przeleciało nie wiadomo kiedy. Miałam akurat tyle czasu, żeby zjeść obiad z Víctorem, trzymając go na kolanach, i pobawić się z nim chwilę na dywanie. Potem próbowaliśmy znowu go zwieść, żeby nie zauważył, jak wychodzę, ale tym razem sztuczka się nie udała. Ani kot dozorczy, ani tysiące naszych starań nie przyniosły efektu. Ponieważ miał już dość moich ciągłych nieobecności, jego dziecięca intuicja mu podpowiadała, że znowu chcę go przechytrzyć. I żeby mnie zatrzymać, w ostatniej chwili sięgnął po swoją broń: histeryczny płacz.

Taksówka na lotnisko czekała na mnie na dole punktualnie o czwartej, nie chciałam jednak zostawiać mojego syna w takim stanie. Zegarek tymczasem wskazywał czwartą pięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia. O czwartej dwadzieścia pięć Víctor się uspokoił i zasnął na sofie. Ruszyłam wtedy na palcach w stronę korytarza z butami w ręku. Ale dębowa podłoga zaskrzypiała, jeszcze zanim dotarłam do drzwi salonu, a on, rozzłoszczony i czujny, otworzył oczy. Nie zobaczywszy mnie obok siebie, zaczął znowu

płakać; to był szczery płacz, który przeszył mi duszę. Powstrzymując strapienie, nie miałam innego wyboru, jak tylko iść dalej. Wiedziałam, że zostaje pod opieką Phillippy i Miguela, pod skrzydłami mojego ojca. Mimo to, kiedy przemierzałam korytarz z jego rozpaczliwym krzykiem w uszach, kiedy chwyciłam bagaż, zjeżdżałam windą, wychodziłam na ulicę i pospiesznie wsiadałam do taksówki, w głowie rozbrzmiewało mi kilka niemiłych słów. Zdrajczyń. Dezerterka. Egoistka. Zła matka.

Byłam już spóźniona, strasznie spóźniona. Na domiar złego droga prowadząca na lotnisko była zakorkowana. Cóż za naiwność! Nie wzięłam pod uwagę, że koniec pobytu Evy Perón w stolicy znowu przyciągnie na ulicę tysiące mieszkańców. Poruszaliśmy się w ślimaczym tempie, taksówkarz nie przestawał wciskać klaksonu i rzucać opryskliwych uwag. Zdenerwowana nalegałam, żeby spróbować się jakoś przebić.

– Niech pan przyspieszy! Proszę wyprzedzić tę furgonetkę!

Miałam się spóźnić. Miałam nie zdążyć na samolot. W oczach komitetu organizacyjnego, w oczach Biura Informacji Dyplomatycznej i w oczach moich kolegów miałam wyjść na osobę niepoważną, niesumienną i opieszłą.

– Niech pan zjedzie na prawo! Teraz na lewo!

Główne uroczystości w Granadzie były przewidziane na ten sam wieczór. Gdybym została na ziemi, to starymi hiszpańskimi pociągami i zdezelowanymi torami kolejowymi dotarłabym do Andaluzji dopiero następnego dnia. Umarłabym ze wstydu, gdybym musiała poinformować Londyn, że z powodu mojego spóźnienia ominął mnie jeden z etapów podróży.

– Błagam, niech pan spróbuje się przebić!

– Nie da się jechać szybciej, do cholery! – krzyknął cierpko taksówkarz. – Nie widzi pani? Nie rozumie pani, że nie ma jak?

Zajrzałam do torebki i coś wyjęłam. Opuszkami palców trąciłam go w ramię, następnie pomachałam banknotem stupezetowym.

– Jeśli zdążymy, będzie pański.

Skreślił gwałtownie i zjechał z drogi. Przez pola, zapadliska, nieużytki i jałowe działki tłukliśmy się, umierając z gorąca, ale z zamkniętymi szybami, żeby do środka nie wpadały rozgrzany pył,



suche kawałki słomy i kurz, aż dotarliśmy na Barajas, kiedy samoloty grzały już silniki.

Orkiestra skończyła grać obowiązkowe hymny, na trybunach znajdowała się znamienita widownia. Dookoła, podobnie jak w dniu przylotu, w niemiłosiernym popołudniowym słońcu tłoczyli się goście i mieszkańcy, wszyscy pragnący stąd uciec, gdy tylko maszyna z pierwszą damą na pokładzie oderwie się od ziemi.

Biegiem wpadłam do terminalu z torebką w ręce, obcasy stuknęły o lastryko; z tyłu antypatyczny taksówkarz ciągnął mój bagaż w zamian za kolejnych dwadzieścia pięć peset ekstra. Na mój widok Diego Tovar westchnął donośnie na znak ulgi. Razem z nim przy samolotach zostało już tylko trzech czy czterech mężczyzn, a świta i osoby towarzyszące siedziały na swoich miejscach z zapiętymi pasami bezpieczeństwa, a niejedna ze strachu przed lotem szeptała ojczenasze.

– Chodź, chodź, chodź! – wykrzyknął pośpiesznie, wrywając taksówkarzowi z rąk moją walizkę.

Ramię przy ramieniu dużymi krokami przeszliśmy kilka metrów w stronę drugiego samolotu. Aż pośród ryku silników zatrzymał nas krzyk.

– Livia!

Odwróciliśmy się oboje. Wołał mnie Alberto Dodero – jako organizator i zaufany współpracownik wydawał ostatnie polecenia personelowi ambasady, który zostawał na ziemi. Władczym gestem podniósł rękę, domagając się mojej uwagi. Diego Tovar zmarszczył brwi, ja wahałam się kilka sekund.

– Proszę lecieć ze mną, proszę wsiąść do naszego samolotu, miejsca mamy nadto!

Poszukałam oczu Diega; bez słów oboje zgodziliśmy się, że nie mogę odmówić.

Razem z armatorem weszłam do schodach i znaleźliśmy się na pokładzie maszyny; za moimi plecami natychmiast zamknięto drzwi, już wszyscy byli w środku. Dodero nakazał jednej ze stewardes, żeby wskazała mi miejsce, a Juanowi Duarte, żeby poinformował doinę Evę o mojej obecności. Siedziała w przedniej części przy oknie, razem z panią Lagomarsino, swoją cierpliwą towarzyszką. Miała na sobie

wzorzystą sukienkę z krótkimi rękawami, dość skromną i dyskretną. Jeśli zaś chodzi o głowę, to poszła na całość: kolejna z typowych dla don Julia fryzur była zwieńczona niedającym się opisać słowami toczkiem z ogromną ilością kwiatów. Na szczęście zarówno fryzjer, jak i krawcowe lecieli drugim samolotem; dzięki temu nie było potrzeby udawać ani zmyślać.

Pierwsza dama obserwowała pożegnanie przez okno, kiedy odszedł do niej brat i nachylił się, by z nią porozmawiać.

– To zaufana dziennikarka.

To albo coś podobnego musiał jej powiedzieć, nie usłyszałam dokładnie. Jej słowa natomiast, po tym jak spojrzała na mnie z góry na dół, zabrzmiały wyraźnie.

– Wiem, kim jest; towarzyszy wizycie od początku. Myślisz, że jestem ślepa?

Odszedł na bok, protokolarnie poważny ze swoimi wąsami i w dwurzędowym garniturze; ja zrobiłam kilka kroków do przodu.

– Dzień dobry pani – powiedziałam z pełnym szacunkiem.

– Piękny kostium – usłyszałam w odpowiedzi. – Zwróciłam też uwagę na te, które miałaś na sobie w poprzednie dni, wszystkie bardzo ładne. Uszyto ci je tutaj, w Hiszpanii?

– W Londynie, proszę pani. Są od pewnego angielskiego krawca.

– Ach, no proszę... – odparła z wyrazem zaskoczenia na twarzy. – Lilliancita... – powiedziała, zwracając się do swojej towarzyszki. – Lilliancita, ty masz ładny charakter pisma, zapisałaś nazwisko krawca pani reporterki? Przypomnij mi, byśmy się do niego wybrały, gdy pojedziemy do Londynu.

Z pobliskich siedzeń odwróciło się wiele głów, podejrzliwych i czujnych. Adiutanci. Argentyński ambasador Pedro Radío. Hiszpańscy ministrowie sprawiedliwości i rolnictwa ze swoimi żonami. Sam Doderó. Nawet Juancito, którego to wszystko zwykle guzik obchodziło.

– Kiedy pojedziemy do Londynu, owszem, nie patrzcie tak na mnie! Kiedy pojedziemy do Londynu, żeby zobaczyć się z królem, o ile przyślą nam oficjalne zaproszenie! A jak nie, to poślę ich wszystkich do diabła!

Usiadłam, gdy samolot sunął już po pasie startowym. Zapinając pas, przez okienko widziałam, jak tłum wiwatuje i entuzjastycznie macha setkami, tysiącami chustek. Obojętna na pożegnalną euforię, oparłam się o zagłówek i zamknęłam oczy, podczas gdy samolot wzbijał się w powietrze. Uspokajałam się powoli, w miarę jak leciliśmy na południe, przemierzając nieskazitelnie niebieskie niebo nad wyschniętymi polami po latach straszliwej suszy, nieustępliwej suszy, jak mawiali przedstawiciele władzy. Wreszcie mogłam zacząć porządkować najświeższe wspomnienia i moja pamięć wróciła do spotkania z Tomem Burnsem w Embassy i tęsknoty za Marcusem, płaczu mojego syna i smutku, że musiałam go zostawić, obawy, że nie zdążę na czas, szalonej jazdy taksówkarza między zapadliskami i kamieniami. Na szczęście miałam już to wszystko za sobą. Ufałam, że Víctor, z tak dobrym swoim usposobieniem, odzyskał chęci, by dalej się bawić, głośno się śmiać i ciągnąć kota za ogon. Wyobrażałam sobie, że taksówkarz opowiada wszystkim dookoła, że pewna wariatka dała mu niewyobrażalną sumę stu peset, żeby zawiózł ją na lotnisko. Gdzieś w środku jednak nadal czułam coś głęboko nieprzyjemnego. Coś, co miało imię i nazwisko, coś w rodzaju ostrej drzazgi.

Z łatwością, z wielką łatwością, mogłabym od ręki załatwić jego sprawę. Z uwagi na sympatię, jaką zdawał się darzyć mnie argentyński magnat, w tej chwili mogłabym wstać i podejść do jego fotela, by z nim porozmawiać. W ciągu kilku minut bez wątpienia zdobyłabym to, o co poprosił mnie Ramiro, prywatne spotkanie w celu przedstawienia mu Bóg jeden wie jakiej sprawy; ze względu na mnie Doderó z pewnością potraktowałby go w sposób uprzywilejowany. Ale stanowczo odmawiałam. Ramiro nie zasługiwał na tę przysługę. Był wobec mnie tak okrutny, nie zasługiwał na to, bym teraz kiwnęła dla niego palcem.

Wylądowaliśmy w bazie lotniczej Armilla około wpół do ósmej, słońce było jeszcze względnie wysoko. Schodząc po schodkach, napełniliśmy sobie płuca czystym powietrzem pobliskiego łańcucha Sierra Nevada. Nic nie zapowiadało nieprzyjemnej nocy, jaka nas czekała.

Rozpoczęła się kolejna karuzela z oklaskami i wiwatami tłumu, przegładem wojsk i salwami armatnimi. Żeby nikogo nie rozczarować podczas wieczornych uroczystości, żona generała Peróna przebrała się przed kolacją w apartamencie w hotelu Alhambra Palace i włożyła kolejną ze swoich okazałych kreacji. Nie chcąc popełnić błędu z poprzedniego wieczoru, a tym bardziej w mieście tak mocno związanym z samą królową, tym razem nie zapomniała o Krzyżu Wielkim Orderu Izabeli Katolickiej. Ponadto, ku zdumieniu wszystkich obecnych, przybyła do urzędu miasta w zarzuconym na ramiona futrze z wizona amerykańskiego.

Kolacja w Sali Plenarnej rozpoczęła się od tradycyjnego już spóźnienia madame Perón. A kiedy się wreszcie zaczęła, ciągnęła się w nieskończoność pośród hymnów, przemówień, kolejnych dań i setek biesiadników. Było strasznie gorąco w tej zaimprovizowanej jadalni: Granada, miasto średniej wielkości, nie miała w tamtym czasie wspaniałych publicznych pomieszczeń na tego typu uroczystości. Panie wyjęły swoje klasyczne wachlarze, podczas gdy panowie dyskretnie się chłodzili kartonikami z menu. Przez otwarte balkony prawie nie wpadało powietrze, a jedynie okrzyki tłumu zgromadzonego na plaza del Carmen. Podawano już deser, kiedy zobaczyłam ze swojego miejsca, że Eva Perón, rozgrzana jak wszyscy, pozbywa się szala narzuconego na suknię ze złotej lamy. W tym celu musiała także odpiąć Order Izabeli Katolickiej, który był przyczepiony do obu materiałów. Zauważyłam, że bezskutecznie próbuje wpiąć go ponownie, chciała, żeby pomogła jej Lillian Lagomarsino, lecz ona akurat w tym momencie rozmawiała z ministrem sprawiedliwości kilka metrów dalej. W końcu nie miała innego wyjścia, jak zwrócić się do swojego brata Juancita, który jako

jedyny znajdował się w pobliżu. Zamieniła z nim kilka słów, a potem przekazała mu odznaczenie, którym miał się zająć.

O wpół do pierwszej w nocy przewieziono nas do cudownie oświetlonej Alhambry. Rozpoczęło się przechodzenie do kolejnych miejsc: na dziedzińcu Lindaraja pianista zagrał serenadę *Granada* autorstwa mistrza Albéniza, na dziedzińcu Leones kwartet smyczkowy zachwyił nas kolejnym znakomitym występem. Wszędzie oddychało się magią, historią oraz intensywnym zapachem mirtu – idealna atmosfera, byśmy wyczerpani położyli się do łóżek ze zmysłami nasyconymi pięknem. Ale nie, skądże. Została jeszcze ostatnia część wieczoru: w ogrodach Partal wszystko było już przygotowane na cygańską zambrę. Przygaszeni zaczęliśmy zajmować miejsca, starając się, by nie było po nas widać zmęczenia. Siedziałam już i ukrywałam ziewnięcia, obserwując Dodera i Juana Duarte, którzy stali z boku przy cyprysach i rozmawiali z jakimiś facetami. Armator, z grubym cygarem w palcach, upewniał się kilka razy, czy pierwszą damę usadzono z odpowiednimi honorami. Brat zaciągnął się wiele razy papierosem, obojętny na urok tego miejsca, najpierw patrząc na zegarek, a potem w pustkę. O pozostałych stojących przy nich mężczyznach mogłam powiedzieć tylko tyle, że byli chudzi i zupełnie mi nieznani. Następnie przyćmiono światła, mistrz ceremonii wszedł na estradę, podczas gdy wśród widzów krążyły głosy proszące o ciszę. Gdy rozbrzmiały pierwsze akordy gitary, zapadła ciemność. Tamtych Argentyńczyków już potem nie widziałam.

Pod gwiazdami rozpoczęło się widowisko, taniec flamenco w wykonaniu tancerek o ciemnych długich włosach, w długich spódnicach z falbanami i białych koszulkach wiązanych pod klatką piersiową, kobiet, które boszo prezentowały swoją legendarną sztukę, jakby unosiły się w powietrzu. Były śpiewy, klaskanie i gra na gitarze. Później nadeszła kolej na występ baletu barcelońskiego teatru Liceu, który gościł akurat w mieście z okazji uroczystości Bożego Ciała. Było już po trzeciej, kiedy umilkła końcowa owacja i opuściliśmy ogrody, podążając za oficjelami i pierwszą damą.

Westybul Alhambra Palace powitał nas pięknie przyciemnionymi lampami zapalonymi w środku nocy. Właściciele przywykli do

przyjmowania turystów i ważnych gości, lecz nigdy wcześniej takiej rangi jak dziś. Żeby wzbogacić wystrój hotelu, zamożne rodziny z Granady przekazały tymczasowo swoje meble i herby, gobeliny, wyroby z brązu, obrazy olejne i porcelanę. Razem z paroma dziennikarzami kierowałam się właśnie do windy, kiedy zawołał mnie Diego Tovar, podając jakąś mglistą wymówkę. Ponieważ on był zajęty swoją pracą, a ja swoją, nie rozmawialiśmy od czasu rozstania na płycie lotniska Barajas, kiedy Dodero poprosił, bym zmieniła samolot.

– Napijemy się whisky na tarasie? Myślę, że zasłużyliśmy.

Byłam tak wykończona, że nie miałam siły odmówić. Traktując moje milczenie jako zgodę, pociągnął mnie na ten piękny taras widokowy ozdobiony płytkami mauretańskimi, z widokiem na miasto, żyzną równinę i niebo. Byliśmy ostatnimi klientami, obsłużył nas senny kelner. Pierwszym łykiem delectowaliśmy się w milczeniu, przypomniałam sobie pocałunek w samochodzie przed wejściem do Klubu Prasowego. Stało się to zaledwie poprzedniego wieczoru, odnosiłam jednak wrażenie, że między tamtą chwilą a obecną upłynęły długie tygodnie.

Należało przypuszczać, że wszyscy artyści i aktorzy byli wreszcie w łózkach: ci pierwszoplanowi i drugoplanowi: pani i jej oddana asystentka, adiutanci i krawcowe, reporterzy, ksiądz, fryzjer, lekarz. Wszyscy śpią snem sprawiedliwych. A przynajmniej tak sądziliśmy.

Między nami było więcej milczenia niż rozmowy, żadnemu z nas nie przeszkadzała cisza. Miałam jednak świadomość, że Diego niewątpliwie lgnie do mnie. Czy ja do niego też – tego nie wiedziałam.

– Posłuchaj, Livio...

Nagle coś przerwało nocną ciszę i jego słowa: ze środka dobiegały odgłosy zamieszania, wymiany zdań, podniesione głosy. Wtedy na taras zajrzał skrupowany kelner, po czym zrobił przejście dla dwóch facetów w garniturach, już dość zmęczonych o tej porze.

Przedstawili się jako członkowie Generalnego Korpusu Policji. Niższy, inspektor Gallardo, zwrócił się do Diega, oczywiście jak mężczyzna do mężczyzny:

– Czy ma pan coś wspólnego z argentyńskimi dżentelmenami o nazwiskach...?

Spojrzał na podwładnego, a ten rzucił okiem na swój notes.

– Juan Gualte i Alberto Durero.

– Juan Duarte i Alberto Doderó – poprawił go Diego, wstając zaniepokojony. – O co chodzi?

Nie był upoważniony, by się nimi zajmować, jego zadanie nie polegało na zapewnianiu bezpieczeństwa gościom, tylko na dbaniu o zagranicznych dziennikarzy. Wyczuł jednak kłopoty i uruchomiły się w nim wszystkie dyplomatyczne alarmy. Działo się coś niepożądanego. A nie było nikogo innego, do kogo można by się zwrócić o tej porze, nie wywołując nerwowości. I należało postępować ostrożnie.

– Wpakowali się w tarapaty w jednej z jaskiń w Sacromonte – wyjaśnił skrępowany policjant. – Panowie udali się na cygańską zabawę, która skończyła się poważną awanturą. Zatrzymaliśmy trójkę miejscowych, cygańską prostytutkę i jej dwóch braci, to ludzie niskiego pochodzenia. Okradli pana Juana Gualte czy Duarte, czy jak mu tam, ale jego rzeczy zostały już odzyskane, to nie stanowi problemu. Rzekomi przyjaciele, którzy zabrali Argentyńczyków na tę zabawę, ulotnili się, ale tych dwóch woleliśmy nie ruszać i zachować dyskrecję. Jeden z nich jest mocno odurzony, obaj nie mają przy sobie dokumentów i odmawiają podania nazwiska kogoś, kto za nich odpowiada; żądają tylko wypuszczenia na wolność ze względu na bliskie relacje z panią Perón. Nie możemy jednak się na to zgodzić, dopóki nie potwierdzimy tej informacji.

Inspektor przełknął ślinę, gruba niczym pięść gula poruszała się w jego gardle w górę i w dół. Było już widać zarost, musiał pewnie golić się o świcie, by potem cały dzień czuwać nad organizacją działań służb porządkowych, żeby podczas wizyty argentyńskiej pierwszej damy nic nie wymknęło się spod kontroli. A teraz jacyś dwaj zabawiający się szaleńcy mogli sprowadzić na niego poważne kłopoty.

– Gdyby był pan tak uprzejmy i pojechał z nami, żeby ich rozpoznać i się nimi zająć – poprosił Diega – byłibyśmy wdzięczni.

– W tej chwili.

Pociągnął ostatni łyk ze szklanki, jednocześnie wkładając do kieszeni papierośnicę. Potem zwrócił się do mnie:

– Wybacz, Livio...

Ja też wstałam.

– Jadę z tobą.

Chciał się sprzeciwić, ale nalegałam.

– Jest ich dwóch, może będę mogła ci pomóc.

Nie pozwoliłam, by powiedział tak lub nie, po prostu wzięłam go pod ramię.

Ruszyliśmy w górę w stronę miasta, a potem jechaliśmy równolegle do rzeki w samym środku nocy. Wszyscy czworo w zdezelowanej lancii – policjanci siedzieli z przodu w swoich cywilnych ubraniach, Diego Tovar i ja z tyłu, on w eleganckim smokingu, a ja owinięta w delikatne warstwy sukienki z organzy. Później droga znowu zaczęła się wspinać; przed nami, pośród agaw i opuncji, pojawiły się zbrocza, wąskie, kręte, kamieniste, bez asfaltu, z mnóstwem dołów i zakrętów. Stary silnik samochodu, krztusząc się, z trudem dawał radę, a my w środku przechylaliśmy się to w prawo, to w lewo, ciała moje i Diega nieustannie się ze sobą zderzały.

Przez okno widziałam tylko pochyłości i otwartą przestrzeń, na wpół zburzone mury z glinianych cegieł, grotty i jaskinie z brudnymi zasłonami zamiast drzwi – to były właśnie te domostwa Cyganów, które tak fascynowały obcokrajowców szukających tradycyjnych wspólnot; nędzne domy, w których mnóstwo nieszczęśników żyło w brudzie, głodzie i niewiedzy, pośród wszy. Nie zdołałam znaleźć w tym miejscu niczego atrakcyjnego, choć Sacromonte bez wątpienia stanowiło egzotyczne i malownicze przedmieście dla obcokrajowców, którzy mieli ochotę posłuchać tradycyjnego flamenco lub zabawić się z prostytutkami o brązowej skórze.

Inspektor zatrzymał się przed jedną z jaskiń, trochę bardziej zadbaną niż poprzednie. Przód był pomalowany na biało, a po obu stronach wejścia w puszkach po konserwach rosły czerwone pelargonie. Pomimo późnej pory dookoła stało co najmniej piętnastu lub dwudziestu ciekawskich sąsiadów, w tym także kilkoro dzieci w łachmanach. Kilka metrów dalej zobaczyłam zaparkowany



inny samochód, domyśliłam się, że należy do policjantów, którzy pilnowali Juancita i Dodera. Wszyscy czworo wysiedliśmy z lancii; oni weszli do środka, ja postanowiłam trzymać się z boku.

– Na razie – wyszeptałam do Diega – zaczekam.

Nie wiedziałam, w jakim stanie są Argentyńczycy, uznałam, że rozsowniej będzie poczekać chociaż kilka minut.

Stojąc na zewnątrz, usłyszałam głos Dodera, gdy rozpoznał Diega Tovara, i jego bełkotliwe żądania, by natychmiast ich stąd zabrano. Do mnie tymczasem podeszły dwie bose dziewczynki z poplątanymi włosami i brudnymi twarzami; musiały mieć osiem lub dziewięć lat i najwyraźniej nikogo nie obchodziło, że kręcą się tutaj, zamiast spać. Przyglądały mi się ze zdumieniem i nerwowym chichotem, w ich oczach niewątpliwie musiałam wyglądać dziwnie w mojej długiej sukni, delikatnych sandałach i makijażu.

– Czy to prawda, że tam w środku są przyjaciele tej Perony?

Musiały powtórzyć to pytanie trzy razy, zanim zrozumiałam. Kiedy wreszcie mi się to udało, o mało nie parsknęłam śmiechem. Do tego miejsca nie docierały prąd, bieżąca woda ani alfabetyzacja, ale owszem, dotarła wiadomość, że niejaka Eva Duarte de Perón przybyła z wizytą do Granady, chociaż te dzieci nie wiedziały, kim jest ta kobieta ani jak się naprawdę nazywa.

Ponownie dobiegł mnie nieco już spokojniejszy głos armatora, poważny ton Diega oraz głos inspektora, ale nie słyszałam Juana Duarte. Próbowałam zajrzeć ukradkiem przez zasłonę, gdy poczułam, że ktoś ciągnie mnie za sukienkę. Tutaj, tutaj, powiedziały dziewczynki. Swoimi brudnymi paznokciami pokazywały mi sąsiednią dziurę, coś w rodzaju drzwi. Potem przyłożyły palec wskazujący do oka i pociągnęły w dół – zrozumiałam je natychmiast. Jeśli tu wejść, będę mogła zobaczyć, co się dzieje w środku. Nie zastanawiając się dwa razy, posłuchałam ich.

Ciemne pomieszczenie, do którego weszliśmy, miało niski sufit i otwór w tylnej ścianie, który łączył się z główną izbą. Z dziewczynkami przyklejonymi do moich nóg – wszystkie trzy milczące – zajrzałam ukradkiem, tak żeby tamci z drugiej strony mnie nie zauważyli. Diego Tovar, obaj policjanci, którzy nas tu przywieźli, oraz dwaj pozostali, którzy pilnowali Argentyńczyków, nadal stali. Doderó, z rozwiązaną muszką i czerwoną twarzą, siedział na krześle wplecionym z liści pałki, podczas gdy Juancito spał pijany na kamiennej ławie; zauważyłam, że nie miał na sobie ani koszuli, ani butów. Wyglądało na to, że zastanawiają się, co z nim zrobić: czy poczekać, aż się ocknie, czy zabrać go do hotelu w takim stanie.

Na środku, w świetle lampy naftowej, idealnie ułożone na prostym drewnianym stole, rozpoznałam jego buty z lakierowanej skóry, zegarek, złotą zapalniczkę, spinki do mankietów, zwitek banknotów i pierścień z rubinem, który prywatny sekretarz prezydenta Peróna zawsze nosił – potwierdzenie, że to wszystko mu ukradziono, a następnie odzyskano. Wtedy coś mi zazgrzytało. Coś się tu nie zgadzało. Pamięć niemal bezwiednie cofnęła mnie o kilka godzin, do kolacji w gorącej Sali Plenarnej urzędu miasta. Tam widziałam, jak Juan Duarte wkłada pewien przedmiot do kieszeni, przedmiot, który przekazała mu jego siostra Eva, kiedy nie potrafiła wpiąć go w materiał sukienki. Właśnie tego brakowało teraz na stole w jaskini.

Za plecami usłyszałam dźwięk zapalanej zapalniczki i gwałtownie odwróciłam głowę. Siedząca na półce wystającej ze ściany, czymś w rodzaju ławki, staruszka w czerni zapalała lampę oliwną. Drgające światło sprawiło, że na ścianach jaskini tańczyły pomarańczowe cienie. Przeszył mnie dreszcz, gdy zobaczyłam jej surową, pooraną zmarszczkami twarz.

– Dobry wieczór – zdołałam wydusić. To minimum, co mogłam zrobić, skoro wcisnęłam się tu bez pozwolenia. Dziewczynki, nagle przestraszone, wybiegły jak wystrzelone z procy. Zostałam z nią tam sama.

Moje oczy szybko się przyzwyczyły do półmroku; zauważyłam, że pomieszczenie jest nieco większe, niż sądziłam, z kilkoma niskimi stolikami i ławami – domyśliłam się, że to skromny lokal, w którym obsługują klientów. Zobaczyłam gąsiory z winem na gołej ziemi, coś w rodzaju półki z butelkami bez etykiet i kilka brudnych szklanek. Niezbędne zaopatrzenie prostego lokalu.

Staruszka wpatrywała się we mnie, podczas gdy ja w dalszym ciągu wodziłam wzrokiem między cieniami, żeby od niej uciec. Stałam jednak w odległości zaledwie trzech metrów, więc jej sylwetka siłą rzeczy rzucała mi się w oczy. Poważna, korpulentna, plecy proste, włosy zebrane w ścisły kok, dłoń na rączce laski i wygląd matrony. Nagle przyszło mi do głowy, że może jest właścicielką tego kramu, a może matką trójki rodzeństwa – dziwki i tamtych dwóch – które wylądowało w celi po oskubaniu Juancita. Instynktownie pomyślałam, że jeśli to naprawdę ona, być może coś wie.

Udałam odwagę, żeby mój głos zabrzmiał pewnie.

– Wśród rzeczy tego pana czegoś brakuje – powiedziałam, unosząc kciuk i wskazując sąsiednią izbę. – Są zegarek, zapalniczka, spinki do mankietów, pierścień, buty i pieniądze. Ale było coś jeszcze.

Kobieta nie poruszyła nawet powieką ani nie wykonała żadnego gestu mogącego świadczyć o tym, że wie, o czym mówię.

– Brakuje czegoś, co miał w prawej kieszeni marynarki.

Dalej na mnie patrzyła, czujna i ostrożna. Uświadomiłam sobie, że może wcale nie jest taka stara, że to jedynie dojrzała kobieta umęczona niedolą pieskiego życia.

– A na tym czymś, co ten pan miał w kieszeni – dodałam poważnym tonem – nikt nie zdoła zrobić interesu.

Nadal stałam, wytwornie ubrana w wieczorowy strój; ona, w czerni od stóp do głów, cały czas siedziała nieruchomo na swoim skromnym siedzisku. Jeśli mój wygląd wywołał w niej jakieś

zdziwienie, nie okazała go. Musiała być przyzwyczajona, że do tego nędznego lokalu zaglądają ludzie wszelkiego pokroju.

– To – naciskałam – na ulicy nie ma żadnej wartości, bo...

– Można za to sporo dostać. Myśli pani może, że ja się nie znam?

Gdy usłyszałam jej głos, na skórze poczułam coś jakby smagnięcie biczem. Miała trudny do zrozumienia akcent i ton szorstki jak papier ścierny. Wydobyć głosu z gardła, żeby jej odpowiedzieć, kosztowało mnie wiele wysiłku.

– Ale to jest prezent o bardzo poważnych implikacjach politycznych. Prezent od Franco dla doñi Evy Perón, która go odwiedziła w Hiszpanii. Pisały o tym wszystkie gazety. Dlatego jeśli zamierza go pani sprzedać, nie znajdzie nikogo, kto zechciałby go kupić. – Zrobiłam pauzę, potem dodałam ponurym tonem: – Jeśli kogoś z tym przyłapią, dostanie ładny wyrok.

Nadal milczała, jak gdyby przeżuwała słowa. W przyległej izbie znowu rozległy się głosy mężczyzn, wyglądało na to, że chcą jednak przywrócić Juana Duarte do świata żywych. Nagle uświadomiłam sobie, że muszę się spieszyć, zakończyć to, zanim oni wyjdą.

– Pięć lat więzienia co najmniej – dodałam stanowczo. – Albo postawią panią pod ścianą, wie pani przecież, że caudillo nie przebiera w środkach. Tutaj, w Granadzie, zlikwidowali już wielu waszych. Czy może pani już nie pamięta o wojnie i o tym, co przyszło później?

Nie wiedziałam, jak przebiegała wojna domowa w Granadzie, ale przypuszczałam, że postępowano tak samo bezwzględnie i okrutnie jak w pozostałych częściach Hiszpanii, dlatego postanowiłam zaryzykować. Chyba przyniosło to jakiś efekt, bo na jej wysuszonych ustach pojawił się grymas odrazy. Dobrze wiedziała, że Sacromonte, ze względu na swoje złożone ukształtowanie terenu, swego czasu stało się schronieniem dla partyzantów i prześladowanych. W czasie polowania na nich często zdarzały się zdrady, donosicielstwo, strzały i starcia. Krew lała się strumieniami, ludzie trafiali do więzień albo ginęli.

– Mogę zadbać o to, żeby ta rzecz wróciła na swoje miejsce. I mogę to zrobić dyskretnie.

Otrzymałam jedynie kolejną milczącą odpowiedź. Ale nie odmowę.

– Wszystko zostałooby między panią a mną, gwarantuję. – Nie ruszając się, ponownie wskazałam kciukiem izbę za moimi plecami. – W przeciwnym razie tamci czterej policjanci, Gallardo i jego ludzie, wrócą i nie spoczną, dopóki tego nie znajdą. Sprawa jest dość przykra, a oni są bardzo zdenerwowani, bo mogą mieć kłopoty. Sama pani wie, że mieszanie polityki i kradzieży w Hiszpanii pod rządami Franco nie jest niczym dobrym.

Usłyszałyśmy, jak po drugiej stronie ściany Juancito wydaje z siebie kolejne bezładne zdanie. Dajcie mi spokój, kretyni, albo coś w tym rodzaju wyszło z jego ust. Ja w dalszym ciągu mocno naciskałam, kończył mi się czas.

– Nikomu nie pisnę ani słowa – zapewniłam energicznie. Odwróciłam głowę i wskazałam podbródkiem drugą izbę, skąd wciąż dobiegały głosy. – Zresztą żaden z nich nie wie, że tu jestem. Sądzą, że czekam na zewnątrz. Udam, że znalazłam tę rzecz przez przypadek, na ulicy czy gdziekolwiek, już coś wymyślę. Nie spotkają pani żadne konsekwencje.

Protesty brata Evy Perón stawały się coraz głośniejsze, nie chciał, żeby go ruszali. Zostawcie mnie tu, do diabła, gówniani Galisyjczycy, sukinsyny. Puszczając mimo uszu epitety Argentyńczyka, nieugięta dalej robiłam swoje.

– Proszę się zdecydować. Nie ma czasu.

W świetle lampy zauważyłam, że jej usta przygotowują się do odpowiedzi.

– A co dostanę w zamian?

Zabrzmiało niczym trzask, surowo, bezwzględnie. Ścisnęło mnie w sercu; wyniszczona matrona stawiała sprawę jasno.

– Ile pani chce?

– Zależy, ile pani ma.

Otworzyłam moją małą torebkę z cyrkoniami, w środku miałam kilka banknotów. Ani żadnych dokumentów, ani akredytacji. Jedynie tę pieniądze przepustkę. Udało mi się z taksówkarzem, przypuszczałam, że tutaj przyniesie to podobny efekt.

Usłyszałam, że w drugiej izbie podnoszą już Juancita, jakby to była bela; teraz rzucał inwektywy pod adresem matek policjantów, którzy zamierzali go stąd zabrać. Musiałam działać szybko, to była już kwestia minuty. Wyjęłam dwieście peset, podeszłam i położyłam je obok niej na ławie; ona pokręciła głową. Dodałam trzeci banknot, podczas gdy do moich uszu nadal docierały narzekania brata; staruszka ponownie pokręciła głową. Położyłam więc czwarty i piąty banknot. Wyjęłam czystą chusteczkę i pomadkę i wywróciłam do góry nogami otwartą torebkę, żeby mogła się przekonać, że jest całkiem pusta.

– To – wymamrotała, wskazując szminkę palcem powykręcany jak latorośl.

Z drugiej strony dobiegły ryk Dodera, który rugał swojego przyjaciela, oraz głos Diega, który usiłował zaprowadzić porządek. Wtedy staruszka wskazała chusteczkę, a następnie torebkę: to i to. Zgodziłam się, oddałam jej wszystko, musiałam jak najszybciej zakończyć tę wymianę. Wykonałam wtedy wymowny gest, wyciągając w jej stronę otwartą dłoń i zginając do siebie cztery palce. Ma już pani to, co chciała – zamierzałam jej przez to powiedzieć – a teraz, szybko, proszę dać mi to, co jest mi pani winna.

Nie wstając, oparła łaskę o ławę i pochyliła się, aż jej ręka sięgnęła dolnej części czarnej spódnicy, która niemal dotykała podłogi. Wsadziła rękę pod spód, przebiegając po łydkach i udach pod warstwami ciemnego i brudnego materiału, aż dotarła do krocza. Przez chwilę grzebała w swoich intymnych częściach ciała, podczas gdy ja powstrzymywałam gest obrzydzenia. Wreszcie znalazła to, czego szukała, i wtedy ręka pokonała z powrotem tę samą drogę, aż ponownie znalazła się na zewnątrz. Powoli wyciągnęła ją w moją stronę. Wyjęty z samego środka jej brudnych miejsc intymnych Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej w świetle lampy oliwnej błyszczał na jej dłoni pełnej czarnych smug.

Męskie głosy przybrały na sile, byli już gotowi do wyciągnięcia Juancita na ulicę, żeby wsadzić go do jednego z samochodów. Powstrzymując mdłości, opuszkami palców błyskawicznie wzięłam odznaczenie; chciałam odzyskać chusteczkę, żeby je wyczyścić, ale staruszka była ode mnie szybsza i zanim zdążyłam po nią sięgnąć,

już miała ją w ręku. Straciwszy ostatni materiał higieniczny, nie mogąc powstrzymać bezgranicznego wstrętu, podniosłam dół sukienki, chwyciłam podszewkę, wzięłam ją do ust i wyrwałam kawałek zębami. Owinęłam nim honorowe odznaczenie, a Cyganka wymamrotała jakieś zdania, których nie potrafiłam zrozumieć. Z pewnością ciskała choleraми.

Wsunęłam mały pakunek za dekolt, pod ramiączko biustonosza. Potem splunęłam na swoje dłonie i potarłam jedną o drugą, żeby spróbować umyć je własną śliną. Rzuciwszy staruszcze ostatnie spojrzenie, przekonałam się, że schowała już – Bóg wie gdzie – wszystkie moje rzeczy.

W zamian za pięćset peset, fantazyjną torebkę, chusteczkę i szminkę udało mi się odzyskać order, który generalissimus nadał Evie Perón w Pałacu Królewskim.

Kobieta zgasiła lampę i jaskinia na powrót pogrążyła się w mroku. Ja przesunęłam zasłonę i wyszłam w noc.

Następnego poranka nikt nie zszedł na śniadanie na czas. Miejscowi organizatorzy, lokalni dziennikarze, zdenerwowane władze i setki ciekawskich czekali w westybulu i w pobliżu hotelu, domniemywając, że to kolejne spóźnienie pierwszej damy; z Madrytu już ich uprzedzono, że ciągle zjawia się z opóźnieniem. Ambasador Radío był zmuszony wziąć na siebie całą odpowiedzialność: około jedenastej wyszedł z windy, skierował się na środek lobby ze strapionym wyrazem twarzy i przekazał komunikat: z powodu niedyspozycji pani Perón na razie wszystkie uroczystości zostają odwołane. Przepraszamy za niedogodności. Poinformujemy, jeżeli nastąpią zmiany.

To prawda, że Eva Perón dosyć często cierpiała na rozmaite dolegliwości. Niewiele jadła i szybko się męczyła, puchły jej kostki, bladość twarzy aż za bardzo rzucała się w oczy, a lekarz ciągle jej doradzał, by odpoczywała. Tego ranka jednak zdrowie było tylko wymówką. Nie dokuczały jej żadne dolegliwości fizyczne, jej niedyspozycja była spowodowana zachowaniem brata. I nie zdarzyło się to pierwszy raz.

Powrót Juana Duarte do Alhambra Palace, już niemal o świcie, odbił się pewnym echem, mimo że zachowano najwyższą dyskrecję. Przywieziono go samochodem inspektora Gallardo. Diego Tovar i Alberto Dodero siedzieli po obu stronach. Ciekawy obrazek tworzyła ta trójka w lancii: wytrawny dyplomata, osobisty sekretarz generała Peróna i narwany wpływowy armator – ściśnięci na tylnym siedzeniu pospolitego auta niczym trzej przestępcy. Pozostali policjanci poprowadzili mnie do drugiego pojazdu; żeby uniknąć zakłopotania, zadbałam o to, by Dodero w żadnym momencie nie zauważył mojej obecności. Wysiadłam przed głównym wejściem, a Juancita wprowadzili do hotelu drzwiami dla kuchennego



zaopatrzenia, jakby to była dostawa mięsa z rzeźni. Mimo to, znajdując się w znacznej od nich odległości, słyszałam fragmenty jego pijackich wrzasków na korytarzach, wykrzykującego bzdury pod adresem Izabeli Katolickiej i złodziejskiej Cyganki Rosario.

Po zaledwie kilku godzinach niespokojnego snu wstałam po dziewiątej i zobaczyłam, że pod drzwiami leży koperta. Rozerwałam ją niecierpliwie: Diego Tovar przekazał mi, że wzywa go minister i że natychmiast rusza z powrotem do Madrytu drogą lądową. Nie dodał nic więcej, nie chciał komplikować sobie życia; między wierszami wyczułam, że wiadomość o zdarzeniu w Sacromonte być może dotarła już do stolicy i wywołała poważne zaniepokojenie na najwyższym szczeblu. A on, jako świadek, musiał to wyjaśnić.

Z odręczną notką w ręce otworzyłam szeroko drzwi mojego pięknego balkonu wychodzącego na las Alhambry. Łapczywie wdychałam czyste powietrze, a potem usiadłam w nogach łóżka. Niespodziewany wyjazd Diega kompletnie mnie rozstroił. Liczyłam na niego, potrzebowałam go. Jako dyrektor Biura Informacji Dyplomatycznej, zręczny i opanowany profesjonalista, wiedziałby, co robić. Teraz, pod jego nieobecność, byłam zdana tylko na siebie.

Rzuciłam kartkę na pościel i poszłam do łazienki. Umywarka wciąż była pełna wody, ale zniknęła już gęsta piana z mydła, która powstała na powierzchni, kiedy tarłam kostką dłonie przed pójściem spać. Na dnie białej porcelany, ekstrawagancki i obojętny, leżał Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej; zemdliło mnie, gdy sobie przypominałam, skąd został wyciągnięty. Powoli i z lekkim przerażeniem wsadziłam rękę, wyjęłam korek i czekałam, aż woda spłynie. Potem odkręciłam kran, żeby zimna woda z Sierra Nevada lała się strumieniem na szczerze złoto odznaki, na perły na wierzchołkach, małe diamenty i rubiny, inskrypcję Plus Ultra oraz emaliowane pole z kolumnami Herkulesa. Emblem był otoczony wieńcem laurowym z napisem „Z najwyższą lojalnością dla Izabeli Katolickiej”. Nie mogłam powstrzymać sarkastycznego uśmiechu; całe szczęście, że biedna królowa nie żyła od wieków i nie mogła widzieć niewielkiej lojalności, dzięki której przechodziła z rąk do rąk. Później znowu tarłam go wściekle kostką marki Heno de Pravia, żeby usunąć resztki, jakie mogły jeszcze na nim zostać, z intymnych

miejsc staruszki. Następnie owinęłam order ręcznikiem i usiadłam na klapie sedesu. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co powinnam dalej zrobić. Nie potrafiłam nic wymyślić.

W jadalni siedziało zaledwie paru gości. Kelnerzy zaczęli już sprzątać ze stołów, kiedy weszłam ubrana i umalowana, jak przystało na rezolutną reporterkę, której rolę odrywałam. Wydawało mi się, że w rogu rozpoznałam kark i plecy Alberta Doderó. Nie był to z pewnością dobry moment, by zaoferować mu moje towarzystwo, niewątpliwie wolał w samotności przetrwać swojego kaca i autokrytykę za brak odpowiedzialności. Praktycznie rzecz biorąc, to on był szefem całej ferajny: generał Perón powierzył mu zajęcie się wszystkim ze względu na jego polityczną lojalność, dojrzałość, savoir-faire i oczywiście jego fortunę. W odpowiedzi na takie zaufanie armator był zobligowany do zagwarantowania nienagannego zachowania całej argentyńskiej grupy i on sam winien sprawować się bez zarzutu.

Tymczasem ten rozwiąły bon vivant i miłośnik rozrywki nazbyt tolerancyjnie potraktował zuchwałość Juana Duarte, pobłażał mu i towarzyszył na wielu imprezach. Aż poprzedniego wieczoru sprawa wymknęła się spod kontroli. Incydent w Sacromonte sam w sobie ostatecznie nie przyniósł większych konsekwencji: zakładano, że policja odzyskała wszystko, co prostytutka i jej bracia ukradli Juancitowi, i zanim nastał dzień, zdołali wyciągnąć go z tej okropnej jaskini, przewieźć do hotelu i położyć do łóżka. Armator zapewne ubolewał nad takim finałem wieczoru. W ciągu kolejnych godzin policjanci w Granadzie poinformowali o zdarzeniu swoich przełożonych w Madrycie, a ci z kolei powiadomili ministerstwo spraw zagranicznych i sam minister Martín Artajo zażądał natychmiastowego powrotu Diega Tóvara, żeby osobiście opowiedział szczegółowo, co się wydarzyło. Nie była to pierwsza niefortunna przygoda brata Ewy Duarte, już w stolicy było bowiem wiadomo o kilku innych imprezach z prostytutkami i awanturnikami, gdzie nie brakowało alkoholu ani substancji odurzających. Juancito, czarna owca w argentyńskiej świcie, wywoływał u wszystkich ogromne zaniepokojenie.

O tym wszystkim musiał rozmyślać Dodero tego poranka, przełykając dwie tabletki optalidonu, które dostał na zwalczenie bólu głowy po swoich ekscesach: wspaniałe tournée Evity mogło ponieść klęskę w znacznej mierze z powodu jego własnej pobłażliwości wobec szaleństw jej brata. Ale nie to było najgorsze, tylko coś o wiele poważniejszego, co armator mógł zacząć podejrzewać po powrocie do hotelu i co mógł potwierdzić po przebudzeniu. Coś, co mogło wywołać mocny konflikt, gorzki spór z samym Franco na ostatnich etapach podróży. I ten bęcwał Juancito – pomyślał prawdopodobnie Dodero – ponosił za to winę. Wściekły magnat udał się zapewne do jego pokoju, potrząsnął nim, żeby go obudzić, a kiedy przeszukali wszystkie kieszenie pogniecionego garnituru, upewnili się, że po wspaniałym odznaczeniu nie było ani śladu.

Myśląc o tym wszystkim, przecięłam jadalnię; byłam gotowa przekazać armatorowi order, który tak bardzo pragnęli odzyskać, chciałam uwolnić go od udręki i przywrócić spokój jego zbolełej duszy. Podeszłam z odpowiednio przygotowanymi słowami i moim najlepszym porannym uśmiechem, który ostatecznie zamienił się w grymas. Obszedłszy stolik i zobaczywszy twarz siedzącego przy nim człowieka, uświadomiłam sobie pomyłkę. Ten mężczyzna nie był argentyńskim magnatem, lecz wąsatym facetem, który w samotności kończył jeść śniadanie.

Zaczepiłam kelnera, który przekazał mi, że pan Dodero wypił tylko podwójną kawę wcześniej rano.

Podeszłam więc szybko do recepcji hotelu.

– Wyjechał ponad godzinę temu.

– Sam?

Pracownik wahał się przez chwilę, aż wreszcie przytaknął.

– Tak, proszę pani. Pan był sam.

– A wie pan może, dokąd się udał?

Znowu się zawahał, zwróciłam uwagę, że miał twarz dobrego człowieka: szczerzy ojciec rodziny z czwórką lub piątką potomstwa, któremu musiał kupować buty i zeszyty w czasach, kiedy pensje były naprawdę nędzne. Całe szczęście, że Anglicy, tak pragmatyczni, przed wylotem do Hiszpanii wręczyli mi pokaźny plik banknotów.

Kolejny stupeśetowy znalazł się dyskretnie na drewnianej ladzie, ukryty pod moją otwartą dłonią.

– Hotelowy samochód zawiózł go na lotnisko – oznajmił, podczas gdy banknot zniknął w jego kieszeni.

– Z bagażem czy bez?

Recepcjonista był tak honorowy, że udzielił mi odpowiedzi, nie prosząc nawet o napiwek.

– Pan Dodero miał ze sobą sporej wielkości walizkę.

Zaczęłam się robić nerwowa, bardzo nerwowa. Diego Tovar wyjechał. Alberto Dodero wyjechał. A ja zostałam w Granadzie sama, nie wiedząc, komu mogę ufać, z przeklętym Orderem Izabeli Katolickiej ukrytym w moim pokoju, włożonym między waciki, którymi wieczorami zmywałam makijaż.

Omiotłam westybul niespokojnym wzrokiem. Mimo niespodziewanego odwołania kolejnych uroczystości nadal panował tu ruch: dziennikarze, oficjele, ciekawscy, którzy nie śmieli odchodzić, na wypadek gdyby plany uległy zmianie. Za ladą recepcji dostrzegłam drzwi. CENTRALA TELEFONICZNA, przeczytałam na dyskretnym szyldzie. Nie zastanawiałam się dwa razy: weszłam bez pukania i zamknęłam za sobą drzwi. Dwie pracownice natychmiast rozpoznały mnie jako członkinię grupy, która towarzyszyła żonie Peróna, i przyjęły mnie z najwyższą uprzejmością, skrywając radość z faktu, że mają przed sobą jedną z aktorek całego widowiska.

Obie były po czterdziestce, musiały pracować w tym hotelu połowę swojego życia. Od razu się domyśliłam, że nie będą skłonne współpracować za sto ani nawet za tysiąc peset. Uciekłam się zatem do czegoś innego, kłamstwa, które wymyśliłam na poczekaniu, podając się za cudzoziemską żonę don Alberta Dodero, człowieka odpowiedzialnego za bezpieczeństwo doñi Maríi Evy. Był ode mnie starszy o kilka dekad, ale one, tak samo jak ja, wiedziały, że świat jest pełen kochających się osób znacznie różniących się wiekiem, szczególnie gdy kobiecie nie brakuje urody, a mężczyzna ma władzę, sławę lub pieniądze.

Fatalnie naśladowując argentyński akcent, zrobiłam z siebie głupią elegantkę, winiłam siebie za to, że spałam do późna, i żałowałam, że nie mogłam porozmawiać z mężem, zanim wyjechał na lotnisko.

Krótko mówiąc, zamieszałam im w głowach moją pustą gadaniną i w końcu osiągnęłam cel: zapisały mi na karteczce wszystkie poranne połączenia wychodzące z pokoju armatora. Ku mojej radości telefonistki nie ograniczyły się jedynie do spisania numerów, lecz jedna z nich spiczastym pismem zanotowała, że dwa połączenia były z lotniskiem w Granadzie, a pozostałe z Madrytem. Jedno z ambasadą Argentyny. Drugie z hotelem Palace. A trzy, dokładnie trzy połączenia wykonał armator do zakładu o nazwie Cejalvo.

Starłam się uruchomić pamięć. Cejalvo, Cejalvo..., powtórzyłam w duchu. Ale ta nazwa nic mi nie mówiła. Ta o ciemniejszej karnacji jak gdyby czytała mi w myślach i pospieszyła z pomocą.

– To warsztat jubilerski, srebrniczy i z odznaczeniami, pani Doderó. Tak figuruje w madryckiej książce telefonicznej. Może pani mąż – dodała porozumiewawczo z figlarnym uśmiechem – zamierza zrobić pani prezent.

Roześmiałyśmy się chórem wszystkie trzy, one z prawdziwą sympatią, ja absolutnie cynicznie, jednocześnie łącząc w głowie fakty. Po co armator miałby się kontaktować z takim warsztatem, jeśli nie w poszukiwaniu zamiennika? Z pewnością dlatego postanowił wrócić do Madrytu, chciał zająć się tą sprawą osobiście. Bez pośredników. Z najwyższą dyskrecją.

Pożegnałam się z uprzejmymi telefonistkami, przyrzekając im dozgonną wdzięczność i nie pozwalając dostrzec moich wątpliwości. Musiałam powstrzymać armatora od tej ucieczki do przodu – teraz miałam tego pełną świadomość. A poza tym pozostawienie odznaczenia w moim posiadaniu wiązało się z ryzykiem. Musiałam się zastanowić, jak się go pozbyć – to był kolejny krok.

Wróciłam do pokoju. Próbując myśleć, usiadłam na skraju jeszcze niezaścielonego łóżka. Wnosząc po telefonie do warsztatu zajmującego się wykonywaniem odznaczeń, ani Doderó, ani nikt inny najwyraźniej nie zamierzał powiadomić o stracie władz: nieostrożność była zbyt żenująca, niedbalstwo za bardzo zawstydzające, żeby przyznać się do tego oficjalnie. Ale nigdy nie wiadomo, może komuś mogłoby się coś wymyślić. Może w którymś momencie policja znowu będzie wypytywać cygańską rodzinę z Sacromonte. Może staruszka zacznie mówić i wskaże mnie swoim

parchatym palcem. W każdym razie niepokoiła mnie świadomość, że cenny przedmiot wciąż znajduje się w mojej kosmetyczce.

Po rozważeniu wszystkich opcji zostało mi jedno rozwiązanie, żeby Order Izabeli Katolickiej wrócił na należne mu miejsce: musiałam sama dostarczyć go pierwszej damie. Problem, wielki problem, stanowił sposób przekazania. Jedną z możliwości, pomyślałam, byłoby przekazanie go dyskretnie szwaczkom Asuncie i Juanicie albo fryzjerowi don Juliowi. Oni mnie znali, mogłabym porozmawiać z nimi bez żadnych podchodów, wyjaśnić sytuację, zostawić odznaczenie pod ich opieką i niech oni działają dalej. Doszłam jednak do wniosku, że to mogłoby ich za bardzo uwikłać i wiązałoby się z ryzykiem: ktoś mógłby mieć wątpliwości, nie uwierzyć w ich wersję, a wręcz oskarżyć. Alternatywą, zastanawiałam się, byłoby przekazanie go policji: mogłabym pójść osobiście na komisariat, zapytać o inspektora Gallardo i powiedzieć mu prawdę. W tym wypadku jednak potencjalną poszkodowaną mogłabym być ja sama, bo gdyby mi nie uwierzono, sprawa obróciłaby się przeciwko mnie. Mogłam sobie nawet wyobrazić tytuły na pierwszych stronach gazet: „Korespondentka BBC z Londynu aresztowana za poważną kradzież”. Nie, to też nie było przekonujące. W żadnym razie.

Mając już dość szukania i odrzucania pomysłów, weszłam do łazienki, podniosłam wieko mojej eleganckiej kosmetyczki i włożyłam rękę między produkty do makijażu, słoiczek *cold cream* i spinki do włosów, aż dotarłam do zawiniątka na dnie. Z białego miękkiego materiału wyciągnęłam order. Nawet na niego nie popatrzyłam, tylko ścisnęłam go w dłoni. Zróbmy to, powiedziałam do siebie. I ot tak skierowałam się w stronę drzwi.

Apartament madame Perón znajdował się na pierwszym piętrze hotelu, w jego najznamienitszej części. Ruszyłam tam spokojnym krokiem, starając się stłumić odgłos moich kroków. Mimo słonecznego dnia na korytarzu było chłodno i ciemno, nie spotkałam po drodze nikogo. Szłam z mocnym przekonaniem, byłam gotowa zakończyć tę sprawę, przekazać wreszcie odznaczenie właścicielce do rąk własnych. Powiedziałabym po prostu, że znalazłam je podczas spaceru po Alhambrze. To wytłumaczenie było tak banalne, że

brzmiało niemal absurdalnie. Ale prawdziwe okazało się nazbyt przesadzone, musiała się więc zadowolić tym.

Zostało mi do pokonania jeszcze kilka metrów, gdy zaczął do mnie docierać żeński głos, coraz głośniejszy i wścieklejszy. Eva Perón, o czym nie wiedziałam, zakończyła właśnie rozmowę z bardzo wierzącym ministrem Albertem Martínem Artajo. Szef resortu spraw zagranicznych Hiszpanii nie czekał, aż Diego Tovar wróci do Madrytu, bo to, co usłyszał od policji w Granadzie, w połączeniu z tym, o czym już wiedział z poprzednich wieczorów, wystarczyło, żeby zebrał się na odwagę i nakazał wykonać połączenie z Alhambra Palace.

– Jestem głęboko zaniepokojony, proszę pani...

Tymi lub podobnymi słowami mógł rozpocząć swoją perorę hiszpański minister, przełknąwszy wcześniej żabę. Ludzie zaczęli się dowiadywać, prasa zaczęła się dowiadywać, krążyły plotki, które mogłyby dotrzeć do uszu Jego Ekscelencji. Jak najszybciej należało utemperować brata kobieciarza i potępić jego niedopuszczalne zachowanie.

Po zakończeniu połączenia María Eva Duarte de Perón besztła prywatnego sekretarza swojego męża, a ja w tym czasie zbliżałam się do drzwi. Nie była teraz dziewczyną z prowincji stojącą przed bratem, z którym spędziła biedne dzieciństwo w Junín, lecz wpływową kobietą, która prawila głośne kazanie krnąbrnemu podwładnemu. Przeczuwałam, że nie chodziło o utratę orderu: o tym jeszcze nie wiedziała.

Stałam przed podwójnymi dębowymi drzwiami, gotowa zastukać kostkami dłoni, kiedy usłyszałam, jak wyrzuca z siebie potok wściekłych obelg na temat zamięłowania Juancita do burdeli, libacji i hulanek. On tymczasem, zapewne przestraszony, nie śmiał odezwać się słowem.

Wydawało się, że sytuacja się uspokajała, podniosłam więc rękę, ale wahałam się kilka sekund. Już niemal muskałam drzwi, kiedy krzyk sprawił, że ją cofnęłam.

– Jeszcze jedna dziwka, słyszysz? Jeszcze jedna dziwka i natychmiast wracasz do Argentyny!

Nadal ściskając w ręku Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej, postanowiłam się odwrócić i pospiesznym krokiem podążyłam do mojego pokoju.



O ile Alhambra Palace w Granadzie nawiązywał do nasrydzkiej przeszłości Andaluzji, to hotel Alfonso XIII w Sewilli był spektakularną fantazją w stylu neomauretańskim, nieco sztuczną, ale równie wspaniałą. Madame Perón i jej najbliżsi towarzysze zostali niemal na rękach przeniesieni do królewskich apartamentów; my, cała reszta, czekaliśmy cierpliwie, aż zostaną nam przydzielone pokoje.

– Witamy, pani Nash – usłyszałam, gdy nadeszła moja kolej. – Byłaby pani tak uprzejma i pokazała mi swój paszport?

Podaliśmy go recepcjoniście razem z grymasem, który miał być uśmiechem; musiałam jeszcze poczekać, aż wpisze moje dane w odpowiedniej rubryce. Dochodziła dziewiąta wieczorem, właśnie przylecieliśmy z Granady, a ja czekałam cierpliwie, aż pracownik przekaze mi klucz przyczepiony do ciężkiego, metalowego breloka. I coś jeszcze, co mnie zaskoczyło.

– Kilka godzin temu przyszedł do pani telegram z Madrytu.

Prawie wyrwałam mu go z ręki. Odeszłam na bok, rozrywając nerwowo niebieski papier złożony na pół i zapieczetowany. Víctor – to była moja obawa.

TWOJE DZIECKO PIĘKNE.

TWÓJ OJCIEC ZDROWY.

ANGIELSKA NIAŃKA SŁODKA.

WSZYSCY CZEKAMY NA TWÓJ POWRÓT.

UŚCISKI.

R.A.

Zgniotłam go tak, że wyglądał jak psu z gardła wyjęty, i chciałam już wyrzucić z siebie potok inwektyw: skurwysyn, podlec, łajdak. Z trudem się powstrzymałam, opuściłam recepcję, idąc bez celu,

i znalazłam się na pięknym centralnym patiu, ale nawet nie zawracałam sobie głowy docenieniem jego piękna. Przytłoczona opadłam na jeden z wiklinowych foteli.

Inicjały R. i A., które kończyły wiadomość, równie dobrze mogły należeć do Romána Altaresa, jak się teraz przedstawiał, jak i do Ramira Arribasa – w każdym razie chciał mi przypomnieć, że wciąż czeka. Moje wątpliwości się rozwiały, moje obawy się potwierdziły: owszem, znał dokładny adres mojego ojca. Więcej nawet: na pewno tam poszedł. Udało mu się dowiedzieć, że na świecie jest moje dziecko, wiedział, że mam opiekunkę. Czy zdołał ich zobaczyć, czy może powiedziała mu o tym dozorczyńni niewiniątka? Wszedł do budynku i wcisnął dzwonek pod byle jakim pretekstem czy tylko widział, jak wychodzili, kiedy czekał cierpliwie przed drzwiami? Pytania kotłowały się wściekle w mojej głowie.

Nawet nie poszłam do pokoju. Wróciłam do westybulu i poprosiłam o połączenie z Madrytem. Weszłam do jednej z drewnianych kabin i czekałam niecierpliwie, aż odezwie się telefon. Pani połączenie jest gotowe. Łączę. Wstrzymałam oddech, aż po drugiej stronie linii usłyszałam głos Miguela. Wszystko w porządku – powiedziała. – Nie, w domu nic nowego. Tak, syn ma się dobrze, zadowolony. Tak, Phillipa też ma się świetnie. Nie, nie przyszedł tu nikt obcy. W tym momencie niania była na spacerze z dzieckiem, mój ojciec w Gran Peñi, niedługo wszyscy mieli wrócić do domu na kolację.

Wreszcie poszłam do mojego pokoju, nieco mi ulżyło, ale wciąż byłam zdenerwowana. Sprawdziłam godzinę, teoretycznie powinnam być gotowa w ciągu dwudziestu minut, chociaż jeśli wziąć pod uwagę tradycyjne już spóźnienia madame Perón, może ja również mogłabym przesunąć trochę moje wyjście. Wahałam się kilka chwil, w końcu postanowiłam nie otwierać jeszcze walizki i padłam na łóżko jak zabita.

Przejazd odbył się w dorożkach zaprzęgniętych w konie, które sprawiały wrażenie, jakby tańczyły na bruku sewilskich ulic; w głównej dorożce jechała pierwsza dama w towarzystwie burmistrza. Żeby tradycji stało się zadość, tu też była żarliwie oklaskiwana przez tłum i głośno komplementowana; *olé* piękna i *olé*

cuda niosło się na każdym rogu, a statki zakotwiczone w porcie uruchomiły swoje syreny. Wzdłuż trasy w stronę plaza Nueva z balkonów i dachów rzucono tysiące goździków, a z chodników mnóstwo płatków róż; wypuszczono nawet pięć tysięcy gołębi, które fruwały w popłochu. W ten sposób rozpoczynał się kolejny akt fantastycznej hiszpańsko-argentyńskiej operetki, w której wszyscy uczestnicy znowu byli ubrani na galowo, choć tym razem bez Dodera i z zasępionym Juancitem, który siedział w swoim powozie sztywny jak kołek.

Po przywitaniu w Sali Kolumba w urzędzie miasta z trudem utorowano nam drogę na ulicach, gdzie wciąż było pełno euforycznych mieszkańców. Następnym celem wizyty okazał się Pawilon Mudéjar w parku María Luisa; tam podano kolejną obfitą, aż przyprawiającą o mdłości kolację. Po jej zakończeniu udaliśmy się na plaza de América, gdzie było pełno ludzi; przygotowano tu wielką imprezę, podczas której wiele zespołów flamenco i ponad trzysta par do późnych godzin nocnych tańczyło niekończące się sevellany w świetle tysięcy lampionów.

Trudno mi było zasnąć. Kiedy leżałam już w łóżku, w głowie nadal dudniło mi klaskanie dłońmi i stukanie obcasami, brzdąkanie gitar, okrzyki *olé* i *arsa* oraz echa przyjęcia: ekstrawaganckiego, przesadnego, wystawnego i obraźliwego dla biednej Hiszpanii ogólnie, a w szczególności dla Sewilli pełnej wygłodniałych ludzi. Wydawało mi się, że dopiero co zasnęłam, kiedy obudził mnie dźwięk telefonu. Zerwałam się błyskawicznie i zdjęłam słuchawkę z widełek. Víctor, coś się dzieje z Víctorem – to pierwsze, o czym znowu pomyślałam.

– Słucham – powiedziałam z przerażeniem.

W odpowiedzi usłyszałam męski śmiech.

– Spokojnie, Siro, spokojnie. Bez paniki, kobieto, nic się nie stało...

Po drugiej stronie linii Ramiro Arribas mówił do mnie pozornie przyjacielskim tonem. Brakowało mi sił, żeby zażądać od niego wyjaśnień, żeby go zwyzywać, żeby go błagać, by o mnie zapomniał.

– Chciałem tylko się upewnić, czy dostałaś wczoraj mój telegram.

Siedząc na łóżku, przytaknęłam głową z zamkniętymi oczami, nieświadoma tego, że on oczywiście nie może mnie widzieć.

– Tak? – dopytywał. – Dostałaś go, Siro?

Przełknęłam ślinę, odetchnęłam głęboko.

– Dostałam, Ramiro. I nie podoba mi się, że nachodzisz moją rodzinę.

– Nie, nie, nie – odparł serdecznie, niemal radośnie. – Po prostu przechodziłem Herмосillą i przypomniałem sobie, że tam mieszka twój ojciec.

– Zostaw ich w spokoju. Rozmawiaj tylko ze mną. Do nich nawet się nie zbliżaj.

– Dobrze, dobrze, spokojnie... – powiedział pojednawczym tonem. – Pytam cię w takim razie, jak idą starania o spotkanie z naszym przyjacielem Doderem?

– Wcale nie idą. Nie ma go w Sewilli. Nie mam jak z nim porozmawiać.

– Nie oszukuj mnie, kochanie. Wiem, że armator też podróżuje, właśnie widziałem go na zdjęciach w „El Ideal de Granada” razem z Evitą w Alhambrze.

To „kochanie” wbiło mi się duszę niczym zardzewiały szpikulec. Szybko jednak pozbyłam się tego uczucia; to nie był dobry moment na walkę z emocjami, należało zachować chłodną głowę i spokój.

– To prawda, był w Granadzie, ale nie miałam okazji, by z nim porozmawiać. Teraz jest w Madrycie, już wrócił. Możesz to potwierdzić, zapytaj o niego w Palace.

Milczał przez kilka sekund, jak gdyby się zastanawiał. Kiedy wreszcie znowu usłyszałam jego głos, zabrzmiał bardziej stanowczo i mniej sympatycznie.

– Posłuchaj, Siro, moja sprawa wymaga pilnego rozwiązania. Nie proszę cię nie wiadomo o co, to dla ciebie nic kłopotliwego, tylko mała przysługa.

Znowu umilkł, jakby dobierał właściwe słowa. Ja tymczasem, ze wzrokiem utkwionym w moje nagie stopy na dywanie, nic nie powiedziałam.

– Potrzebuję tego spotkania z nim, komplikują mi się sprawy ze współnikami i to bardzo ważne, powtarzam, bardzo ważne, żeby

wysłuchał mnie przed wyjazdem z Hiszpanii. Jeśli nie uda mi się to, zanim wyruszy do Włoch, te drzwi się dla mnie zamkną i nie będę miał już więcej szans.

Nie. Nie. Nie. Powtarzałam to sobie, mocno kręcąc rozczochraną głową. Nie, nie mogłam dać się w to wciągnąć przez tę kanalię; ze względu na własną godność nie powinnam mu pomagać.

– To nie kosztowałyby cię zbyt wiele – nalegał. – Na pewno, jeśli...

– Muszę się rozłączyć, Ramiro. Mam tu co zrobić, ja też muszę zarabiać na życie, wiesz?

– Ale ty...

– Dodera nie ma w Sewilli, mówię szczerze. Poszukaj innego sposobu, żeby do niego dotrzeć, nie możesz na mnie liczyć w tej sprawie.

Odłożyłam słuchawkę z trzaskiem, a potem zakryłam twarz dłońmi, jakbym pragnęła zasłonić się przed terażniejszością. I częściowo mi się to udało: odsunęłam się od chwili obecnej, ale okrutnie przekorna pamięć przeniosła mnie do dawnych czasów. Nieposkromionymi falami przez mój umysł kolejny raz przetoczyły się obrazki, uczucia i wrażenia. Sposób, w jaki Ramiro mnie uwiódł swoim męskim urokiem i charyzmą; zręczny sposób, w jaki zdołał wyrwać mnie z mojego świata. Rozpustne życie, jakie prowadziliśmy w Madrycie i Tangerze, jego ambicje i kłamstwa, zamki, które budował na piasku, żeby później, bez uprzedzenia, je rozwalić i o mnie zapomnieć.

Pragnęłam mieć obok siebie kogoś, komu mogłabym zaufać, czyjąś wyciągniętą rękę, która nie pozwoliłaby mi zbliżyć się do przepaści. Kogoś, z kim mogłabym się dzielić obawami i wątpliwościami, niepewnością, niepokojem. Tęskniłam za Marcusem i za jego przytomnością umysłu; za Fran Nash i jej zdolnością stawiania czoła przeciwnościom. Tęskniłam za Rosalindą Fox i jej wiarą w siebie, i za Nickiem Soutterem i jego siłą, a nawet za Diegiem Tovarem i jego skuteczną dyplomacją. Ale nie, w Sewilli, która oczekiwała na groteskowy karnawał przygotowany dla żony argentyńskiego prezydenta, tego gorącego poranka i w tym wspaniałym hotelu, byłam tylko ja w koszuli nocnej, zdezorientowana, strapiona i niebywale samotna.

Trwałam tak, bicząc się goryczą wspomnień i brakiem bliskich mi osób, kiedy ponownie zadzwonił telefon.

– Powiedz mi jedno, Siro, tylko jedną rzecz, skarbie. Jak myślisz, gdzie będą się lepiej ze mną bawić *nanny* i twój syn: spacerując po Retiro czy pływając łódką po stawie?

Bez chwili zastanowienia ponownie odłożyłam słuchawkę i zerwałam się na równe nogi. A więc do tego to doszło, miałam już dosyć. Myjąc zęby, garściami wrzucałam do kosmetyczki tubki, szminki i słoiczki; a biorąc szybki prysznic, podjęłam pierwsze decyzje. Wrócić do Madrytu, powtarzałam sobie, szarpnięciami zdejmując ubrania z wieszaków. Powstrzymać tego łajdaka Ramira, podkreślałam, byle jak wkładając rzeczy do walizki. Znaleźć sposób, żeby się od niego uwolnić, stwierdziłam, podnosząc ręce, żeby pospiesznie związać włosy. Wkładając buty, poprosiłam o połączenie z pokojem jednego z korespondentów; przekazałam mu, że wypadło mi coś pilnego i na razie rezygnuję z podróży.

Lobby było wypełnione oficjelami w uniformach, fotografami i dziennikarzami, panowie w nieskazitelnych marynarkach i z brylantyną na włosach, piękne sewilki w mantylkach, wszyscy czekali na dołączenie do świty pierwszej damy. Dzień zapowiadał się intensywnie: *Salve Regina* w katedrze, wizyta w bazylice La Macarena, gdzie Eva Perón miała otrzymać tytuł Wielkiej Ochmistrzyni, kolejna *salve* w kościele San Gil naprzeciwko bazyliki, wizyta w posiadłości Torre Pavadel i w Fabryce Cygar, żeby mogła być oklaskiwana odpowiednio przez rolników i wytwórczynię cygar. I jeszcze więcej oklasków, okrzyków, *olé* i kolacji...

Z gońcem hotelowym za moimi plecami niemalże łokciami torowałam sobie drogę pośród tłumu; po wyjściu na zewnątrz nie zauważyłam jednak żadnej taksówki, w pobliżu stały tylko lśniące auta oficjeli. Za ogrodzeniem dostrzegłam tworzące się już zbiegowisko ciekawskich. Rozejrzałam się w prawo i w lewo, musiałam natychmiast się stąd wydostać.

– A jeden z tych, proszę pani?

Chłopak, który pomagał mi z bagażem, wskazał boczną część ogrodu, gdzie zobaczyłam małą karawanę powozów. Kolejny smakowity banknot zdziałał cuda: w ciągu kilku sekund mizerny

woźnica poprawił sobie czapkę, mlasnął językiem i pociągnął za lejce. Z rytmicznym stukotem zawiózł mnie na stację Plaza de Armas.

Z pociągu wysiadłam na dworcu Atocha po północy. Zostawiłam za sobą trzęsienie, szarpanie i pył węglowy, duszny upał i zapach potu. To oraz czas, długie godziny poświęcone myśleniu, sprecyzowaniu celów i nakreśleniu kolejnych kroków, jakie powinnam wykonać. Gdy tylko pasażerowie wysiedli na peron, niczym muchy zlecieli się bagażowi; spośród nich wybrałam takiego w podeszłym wieku, który wyglądał na dobrotliwego człowieka.

– Zna pan jakiś pensjonat w pobliżu? – zapytałam, podczas gdy on układał mój bagaż na swoim wózku.

– Oczywiście, proszę pani. Proszę za mną.

Budynek znajdował się na początku alei Delicias. Na drugim piętrze po prawej powitała nas ponadpięćdziesięcioletnia kobieta, z wałkami w lekko posiwiałych włosach. Była w koszuli nocnej, a na nią miała narzucony szlafrok w wyblakłe kwiaty. Na obwisłych piersiach zauważyłam szkaplerz Matki Bożej z góry Karmel. Ruszyłam za nią, kobieta szurała espadrylami, idąc długim korytarzem prawie pozbawionym światła, obie szłyśmy w milczeniu. Może swego czasu budynek prezentował się okazale, może dawniej mieszkała tu zamożna mieszczańska rodzina: sufity były wysokie, fasada wyglądała lepiej niż przyzwoicie. Teraz jednak był zaniedbany i wyblakły, zamieniony na jeden z wielu zwyczajnych pensjonatów w pobliżu stacji, schronień, do których masowo przybywali nieszczęśnicy ze wszystkich zakątków Hiszpanii, naiwnie szukając dla siebie przyszłości. Gospodyni otworzyła drzwi w głębi korytarza, przekreśliła włącznik i żarówka oświetliła pokój słabym światłem.

– Jak dla pani trzy piątki za noc.

Sypialnia była skromna, z dwoma małymi łózkami, które nawet nie były identyczne, umywalnią i dwoma drewnianymi krzesłami po



obu stronach balkonu. Otworzyłam go szeroko, gdy tylko zostałam sama.

Hotel Alfonso XIII w Sewilli, Alhambra Palace, Klub Prasowy przy ulicy Pinara – gdyby tylko mogły, wszystkie te miejsca, w których spałam w poprzednie noce, śmiałyby się, widząc mnie teraz w tej kwaterze za piętnaście peset. Nawet pensjonat Candelarii przy La Luneta w Tetuanie miał więcej blasku. Moje ciało domagało się porządnej kąpieli; zamiast tego musiałam się jednak zadowolić kubłem wody, który przyniosła mi pani Eusebia, bym nalała jej do wyszczerbionej miski. Miała już zamknąć drzwi, wymamrotawszy oschłe dobranoc, kiedy zaskoczył ją mój głos.

– Dam pani piętnaście peset więcej, jeśli dostanę czystą pościel.

Wróciła z nią w mgnieniu oka i sprawnie zmieniła pościel na jednym z łóżek. Uderzywszy kilka razy w poduszkę, by nabrała kształtu, wyszła ponownie z zawiniątkiem brudnej bielizny pościelowej w ramionach.

Świtało, gdy obudził mnie hałas dobiegający z ulicy. Kiedy przypomniałam sobie, gdzie jestem, wyjrzałam na balkon i zobaczyłam długi sznur turkoczących wozów ciągnionych przez perszerony, które głośno stukwały kopytami o bruk; dziesięć, dwanaście, piętnaście wozów jechało jeden za drugim miarowym tempem. Wszystkie wiozły identyczny załadunek, który trudno mi było rozpoznać, udało mi się dopiero wtedy, gdy wyteżyłam wzrok. EL ÁGUILA, przeczytałam na bocznych etykietach: z pobliskiej fabryki transportowano mnóstwo beczek piwa, które wczesnym rankiem należało dostarczyć do barów, tawern i kantyn w całym Madrycie.

Nie wróciłam już do łóżka, stałam tak i patrzyłam, jak poranne życie dzielnicy zaczyna się toczyć na tej ulicy, która ciągnęła się prawie nad brzeg rzeki Manzanares: mężczyźni w białych koszulach i z wilgotnymi włosami szli do pracy, sprzedawcy warzyw przybywali z działek w Villaverde, sklep z nabiałem naprzeciwko przyjmował klientów, melodyjny dźwięk dochodził od ostrzyciela noży.

– Czy ma pani może telefon?

To było pierwsze, o co zapytałam gospodynię, rzuciwszy jej dzień dobry od drzwi kuchennych. We włosach miała te same wałki, a na

sobie tę samą koszulę nocną i ten sam szlafrok co poprzedniego wieczoru; na te ubrania włożyła poplamiony fartuch. Ja ubrałam się już skromnie, umywszy się we wspólnej łazience. Nie chcąc zostawiać orderu w tym tanim pensjonacie, mocno przyczepiłam go do wewnętrznej strony paska spódnicy i tak go nosiłam, w kontakcie z moim ciałem – odznaczenie, które jak niemal wszyscy sądzili, znajdowało się w posiadaniu Evy Perón. Kobieta nadal zajmowała się swoimi naczyniami nad zlewem, nie odwróciła się nawet po to, by odpowiedzieć:

– Telefon jest w barze na dole. Kawę chce pani z mlekiem czy bez mleka?

W kuchni nie było żadnego innego gościa, lecz ślady po nich i owszem: paskudna blaszana popielniczka z wieloma petami bez filtra, parę brudnych kubków z fajansu, pognieciona ścierka w kratkę. Gdyby moja teściowa mnie tu zobaczyła, pokładałaby się ze śmiechu.

Byłam gotowa odmówić. Kto wie, co za lurę mogła mi podać ta kobieta. Z całą pewnością zwykłą prażoną cykorię wymieszaną z rozwodnionym mlekiem i niewielką ilością cukru. Nie zrezygnowałam jednak. Kiedy na stole postawiła substytut kawy i kawałek przypieczonego chleba, uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem głodna, i przestałam wybrzydzać.

Nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa. Dopiero po posiłku zapytałam:

– A wie pani, gdzie mogę kupić żałobne ubranie?

Następnie podałam jej wymówkę o śmierci bliskiego krewnego i obowiązku udziału w pogrzebie. Właśnie dlatego poprzedniego wieczoru przyjechałam o tak niewygodnej porze. Za moim kłamstwem krył się inny zamiar: postanowiłam się zmienić w miarę możliwości, żeby pozostać niezauważoną.

– Trzeba przejść spory kawałek ulicą Atocha, po prawej znajdzie pani sklep odzieżowy. Nazywa się La Gloria.

Mimo że do baru przyszłam wcześniej, wykonanie konkretnych telefonów zajęło mi wieczność: myliłam się, ponawiałam próby, musiałam ustąpić miejsca kobiecie, która potrzebowała zadzwonić do swojej wioski, żeby się dowiedzieć, co z jej umierającą teściową,

oraz mężczyźnie, który musiał załatwić sprawę dotyczącą miedz i działek. Wreszcie w ciasnocie w głębi lokalu, naprzeciwko okropnej ściany, na której ludzie zapisywali ołówkiem albo ryli ostrzem noża wiadomości, nazwiska i numery, jedna po drugiej udało mi się załatwić moje sprawy.

Najpierw skontaktowałam się z mieszkaniem przy Hermosilli; kolejny raz odetchnęłam spokojnie, kiedy ojciec zapewnił, że z Víctorem jest wszystko w porządku. Następnie za pośrednictwem Biura Informacji Dyplomatycznej potwierdziłam, że Diego Tovar wciąż przebywa w Madrycie, co jednak było dla mnie mieczem obosiecznym. Z jednej strony bowiem istniało ryzyko, być może niewielkie, ale wcale niewykluczone, że się na niego natknę. Z drugiej, i to było pozytywne, jako że przebywał daleko od Sewilli, nie wiedział, że ja, sumienna reporterka BBC, nagle przestałam relacjonować podróż pierwszej damy. Mój trzeci telefon miał na celu sprawdzenie, czy magnat Dodero znowu zatrzymał się w swoim apartamencie w Palace, a kolejny, aby potwierdzić, że Ramiro wciąż figuruje na liście gości hotelu Buen Retiro pod fałszywym nazwiskiem Román Altares.

W sklepie odzieżowym La Gloria zaopatrzyłam się w kompletny zestaw dla idealnej wdowy w nowej Hiszpanii; dostałam tam wszystkie ubrania, jakich nie nosiłam po śmierci Marcusa. Czarna spódnica do połowy łydki – do jej pasa przyczepiłam Order Izabeli Katolickiej. Skromna czarna bluzka zapinana pod szyją, grube czarne pończochy i chustka na głowę w takim samym kolorze. Pozwolono mi się przebrać na zapleczu – znowu sprawdziła się bajeczka o pogrzebie krewnego. Wyszłam na ulicę przemieniona w jedną z licznych żon, którym wojna odebrała mężów, skazując je na wieloletnią żałobę i niepewną przyszłość. Koniec końców wcale tak bardzo się od nich nie różniłam: również straciłam mężczyznę mojego życia z powodu krwawego konfliktu.

Podjechałam taksówką na róg Hermosilli i Serrano, w niewielkiej odległości od domu mojego ojca. Zatrzymałam się, obserwując kwiaty ulicznej handlarki, która krzykiem zachwalała swój towar, siedząc na odwróconym wiadrze.

– Mam dla pani pachnące tuberozy, pękate goździki, azalie, wyrrywają mi je z rąk, piękna.

Tak naprawdę niezbyt interesowały mnie jej kwiaty, ale wykorzystałam tę chwilę, żeby dyskretnie rozejrzeć się dookoła. Ojciec mi powiedział, że Phillipa wychodzi z Victorem codziennie o dwunastej; było za dziesięć, musiałam więc znaleźć jakieś miejsce, z którego mogłabym ich obserwować.

Rozwiązaniem okazała się pobliska pasmanteria: znajdowała się po przekątnej i miała niewielką witrynę pełną lamówek, guzików, satynowych wstążek i szpilek. Zza niej mogłam ich widzieć, nie będąc widzianą, miejsce było więc idealne. Kiedy popchnęłam drzwi, okazało się, że w sklepie nie ma żadnych klientów; siedzący za ladą właściciel był wysokim mężczyzną o siwych kręconych włosach, który powitał mnie z obojętnością. Przez chwilę udawałam, że z wielką dokładnością oglądam rolki tasiemki pasmanteryjnej zawieszane na belce, podczas gdy tak naprawdę skupiałam uwagę na oknie, patrząc na chodnik po drugiej stronie.

Serce mi podskoczyło, gdy zobaczyłam, że wychodzą – tam był mój syn. Musiałam zdobyć się na ogromny wysiłek, żeby do niego nie pobiec. Siedział w swoim wózek, włosy w tym samym kolorze co u jego ojca, były schowane pod białą czapką, żeby chronić go przed słońcem. Prawie nie mogłam dojrzeć jego twarzy, ale widziałam jego rączki żwawo uderzające w kolorowe kulki zawieszane na gumce; otuchy dodało mi przynajmniej to, że niezmiennie emanował swoją radosną energią. Wózek pchała Phillipa, *nanny* przeniesiona z Londynu do upalnego Madrytu. Miała na sobie kwiecistą sukienkę, której jeszcze u niej nie widziałam, a zamiast typowego upięcia rozpuściła swoje słomkowe włosy, które sięgały jej do ramion, co też było dla mnie nowością. Moje podejrzenia się nasiliły. Głęboko żałowałam, że nie mogę podejść i ostrzec jej otwarcie, wziąć Victora na ręce i przycisnąć go do siebie, powiedzieć mu „moje kochanie”, wycałować i rozśmieszyć, zabrać ze sobą. Ale nie, nie powinnam, nie mogłam tego zrobić. Wystarczyło mi kilka chwil, żeby się przekonać, że moje podejrzenia nie były bezpodstawne.

Ledwie ruszyli w dół ulicy, kiedy go zauważyłam, jak plecami do mnie przechodzi na drugą stronę. Wychodził z pobliskiego baru ze złożoną gazetą pod pachą, niewątpliwie czekał. Miał na sobie jasną marynarkę, bawełniane spodnie z piki i jak zawsze prezentował się nienagannie; w lewej ręce trzymał mały bukiet kwiatów, z pewnością kupiony u tej samej handlarki, którą widziałam chwilę wcześniej. Wystarczyło mu kilka długich kroków, by się z nimi zrównać, ona przystanęła na jego widok, a mnie na usta cisnęły się słowa pełne żółci.

Ten drapieźca Ramiro przystawiał się do nieszczęsnej Phillippy, obłudnie podziwiając efekt jej wysiłków, których celem miała być poprawa nijakiego wyglądu – świeżo umyte włosy i przeciętna niedzielna sukienka. Skurwysyn. Skurwysyn, jakich mało. Musiałam się chwycić framugi wystawy, gdy zobaczyłam, że się nachyla; poczułam, jak wściekłość rośnie mi w brzuchu, kiedy zbliżył dłoń do policzka mojego syna, żeby go pogłaskać, Víctor musiał jakoś zabawnie zareagować, ponieważ oboje parsknęli śmiechem: Phillippa śmiała się szczerze, Ramiro bez wątpienia fałszywie.

Spadł na mnie cały niepokój świata, kiedy patrzyłam, jak ruszają; od tyłu mogli nawet wyglądać na szczęśliwą rodzinę: przystojny i dojrzały tata, młoda mama, paskudna, ale kochająca, spacerujący dumnie ze swoim ślicznym potomkiem. W gardle utkwiała mi obrzydliwa gruda goryczy, zagryzłam wargi, żeby powstrzymać płacz. Co za skurwysyn.

Ale nie, nie zamierzałam ich śledzić. Byłam przekonana, że Víctorowi nic nie grozi, wybrali się tylko na spacer, może usiądą gdzieś na tarasie, żeby się czegoś napić. Ramiro chciał jedynie zdobyć Phillipę, żeby szantażować mnie lękiem, zastraszyć, zmusić, bym działała na jego korzyść. I właśnie dlatego powinnam zachowywać się stanowczo i nie ustąpić. Kiedy już zniknęli z zasięgu wzroku, opuściłam sklep, kupiwszy od cierpliwego sprzedawcy garść agrafek, ale tylko w geście wdzięczności. Nawet nie zaczekałam na resztę, tylko wyszłam, poprawiając sobie chustkę na głowie.

Podniosłam wzrok na elegancki budynek, w którym mieściło się mieszkanie mojego ojca, oparłam się pokusie, by tam pójść i zastukać do drzwi. Jego spokój i doświadczenie pomogłyby mi

rzucić nieco światła na niezręczną sytuację, w jakiej się znalazłam, niewykluczone, że nawet próbowałyby mnie przekonać, bym porzuciła szaleństwo, jakie rosło w mojej głowie. Ale nie, nie mogłam się już wycofać. Teraz, po tym, co właśnie zobaczyłam, nie miałam już najmniejszych wątpliwości, że muszę wyrzucić Ramira Arribasa ze swojego życia. Ze względu na jego obecne podstępne machinacje i ból, jaki sprawił mi kiedyś; ze względu na to, co mi ukradł, dziecko, które straciłam, i ze względu na Víctora, a nawet tę głupią gąskę Phillipę, zupełnie nieświadomą fortelu jej rzekomego amanta. Ubrana jak zwyczajna wdowa, którą w gruncie rzeczy byłam, przewyciężyłam chęć zobaczenia się z Gonzalem Alvarado i ruszyłam dalej.

Teraz zamierzałam udać się do hotelu Buen Retiro. Sądziłam, że nie wiem, gdzie to jest, ale sprawdziłam, że znajduje się przy ulicy Alfonsa XI. Dusza rozpadła mi się na kawałki, kiedy stanęłam naprzeciwko. Okazało się, że ten budynek w światowym stylu to przemianowany Gaylord's, miejsce, z którym wiązało się wiele moich wspomnień.

Po powrocie z Tetuanu lata temu dowiedziałam się, że podczas wojny domowej ten budynek zamienił się w kwaterę główną Rosjan. Tam umieścili swój sztab generalny, tam też mieszkali szpiedzy, sowieccy agenci i wojskowi; nawet Hemingway, słynny pisarz, wykorzystał go jako scenerię jednej ze swoich powieści. Mówiło się z sarkazmem, że Franco żywił do tego miejsca głęboką niechęć i że przy najmniejszej nadarzającej się okazji przyklasnąłby jego zburzeniu, aby zetrzeć ślad po niesławnych czerwonych. Na razie jednak hotel dalej działał, pod względem elegancji ocierając się o legendarne Palace i Ritz, ale z domieszką światowej nowoczesności. Podczas wojny światowej był jednym z ulubionych hoteli Amerykanów i Brytyjczyków; do jego baru z kubistycznymi dekoracjami zwykł przychodzić Marcus, a jego ambasada organizowała w tutejszych salach liczne uroczystości, na których ja nigdy nie bywałam z powodu mojej przymusowej bliskości z Niemcami.

Niemniej dane mi było cieszyć się pobytem w nim przez krótki czas i wciąż miałam wryty w pamięci tamten weekend z Marcusem

w apartamencie na ostatnim piętrze po naszym niespodziewanym spotkaniu z Lizbonie. Weszliśmy dyskretnie o różnych godzinach, żeby mieć dla siebie całe dwa dni – nadrabialiśmy stracony czas, godząc pragnienia duszy i popędy ciała, nie wychodząc dalej niż na taras z widokiem na Puerta de Alcalá. To było pierwsze z wielu naszych potajemnych spotkań, jakże mogłabym o nim zapomnieć. Teraz jednak zatrzymał się tam ten niegodziwiec Ramiro Arribas, podający się za uczciwego argentyńskiego przedsiębiorcę; mojego Marcusa natomiast nie było już na tym świecie, a ja, ubrana w czerń, której nie nosiłam w czasie żałoby po nim, teraz nie potrafiłam powstrzymać zbuntowanej łyzy, która ześlizgnęła się do moich ust i na czubku języka zostawiła dziwny smak soli.

Staralam się przełknąć nostalgię, schowana za kioskiem prasowym zajęłam się obserwowaniem wejścia hotelu – kręcących się tam gości, rzędu taksówek, bagażowych w uniformach, którzy nosili walizki i rzeczy osobiste. Jeszcze nie wiedziałam, jak to zrobić, ale przez te drzwi, i to szybciej niż później, musiałam przejść, żeby dotrzeć do pokoju numer czterysta siedemnaście.

**W**róciłam do pensjonatu, gospodyni zaprosiła mnie na obiad. Zamierzałam powiedzieć „nie, dziękuję”, lecz usta spłatały mi figla i się zgodziłam. Przy stole siedzieli kolejarz z paznokciami czarnymi od węgla, przeciwnik Telefóniki i pani Eusebia, nikt więcej. Domyśliłam się, że pozostali goście jedzą na mieście, na własną rękę. A może nawet nie jedzą. Nagle w mojej głowie znowu pojawiło się kilka przeblysków z pensjonatu z Tetuanu: stary nauczyciel, siostry kwoki, głupi Paquito ze swoją despotyczną matką, wszyscy dzielący się na patiu garnkiem zupy, sardynkami lub arbuzem, i Candelaria podająca talerze jeden po drugim, odgrywająca rolę sędziego podczas nieprzyjemnych słownych pojedynków, gasząca pożary swoją bezwzględną stanowczością.

Tutaj panowała zupełnie inna atmosfera niż w moim pierwszym marokańskim domu, nieskończenie bardziej anonimowa i nieciekawa. Gulasz, który podała mi właścicielka pensjonatu, też nie był dobry, za mało treściwy: ledwie garść gotowanej ciecierzycy z odrobiną makaronu, małym kawałkiem ziemniaka i paroma plasterkami marchewki. Ani kiełbasy, ani kaszanki, ani boczku czy mięsa z kurczaka. Mdły i ubogi w składniki gulasz, jaki niemal codziennie jedli ludzie w większości domów w Madrycie. Do tego kilka liści sałaty z niewielką ilością kiepskiej jakości oliwy i szczyptą soli. W ten sposób odżywiała się powojenna Hiszpania, i nie miało znaczenia, czy to lato, czy zima. Zarówno pokonani, jak i wielu powiązanych ze zwycięską stroną – prawie dla nikogo nie było niczego więcej. Z niesmakiem przypominałam sobie wtedy bankiety wydawane przez władze na cześć Evy Perón, ten nadmiar pyszności i wykwintności, obraźliwy dla milionów ciał, którym kiszki grały marsza, gdy kładły się spać, nieszczęśników, którzy oszukiwali głód łykami wody, obierkami ziemniaków, niezbyt chlubną przebiegłością



i nadzieją, że może kiedyś będzie lepiej. Kolejny raz się zastanawiałam, czy naprawdę była potrzebna tak zawstydzająca rozrzutność, żeby dostać argentyńską pszenicę. I kolejny raz podziwiałam godność i wytrwałość Anglików.

Z ulgą zamknęłam się w swoim pokoju, zdjęłam smutne czarne ubrania, order schowałam na razie pod poduszką, a z walizki wyjęłam najskromniejszy z moich kostiumów. Tego popołudnia nie potrzebowałam się kamuflować, wybierałam się do zwykłej dzielnicy, gdzie nie istniało ryzyko, że ktoś mnie rozpozna. Potrząsnęłam nim i powiesiłam na drucianym wieszaku w nadziei, że zagniecenia wyprostują się same; nie chciałam prosić gospodyni o żelazko, nie chciałam już nikogo widzieć. Położyłam się na czystej pościeli w samej halce. Obserwując wykwyty pleśni na suficie, zajęłam się myśleniem.

Około siódmej wieczorem dotarłam do mojego celu, parę numerów powyżej dziewięćdziesiątego przy ulicy Santa Engracia, już bardzo blisko ronda Cuatro Caminos: swego czasu sam mi powiedział, że tu mieszka. To nie był okres częstych przeprowadzek, przypuszczałam, że wciąż ma ten sam adres. Trzymając kciuki, żeby tak właśnie było, usiadłam na ławce przy ulicy i czekałam.

Ale zrobiło się już wpół do ósmej, a on nie przyszedł. O ósmej też nie. Ani o wpół do dziewiątej, ani o dziewiątej, ani o wpół do dziesiątej. Znużona i sfrustrowana miałam już wracać, kiedy za kwadrans dziesiąta, gdy prawie robiło się ciemno, zobaczyłam go. Wychodził ze stacji metra, chudy, z opadniętymi ramionami i poluzowanym krawacie, słabym krokiem kogoś, komu nie spiesz się z powrotem do domu. Znowu zwróciłam uwagę na to, że zaczął tracić włosy, a jego rysy się wyostrzyły. W przeciwieństwie do Ramira, a nawet do mnie, upływający czas nie był dla niego łaskawy.

Przeszedł obok, w ogóle mnie nie zauważając. Spuszczona głowa, ręce w kieszeniach, pewnie myślał o swoich sprawach. Albo się martwił, albo był zmęczony po długim dniu pracy.

– Ignacio.

Imię rozbrzmiało za jego plecami, ale mnie nie usłyszał; po tylu godzinach siedzenia w milczeniu głos ledwie wydostał mi się z gardła. Odchrząknęłam i jednocześnie dotknęłam jego ramienia.

– Ignacio – powtórzyłam.

Odwrócił się szybko z groźną miną. Podniosłam rękę, jakbym chciała pokazać, że nie mam złych zamiarów.

– To ja, Sira.

Natychmiast zmasał z twarzy zaciekleść, ale nic nie powiedział. Nawet się nie ruszył.

– Chcę powiedzieć ci o czymś, co może ma związek z twoimi obowiązkami. Przepraszam, że przyszłam bez uprzedzenia. Będę się streszczać, zajmę ci tylko kilka minut.

– Nie spiesz mi się.

Brodą wskazał fasadę sąsiedniego budynku.

– Moja rodzina jest na wsi u teściów, tam spędzają lato. Wejdzmy do mieszkania.

Nie spodziewałam się tego zaproszenia, wolałabym nie wchodzić na jego prywatny teren, a zamiast tego pospacerować może po tej robotniczej dzielnicy, jak wiele razy spacerowaliśmy po naszej, albo napić się orszady na jakimś tarasie, otoczeni gwarem anonimowych ludzi. Ale Ignacio miał rację, jak zawsze. To nie była zwykła kurtuazyjna wizyta; z dala od ulicy mogłam przekazać mu wszystko z większą ostrożnością.

Mieszkanie było pogrążone w półmroku. Gdy tylko weszliśmy do salonu, zrobił to, co od wieków robią mieszkańcy śródziemnomorskich krajów, radząc sobie z upałami: w godzinach, kiedy słońce grzeje bezlitośnie, opuszczają żaluzje, zaciągają zasłony, drzwi i okna zamykają na cztery spusty, a wraz z nastaniem wieczoru wszystko otwierają. Zdyscyplinowany i dokładny Ignacio sprawnymi ruchami powtarzał tę sekwencję, ja tymczasem ukradkiem oglądałam jego mieszkanie. Nie było ani nazbyt skromne, ani przesadnie bogate, typowe dla pracownika z niewielką pensją i rozsądną głową. To mógłby być dom jego albo sąsiada, albo kogokolwiek innego – nie było tu nic, co nadawałoby mu indywidualny charakter.

– Obawiam się, że mogę ci zaproponować tylko szklanek wody.

Wtedy sobie przypomniałam, że nigdy nie lubił pić, nigdy też nie palił.

– Nie chcę niczego, dzięki.

– To chociaż usiądź.

Przysiadłam na skraju fotela, on zajął miejsce naprzeciwko, na krześle, które zabrał od stołu w jadalni. Spokojnie podwinął rękawy koszuli, pochylił się i wbił łokcie w kolana.

– Słucham.

Na początku dobrze by było porozmawiać chwilę o jego i moim życiu. Żeby opowiedział mi na przykład o swoich dzieciach, żebym ja powiedziała mu, że jestem matką chłopca. I chociaż tak naprawdę nasze dzieci były nam obojgu zupełnie obojętne – ani mnie nie interesowało, że jego pociechy są dobre z matematyki czy rysunku, ani jego nie obchodziło, że Víctor ma już osiem ząbków – to pozwoliłoby nam przynajmniej przełamać lody i nadać tej chwili wrażenie normalności; dwoje dawnych przyjaciół, którzy się spotkali i opowiadają sobie, co u nich słysząc, nic więcej.

Nie ulegało wątpliwości, że nie był to teraz ten przypadek, i nie było też żadnego powodu, by udawać. Ignacio i ja nie byliśmy przyjaciółmi; nasze drogi się rozeszły ponad dziesięć lat temu, dokładnie wtedy, kiedy go porzuciłam dla burzliwego związku z Ramirem. Później, po moim powrocie z Maroka, spotkaliśmy się na krótko, kiedy śledził mnie incognito ulicami Madrytu, aż wcisnął się do mojego atelier przy Núñez de Balboa. Tamtej burzowej nocy dowiedziałam się, że pracuje dla Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych; korzystając ze swoich uprawnień, zażądał ode mnie dokumentów, przeszukał moje mieszkanie od góry do dołu i nękał mnie ostrymi pytaniami. Tamtej nocy, po tym jak śmiertelnie mnie przestraszył, znaleźliśmy też czas na inne rzeczy. Na opowiedzenie sobie, z połowiczną szczerością, o naszych poprzednich latach. Na to, żeby przyznał się do gorzkiego sceptycyzmu, z jakim wypełniał swoje obowiązki w ramach reżimu politycznego, z którym się nie zgadzał. Na to, żeby gwałtownie otworzył mi oczy na bolesną rzeczywistość mojej dzielnicy i jej mieszkańców po przegranej wojnie.

Nigdy nie przypuszczałam, że spotkamy się jeszcze twarzą w twarz, a jednak siedzieliśmy tu teraz razem w jego salonie.

– Pewnie się zdziwiłeś, widząc mnie przed wejściem do Ritza, wśród uczestników bankietu Evy Perón.

Uniósł ramiona, nie mówiąc ani tak, ani nie; każde z nas w swojej głowie przypomniało sobie tamtą chwilę, kiedy mnie podtrzymał. Odniosłam niemal wrażenie, że znowu czuję w pasie jego silną rękę ratującą mnie przed upadkiem.

– Od paru lat mieszkam za granicą, teraz wróciłam do Hiszpanii, żeby relacjonować jej wizytę jako reporterka BBC.

– Wiem.

Oczywiście, że wiedział. Jakżeby inaczej.

– Ale sądziłem, że jesteś w Andaluzji – dodał.

– Wczoraj w nocy przyjechałam z Sewilli. To krótka i potajemna podróż. Nikt nie wie, że jestem w Madrycie.

Nawet nie mrugnął. Obserwowałam jego wyostrzoną i bladą twarz, ciemne worki pod oczami, zakola i włosy przetykane jasnymi nitkami. Postanowiłam, że najlepiej będzie od razu przejść do rzeczy; nie kazać mu tracić czasu i nie tracić go samej.

– Odznaczenie, które Franco przyznał pierwszej damie, Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej, zostało skradzione. To ci chciałam powiedzieć.

– O tym też wiem.

Ukryłam swoje zdziwienie najlepiej, jak mogłam.

– Nikt z argentyńskiej delegacji niczego nie zgłosił – wyjaśnił. – Ale mamy świadomość, że armator Dodero stara się zdobyć duplikat odznaczenia; zostaliśmy poinformowani przez warsztat Cejalvo. To tam zajmują się wykonywaniem wszystkich oficjalnych orderów. Wyczuli, że prośba o duplikat nie jest czymś normalnym, i woleli nas powiadomić. Dlatego uważamy, że odznaczenie zostało zgubione, chociaż otwarcie nie możemy zapytać o to nikogo z argentyńskiej grupy. Mamy wyraźny rozkaz, żeby ich nie niepokoić.

Zdumienie na mojej twarzy musiało być wymowne. Wtedy jeszcze bardziej się nachylił, jak gdyby dzięki temu chciał zwiększyć swoją pewność siebie.

– Niewiele rzeczy nam umyka, Siro. A przynajmniej staramy się, żeby tak było.

– A czy Dodero zdoła zdobyć identyczny order przed zakończeniem podróży?

– Wydaliśmy im pozwolenie i właśnie się tym zajmują. To skomplikowana i żmudna praca złotnicza, która pochłania wiele godzin. W każdym razie trwa wyścig z czasem i nie jest pewne, czy uda się go wygrać.

– Ale pani Perón koniecznie musi go mieć podczas ostatniej uroczystości przed wyjazdem z Hiszpanii, prawda?

– Tak myślę.

– A gdyby go nie miała, to byłby bezpośredni policzek wymierzony Franco, niedopuszczalny pokaz lekceważenia, czy tak?

Przytaknął ruchem brody, poważny, bardziej rozluźniając węzeł krawata, aż rozwiązał go całkowicie; potem rozpiął też kołnierzyk koszuli. Mimo jego wysiłków, by w mieszkaniu panował chłód, wciąż było gorąco.

– Mamy świadomość tego wszystkiego.

– I nie martwi was to?

– Bardzo.

– A macie jakąś alternatywę?

Chwilę zwlekał z odpowiedzią, zwijając w dłoniach długi kawałek materiału.

– Jeśli mam być szczery, na razie żadnej.

Milczeliśmy oboje zamyśleni. Przez balkon docierał hałas nielicznych aut przejeżdżających ulicą, brzydki zegar z kukułką wiszący nad sofą wydawał męczący dźwięk. To on ponownie odezwał się pierwszy, gwałtownie przerywając ciszę.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, Siro. Pojawiasz się, znikasz, zmieniasz tożsamość, jestem zdezorientowany. Teraz wracasz jako rzekoma reporterka będąca za pan brat z oficjelami i zamieszana w mętne sprawy. Ostatnie wieści, jakie miałem na twój temat, to że pracowałaś dla nazistowskich klientek, po klęsce Niemiec się ulotniłaś i często się zastanawiałem, gdzie się podziewasz.

– Wypełniałam swoje zadania, szyjąc dla tych kobiet – powiedziałam zwięźle. – Z powodów, które nie są teraz istotne, do tego właśnie się zobowiązałam.

– Wtedy zadawałaś się z angielskim agentem.

Nie spodobał mi się ten frywolny ton, ale ponieważ to był Ignacio, wybaczyłam mu.

– To nie było zwykłe zadawanie się – wyjaśniłam, ważąc słowa. – Tworzyliśmy poważny i szczerzy związek, ale w ukryciu z uwagi na okoliczności. Ten angielski agent został w końcu moim mężem; niedługo minie rok od jego śmierci. Teraz jestem wdową po nim, wychowuję jego syna i staram się żyć dalej.

– Przepraszam – wymamrotał suchym tonem.

W tych trzech sylabach wyczułam szczerą szczerość.

– Lepiej wrócić do terażniejszości, na niej się skupmy. Przyszłam po to, żeby ci powiedzieć, że chyba wiem, gdzie możecie znaleźć Order Izabeli Katolickiej. Ten prawdziwy.

Wyprostował się z grymasem niedowierzania na twarzy.

– Ale chcę coś w zamian – oznajmiłam.

Wstałam i przeszłam kilka kroków. To nie był ładny salon, ale poruszyła mnie jego prostota. Ze stojakiem na gazety, przybornikiem krawieckim i almanachem, z marnymi obrazkami przedstawiającymi martwą naturę i sztormy rozrzuconymi po ścianach i szydełkowymi serwetkami na wezgłowiach foteli. Zapewne tak wyglądałby mój dom, gdyby bieg naszego wspólnego życia nie został zmieniony przez tego samego kretyna, od którego teraz chciałam się uwolnić. Gdybym dalej węszyła po mieszkaniu, bez wątpienia znalazłabym szafę z lustrem w sypialni, kanarka w klatce, a w kuchni doniczkę z pietruszką i fartuch wiszący na drzwiach – zwykłe codzienne rzeczy.

Stojąc na środku salonu, wciśnięta w mój kostium od Digby’ego Mortona, groteskowo niepasująca do tego mieszkania i do tej dzielnicy, przedstawiłam swoje żądanie.

– Osoba, w której posiadaniu znajdziecie odznaczenie, musi koniecznie na jakiś czas trafić do więzienia.

– Tak będzie. Oczywiście, jeśli znajdziemy tę, która je ukradła.

Pokręciłam głową.

– Nie. Osoba, której odbierzecie order, to nie ta sama, która go przywłaszczyła, ale dla ciebie i twoich ludzi to nie powinno mieć znaczenia. Nawet jeśli ma alibi, nawet jeśli się za nią wstawią, to ważne, aby spędziła jakiś czas za kratkami.

– O tym powinien chyba zdecydować sędzia.

Zaśmiałam się sardonicznie.

– Nie wygaduj bzdur, Ignacio. Przecież wsadzacie do aresztów i więzień i wypuszczacie z nich, kogo tylko chcecie, w tej mrocznej Hiszpanii właśnie tak się to odbywa. Poza tym sprawa jest krępująca dla wszystkich, upokarzająca i kompromitująca tak dla strony argentyńskiej, jak i hiszpańskiej. Dla dobra obu krajów, ty i ja wiemy, że nic nigdy oficjalnie nie wyjdzie na jaw. Będzie tak, jakby Order Izabeli Katolickiej nigdy nie zniknął z dekoltu pierwszej damy.

Pstryknęłam palcami, pocierając o siebie palec środkowy i kciuk: gest iluzjonisty, który za chwilę ma wykonać sztuczkę.

– Nikt niczego nie zauważył. Jak gdyby nic się nie stało.

Przyglądał mi się zamyślony, oceniając moją propozycję, może zastanawiając się, co, do diabła, w tym całym bałaganie robi uczennica krawcowej, w której się zakochał w parku La Bombilla. Córka pani Dolores, dziewczyna z ulicy Redondilla, której uparł się podarować maszynę do pisania, kiedy był jeszcze naiwnym i prostym młodzieńcem.

– Obiecaj mi miesiąc odsiadki dla zamieszanego w tę sprawę – powiedziałam kategorycznie – a podam ci wszystkie informacje.

Zmienił pozycję, zakładając nogę na nogę.

– Mógłbym ci to zagwarantować w tej chwili.

– Mógłbyś, ale nie jestem jeszcze gotowa, by przekazać ci cokolwiek, potrzebuję paru dni.

– Zostało niewiele czasu do uroczystej kolacji w Barcelonie, do oficjalnego pożegnania. Naturalnie z udziałem caudilla – podkreślił. – To będzie zwieńczenie wizyty i ostatnia okazja, żeby doña Eva pokazała się publicznie z Krzyżem Wielkim Orderu Izabeli Katolickiej.

Przekonałam się, że – podobnie jak ja – terminarz podróży znał na pamięć.

– Do tego czasu będziesz go miał.

– Na pewno?

Przełknęłam ślinę. Nie, bynajmniej nie miałam żadnej pewności. Myśli krążyły mi w głowie jeszcze rozmyte, gdy układałam ryzykowny plan, który równie dobrze mógł się okazać katastrofalny. Ale to nie miałoby większego sensu, gdybym nawet ja sama w siebie nie wierzyła.

– Możesz na to liczyć – potwierdziłam. – Ale musisz pozwolić mi działać spokojnie. Nie śledź mnie ani nie każ tego robić nikomu innemu. Nie próbuj dowiadywać się niczego na własną rękę, nigdzie nikogo nie wypytuj. Po prostu pozwól mi to zrobić.

Odprowadził mnie do drzwi. Skąd mógł przypuszczać, że to cenne odznaczenie miałam przyćepione do bielizny. Najprościej, najrozsądniej z mojej strony byłoby mu je przekazać i wyjaśnić, co spotkało Juancita w jaskini w Sacromonte. Ale tego nie zrobiłam, powiedziałam jedynie to, co już wiedział: że doña Eva w którymś momencie zgubiła Order Izabeli Katolickiej i w takiej sytuacji Doderó zdecydował się na ucieczkę do przodu, czyli zamiast płakać nad rozlanym mlekiem, zamówił wykonanie nowego. Zamiast spróbować znaleźć odznaczenie, postanowił zastąpić je innym.

Wyrzucenie z siebie tego wszystkiego byłoby najwygodniejsze. W ten sposób mogłabym się uwolnić i na zawsze zapomnieć o tej kłopotliwej sprawie. Ale w ostatnich dniach do mojego słownika weszło kilka nowych słów i to Ramiro mi je podrzucił, żonglując swoimi najnowszymi żądaniami, niegodziwościami i łajdactwami oraz smutnymi wspomnieniami z przeszłości, którą odgrzebał. Teraz te słowa nie przestawały mnie prześladować, aż stały się dla mnie głównym celem. Sprawiedliwość. Zemsta. Odwet. Rewanż. On sam swoim uporem obudził we mnie urazę.

Z szuflady drewnianej szafki w korytarzu Ignacio wyjął wizytówkę.

– Tutaj masz moje numery telefonów, do Generalnej Dyrekcji i prywatny. Zadzwoń do mnie, kiedy uznasz, że możemy działać.

Popatrzyłam na niego ostatni raz w półmroku, nie włączył bowiem światła. Zostawiałam mojego Ignacia, człowieka, który o mało nie został moim życiowym towarzyszem i ojcem moich dzieci, mężczyznę, który przeze mnie tak bardzo cierpiał.

Zaczęłam schodzić po schodach.



– Uważaj na siebie, Siro – usłyszałam za plecami.

Może zabrzmiało to jak zwykła pożegnalna uprzejmość, ja jednak miałam świadomość, że powiedział to szczerze. Wiedziałam, że pomimo okazywanego chłodu i ostentacyjnej obojętności uczucia Ignacia pozostały nienaruszone. I chociaż ja nie kochałam go tak, jak on nadal kochał mnie, musiałam powstrzymać chęci, by zawrócić, uścisnąć go i błagać, żeby nigdy o mnie nie zapomniał. Bo tylko on łączył mnie z tamtą dziewczyną, którą kiedyś byłam, a którą zgubiłam gdzieś po drodze.

Dla Ramira znaczyłam tyle, co spełniony kaprys, który szybko stracił ważność, dla Marcusa – koniec podróży, dla Nicka Souttera stanowiłam pewnie kontrapunkt, a dla Diega Tovara być może byłam ucieleśnieniem błyszczącej ekstrawagancji pośrodku szarego świata. Spośród wszystkich tych mężczyzn, którzy w jakimś momencie coś do mnie czuli, ten, który właśnie zamykał drzwi, bez cienia wątpliwości kochał mnie najmocniej. I nadal nie przestał, mimo że tak źle mu się odpłaciłam.

Zdołałam oprzeć się chęci powrotu do niego. Gdybym go poprosiła, by wziął mnie w ramiona i uścisnął, dodając mi otuchy, w odpowiedzi usłyszałabym stanowcze nie.

W ygląda na to, że *nanny* ma jakiegoś adoratora.

Doskonale o tym wiedziałam, a mimo to, kiedy następnego dnia rano ojciec potwierdził mi to przez telefon, poczułam, jakbym dostała cios pięścią prosto w brzuch.

– Widzieliście go?

– Nie, ale Miguela coś podejrzewa, mówi, że ostatnio dziewczyna wychodzi coraz częściej, wystrojona i uśmiechnięta. A dzisiaj poprosiła o wolne popołudnie.

Na chwilę wstrzymałam oddech.

– Ponoć po to, żeby iść na basen – ciągnął Gonzalo. – Basen Stella przy ulicy Artura Sorii, dopiero co go otworzyli. To musi być jakiś chłopak z dobrą pracą albo z zamożnej rodziny, bo z tego co się orientuję, to miejsce jest eleganckie i nowoczesne. Może to syn którejs z okolicznych rodzin, chłopak, który chce poćwiczyć swój angielski albo...

– W porządku – wymamrotałam, przełykając niezadowolenie. – W porządku, zgódź się. Więcej, nie tylko popołudnie, dajmy jej wolny cały dzień. Niech dziś nie zabiera Víctora na spacer, niech mały zostanie w domu z tobą i Miguelą.

– Dobrze, jak chcesz.

– Przekaż ode mnie Phillippie, że to moje polecenie, niech weźmie sobie cały dzień wolny. Tylko proszę cię, nie wspominaj jej o... – Umilkłam, zanim wypowiedziałabym słowo, które pojawiło mi się na końcu języka. – Zachowujcie się tak, jakbyście niczego nie podejrzewali.

Odwiesiłam słuchawkę na brudną ścianę na końcu baru Casa Prudencio, wciśnięta między skrzynki butelek z sodą a gąsiory wina Valdepeñas. Uspokoiałam się, wiedząc, że Ramiro nie zbliży się do Víctora, ale jego zaloty do niewinnej Phillippy piekły mnie jak

otwarta rana polewana octem. Ze względu na tę dziewczynę oraz krzywdę, jaką ten nieuczciwy wielbiciel mógłby wyrządzić jej uczuciom, a przede wszystkim dlatego, że Phillippa była moją pracownicą, za którą ponosiłam odpowiedzialność, cudzoziemką pod moją opieką. Mimo to chciałam, żeby zajęła Ramira, bym mogła zyskać czas.

Następny telefon przyniósł kolejną chwilę wytchnienia.

– Pan Tovar wyruszył dziś o świcie do Santiago de Compostela rządowym autem.

W Biurze Informacji Dyplomatycznej potwierdzono mi, że Diego jest już w drodze, żeby dołączyć do krótkiej wizyty pani Perón w Galicji. Wymyślenie, jak się przed nim usprawiedliwię, zostawiłam sobie na później.

Na razie, i dla mojego świętego spokoju, mogłam po jego wyjeździe wykreślić kolejną przeszkodę z mojej listy.

Musiałam odstąpić telefon słabo słyszacemu mężczyźnie, żeby zadzwonił do krewnego, a później samemu właścicielowi baru, żeby mógł złożyć zamówienie na Bóg wie co. Kiedy odzyskałam moje miejsce przy brudnej ścianie, skontaktowałam się z Palace.

– Dzień dobry, Alberto, mówi Livia Nash z BBC z Londynu. Dzwonię z Sewilli, ufam, że jeszcze mnie pan pamięta.

– Obraża mnie pani, moja droga. Jak mógłbym o pani zapomnieć?

Udawał uprzejmość z czystej grzeczności; z całym prawdopodobieństwem dojrzały armator nie miał zbyt chętności na flirt o tak wczesnej porze i w takich okolicznościach.

– Zauważyłam, że opuścił pan świtę pani Perón, i zastanawiałam się po prostu, czy wszystko jest w porządku i czy...

– Nie ma żadnego problemu, piękna, wszystko idzie świetnie. – Jego głos zabrzmiał nazbyt emfatycznie, być może zdał sobie nagle sprawę z tego, że ja, choć jestem atrakcyjną kobietą, pracuję w mediach. – Musiałem tylko niespodziewanie wrócić do Madrytu, żeby zająć się pewną sprawą związaną z moimi interesami – dodał. – To nic ważnego.

– Ufam zatem, że się jeszcze zobaczymy. Zanim Rainbow Tour będzie kontynuowana w kolejnych krajach, potrzebowałabym poznać

pańską końcową ocenę pobytu madame Perón w Hiszpanii. Do mojego reportażu, pamięta pan.

– Naturalnie, Livio. Dołączę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Nie sądzę, bym zdążył na wizytę w Galicji, ale będę w Barcelonie... – Wydawało mi się, że zabrzmiał niepewnie. – W Barcelonie, niebawem, obowiązkowo.

Odczekałam kilka sekund, jak gdybym oceniała jego ton.

– Przepraszam, Alberto, jeśli wydam się panu wścibska. Może to przez te hiszpańskie linie telefoniczne, które są w fatalnym stanie, ale pański głos brzmi trochę...

– To pewnie przez upał, nie jest dobry dla mojego ciśnienia – uciął temat, nie pozwalając mi dokończyć. – W Argentynie jest teraz środek zimy, trudno się przyzwyczaić.

W każdym razie moja krytyka ojczystej infrastruktury najwyraźniej pozwoliła mu być szczerym, ponieważ zaczął otwarcie narzekać.

– Ten piekielny upał i te hotele bez klimatyzacji... – wymamrotał szorstkim tonem.

Uśmiechnęłam się. Przede mną otwierała się nieoczekiwana szczelina, przez którą mogłam się precyzyjnie przecisnąć. Koniec końców on nie znał mojej prawdziwej tożsamości, pozwoliłam więc, żeby moja rzekoma cudzoziemskość płynęła strumieniami.

– Cóż, w tym kraju prawie wszystko jest dość marne. Infrastruktura, obiekty, wyposażenie...

– Wszystko, wszystko... – odpowiedział stanowczo i poufale. – Władze niewątpliwie się starają, ale trudno nawet znaleźć porządny lód i dobrą whisky, żeby się napić drinka *on the rocks*.

Poczułam się trochę jak zdrajczyni. Ten kraj ma za sobą krwawą wojnę, a wasz jest bogaty, zboże i mięso wychodzą wam uszami. Coś ty sobie myślał, Doderó, że to jest Nowy Jork albo Monte Carlo czy jakiś raj? Powstrzymałam się, w mojej głowie zrodziła się nagle pewna myśl. Skoro Ramiro zamierzał zabrać Phillipę na basen Stella, to może ja mogłabym popchnąć inne drzwi.

– Tak czy inaczej, jeśli nie jest pan zbyt zajęty, na przedmieściach Madrytu jest kilka miejsc, gdzie upał staje się bardziej znośny.

– Proszę się nie przejmować, Livio, nie sądzę, żeby...

– Miał pan na przykład okazję, żeby pojechać do Villi Romana? Mają tam fantastyczny basen. Do tego piękne ogrody, zacienione miejsca oraz wygodne leżaki, elegancka atmosfera, doskonała obsługa barowa i... i przepiękne dziewczyny – powiedziałam, wybuchając śmiechem równie perlistym, co obłudnym.

– Wydaje się kuszące – stwierdził. I nie zabrzmiał fałszywie.

Podniosłam pięść, jakby moja drużyna właśnie strzeliła gola. Zaatakowałam ponownie.

– Może wyjedzie pan z Madrytu na jeden dzień i się zrelaksuje? Zapomni pan o wysokich temperaturach, poczuje się jak w innym świecie.

Wypowiadałam słowa melodyjnym tonem. Oczywiście wszystko wyolbrzymiałam: byłam tam tylko raz, z Diegiem Tovarem, i na dodatek w nocy, tej samej nocy, kiedy Ramiro pojawił się ponownie wśród dźwięków tanga.

– Kiedy wieczorem wróci pan do swojego hotelu...

Armator wybuchnął krótkim śmiechem, odzyskując swój dawny optymizm.

– Przekonała mnie pani, moja droga. Jak się nazywa to miejsce? Villa Romana? Planowałem wprawdzie wpaść do... sprawdzić, co się dzieje z pewną delikatną sprawą, którą się zajmuję, ale dzisiaj chyba niczego nie załatwię, myślę, że lepiej to przełożyć. Co więcej, sądzę, że wybiorę się do tego edenu natychmiast, zanim zatrzyma mnie wysoka temperatura.

Opuściłam Casa Prudencio w doskonałym nastroju, skierowałam się znowu do pensjonatu i szybko weszłam po schodach. Jeśli nic się nie posypie, to wszyscy faceci, którzy mogliby pokrzyżować moje plany, zejdą mi z drogi. Nadszedł czas, bym zajęła się samą sobą.

Kiedy przyszłam do kuchni, żeby pożegnać się z gospodynią, akurat rozwieszała pranie, wychylając przez okno połowę ciała w stronę wewnętrznego patia. Odwróciła się, usłyszawszy mój głos, w rękach trzymała wielkie mokre majtki, a w zębach dwa drewniane spinacze. Na mój widok na jej zmaltretowanej przez czas i zmartwienia twarzy zarysowało się zdziwienie. Włożyłam jeden z moich najprostszych kostiumów, zrobiłam dyskretny makijaż, włosy upięłam na karku w surowy kok, przyozdobiony skromnym

stroikiem. Obejrzała mnie z niedowierzaniem z góry na dół, zwróciła uwagę na walizkę i zmarszczyła brwi.

– Wyjeżdżam.

Na stole położyłam kolejny z moich stupesetowych banknotów.

– Chyba nie będę miała wydać – powiedziała, po czym odłożyła pantalon na taboret i pomacała kieszenie swojego fartucha.

– Nie trzeba, tak jest dobrze.

Po moim wyjściu z pewnością nie miała chęci, by wracać do rozwieszania prania. Musiała po raz kolejny zastanawiać się nad tym, co, do diabła, taka kobieta jak ja robiła w jej nędznym pensjonacie.

Taksówkarz podniósł dwa palce do swojej czapki garnizonowej, kiedy wydałam mu polecenie.

– Chwileczkę!

Właśnie ruszył, gdy zmusiłam go, by gwałtownie zahamował.

– Proszę zaczekać – nakazałam, wysiadając pośpiesznie. – To tylko moment.

Moją uwagę zwrócił mały zakład optyczny obok Casa Prudencio. Weszłam do wąskiego lokalu i obejrzałam uważnie wyeksponowane okulary.

– Poproszę te.

Optyk w białym fartuchu wydawał się zdziwiony.

– Są męskie, proszę panienki.

– To dla mojego narzeczonego, proszę mi je pokazać.

Wzruszył ramionami i wyjął. Z okularami w dłoni odszukałam lustro, aż znalazłam takie wiszące na ścianie i przymierzyłam. Miały grubą kwadratową czarną oprawkę, szkła były brudne, pełne odcisków palców i nagromadzonego kurzu, kto wie, ile czasu tam leżały.

– Mają chyba dwie dioptrie, musiałyby sam tu przyjść, żeby zbadać wzrok, mógłby wpaść...

Nie dałam mu dokończyć.

– Są idealne. Wezmę je, dziękuję.

Kiedy wróciłam, kierowca palił śmierdzącego ręcznie zwijanego papierosa, więc w starej taksówce z gaźnikiem unosił się piekielny zapach.

– Przepraszam – odezwałam się, nowe okulary trzymałam jeszcze w ręce. – Czy nie mógłby mi pan załatwić trochę lepszego samochodu niż ten? Na krótki czas, zapłacę, ile będzie trzeba.

Spojrzał na mnie w lusterku wstecznym, miał krzaczaste brwi i tłustą skórę pełną czarnych zaskórników.

– Może mój szwagier... Ile jest pani gotowa zapłacić?

Z moich ust szybko wyszła magiczna kwota. Sto peset, jak zawsze. Podrapał się po źle ogolonej brodzie, zastanawiając się.

– Sto peset dla niego i kolejne sto dla mnie?

– Jeśli nie będę musiała czekać, zgoda.

Ruszył błyskawicznie. Szwagra znaleźliśmy bardzo blisko, na postoju przy Ministerstwie Rolnictwa. On wysiadł, a ja zostałam w taksówce i czyściłam chusteczką brudne szkła okularów. Zamienili ze sobą kilka zdań, których nie usłyszałam, wykonując przy tym mnóstwo gestów rękami. Mój zręczny negocjator w końcu wrócił.

– Szybko, piękna – powiedział przez opuszczoną szybę. – Ale samochód musi być z powrotem przed trzecią.

Szofer otworzył mi drzwi, gdy dotarliśmy pod numer pięć przy wąskiej ulicy Cruz, rzut beretem od Puerta del Sol, w samym centrum miasta. Fakt, że pozwolił sobie na wożenie mnie tą hispano-suizą będącą własnością rządu, pociągał za sobą pewne ryzyko. Jednakże pan podsekretarz miał zaplanowany obiad w budynku ministerstwa i nie potrzebował auta aż do późnego popołudnia, a jego podwładny dzięki premii ode mnie z pewnością zatka jakąś dziurę w swoim skromnym domowym budżecie.

Gdy tylko wysiadłam, założyłam moje nowe okulary i podniosłam wzrok na szyld na fasadzie. Jak przez mgłę przeczytałam CEJALVO. JUBILER. SREBRO. HERALDYKA. SPECJALIŚCI OD ORDERÓW. Przełknęłam ślinę. Dobra, do dzieła, wymamrotałam. Wysokie obcasy moich butów głośno stukały o podłogę, w tej chwili byłam jedyną klientką.

W moją stronę zwróciły się trzy pary męskich oczu. Jeden z mężczyzn, najstarszy i najwyższy rangą, wyszedł zza lady, żeby mnie przywitać. Przez okno zauważyli mój rządowy samochód; nie wiedzieli, kim jestem, ale za sprawą mojego auta prestiż miałam zagwarantowany.

– Pozwoli pan, że się przedstawię, odpowiadam za protokół dyplomatyczny w ambasadzie Republiki Argentyny w Hiszpanii – oznajmiłam poważnym tonem. – Chciałabym się widzieć z panem dyrektorem, chodzi o pilną sprawę.

Przyglądał mi się przez kilka sekund, jak gdyby przetwarzał moje słowa. Akcent wyszedł mi nieskazitelnie: musiałam zabrzmieć jak rodowita Argentynka, ponieważ pracownik skinął głową, niemal jak wojskowy, i od razu skierował się na tyły lokalu. Zapukał do drzwi, wszedł, gdy usłyszał pozwolenie, i niebawem wrócił.

– Pan Cejalvo natychmiast panią przyjmie, proszę pani.



Biuro nie było ani duże, ani eleganckie; dyrektor i właściciel sklepu przyjął mnie uprzejmie, nieco zdumiony, podczas gdy ja udawałam sprawną profesjonalistkę: plecy proste, włosy upięte na karku i poważne okulary na nosie. Nie odchrząknęłam ani się nie wahałam, zachowywałam się tak, jakbym była przyzwyczajona do załatwiania takich spraw, pewnie, przekonująco.

– Doktor don Pedro Radío, nasz ambasador, towarzyszy pierwszej damie w jej podróży po Hiszpanii, ja odpowiadam w tych dniach za wszelkie nieprzewidziane sprawy, jakie pojawiają się w ambasadzie. Chcę jednak, żeby pan wiedział, iż mówię w jego imieniu i że jest on informowany o wszystkim na bieżąco.

W innym kraju nie byłaby potrzebna zbyt rozległa wiedza na temat funkcjonowania placówek dyplomatycznych, żeby zakwestionować moją funkcję. Ale w Hiszpanii odizolowanej od świata i rozemocjonowanej wizytą Evy Perón argentyńskie władze były postrzegane jako dobroczynne anioły zesłane z nieba, otoczone przez reżim opieką i życzliwością. Niepodważalne, niekwestionowane. Całkowicie nietykalne.

– Z Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa podległej Ministerstwu Spraw Wewnętrznych dotarła do nas właśnie informacja – ciągnęłam, powołując się na organ Ignacia – że zjawił się tu rzekomy argentyński obywatel, ktoś, kto zamierza zdobyć duplikat Krzyża Wielkiego Orderu Izabeli Katolickiej, którym caudillo odznaczył doń Evę.

Wciąż naśladowałam akcent, który słyszałam tyle razy w ciągu ostatnich dni.

– Jako przedstawiciele Republiki Argentyny jesteście zobowiązani przekazać panu oficjalnie, że don Alberto Dodero, Urugwajczyk z urodzenia dokładniej mówiąc, nie jest w żaden sposób upoważniony do wykonywania formalnych kroków związanych z oficjalnymi prezentami otrzymanymi przez naszą pierwszą damę ani do zamawiania duplikatów, reprodukcji czy kopii, których ostateczne przeznaczenie nie jest nam znane. A tym bardziej – podkreśliłam, trafiając w czuły punkt – gdy zostały one подарowane przez samego generalissimusa don Francisca Franco.

Mnie samą uderzyła moja bezczelna dezynwoltura, chociaż to, co mówiłam, nie było do końca kłamstwem. Tak naprawdę armator nie sprawował żadnej publicznej funkcji, był jedynie znanym przedsiębiorcą, którego współpraca na poziomie organizacyjnym i finansowym nie upoważniała do ingerowania w kwestie dyplomatyczne. Mówiłam dalej, nie zmieniając tonu ani postawy, jubiler słuchał uważnie, z czubkami swoich dziesięciu palców wbitymi w blat stołu.

– Prosimy zatem, żeby nakazał pan natychmiastowe wstrzymanie tworzenia nowego odznaczenia Krzyża Wielkiego Orderu Izabeli Katolickiej w swoim warsztacie.

Cejalvo poruszył brodą w górę i w dół, pokazując, że rozumie.

– W celu uniknięcia niepotrzebnych spięć i z uwagi na to, że pan Doderó jest już starszym dżentelmenem i dość blisko związanym z osobami, które zajmują się doñą Evą, nasza rada jest taka, żeby nie udzielać mu stanowczej odmowy.

Jubiler uniósł brwi w pytającym geście.

– Proszę się go pozbyć dyskretnie – zasugerowałam. – Wstrzymajcie pracę, którą wam zlecił, ale kiedy będzie się dopytywał, nie informujcie go o tym i podajcie wymówki. Mówcie o opóźnieniach, nieprzewidzianych okolicznościach, rzekomych nagłych zamówieniach... Sam przestanie was niebawem nękać, nie będzie miał innego wyjścia, jak wyjechać wkrótce z Madrytu. Wiemy, że zamierza towarzyszyć pani Perón najpierw w Barcelonie, a później w Rzymie, gdzie zostanie przyjęta przez Ojca Świętego w Watykanie, nie wiem, czy pan o tym słyszał.

Znowu przytaknął, teraz bardziej zdecydowanie. Pius XII zamierzał przyjąć doñę Marię Evę i cała Hiszpania o tym wiedziała, jak więc miało to nie dotrzeć do właściciela tego wyjątkowego warsztatu.

Odprowadził mnie do samych drzwi wychodzących na ulicę, mój zaparkowany samochód zablokował drogę powozowi i dwóm innym autom, ale nikt nie śmiał protestować. Kto odważyłby się stawić czoło oficjalnemu pojazdowi w Hiszpanii rządzonej twardą ręką. Z progu swojego lokalu patrzył, jak uczynny szofer pomaga mi wsiąść na tylne siedzenie.

Mój fałszywy występ, choć okazał się satysfakcjonujący, zostawił mi niesmak. Nie podobało mi się, że oszukuję w tak bezczelny sposób, nie czułam się dobrze, okłamując uczciwego przedsiębiorcę i odwołując zamówienie, które tak bardzo martwiło Dodera. Ale tego wymagał scenariusz, traktowałam to jako zło konieczne w dążeniu do mojego celu: pozbycia się Ramira.

– Poproszę do hotelu Buen Retiro – tak brzmiało moje kolejne polecenie wydane ministerialnemu kierowcy. – Gdy dotrzemy na miejsce, proszę wyjąć mój bagaż i wejść ze mną do środka. Kiedy zostawię go w recepcji, będzie pan mógł odjechać.

Po drodze wyjęłam z włosów skromny ciemny stroik i włożyłam zbyt kowny aksamitny turban, który wyjęłam z torebki. Moje okulary przeciwsłoneczne zajęły miejsce tych korekcyjnych.

Lobby dawnego hotelu Gaylord's było prawie puste w porze obiadu. Z jadalni w głębi dobiegało jednak echo rozmów i dźwięk sztucców uderzających o talerze. Zastałam tu jedynie recepcjonistę, chudego młodzieńca.

Formalność okazała się dziecinnie prosta. Zameżne Hiszpanki nie mogły otworzyć konta w banku, otrzymać paszportu czy załatwić jakiegokolwiek sprawy urzędowej bez zgody męża; praca poza domem była niestosowna, a zameldowanie się samej w hotelu – niedopuszczalną zuchwałością. Ja jednak, z moim brytyjskim paszportem, fałszywym szoferem, wielkimi okularami i turbanem, byłam wytworną cudzoziemką. A takie cudzoziemki jak ja miały pełną swobodę.

– Mój mąż samolot przylatuje jutro – wybełkotałam nieskładnym hiszpańskim, biorąc klucz. Żeby sobie nie pomyślał, że źle się prowadzę.

Odgoniłam nostalgię, wchodząc do windy w towarzystwie gońca hotelowego, który zajął się moim bagażem. Kilka lat wcześniej ten sam dźwig zawiózł mnie na spotkanie z Marcusem w pierwszy weekend, który dał początek naszej krótkiej i nieszczęsnej historii. Teraz jednak nie wybierałam się do żadnego apartamentu z tarasem ani nie czekał na mnie żaden zakochany mężczyzna. Teraz podawałam się za ekstrawagancką obywatelkę innego kraju, a mój cel był nieskończenie bardziej niewdzięczny.

Przydzielono mi pokój numer pięćset czternaście, który wydał mi się funkcjonalny i wygodny, współgrający z modernistyczną architekturą budynku. Cierpliwie, żebym dobrze zrozumiała, recepcjonista poinformował mnie, że oprócz pokoi narożnych i apartamentów na ostatnim piętrze wszystkie pozostałe wyglądają identycznie. Gdy tylko bagażowy odszedł ze swoim napiwkami, zabrałam się do dzieła.

Najpierw się przebrałam. Pospiesznie zdjęłam szpilki, turban i *tailleur*, włożyłam buty na płaskim obcasie i nijakie żałobne ubranie, które kupiłam w sklepie przy ulicy Atocha – po eleganckiej Angielce nie został żaden ślad. Gdy przeglądałam się w lustrze, strach wbił we mnie swoje zęby. A jeśli wszystko pójdzie źle? A jeśli wszystko, z powodu mojej lekkomyślności, mojej głupoty, obróci się przeciwko mnie? Biuro Informacji Dyplomatycznej, BBC z Londynu, samą Secret Service – wszystkich bym zawiodła, w ich oczach byłabym nic niewarta, nikt nie stanąłby w mojej obronie.

Starłam się wyrzucić z głowy czarne myśli. Skup się, na Boga, nakazałam samej sobie, mamrocząc. W czasie gdy współpracowałam z Brytyjczykami, kiedy naziści krążyli po Madrycie, nauczono mnie kilku elementarnych rzeczy, żebym mogła widzieć, nie będąc widzianą, i wchodzić tam, gdzie nikt mnie nie wzywał. Jedną z tych umiejętności było otwieranie zamków przy pomocy zwykłej spinki do włosów; chcąc się przekonać, czy moja dawna zręczność przetrwała, spróbowałam to zrobić z drzwiami w moim pokoju. Odetchnęłam z ulgą, gdy się okazało, że wciąż potrafię to zrobić bez wysiłku.

Nie spotkałam nikogo ani na moim korytarzu, ani schodząc piętro niżej. Gdy tylko postawiłam nogę na czwartym poziomie, usłyszałam dochodzące z lewej strony głosy – głosy mężczyzn czekających na windę, a przynajmniej tak się domyślałam, nie mogąc ich widzieć. Stojąc nieruchomo przy kolumnie, zaczekałam, aż dobiegł mnie dźwięk zamykanych drzwi automatycznych i ponownie zapadła cisza.

Wiedziałam mniej więcej, w którym miejscu jest ten pokój, rozkład piętra był identyczny. Ostrożnie zrobiłam kilka kroków, wstrzymując oddech i nie pozwalając, żeby panika znowu wbiła we

mnie swoje kły. Czteryście dziewięć, czteryście jednaście, czteryście trzystaście, czteryście piętnaście. Dotarłszy do pokoju numer czteryście siedemnaście, zastukałam krótko; tak jak się spodziewałam, nie usłyszałam odpowiedzi. Ręka do torebki, spinka, klamka, drzwi. W ciągu kilku sekund znalazłam się w środku. Dopiero wtedy zaczęłam odzyskiwać dech w piersiach.

Niepewnie, w półmroku z powodu zaciągniętych zasłon, zrobiłam kilka kroków, aż się przekonałam, że rozkład mebli był taki sam jak w moim pokoju. Podeszłam do biurka i pociągnęłam za łańcuszek lampki. Zobaczyłam terminarz w ciemnej okładce, otworzyłam go, dotykając jedynie opuszkami palców; rozpoznałam drobne i staranne pismo Ramira. Żadne z nazwisk, adresów i numerów, które przejrzałam pobieżnie, nie wydało mi się znajome, tak samo nazwy: Posadas, Tucumán, Belgrano, Ayacucho. Z ciekawości spojrzałam pod S i Q i potwierdziłam, że Sira Quiroga nie pojawia się w żadnym miejscu. Leżały tu także pióro Waterman, broszury promocyjne silników i maszyn, domyśliłam się, że należały do firmy, w której rzekomo miał swoje udziały. Ponadto znalazłam kilka rachunków z madryckich klubów nocnych i barów – Pasapoga, Le Cock, Molinero, Pidoux – oraz kilka wizytówek z jego nowym nazwiskiem: Román Altares, Riobamba 952, Buenos Aires. Bezwiednie wzięłam sobie jedną.

Zamierzałam działać jak najszybciej i najskuteczniej: wybrać odpowiednie miejsce, wypełnić zadanie i natychmiast wyjść. Nie dałam jednak rady postąpić w taki sposób, czułam się tak, jakbym nogi miała z ołowiu, a ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Powoli podeszłam do wezgowia łóżka: kiedy byliśmy razem, Ramiro nie był bibliofilem, a brak książek wskazywał na to, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Na stoliku nocnym, obok budzika i słoiczka drażetek bez etykiety, znalazłam jedynie kilka gazetek informacyjnych. Wśród nich dwa egzemplarze argentyńskiego czasopisma „El Hogar” ze stronami zaznaczonymi przez zagięcie rogów. Przejrzałam je z ciekawości, w obu znalazłam reportaże ze zdjęciami, na których byli Eva Perón razem z Albertem Doderó.

Następnie szeroko otworzyłam szafę: znalazłam trzy garnitury z doskonałej jakości materiału, wiele marynarek sportowych

i kilkanaście koszul. Zdjęłam z wieszaka jedną, która wyglądała na noszoną, i przysunęłam ją do twarzy. Zapach, o którym zapomniałam lata temu, wypełnił mi nos, męska woń równie kusząca, co niepokojąca.

– Zostaw te głupstwa – wyrzuciłam sama sobie. – Przestań już przeglądać i szperać. Na miłość boską, Sira, pospiesz się i znajdź dobre miejsce.

Wróciłam do biurka i pociągnęłam za sznureczek lampki, a pokój na powrót pogrążył się w półmroku. Potem weszłam do łazienki, wcisnęłam włącznik i po bokach lustra zapaliły się dwie lampki. Oparłam się pokusie, by się przejrzeć, nie zniosłabym swojego widoku. Na półce znalazłam elegancką kosmetyczkę. Podniosłam ją delikatnie, opuszkami palców pogładziłam skórę w kolorze karmelowym, delikatna argentyńska skóra, z pewnością najwyższej jakości. Położyłam ją na klapie sedesu, a kiedy odpięłam zamki, rozłożyła się na dwie części jak otwarta książka. W środku, uporządkowane i przytrzymane paskami z takiej samej skóry, znajdowały się małe butelki ze srebrnymi zakrętkami: *eau de cologne* i balsam, mydelniczka, łyżka do butów, ściereczki do czyszczenia obuwia, szczotka do ubrań. Biorąc pod uwagę próżność Ramira i śmieszne hiszpańskie ceny, niewątpliwie codziennie polerował sobie buty u pucybuta i chodził się golić do dobrego golibrody. To dlatego prawie wszystkie przybory były schowane, a w kosmetyczce brakowało tylko szczoteczki do zębów, pasty i grzebienia – tego, co niezbędne.

Pomysł pojawił się natychmiast: skoro w Granadzie ukrywałam order w mojej kosmetyczce, być może ta należąca do niego też mogłaby się okazać dobrą kryjówką. Ponownie ją podniosłam, żeby to ocenić, trzymając w otwartych dłoniach.

– Doskonale – wyszeptałam.

Szkło żłobionych pojemników, ich metalowe zakrętki i reszta zawartości sprawiały, że całość nie była lekka; gdyby dołożyć tu nowy przedmiot, prawie nie czułoby się różnicy. Pomacałam spód kosmetyczki, aż znalazłam najwłaściwsze miejsce. Tutaj, tutaj, tuż pod ściereczkami. Z kieszeni wyciągnęłam mały przybornik

krawiecki, który towarzyszył mi od lat, i wyjęłam z niego maleńkie nożyczki. Przy pomocy samych końcówek sprułam boczne szwy.

Odczepiłam Order Izabeli Katolickiej od ramiączka biustonosza, gdzie był przytwierdzony, w tej samej kryjówce co pierwszego dnia, kiedy przekazała mi go staruszka w Sacromonte. Nawet na niego nie patrząc, włożyłam go do zrobionego właśnie otworu i zwinnymi palcami krawcowej przesunęłam na środek. Gdy tylko stwierdziłam, że znalazł się we właściwym miejscu, wyjęłam rękę i przystąpiłam do zaszycia tego miejsca nawleczoną już igłą. Dzięki niezauważalnemu ściegowi otwór został zamknięty.

– Doskonale – wymamrotałam ponownie.

Uważnie sprawdziłam kosmetyczkę w środku i na zewnątrz; nie było widać niczego dziwnego. Znowu ją potrzyzymałam, dotykając niemal jedwabistej skóry; dodatkowy ciężar także prawie nie był wyczuwalny.

Właśnie zamierzałam odłożyć ją na miejsce, kiedy ciszę przerwał odległy hałas. Przeszły mnie ciarki, w środku poczułam zalewającą mnie falę strachu. To nie była wyobraźnia, moje lęki wcale nie robiły mi ponurego żartu. Chodziło o delikatne, lecz charakterystyczne zgrzytnięcie – takie samo, jakie wydaje klucz, kiedy przekręca się go w zamku. Po cichu odłożyłam kosmetyczkę na półkę, podczas gdy drugą ręką gasiłam światło i zamykałam drzwi od środka.

Serce zaczęło mi wściekle walić. Ktoś wchodził do pokoju.

**N**ie mogłam ich widzieć, ale głosy wyraźnie przebijały się przez drewno. Cóż za idiotka, frajerka, przyjechałam za pewnik, że spędzą dzień na basenie Stella, chłodząc się w niebieskiej wodzie i leżąc na hamakach twarzą do słońca.

W swej naiwności nie wzięłam pod uwagę nieprzewidzianych sytuacji.

– Już jesteśmy, zobaczysz, że zaraz poczujesz się lepiej, *no sun here, no sun in this room*, rozumiesz?

Mieszał hiszpański z obu kontynentów ze słowami po angielsku, ona odpowiedziała zaledwie szeptem.

– Tutaj – wskazał Ramiro. – *Here, on the bed*, połóż się.

Materac zatrzeszczał, a Phillippa, zawsze zachowująca się w tak typowo brytyjski grzeczny sposób, wypowiedziała dziękuję ogromnie słabym głosem. Kiedy ona już leżała, słyszałam, jak on krząta się po pokoju, dobiegły mnie brzęk klucza odkładanego na jakąś powierzchnię, odgłos zawiasów otwieranych drzwi szafy, znowu zamknięcie. Ja tymczasem siedziałam w ciemności, skulona za zasłoną w wannie, a serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Moja pierwsza myśl była taka, że Phillippa nie czuje się dobrze. Bez wątpienia to wina słońca zbyt agresywnego jak dla jej angielskiej skóry. Może udar cieplny w najgorętszym momencie dnia. Może zmusił ją do wypicia alkoholu, wermutu jako aperitif u albo sangrii do obiadu – kto wie. A ona nigdy dotąd nie wypła ani kropli. Ramiro, odpowiedzialny za dziewczynę, nie miał innego wyjścia, jak zabrać ją do swojego pokoju hotelowego, aż dolegliwości miną; ciekawe, do jakich sztuczek się uciekł, żeby wprowadzić ja tutaj, mimo że nie jest zameldowana. Pośród zawrotów głowy i omdleń *nanny* bez wątpienia uważała, że najlepiej byłoby wrócić na Hermosillę, on jednak przejął kontrolę nad sytuacją i może biednej



dziewczynie brakowało energii, żeby obstawać przy swoim, a może umierała ze wstydu.

W dalszym ciągu snułam swoje domysły, kiedy Ramiro z impetem wszedł do łazienki. Walnięciem we włącznik zapalił światło, a ja wsunęłam wtedy głowę między kolana, chcąc się rozpaść, ulec całkowitemu rozkładowi. Słyszałam, jak odkręca kran, i woda zaczęła lecieć nierównym strumieniem, słyszałam, jak trze dłonie, później napełnił szklankę, domyśliłam się, że potem coś zmoczył, może ręcznik albo chusteczkę. Wrócił do pokoju, zostawiając otwarte drzwi łazienki i włączone światło; musiał podać Phillippie wodę do picia, potem położyć jej wilgotny ręcznik na czole, ona słabym głosem znowu wyszeptała *thank you*.

Minęło trochę czasu, który ciągnął się w nieskończoność. On okazjonalnie pytał ją, jak się czuje, bez entuzjazmu i nawet nie udając życzliwości, w jego głosie wyczułam narastającą irytację. W pewnym momencie chwycił słuchawkę telefonu, poprosił w centrali o numer pokoju w tym samym hotelu, ale nikt nie odebrał. Następnie poprosił o inny numer, lecz z takim samym rezultatem, więc odłożył słuchawkę na widełki bez delikatności, z suchym trzaskiem. Był wyraźnie niezadowolony, pewnie nic nie układało się po jego myśli, demony wiły się w jego wnętrzu.

Minęła kolejna chwila, która znowu wydała mi się wiecznością. Położył się na drugim łóżku, słyszałam, jak wierci się niespokojnie, jakby trudno mu było znaleźć wygodną pozycję. Słyszałam, jak przegląda jedno ze swoich czasopism, głośno przewracając kartki, a potem rzuca je na podłogę. Ja tymczasem wciąż siedziałam w wannie, rękami obejmowałam zgięte nogi, plecy wygięte w łuk, nieruchoma w pozycji embrionalnej. Wzdrygnęłam się, gdy zadzwonił telefon. Ramiro odebrał energicznie, niemal gwałtownie.

Wychwyciłam tylko urywki rozmowy, jego udawany argentyński akcent sprawił, że umykały mi szczegóły, nawet całe fragmenty. Ale zrozumiałam istotę sprawy. A istotą był szereg kłamstw dotyczących jego rzekomego przyszłego spotkania z Doderem. Że już prawie wszystko załatwione, niebawem będzie miał umówione spotkanie, należało jedynie ustalić termin. Że prognozy są znakomite, niezwykle obiecujące. Stary armator miał kupić od nich, bez

najmniejszych wątpliwości, wszystko, co zamierzali mu zaoferować: części zamienne i elementy do hydroplanów oraz inne materiały eksploatacyjne. Żeby ten drugi absolutnie się nie przejmował, podkreślał Ramiro, bo wszystkie te niemałe pieniądze, które już wyłożył, jak się wydaje pokaźną kwotę, zostaną podwojone, pomnożone trzy-, cztero-, a nawet pięciokrotnie.

– O dziesiątej widzimy się w Chicote, dobra, świetnie.

Odłożył słuchawkę i westchnął, po czym rzucił opryskliwą uwagę. A później, nie mogąc zrobić nic więcej, bezsilny i bezradny wobec stanu Phillipy, która już zasnęła, sam też zapadł w sen.

Po trzech stronach wanny znajdowało się łącznie dwieście sześćdziesiąt osiem płytek; policzyłam je wiele razy: były błyszczące, kwadratowe, idealnie symetryczne, w niebieskawozielonkawym kolorze. Na półce leżały kostka mydła i gąbka. Zasłona, która chroniła przed wylewaniem się strumieni wody, była zrobiona z materiału w kolorze wanilii, ścieg maszynowy. Patrzyłam na te wszystkie rzeczy z najwyższą koncentracją, żeby oszukiwać strach.

Kiedy miałam już pewność, że Ramiro zasnął, zaczęłam się pomału podnosić, cicho, ostrożnie. Odsuwając zasłonę, pilnowałam z podniesionym wzrokiem, żeby metalowe obręcze, na których wisiała, nie uderzały o siebie ani nie ślizgały się po drążku, robiąc hałas. Podwinęłam spódnicę i wyjęłam z wanny najpierw jedną nogę, a potem drugą, na podłodze stanęłam tylko na palcach. Pomacałam sobie uda, by się upewnić, że mam w kieszeniach przyborek krawiecki i klucz do mojego pokoju. Na końcu najwolniej jak mogłam, tak, by prawie nie było tego słychać, zgasiłam światło. Uznałam, że ciemność mi pomoże, w razie gdyby Ramiro się obudził.

Powoli weszłam do pokoju, ostrożnym krokiem zbliżyłam się do łóżka Phillipy, obok zobaczyłam leżące na podłodze jej buty i torebkę. Pominęłam te pierwsze, ale schyliłam się, żeby podnieść torebkę, i zawiesiłam ją sobie na ramieniu. Dotarłszy do wezgłowia, nachyliłam się nad nią i przygotowałam ręce. Policzyłam do trzech, żeby równocześnie wykonać nimi ruch: jedną mocno zakryłam jej usta, żeby nie krzyczała, a drugą złapałam ją za ramię i pociągnęłam, żeby ją podnieść.

– To ja, Mrs Bonnard – wyszeptałam jej do ucha, zanim zdążyła zareagować. – Musimy stąd natychmiast wyjść. Tylko, *for God's sake*, nie odzywaj się.

Choć się przestraszyła, w przypiływie jasności umysłu chyba mnie poznała. Udało mi się postawić ją na nogi, chwiała się i była słaba.

– Idziemy, Phillippo, rozumiesz? – powiedziałam ledwie słyszalnym głosem. Nadal ją trzymałam i zakrywałam jej usta.

Wyraźnie skinęła głową.

– *Good girl, let's go* – wyszeptałam parę centymetrów od jej ucha.

Wreszcie uwolniłam jej usta, przytrzymałam za ramiona i popchnęłam, by zaczęła iść. Jeden krok, drugi, kolejny, jeszcze jeden. Po siedmiu byliśmy przy drzwiach, po dziewięciu znalazłyśmy się na korytarzu; nie zamknęłam całkiem drzwi, żeby nie narobić hałasu. Zostawiłyśmy za sobą parę sandałów, śpiącego Ramira i Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej ukryty w jego kosmetyczce w łazience.

Pospiesznie zabrałam Phillippę do mojego pokoju, zanurzyłam ją w letniej wodzie, wydawało się, że powoli dochodziła do siebie. Pocieszałam ją, gdy płakała i przepraszała mnie przygnębiona. Mówiła o upale, słońcu, czerwonym winie i kilku słodkich drinkach, które zawierały alkohol, o czym ona nie miała pojęcia. Uspokoiliam ją, właściwie kazałam jej się uspokoić, powiedziałam, że wszystko jest w porządku, i położyłam ją do łóżka. Około jedenastej wieczorem wykonałam dwa telefony. Jeden na recepcję, żeby potwierdzić, że Ramiro już wyszedł. Drugi do mojego ojca, żeby przyjechał taksówką i odebrał *nanny*, która była na kacu, spalona od słońca i bosa.

„W jadalni w Twoim hotelu, za pół godziny”.

Notkę o takiej treści goniec hotelowy zaniósł Ramirowi następnego poranka. W zamian za dziesięć peset chłopak obiecał mi, że nie przestanie pukać do drzwi pokoju czterysta siedemnaście, dopóki nie przekaże mu karteczki do ręki. Dochodziła dziesiąta i do tej pory zdążyłam już zrobić parę rzeczy. Najprostszą było potwierdzenie, że Phillippa miała za sobą dość dobrą noc, że jest już na nogach i zajmuje się Victorem; skórę wprawdzie ma zaczerwienioną i bolącą, ale poza tym wszystko w porządku.

O wiele bardziej niezręcznie było mi rozmawiać z Diegiem Tovarem. Dzięki informacji z jego biura zlokalizowałam go w Vigo. Po krótkiej wizycie w Santiago galisyjski etap podróży trwał w najlepsze. Już sama liczba zobowiązań i uroczystości przyprawiała o zawrót głowy. Madame Perón i jej świta zatrzymali się w Pazo de Castrelos, pozostałe osoby zaś w hotelu Universal. Żeby usprawiedliwić swoją nieobecność, musiałam uciec się do konfabulacji.

– Jak sądzisz, kiedy będziesz mogła dołączyć? – usłyszałam wśród zakłóceń.

Jego zainteresowanie wydało mi się szczere. Z pewnością ze względu na reportaż dla BBC. Być może trochę także ze względu na mnie samą.

– Postaram się jak najszybciej być w Barcelonie.

– Skontaktuj się z moim biurem i proś o wszystko, czego tylko potrzebujesz. Bilety, samochód, cokolwiek.

Nie mógł wiedzieć, że za chwilę mam się spotkać z niepożądanym osobnikiem, który kiedyś wciągnął mnie w bagno, ale jego głos zabrzmiał tak, jakby to przeczuwał.

– Uważaj na siebie, Livio. – Zrobił pauzę, a potem dodał: – Brakuje nam cię tutaj.

Odtwarzałam w głowie rozmowę z Diegiem Tovarem, ubolewając, że jego też musiałam okłamać, kiedy do jadalni wszedł Ramiro. Czekałam na niego przy stoliku pod ścianą, z filiżanką herbaty, zauważył mnie natychmiast. Był ubrany w jedną z tych koszul, które widziałam w jego szafie, i jasną marynarkę. Miał wilgotne, starannie uczesane włosy, dopiero co wyszedł z tej samej wanny, w której poprzedniego popołudnia spędziłam przerażona kilka godzin.

– Jeszcze zanim się z tobą przywitam, Siro, chciałbym cię przeprosić...

Nachylił się nade mną, jakby zamierzał podkreślić swoje wytłumaczenie i swoje powitanie pojedynczym buziakiem w policzek, na sposób argentyński, jak przypuszczałam. Odchyliłam się w geście sprzeciwu. Usiadł naprzeciwko i dalej opowiadał swoje głodne kawałki.

– Chciałem tylko, żeby dziewczyna się trochę rozerwała, ale przez nieuwagę wymknęła mi się. Szukałem jej wszędzie, ale nie było sposobu, żeby...

– Daruj sobie – ucięłam.

Popatrzył na mnie, udając dezorientację.

– Naprawdę nie chcesz wiedzieć, jak to się stało, że...

Do stolika podszedł kelner w białej koszuli. Próbował wręczyć Ramirowi kartę śniadań, której ten odmówił, niemal wbił mu ją w nerki, oddając bez mrugnięcia okiem. Ramiro doskonale wiedział, co chce zjeść; zawsze wiedział, czego chce. Jednym ciągiem zamówił jajka ze słabo wysmażonym boczkiem, bułeczki z masłem, sałatkę owocową, czarną kawę w dużej filiżance, podwójny sok z pomarańczy. Kiedy ponownie zostaliśmy sami, zamknęłam oczy i wciągnęłam powietrze nosem. Otworzyłam je i równocześnie powoli wypuściłam powietrze ustami, jak gdybym uzbrajała się w cierpliwość.

– Mam cię już dość, Ramiro, mam dość twoich nacisków, zastraszania i żądań.

– Źle to oceniasz, skarbie. Angielka jest nudna, ale ładna, naprawdę mi się podoba, serio.

– A po odurzeniu biedaczki napojami alkoholowymi i narażeniu jej na oparzenia drugiego stopnia co będzie dalej? Dokąd zechcesz zabrać mojego ojca? Jaki plan obmyślisz dla mojego syna, jeśli nie spełnię twoich życzeń?

– Na Boga, Siro...

– Znam cię, Ramiro. Minęło ponad dziesięć lat, ale nic się nie zmieniłeś. Kiedy coś sobie ubzdurasz, nic cię nie powstrzyma, dla ciebie nie istnieją żadne przeszkody.

– Nie chcę, żebyś tak o mnie myślała, nie...

Położyłam dłonie na stoliku, nachyliłam się w jego stronę, poważna i wyniosła.

– Wygrałeś.

Uniósł brew, tylko jedną, jakby był amantem filmowym. Mimo że dopiero co wstał, ten podlec wciąż wyglądał atrakcyjnie.

– Nie chcę, żebyś znowu naprzykrzał się moim bliskim, nie chcę więcej kłopotów, nie ufam ci ani trochę. Poddaję się. Z bólem się do

tego przyznaję, bo na to nie zasługujesz, ale rzucam ręcznik. Będziesz miał swoje spotkanie z Doderem.

Popatrzył na mnie, oceniając moją niespodziewaną decyzję. Być może odczuł satysfakcję, ale się powstrzymał i nie okazał otwarcie radości. Był łajdakiem od stóp do głów, ale nie szaleńcem, wiedział, jak należy się zachować w takiej sytuacji.

– Jestem ci za to wdzięczny, Siro. Z całego serca jestem ci wdzięczny.

Na potwierdzenie swoich słów położył na sercu prawą rękę. Dobrze udawał, wyglądał nawet na szczerego w swoich reakcjach. Ale ja to zignorowałam i z wyraźną obojętnością skupiłam się na dopiciu mojej herbaty.

– Jedyne, co trzeba ustalić – powiedziałam, odejmując filiżankę od ust – to termin. Postaram się, żeby to było jak najszybciej, dzięki temu przestaniesz mi dokuczać, a ja będę mogła zapomnieć o tej nieprzyjemnej sprawie.

Odstawiłam filiżankę na talerzyk i zamierzałam wstać. Po dżentelmeńsku podniósł się i podszedł, żeby wysunąć moje krzesło. Potem chciał ruszyć w stronę wyjścia, ale powstrzymałam go stanowczo.

– Nie musisz mnie odprowadzać, zjedz swoje śniadanie.

Odwróciłam się już plecami, kiedy dodałam, nie patrząc na niego:

– Poinformuję cię o moich ustaleniach z armatorem.

Aktorzy Teatru Narodowego spisali się powyżej oczekiwań. Spektakl, dekoracje i efekty sceniczne okazały się wspaniałe. Oglądaliśmy *Sen nocy letniej* Shakespeare'a. Ale jako że dochodziła czwarta rano, widzowie, choć bardzo się starali, nie mogli powstrzymać bezwiednego zamykania oczu, drzemania i ziewania.

Byliśmy w Barcelonie, w ogrodach Montjuic, wokół wielkiej sceny ustawionej pod gwiazdami. Ktoś bezmyślny zaplanował przedstawienie teatralne po północy, teoretycznie miało się rozpocząć o wpół do pierwszej, ale opóźnienia jak zwykle się kumulowały, więc kiedy wreszcie zajęliśmy miejsca, było już po trzeciej nad ranem. W końcu wróciłam do swoich obowiązków i sprawiałam wrażenie skoncentrowanej na gromadzeniu kolejnych obrazków do mojego przyszłego reportażu. Ta fasada była jednak prawdziwa tylko w połowie: gdyby ktoś znalazł się w mojej głowie, zauważyłby, że mój mózg pracował jakby w dwóch wymiarach. Połowa zajmowała jeden z foteli przewidzianych dla zagranicznych korespondentów. Natomiast druga część moich neuronów znajdowała się setki kilometrów dalej.

Parę dni wcześniej wyszłam ze spotkania z Ramirem w dawnym hotelu Gaylord's z przekonaniem, że wszystko jest już gotowe: Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej ukryty w jego kosmetyczce, on udobruchany dzięki obietnicy spotkania, a Ignacio czekał na sygnał, żeby móc go zatrzymać. Zakończenie wydawało się rychłe: gdy tylko obywatel Argentyny Román Altares zostałby schwytany jako złodziej odznaczenia pierwszej damy, reszta potoczyłaby się automatycznie. To prawda, że tym razem nie dopuścił się żadnego rabunku, ale owszem, zrobił to dawniej. A teraz w podły sposób przymuszał mnie do przysługi, zachował się jak drań wobec Phillippy i Bóg jeden wie, co mógłby jeszcze zrobić, gdybym go nie powstrzymała. Kara, jaka by

na niego spadła, za jedno przewinienie czy za drugie, byłaby aż nadto sprawiedliwa.

Jednakże wbrew temu, co można by sądzić, nie czułam najmniejszej satysfakcji, zostawiając go samego z tym obfitym śniadaniem. Speszona poprosiłam taksówkarza, żeby zawiózł mnie na Hermosillę. Byłam zdenerwowana i zmęczona. Granada i niespokojna noc, Sewilla i zamęt, powrót do Madrytu pociągiem, skromny pensjonat przy Atochy, bieganie jak opętana, ciągłe rozmowy telefoniczne, przybycie do Gaylord's, moje kłamstwa, moje maskowanie, machinacje i udawanie. Potrzebowałam odpoczynku, trochę spokoju i świeżego powietrza przed wykonaniem następnego kroku. Odpoczynku fizycznego, ale nie tylko. Przede wszystkim potrzebowałam dać mojej duszy nieco wytchnienia.

Víctor powitał mnie radośnie. Rzucił mi się w ramiona, śmiał się głośno, szczypał moją twarz, pociągał za włosy. Spędziliśmy oddzielnie tylko kilka dni, odnosiłam jednak wrażenie, że urósł. Nie chodził jeszcze samodzielnie, ale gdy miał się czego trzymać, poruszał się bez trudu: uczeplił się małego palca mojej ręki i kilka razy przeszliśmy tam i z powrotem długim korytarzem w mieszkaniu mojego ojca. Później dałam mu do zjedzenia ryż z kurczakiem. Został na moich kolanach, gdy kończyłam swój obiad, a potem położyliśmy się razem na sofie, by się zdrzemnąć w pogrążonym w półmroku salonie. Ojca akurat nie było, tego dnia miał obiad w Gran Peñi. Kiedy zaczęłam po cichu śpiewać *Estaba el señor don Gato*, Víctor padł już po dwóch zwrotkach, leżąc na mnie. Chwilę później ja też zasnęłam.

Myślałam, że śnię, kiedy usłyszałam uporczywy szept. Proszę pani, proszę pani, proszę pani... Poczułam, że ktoś mną potrząsa, otworzyłam oczy oszołomiona i kilka centymetrów od mojej twarzy ujrzałam pomarszczoną twarz Miguela.

– Proszę pani – wyszeptała kolejny raz, żeby nie obudzić Víctora. – Telefon do pani. Podobno pilne.

Ześlizgnęłam się z sofy, żeby odebrać przy biurku w gabinecie ojca.

– Prawie udała ci się ta zagrywka, mała. Prawie w to uwierzyłem. Stałam przy biurku, bosa. Przełknęłam ślinę. Dzwonił Ramiro.



– Nie lubię uznawać spraw za zakończone, jeśli przedtem wszystkiego nie sprawdzę, Siro. Być może o tym nie pamiętałaś, a może to coś, czego nauczyłem się później, z czasem. Tak więc żeby się upewnić, że twoja obietnica jest wiarygodna, wpadłem do Palace, gdzie jak sama mi powiedziałaś, zatrzymał się Dodero. Zresztą właśnie stąd dzwonię.

W tle było słycać delikatny szmer; równie dobrze mógł mówić prawdę, jak i kłamać.

– Armator musi tam być – powiedziałaś. – Wczoraj z nim rozmawiałam.

– Był. Był, czas przeszły czasownika być.

– Jak to: był?

– Był, bo już go nie ma. Wyjechał.

– Wyjechał? Dokąd?

– Ty mi powiedz.

Potrzebowałam kilku chwil, żeby połączyć elementy, pozbyć się resztek snu. Skoro argentyński magnat zakończył już swój madrycki etap, to powinien przejść do następnego.

– Przypuszczam, że w takim razie jego kolejnym celem będzie Barcelona, żeby przygotowywać przyjazd...

Nie pozwolił mi dokończyć.

– Jak bardzo jesteś tego pewna?

– Prawie na sto procent.

– Ty też tam pojedziesz?

Mogłabym mu odpowiedzieć, że to nie jego sprawa, ale wolałam trzymać moje zuchwalstwo na wodzy.

– Oczywiście, muszę dalej relacjonować podróż.

– Dobrze, załatw mi w takim razie spotkanie z nim w Barcelonie.

Wyglądało na to, że cała uprzejmość, jaką okazywał rano, nagle wyparowała. Ton Ramira był teraz wymagający i szorstki, zimny jak nóż wbity w lód. Przeczynałam, że nie wynikało to tylko ze zwykłej zmiany humoru. Jego sposób mówienia zwiastował czarne chmury.

– I zostaw mi wiadomość w recepcji mojego hotelu, ale nie zwracaj sobie głowy pytaniem o mnie. Już się wymeldowałem.

Opadłam na fotel mojego ojca z ciężką słuchawką przyklejoną do ucha. O Boże. O Boże. O Boże. Ramiro wyprowadził się z hotelu

Buen Retiro. I zabrał ze sobą swój bagaż, co oczywiste. A w bagażu była jego kosmetyczka z Orderem Izabeli Katolickiej w środku. A ja nie wiedziałam, gdzie się teraz zatrzymał, i wyglądało na to, że nie ma zamiaru mi tego powiedzieć.

– Zaczynam tracić cierpliwość, Siro – ciągnął ostrym tonem. – A najgorsze, że to przewidziałem, czułem, że zechcesz się ode mnie uwolnić swoimi fałszywymi obietnicami i swoją złością, taka zboleła, taka zraniona moim zachowaniem. Przypomniałaś mi, że zawsze taka byłaś, delikatna, wrażliwa aż do przesady. Chyba dlatego miałem ciebie dość i cię zostawiłem.

Odchyliłam się na oparcie fotela i zamknęłam oczy.

– Nie wiem dokładnie, kim się stałaś – mówił dalej, bez wytchnienia. – Brakuje mi informacji na temat twojej przeszłości. Jeśli mam być szczery, odkąd wyjechałem z Tangeru, byłem zbyt zajęty, żeby się tobą interesować. Miałem biznesy, kobiety, wloty i upadki, chude lata i wspaniałe okresy. I miałem też przyjaciół. A jeden z nich, patrz, co za przypadek, od kilku miesięcy przebywa w Londynie. I okazuje się, że był mi winien przysługę. Właśnie przekazał mi coś, co mnie niepokoi.

Wciąż mówił poważnym tonem, na jednym oddechu.

– W BBC nikt cię nie zna, Livio Nash czy Siro Quirogo, czy jak tam się przedstawiasz. Nikt nigdy nie słyszał nazwiska, którego teraz używasz, ani tamtego poprzedniego. Przyjaciół, o którym wspominam, jest Argentyńczykiem i ma dobre kontakty. Z tego, co mi właśnie powiedział, wynika, że w Londynie środowisko Latynoamerykanów i Hiszpanów nie jest zbyt duże. Wszyscy znają wszystkich albo słyszeli jedni o drugich, a tym bardziej gdy chodzi o kogoś, kto rzekomo pracuje w radiu. Ale ciekawe jest to, że o tobie nikt nie słyszał. Nigdy.

Nawet nie zadałam sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Wymówki i przykrywki, po które sięgałam w rozmowach z innymi, jemu na nic by się zdały, te bzdury nie miały dla Ramira żadnego znaczenia. Kłopot polegał na tym, że teraz wiedział coś, o czym nikt w Hiszpanii nie powinien się dowiedzieć. I dzięki temu mocno trzymał mnie w garści.

– Dobra, do ustalenia – dodał stanowczo. – Barcelona. Dodero. Potrzebuję konkretów. I nie wystarczy mi, że podasz mi miejsce i godzinę, a sama znikniesz; nie ufam ci. Chcę, żebyś była na tym spotkaniu, żebyś przyszła na nie razem ze mną, naciskała na niego w mojej sprawie i doprowadziła do tego, żeby armator przystał na moje propozycje.

Wiedział, że go słucham, tak samo jak wiedział, że mu nie odpowiem. Zrobił ostatnią pauzę, w tle rozbrzmiały delikatne dźwięki pianina, może i nie kłamał, mówiąc, że jest w Palace.

– Sama będziesz wiedziała, jak to załatwić, Siro. Umykają mi jeszcze twoje gierki z tymi ludźmi, nie wiem, czy zjednujesz ich, udając naiwną, czy idziesz z nimi do łóżka. Nie obchodzi mnie to, dobrze wiesz, czego potrzebuję. I albo będziesz ze mną współpracować, albo znajdę sposób, żeby poinformować kogo trzeba, że rzekoma reporterka BBC, którą traktują z takim szacunkiem, ta, która pokazuje się z oficjelami i we wszystko wtyka swój nos, jest zwykłą oszustką.

Dwa dni później po raz kolejny przypominałam sobie tę rozmowę telefoniczną, patrząc na scenę w ogrodach Montjuic pełną postaci stworzonych przez Shakespeare'a. Od tamtej pory nie miałam od Ramira żadnych wieści; nie wiedziałam, czy wciąż jest w Madrycie, czy może już w Barcelonie, tak jak ja, w oczekiwaniu na swoje spotkanie z armatorem. Kiedy po spektaklu rozbrzmiał aplauz i publiczność wstała, dwie niewiadome nie dawały mi spokoju. Jedna: gdzie jest Ramiro, a wraz z nim order. Druga: gdzie, do diabła, podział się Alberto Dodero.

Sądziłam, że armatora spotkam tutaj, podczas uroczystości zaplanowanych na ostatnie dni podróży. Ale nie – nie zjawił się. Pierwszą damę eskortowali brat bumelant, nieodłączna towarzysząca, ambasador, na którego się powoływałam u jubilera, i wiele innych osób. Dodero nie pokazał się w ciągu tych pierwszych uroczystości w Barcelonie, podczas których – ku uciechu publiczności – Evita znowu miała zrobioną zbyt kłódną fryzurę w stylu wedety, włożyła sukienkę z białej lamy, biżuterię kaskadową i szal z gronostajów sięgający prawie do ziemi. Nie miała przypiętego odznaczenia, które nadał jej caudillo; gorzej, gdyby to była pożegnalna kolacja z Franco

jako gospodarzem. Wtedy, ostatniego dnia wizyty, owszem, byłby kłopot, gdyby go na sobie nie miała.

Zakwaterowano nas w hotelu Majestic przy alei Gracia: dla zagranicznych dziennikarzy jak zawsze najwyższa jakość i luksusy. Zostało nas zaledwie troje czy czworo z grupy, która była obecna na pierwszym spotkaniu w Klubie Prasowym przy ulicy Pınara, ale do etapu barcelońskiego, będącego trampoliną do kolejnych krajów Europy, dołączyło wielu innych. Przystojny reporter z „Il Giornale d’Italia”, bardzo szczupły pan z francuskiej agencji Havas, dziennikarz z Pathé News i trzech czy czterech innych, których przynależność niezbyt mnie interesowała. Na głowie miałam inne problemy.

Pomimo nocnego spektaklu obudziłam się wcześniej. W pierwszej kolejności skontaktowałam się z recepcją i zapytałam, czy ktoś zostawił dla mnie jakąś wiadomość.

– Nie, nikt, pani Nash.

– A pan Alberto Doderó? Czy w ciągu ostatnich godzin zameldował się może Argentyńczyk o nazwisku Alberto Doderó?

– Też nie, pani Nash.

Po kilku minutach zadzwonił telefon. Odebrałam pospiesznie, myśląc, że może pracownik popełnił błąd i jednak było coś dla mnie. Albo że przyjechał armator.

– Livia? Dzień dobry, mówi Diego Tovar. Dzwonię, żeby ci przekazać, że dzisiejszy program przedpołudniowy został odwołany. Później spróbują przestawić te spotkania. Pani Perón jest wykończona, lepiej, żeby odpoczęła. Na dzisiejsze popołudnie i wieczór też przewidziano bogaty plan.

Kiedy mu dziękowałam, nie wiedziałam, czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo mi ulżyło. Do diabła z wizytą na targach, z wiwatami, hymnami, bieganiną. Chciałam się już pożegnać, kiedy mi przerwał.

– Trochę wolnego czasu to luksus podczas tej podróży. Znasz Barcelonę? Może wybierzemy się na przejażdżkę i ci ją pokażę?

Wahałam się. Pierwszy raz byłam w tym mieście, a pomysł na wolne przedpołudnie brzmiał kusząco. Ale nie, nie mogłam się rozpraszać. Chociaż nie powinnam była odmawiać, zwłaszcza po

moim nagłym wyjeździe kilka dni wcześniej. Nie mogąc się zdecydować, wysunęłam kontrpropozycję.

– A może lepiej zjemy razem obiad? Chciałabym wykorzystać tę niespodziewaną wolną chwilę, żeby popracować.

Gdybym była prawdziwą reporterką, tak właśnie bym zrobiła. A jako że byłam tylko oszustką, zajęłam się moimi sprawami. Zeszłam do wielkiego holu i odszukałam centralę telefoniczną. Pamiętałam, że w Alhambra Palace telefonistki potraktowały mnie ze szczególną uprzejmością, ufałam więc, że podobnie będzie i teraz. Proporcjonalnie do wielkości hotelu i rytmu miasta zamiast dwóch pracowniczek obsługujących linie zastałam ich pięć.

Dłużej mi zajęło, żeby je omamić, początkowo nie były tak uprzejme i uczynne jak tamte w Granadzie. Przez chwilę nawet się bałam, że nie da się ich łatwo oszukać. Barcelona to w końcu duże miasto, gdzie wiele się działo, a Majestic przyjmował nie tylko zrelaksowanych turystów, lecz także podróżnych wszelkiej maści z ich licznymi sprawami i problemami. Nie, tutaj na nic by mi się zdało udawanie uroczej, roztrzepanej młodej żony dojrzałego milionera. Nie pozostało mi nic innego, jak odegrać inną rolę, znowu naśladowując argentyński akcent. Z poważnym, nieomal surowym wyrazem twarzy, wspomniałam o Biurze Informacji Dyplomatycznej, Republice Argentyny, madame Perón i jej napiętym programie wizyty, o mała nie wrzuciłam do tego worka Gwiazdy Porannej, choć sama nie przedstawiłam się jak należy. W każdym razie ostatecznie wzięły mnie za kogoś zajmującego ważne kierownicze stanowisko i osiągnęłam swój cel.

– Czego pani zatem dokładnie potrzebuje?

– Możliwie najszybciej zlokalizować don Alberta Dodero. Proszę zacząć od Palacio de Pedralbes, a potem pytać we wszystkich pięciogwiazdkowych hotelach w mieście, a nawet w tych czterogwiazdkowych. Proszę przy tym o maksymalną dyskrecję. I proszę o kontakt ze mną w moim pokoju, gdy tylko...

Moje lewe ucho wyłapało coś w locie i nagle umilkłam. Siedząca przed swoimi wtyczkami na ostatnim miejscu, jedna z najmłodszych telefonistek, wypowiedziała właśnie magnetyczne zdanie.

– Już łączę z panem Duarte.

Zrobiłam w jej stronę dwa kroki i wzmocniłam władczy wygląd, nawet uniosłam palec wskazujący, żeby podkreślić swoje słowa. Nie wiedziałam, kto do niego dzwoni ani po co, ale byłam gotowa się tego dowiedzieć.

– Jeśli don Juan nie odbierze, proszę próbować do skutku.

Zgodziła się posłusznie. Aż zdołała wyciągnąć Juancita z łóżka, z wanny czy Bóg jeden wie skąd.

– Dzień dobry, panie Duarte. Będzie rozmowa międzynarodowa. Łączę z ambasadorem Republiki Argentyny w Londynie.

Nie wiem, skąd wytrzasnęłam bezczelność albo odwagę, ale gdy tylko rozpoczęła się rozmowa, ja miałam już na uszach słuchawki tej dziewczyny.

Oczywiście wszystkiego się dowiedziałam. Zanotowałam nawet kilka informacji w zeszycie, telefonistka podsunęła mi ołówek, kiedy ją o niego poprosiłam, kreśląc bazgroły w powietrzu.

Nie miałam żadnych nowych wiadomości dotyczących podróży madame Perón do Londynu, odkąd krawcowe powiedziały mi o przewidzianych na tę okazję kreacjach i odkąd ona sama wspomniała na pokładzie samolotu lecącego do Granady o wyczekiwanym zaproszeniu. Od czasu do czasu szpile poczucia winy wbijały mi się w sumienie: wobec braku informacji być może sama powinnam być bardziej dociekliwa, otworzyć nowe kanały, żeby się dowiedzieć, jak się sprawy mają. Ale ostatnie dni były tak burzliwe i intensywne, że nie miałam możliwości, by się tym zająć.

– Przede wszystkim proszę pozwolić, że z wyprzedzeniem złożę panu życzenia imieninowe.

Mimo zakłóceń na linii telefonicznej rozpoznałam dojrzały i rozsądny głos.

– Cała misja dyplomatyczna w Londynie życzy panu radosnego jutrzejszego dnia, to samo prześlemy także naszemu prezydentowi.

Faktycznie, był dwudziesty trzeci czerwca, wigilia Świętego Jana, kiedy to imieniny obchodzą Juan Domingo Perón i sam Juan Duarte. To dlatego ambasador Ricardo Labougle składał mu życzenia z wyprzedzeniem.

– Postanowiliśmy się z panem skontaktować – ciągnął – żeby przedstawić pewne informacje z prośbą o przekazanie ich pani Perón.

Ambasador był sprytny. Sprytny i przezorny. To, co zamierzał właśnie przekazać, z całą pewnością nie było przyjemne. A spodziewając się wybuchu złości Evity, wolał wykorzystać pośrednika w roli muru obronnego.

– Jeżeli madame ostatecznie postanowi włączyć Zjednoczone Królestwo do swojej podróży – wyjaśnił dyplomata – brytyjski rząd zamierza przyjąć ją zgodnie z etykietą należną żonie prezydenta zaprzyjaźnionego państwa. Wizyta jednakże, i to jest niemal pewne, w żadnym razie nie miałyby charakteru oficjalnego.

W głosie Juancita brzmiało niezadowolenie:

– I co to znaczy, panie Labougle? Że król i królowa ostatecznie jej nie zaproszą?

– Obawiam się, że tak właśnie będzie, proszę pana. Rząd Jego Królewskiej Mości uważa za stosowne, żeby ani król, ani królowa, ani premier w żadnym razie nie wystosowywali zaproszenia o charakterze oficjalnym. Jeżeli pani Perón nadal pragnie przyjechać, proponują, żeby została przyjęta jedynie ze zwykłą uprzejmością, z jaką podejmuje się szanownych zagranicznych gości. Ułożony zostałby dla niej plan wizyty, ale o stonowanym charakterze, niemal prywatnym. Żona pana premiera Attlee mogłaby jednak zaprosić ją na herbatę...

– Dokąd? Do pałacu Buckingham?

– Z przykrością informuję, proszę pana, że taka opcja nie byłaby możliwa. Buckingham Palace to oficjalna rezydencja monarchów; tam przyjmują wyłącznie król i królowa, a niebawem i tak zamierzają wyjechać do zamku Balmoral w Szkocji, żeby spędzić tam lato. W dniach zaproponowanych przez panią Perón nie będzie ich nawet w Londynie.

Suchy trzask zadudnił w moim uchu: wywołał go Juan Duarte, który z niezadowoleniem mlasnął językiem.

– Mówi pan, że król i królowa zamierzają pojechać na wakacje, kiedy przyjedzie tam moja siostra? Czy ci Anglicy nie wiedzą, że tutaj, w Hiszpanii, jest przyjmowana tak, jakby była księżniczką?

– Właśnie dlatego, proszę pana. Z całym szacunkiem dla jej gospodarza, generała Franco, w Londynie nie są zainteresowani robieniem niczego, co przypominałoby zachowanie hiszpańskiego rządu.

Zafascynowała mnie cierpliwa postawa ambasadora, umiarkowana uprzejmość, z jaką urzędnik jego rangi traktował takiego plebejusza jak Juancito, który za sprawą zwykłego rodzinnego kopniaka znalazł



się na szczycie piramidy. Mimo to ambasador wolał zмагаć się z nim, a nie z nią; wolał sto replik Juana Duarte niż zmierzyć się z furią pierwszej damy.

– Mówi pan poważnie, doktorze? Jak ja mam teraz wyjaśnić Evie, że nie chcą jej przyjąć tak, jak na to zasługuje? Wyobraża pan sobie, co się tu może dziać? Proszę mi tego nie robić, panie ambasadorze; proszę mi powiedzieć, że jest jeszcze szansa, że da się ich przekonać, aby przyjęli ją król i królowa... Albo przynajmniej rząd w pełnym składzie. Proszę domagać się negocjacji w sprawie zakupu samolotów i statków, które im się już nie przydadzą; proszę ich popędzić z przedłużeniem umowy na mięso... Co oni sobie myślą?

Podnosił ton, był wyraźnie wzburzony. Jego rozmówca natomiast stoicko zachowywał milczenie.

– Prawie połowę mięsa, które ci głodujący ludzie jedli podczas wojny, dostawali od nas! Czyżby o tym zapomnieli? Naprawdę, doktorze, trzeba uzmysłwić tym głupcom, z kim mają do czynienia. W przeciwnym razie tutaj wybuchnie awantura, a jeśli do niej dojdzie, ucierpimy na tym wszyscy...

Na linii rozległy się piknięcia i trzaski, telefonistki nadal operowały swoimi wtyczkami i przekazywały informacje, podczas gdy ja ze słuchawkami na uszach byłam zaabsorbowana rozmową, wstrzymując oddech.

– Szanując pańskie stanowisko, panie Duarte, czuję się w obowiązku prosić, by przekazał pan madame Perón, że konieczne jest jak najszybsze podanie do wiadomości publicznej ostatecznej decyzji. Brytyjska prasa nieustannie publikuje spekulacje, a wiarygodność narodu argentyńskiego jest poważnie naruszana. Jeżeli mogę coś zasugerować, zarówno minister spraw zagranicznych Bramuglia, jak i ja, a nawet sam prezydent, uważamy, że dla naszych stosunków bilateralnych lepsza byłaby tego typu prywatna wizyta niż żadna.

Juancito milczał przez kilka chwil, wyglądało na to, że się zastanawia.

– Żona premiera Attlee, lady Violet – ciągnął tamten – to dojrzała i wspaniała dama. Zawsze była wielkim oparciem dla swojego męża, podobnie jak doña Eva jest wsparciem dla naszego prezydenta.

W czasie wielkiej wojny była pielęgniarką, wykonała znakomitą pracę dla Czerwonego Krzyża i...

Juan Duarte przerwał mu dość nieprzyjemnym tonem.

– Chyba się nie rozumiemy, panie ambasadorze. Czy naprawdę pan sądzi, że doña María Eva Duarte de Perón, żona, specjalna i osobista wysłanniczka Jego Ekscelencji pana prezydenta narodu argentyńskiego, zadowolili się tym, że w Londynie przyjmie ją ni mniej, ni więcej, tylko stara, gruba baba, żeby pójść na spacer, napić się herbaty i zjeść ciasteczka?

Heroiczny ambasador nie ustąpił.

– Pan pozwoli, że wyjaśnię...

Jednakże były przedstawiciel wytwórcy mydeł Guereño, który został prezydenckim sekretarzem, miał już dosyć.

– Ani słowa więcej. Przekażę tę informację pani Perón, ponieważ pan mnie o to prosi, ale musi pan wiedzieć, że w pańskim najlepszym interesie leży naciskanie na Anglików. Albo przyjmą ją należycie, z największymi honorami i szastając pieniędzmi na prawo i lewo, tak jak jest tu w Hiszpanii, albo nie jedziemy wcale. Zostawiam to panu, doktorze Labougle, sam pan zdecyduje, co zrobi...

Połączenie zostało gwałtownie przerwane, zdjęłam słuchawki i podałam je młodej dziewczynie, mamrocząc skromne „dziękuję”. Ciekawie było się dowiedzieć, jak obie strony podchodzą do sprawy londyńskiej, naprawdę ciekawie. Przy telefonistkach nie okazałam jednak niczego.

– Jakież wieści na temat pana Dodera?

– Jeszcze żadnych, proszę pani. Na razie potwierdziłyśmy, że nie jest zameldowany w Palacio de Pedralbes ani w hotelu Ritz przy alei José Antonio. Próbujemy dalej, będziemy panią informować.

Dyskretnie wymknęłam się na ulicę, w sąsiedniej piekarni powiedziano mi, gdzie znajdę najbliższą budkę telefoniczną. Podczas gdy zwinne telefonistki nadal szukały magnata w luksusowych hotelach, ja postanowiłam znaleźć Ramira w innego typu obiektach, przekonana, że nie mógł wybrać żadnego znanego hotelu, jeśli chciał pozostać niezauważony. Zamknięta w kabinie, siedząc na taborecie z książką telefoniczną na udach, szybko się poddałam: to

było zadanie niewykonalne. Barcelona oferowała setki miejsc noclegowych średniej kategorii: hotele, hostele, domy wycieczkowe, zajazdy, pensjonaty. Trafić na niego było tak samo trudno, jak znaleźć jedną z moich igieł w ogromnym stogu siana, a czas działał na moją niekorzyść. W każdym razie już on znajdzie sposób, by mnie zlokalizować, tak jak zawsze.

Wróciłam do Majestic, zajrzałam do centrali – nic. Nigdzie ani śladu Dodera, przekazały mi telefonistki. W głowie miałam jeszcze rozmowę Juana Duarte, kiedy rozważałam możliwość, żeby to jego zapytać o armatora, jego imprezowego towarzysza. Próbowałam właśnie wymyślić jakąś absurdalną historyjkę, by się do niego dostać, kiedy usłyszałam za plecami jakieś niecodzienne poruszenie.

Gwiazdy ustawiły się chyba w jednej linii, bo gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że mężczyzna, o którym myślałam, pewnym krokiem przecinał właśnie lobby, kierując się do wyjścia w swoim białym garniturze o diagonalnym splocie i kremowych mokasynach; ze swoim wąsikiem, wiadrami brylantyny we włosach i papierosem między palcami. Zwróciłam uwagę, że nie zachowywał się tak swobodnie jak wcześniej: odniosłam wrażenie, że zaciska usta i idzie sztywnym krokiem. Może ze względu na telefon od ambasadora. Może dlatego, że został tylko jeden dzień do wyjazdu, a sprawa tego, co sam zgubił w Granadzie, wciąż nie została rozwiązana.

Otaczali go ludzie z ambasady i konsulatu, lokalni dziennikarze, korespondenci i fotografowie, paru przedstawiciele władz i sporo ciekawskich – wszyscy niczym mały rój pospiesznym krokiem kierowali się do drzwi.

Zobaczywszy mnie, Diego Tovar oderwał się od grupy.

– Dzwoniłem do twojego pokoju, ale nie odbierałaś.

Zmarszczyłam czoło, zdezorientowana.

– Zmiana planów, wznawiamy zajęcia, niespodziewane polecenie pani Perón. Wychodzimy w tej chwili, właśnie nas powiadomiono. – Ściszył głos, przysunął się bliżej. – Sto razy bardziej wolałbym zjeść z tobą obiad, ale obowiązki wzywają. – Musnął mój łokieć. – Idziemy?

Nie mogłam nawet wrócić do pokoju, żeby się przebrać, wziąć notatnik czy zmyć z twarzy rozczarowanie. W ciągu minuty

siedziałam już na tylnym siedzeniu jednego z samochodów razem z dwoma zagranicznymi kolegami, którzy dopiero co dołączyli do tego cyrku.

Niezmordowany tłum, obojętny na spóźnienia, palące słońce czy zapowiedzi odwołania spotkań, od rana czekał w pobliżu Pałacu Narodowego Montjuic. Przed okazałą klasycystyczną fasadą na kilkudziesięciu masztach powiewały wielkie flagi obu krajów. Burmistrz, gubernatorzy, przewodniczący Rady Prowincji i niekończący się szereg osób zajmujących ważne stanowiska – oczywiście sami mężczyźni – czekali na pierwszą damę.

Przybyła w towarzystwie ministra pracy; miała na sobie sukienkę z szerokim dekoltem i słomiany kapelusz wielkości parasola. Z kolejnego samochodu wysiedli doña Carmen Polo i szef ministerstwa przemysłu.

Owacja, jaką otrzymała Eva Perón po wejściu do imponującej Sali Zgromadzeń, była ogłuszająca. Publiczność tłoczyła się w rzędach siedzeń, w przejściach i na schodach, przyciśnięta do ścian, zajmując każde wolne miejsce. Panował nieznośny upał, lecz wszyscy pragnęli jej posłuchać, zobaczyć ją, być blisko. Zanim rozpoczęła się uroczystość, chór opalonych argentyńskich marynarzy wykonał hymn odległej ojczyzny. Przez widownię przebiegł entuzjastyczny szept: ich statek był zacumowany w porcie, przyplłynął dwa dni wcześniej, załadowany pszenicą po brzegi.

Następnie wygłaszano kolejne przemówienia i wreszcie głos zabrała doña Eva. Oprócz tego, że zwracała się do zebranych, jej słowa były też transmitowane przez Radio Nacional, dlatego kierowała je do całego narodu:

– W Hiszpanii zostawiam część mojego serca. Zostawiam je dla was, madryccy robotnicy, sewilskie wytwórczynie cygar, rolnicy, rybacy, pracownicy z Katalonii, z całego kraju. Zostawiam je wam. Ten braterski most, który zainaugurowałam moją wizytą na tej ziemi pracy, nie zostanie zerwany. Niech wszyscy hiszpańscy robotnicy wiedzą, że jeśli na naszych polach zostanie ostatni kłos pszenicy, tym kłosem podzielimy się z nimi w geście chrześcijańskiej solidarności, pokoju i sprawiedliwości społecznej.

Rozległy się gromkie brawa; kiedy jeszcze rozbrzmiewały, przypomniałam sobie piękną Mery de Foxá i jej prorocze słowa. My wszyscy, którzy zapełniliśmy to audytorium, odejdziemy z tego świata, nie zostawiając na nim prawie żadnego śladu. Natomiast kobieta, która z werwą przemawiała ze sceny, ta dwudziestokilkuletnia tleniona blondynka, która mówiła i robiła to, co płynęło jej prosto z duszy, pozostawi w historii wyraźny ślad.

**T**rzaskały fajerwerki, strzelały petardy, race wyrzucały w niebo smugi jasnego światła. Przy skrzyżowaniach ulic rozpalono ogniska, zewsząd płynęły muzyka, zabawa, rzeki ludzi. Noc Świętego Jana, *la nit de Sant Joan*, noc ulicznych imprez.

Ludzie wciąż jeszcze byli wyniszczeni biedą, represjami, ograniczeniami i dobrze pamiętali niedawną wojnę, ale każda dzielnica, każda zbiorowość robiła wszystko, żeby świętować tę noc z radością. Sąsiedzi wychodzili, żeby popatrzeć na tańczące płomienie, dzieci i nastolatki bez strachu przeskakiwali przez ogniska, a pary przytulały się przy dźwiękach ulicznych orkiestr. Barcelona świętowała letnie przesilenie i zagłębiała się w noc, zamienioną w ogromną fiestę.

W Real Club de Tennis zorganizowano najbardziej wytworne przyjęcie. Przedstawiciele arystokracji i klasy średniej zgromadzili się na tym przestronnym terenie przy ulicy Ganduxer: elegancy mieszkańcy, którzy podczas wojny domowej żyli trzymani za gardło w czerwonej Barcelonie, a po jej zakończeniu z entuzjazmem powitali zwycięski reżim, w czasie wojny światowej byli zagorzałymi germanofilami, a teraz słowem nie odzywali się po katalońsku, nawet po to, by składać fałszywe przysięgi.

Kiedy weszliśmy, orkiestra grała żwawo, setki par tańczyły na ogromnym parkiecie, w jaki zamieniono korty tenisowe. Cały teren oświetlały rzędy lampionów i kolorowych żarówek; wszędzie wisały girlandy oraz papierowe łańcuchy, serpentyny, chorągiewki. Najbardziej wpływowi i szanowani goście jedli kolację i spoglądali na parkiet z centralnych łóż. Nas poprowadzono do jednej z nich: znajdowała się względnie blisko łoża honorowej, jeszcze pustej o tej porze. Nasza grupa składała się z kilku zagranicznych reporterów jak zawsze pod wodzą Diega Tovarą. On, w smokingu z białą marynarką,

tłumaczył właśnie po angielsku dziennikarzowi „Daily Telegraph”, co oznacza ta noc dla Barcelony i wielu miasteczek położonych nad wybrzeżem Morza Śródziemnego.

Miałam już usiąść w najdalszym kącie łoża, kiedy Diego, sprawny i uważny, mimo że wciąż prowadził rozmowę z Brytyjczykiem, zdołał posadzić mnie na bardziej uprzywilejowanym miejscu. Kelnerzy z Ritza, którzy obsługiwali bankiet, przynieśli nam koktajle i szampan Perelada, lekkie przekąski, coca de San Juan, napoje z lodem. Popijając małymi łykami z kieliszka, unikałam rozmowy z kimkolwiek; znowu skupiona na swoich zmartwieniach, udawałam, że obserwuję gwarną fiestę. Otaczały nas doskonale skrojone smokingi i suknie z cudownych tkanin z butik Santa Eulalia, piękne kreacje słynnych katalońskich firm – Asunción Bastida i Pedro Rodríguez, Pertegaz i El Dique Flotante. Młodzi i nie tak młodzi rozmawiali bez troski pod pergolami, śmiali się w grupkach, wirowali pod gwiazdami przy dźwiękach orkiestry. „Jacy szczęśliwi będziemy oboje i jakie słodkie będą nasze pocałunki...”, śpiewał do mikrofonu Jorge Sepúlveda. Korespondenci, którzy dopiero co przyjechali, marszczyli czoła, zastanawiając się, co, do diaska, oznacza ten cały splendor, czy to jest prawdziwy obraz hiszpańskiej rzeczywistości, czy tylko wysepka dobrobytu na wielkim ołowianym oceanie powojnia. Z zainstalowanych na całym terenie głośników wciąż płynął aksamitny głos piosenkarza: „Spędzimy noc w blasku księżycy, żyjąc w moim papierowym domku...”.

Po chwili zrobiło się jakieś zamieszanie, twarze i ciała zaczęły się odwracać w stronę wejścia; były nerwy i krzątanie, tańczące pary zwolniły rytm, muzyka słabła, aż całkiem ucichła, podczas gdy brawa stawały się coraz mocniejsze, zamieniając się w gromki aplauz. Głośny i kolorowy rozbłysk fajerwerków spryskał niebo. Na miejscu pojawiły się najważniejsze tego wieczoru kobiety: żona caudilla i argentyńska pierwsza dama właśnie przyjechały do Real Club de Tennis.

Dodero – to była moja pierwsza myśl. Pomimo mojej małej wiary nawet pomodliłam się do nieba. Na miłość boską, żeby z nią przyjechał. Ale nie – nie zjawił się. Niespokojnym wzrokiem szukałam go wśród tej samej co zawsze świty, lecz nie było ani śladu

armatora. W towarzystwie hrabiego de Godó, ministra spraw zagranicznych i wielu innych dostojniczki przeszły przed naszą lożą w stronę swojej – szerszej, znajdującej się wyżej, udekorowanej gobelinami, flagami i mnóstwem kwiatów. Granatowy strój doñi Carmen kontrastował z przesadną ilością koronek i cekinów Evy Duarte; na ramiona, jak zwykle, obie miały zarzucone wystawne futra. Również w Barcelonie nikt nie miał odwagi powiedzieć Argentynce, że norki i gronostaje pasują do tej krótkiej imprezowej nocy nad Morzem Śródziemnym jak pięść do nosa. Gorzej nawet: nie tylko nikt nie śmiał uświadomić jej tego nonsensownego wyboru, lecz także – podobnie jak w Madrycie – okazało się, że liczne kobiety, które właśnie wstawały, by się z nią przywitać, wygrzebały z dna swoich szaf zimowe futra, otrzepały je z naftaliny i teraz naśladowały madame Perón.

Za nimi zobaczyłam idącą Lillian Lagomarsino, nieodłączną towarzyszkę. W przeciwieństwie do imponujących futer, jakie włożyły żony prominentów, ona miała na sobie jedynie krótką kamizelkę z soboli. Obserwowałam ją, podczas gdy wokół nadal rozlegały się huk petard, owacje i wivaty; podziwiałam jej drugoplanową rolę w tej niesłychanej farsie, jej powściągliwe zachowanie, trzymanie się zawsze trzy kroki z tyłu, ostrożnie, dyskretnie.

Wciąż patrzyłam, jak oddala się plecami do mnie, kiedy nagle dostrzegłam coś dziwnego w jej sukience z gipiury, jakby coś opadło albo się poluzowało. Wyteżyłam wzrok i dopiero wtedy zobaczyłam, o co chodzi: z powodu przydepnięcia, jakiegoś pociągnięcia w tłoku albo niefortunnego zaczepienia o coś jej spódnica obluzowała się na tylnej części bioder, grożąc odsłonięciem bielizny albo niestosownej części ciała, czego ona nie była świadoma. Zareagowałam instynktownie. Podczas gdy brawa nie milkły, odstawiłam kieliszek na stolik i opuściłam swoje miejsce.

Zdołałam ją zatrzymać tuż przed tym, jak miała wejść do loży, jak zwykle z tyłu za główną bohaterką wieczoru. Odwróciła się, a gdy mnie rozpoznała, uśmiechnęła się, nie otwierając ust. Musiała być mniej więcej w moim wieku, miała gęste brwi, duży nos; nie była ładna, ale emanowała czymś przyjemnym.



– Jest problem z pani spódnicą – wyszeptałam jej na ucho. – Coś się oderwało. Jeśli pani pozwoli, chyba mogę temu zaradzić.

Nigdy przedtem dłużej nie rozmawiałyśmy, ale byłyśmy razem w tej podróży już od wielu dni i musiała nabrać do mnie trochę zaufania. Ukradkiem odeszłyśmy na bok do kamiennej ławki w pobliżu ogrodu. Można to uznać za skrzywienie zawodowe albo zwykłą zapobiegliwość, ale jak zwykle miałam przy sobie w torebce mój mały przybornik krawiecki, a w nim akurat wszystko, by przyjść jej z pomocą.

Ona wciąż stała, ja usiadłam na ławce za jej plecami. W żółtawym świetle lampionu udało mi się znaleźć feler i ją uspokoiłam, zapewniając, że mogę to naprawić.

– Co za szczęście, że oprócz tego, że jest pani dziennikarką, ma też pani dłonie krawcowej.

Obie się roześmiałyśmy, ona szczerze, ja szelmowsko. Nawet sobie nie wyobrażała, ile prawdy było w jej żarcie.

– Chociaż to nic dziwnego – dodała, odwracając głowę do tyłu – skoro ubiera się pani w tak dobrym guście.

Wymamrotałam ledwo słyszalne „dziękuję”, skoncentrowana na mojej pracy.

– Razem z panią Perón rozmawiałyśmy o tym nie raz, sama pani widziała, jak komplementowała pani kostium w samolocie do Granady. Kiedy tylko mogę, powtarzam jej, oczywiście z szacunkiem, żeby brała przykład z pani i z pani garderoby, a nawet z pani sposobu czesania, z umiarem, w niskim koku. Uważam, że taki styl jak pani, eleganckiej, czynnej zawodowo kobiety, bardzo by jej pasował. Nawet sam don Alberto kiedyś jej o tym wspominał...

Nagle przestałam szyć. Don Alberto, powiedziała. Don Alberto Doderó. Staralam się, żeby mój ton zabrzmiał lekko, jakbym mówiła od niechcienia:

– A właśnie, nie widziałam go od kilku dni. Zdziwiłam się, że nie przyjechał do Barcelony.

– Och, tak, oczywiście, że przyjechał.

Kończyłam już zszywać rozdarcie, a palce, w których trzymałam igłę, zastygły mi w powietrzu. Chciałam powstrzymać moje słowa, lecz wyszły mimowolnie.

– A gdzie przebywa, że nigdzie go nie widać?

– Odpoczywa na swoim statku, tym handlowym, którzy przyplłynął dwa dni temu z jedną z pierwszych dostaw pszenicy. Widziała pani marynarzy, którzy śpiewali dziś hymn w Pałacu Narodowym? To załoga, nie są zawodowym chórem, ale miło było ich posłuchać, nie sądzi pani?

Pytania cisnęły mi się na usta, zdołałam się jednak powstrzymać. Spokojnie, Siro. Powoli. Ta kobieta to chodząca dyskrecja, nie przeciągaj za bardzo struny. Na szczęście wciąż siedziałam za jej plecami, więc nie mogła mnie widzieć.

– Owszem, bardzo miło. Ale proszę mi powiedzieć, czy don Alberto czuje się dobrze, czy wszystko z nim w porządku?

– Cóż, jest już w pewnym wieku i uskarża się na różne dolegliwości, a poza tym spoczywa na nim odpowiedzialność, żeby wszystko podczas tej podróży przebiegało jak należy. Przypuszczam, że nadmierne wymagania i upał dały mu się we znaki, bo ostatnio w Madrycie, kiedy był w basenie, doznał omdlenia.

Dziewico Przenajświętsza. Dodero doznał omdlenia w basenie, na który sama go wysłałam. Diabelskie słońce i wysoka temperatura prawdopodobnie w połączeniu z alkoholem i wiekiem splątały mu takiego samego figła co Phillipie, tyle że argentyński magnat był już po sześćdziesiątce, a *nanny* miała zaledwie dwadzieścia kilka lat.

Parę razy pociągnęłam za materiał sukienki, żeby myślała, że nadal pracuję. Było już prawie gotowe, ale potrzebowałam zatrzymać ją jeszcze na kilka chwil.

– I jest już całkiem zdrowy czy jeszcze...

– Czuje się dobrze – odparła miękko. – Lekarz, który nam towarzyszy, przyjechał z nim z Madrytu do Barcelony. Wolał usunąć się na bok i dojść do siebie na swoim statku, w kajucie kapitana, otoczony swoimi ludźmi. Sama pani wie, że w hotelach raczej trudno zachować dyskrecję.

Wciąż znajdowałyśmy się przy bocznej ławce, pod przyćmionym światłem i drzewami, otoczone donicami z hortensjami. Orkiestra i piosenkarz wrócili do grania i śpiewania. Jeszcze raz pociągnęłam za materiał i powiedziałam:

– Gotowe.

Wstałam i stanęłam obok niej, ona się uśmiechnęła i serdecznie mi podziękowała.

Ale to ja byłam jej wdzięczna, niezmiernie wdzięczna. Nawet sobie nie wyobrażała, jak wielką przysługę zrobiła mi Lillian Lagomarsino de Guardo – wykształcona dziewczyna z dobrego domu z dzielnicy Palermo Chico, absolwentka Le Cordon Bleu i żona przewodniczącego Izby Deputowanych, wyklęta przez ludzi z własnej klasy społecznej, gdy wraz z mężem przyjęła peronizm. Matka rodziny, z przymusu towarzyszyła madame Perón podczas tej burzliwej podróży po Europie, jak nikt inny znająca jej słabości, powierniczka jej nocnych obaw, świadek, a niekiedy ofiara jej ekscesów, podejrzeń i nieufności, masażystka jej opuchniętych kostek i autorka listów, które Evita kopiowała i wysyłała do prezydenta. Dobra wróżka, która nieświadomie rzuciła promień światła na ciemność tej nocy. Nigdy nie została prawdziwą przyjaciółką Evy Perón, a jedynie stoicką towarzyszką, która miała spaść wraz ze swoim mężem ze stromego klifu jak wielu innych – wiadomo bowiem, jaki los spotyka polityków, którzy przestają być potrzebni. Jednakże, jako że była szlachetna, pozostawała wierna Evicie przez cały ten czas, jaki z nią dzieliła, i tak też miała napisać w swoich wspomnieniach wiele dziesięcioleci później.

Odprowadziłam ją do jej łóży i właśnie w tym momencie goście zaczęli wstawać ze swoich miejsc. Wizyta w Real Club de Tennis była bardzo krótka, niczym ulotny, lecz wymowny prezent, żeby pokazać wdzięczność reżimu dla tych wszystkich znamienitych katalońskich rodzin, wiernych nacjonalistom niezależnie od ponoszonych kosztów.

– Jeśli będzie pani miała okazję, proszę przekazać ode mnie pozdrowienia don Albertowi – powiedziałam na pożegnanie.

Z pewnością miałyśmy nadal uczestniczyć w wieczornym programie wizyty, ale każda szła w swoją stronę, bez możliwości dalszej rozmowy. Szybko podała mi rękę, wszyscy byli już gotowi do wyjścia. Kolej na następną imprezę na wolnym powietrzu, bardziej dostępną i mniej wykwinną, lecz nieuniknioną.

– Oczywiście, nie omieszkam. Tak się składa, że na jutro zaplanował obiad na cześć pani Perón na swoim statku Hornero.

Wróciłam do mojej loży, starając się ukryć euforię. Doderó się odnalazł, i to w dobrym stanie. Na swoim statku, w porcie. Jeśli dobrze to rozegram, wszystko powinno się wyprostować; musiałam działać zręcznie i ostrożnie. Na razie główny element układanki był na swoim miejscu i gra mogła się rozpocząć.

Zaskoczyło mnie, że nasza grupa dalej bawiła się w najlepsze, nie wstając, by podążać za argentyńską świtą.

– Nie idziemy? – zapytałam zdziwiona.

Diego Tovar pokręcił głową.

– Na dzisiaj koniec zajęć. – Wskazał nowych korespondentów, unosząc ironicznie brew. Rozmawiali ze sobą odprężeni, dołączyło do nich też dwóch dziennikarzy „La Vanguardii”. – Wolą tu zostać.

Krew pulsowała mi w żyłach. Doderó się znalazł, powtarzałam sobie w myślach. Wreszcie wszystko miało się skończyć. Podeszłam do Diega, wyglądał ładnie w swojej białej marynarce. Przysunęłam rękę do jego ręki i delikatnie wyjęłam z niej szklankę whisky.

– Zatańczymy?

Jeśli moja bezczelność go zaskoczyła, to absolutnie tego nie okazał. Nie, to nie było powszechne, że kobieta zaprasza mężczyznę do tańca, on jednak przyjął to z zadowoleniem. Koniec końców rzekomo byłam cudzoziemką, ekstrawagancją w tym środowisku znamienitych katalońskich rodzin, posiadających swoje łóże w Liceu, okazałe mieszkania w dzielnicy Ensanche, posiadłości w Pedralbes, Sarriá czy San Gervasio, dobrze prosperujące firmy i okazałe sumy w bankach. *Rara avis* – oto kim byłam na tym wykwinnym bankiecie, który wyznaczał początek lata, ucieczkę wszystkich tych rodzin do własnych domów przy plażach, opaleniznę, lody, lenistwo.

Pary sunęły w powolnym tempie bolera na zapełnionym parkiecie. Moje ciało dopasowało się do ciała Diega i zaczęliśmy płynąć. Ponad zwrotekami cikliwych tekstów, marakasów i dźwięków gitary nadal trzaskały fajerwerki, światła i ulotne race przecinały niebo. Chciałabym podzielić się z nim moją chwilą radości, wytchnieniem, jakie poczułam, namierzywszy wreszcie armatora. Chciałabym nawet go objąć, wyszeptać mu na ucho, że już niedługo pozbędę się moich obaw; koniec końców mężczyzna, z którym tańczyłam, choć nigdy nie wyjawiałam mu całej prawdy, był dla mnie w tych niepewnych

czasach jedyną osobą, która mogłaby stać się moim przyjacielem. Być może coś wyczuł, bo przycisnął mnie do siebie mocniej.

Skończyło się bolero, zaczęły rozbrzmiewać dźwięki kolejnego.

– Jeśli można...

Czyjś głos sprawił, że nagle przystanęliśmy.

– Czy byłaby to zbyt duża śmiałość z mojej strony, gdybym poprosił pana o możliwość tańca z panią?

Jakby zbuntowany rozbłysk oderwał się od fajerwerków i spadł na moją skórę, paląc mnie żywcem. Właśnie tak się poczułam. Przypalana, raniona, powstrzymywałam chęci, by krzyczeć w noc, kiedy Diego Tovar, ze swoją dyplomatyczną uprzejmością, wypuścił mnie z rąk i przekazał Ramirowi Arribasowi.

**P**oproś swoich ludzi, żeby działali ostrożnie. Jest sprytny i zuchwały. A jednocześnie przezorny, wyrachowany i czujny. Kiedy zdołacie ustalić, gdzie się zatrzymał, poszukajcie jego kosmetyczki i oderwijcie spód lewej strony, w środku znajdziecie Order Izabeli Katolickiej.

Ignacio, w swoim mieszkaniu w Madrycie, notował wszystko, co mówiłam mu po drugiej stronie linii telefonicznej. Wróciłam do mojego pokoju w Majestic, opuściwszy imprezę dość pośpiesznie; moją duszę nadal miażdżyły ostatnie obrazki tej nocy. Bezcelność Ramira, by wcisnąć się do Real Club de Tennis, jego zuchwałość, by poprosić Diega Tovara o odstąpienie mu partnerki do tańca; dziwne uczucie, gdy moja skóra znowu znalazła się tak blisko jego skóry; jego bezwstydnosc, by w ramach pożegnania, na oczach wszystkich i zaledwie kilka metrów od samego Diega, zostawić w moim uchu szept, a na ustach pocałunek.

– Przekaż ten opis temu, kto się będzie tym zajmował. Czterdzieści dwa lata, wygląd światowca, wysoki, przystojny. Przypuszczam, że będzie miał na sobie jasne spodnie i marynarkę, pewnie też krawat, bo wybiera się na ważne spotkanie. Gładkie i gęste ciemne włosy, uczesane z przedziałkiem na boku, kilka siwych nitek.

– Akcent hiszpański czy argentyński?

– Używa obu, w zależności od tego, jak mu pasuje.

– W porządku. Podaj mi jeszcze nazwisko. Albo nazwiska, jeśli posługuje się więcej niż jedną tożsamością, jak się wydaje.

Przełknęłam ślinę.

– Jedno to Román Altares; tego nazwiska musiał używać w ostatnich latach w Buenos Aires i ono prawdopodobnie figuruje w paszporcie, z którym wjechał i porusza się po Hiszpanii.

– Román Altares, dobrze. A drugie?

– Drugie...

Znowu próbowałam przełknąć ślinę, poczułam jednak, że mam zaciśnięte gardło, jak gdyby utknęła w nim gula flegmy.

– Drugie to Ramiro Arribas.

Jedenaście lat po moim odejściu, na samo wspomnienie o tym mężczyźnie, na Ignacia spłynęła gęsta cisza. Wahałam się, czyby czegoś nie dodać, być może jakieś wyjaśnienie, uzasadnienie, może przeprosiny za to, że znowu musi stawić czoło facetowi, który wyrócił mu życie do góry nogami, temu przystojnemu kierownikowi sklepu z maszynami Hispano Olivetti, któremu on naiwnie zaufał. Temu samemu, który jedną ręką sprzedał mu maszynę do pisania, a drugą, zdrajca, oderwał mnie od jego boku.

Ale Ignacio nie dał mi takiej możliwości. Przyjąwszy do wiadomości informację, odzyskał neutralny ton i powiedział po prostu:

– Zapisane.

– Doskonale. Ma do mnie zadzwonić o jedenastej rano, żebym podała mu informacje dotyczące spotkania. Dołożę wszelkich starań, żeby załatwić mu tę rozmowę z Doderem na dwunastą, najpóźniej na wpół do pierwszej, bo potem mają na statku obiad z panią Perón.

– Dobrze.

– Wcześniej zostawię ci powiadomienie ze szczegółami w centrali hotelu. Zapytaj o wiadomość na swoje nazwisko, będzie od...

– Od Livii Nash, w porządku.

Przez uchylone okno dotarł do mnie pojedynczy odgłos odległego wybuchu serii petard, okruchy jakiejś imprezy. Zanim się położyłam, przygotowałam wszystko na następny wczesny poranek, skromne i dyskretne ubranie.

Muszę porozmawiać z Diegiem, powtórzyłam sobie kolejny już raz, zasypiając. Wyjaśnić mu, kim jest Ramiro, uzasadnić jego wtargnięcie i zuchwałość. Albo nie, może najlepiej było milczeć. Ściśle rzecz biorąc, z Diegiem Tovarem nie łączyła mnie żadna silna więź, oprócz mojej rzekomej profesji, nie miałam więc obowiązku się przed nim tłumaczyć. Jednakże jego zachowanie wobec mnie wykraczało poza zwykłą uprzejmość względem dziennikarki, za

którą był odpowiedzialny. A ja nie powstrzymałam tej emocjonalnej bliskości, bo sama nie miałam pewności co do własnych uczuć.

Gdy zadzwonił budzik, zaczynało się powoli rozwidniać. Wstałam, umyłam się i ubrałam, nie robiąc hałasu. Nikt nie mógł mnie usłyszeć, byłam sama, ale od pewnego czasu nieustannie zachowywałam ostrożność. Przed wejściem do Majestic stał tylko jeden taksówkarz, w oczekiwaniu na jakiegoś podróżnika rannego ptaszka, który wybierał się na stację kolejową, a może na lotnisko El Prat. Albo do portu, tak jak ja.

– Słyszał pan, że w ostatnich dniach przyplłynął argentyński statek załadowany zbożem?

– Oczywiście, proszę pani – odparł taksówkarz z południowym akcentem, jeden z wielu emigrantów, którzy po wojnie zaczęli falami przybywać do bogatej Katalonii. – Przy Estación Marítima, podobno przywiózł dwa tysiące ton pszenicy, pszenicy Perony.

Wykrzywiłam usta w uśmiechu. Powiedział Perona, jak tamte dziewczynki z Sacromonte. Prości ludzie musieli tak nazywać Evę Perón, kobietę, która – jak mówiono – przemierzała Hiszpanię z hojną ręką.

– W takim razie proszę mnie tam zawieźć.

Ruszyliśmy piękną aleją Gracia. Chcąc się upewnić, że nikt nas nie śledzi, kilka razy wyjrzałam przez tylną szybę. Przemierzyliśmy las Ramblas, obserwowałam wszystko zachłannie, uważnie. Po latach wojny i surowego powojnia ta stara część miasta była brudna, nijaka i zaniedbana. Minęliśmy jakiegoś zamiatacza, gazeciarza ze swoim ładunkiem na plecach, kilku nieszczęśników podnoszących niedopałki z ziemi. Dojechaliśmy do Portal de la Paz, gdzie zobaczyłam gigantyczny pomnik Krzysztofa Kolumba wskazującego morze. Gdy dotarliśmy do portu, mężczyzna jechał dalej, szukając najlepszego miejsca, żebym mogła wysiąść.

– Jeden z tych kolosów to będzie ten, którego pani szuka.

Znaleźliśmy tylko dwa zacumowane statki. Owszem, przy sąsiednich pomostach były mniejsze jednostki, stare żagłówki, wysłużone kutry rybackie, statki spacerowe, łodzie pocztowe. Ale w tamtym czasie niewiele towarów i niewielu podróżnych przemieszczało się drogą morską. Obie niedawne wojny, domowa



i światowa, oznaczały dla wielu tych wielkich statków koniec – brak środków i materiałów powodował, że naprawiano mało, a budowano jeszcze mniej; to nie były dobre czasy dla przemysłu okrętowego. Choć istniały oczywiście wyjątki. Wyjątki, które pozwalały rozkwitać krajom niedotkniętym krwawymi konfliktami. Argentyna była tego najlepszym przykładem. A co za tym idzie, istniały przedsiębiorstwa żeglugowe, które powiększały swoje floty, skupując wojenne pozostałości, żeby przekształcić je w statki dla emigrantów i towarów, otwierając nowe połączenia, mnożąc usługi, operacje, klientów, przychody. Hornero był symbolem dobrze prosperującej firmy Dodera: pozostałość po wielkiej wojnie, jeden z licznych statków typu Victory budowanych masowo w Stanach Zjednoczonych, żeby zastąpić te zatopione przez nazistowskie okręty podwodne. Po zwycięstwie stały się częścią rezerwy marynarki USA; a teraz, w zamian za kilka tysięcy dolarów, na tym konkretnym nie powiewała już flaga z paskami i gwiazdami, lecz bandera Argentyny.

– Poczekalby pan na mnie chwilę w zamian za sto peset?

– Do usług, proszę pani, po to jesteśmy.

Przeszłam szerokim pomostem i nikt mnie nie zaczepił. Dzień dopiero się budził wraz z delikatną srebrzystą mgłą, niebo i morze zdawały się łączyć niczym dwie metalowe płytki. W oddali zobaczyłam kilku rybaków z wędką na ramieniu: ponieważ statki prawie nie pływały, ryby swobodnie się poruszały w wodach portu. Pośród dzikich wrzasków mew stwierdziłam, że pierwszy z dwóch ogromnych statków nie jest tym, którego szukałam: nazwa na wielkim czarnym kadłubie była dla mnie niezrozumiała, domyśliłam się, że jest skandynawska. Szłam więc dalej, wdepnęłam w kałużę, ominęłam martwą rybę, skórki pomarańczy, ostre kawałki szkła z rozbitej butelki. Nie znałam się na statkach, nie rozróżniałam sterburty od bakburty ani dziobu od rufy. Dobrze jednak wiedziałam, czego szukam. A kiedy znalazłam, zaczęłam wołać.

Zwrócenie uwagi młodego marynarza okazało się łatwe; to, żeby dopiero co obudzony kapitan zaprosił mnie na pokład – nieco bardziej skomplikowane.

– Muszę się zobaczyć z don Albertem Dodero, to pilne.

Nie oszukiwałam; ten brzuchaty, siwowłosy i ogorzały marynarz nie wyglądał mi na takiego, co łyknąłby bzdury ani tym bardziej przyjął te banknoty, które rozdawałam moim biednym rodakom, jakby to były karty z talii.

– Jestem reporterką BBC – dodałam spokojnym tonem. – Na pewno zechce się ze mną spotkać, mogę mu pomóc w rozwiązaniu pewnego problemu.

Ten kapitan nie palił fajki, co zgodnie ze stereotypem powinien robić. Wcześniej rano trzymał w palcach grube cygaro, już w połowie wypalone. Podniósł je do ust i zmrużył oczy, mierząc mnie wzrokiem i zaciągając się głęboko.

Armator przyjął mnie w kajucie, która w niczym nie przypominała hotelowych apartamentów, w jakich zwykł się zatrzymywać. Ale było to dyskretne schronienie, daleko od ogłuszającego hałasu towarzyszącego wizycie Evy Perón. Był jeszcze w piżamie i jedwabnym szlafroku, posiwiałe włosy na klatce piersiowej wystawały z trójkątnego dekoltu. Nie zdążył się ogolić, choć na moją cześć się uczesał i umył zęby. Pomimo tych wysiłków i chociaż otworzono bulaj, żeby przewietrzyć pomieszczenie, w środku unosił się zapach starszego mężczyzny, mentolowego płynu do płukania ust wymieszanego z perfumami i starym tytoniem.

– Rozumiem, że moja wizyta jest dla pana kłopotliwa, ale musimy porozmawiać o orderze.

– Nie, na Boga, Livio, wprost przeciwnie – powiedział, wskazując, bym usiadła. – Cokolwiek może mi pani powiedzieć na temat...

Umilkł, gdy zobaczył, że odwracam głowę w stronę kapitana. Wciąż stał przy drzwiach pomieszczenia, które jeszcze parę dni temu było jego własną kajutą, z rozstawionymi nogami, z cygarem w ustach i brązowymi owłosionymi rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Doderó skinął głową i dzięki temu subtelnemu gestowi zrozumiałam, że pozwala mi mówić dalej, że tamten o wszystkim wie.

Streściłam historię według własnego uznania, wspomniałam o informacjach, które rzekomo otrzymałam od kolegów dziennikarzy i innych kontaktów, przekreśliłam to, co mi pasowało, i przemilczałam to, co uznałam za stosowne. On słuchał ze

zmarszczonymi brwiami, nie przerywając. Musiałam zabrzmieć przekonująco, bo kiedy skończyłam, nie prosił o żadne dodatkowe wyjaśnienia. A może nie był nimi zainteresowany. Dla niego kluczowe było odzyskanie odznaczenia; reszta guzik go obchodziła.

– Działajmy zatem – powiedział stanowczo. Na potwierdzenie tych słów uderzył dłonią w udo, w bordowy jedwabny materiał szlafroka.

– Gdzie mam umówić to spotkanie?

Obaj mężczyźni znowu na siebie spojrzeli. Kapitan wykonał szybki gest.

– Proszę zaprosić go tutaj.

– Jeżeli wyśle pan po mnie samochód do hotelu, mogę go przywieźć osobiście.

– Oczywiście, moja droga.

Po powrocie do Majestica zostawiłam w centrali wiadomość dla Ignacia: „Spotkanie zaplanowane na dwunastą w południe, statek Hornero, port w Barcelonie”.

Punktualnie o jedenastej, jak ustaliliśmy poprzedniego wieczoru, zadzwonił Ramiro.

– Wszystko gotowe?

– Za czterdzieści minut cię odbiorę, powiedz mi skąd.

– Dokąd pojedziemy?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Czekając w lobby, zobaczyłam, jak okazały cadillac armatora parkuje przed wejściem do hotelu. Następnie wstałam i ruszyłam w stronę drzwi. Udawałam, że zachowuję się naturalnie, gdy rozpoznałam szofera: w szarej czapce garnizonowej, w mundurze, który podkreślał masywną sylwetkę, nie siedział Armando, który zabierał mnie poprzednio, lecz sam kapitan statku. Doderó niczego nie pozostawiał przypadkowi.

– Zatrzymajmy się, proszę, na plaza de Cataluña.

Ramira odebraliśmy z tarasu kawiarni Zurich, miejsca widocznego z każdej strony; nie wiadomo, czy zatrzymał się gdzieś w pobliżu, czy daleko stąd. Milczeliśmy przez całą drogę, ja – poważna,

lodowata, z napiętymi mięśniami i wzrokiem wbitym przed siebie. W pewnym momencie przesunął w moją stronę lewą rękę, przebiegając po skórzanym siedzeniu. Pojednawczo próbował pogłaskać mój mały palec swoim, ale gdy tylko poczułam dotknięcie, gwałtownie zabrałam rękę. Kiedy wjechaliśmy na teren portu, kątem oka zobaczyłam, że na jego twarzy pojawił się grymas konsternacji, ale nie odezwał się słowem.

Zatrzymaliśmy się w niewielkiej odległości od imponującego kadłuba.

– Don Alberto przyjmie nas na pokładzie – wyjaśniłam w końcu.

Zmarszczył czoło, ani trochę mu się to nie spodobało.

– Ten statek jest jego własnością, sam wyznaczył to miejsce na spotkanie.

Uprzejmy kapitan otworzył mi drzwi, Ramiro wysiadł z drugiej strony. Pomost był pusty; zaskakująco pusty jak na pierwsze południe słonecznego lata. W oddali dało się dostrzec paru wędkarzy robiących swoje, odwróconych plecami. Oblał mnie zimny pot. A jeśli nikt nie przyszedł? A jeśli Ignacio nie przysłał żadnego agenta? A jeśli zrezygnował, gdy się dowiedział, że człowiek, który jest w to zamieszany, to sam Ramiro?

– Proszę ze mną – nakazał rzekomy szofer.

Wtedy wyłonił się umundurowany członek załogi i zszedł po trapie.

– Proszę o dokumenty – powiedział, znalazłszy się na dole.

Jak gdyby te słowa były hasłem, od tego momentu wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kapitan chwycił Ramira od tyłu, wykręcając mu rękę, a spokojni wędkarze zamienili się nagle w zwinnych agentów. Za naszymi plecami rozległy się dźwięki silnika samochodu, ślizgających się kół, gwałtownego hamowania, a do tego szorstkie głosy, krzyki, pospieszne polecenia.

Wydarzenia następowały po sobie bardzo szybko, jak rozbłyski. Ramiro nie znał ostatecznego powodu swojego zatrzymania. Winny wielu rzeczy rozumiał jednak, że nie może dać się złapać. Był sprawny, zwinny i śliski, nie miał zbyt trudności, by się wyrwać z uścisku kapitana, bardziej masywnego, lecz mniej zręcznego.

Ktoś gwałtownie złapał mnie za ramiona.

– Szybko, proszę wsiadać.

Samochód, który właśnie podjechał, miał otwarte drzwi. Spojrzałam zdezorientowana na nieznajomego. Bez ceregieli próbował wepchnąć mnie na tylne siedzenie. Wobec mojego oporu położył mi rękę na głowie, a drugą zmusił, bym się pochyliła, w ciągu trzech sekund siedziałam w środku. Ruszył pospiesznie, a pośród panującego na zewnątrz hałasu usłyszałam, jak powiedział:

– Trzeba panią stąd wyciągnąć, rozkaz Montesa.

Montes to Ignacio, Ignacio Montes. Ten sam, który w tym momencie, ponad sześćset kilometrów od swojego Madrytu, biegł w kierunku Ramira z pistoletem w ręce.

Zamknęłam się w pokoju i tak spędziłam rozpaczliwe popołudnie. Nie ryzykowałam powrotu do portu, nie wiedziałam, jak się to wszystko skończyło, nie miałam pojęcia, czy zatrzymali Ramira, czy znaleźli odznaczenie w jego bagażu, co się stało później. Około piątej, kolejny raz naśladowując głos władczej Argentynki, poprosiłam w centrali o połączenie z Palacio de Pedralbes. Zaskoczyło mnie, że nie robiono żadnych trudności, gdy zapytałam o panią Lagomarsino.

– Tak, don Alberto czuje się już doskonale, moja droga – odpowiedziała Lillian swoim uprzejmym tonem, kiedy udałam, że martwię się o zdrowie armatora. – Tak, tak, zjedliśmy z nim obiad na jego statku – dodała. – Właśnie wróciliśmy, było widać, że jest już całkiem zdrowy, nawet dopisywał mu dobry humor.

Odłożyłam słuchawkę i padłam na łóżko, na poły uspokojona, na poły przytłoczona. Fakt, że Dodero był zadowolony, świadczył o tym, że wszystko poszło dobrze. Chciałam jednak móc potwierdzić to u Ignacia, ale on nie dawał znaku życia, a ja nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie go szukać.

Godziny do oficjalnej pożegnalnej kolacji dłużyły mi się w nieskończoność. Wreszcie o wpół do jedenastej przejechaliśmy przez plaza de San Jaime, gdzie było pełno ludzi, po czym zostaliśmy przyjęci w Palacio Provincial z pompą i fanfarami. Tego ostatniego wieczoru prawie nie było spóźnienia, być może Eva Perón chciała pożegnać się z Hiszpanią, nie zostawiając po sobie złego wrażenia. Ale ceremoniał znowu okazał się pompatyczny, rozbuchany i męczący, wszyscy umierali z gorąca, ja – z nerwów. Po wypełnieniu protokołu powitań, przejściu osób z buławami i strażników ubranych na galowo oraz długiej paradzie zaproszonych osób wreszcie uroczystie ogłoszono wejście Franco i madame Perón na piękne

Patio de los Naranjos, oświetlone reflektorami i setkami srebrnych świeczników. Wstrzymałam oddech, wyciągając jednocześnie szyję, żeby zobaczyć ich z mojego miejsca. Już tu byli, właśnie wchodzili.

On, dumny i brzuchaty, był ubrany w mundur generała z Orderem Świętego Ferdynanda. Ona miała na sobie suknię z błękitnej satyny oraz imponującą *coiffure*; ramiona i plecy zasłaniało jej długie futro z białych norek. Gdy zrobiła jeszcze kilka kroków do przodu, zauważyłam, że tułów przecina pasiasta szarfa, a na niej, na wysokości klatki piersiowej, lśni przypięty Krzyż Wielki Orderu Izabeli Katolickiej.

Kiedy moje obawy zostały rozwiane, pozwoliłam, by już przy stole wielokrotnie napełniano mi kieliszki do wina, prowadziłam ożywione rozmowy z moimi rzekomymi kolegami po fachu, i mimo że wciąż unosił się nade mną czarny cień – zatrzymanie Ramira – zdołałam trzymać go w miarę na dystans. Odznaczenie znowu było w posiadaniu jego właścicielki, wszystkie elementy układanki wróciły na swoje miejsce, a Ramira udało mi się pozbyć.

W przeciwieństwie do poprzednich wieczorów Diego Tovar nie usiadł blisko mnie, lecz po drugiej stronie stołu. Choć był daleko, widziałam, że rozmawia z dwoma dziennikarzami, uważny, jak przystało na profesjonalistę. Kolacja przebiegała spokojnie, orkiestra zabawiała nas tangami, walcami oraz kompozycjami Miguela de Falli i Enrique Granadosa; z pałacowego karylionu popłynęły hymny państwowe i popularna katalońska piosenka. Z apetytem opróżniłam swoje talerze: kawior Malossol z blinami, foie gras, kurczak z Alp i świeże grzyby – wyglądało na to, że mój żołądek po wielu dniach wreszcie się otworzył. Podano deser i kawę, ale nie było czasu na dalsze rozmowy przy stole, bo gospodarz i argentyńska pierwsza dama szybko wstali. Na plaza de San Jaime rozpoczynał się festiwal, czekano na nich, żeby pozdrowili tłum z wielkiego głównego balkonu.

Goście zaczęli wychodzić za nimi, patio powoli pustoszało. Na stołach zostały pomięte serwetki i zniekształcone dekoracje kwiatowe, okruszki chleba, talerzyki z resztkami truskawek i lodów śmietankowych.

Zatrzymałam Diega, kiedy kierował się do wyjścia w dużej rozciągniętej grupie, właściwie zablokowałam mu drogę.

– Chciałam cię zapytać, czy muszę zostać też na jutrzejsze pożegnanie na lotnisku.

Uśmiechnął się, zanim odpowiedział, udając sympatię. W jego oczach dostrzegłam jednak, że nie było to szczere.

– Nie trzeba, jeśli chcesz, możesz spokojnie wyjechać – zapewnił. – Nie będzie niczego nowego. Zamieszanie, protokół... To, co zwykle. – Znowu się uśmiechnął, tak samo fałszywie. – Cóż, jeśli pozwolisz, Livio, muszę się zająć...

– Zaczekaj. – Na wypadek gdyby mój głos nie wystarczył, chwyciłam go za nadgarstek. – Daj mi kilka minut.

Zaprowadziłam go z powrotem do naszego stołu przy jednej z kolumn, które wspierały zadaszenie. Dookoła kelnerzy zaczęli zbierać resztki, talerze, sztucce. Poprosiłam jednego z nich o dwa czyste kieliszki, sprawdziłam pod światło kilka butelek szampana, aż znalazłam taką, która nie była pusta.

– Za idealną organizację i wspaniałe traktowanie – powiedziałam, proponując toast. – Z całego serca dziękuję za twoje wysiłki, Diego.

Nagle zgasły reflektory, które oświetlały piękne renesansowe patio, kelnerzy rzucili w przestrzeń okrzyki niezadowolenia. Oświetlały nas tylko świece, już prawie stopione.

Przysunęłam swój kieliszek do jego kieliszka, on stuknął w niego bez większego przekonania.

– I oprócz tego chciałabym cię przeprosić.

– Nie masz za co...

– Nie mam za co – przerwałam mu – ale chcę to zrobić.

Oboje pociągnęliśmy łyk, szampan był ciepły, płaski, niedobry.

– Mężczyzna, który odsunął mnie od ciebie wczorajszej nocy, ten, który w Real Club de Tennis pocałował mnie na koniec, jest nikim w moim życiu, absolutnie nikim. Dawniej, przez jakiś czas, znaczył dla mnie wiele. Dziś natomiast budzi we mnie tylko pogardę.

Palcem wskazującym przesunął po krawędzi kieliszka, raz, drugi, trzeci, nie przestając na mnie patrzeć, atrakcyjny i spokojny, już niemalże w ciemności. Jak zwykle taktowny, chcąc uniknąć niezręczności, wolał zmienić temat.



– Kiedy wracasz do Londynu?

– Jak najszybciej.

– Spędzisz tam lato?

Pokręciłam powoli głową.

– Wyjeżdżam do Maroka, tam mieszka moja matka. – Zrobiłam pauzę, wahałam się przez chwilę. – Jeszcze nie poznała mojego syna.

Uniósł brew, na jego twarzy malowało się coś między zaskoczeniem a niedowierzaniem.

– Ma na imię Víctor, w przyszłym tygodniu skończy rok, teraz jest w Madrycie pod opieką mojego ojca. – Dopłam szampana i powoli odstawiłam kieliszek na stół. – Urodził się tego samego dnia, kiedy zginął mój mąż.

Nie powiedział: przykro mi, nic nie powiedział. Jedynie wciąż na mnie patrzył.

– I skoro jestem już z tobą szczerą, to Livia Nash nie jest moim prawdziwym nazwiskiem.

Pokręcił głową i było w tym tyle samo rezygnacji, co kęśliwości.

– Tak czy inaczej, będziemy mieć ten reportaż w BBC?

– To na pewno. Choć nie będę przychylna.

On też wypił ostatni łyk ze swojego kieliszka.

– Nie oczekiwałem od ciebie niczego innego.

Puścił do mnie porozumiewawczo oko.

Kelnerzy nadal wykonywali swoją pracę właściwie po ciemku, było słycać uderzające o siebie talerze układane na stosach, metaliczny brzęk łyżek i widelców, przytłumiony śmiech, pojedyncze polecenia.

Może gdybyśmy poznali się w innych okolicznościach, Diego Tovar i ja tworzylibyśmy dobrą parę. Nikt nie zaprzeczy, że był atrakcyjny: szczupły, miał harmonijne rysy twarzy, znakomite podejście do ludzi. Rasowy dyplomata. Zajmował ponadto szanowane stanowisko, a jego maniery wskazywały na dobre pochodzenie: byłby świetną partią dla córki Dolores, samotnej matki i krawcowej z ulicy Redondilla. A może, nie będąc formalnie parą, moglibyśmy sobie pozwolić na spędzenie tej ostatniej nocy razem. Nasza praca dobiegła końca, misja została wykonana. Eva Perón wyjeżdżała, dlaczego więc by tego wspólnie nie uczcić, na przykład w moim hotelu, w moim łóżku, nasze nagie ciała cieszące się sobą bez

pośpiechu i zobowiązań, aż nastanie świt. Ale nie, to nie było możliwe, a ja popełniłam błąd, nie powstrzymując od początku jego zainteresowania moją osobą. Diego mi się podobał, a ja podobałam się jemu, ale rana po Marcusie wciąż pozostawała świeża; nie byłam jeszcze gotowa.

Przeciągnął swoje długie palce po obrusie, przysuwając do moich i niemal je muskając.

– Przepraszam, czy pan Tovar?

Kelner wyłonił się spośród cieni pospiesznym krokiem.

– Szukają pana, czekają na galerii, proszą, żeby się pan pospieszył, doszło do incydentu.

Diego zabrał powoli rękę, wstał, nie ukrywając absolutnej niechęci. Domyślałam się, o jaki incydent mogło chodzić: któryś z dziennikarzy nie znalazł samochodu, by móc wrócić do hotelu, albo wypił za dużo, albo w tym całym zamieszaniu ukradziono mu portfel. W innej sytuacji rozwiązaniem sprawy zająłby się któryś z podwładnych. Ale ponieważ to była wizyta pierwszej damy, mógł to zrobić wyłącznie on.

Zapiął marynarkę i nachylił się w moją stronę.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytał na ucho.

Chciał złożyć mi na policzku delikatny pożegnalny pocałunek, ale przekreśliłam głowę i musnęłam wargami jego usta. Potem cichym głosem powiedziałam jedynie:

– Nie sądzę. Ale miło było cię poznać.

**D**otarcie na tyły pałacu, gdzie czekały samochody, wiele mnie kosztowało, tłum był bowiem ogromny. Na plaza de San Jaime, na wielkiej centralnej scenie, występowały jeszcze chóry i zespoły taneczne z Sekcji Kobiecej pochodzące z wielu katalońskich miejscowości, zabawiając władze i tysiące uczestników.

Do Majestica wróciłam wyczerpana. Nie mogłam się doczekać, żeby zdjąć buty, zderzyć z siebie wieczorową sukienkę i zmyć makijaż. Koniec mojego pobytu w Barcelonie i prawie w Hiszpanii, koniec szaleństwa związanego z orderem i koniec tego, do czego mogło dojść między Diegiem a mną, a ostatecznie nie doszło.

W pokoju było ciemno, chciałam już sięgnąć do włącznika na ścianie, kiedy zaświeciła się lampka na biurku, zalewając pomieszczenie delikatnym światłem.

– Na Boga, Ignacio... – wyszeptałam wystraszona.

– Wybacz, że cię przestraszyłem – powiedział, wstając. – Nie wiedziałem, o której wrócisz, i wolałem poczekać na ciebie w środku.

Nie pierwszy raz wtargnął do mojej przestrzeni bez pozwolenia czy uprzedzenia, wcześniej zrobił to już w atelier przy Núñez de Balboa po moim powrocie z Maroka. Wtedy wzbudził we mnie niepokój i strach. Teraz, choć mnie wystraszył, ucieszyłam się na jego widok.

Szczerłość wylała się ze mnie strumieniem.

– Jestem ci wdzięczna z całego serca...

– Usiądź, Siro. Musimy porozmawiać.

Jego głos zabrzmiał niepokojąco, poczułam coś w rodzaju mdłości. Ciepły szampan, zbyt obfita kolacja – wszystko to groziło, że obierze z żołądka drogę powrotną.

Powoli usiadłam w narożnym fotelu.

– Sprawy nie potoczyły się tak, jak się spodziewaliśmy.

– Ale przecież madame... pani Perón miała dziś wieczorem przypięty order.

– Jeśli o to chodzi, to tak, wszystko się udało. Odzyskaliśmy go w tanim hostelu w Dzielnicy Chińskiej. W kosmetyczce, tak jak mówiłaś.

– A zatem?

– Problemem jest on.

– Ramiro?

– Tak.

Znowu usiadł na krześle przy biurku, bokiem, by mnie widzieć. Światło znajdowało się za jego plecami i przecinało jego sylwetkę. Twarz ginęła w cieniu.

– Zatrzymanie go okazało się niemożliwe. Aresztowanie miałoby miejsce na statku pod argentyńską banderą. W świetle prawa można by uznać, że to suwerenne terytorium tej republiki. A jak sama rozumiesz, to nie jest dobry moment na wywoływanie międzynarodowych skandali.

Z zaciśniętymi ustami, niezdolna wyartykułować choćby słowo, przypomniałam sobie Ramira, gwałtownie uwalniającego się od kapitana, popychającego innego marynarza i rzucającego się w stronę trapu, żeby dostać się na pokład. Przypomniałam sobie Ignacia, który dopiero co przybył i biegł za nim z bronią w rękę, podczas gdy mnie próbowano zabrać z tego miejsca. Czy Ramiro miał świadomość tego, co robił, czy powodował nim zwykły impuls? Czy przeczuwał, że jeśli schwytają go na ziemi, byłby do dyspozycji hiszpańskich władz? Czy celowo wolał się rzucić w ramiona szczodrego kraju, który go przyjął?

– Jest jednak oficjalnie zatrzymany na Hornero. Za kilka dni mają wypłynąć do Buenos Aires i zabiorą go ze sobą. Ale nikt nie wniesie przeciwko niemu formalnych zarzutów. Stanowczo odmówiono fałszowania czegokolwiek, żeby został w naszych rękach. Po odzyskaniu odznaczenia Dodero uznał sprawę za zakończoną. Taki był jego jedyny cel, a to, w jaki sposób odznaczenie znalazło się w posiadaniu twojego przyjaciela, nie obchodzi go ani trochę. Nie zamierza przeprowadzać dochodzenia, prawdopodobnie dlatego, że gdyby poważnie zajął się tą sprawą, okazałoby się, że jest w nią

zamieszany Juan Duarte, a może po prostu dlatego, że nie chce, by wyszło na jaw, że odznaczenie przez pewien czas znajdowało się w niepowołanych rękach. Martwy pies nie kąsa, tak uważa. Dostaliśmy tylko gwarancję, że zabiorą go z Hiszpanii i tyle.

Drzwi do łazienki były otwarte, dźwięk bulgoczącej w spłuczce wody to jedyne, co słyszałam, kiedy mój mózg przetwarzał jego słowa.

Ignacio wstał z krzesła i podszedł do mnie.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem, Siro.

Jego ton się zmienił, teraz brzmiał mniej formalnie, bardziej ludzko.

– Nikt nie chce, żeby tego typu incydent, choćby w najmniejszym stopniu, zakłócił podróż osoby goszczonej przez Franco. Ani moi przełożeni, ani Argentyńczycy. Nikt.

Powoli wstałam i znalazłam się na jego wysokości. Nie mogąc się powstrzymać, przytuliłam się do jego klatki piersiowej, a on nie miał innego wyjścia, jak mnie objąć. Jego ciepło wydało mi się dziwne, nie rozpoznałam zapachu ciała zapomnianego mężczyzny ani kształtu pleców, na których położyłam ręce. Ale to, że czułam go tak blisko, dodało mi otuchy. I trwaliśmy tak w półmroku, razem jak dawniej, całą wieczność.

Eva Perón i ja opuściliśmy Barcelonę tego samego dnia. Ona przybyła na lotnisko w eskorcie motocyklistów i w towarzystwie caudilla oraz jego żony, oficjeli, wojska i wielotysięcznego tłumu. Z otwartych drzwi samolotu Douglas DC-4 linii FAMA, w kapeluszu kwiecistym jak ogród i z uśmiechem pożegnała się z Hiszpanią, energicznie machając ręką. Ja, niemal w tym samym czasie, kierowałam się na stację, by złapać ekspres do Madrytu. Nie towarzyszył mi żaden z mężczyzn, z którymi miałam coś wspólnego w minionych dniach.

Evita zabierała ze sobą słodko-gorzkie wrażenia z Hiszpanii: wzruszyli ją robotnicy, lecz jej oczekiwania wobec generalissimusa sflaczały niczym balon, z którego ucieka powietrze. Smuciły ją także nieszczęścia czasu powojennego; bez względu na to, z jakim

rozmachem i luksusami ją przyjęto, trudy mieszkańców czaiły się za każdym rogiem, a ona miała wystarczająco wprawne oko, by je dostrzec. Sieroty z głodem wymalowanym na twarzach, dzieci pokonanych, obszarpani żebracy z wyciągniętymi rękami, wdowy w żałobie sprzedające drobno pokrojony tytoń i pojedyncze papierosy. Kaleki, niemi, represjonowani, biedacy wszelkiego rodzaju, którzy pokazywali swoje twarze. To wszystko niewątpliwie ją bolało. Mimo to nie zostawiła ani jednego ze swoich kufrów wypełnionych po brzegi setkami wystawnych prezentów, którymi tu i ówdzie ją obdarowano, od klejnotów po dywany, regionalne stroje, hafty, gobeliny, zastawy stołowe, dzieła sztuki. Zostało w niej jeszcze coś z biednej dziewczyny z małego miasteczka, którą była i którą wciąż radowało otrzymywanie podarków.

Wszyscy oficjele odetchnęli z ulgą, gdy zobaczyli, jak jej samolot wzbija się w powietrze. Oklaskiwali ją, wychwalali i gloryfikowali aż do tego stopnia, że nadmiar pochlebstw obrócił się przeciwko nim, a pani Perón, buntownicza i uszczypliwa, stała się dla nich męczącym koszmarem. Już nie musieli znosić jej spóźnień, wystawiania do wiatru ani zmian planów, nie musieli wysłuchiwać jej populistycznych tyrad, żarliwych postulatów dotyczących wartości i praw klasy robotniczej, które ani trochę nie przypominały nacjonalistyczno-katolickich i antykomunistycznych haseł reżimu, a wręcz wydawały się typowe dla czerwonych, przegranych w tej wojnie.

Naród hiszpański również ją gloryfikował – jednak nie ze względu na to, co opowiadała o dobrodziejstwach swojej Argentyny i peronizmie, wszak peronizm i justycjalizm dla szeregowych Hiszpanów brzmiały niczym muzyka z innej planety. Eva Perón zachwycała ludzi swoją egzotyką, luksusową estetyką – co było czymś niespotykanym w biednej, pruderyjnej i szarej Hiszpanii – rodzajem wędrownego, kolorowego widowiska, ze swoimi wielkimi kapeluszkami, okazałymi fryzurami, budzącymi sensację futrami u progu lata. Była młoda, spontaniczna, olśniewająca jak gwiazda filmowa i jak przyleciała, tak odleciała, niczym powiew świeżego powietrza. Przelotna rozrywka, krótkotrwały rozbłysk pośród cieni.

W zagranicznej prasie uparcie pisano, że Hiszpania wydała ponad milion dolarów, żeby przygotować dla niej tę wystawną gošcinę, z niewątpliwie nadmiernym przepychem jak na skromne możliwości skarbu państwa. W gazetach krajowych natomiast, pomimo bolesnego krwawienia, rachunki się zgadzały. W następstwie tej wizyty kraj miał otrzymać ponad pięćset milionów dolarów w kredytach i zaplanowano ogromny stały transport z Río de la Plata aż do sześciu hiszpańskich portów do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego – w ciągu kolejnych lat mnóstwo statków miało przepłynąć Atlantyk z ładunkami pszenicy, kukurydzy i żyta, mięsa i skór, jajek i makaronu w gwiazdki. Krótko mówiąc, efektem była wielka pomoc dla odizolowanej i wygłodniałej Hiszpanii. Na pamiątkę wizyty w Barcelonie powstała także skromna dzielnica baraków, która przez całe dziesięciolecie nosiła nazwę La Perona.

Kolejnym celem jej podróży był Rzym. Papież Pius XII, daleki od przyznania jej w Watykanie tytułu papieskiej markizy, czego pragnęła, podarował jej zwykły srebrny różaniec. W pozostałej części Włoch również nie została przyjęta tak, jak się spodziewała: władze były zmuszone odwoływać jej wizyty, a na ulicach organizowano przeciwko niej demonstracje, wiozący ją samochód obrzucono nawet pomidorami. Włosi nie przebaczyli bliskości Peróna z Mussolinim i sprzeciwiali się wizycie jego żony. Mniej więcej podobnie wyglądała reszta Tęczowej Podróży – przepych Hiszpanii nie spotkał się z naśladownictwem.

Ale to wszystko miało się wydarzyć dopiero w kolejnych dniach.

W dzień wyjazdu Evy Perón – właściwie o tej samej porze, gdy jej samolot leciał nad Morzem Śródziemnym w kierunku lotniska Ciampino, a Ramiro prawdopodobnie czekał na powrót do Buenos Aires na pokładzie statku towarowego Hornero – mój pociąg zbliżał się do miasta, w którym dawniej był mój dom.

Pierwszą damę miały przywitać władze, z pompą i ceremoniałem, a jego być może nikt. Na mnie czekali ojciec i syn. Następnego wieczoru mieliśmy razem polecieć do Londynu.

# CZEŚĆ CZWARTA

MAROKO



Londyn, który zastałam po powrocie, był taki sam, a zarazem inny. Wciąż panował niedostatek, lecz twarze i ulice wydały mi się mniej przygaszone, jak gdyby gorzki czas powojenny w letnim słońcu okazał się bardziej znośny.

Zatrzymaliśmy się w The Dorchester, w tym samym miejscu, gdzie zwerbowali mnie do tej potajemnej współpracy, z której teraz wracałam. W tym ekskluzywnym hotelu wznowiłam swój kontakt z tajnymi służbami i postanowiłam, że tutaj się on zakończy i zamknie się pewien etap. Fakt, że przyjechał z nami mój ojciec, był doskonałym pretekstem, bym nie musiała wracać na The Boltons. Mimo to Olivia nie zwlekała z odwiedzeniem nas, odziana w jeden ze swoich strojów na poły majestatyczny, na poły wysłużony, z warkoczem na ramieniu, poruszała się pewnym krokiem. Jak zwykle nie okazała wylewności, lecz nie miałam wątpliwości, jak bardzo ucieszyło ją spotkanie z Víctorem. Nawet mnie traktowała względnie serdecznie, wolałam się nie zastanawiać, ile było w tym szczerości. Jednakże duże wrażenie wywarła na moim ojcu – Gonzalo Alvarado nie zwykł widywać tego typu kobiet w swoim biednym Madrycie.

Planowałam zostać w Anglii tylko tyle czasu, żeby złożyć raport końcowy, nagrać audycję dla BBC na temat podróży Evy Perón i lecieć dalej. Nie przewidziałam, że sprawy – choć przebiegały mniej więcej tak, jak chciałam – ostatecznie obiorą inny kierunek.

Tego dnia zjedliśmy obiad w hotelowej restauracji, po raz pierwszy siedząc przy stole we trójkę, podczas gdy Phillippa poszła z Víctorem do Hyde Parku, żeby mały zobaczył wiewiórki. Moja teściowa, bez najmniejszego wstydu, jadła z apetytem godnym robotnika; wydawało mi się nawet, że smaczny biały chleb, którego ja nie ruszyłam, nagle zniknął ze stołu, z pewnością błyskawicznie

schowała go do torebki albo ukryła w swojej tunice, w rękawach lub między fałdami. Zostawiłam ich pijących kawę, ona przyjmowała jeden za drugim amerykańskie papierosy z hiszpańskiego czarnego rynku, które proponował jej ojciec; oboje dokładali wszelkich starań, żeby podtrzymać rozmowę, co nie było łatwe, zważywszy na to, że jego angielski był słaby, a hiszpański Olivii zerowy. Ja tymczasem spotkałam się z Kavannagh w jednej z wystawnych sal, The Promenade. Doświadczony agent tajnych służb otrzymał rezultaty mojej pracy poprzedniego wieczoru – gdy tylko wylądowałam, dyskretnie przekazałam raporty anonimowemu osobnikowi, jeszcze zanim opuściłam lotnisko.

– Jesteśmy wdzięczni za pani wspaniałą pracę, pani Bonnard. Bardzo dokładnie przeczytaliśmy pani raport i uzyskaliśmy jasny obraz przebiegu wydarzeń.

Nie wiedział jednak o ciemnej stronie podróży, o zamieszczeniu z orderem nie wspomniałam bowiem ani słowem. W każdym razie, nie chcąc mu zaprzeczać, przyjął jego komentarz z udawanym zadowoleniem. Tym razem Kavannagh przyszedł sam, bez jasnowłosego podwładnego, jak przy okazji poprzednich spotkań. Jak zawsze elegancki i zadbany, w nieskazitelnym garniturze, okularach w cienkich złotych oprawkach i ze śladami po zębach grzebienia na siwych skroniach.

– Rząd rozważa jeszcze warunki ewentualnej wizyty madame Perón w Londynie, ale proszę mieć pewność, że dostarczone przez panią informacje zostaną wzięte pod uwagę w momencie podjęcia ostatecznej decyzji.

Nie, nie potrafiłam sobie wyobrazić sztywnych Anglików walczących z wybuchowym temperamentem Evity ani organizujących dla niej tłumne przyjęcia czy spełniających jej kosztowne i absurdalne kaprysy, jak czyniono w Hiszpanii. Mimo to, żeby mieli czarno na białym, jak to wszystko wyglądało, dostali ode mnie trzydzieści dziewięć kartek raportu pełnych szczegółów dotyczących przebiegu podróży, samej pierwszej damy oraz jej zachowań, reakcji i towarzyszących jej osób. W zamian miałam otrzymać pokaźną sumę, która pozwoliłaby mi zapłacić rachunek za ten luksusowy hotel i żyć wygodnie przez kilka miesięcy w jakimś

innym, mniej wystawnym miejscu. Coś za coś i koniec umowy. Tego popołudnia kończyła się moja współpraca z Kavannagh i jego ludźmi. A po zarejestrowaniu mojej relacji przed mikrofonami BBC na zawsze miałam zapomnieć o tym peronistowskim rozdziale w moim życiu.

Kavannagh dopił brandy i odstawił kieliszek na stół, potem wstał.

– Chciałbym powiedzieć, moja droga, że bardzo przyjemnie się z panią pracowało.

Podaliśmy mu rękę, odpowiedziałam jakąś pustą uprzejmością. Nie interesował mnie już ten elegancki sługa Jego Wysokości ani nie chciałam wiedzieć, czym będzie się teraz zajmował.

– Mam nadzieję, że spędzi pani miłe angielskie lato.

– Nie zamierzam zostawać, ale dziękuję.

– W takim razie życzę wszystkiego najlepszego, dokądkolwiek się pani wybiera.

– Do Maroka – powiedziałam. I natychmiast dostrzegłam, że zmienił mu się wyraz twarzy.

– Ach – odparł. Krótko, dyskretnie.

Wysunęłam dłoń z jego dłoni, gdy zapytał:

– Czy przypadkiem... do Tangeru?

– Tylko przejazdem.

Koniec kropka. Nie zamierzałam udzielać więcej informacji, następny krok w moim życiu był wyłącznie moją sprawą. Kavannagh nie potrzebował kolejnych sygnałów, żeby to zrozumieć.

– W każdym razie jeszcze raz życzę wszystkiego najlepszego, pani Bonnard.

Patrzyłam, jak kieruje się do wyjścia w kapeluszu nasadzonym na czubek głowy, i wpatrywałam się w jego plecy. Akurat w tym momencie weszła Phillippa z Victorem w wózku. Minęli się, ignorując wzajemnie. Dzięki ponownemu spotkaniu z synem natychmiast wyrzuciłam agenta z głowy.

Tego samego popołudnia rozmawiałam przez telefon z George'em Camacho, dyrektorem Serwisu Latinoamerykańskiego. Poprosił, byśmy zaczęli nagrania jak najszybciej, gdy jeszcze trwała wizyta Evy Perón we Włoszech i media zbierały informacje.

– Powinniśmy się spotkać. Nie ma pani nic przeciwko, byśmy zjedli jutro razem obiad?

Złożyłam kontrpropozycję, wolałam przyjść do niego. Chciałam zarezerwować sobie porę obiadu dla ojca, by jak najlepiej wykorzystać jego krótki pobyt w Londynie. Uwielbiał to miasto, odkąd odwiedził je przed laty w drodze do Manchesteru na spotkanie z dostawcą maszyn, kiedy był aktywny zawodowo i jeszcze prężnie działała Alvarado e Hijos – madrycka odlewnia, którą zarekwirowano na początku wojny, a po jej zakończeniu nigdy ponownie nie otwarto. Był ponadto zagorzałym wielbicielem Imperium, Churchilla, rewolucji przemysłowej i Chestertona, a także krawców z Savile Row i kapeluszy z Lock & Co., punktualnych pociągów i wody kolońskiej Atkinsons. Teoretycznie to właśnie dlatego zaproponowałam, żeby towarzyszył mi podczas krótkiego pobytu w Londynie. Nie wyjawiałam mu jednak, że w moim zaproszeniu był również ukryty powód: chciałam wyciągnąć go z Madrytu. Z czystej przeczności – w razie gdyby coś poszło nie tak na argentyńskim statku Dodera przed wypłynięciem z Barcelony albo gdyby Ramiro niespodziewanie zdołał wysiąść w jakimś innym porcie i przybył do Madrytu, by mnie odszukać i wyrównać rachunki. Nie chciałam, żeby Gonzalo Alvarado musiał stawiać czoła temu łajdakowi, gdyby sprawy się skomplikowały, wolałam więc zabrać go ze sobą.

Miguelę wysłaliśmy w jej rodzinne strony w prowincji Badajoz, a w mieszkaniu przy Hermosilli zamknęliśmy okiennice i trzy razy przekręciliśmy klucz w zamku; dozorczynię ojciec powiadomił, że wyjeżdża na dłuższy czas. Po powrocie z Londynu resztę lata zamierzał spędzić w małym hotelu we Fuenterrabíi, jak miał w zwyczaju: z dala od upału na płaskowyżu i z widokiem na Zatokę Biskajską. Być może moje środki ostrożności były przesadzone i Ramiro już nigdy miał nie wrócić do mojego życia. Znając go jednak, wolałam zachować czujność.

Następnego poranka udałam się do Broadcasting House. Świeciło słabe słońce, a ludzie wydawali się ruchliwsi – kobiety były ubrane kolorowo, jeździło mnóstwo rowerzystów, a na niektórych rogach stały stragany z kwiatami. Chociaż wciąż widziałam zrównane z ziemią parcele, zapadliska i liczne zniszczenia, to w wielu

miejskach pracowali murarze, a siedzący na rusztowaniach malarze odnawiali fasady.

Z tego samego budynku wyszłam kilka miesięcy temu, niosąc swoje radio, zaniepokojona reakcją żony Nicka Souttera, i tu też przybyłam parę dni później, znowu po to, by się z nią spotkać. W swoim ostatnim liście Nick przekazał mi, że praca w Palestynie dobiega końca; nie wiedział jeszcze, jaki będzie następny kierunek, ale prowadził już rozmowy w tej sprawie. Wieści dostałam także od Fran Nash. W Jerozolimie wszystko zmierzało w stronę przepaści – jak pisali oboje – przemoc stawała się coraz większa i bardziej fanatyczna. Pamięć przywołała mi Marcusa i zamach na King David Hotel, zadając mi mocny cios. Chcąc ochronić się przed bólem, chwyciłam się żywego wspomnienia o przyjaciółach. Jakże daleko byli teraz, fizycznie i w myślach prawie też. Rozstaliśmy się zaledwie pół roku wcześniej, a niekiedy odnosiłam wrażenie, że upłynęły dziesięciolecia.

– Wszystko, co nam pani proponuje do swojej audycji, jest wspaniałe, droga Siro.

Słowa Camacha brzmiały szczerze, nie dostrzegłam w nich dwulicowości.

– Fascynujące! Szkoda, że nie mogłem pani towarzyszyć, to cudowne doświadczenie.

Ángel Ara, mój sympatyczny rodak, również przyszedł na spotkanie i przyłączył się do pochwał; ogromnie się ucieszyłam na jego widok.

– Zastanawialiśmy się nad tym i uważamy, że możemy zrobić cztery nagrania, każde o jednym etapie podróży doñi Ewy – ciągnął kolumbijski dyrektor. – Dla słuchaczy byłoby interesujące, gdyby informacje własne dotyczące wizyty połączyć z opowieściami o każdym mieście, kawałek historii, geografii, sztuki, specyfika danego miejsca...

Rozmawialiśmy dalej, oceniając różne pomysły, aż doszliśmy do porozumienia.

– Zaczniemy więc jutro – oznajmił Ara.

– A żeby przystąpiła pani do tej nowej radiowej przygody w dobrym humorze, mamy jeszcze niespodziankę.

Camacho wziął gruby plik otwartych kopert, pochylił się i podał mi je nad stołem.

– To do pani – powiedział swoim melodyjnym tonem. – Są z Meksyku, Wenezueli, mojej kochanej Kolumbii, Urugwaju, Argentyny...

Wyciągnęłam rękę, by je wziąć, z niedowierzaniem na twarzy. Ara nie mógł się powstrzymać.

– Pani pierwsi wielbiciele zza oceanu.

Zmarszczyłam brwi.

– To reakcje słuchaczy na pani audycje o Palestynie, które wyemitowaliśmy kilka tygodni temu. To normalne, że piszą, zawsze to robią – wyjaśnił Camacho. – W tym przypadku są w stu procentach pozytywne, może być pani dumna. A kiedy zaczynają przychodzić w takiej ilości, bez wątpienia będą wciąż napływać.

Przejrzałam koperty, przekładając je z ręki do ręki. Każda inna, różne charaktery pisma, różne znaczki i stemple pocztowe, jakość i odcień papieru, kolor atramentu.

– Z tych samych krajów dostaniemy jeszcze więcej, z Chile i z Peru idą dłużej, później przyjdą jeszcze z Boliwii i Ekwadoru...

Przestałam go słuchać.

Nie wiedziałam dokładnie, co napisano w tych listach, liczyło się dla mnie jedynie to, że był to pozytywny oddźwięk, doceniający moją pracę, znak, że moje wysiłki miały znaczenie.

Opuściłam biuro z torebką pełną listów i dziwną satysfakcją, która mnie przepełniała. Na korytarzach minęłam mnóstwo osób, mężczyzn i kobiet idących stanowczym krokiem, większość spieszyła się w jakimś kierunku i celu, by zrobić coś konkretnego. Nagle wyobraziłam sobie, że jestem jedną z tych osób, profesjonalistów zaangażowanych w pracę, która zajmowała znaczną część ich czasu, wypełniała ich myśli. Ludzie ważni, potrzebni, oddani swoim obowiązkom, tak jak ja w tym momencie. Wolałam nie pamiętać o tym, że gdy tylko skończę nagrania, ta moja przydatność rozwieje się jak dym.

Zdziwiłam się, kiedy po powrocie do hotelu zobaczyłam, że w lobby siedzi Kavannagh. Był sam, tak jak poprzedniego dnia, i popijał wczesny aperitif. W palcach trzymał papierosa, nogę miał

założoną na nogę, na odsłoniętych chudych kostkach widać było naciągnięte jedwabne skarpetki. Mógłby uchodzić za jakiegoś wytwornego gościa The Dorchester, dojrzały i elegancki mężczyzna, jak wielu innych. Z tą tylko różnicą, że za bardzo skupiał wzrok na drzwiach. Gdy zobaczył, że wchodzę, delikatnie uniosły mu się kąciki ust.

Moje buty stukały rytmicznie, szłam szybko, bo spotkanie w BBC trwało dłużej, niż zakładałam. Umówiłam się z ojcem na obiad, bałam się, że się spóźnię. Mieliśmy zarezerwowany stół w Simpson's in the Strand – sam wybrał to miejsce i zapewne czekał tam na mnie z Olivią, która przyssała się do nas jak pijawka. Dlatego starałam się uniknąć rozmowy z agentem i przeszłam obok niego, udając, że nie zauważyłam jego obecności.

– Pani Bonnard?

Oczywiście nie udało mi się to. I nie miałam innego wyjścia, jak przystanąć.

– Pan Kavannagh – wymamrotałam z niechęcią. – Przepraszam, nie widziałam pana.

Ani ja nie zadałam sobie trudu, żeby ukryć moje kłamstwo, ani on, by mi zaprzeczyć.

– Pozwoli pani, że ukradnę jej kilka chwil?

– Sądziłam, że moja praca dla pana dobiegła końca.

– Zgadza się.

– A zatem?

– Chodzi o coś innego.

– Proszę posłuchać, w tej chwili nie interesuje mnie...

– Pięć minut. Obiecuję.

Usiedliśmy w dyskretnym kącie, z dala od przechodzących gości i klientów.

– Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję.

Podał mi otwartą srebrną papierośnicę.

– Papierosa?

– Nie, dziękuję.

Sam zapalił i się zaciągnął.

– Podkreślam, panie Kavannagh, że trochę mi się spieszy.

– Domyśliłem się, gdy zobaczyłem, jak pani weszła – powiedział, wydmuchując obłoczki dymu. – Przepraszam, postaram się mówić krótko.

– Byłabym wdzięczna.

– Ktoś chciałby panią poznać.

Uniosłam brew.

– Proszę posłuchać, czasami otrzymujemy zapytania od pewnych osób albo instytucji niezwiązanych z naszą, powiedzmy, oficjalną działalnością. Szukają doradztwa, często kontaktu: udostępnienia miejsca, nazwiska, danych...

Nie miałam zielonego pojęcia, o czym mówił, był nazbyt tajemniczy. Odchrząknęłam, żeby mu to uzmysłwić.

– Przepraszam, już przechodzę do rzeczy. Powiedzmy, że pewien przyjaciel poprosił mnie o pewną informację dla swojego przyjaciela.

Zważywszy na to, że chodziło o Kavannagh i jego sprawy, domyśliłam się, że słowo przyjaciel miało drugie dno.

– I w tym łańcuszku przyjaciół – dodał – ostatnim elementem jest prywatny klient.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął coś, co mi podał. Wizytówkę.

– W tym wypadku chodzi o rzetelną firmę ubezpieczeniową, która nie ma nic wspólnego z naszymi obowiązkami. Pilnie potrzebują osoby do współpracy. Konkretnie w Tangerze.



**N**agrania dotyczące podróży Evity zarejestrowaliśmy niemal jednym ciągiem; dzięki sprawnej pomocy Ángela Ary wszystko poszło gładko. Owszem, poświęciliśmy na to długie godziny. Zająłoby nam to trzy dni, prawie całe trzy dni, w trakcie których mogłam widywać moich bliskich dopiero wieczorami, krótko przed tym, jak Víctor szedł spać, i miałam tylko tyle czasu, żeby zjeść kolację z Olivią i moim ojcem, wybrać się z nim na koncert do Royal Albert Hall czy porozmawiać chwilę o jego spacerach po Londynie, wizytach w muzeach, parkach i przy pomnikach.

Przez cały ten czas wizytówka od Kavannagh leżała na biurku w moim pokoju. Znajdowały się na niej wydrukowane nazwa firmy, nazwisko osoby i adres w City. Na odwrocie był zapisany piórem numer telefonu.

Pożegnaniem Evy Perón w Barcelonie zakończyliśmy pracę przed mikrofonami. Tam został mój głos, nagrany na rowkach trzech płyt winylowych. Moim kolejnym krokiem był powrót do Broadcasting House, żeby pożegnać się z George'em Camacho. Wymieniliśmy typowe uprzejmości, nawzajem życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego.

– I na koniec pozwolę sobie jeszcze przypomnieć o wynagrodzeniu za pani...

Przerwałam mu.

– Proszę uznać, że już mi zapłacono.

Nie chciał przyjąć tego do wiadomości, nalegał.

– Mówię poważnie, George. Proszę zrozumieć, że to, co już dostałam za wykonanie mojego zadania w Hiszpanii, pokrywa koszty mojej współpracy z BBC. Koniec końców treść jest taka sama. Proszę wykorzystać te pieniądze na zatrudnienie innego z moich rodaków, wiem, że potrzebują pracy bardziej niż ja.

Ze swoją kolumbijską uprzejmością odprowadził mnie na koniec korytarza. Dopiero kiedy wsiałam do windy i zasunęły się drzwi, z oczu zniknęła mi jego sympatyczna i mięsista twarz, twarz poczciwego człowieka.

Tego lipcowego poranka winda była niemal pusta. Dlatego natychmiast wychwyciałam obecność osoby, która być może kiedy indziej, wciśnięta między inne ciała, pozostałaby niezauważona. Podrosły jej włosy, pofalowane końcówki leżały teraz na ramionach. Wyglądała smukło w swojej muślinowej sukience z bordowym paskiem, miała białe sandały na obcasie, a paznokcie u nóg pomalowane na intensywny kolor. W ręku trzymała kilka teczek, ale nie miała torebki; domyśliłam się więc, że nie wychodziła na ulicę, tylko kierowała się do jakiegoś pomieszczenia w budynku. W windzie mogłam obserwować ją tylko kątem oka, obie stałyśmy przodem do drzwi, jedna obok drugiej, podczas gdy dźwig zjeżdżał powoli. Obie zachowywałyśmy udawaną obojętność; przypuszczałam, że obie jesteśmy równie zdumione.

Oto znowu spotkałam Corę Soutter, żonę albo byłą żonę Nicka, nie znałam jeszcze bowiem oficjalnego statusu ich niefortunnego małżeństwa. Ona wiedziała, kim jestem, ja wiedziałam, kim jest ona; swego czasu miałyśmy spotkanie twarzą w twarz, które okazało się równie wymowne, co kłopotliwe. Tym razem jednak ignorowałyśmy się z obopólną beczelnością i nie zamieniłyśmy nawet pół słowa.

Nie miała jednak innego wyjścia, jak mnie obserwować, kiedy wysiałam na parterze: ona została w środku, podczas gdy ja ruszyłam w stronę wyjścia, a drzwi zaczęły się zamykać za moimi plecami. Staralam się iść niewzruszonym krokiem – moje pozorne opanowanie było oczywiście czystym udawaniem. Nie umiałam sprawić, żeby bliskość tej kobiety nie wytrąciła mnie z równowagi. Ze względu na to, co łączyło ją z Nickiem, wspólną z nim przeszłość, o której nie wiedziałam, i jego uczucia do mnie, co swego czasu wyjawiała mi w tak nieprzyjemny sposób. Przyspieszając kroku, odetchnęłam z ulgą, gdy już miałam pewność, że drzwi za mną zamknęły się całkowicie i ta kobieta nie mogła mnie już widzieć. Razem z wytchnieniem odczułam delikatny smak goryczy. Bez

wątpienia wywołała go pewnego rodzaju zazdrość wynikająca z tego, że ja stąd wychodzę, a ona nie.

Zostawiłam za sobą Corę Soutter z jej teczkami i obowiązkami, zjeżdżającą być może do studia w piwnicy, żeby odebrać albo wydać polecenia, albo kierującą się do jakiegoś gabinetu, żeby wziąć udział w spotkaniu albo omówić jakąś sprawę. Krótko mówiąc, żeby zrobić coś pożytecznego. Ja natomiast właśnie pożegnałam się z dyrektorem Serwisu Latynoamerykańskiego i zmierzałam donikąd. Znosić moją teściową, rozmawiać o błahostkach z ojcem, chwalić raz i drugi poczynania mojego syna. A później, kiedy już znajdę się w Maroku, spotkać się z matką i dać się ponieść upływającym łagodnie dniom. Jeden za drugim, kolejnym, jeszcze jednym – pustym i powolnym.

Olivia i Gonzalo czekali na mnie, prowadząc zagmatwaną rozmowę nad swoimi kieliszkami sherry. Nawet nie zauważyli, kiedy weszłam do przestronnego pomieszczenia restauracji, ale ja, owszem, ich zobaczyłam. W tej samej chwili, gdy kierowałam się do ich stolika, ojciec mówił coś, nachylając się nieznacznie, a Olivia, słysząc to, wybuchnęła gromkim śmiechem. Myślami nadal byłam przy moim pożegnaniu z BBC i niespodziewanym spotkaniu z Corą Soutter; być może dlatego, przez zwyczajne rozkojarzenie, nie włączył mi się alarm.

Oboje zamówili walijską jagnięcinę, ja tylko szparagi z majonezem. Na dwa głosy, każde w swoim języku, powiedzieli mi, gdzie się wybrali tego przedpołudnia – Saint James's Park i National Gallery – i że na wieczór zaplanowali spektakl teatralny w London Palladium oraz kolację w jakimś innym miejscu.

– Siro, jak się nazywa ta hiszpańska restauracja, o której mi opowiadałaś?

– Martínez.

– Martínez, właśnie. Myślę, że Olivia chciałaby tam pójść.

Z trudem powstrzymałam sarkastyczny śmiech. Olivia chciałaby jeść hiszpańskie potrawy? Ogromnie mnie to zdziwiło. Przez te wszystkie miesiące, kiedy mieszkałam z nią pod jednym dachem, nigdy nie okazała najmniejszego zainteresowania czymkolwiek związanym z Hiszpanią, nigdy nie zapytała o mój kraj, rodzinę, język

i oczywiście nie była też ciekawa kuchni mojej ojczyzny, którą ona uważała za daleką od cywilizowanego świata, półdziką.

Jednakże, co mnie zaskoczyło, teściowa zareagowała entuzjastycznym okrzykiem.

– Tak, tak, Martines, Martines!

Nawet dwa razy klasnęła w dłonie. A Gonzalo się śmiał. Zaczepnęłam powietrza. Nie miałam najmniejszej ochoty iść do żadnej hiszpańskiej restauracji. Dopiero co wróciłam z Hiszpanii, gdzie świta Evy Perón została ugoszczona z nieprzyzwoitym wręcz brakiem umiaru, podczas gdy ludziom z głodu burczało w brzuchach. Ale skapitulowałam, nie miałam wyboru. Chciałam, żeby ojciec dobrze się bawił, a jeśli ta uprzejmość wobec Olivii była jego życzeniem, nie zamierzałam odmawiać.

– Dobrze. Zarezerwuję stół.

– Nie musisz iść z nami, jeśli jesteś zajęta.

– Już skończyłam nagrania.

– Może wolisz zostać z dzieckiem.

– Zobaczymy. Nie zostało nam tu już wiele czasu.

Podszedł do nas kelner, pchając wózek z deserami. Oboje poprosili o wielkie *coupe dame blanche*, ja wzięłam tylko sezonowe owoce.

– Właśnie, a co do... – dodał mój ojciec, gdy kelner już odszedł. – Co do naszego wyjazdu z Londynu, sądzę, że nie ma pośpiechu.

Właśnie wbiłam widelec w małą truskawkę, ale nie zdążyłam włożyć jej do ust.

– Owszem, jest. Zresztą jeszcze dzisiaj zamierzam kupić bilety. My bez problemu znajdziemy statek via Gibraltar. A od przyjaciela z BBC, Hiszpana, wiem, że z Plymouth wypływa wiele statków do Santanderu; stamtąd z łatwością dostaniesz się do Fuenterrabii.

Mówiąc o przyjacielu, miałam na myśli Arę. Od dawna mieszkał na stałe w Anglii i choć rzadko z nich korzystał, znał wszystkie możliwe połączenia z Hiszpanią. Ale ojciec prawie mnie nie słuchał, skoncentrowany – podobnie jak Olivia – na swoim pucharku lodów z bitą śmietaną i roztopioną czekoladą. Była to niespodziewana przyjemność dla ich żołądków, które tak wiele wycierpiały podczas dwóch różnych, ale równie ciężkich okresów powojennych.

– No bo widzisz, córeczko, Olivia i ja pomyśleliśmy...

Zmarszczyłam czoło. My? My pomyśleliśmy? Powiedział w liczbie mnogiej? Czy dobrze usłyszałam? Oni? Olivia i mój ojciec wymyślili coś za moimi plecami?

Wtedy to ona zabrała głos.

– Ja zaprosić Gonzalo *to stay in London* – oznajmiła stanowczo fatalnym hiszpańskim.

Żeby podkreślić swoje zdanie, zajęła się skrobaniem w pucharku. Dzwonienie łyżeczki o szkło wbiło mi się w uszy.

W drodze powrotnej żadne z naszej trójki nie odezwało się słowem. Dopiero kiedy we dwoje wysiedliśmy z taksówki, jeszcze przed wejściem do hotelu, podczas gdy ona jechała dalej w stronę The Boltons, napadłam na ojca, nie mogąc się powstrzymać.

– Mógłbyś mi wyjaśnić, co, do diabła, knujesz z moją teściową?

– To zdumiewająca kobieta, Siro.

– Zdumiewająca, to jest dokładnie to słowo, nie mogłeś znaleźć lepszej etykiety. A teraz powiedz mi, co zamierzać robić ze swoją zdumiewającą przyjaciółką?

Odpowiedział krótko.

– Wejdźmy do środka.

Chwycił mnie za łokieć i zamierzał zrobić krok za drzwi, ale go zatrzymałam.

– Tutaj, w tej chwili, Gonzalo. Powiedz mi, proszę, co mnie ominęło, co się dzieje?

Staliśmy pod dużą markizą przy wejściu, portier spojrzał na nas kątem oka. Ojciec milczał kilka sekund, zastanawiając się, co mi powiedzieć, jego spojrzenie błędziło po drugiej stronie ulicy, po koronach drzew w parku. W końcu wbił we mnie wzrok.

– Wiesz, od kiedy żadna kobieta nie potrafiła mnie rozśmieszyć, Siro?

Ani nie wiedziałam, ani mnie to nie obchodziło. I nie byłam teraz w nastroju, żeby bawić się w zgadywanki.

– Pewnie nie przesadzę, jeśli powiem, że ostatnią była twoja matka.

Mimo wszystko nie mogłam się powstrzymać, by nie policzyć. Moja matka, na miłość boską. Od tego czasu minęło ponad trzydzieści lat.

– Olivia jest wspaniała – ciągnął. – Jest... jest... inna, wyjątkowa. Przerwałam mu natychmiast.

– Posłuchaj mnie, Gonzalo... – Nigdy nie zwracałam się do niego tato ani ojciec, ani nie używałam żadnego innego czułego słowa. – Posłuchaj mnie uważnie. Ona jest matką Marcusa, babcią Víctora, jesteście... jesteście prawie rodziną.

– Nie idź w tę stronę, Siro. Twoje argumenty są kiepskie. Nawet my nie figurujemy oficjalnie jako ojciec i córka w żadnym miejscu. Formalnie rzecz biorąc, z Olivią nie łączą mnie żadne więzi.

Miał rację. Miał całkowitą rację, moje rozumowanie było pozbawione sensu. Potrzebowałam solidnych, przekonujących argumentów, ale byłam tak wściekła, że nie potrafiłam ich znaleźć. Dlatego musiałam się uciec do najbardziej przykrych prawd.

– Jest egoistyczna i natrętna, to manipulatorka i kłamczucha.

Z gardła wyrwał mu się głośny śmiech.

– To twoja teściowa, nic więcej.

– To hipokrytka. Nie znosi mnie.

– Po prostu ją dezorientujesz. Nie wie, jak z tobą postępować. Wymykasz się jej wyobrażeniom, jesteś dla niej dziwna.

To, co o mnie myślała, nie miało w tej chwili znaczenia; relacja, jaka łączyła mnie z Olivią, była wyłącznie naszą sprawą. Teraz martwiła mnie jej więź z moim ojcem. To, co razem knuli.

– Dobra, w porządku. Cofam to, co powiedziałam. To ja jestem trudna, a lady Olivia Bonnard to urocza i łatwa w obejściu osoba. A teraz powiedz mi, co chcesz z nią robić?

Wzruszył ramionami.

– Szczerze? Nie wiem. Jasne jest dla mnie tylko to, że na razie nie chcę się stąd nigdzie ruszać. Nie chcę się z nią rozstawać.

– Ale, ale, ale...

Zaschło mi w gardle, słowa utknęły na dobre. Eleganckie auto zatrzymało się blisko nas, wysiadła z niego para hotelowych gości, a młody bagażowy podbiegł, by zająć się ich torbami. Kierowali się do środka, rozmawiając ze sobą znacznie głośniej, niż robili to Anglicy; ona, elegancka blondynka, wybuchnęła śmiechem. Bogaci Amerykanie wracali z zakupów na Bond Street, w hotelu było ich pełno.

– W ostatnich dniach spędziliśmy razem wiele godzin – mówił dalej Gonzalo – podczas gdy ty zajmowałaś się swoimi nagraniami, chodziłaś na spotkania i żyłaś swoim życiem. I jakoś się dogadaliśmy.

Zamierzałam mu przypomnieć, że jego angielski jest marny, a Olivia nie potrafiła powiedzieć trzech kolejnych słów w naszym języku. Ale on mnie ubiegł.

– W pewnym wieku nie trzeba zbyt wiele mówić.

W hotelowym lobby musieli zacząć podawać herbatę, bo przed wejściem cały czas zatrzymywały się prywatne samochody i taksówki, wypływając klientów, którzy wchodzili, niemal się o nas ocierając, nie ruszyliśmy się bowiem z naszego miejsca. I tak staliśmy. Miałam naprzeciwko siebie Gonzala Alvarado – inżyniera, który już nie pracował, dojrzałego madryckiego czytelnika „ABC”, spokojnego i opanowanego człowieka, mężczyznę, który prowadził uporządkowane życie. A on zwierzał się swojej rodzonej córce pod markizą The Dorchester, w ekskluzywnej dzielnicy Mayfair, w obcym Londynie, do którego ona sama go przywiozła, nie przewidując konsekwencji.

– Na Boga, tato... – wymamrotałam. Po raz pierwszy tak się do niego zwróciłam, pierwszy raz w życiu. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że się zakochałeś w Olivii.

**B**iura Brax Insurance Ltd mieściły się w imponującym budynku w City. A dokładniej przy King William Street, bardzo blisko pomnika wzniesionego dla upamiętnienia wielkiego pożaru, który zniszczył miasto kilka wieków wcześniej.

Nie widziałam tam sprzedawców kwiatów na rogach ani dziewczyn w sandałach i letnich sukienkach. Przeważali mężczyźni, powściągliwi, ubrani w ciemne trzyczędowe garnitury, równie ponure jak te zimowe. Chodzili pospiesznie w swoich lśniących butach, zawsze czarnych, zgodnie ze ścisłą regułą *no brown in town*: założenie brązowych zamieniłoby każdego mężczyznę z dzielnicy finansowej w zwykłego biedaka. Nieliczne kobiety, domyśliłam się, że sekretarki zmierzające gdzieś, by załatwić jakąś sprawę, również ubierały się skromnie, zarażone przez swoich przełożonych i otoczenie. W moim kapeluszu *sinamay*, jasnych rękawiczkach i cienkim *tailleur* poczułam się nagle tak, jakbym zamiast z taksówki wysiadła z innej galaktyki.

Niejaki Gregory Sacks zaproponował, że spotka się ze mną osobiście we wskazanym przeze mnie miejscu, ale kolejny raz to ja wolałam przyjechać – miałam nadzieję, że fizyczny dystans złagodzi niepokój, który trawił mnie od środka. Mój ojciec i Olivia razem – na rany Chrystusa. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Zresztą wstrząs, jaki przeżyłam, gdy się o tym dowiedziałam, w znacznej mierze zachęcił mnie do zrobienia tego kroku: potraktowałam to jako coś w rodzaju ucieczki do przodu, żeby oddalić się od tej jakże niewygodnej rzeczywistości. Właśnie dlatego poprzedniego wieczoru, podczas gdy Gonzalo, podekscytowany jak dzieciak, przygotowywał się, żeby zabrać moją teściową na kolację do Martíneza, ja wykonałam telefon z mojego pokoju.



Rozmowa była krótka oraz neutralna. Nie miałam najmniejszego pojęcia, z jakiego typu człowiekiem miałam się spotkać twarzą w twarz następnego poranka. Powitał mnie wysoki kościsty mężczyzna około pięćdziesiątki w zwyczajnym garniturze, zwyczajnym krawacie, o zwyczajnej twarzy i niemal przezroczystej skórze. Powściągliwy i niesamowicie poważny. W jego gabinecie, wyglądającym jak przedłużenie jego samego, nie było miejsca na lekkość czy świeżość: nie pozwalały na to ściany wyłożone drewnem, grube zasłony ani orientalny dywan. Najważniejszym meblem było biurko. Za nim stał fotel obrotowy Chesterfield, a przed nim dwa krzesła. Wskazał mi jedno z nich, usiadłam posłusznie.

– Zostaliśmy poinformowani o pani skuteczności operacyjnej, najwyższej dyskrecji i rzetelności.

Jak dużo powiedział Kavannagh, przedstawiając moje referencje temu człowiekowi? Czy tylko o Tęczowej Podróży Evity? O moich zadaniach w Madrycie na rzecz Anglików podczas wojny? O Rosalindzie, Beigbederze i odległym spotkaniu z Hillgarthem w American Legation? Ani ja nie zapytałam, ani on nie ujawnił, ile wie.

– W związku z tym uważamy, że może być pani odpowiednią osobą, żeby sprostać pewnym zadaniom dotyczącym niezwykle delikatnej sprawy. Nie chcąc przytłaczać pani teraz szczegółami, mogę powiedzieć, że rzecz dotyczy czegoś, co ma związek z bardzo konkretną polisą ubezpieczeniową. Polisą, która zaburza nasze tradycyjne schematy, zarówno jeśli chodzi o charakter przedmiotu, którym ma być objęta, jak i samo otoczenie.

Znowu przytaknęłam, chociaż nie miałam zielonego pojęcia, do czego zmierzał ten niejaki Sacks ze swoim wywodem.

– Pozwoli pani, że najpierw nakreślę tło. Przypuszczam, że słyszała pani o rodzinie Romanowów.

Rosjanie, owszem. Chociaż w szkole spędziłam tylko kilka lat, miałam wiedzę na ten temat. Tylko co, do diabła, ten powściągliwy Anglik i ja sama mieliśmy wspólnego z carami Rosji?

– Musimy się do nich cofnąć, żeby przedstawić pani kontekst całej sprawy. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej znaczna część wspaniałych klejnotów, jakie dynastia gromadziła przez ponad

trzysta lat, znalazła się w posiadaniu nowej władzy, inne zostały sprzedane na czarnym rynku w samej Rosji, ale były również precjoza, które przepadły bez śladu. Wszystko wskazuje na to, że jakieś chciwe ręce mogły je rozmontować, żeby sprzedać pojedynczo, kamień po kamieniu.

Mój podbródek poruszył się powoli w górę i w dół jako znak, że nie zgubiłam wątku.

– Poza tym – ciągnął – istnieje także znaczna liczba innych klejnotów, które opuściły Rosję i których drogę można było śledzić. Gdy tylko znalazły się poza granicami kraju, duża ich część została sprzedana lub wystawiona na aukcji i dostała się w ręce czasami nabywców anonimowych, a niekiedy osób publicznych: milionerów, gwiazd, a nawet członków innych rodów królewskich. Niektóre z nich są zresztą teraz własnością naszej rodziny królewskiej.

Spokój na mojej twarzy sprawił, że Sacks rozciągnął lewy kącik ust.

– Proszę sobie nie myśleć, że znam sekrety dynastii carskiej, pani Bonnard; o tym wszystkim, o czym pani opowiadam, sam dowiedziałem się całkiem niedawno, z konieczności, w związku z zajmującą nas sprawą.

Przytaknęłam po raz czwarty, piąty albo szósty, straciłam już rachubę.

– I tym sposobem dotarliśmy do naszego celu. Wśród tych klejnotów, które udało się uratować i wywieźć na Zachód, znajdują się te należące do Marii Pawłownej starszej, wdowy po wielkim księciu Włodzimierzu Aleksandrowiczu Romanowie, wuju cara Mikołaja Drugiego. Wygląda na to, że para książęca była w Sankt Petersburgu jedną z najbardziej znaczących na dworze carskim. Kiedy sytuacja stała się trudna, ona zdołała uciec na Krym, zabierając ze sobą tylko trochę codziennej biżuterii. Pozostałą część, tę naprawdę cenną, ukryła w tajnym schowku w pałacu Włodzimierza. Ostatecznie wielka księżna zdołała się przedostać do Wenecji. Była ostatnią przedstawicielką Romanowów, która opuściła rosyjskie terytorium.

Zrobił pauzę i zmienił ton.

– Brzmi jak powieść, prawda? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami, nie miałam odpowiedzi. Kontynuował zatem swój monolog.

– Tymczasem pewien brytyjski antykwariusz, ekspert w dziedzinie sztuki i znajomy rodziny królewskiej, niejaki Albert Spotford, zdołał przedostać się do pałacu ubrany jak zwykły pracownik, potajemnie odzyskał klejnoty, włożył je do dwóch dużych skórzanych toreb i przywiózł do Londynu, gdzie na wygnaniu mieszkały dzieci wielkiej księżnej. Kilka lat później, po jej śmierci, rodzina podzieliła rodzinne pamiątki i każdy zrobił ze swoją częścią, co mu się podobało; niektóre klejnoty zostały w rodzinie, inne, te najcenniejsze, zostały sprzedane. Na przykład mityczna tiara Włodzimierza jest teraz własnością królowej Mary. A okazały szmaragdowy komplet, który wielka księżna otrzymała w prezencie ślubnym od swojego teścia, cara Aleksandra Drugiego, trafił w ręce jubilera Pierre'a Cartiera za nieujawnioną na razie kwotę, ale z ubezpieczeniem na bardzo wysoką sumę.

Na biurku Sacksa leżała bordowa skórzana teczka, którą teraz delikatnie otworzył. Wyjął z niej fotografię wielkości kartki i mi ją podał.

– Tak wyglądały te legendarne szmaragdy wielkiej księżnej Marii Pawłownej, kiedy zostały wywiezione z Rosji. Mówi się nawet, że w przeszłości mogły należeć do Katarzyny Wielkiej.

Czarno-biała fotografia nie przeszkodziła mi dostrzec, że było to coś pięknego i wytwornego, czego nigdy przedtem nie widziałam. Okazała broszka z wielkim sześciokątnym szmaragdem i naszyjnik z dużą liczbą kamieni.

– Żeby pozbyć się tego dość majestatycznego wyglądu i przystosować do obecnie panującej mody, Cartier po zakupie przerobił ten długi naszyjnik na styl art déco. Na taki naszyjnik mówi się *sautoir*. Do tej pory nie znałem tej nazwy, proszę wybaczyć moją ignorancję.

Podał mi drugą fotografię. Rzeczywiście, te same kamienie tworzyły teraz zupełnie inną kompozycję: przepiękny długi naszyjnik w stylu lat dwudziestych, z dużym szmaragdem w najniższej części, a reszta ułożona według rozmiaru do najmniejszego.

– To dzieło nabyła Edith Rockefeller McCormick, ekscentryczna milionerka z Chicago. Szacuje się, że zapłaciła za nie prawie pół miliona dolarów. Mówiąc „ekscentryczna”, powtarzam jedynie opinię innych, proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie jestem osobą skłoną do pochopnego oceniania ludzi. Podkreślam ten szczegół dlatego, że zostało klinicznie stwierdzone, iż ta pani uważała siebie za reinkarnację faraona Tutanchamona.

Nie wiedziałam, czy parsknąć śmiechem, czy uciekać. To wszystko, co opowiadał, było tak niebywałe, tak ekstrawaganckie i tak zupełnie mi obce, że nagle odniosłam wrażenie, jakbym znalazła się w środku jakiejś operetki. Tajne schowki skrywające skarby, przebrani antykwariusze, którzy zabierali je na piękne oczy, i szaleni Amerykanie, którzy uważali się za egipskich faraonów. Do tego ten wysoki i poważny mężczyzna o niemal woskowej twarzy, opowiadający mi o tym wszystkim w dusznym londyńskim gabinecie, do którego prawie nie wpadało światło, mimo że było piękne lipcowe przedpołudnie. Co ty tam robisz, dziewczyno? – wyrzuciłaby mi moja matka. Przestań wysłuchiwać tych bzdur, w tej chwili idź po swojego syna, oderwij ojca od tego skorpiona, twojej teściowej, i wracaj do domu. Do domu. Tak by mi nakazała Dolores, krawcowa z ulicy Redondilla, zawsze bezpośrednia i pragmatyczna. Do domu. Jakbym wiedziała, gdzie to jest.

Nieświadomy moich myśli Sacks kontynuował swoją opowieść.

– Żeby dopełnić sekwencję zdarzeń i połączyć je z teraźniejszością, szmaragdy zostały odkupione przez Cartiera po rozwodzie wyżej wymienionej właścicielki. Podobno wróciły do Europy oddzielone od naszyjnika i wysłane w sposób, powiedzmy, mało ortodoksyjny. Wie pani jak?

Uniosłam brwi. Nie, nie miałam pojęcia, jaka nowa niedorzeczność miała wyjść z jego ust.

– Jak się wydaje, zostały ukryte w ładunkach herbaty, w ładowniach dwóch statków towarowych. Jednym z nich przyplłynął główny kamień, a pozostałe drugim. Mówi się, że majątek właścicielki zaczął się kurczyć i wołała uniknąć problemów związanych z cłem, ubezpieczeniem i podatkami. Po tym, jak szmaragdy ponownie znalazły się w rękach jubilera, zostały znowu

sprzedane. Kompozycję tworzy teraz jedynie siedem kamieni. Nadano im kształt ośmiokąta i projektant domu Cartier, niejaki... – Podniósł z biurka wizytówkę i przeczytał na głos. – Niejaki Lucien Lachassagne stworzył coś zupełnie innego. Decyzją nowej nabywczynie teraz kamienie tworzą tiarę, którą można nosić także jako kolię, proszę spojrzeć...

Do moich rąk trafiła trzecia fotografia.

– Ze względu na brak kolorów nie widać tego wyraźnie, ale oprawa jest z żółtego złota, a nie z platyny jak wcześniej. Jak się wydaje, projekt jest inspirowany sztuką hinduską, w koronach dynastii...

– Panie Sacks?

Podniósł na mnie oczy, zaskoczony.

– Czy mógłby mi pan wreszcie wyjaśnić, do czego jestem potrzebna?

– Przepraszam, przepraszam – wymamrotał. – Za bardzo odbiegam od tematu. Skoncentrujmy się, tak. Pomimo przydługiego wstępu myślę, że jest dla pani jasne, że nie jestem specjalistą od biżuterii, tylko od ubezpieczeń. Nie znam się na czystości ani pięknie, na wycinaniu, rzeźbieniu, ani nawet na karatach. Moim zmartwieniem są wyłącznie liczby: ile mogę zaryzykować, żeby coś się opłacało. A ponieważ zaoferowano nam możliwość ubezpieczenia tych szmaragdów, w Brax Insurance oceniamy limit odpowiedzialności. I w tym celu musimy znać sposoby zabezpieczenia mienia.

– A co ja miałabym z tym wspólnego?

– Zostaliśmy poinformowani, że następnym miejscem docelowym szmaragdów, przynajmniej na pewien czas, będzie Tanger. Ich właścicielka nabyła tam właśnie pałac i zamierza włożyć klejnoty na jego inaugurację. I właśnie ten szczegół nas niepokoi. Dlatego zanim się zaangażujemy, musimy dokonać wyczerpującej oceny ryzyka.

– Mógłby pan mówić jaśniej?

Odchrząknął, gotowy przejść do rzeczy.

– Potrzebujemy drobiazgowej analizy pałacu Sidi Hosni, jego otoczenia i specyfiki. Musimy wiedzieć, kto będzie się obracał w tym kręgu, począwszy od służby po ewentualnych sporadycznych gości odwiedzających rezydencję. Bylibyśmy również zainteresowani, by

poznać charakter przyjęcia, które ma zostać wydane, oraz mnóstwem innych szczegółów, które musimy wziąć pod uwagę przy ocenie granic naszej polisy.

Wreszcie. A więc o to chodziło, wreszcie zrozumiałam. Nie było już żadnych oficjalnych interesów ani kwestii, które mogłyby doprowadzić do konfliktów między krajami. Teraz chodziło o zwykłą sprawę natury finansowej.

– I państwo chcą... żebym to ja sporządziła raport na ten temat?

– Tak. Żeby pani przeniknęła do tego środowiska i przekazała nam wszelkie informacje. Później, wzięwszy pod uwagę specyfikę i potencjalną podatność na zagrożenia tego miejsca, podejmiemy własne decyzje. Pod warunkiem, że zgodzi się pani, w zamian za swoją pracę, na wynagrodzenie w wysokości dwóch i pół tysiąca funtów.

Ukradkiem przełknęłam ślinę. To była ogromna suma.

– Proszę pozwolić, że będę z panią szczerą, pani Bonnard. Firma Brax Insurance jest żywotnie zainteresowana tą klientką. Choć urodziła się w Nowym Jorku, ma coraz więcej interesów i nieruchomości w Wielkiej Brytanii i na kontynencie europejskim. I mimo że jej dotychczasowy ubezpieczyciel pochodzi z Nowego Jorku, liczymy na to, że stopniowo przejmemy ubezpieczenie jej majątku, znacznie rozszerzając dla niej ofertę. Żeby jednak określić podstawy naszej współpracy w optymalny sposób, na początku, w przypadku tej tiary ze szmaragdami, chcemy zachować ostrożność. Widzi pani...

Przerwałam mu. Nie obchodziła mnie jego firma ani jej procedury. Musiałam wiedzieć co innego.

– A przewidują państwo dla mnie jakiś konkretny rodzaj... powiedzmy, pretekstu albo przykrywki czy fortelu, żebym mogła się zbliżyć do naszego celu?

Kiedy najpierw miałam zamienić się w marokańską krawcową, a później zostać fałszywą dziennikarką BBC, ktoś wymyślił to za mnie. Ktoś z góry zdecydował, pod jaką przykrywką mam się chronić. Sektor ubezpieczeń okazał się jednak znacznie mniej pomysłowy.

– Pozostawiamy to pani wyborowi. Ufamy, że sama znajdzie pani najlepszy sposób.

Zaczęło mi się robić gorąco, kusiło mnie, żeby podejść do okna, jednym pociągnięciem przesunąć zasłony i wpuścić powietrze. Ale nie ruszyłam się z krzesła.

– Został jeszcze ostatni szczegół – powiedziałam zamiast tego. – Nie wspomniał pan nazwiska obecnej właścicielki szmaragdów i pałacu w Tangerze.

– Racja. Jak rozumiem, nie mieszka pani na stałe w Wielkiej Brytanii, ale może słyszała pani o domach towarowych Woolworths.

– Tak, oczywiście.

W jednym z tych sklepów kilka miesięcy wcześniej kupiłam parę rzeczy dla Víctora.

– W takim razie z łatwością znajdzie pani powiązania. Mówimy bowiem o Barbarze Hutton, dziedziczce tego imperium.

Tanger ukazał się moim oczom biały i kompaktowy, odcięty od jasnego nieba niczym mnóstwo małych stłoczonych kostek. Choć się starałam, nie mogłam nie przypomnieć sobie innego, podobnego przyjazdu. Minęło jedenaście lat i kilka miesięcy, odkąd Ramiro i ja przepłynęliśmy Cieśninę Gibraltarską w tym samym kierunku, kiedy byłam posłuszną i naiwną młodą dziewczyną. Teraz nie podróżował ze mną żaden mężczyzna, miałam ze sobą syna, nianię i ogromny bagaż. Oraz rany na duszy. I konkretne zadanie.

Wzruszyłam się, rozpoznawszy postać, która witała nas z pomostu, energicznie machając rękami. Ubrany w brązowy lniany garnitur z fantazyjną muszką i w nowych okularach, stał tam Félix Aranda, mój sąsiad z czasów atelier przy Sidi Mandri. Przez te wszystkie lata nie straciliśmy kontaktu, wiedziałam, że po śmierci matki przeprowadził się z Tetuanu do Tangeru, że pracuje w jakimś biurze i próbował – gdy inspiracja i życie mu na to pozwalały – stawiać pierwsze kroki w świecie sztuki. Wysłałam mu z Londynu telegram, informując o naszym przyjeździe.

– Cóż za radość znowu cię widzieć, królowo nieudolnych podróbek!

Nie zdołałam powstrzymać śmiechu; tak właśnie nazywał mnie w tamtych czasach, kiedy próbował nauczyć mnie sposobów, sztuczek i zabiegów, żebym mogła oszukiwać moje klientki, podając się za kosmopolityczną i elegancką krawcową, którą oczywiście nie byłam.

Félix rozdawał uściski, rzucał komplementy i pochwały, krzyknął po arabsku do bagażowych, żeby zajęli się naszymi walizkami. Godzinę później piliśmy razem gin fizz na tarasie hotelu Cecil. Zawsze był ciekawski, więc nie przestawał zasypywać mnie pytaniami.



- A nasza kochana Mrs Fox? Masz wieści od Rosalindy?
- Próbowałam ją znaleźć, ale bezskutecznie.
- Gołębica odleciała...
- Właśnie, tylko nie mam pojęcia dokąd.
- A nasz drogi Wysoki Komisarz? Są o nim jakieś wieści? Nie wspominają już o nim w gazetach.
- O Beigbederze też nic nie wiem.

Pociągnęliśmy łyk ginu zmieszanego z sokiem z cytryny, a potem milczeliśmy, jakbyśmy byli skupieni na plaży u naszych stóp albo na linii hiszpańskiego wybrzeża po drugiej stronie Cieśniny. Nasze myśli wróciły jednak do czasów, kiedy moja przyjaciółka i jej kochanek tworzyli najbardziej kontrowersyjną parę w protektoracie: młoda, wyzwolona Angielka i dojrzały frankistowski wojskowy, wpływowy, intrygujący i nieco ekscentryczny. Osiągnęli chwałę i przeciwstawili się frankistowskiemu establishmentowi, po czym zostali strąceni do piekła. On skończył jako zepsuta zabawka, ona być może zdołała odmienić swój los.

- A to, co spotkało Marcusa, moja droga...

Félix o wszystkim wiedział, może dlatego nie dokończył zdania, jedynie podniósł swoją szklankę, jakby wznosił toast za mojego nieżyjącego męża. Zrobiłam to samo, starając się, by zza okularów przeciwsłonecznych nie wymknęła się łza.

- No dobrze, dajmy już spokój wspominkom i przejdźmy do rzeczy praktycznych. Opowiadaj, przyjechałaś tylko na wakacje jako lady w pełnym znaczeniu tego słowa czy zamierzasz tu zostać?

Wyprostowałam zagniecenia mojej białej bawełnianej sukienki, dobierając słowa.

- Przyjechałam między innymi po to, żeby zaproponować ci coś w rodzaju współpracy.

Spojrzał na mnie łobuzersko. Owszem, utrzymywaliśmy kontakt przez te wszystkie lata, ale tylko sporadyczny. Nigdy nie wspominałam mu o zadaniach, jakie wykonywałam dla Brytyjczyków, ani nie wyjawiałam prawdy, jaka kryła się za rzekomymi dziennikarskimi obowiązkami Marcusa. Félix był jednak bystry, z pewnością domyślał się znacznie więcej, niż mu mówiłam.

– I czego ode mnie oczekujesz? Że będę robił ściegi i zakładki? Albo szkice, jak tamten strój do tenisa? Pamiętasz?

– Żebyś został kimś w rodzaju asystenta, to ci właśnie proponuję.

Echo śmiechu rozniosło się po tarasie, kilka głów odwróciło się w naszą stronę. Cecil był hotelem o nieco dekadentckim dziewiętnastowiecznym charakterze, zwrócony w stronę morza, pełen turystów, głównie Brytyjczyków, może trochę podstarzałych, ale niewątpliwie dystyngowanych – z gatunku tych, którzy nie zamierzali rezygnować ze swoich letnich nawyków.

– Ćśśś, przymknij się, Félix! Posłuchaj mnie uważnie. Jestem tutaj po to, żeby wykonać pewne zadanie. W tym celu potrzebuję pomocy, wsparcia, znajomości. I chciałabym, żebyś wyciągnął do mnie przyjacielską dłoń.

– Jedną dłoń, drugą dłoń, jedną stopę, drugą stopę... Czego tylko potrzebujesz, królowo.

– Doskonale. A teraz powiedz mi, jak dobrze znasz obecny Tanger, oprócz swojego otoczenia?

– Mojego otoczenia? Jakiego otoczenia? Odkąd umarła moja matka i przeniosłem się z Tetuanu, jestem wolnym elektronem, moja droga. Nic mnie z nikim nie łączy. Chodzę tu i tam, poruszam się, jak chcę...

– *Wonderful, my dear.* Zostałeś przyjęty. A teraz po kolei. Po pierwsze chcę, żebyś pomógł mi znaleźć dom, podczas gdy ja wybiorę się na parę dni do Tetuanu, żeby zobaczyć się z matką.

Zdumiony otworzył usta tak szeroko, że prawie zobaczyłam języczek w jego gardle.

– Naprawdę zamierzasz kupić sobie...?

– Nie kupić, oszalałeś? Po prostu wynająć. Dom na kilka miesięcy; nie wiem, jak długo zostaniemy, ale wolę być przezorna. Dom z ogrodem, ze względu na dziecko. Umeblowany, przestronny, wygodny, piękny.

– Dobra, rozejrzę się i dam ci znać. Ale podobno ceny strasznie poszły w górę, uprzedzam cię. Odkąd wynieśli się Hiszpanie i skończyła się wojna światowa, zaczęła się zabawa i niedługo będziemy tu mieć Monte Carlo.

Usłyszałam wtedy jedną z jego osobliwych lekcji, tak jak podczas tamtych tetuańskich wieczorów, kiedy pokonywał półpiętro oddzielające nasze mieszkania i siadał w moim salonie, zostawiwszy swoją matkę śpiącą, odurzoną anyżówką. Ja cały czas szyłam zamówione stroje, podczas gdy on, nieustrudzony, opowiadał mi o amerykańskim kinie albo wielkich postaciach literackich, przekazywał mi plotki o naszych sąsiadach, sławnych ludziach, mówił o tym, co się działo na świecie, o błahostkach, perturbacjach własnych i cudzych.

– Odwołując się do tekstu zapisanego drobnym drukiem w dokumentach nadających Tangerowi status miasta międzynarodowego, Franco zaraz po wybuchu wojny w Europie przysłał tu nasze waleczne hiszpańskie wojsko na jakiś czas, a swoim przyjaciołom nazistom pozwolił robić, co im się żywnie podoba. Nagle wraz z frankistowskimi przepisami wszystko się zhiszpańszczyło, nawet kontrolowano używanie języków innych niż arabski i hiszpański. Zabroniono zabawy i wypleniono życie nocne, które było wizytówką miasta. Wprowadzono ograniczenia, jakich nigdy tu nie widziano, i atmosfera zrobiła się znacznie bardziej przygaszona i duszna. Rozumiesz, o czym mówię? Iberyjski purytyzm, Bóg jedyny i ramię w górze.

Oczywiście zupełnie inny obraz miasta widziałam teraz z mojego wiklinowego krzesła. Plaża była pełna ludzi w jasnych strojach kąpielowych, kolorowych leżaków i parasoli. Na tarasach siedziało mnóstwo klientów, a liczne nowoczesne samochody przejeżdżały aleją España pośród palm.

– Na szczęście krótko przed końcem wojny – ciągnął Félix – caudillo zdał sobie sprawę z tego, że alianci pewnie wygrają, i nakazał swoim żołnierzom, żeby przestali dręczyć ludzi. Przywrócono w Tangerze przywileje i uprawnienia przysługujące miastu o statusie strefy międzynarodowej. A to w połączeniu z końcem konfliktu sprawiło, że miasto znowu żyje, sama widzisz. Wszyscy mówią, że mieszkamy w najlepszym Tangerze w historii. Boskim, dostatnim, cudownym. Pełno tu teraz banków, agencji importowo-eksportowych, nowych lokali... Podczas gdy Europa jest zniszczona i umiera z głodu, my jesteśmy bliskim i cenionym

punktem na mapie. Podobno nawet jakaś amerykańska multimilionerka kupiła sobie tutaj pałac, że fiu, fiu!

– Czyżby? – wymamrotałam. Wolałam na razie nie zagłębiać się w szczegóły. – Dobrze, Féliksie, teraz musimy się zbierać. Będzie jeszcze czas, żeby porozmawiać o milionerkach i pałacach, na razie musimy się zorganizować...

Pół godziny później Víctor, Phillipa i ja wyruszyliśmy taksówką do Tetuanu. Mieliśmy ze sobą tylko dwie walizki, reszta została w przechowalni w hotelu Cecil: pozostałe walizki, kufer, moje radio i kilka paczek z ostatnimi zakupami, które zrobiłam w Londynie. Chociaż w Tangerze były teraz nowocześniejsze i lepsze hotele, ten obiekt, którego świetność już minęła, idealnie nadawał się jako punkt wyjścia.

Ze ściśniętym gardłem znowu jechałam drogą łączącą Tanger z Tetuanem, której każdy zakręt przywracał wspomnienia. Straszna podróż „Walencjanką”, kiedy moja pierwsza ciąża skończyła się poronieniem. Jazda wte i wewte kabrioletem Rosalindy, żeby najpierw negocjować dług, jaki Ramiro zostawił na moje nazwisko w Continentalu, a później wybłagać interwencję brytyjskiego konsula, żeby pomógł mojej matce opuścić Madryt i przedostać się do Maroka. Wolne dni, wycieczki z Marcusem.

Pozbierałam się, gdy w tle zobaczyłam miasto. Przeciągnęłam chusteczką pod oczami, na wypadek gdyby tusz do rzęs wymieszany z emocjami zostawił na twarzy zdradliwy ślad.

– Mohamed Torres siedemnaście – poinformowałam taksówkarza.

Matka czekała na nas na balkonie. Dzwoniłam wcześniej do Casa Ros, pobliskiego sklepu, gdzie zostawiłam wiadomość, że przyjedziemy koło ósmej, ale ona prawdopodobnie czuwała już od sjesty. Wszystkie łzy, które zdołałam powstrzymać przy Féliksie na tarasie hotelu Cecil i później w czasie jazdy, teraz się wylały, kiedy miałam ją przed sobą. Moja matka stała w fiołkowej sukience, bez śladu makijażu. Hart ducha w ludzkiej postaci, głos mojego sumienia. Godność z imieniem i nazwiskiem, kobieta, która sama sprowadziła mnie na ten świat i wychowywała mnie z poświęceniem, aż ja, jej dziecko, postanowiłam odsunąć się od niej, żeby pójść za pewnym kretyńcem. Moja matka, Dolores, zawsze taka spokojna,

teraz obdarowywała mojego syna pieszczotami, trzymając mnie jednocześnie za ramię, niemal wbijając mi paznokcie w skórę. Jakby się bała, że znowu ucieknę.

Mieszkanie było skromne i bardzo czyste, z prostymi meblami; okrągły stolik, kuchnia węglowa i franki z muślinu. Jej mąż, Sebastián, okazał się człowiekiem spokojnym i milczącym. Był wdowcem, właśnie przeszedł na emeryturę po latach pracy na poczcie. Pochodził z Granady, ale mieszkał w protektoracie od czasów pacyfikacji w latach dwudziestych.

Wszyscy wyszliśmy z Víctorem na spacer – ulicą Generalissimusa w górę, ulicą Generalissimusa w dół – aż do plaza de España, później powrót na plac Primo. Oni pozdrawiali ludzi, moja matka nie kryła dumy, pokazując swojego wnuka spotykanym znajomym, podczas gdy ja wracałam do miejsc z mojego dawnego życia, poruszając co chwilę uśpione fale nostalgii. Pod wieczór Tetuan zapełnił się ludźmi, miasto wyglądało pięknie ze swoimi białymi fasadami, przebłyskami zieleni i tym jakże wyjątkowym światłem. Pary, całe rodziny, grupki przyjaciół, gdzieś tam wojskowi z oddziałów piechoty, artylerii, lotnictwa i Regulares<sup>2</sup>: wszyscy bez pośpiechu przemierzali ulice albo siadali na tarasach barów i kawiarni, żeby napić się soku z kruszonym lodem albo piwa, zjeść lody w La Glacial albo zwykłe pestki czy suszone owoce. A między nimi Maurowie w swoich dżelabach i Mauryjki otulone haikami. Zjedliśmy słynne szaszłyki w kafejce nieopodal Wysokiego Komisariatu. Musiałam się zdobyć na ogromny wysiłek, żeby między kolejnymi kęsami nie zadławić się melancholią.

Byłoby znacznie wygodniej, gdybyśmy się zatrzymali w hotelu Nacional albo Dersa, nie chciałam jednak marnować wysiłków mojej matki. Jedna z sąsiadek pożyczyła jej kołyskę dla Víctora – miała już ją przygotowaną z nieskazitelną, świeżo wyprasowaną pościelą. Mnie przypadło wąskie łóżko w tym samym pokoju, a Phillipie coś w rodzaju rozkładanej kanapy w pomieszczeniu gospodarczym, gdzie stały maszyny do szycia – ta, której używała matka, i moja – czyste i milczące, zatrzymane w czasie. W pewnym momencie, kiedy nikt

mnie nie widział, a domowe zamieszanie toczyło się na drugim końcu korytarza, powoli przesunęłam po nich ręką.

Dzień był długi, byłam wykończona. Mimo to wykrzesalam siły i kiedy reszta poszła już spać, zostałam z matką, żeby porozmawiać. Balkon w jadalni był otwarty na oścież, naprzeciwko nas niebo pełne gwiazd, imponująca sylwetka Gorgesu w tle.

– A co u twojego ojca? Widziałaś się z nim ostatnio?

Ubolewałam nad tym, ale Gonzalo został w Londynie. A konkretnie na The Boltons, zakwaterowany w tym samym pokoju, który ja zajmowałam przedtem przez kilka miesięcy. Kiedy poinformował mnie o swojej decyzji, nie dawałam wiary. Ale jak to? Ty, ty, ty... Jąkałam się.

– Jak możesz wprowadzić się do domu tej... tej... tej...

– Jako zwykły gość, Siro – przekonywał. – Olivia mi to zaproponowała i uważam, że to jest dobry pomysł. Wygodniej i taniej niż w hotelu i w ten sposób dotrzemy sobie nawzajem towarzystwa.

W purytańskiej Hiszpanii taka sytuacja byłaby niedopuszczalna: kobieta i mężczyzna niepołączeni świętym węzłem małżeńskim nigdy nie mogliby zamieszkać pod jednym dachem. A tym bardziej gdy chodziło o porządnych obywateli, dojrzałych, konserwatywnych i formalnie mieszczan. Nawet w Londynie, mieście bardziej postępowym niż Madryt, taki układ również zakrawał na szaleństwo.

– Więc nie zamierzasz jechać do Fuenterrabii? – zapytałam, próbując namówić go do zmiany zdania.

– Zobaczymy później – odpowiedział wymijająco.

Postanowiłam dłużej nie nalegać. Nie powiedziałam mu też nic o zawłościach testamentu Marcusa. Gdybym tylko chciała, mogłabym zakończyć tę całą nedorzecznosc, powołując się na moje prawa do własności domu. Dominic Hodson załatwił wszystkie formalności, zanim wrócił do Nairobi. Ale nie pisałam na ten temat słowem ani nie kiwnęłam palcem: ograniczyłam się jedynie do zjedzenia z nimi pożegnalnej kolacji w jadalni, w której wcześniej tyle razy siedziałam. Sama przyniosłam wino i jedzenie, które kupiłam w Fortnum & Mason, i po kryjomu wniosłam je do kuchni, żeby później Gertrude podała je do stołu. Wolałam nie być tą, która

wywoła rozczarowanie u ojca podczas naszego ostatniego wspólnego wieczoru, ufałam, że zajmie się tym rzeczywistość.

W każdym razie podczas wieczornej rozmowy z matką Gonzalo Alvarado i Olivia Bonnard byli bardzo daleko.

– Czuje się dobrze – odpowiedziałam krótko. Uznałam, że dalsze wyjaśnienia nie są konieczne. – Starzeje się, tak jak każdy, ale wszystko u niego w porządku.

Następnego poranka jedliśmy jeszcze śniadanie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył Sebastián.

– Gdzie są te najpracowitsze dłonie całej Afryki, gdzie ta najlepsza krawcowa na świecie? I gdzie jest to dziecko, które zaraz zacałuję na śmierć?!

Osobą, która krzyczała donośnie, idąc korytarzem i stukając obcasami, mogła być tylko Candelaria: gadatliwa, bezpośrednia i urocza szmuglerka.

– Wczoraj wieczorem się powstrzymałam, by do was nie przyjść, nawet poszłam do fryzjera! Ale nie chciałam być nietaktowna i przeszkadzać rodzinie. Dziś rano, ledwie otworzyłam oczy, powiedziałam sobie: dosyć tego czekania!

Skończyła swoją gadkę akurat w tej samej chwili, gdy stanęła w drzwiach jadalni, wreszcie miałam ją przed sobą. Starsza, tęższa, z ustami pomalowanymi na moją cześć i wyświechtaną torebką wciśniętą pod pachę. W rękach trzymała paczkę słodkich *churros*. Moja gospodyni jako żywa, jak zawsze wspaniała. Okazało się, że w pensjonacie przy La Luneta zostały, niczym wrak po katastrofie, już tylko dwie zasuszone siostry jeszcze z moich czasów.

– Pozostali goście – wyznała, uściskawszy mnie – albo wyjechali, albo pomarli. A nowych przybywa bardzo niewiele.

Dzień spędziłyśmy razem. Matka i Candelaria kłóciły się o to, która będzie pchać wózek z Víctorem po ulicy. Mój syn, początkowo nieco osaczony, stopniowo nabierał zaufania i wtedy zaczął pokazywać, jaki jest uroczy, robić miny, a one śmiały się, pękając z dumy. Późnym popołudniem nadszedł czas wyjazdu z Tetuanu. Osiem, dziesięć, dwanaście razy musiałam powtarzać matce, że nie

możemy zostać dłużej, ale żeby się nie martwiła, żeby nie cierpiała, bo będziemy się stale widywać przez całe lato. Nie była zbyt przekonana i z trudem zdołała to ukryć.

Taksówka już ruszała, kiedy Candelaria uderzyła parę razy w dach i krzyknęła do mnie przez otwartą szybę.

– Poszukaj mi w Tangerze męża albo pracy, albo co ci tam przyjdzie do głowy, dobrze, Sirita? Człowiek jest w dużej potrzebie i przyjmie wszystko, kochanieńka.



Odrzuciłam pierwszy dom, który obejrzałam z Félixem. Znajdował się na Monte Viejo, był własnością żony holenderskiego urzędnika, który gdy został wdowcem, wolał wrócić do ojczyzny. Dom był jednak przygotowany na jego ewentualny powrót, gdyby mu się kiedyś zachciało, gdyby miał dosyć deszczu i zatęsknił za jasnym niebem nad Cieśniną. Niewątpliwie był to dobry dom, duży, z terenem dookoła, ale odrzuciłam go też ze względu na położenie, zbyt daleko od centrum. Nie podobało mi się to, że Víctor miałby zostawać tu sam z Phillippą, podczas gdy ja kręciłabym się po Tangerze.

Później obejrzelśmy willę w dzielnicy Marshan, własność zamożnej żydowskiej rodziny, na końcu alei Doctora Cenarra. Cudowna, otoczona ogrodem z bugenwillami i palmami, wzięłabym ją od razu, gdyby nie to, że była pusta, przeznaczona dla jakiegoś najemcy, który zapełni ją własnymi meblami. Trzecia opcja na szczęście okazała się trafiona. W strefie nowych zabudowań, bardzo blisko Szpitala Włoskiego oraz klubu, którego wcześniej nie znałam. Dopiero co otwarty, powiedziano mi, i często zaglądają do niego Amerykanie, których od zakończenia wojny jest tutaj mnóstwo. Wystarczyło, że zobaczyłam basen sąsiedniego klubu, Parque Brooks, by stwierdzić, że to byłoby idealne miejsce dla mojego syna i Phillippy podczas moich nieobecności. Woda, cień, ludzie dookoła, restauracja. Tego samego popołudnia opuściliśmy dekadentcki hotel Cecil i się wprowadziliśmy.

Wszędzie mieliśmy aż nadto miejsca w tej pięknej willi z wysokimi oknami, sztukaterią na sufitach i chłodnymi płytkami w geometryczne wzory w pokojach. Budynek był nowy, mebli niewiele, ale od razu poczuliśmy się jak u siebie. Ku uciesze Víctora dwa koty, które kręciły się po ogrodzie, również zostały

mieszkańcami naszego domu. Podczas gdy ja układałam w szafach ubrania i inne rzeczy, Félix, gorliwie wypełniający swoją funkcję asystenta, pojawiał się co chwilę z niespodziewanymi nabytkami, a to z dwoma hamakami na portyk, a to z prowiantem na pierwsze dni czy z pięknymi lampionami do postawienia na schodach. Kończyłam już układać rzeczy w ostatnich szufladach, gdy zjawił się z kolejnymi zdobyczami: dwiema młodymi Mauryjkami w białych chustach na głowach.

– Twój nowy korpus domowy, kochana.

Wolałam nie protestować i nie mówić mu, że wystarczyłaby jedna para rąk do pomocy. Obie zostały u mnie na służbie – były jak moja słodka Jamila w czasach Tetuanu, czy jak nasza droga Sharifa, która tyle dla nas zrobiła, kiedy przeprowadziliśmy się do Austrian Hospice na Starym Mieście w Jerozolimie. Wracając do swoich zadań, próbowałam uwolnić się od tęsknoty. Po dwóch godzinach skończyłam już wszystkie prace domowe.

– Wyjdźmy na kolację – zaproponował Félix.

Nie miałam ochoty ani siły. Zjadłabym cokolwiek – kawałek arbuza, pomidora z dressingiem – i z radością rozmawiała z moim starym przyjacielem pod gwiazdami na jednym z hamaków, które sam przyniósł, beztroska, bez śladu makijażu i z rozpuszczonymi włosami. Miałam jednak świadomość, że powinnam zacząć wychodzić. Właśnie zamknęłam najpierw rozdział nostalgii, a następnie rozdział zakwaterowania. Koniec obydwu. Czas otworzyć kolejny.

Ubrałam się, starannie umalowałam i uczesałam. Skoro to pierwsze towarzyskie wyjście na nowym etapie życia, musiałam zdobyć się na wysiłek i dać się porwać Félixowi. Wybrał taras Le Parade, kolejnego nowego lokalu; domyśliłam się, że to jeden z jego ulubionych. Zapewnił mnie, że teraz jest to najbardziej eleganckie z najbardziej eleganckich miejsc w Tangerze.

Le Parade mieścił się w willi przy ulicy Fez zamienionej na restaurację, z ogrodem, białym ogrodzeniem, gęstą roślinnością i około dwudziestoma małymi stolikami ze świeczkami. Pianista

umilał atmosferę, marokańscy kelnerzy w czerwonych fezach poruszali się zwinnie ze swoimi tacami. Klientela była zróżnicowana, sądząc po językach i ubiorach. Francuski, angielski z akcentem brytyjskim lub amerykańskim, trochę hiszpańskiego, gdzieś tam przebijał się włoski. Obraz całego miasta w małej skali.

Félix jednak z nikim się nie przywitał. I wyglądało na to, że jego też nikt nie znał. Nie kryłam zdumienia – na podstawie tego, co pisał w swoich listach, ze względu na żywiołowość, z jaką mnie powitał, oraz na to, jak mówił o tych czy tamtych, wywnioskowałam, że ma tu liczne znajomości, że nie brak mu przyjaciół ani kontaktów. Zdziwiło mnie, że w tym barwnym gronie jest zupełnie niezauważany. Mimo to udawałam, że skupiam się na menu, w oczekiwaniu na to, jak się rozwinie wieczór.

Zdecydowałam się w ciągu kilku sekund, chciałam tylko solę. Jemu natomiast wybór zajął dłuższą chwilę, nie odrywał wzroku od karty, z największą uwagą czytał nazwy dań, jak gdyby się nimi delectował, wahając się i zmieniając zdanie, aż wreszcie wybrał *tournedos Rossini*. Następnie przesylabizował słowo *champagne*, a gdy skończył, położył ręce na obrusie i zafascynowany obserwował otoczenie i scenerię.

– Ooooch, spójrz... – wyszeptał. – Ten w żółtej marynarce i jedwabnej chustce na szyi to wielki David Herbert, Anglik, który jest kimś w rodzaju lidera anglosaskiej kolonii. A ta w turbanie to musi być...

– Félixie...

Nie dał mi dojść do słowa.

– I spójrz, spójrz... ten wysoki przystojny blondyn, który idzie w stronę pianina, to chyba jeden z właścicieli tego miejsca, nazywa się Jay Has-jakiś-tam.

– Félixie...

Zero reakcji.

– A tamci przy stoliku w głębi, za fontanną – powiedział niemal bezgłośnie, nie posiadając się z radości – to nowojorscy pisarze. Niedawno przyjechali, wygląda na to, że są bardzo nowocześni i wyzwoleni, mieszkają w hoteliku na Monte, na pewno piszą wspaniałe rzeczy...

- Féliksie, zechcesz mnie posłuchać?
- Wybacz, skarbie. Jestem po prostu taki, taki, taki...
- Słuchaj, czy ty tych wszystkich ludzi nie znasz osobiście?
- Ja? Chciałbym. Wiem, kim są, ale oni obracają się we własnych kręgach.

– A ty w takim razie w jakim?

Moje życie wykonało w ostatnich latach tyle wolt, że w jakiś irracjonalny sposób przyjąłam za pewnik, że oboje, Félix i ja, robiliśmy podobne akrobacje w kwestii obycia towarzyskiego. Pisałam mu w listach o moim życiu w Madrycie, Jerozolimie i Londynie, o przyjęciach, wielkich hotelach, rozmaitych znanych ludziach i dziwnych osobnikach; opowiadałam mu o najbardziej widowiskowej części moich spraw, piana przykrywała to, co przykre. W odpowiedzi z jego listów dowiedziałam się o jego przeprowadzce i sądziłam, że te przenosiny wiązały się z gwałtownym życiowym przeskokiem, że porzucił skromną egzystencję z czasów, gdy mieszkał ze swoją matką, żeby dołączyć do bardziej kosmopolitycznej i wyrafinowanej tangerskiej społeczności. Teraz jednak rzeczywistość zburzyła moje przypuszczenia. Patrząc na zachowanie Félix'a w tym ogrodzie, uzmysłowiłam sobie, że jego przeprowadzka okazała się jedynie fizyczna, była zwykłym przeskokiem geograficznym. Ci wszyscy ludzie, którzy otaczali nas w Le Parade, cudzoziemcy ze swoim hedonistycznym *je ne sais quoi* i ekspatrianci, jedni frywolni, inni poważni, o różnej zasobności portfela, lecz tak samo rzutcy, nie mieli nic wspólnego z moim dawnym sąsiadem. Nic a nic.

– Féliksie?

Nie byłam zachwycona, że psuję mu posiłek i wieczór. Ale musiałam wiedzieć.

– Biuro Zaopatrzenia, wydział statystyczny, od dziewiątej do drugiej i od czwartej do siódmej. A w wolnym czasie, jak już ci mówiłem, próbuję malować, chociaż muszę przyznać, że nie robię zbyt dużych postępów. Ach, i trzy razy w tygodniu chodzę do kina.

Oto i ono, życie mojego sąsiada jak na dłoni. Uwolnił się spod tyranii swojej matki, uciekł z Tetuanu w poszukiwaniu mitu magicznego miasta, a został sam wśród obcych, uczepony równie

nudnej pracy co poprzednia i nie będąc w stanie przedostać się do tych ekstrawaganckich artystycznych kręgów, które tak bardzo podziwiał.

– A zatem nie spotykasz się z tymi wszystkimi ludźmi... – wymamrotałam. Jak gdybym potrzebowała się utwierdzić, że prawda jest radykalnie inna niż moje przypuszczenia.

– Posłuchaj, Sirta – dodał, zostawiając na razie na boku swoją ekscytację. – Ten cały legendarny międzynarodowy Tanger istnieje i zarazem jest mitem. Różnorodność pochodzenia jest bardzo duża, to prawda; dzięki mojej pracy mam w głowie wszystkie dane, mam ci je wyrecytować?

Nie potrzebowałam liczb, ale przydałyby mi się, żeby mieć jasny obraz sytuacji.

– Proszę bardzo. Ze stu tysięcy mieszkańców dzisiejszego Tangeru Arabów marokańskich jako takich jest prawie siedemdziesiąt tysięcy, a Żydów marokańskich jakieś osiem tysięcy. Wśród chrześcijan palmę pierwszeństwa dzierżymy my, Hiszpanie, jest nas około piętnastu tysięcy spisanych, nie licząc tych o nieuregulowanym statusie: jesteśmy zdecydowanie najliczniejszą grupą obcokrajowców i tymi, którzy w pewnej mierze wyznaczają sposób życia miasta. Zwróć uwagę, że mówi się nawet o zbudowaniu areny walk byków. Dalej są Francuzi. A ponieważ są tacy ekscentryczni i tam niżej mają własny protektorat, to wydaje się, że jest ich więcej, ale mieszka ich tu co najwyżej trzy tysiące. Dalej Włosi i Anglicy, po nich Portugalczycy, Belgowie, Holendrzy i kropla reszty świata.

Przebiegł wzrokiem po stolikach.

– I tak żyjemy tu wszyscy, w harmonii, ale zarazem każdy sobie. W rezultacie miasto jest podzielone niewidzialnymi liniami. Nie miejskimi, tylko narodowościowymi, religijnymi, klasowymi... I chociaż niektórzy je przekraczają, to większość porusza się w obrębie swoich granic. Francuzi trzymają z Francuzami, Anglicy z Anglikami, Żydzi z Żydami... Nawet kolonia hiszpańska, tak liczna, także ma swoje określone części. Wojna zostawiła głęboki ślad podziału. Z jednej strony są pracownicy administracji, przedsiębiorcy, lekarze ze szpitala, dyrektor Banco de Bilbao czy Español de Crédito i ogólnie ludzie zamożni. Oni nie mają nic

wspólnego z drugą stroną, całym mnóstwem Andaluzyjczyków, którzy zostali wypędzeni albo wyemigrowali, a teraz pracują jako murarze albo kelnerzy i mieszkają w skromnych domach albo na małych patiach pełnych pelargonii i suszącego się prania.

Zaczynałam rozumieć. Z grubsza.

– Tak czy inaczej, kochana, w tej całej mieszaninie jedni i drudzy traktują się z szacunkiem i oczywiście na co dzień ich ścieżki stale się przecinają. W Lycée Regnault i w Liceo Italiano uczą się hiszpańskie dzieci, tak samo jak w Colegio Español uczą się dzieci żydowskie i arabskie. Rodziny różnych narodowości zajmują mieszkania w tym samym budynku i są dobrymi sąsiadami, zdarzają się nawet mieszane małżeństwa. Ale kiedy kończy się dzień, każda owca wraca do swojego stada, rozumiesz? Każdy czyta własną prasę, chodzi do własnego kościoła, w kinie ogląda filmy w swoim języku i podchodzi do różnych spraw tak, jak się to robi w jego ojczyźnie.

Przedstawił mi klarowną panoramę i jak na razie wszystko w porządku. Było jednak coś, co zaczęłam podejrzewać, odkąd weszliśmy do Le Parade. I potrzebowałam, żeby mi to potwierdził.

– To znaczy, że nie chodzisz na przyjęcia, które organizuje, no nie wiem, na przykład ten Anglik w marynarce koloru żółtka jajka?

– David Herbert miałby zaprosić mnie na przyjęcie? – Teraz o mało się nie udusił, próbując powstrzymać śmiech. – Jasne, że nie, oszalałaś? Ani on, ani nikt inny z tych kręgów.

Grupowy śmiech rozległ się następnie przy pobliskim stoliku; spojrzeliśmy tam ukradkiem.

– Ci krzykacze to Amerykanie, mówiłem ci już rano w Parque Brooks, że odkąd alianci wygrali wojnę, można ich liczyć na pięćki. W moim wydziale jeszcze dokładnie nie wiemy, ilu ich jest, ale to spora liczba. Chyba mają w pobliżu jakąś bazę wojskową i wiele nowych stacji radiowych, zaczynają też otwierać różne biznesy...

Przerwałam mu bezceremonialnie.

– Dobrze, Féliksie. Precyzując. Wiesz dużo o całej tej grupie dziwnych ludzi, bo po prostu ich obserwujesz, lubisz wiedzieć, co się dzieje, i...

– I ponieważ w głębi duszy jestem wielkim plotkarzem, znasz mnie przecież. Ale tak, kochana, ogromnie żałuję, ale na tym kończą

się moje znajomości.

Włożyłam do ust widelec, żeby smak ryby złagodził rozczarowanie. W swoich naiwnych planach wyobrażałam sobie, że Félix okaże się pomocny i wprowadzi mnie w kręgi, w których miałam wykonywać moją nową misję w Tangerze. Wisząc na jego ramieniu, zamierzałam podawać się za podróżniczkę bez przeszłości i więzi, poruszać się jak zwykle dość bezczelnie, udając kogoś, kim nie jestem, rzucając subtelne zdania, rozpowszechniając nieprawdziwe historie i wspominając fikcyjne wydarzenia. Teraz jednak ten projekt sflaczał niczym *soufflé glacé*, który podano właśnie do stolika obok.

Przyglądałam się mojemu przyjacielowi, gdy zamawiał swój deser sztywnym francuskim, niczym pilny uczeń, dumny, że ma ku temu okazję, tak rzadką w nudnej codzienności urzędnika odpowiedzialnego za wyciągi i raporty, teczki i suszkę. I kiedy tak na niego patrzyłam, zastanawiałam się, w którym momencie podcięto mu skrzydła, jak to się stało, że nie mógł wzbić się do lotu, którego tak pragnął. Jego plany i marzenia, by prowadzić alternatywne życie, jego geniusz artystyczny, który zauważyłam, gdy rysował szkice do moich ubrań – to wszystko najwyraźniej się rozplynęło. Jego matka nie żyła, on teoretycznie był wolny, ale nadal przywiązany do nudnej pracy i do tego, co czytał w prasie albo książkach, co usłyszał w radiu albo w cudzych rozmowach i co przelatywało mu przed oczami, ale zawsze na odległość. Nigdy się nie angażował osobiście. Zwyczajny widz, zwykły *voyeur* obcych światów.

– Więcej się po mnie spodziewałaś, prawda? – zapytał, atakując swój *crème brûlée*, nie patrząc mi w oczy, jak gdyby czytał w moich w myślach.

Skłamałam instynktownie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Wtedy podniósł wzrok i powoli wytarł usta serwetką.

– Owszem, wiesz.

Głosy pozostałych gości otuliły naszą ciszę. Pianista zaczął grać skoczną piosenkę, dwie czy trzy pary wyszły na parkiet, fotograf pstryknął zdjęcie.

– Kiedy się poznaliśmy, to ja byłem tym bystrym, pamiętasz? Obeznany, poinformowany, wykształcony. Miałem cele, ambicje, wszystko dokładnie obmyślane. A ty byłaś wtedy zawieszona w powietrzu, krucha, wrażliwa, bez wizji świata ani perspektyw. Ja pragnąłem uwolnić się od mojej matki, ty pragnęłaś znowu być blisko swojej. A teraz, popatrz na nas. Ta bura suka Encarna od trzech lat wacha kwiatki od spodu na cmentarzu komunalnym w Tetuanie, a jej cień wciąż trzyma mnie za gardło. Ty natomiast znalazłaś odwagę, żeby nie tylko spotkać się ponownie z Dolores, lecz także żeby potem się z nią rozdzielić i kroczyć dalej własną drogą. A teraz wróciłaś tu jako niesamowita kobieta, która ma cel, jest pełna energii i sprawia, że inni się za nią oglądają.

Więcej par wyszło na niewielki parkiet, atmosfera powoli się zmieniała. Wybuchy śmiechu, głośne rozmowy w wielu językach, odkorkowywanie butelek i dynamiczna muzyka.

Wyciągnęłam rękę w stronę mojego przyjaciela i mocno ścisnęłam mu dłoń.

– Brakuje mi ciebie, Félixie. Liczę na ciebie. Jesteś mi potrzebny.



**M**oim kolejnym celem było znalezienie Sidi Hosni. Następnego dnia wyszłam wcześniej rano, zanim Víctor się obudził i zanim dom wypełniła krzątanina. Niebo zapowiadało kolejny słoneczny dzień, gdy opuściłam moje nowe osiedle, część dawnej dużej posiadłości pewnego Anglika, którą wyprzedawał kawałek po kawałku, żeby nowoczesne miasto mogło się dalej rozwijać. Długa ulica Sidi Bouarrakia, równoległa do muru cmentarza muzułmańskiego, zaprowadziła mnie na Zoco de Afuera. Minęłam bar Las Palomas i ogród Mendoubia. Przechodząc przez wielką Bab el Fahs, widziałam marokańskich handlarzy, którzy uwijali się na swoich *bakalitos*, ustawiając patelnie i miotełki do kurzu, packi na muchy, garnki i miski, przygotowując towar dla klientów, którzy pojawią się w ciągu dnia.

Tam skręciłam w aleję Italia z jej budynkami z pięknymi wygiętymi balkonami, przyspieszyłam kroku, mijając kino Capitol, a potem Alcazar. Wolałam, żeby moje wspomnienia do nich nie wracały: wiele razy byłam w nich z Ramirem w tamtych beztroskich i lekkomyślnych dniach, kiedy żyłam zaślepiona jego miłością, podczas gdy w hotelu Continental, za moimi plecami, rósł rachunek, który ostatecznie musiałam uregulować. Otrząsając się z tych nieprzyjemnych wspomnień, różnym krokiem zaczęłam się wspinać w stronę kazby. Miałam na sobie sandały na płaskiej podeszwie, jasne spodnie i jedwabny szal zakrywający mi włosy; oczy ukrywałam za okularami przeciwsłonecznymi, mogłabym uchodzić za zwyczajną turystkę. Tyle że tutaj nie było turystów; ani o tej porze, ani prawie o żadnej innej. Ci zostawali na plażach i przy hotelowych basenach; co najwyżej zwiedzali jaskinie Herkulesa albo siadali na tarasie jakiejś kawiarni na Zoco Chico, żeby przez jedno popołudnie cieszyć się malowniczą panoramą miasta. Do starej

fortecy, w górnej części medyny, zapuszczali się tylko poszukiwacze przygód i ekscentrycy.

Dlatego tak bardzo mnie zdziwiło, że właśnie tę okolicę wybrała milionerka Barbara Hutton na zakup pałacu. Sprzedawcą, jak poinformował mnie apatyczny Sacks w swoim gabinecie firmy ubezpieczeniowej, był niejaki Maxwell Blake, amerykański dyplomata, dziekan korpusu dyplomatycznego w Tangerze. Po dziesięcioleciach służby w Maroku, wraz z przejściem na emeryturę, zdecydował, że nadszedł czas powrotu do domu, do Kansas City, *of all places*. Na przestrzeni dekad, dzięki pieniądзом rozmaitych właścicieli i ich cierpliwości oraz przez dobudowywanie kolejnych, w sumie aż siedmiu, mieszkań, dom się rozrastał, a po połączeniu jednych konstrukcji z innymi powstał piękny labirynt. Wśród jego pierwotnych właścicieli był sam Sidi Hosni, muzułmański święty, od którego pochodzi nazwa tego miejsca i którego szczątki podobno spoczywają na terenie budowli. Innym słynnym właścicielem był legendarny dziennikarz „The Times” Walter Harris, który ostatecznie zbudował sobie willę w dzielnicy Malabata, za plażą. I tak, przechodząc z jednych do drugich rąk i ulegając kolejnym przeobrażeniom, pałac znalazł się w rękach Barbary Hutton.

Wszystkie widoczne materiały były oryginalne; miejscowi rzemieślnicy zwinnymi rękami i zgodnie z wielowiekową tradycją pracowali z gipsem, gliną, żelazem i drewnem. A przynajmniej tak napisano w dwustronicowym raporcie, który przekazał mi Sacks. Transakcja została dokonana na sumę stu tysięcy dolarów amerykańskich, przy czym oryginalne meble były wliczone w cenę. Koniec kropka. To były wszystkie dane, jakie mi udostępniono. Reszty musiałam się dowiedzieć na własną rękę.

Próbowałam zapytać o to miejsce muzułmankę odzianą w haik, ale szła dalej, nie zwracając na mnie uwagi. Później zatrzymałam kilkoro dzieci. Kiedy zapytałam – Sidi Hosni? – wzruszyły ramionami, zaśmiały się i poprosiły o pieniądze. Wspinałam się dalej, omijając zaułki, zapadliska, skórki melona i obierki ziemniaków, dziury, błoto i koty, zastanawiając się, z jakiego szalonego powodu jednej z najbogatszych kobiet na świecie przyszło do głowy, żeby kupić tu dom. Gdyby przyjechał tu ze mną ostrożny Gregory Sacks z Brax

Insurance Ltd, byłby śmiertelnie przerażony. W końcu staruszek w brudnej dżelabie wskazał mi cel mojej wyprawy. Podnosząc sękatą drewnianą laskę, pokazał mi kierunek: w górę i w prawo. Zostawiwszy w jego szorstkiej dłoni dziesięć peset, ruszyłam do mojego celu.

Zamiast strażników czy wartowników przy otwartej bramie znalazłam parę worków ziemi. Nie mogąc nikogo zapytać o pozwolenie, wślizgnęłam się do środka, idąc ostrożnie szeroką ścieżką. Nikogo nie zastałam także na pierwszym patiu, do jakiego dotarłam; jedynie uchylone imponujące drewniane drzwi z błyszczącymi ozdobnymi gwoździami. W pobliżu zauważyłam znaki świadczące o tym, że ktoś powinien tu pracować: motyka, prosta taczka, na wpół zardzewiałe sekatory. Kawałek dalej doniczki i donice, sadzonki i rośliny gotowe do posadzenia. Mimowolnie przypominałam sobie Olivię pracującą w ogrodzie przy The Boltons, wydającą polecenia swoim dwóm niezdarnym pomocnikom. Gdyby tutaj nadzór sprawowała moja autorytarna teściowa, ogrodnicy by jej nie uciekli. Wobec braku kogokolwiek, zamiast się tu zatrzymać, dostałam skrzydeł. Nie zawierając się niczyjej opiece, zrobiłam trzy, cztery, pięć kroków i już byłam w środku.

W holu zobaczyłam wielkie pudła oklejone zagranicznymi etykietami. Schyliłam się, żeby sprawdzić, skąd pochodziły. Znalazłam logo i adres sklepu z wystrojem wewnątrz przy Sloane Street, Knightsbridge, w Londynie. Dwa czy trzy były jeszcze zamknięte, inne otwarte; z jednego wystawały wielkie kawałki materiałów. Nie mogłam się oprzeć, chwyciłam je między palce i delikatnie musnęłam opuszkami. Już sam dotyk pozwolił mi rozpoznać wspaniałe aksamity przeznaczone do przyozdobienia okien, arkad, balkonów.

Podeszwy moich sandałów pozwalały mi poruszać się dyskretnie po tym labiryncie pomieszczeń i patiów, tarasów i zaskakujących odcinków schodów. Teraz zrozumiałam, w jaki sposób dołączono tych siedem oryginalnych mieszkań: z płynną harmonią, lecz bez wyraźnego porządku. A mimo to pałac emanował spokojem i pięknem. Było trochę mebli, a jednocześnie mnóstwo wolnej przestrzeni, domyśliłam się, że właśnie została oczyszczona

i czekała, aż wypełnią ją rzeczy w guście nowej właścicielki. Były zwinięte dywany, zdjęte obrazy i lustra, rzeczy nie na swoim miejscu. Salony i sypialnie następowały po sobie niespodziewanie, ukazując rzeźbione drewniane sufity kasetonowe, kolumny pełne zdobień, kraty z kutego żelaza.

Nie przestrzegając żadnej konkretnej kolejności zwiedzania, wyszłam na piękne patio; wyobrażałam sobie, że to główny dziedziniec domu. Na środku rósł ogromny figowiec, zapewniając cię temu miejscu, które – jak się domyślałam – latem służyło jako jadalnia. Kolejne schody zaprowadziły mnie do strefy pokoju kredensowego, kuchni, spiżarni, pralni. Wspinając się następnymi chaotycznymi odcinkami, znalazłam się na płaskim dachu, czymś w rodzaju szeregu połączonych tarasów, skąd można było podziwiać całą medynę, najstarszą część Tangeru z jej dachami pełnymi rozwieszzonego prania, a dalej fragmenty nowoczesnego miasta oraz bezmiar morza w tle. Mewy krzyczały, a bryza znad Atlantyku muskała moją twarz.

Sidi Hosni nie był monumentalnym pałacem. Nie był ostentacyjny ani okazały, ani pompatyczny. Teraz jednak mogłam zrozumieć, dlaczego nowojorska milionerka się w nim zakochała. Krył w sobie magię, miał urok, duszę, własną osobowość.

Metaliczny dźwięk narzędzi wyrwał mnie z zamyślenia. Ktoś, prawdopodobnie ogrodnik, zaczął pracować, musiałam więc się stąd wydostać. Chciałam wyjść dyskretnie, przemykając bezszelestnie. Zaczęłam schodzić i pokonywać kolejne odcinki w odwrotnym kierunku, gubiąc się wiele razy. W końcu zdołałam dotrzeć do głównego holu i odetchnęłam z ulgą: prawie mi się udało, znowu zobaczyłam wpólotwarte pudła z materiałami. Potrzebowałam kilku sekund i mogłam być na pierwszym patiu; pół minuty, by znaleźć się na ulicy przed kazbą.

Przeszłam na palcach kilka kroków w stronę drzwi, kiedy sparaliżowało mnie coś w rodzaju szmeru, jakby pomruk niezadowolenia. Zidentyfikowałam go w ciągu paru sekund: pochodził z ust kobiety, która w tej chwili wyłoniła się zza jednej z wielkich paczek. Była nachylona, dlatego jej wcześniej nie

zauważyłam. Teraz stała zaledwie trzy metry ode mnie, nie mogłam się wymknąć.

– *Mon Dieu*, ale się przestraszyłam! – zawołała, kładąc dłoń na klatce piersiowej. Była bardzo szczupła, miała wysokie kości policzkowe, długą szyję i przezroczystą skórę. Na nosie nosiła małe okulary, a na czoło opadało jej coś w rodzaju grzywki pełnej siwych nitek, reszta włosów była zebrana w kok.

– Ja... – zawahałam się. – Przepraszam, nie chciałam...

– Aaaach! – zawołała z ulgą. – To pani jest tą krawcową!

Ani nie potwierdziłam, ani nie zaprzeczyłam. Byłam tak sparaliżowana, że nie potrafiłam wydusić z siebie słowa. Kim była ta dojrzała cudzoziemka? Skąd wiedziała, kim jestem? Skąd mnie znała, skoro nigdy się nie widziałyśmy?

– Wreszcie pani przysła! – Jej głos był suchy, mówiła z silnym akcentem. Ostrożnie, by się nie potknąć, ruszyła między pudłami. – Jestem Ira Belline, *housekeeper*, zajmuję się domem. Czekałam na panią wczoraj, Toni powiedziała, że miała pani przyjść po południu.

Torując sobie drogę między paczkami, zdołała się przedostać do pustej części holu, gdzie wciąż stałam nieruchomo. W jednej dłoni trzymała mały notes, a w drugiej ołówek automatyczny. Zrobiła pauzę, popatrzyła na mnie z góry na dół i zmarszczyła brwi.

– Nie tak sobie panią wyobrażałam, sądziłam, że to będzie kobieta...

Wyrzuciła rękę w górę w niewyraźnym geście, którym chciała powiedzieć, że to bez znaczenia.

– Tak czy owak, najważniejsze, że wreszcie tu pani jest. Pozwoli pani, że wyjaśnię...

I przez kolejne minuty wyjaśniała. Okazało się, że w ekskluzywnym londyńskim sklepie, gdzie słynny dekorator wnętrz zamówił zasłony do całego domu, pomyłono miary; absurdalne pomieszanie centymetrów, cali, stóp i jardów. W rezultacie uszyto je zdecydowanie za długie, należało więc je skrócić i dostosować. Na kartce miała zapisane nowe wymiary, podała mi ją.

– Jak pani sądzi, na kiedy mogą być gotowe?

W tym momencie należało wyprowadzić ją z błędu. Nie, to nie na mnie pani czekała, bardzo przepraszam. Owszem, w przeszłości

byłam krawcową, ale teraz już nie. Teraz jestem tylko zwykłą intruzką, która przechadzała się po pałacu bez pozwolenia, całkowicie bezwstydnie; kimś, komu zlecono ocenienie specyfiki tego miejsca oraz ludzi, którzy się tu kręcą, tak by się o tym nie dowiedzieli.

Powiedziałam jednak coś zupełnie innego.

– Na kiedy ich pani potrzebuje?

– Naturalnie jak najszybciej. Ale to dużo pracy, będzie pani potrzebna pomoc. Księżna przyjedzie za dwa tygodnie, a zostało jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia; gdybyśmy mogli mieć to z głowy, zanim zaczną...

Przerwałam jej.

– Proszę dać mi dwa dni.

Na jej twarzy pojawił się grymas na poły niedowierzania, na poły zdumienia.

– Naprawdę?

– Absolutnie. Proszę tylko dostarczyć pudła do mojego domu.

– *C'est merveilleux...*

Spadł jej taki kamień z serca, że bezwiednie zareagowała po francusku.

– Mieszkam koło Parque Brooks, przy wejściu do mojej willi rośnie duża sosna, proszę podać te wskazówki osobie, która przywiezie paczki.

Nie zdążyła jeszcze zmasać z twarzy grymasu, kiedy skierowałam się do drzwi i wyszłam na patio. Zobaczyłam ogrodnika, który motyką wzruszał ziemię w donicach; był to Marokańczyk równie stary jak jego narzędzia. Pomagało mu dwóch chłopaków; inni wnosili worki z ulicy, w Sidi Hosni zaczęło się toczyć życie.

Za plecami usłyszałam odchrząknięcie.

– *Excusez-moi, madame.*

Odwrociłam się, za mną szła Ira Belline. Popatrzyłam na nią zza moich dużych okularów.

– Pani nazwisko to...?

Podaliśmy jej rękę: apatycznie, fałszywie, niemal z lekkością piórka. Znowu stała tu osoba, którą nie byłam, z nową tożsamością złapaną w locie.

– Arish Bonnard, miło mi. Jestem *couturière*, właśnie przyjechałam z Buenos Aires. Wiele lat temu mieszkałam przez pewien czas w Tangerze. Zajmuję się wysokim krawiectwem i zwykle nie wykonuję tego typu prac natury dekoracyjnej, co oczywiście. Proszę to potraktować jako specjalną przysługę, jako że chodzi o...

Chciałam powiedzieć: Barbarę Hutton, to nazwisko od wielu dni rozbrzmiewało mi w głowie. Ale od razu sięgnęłam po tytuł, jakiego ta kobieta użyła minutę wcześniej.

– ...chodzi o księżną.

Kiedy znowu znalazłam się w medynie, kontrast okazał się brutalny. Hałasy i krzyki, zapachy, muchy, ludzie – jakby stara część miasta obudziła się z wściekłością w tym czasie, gdy byłam w pałacu. Ruszyłam między mężczyznami w dżelabach i kobietami w haikach, bosymi dziećmi, staruszkami w łachmanach. Były tu stoiska i stragany, wędrowni sprzedawcy, dywany wiszące na ścianach, klatki, kałuże, kucający żebracy zasłonięci kapturami z wyciągniętymi parchatymi rękami. Toczyło się tu życie – porozrzucane, prawdziwe i własne, obce kosmopolitycznemu przepychowi strefy międzynarodowej.

Kawałek dalej dostrzegłam jednak kogoś zupełnie innego. Starsza chrześcijanka, ubrana na czarno i przy kości, wspinała się tu rozgrzana, obca w tym tłumie. Na jej twarzy malowało się przygnębienie. Choć znajdowała się w odległości kilku metrów ode mnie, zauważyłam, że odetchnęła z ulgą na mój widok.

– Przepraszam panią, czy mówi pani po hiszpańsku? Szukam domu, który się nazywa Sidihoni czy jakoś tak.

Szybko ją oceniłam. Andaluzyjska krawcowa, wyrwana ze swojego miasteczka przez trudy życia i przeniesiona do Tangeru jak wielu innych, gotowa zarobić kilka franków, funtów albo peset, wykonując każdą pracę, jaka wpadnie jej w ręce.

– Jest pani krawcową? Przysyła panią Toni?

– Tak, proszę pani, do usług. Wczoraj też tu byłam, kręciłam się jak bączek, ale nie znalazłam tego miejsca.

Tak właśnie w moim życiu pojawiła się Maruja Peña.

Maszyny do szycia ustawiliśmy w jednym z pokoi na parterze, pomieszczeniu prawie bez mebli i z dwoma wysokimi oknami narożnymi, żeby do środka wpadało światło i powietrze. Miałyśmy przed sobą wiele godzin pracy.

– Widzi pani, przy tych letnich upałach prawie nie ma roboty.

Ten przymusowy dla krawcowych odpoczynek mnie pasował idealnie. Maruja, jej sąsiadka i siostrzenica rozłożyły u mnie swój obóz, gdy tylko dotarły tkaniny.

Pudła przyjechały upchnięte na wozie. Próbowałam powstrzymać śmiech, widząc ten kontrast: najwyższej jakości aksamity kupione w Londynie po cenie złota przez wytrawnego dekoratora wewnątrz trafiły do mojego domu dzięki wysiłkom dwóch młodych Marokańczyków i dwóch osłów. Za transport odpowiadał niejaki Paco, który okazał się mężem niejakiej Toni. Paco, Toni i Ira Belline – miałam już trzy informacje do mojego raportu, trzy osoby powiązane z pałacem, o których musiałam się dowiedzieć czegoś więcej, żeby się zorientować, jaka konkretnie jest ich rola w Sidi Hosni.

Kobiety zaczęły pracować z zaangażowaniem; nie były wielkimi krawcowymi, brakowało im finezji, ale dobrze nadzorowane wykonywały zadanie bez najmniejszych problemów. Na początku siedziałam razem z nimi, wyznaczyłam drogę, udzielałam wskazówek. Chociaż nie była to skomplikowana praca, należało ją wykonać starannie i dokładnie. W żadnym jednak momencie nie ujawniłam im intrygi, dla której podjęłam się tego zlecenia; zamierzałam dobrze im zapłacić, więcej niż gdyby zatrudniły się na własną rękę, beze mnie w roli nieoficjalnej pośredniczki. A dla mnie otworzyły się w ten sposób drzwi do pałacu na terenie kazby i do pracujących w nim ludzi. Obie strony wygrywały, nikt nie tracił.



Poza tym, kiedy znowu trzymałam w dłoniach te drogocenne tkaniny, otoczona materiałami, igłami i niciami, poczułam chwilowe wzruszenie, jakby przyjemne spotkanie z kobietą, którą kiedyś byłam.

– Ale co to za szaleństwo? – zapytał Félix od drzwi zaimprovizowanego warsztatu. Musiał krzyczeć, żeby jego głos przebił się przez hałas maszyn.

Dochodziła szósta po południu, zostawiłam moje nowe pracownice przy szyciu i poprosiłam Daniyę, jedną z miejscowych dziewcząt, żeby przygotowała nam herbatę z miętą. Czekając, usiedliśmy na portyku.

– A więc po to chciałaś mieć duży dom; nie na wakacje, tylko na urządzenie kolejnego atelier, teraz sprawa jest jasna.

Nie przytaknęłam ani nie zaprzeczyłam, on ciągnął z entuzjazmem:

– Dziewczyno, ale skąd się wzięły te cudne tkaniny? Nie przywiozłaś ich ze sobą, w twoim bagażu to wszystko by się nie zmieściło. I nie miałaś też czasu, żeby je kupić, o ile mi wiadomo.

Od przyjazdu zastanawiałam się, jak przedstawić sytuację Félixowi: jeszcze nie wiedziałam, na ile mogę być szczerą, a na ile powinnam trzymać język za zębami. Za sprawą nieoczekiwanego zwrotu akcji, jaki nastąpił tego poranka, teraz miałam wymówkę, żeby moje kłamstwo było choć trochę mniejsze.

– To, co przywiozłam ze sobą do Tangeru, Félixie, to zamówienie na kilka rzeczy od Barbary Hutton.

– Barbara Hutton? – zapytał z przesadnym zdziwieniem. – Amerykańska milionerka? Dziedziczka, która ponoć kupiła sobie tutaj pałac?

Uśmiechnęłam się, pokazując twarz uczciwego człowieka, podczas gdy w środku nieczyste sumienie dało mi kopniaka.

– Otóż to.

Głośno klasnął trzykrotnie w dłonie i wybuchnął donośnym śmiechem. Víctor, który bawił się ścinkami, siedząc u naszych stóp, również się roześmiał. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Félix, który nie miał cienia empatii dla dziecięcego świata, mojemu synowi bardzo się podobał.

– Wiedziałem, że knujesz coś w sekrecie, podła! I gryzłem się w język, żeby cię nie zapytać, czekając, aż sama mi o tym powiesz.

– Przyjedzie tu za parę tygodni, a ja będę jej pomagać w... sprawach... tekstylnych, tak to nazwijmy.

Daniya przyniosła herbatę na wypolerowanej tacy. Z bulgotem naląła do małych szklanek, napój pachniał wybornie.

– Słuchaj, a mogłaś zobaczyć to miejsce od środka? Mogę tam z tobą pójść? Mo...?

Przerwałam mu.

– Zobaczymy. Wcześniej jesteś mi potrzebny do czegoś innego.

Barbara Hutton, urodzona w Nowym Jorku w tysiąc dziewięćset dwunastym roku; w listopadzie miała skończyć trzydzieści pięć lat. Wnuczka zamożnego kupca, osierocona przez matkę w dzieciństwie, ojciec nie był zainteresowany, żeby zajmować się nią osobiście. Przedstawiona w towarzystwie w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku na eleganckim przyjęciu; mając dwadzieścia jeden lat, przenosi się do Europy. W tym wieku zawiera swoje pierwsze małżeństwo i niedługo potem się rozwodzi. Dwa lata później ponownie wychodzi za mąż, przeprowadza się do Londynu, rodzi się jej syn, a w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku znów się rozwodzi. Po wybuchu wojny w Europie wraca do Stanów Zjednoczonych. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku zawiera trzecie małżeństwo z aktorem Carym Grantem, z którym dwa lata później bierze rozwód.

To było wszystko, co wiedziałam na temat właścicielki szmaragdów i co przekazała mi firma ubezpieczeniowa. Suche informacje i daty to jedyne, co mi dostarczono. Po wizycie w miejscu, które miało być jej domem, rozbudziła się we mnie ciekawość. Chciałam jeszcze bardziej się zagłębić, zbadać, w jakiś sposób się do niej zbliżyć. Ale brakowało mi czasu i możliwości, żeby to zrobić.

– Możesz wziąć sobie kilka dni wolnego, Féliksie?

– Ile tylko zechcesz, królowo. Latem niewiele jest do robienia, w biurze siedzimy z założonymi rękami i łapiemy muchy.

– Świetnie, bo chcę powierzyć ci pewne zadanie.

Wiedziałam, że spodoba mu się mój plan, bo przecież był wścibski i uwielbiał plotkować. Zdobyć wszelkie możliwe informacje na temat Barbary Hutton – o to chodziło. Pozbierać dla mnie jej życie, na ile

to tylko możliwe. Radość mojego dawnego sąsiada sprawiła, że Víctor ponownie się roześmiał, o mało nie poleciały mu łzy.

– Będziesz musiał szukać przede wszystkim w prasie angielskiej i amerykańskiej, mam nadzieję, że pozwolą ci ją przejrzeć w konsulatach.

– Znajdę jakiś sposób, zabiorę się do tego natychmiast.

Wywiązując się ze zobowiązania, dwa dni później ponownie zjawiłam się w Sidi Hosni z wykonaną pracą. Udało mi się nawet załatwić, żeby transportem zajął się zięć Marujy, którego powóz z łatwością poruszał się uliczkami medyny i kazby. Zajęło mi trochę czasu, zanim zdecydowałam, co na siebie włożyć na to drugie spotkanie z Irą Belline; odpowiadałoby coś innego, egzotycznego, pasującego do miejsca i fałszywej tożsamości, którą wyciągnęłam z rękawa. Moja londyńska garderoba nie dała mi jednak wyboru: proste linie i neutralne tekstury nie pozwalały na najmniejszą ekstrawagancję.

W każdym razie ten wysiłek na nic by się zdał. Dojrzała *housekeeper*, albo zaufana osoba czy kimkolwiek była ta cudzoziemka, nie przebywała bowiem w Sidi Hosni tego popołudnia, gdy przyjechały zasłony – skrócone, wyprasowane, poskładane i zapakowane w papier kraftowy z bordowymi jedwabnymi sznurkami. Owszem, zastałam ogrodnika i jego pomocników i słyszałam hałasy i głosy dochodzące ze środka. Ale tym razem nie ruszyłam się z holu, wolałam zachować ostrożność.

Kilka godzin później, kiedy wróciłam do domu, Víctor odmawiał jedzenia, zaciskał usta i energicznie kręcił głową. Próbowala Phillippa, próbowałam ja, ale pokonał nas obie; ostatecznie poprosiłam nianię, żeby zostawiła mnie z nim samą, żeby nie dekoncentrował się bardziej niż to konieczne. Wyglądało na to, że nie spodobało mu się purée, które zrobiła mu jedna z nowych pracownic, a ja nie miałam czasu, by zająć się domowymi sprawami i przyrzadzić mu coś smaczniejszego. Skupiona na moim nowym zadaniu, nie wydałam nawet poleceń, co kupić, jak to ugotować ani jak w minimalnym stopniu utrzymać rytm domu. Siedząc w kuchni naprzeciwko syna, przypuściłam kolejny atak z łyżką, robiąc samolot, śpiewając o pięciu wilczkach i wiele innych bzdur, które na

nic się zdały. Nalegałam, on wciąż odmawiał. Znowu nalegałam, ale wszystko na nic; kiedy mój syn się zawziął, musiał postawić na swoim. A ja byłam wyczerpana. Jeśli chciałam dotrzymać słowa i zdążyć na czas, ostatecznie musiałam dołączyć do zespołu krawcowych i szyłam przez cały dzień. Odetchnęłam głęboko i spróbowałam jeszcze raz. Víctor miał dość mojego uporu i walnął ręką w łyżkę. Dopiero wtedy otworzył buzię, żeby się roześmiać, bo zobaczył, jak purée ląduje na mojej jasnej bluzce. A konkretnie na wysokości lewej piersi.

Akurat w tej chwili rozbrzmiał dzwonek. Próbując się wytrzeć wilgotną pieluchą, ruszyłam do drzwi. Sądziłam, że to Félix, może jedna z dziewczyn, która pewnie czegoś zapomniała. Nigdy jednak nie przypuszczałabym, że po drugiej stronie zobaczę Irę Belline.

– Chcę ogromnie podziękować za pani wspaniałą pracę.

Na potwierdzenie swoich słów położyła rękę na sercu i dwukrotnie delikatnie się uderzyła. Później się uśmiechnęła, kiedy z czystej grzeczności zapraszałam ją do środka, i ani przez moment nie przyszło mi do głowy, że się zgodzi. Ale owszem, zrobiła to.

– Dopiero co się wprowadziliśmy, jesteśmy jeszcze...

– *C'est une jolie maison.*

Zawołałam Phillippe, żeby zajęła się Victorem, przeprosiłam za moją poplamioną bluzkę. Nie byłam zachwycona, że zaufana osoba Barbary Hutton widzi mnie w takim stanie, niewyszykowaną i zmagającą się z niesfornym dzieckiem.

– I musi mi pani wybaczyć, ale obawiam się, że nie mam niczego, co mogłabym pani zaproponować.

Było jej to obojętne.

– Czy to właśnie tutaj wszystko zostało uszyte?

Na szczęście Maruja i jej towarzyszki nie zabrały jeszcze swoich maszyn do szycia; były zbyt ciężkie i umówiliśmy się, że przyślą po nie kogoś następnego dnia. Wszystko natomiast zostało posprzątane. Pozostałości tkanin, ścinki, szpule – ułożone w idealnym porządku, niczym maleńkie wojsko. Dlatego mogłam poprosić Irę, żeby ze mną poszła, i pokazać jej narożny pokój. Okna wciąż były otwarte na oścież, na zewnątrz zmierzchało

i w pomieszczeniu panował półmrok. Z wysokim sufitem i stojącymi maszynami pokój emanował dziwnym pięknem.

– To było nasze pierwsze zamówienie w Tangerze – powiedziałam krótko.

– Nie mam wątpliwości, że niebawem pojawią się kolejne.

Próbowałam nie dać się w to wciągnąć.

– Nie, nie planuję...

Urwałam to zdanie, ona też nie prosiła, bym dokończyła. Ruszyliśmy w stronę salonu, miałyśmy już tu wejść, gdy zmieniłam zdanie i zaproponowałam, byśmy wyszły na portyk. Temperatura była przyjemna, pachniały mrzechlina, jaśmin, białe róże na klombach i morze w oddali. Zanim zdążyłam poprosić, by usiadła, ona opadła na jeden z hamaków.

– Przypuszczam, że uporządkowanie Sidi Hosni jest dość trudne.

Mówiłam ostrożnie, biorąc zapałki, by zapalić lampiony, które przyniósł Félix. Płomienie wypłynęły ze świec pięknym światłem.

– Nawet sobie pani nie wyobraża.

Głośna grupka przeszła obok ogrodzenia ogrodu, chłopcy i dziewczęta rozmawiali po włosku. Kierowali się z pewnością do pobliskiego Parque Brooks, wieczorami urządzano tam tańce.

– Wie pani, zawsze uważałam się za skuteczną organizatorkę, pracowałam w wielu miejscach, byłam współniczką w interesach w Paryżu, Cannes, Marrakeszu...

– Ale pani nie jest Francuzką, prawda?

– Nie z pochodzenia, urodziłam się w Rosji, ale przyjechałam do Francji jako młoda kobieta. Kiedy rewolucja... Wie pani.

Owszem, wiedziałam. Przecież właśnie z powodu pewnych drogich kamieni, które również opuściły Rosję w tamtych mrocznych czasach, ja teraz byłam w Tangerze.

– Ale to ponad moje siły – dodała niemal szeptem. – Przypuszczałam, że chodzi o pracę w znacznie mniejszym zakresie, zwykle tymczasowe zagospodarowanie, a kiedy księżna już tu przyjedzie, wtedy sama podejmie wiele decyzji.

– A sprawy się skomplikowały...

Odetchnęła głęboko, znowu usłyszałyśmy hałas dobiegający z ulicy, tym razem rytmiczne kroki, domyśliłam się, że to jakaś para.

Zapadł już zmierzch, być może powinnam wstać i włączyć światło, lecz tego nie zrobiłam. Oświetlały nas jedynie lampiony.

– Wszystko mnoży się przez dwa, trzy, cztery, pięć... – ciągnęła cichym głosem, jak gdyby mówiła do siebie. – Ciągłe są zmiany zdań i pomysłów, to, co było dobre wczoraj, dziś już się nie nadaje. Do tego jeszcze odległość: zamówienia, prośby, instrukcje, wszystko przychodzi przez kable i linie telefoniczne, listy, paczki. Polecenia mijają się z kontrapoleceniami, w Londynie nie mają pojęcia, że tutaj funkcjonuje się w innym rytmie.

Żałowałam, że nie mam żadnej butelki: wina, szampana, zwykłego napoju orzeźwiającego. Cokolwiek, co mogłabym zaoferować Irze Belline, żeby czuła się swobodnie, żeby opowiadała dalej i żeby moje uszy napełniły się szczegółami dotyczącymi Sidi Hosni i jej właścicielki.

– Madame Hutton musi być bardzo wyjątkową osobą.

– Bez wątpienia, *chérie*.

– I musi być ogromnie podekscytowana swoim pałacem.

– *Évidemment*. Chociaż wielu osobom nie mieści się to w głowie, nie rozumieją, dlaczego tak się uparła na zakup tej rezydencji, niewątpliwie pięknej, ale tak bardzo nieprzystępnej. – Zaśmiała się krótko, sucho. – Zastanawiają się, jak jej auto przejedzie tymi uliczkami!

Przypomniałam sobie okolicę – zapadliska, kałuże, skromni mieszkańcy, walające się śmieci. Rzeczywiście, zamieszkanie w tym domu było niewczesnym kaprysem.

– Cóż, *mon amie*, nie chcę zabierać pani więcej czasu, przejdźmy do najważniejszego.

Wyprostowałam plecy. Najważniejszego? Co było najważniejsze? Sądziłam, że przyszła po to, żeby podziękować mi za pracę, może zapłacić, w każdym razie w sprawie zwykłej formalności.

– Mówiła chyba pani ostatnio, że mieszkała już wcześniej w Tangerze, przypuszczam więc, że dobrze zna pani ten świat.

Nie rozumiejąc, co ma na myśli, wymamrotałam jedynie:

– Mniej więcej.

– Proszę posłuchać, do listy wymagań księżnej doszło właśnie kolejne: życzy sobie garderoby odpowiedniej do tego miejsca. Nie

czegokolwiek, *naturellement*, tylko czegoś z duszą i klasą, nie wiem, czy wyrażam się jasno.

Wyrażała się niezbyt klarownie, ale wyczułam coś między słowami.

– W najbliższych dniach zamierzałam wybrać się do Marrakeszu – ciągnęła. – Znam tam kogoś, kto szyje tego typu stroje. To francuski krawiec, znakomity, choć nieco ekstrawagancki. Ale jestem tak bardzo zawałona robotą, że w tej chwili nie mogę tam pojechać.

Pozwoliłam jej mówić, nie przerywając, ze wzrokiem utkwionym w płomieniu.

– Dlatego zastanawiałam się, czy pani, madame Bonnard, ze swoim stylem i tak sprawnym zespołem, może mogłaby przygotować dla księżnej linię letnich ubrań inspirowanych Marokiem.

Nie skończyłam jeszcze trawić tej propozycji, gdy Ira Belline westchnęła ciężko.

– Wiem, że to jeszcze jeden przejaw ekscentryczności, i proszę wybaczyć zuchwałość mojej propozycji, ale ona się uparła, że chce mieć te stroje gotowe na swój przyjazd. Nabycie nowej nieruchomości rozbudziło w pani Hutton ogromny entuzjazm do wszystkiego, co tradycyjne i autentyczne. Wydaje się nawet, że zamierza przywieźć ze sobą cenne klejnoty z nutą egzotyki, co, między nami mówiąc, mnie zdumiewa. Sama pani wie, jak wygląda okolica pałacu. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że ta biżuteria jest przynajmniej ubezpieczona na wysoką kwotę. W przeciwnym razie niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Miałam zaradne ręce Marujy Peñi i jej towarzyszek z patia Pinto. Miałam własne zdanie i doświadczenie jako krawcowa. I miałam cel do osiągnięcia. Sumując te trzy czynniki, byłam bardzo blisko uzyskania upragnionego dostępu do Sidi Hosni i jego świata. Potrzebowałam jednak jeszcze czwartego elementu.

Tkanina, materiał, tekstylia. Tego mi brakowało: tworzywa do pracy. I tu właśnie zaczynał się problem. Pomimo moich wysiłków, przetrząsając Tanger, nigdzie go nie znalazłam. Cały dzień poświęciłam na przemierzaniu, jednego po drugim, małych sklepów w medynie, gdzie zaopatrywali się Marokańczycy, ale znalazłam jedynie tkaniny zbyt zwyczajne albo zbyt szorstkie, grube, pozbawione zwiewności i delikatności. Następnego dnia udałam się do sklepów w nowoczesnej części miasta, przeznaczonych dla międzynarodowej klienteli. Prawie wszystkie były własnością Żydów, dostałam więc gęsiej skórki, kiedy tu i ówdzie zobaczyłam szyld z napisem po hebrajsku albo symbole, które przypomniały mi Jerozolimę.

Sporo mnie to kosztowało, ale mi się udało: łączenie tych poważnych kupców z terrorystami, którzy zabili Marcusa w King David Hotel, nie byłoby z mojej strony sprawiedliwe. Nakazując sobie, by nie wznosić złowrogich murów, wchodziłam do jednego sklepu po drugim przy Boulevard Pasteur, Velázquez, Murillo i Estatuto, przy Jeanne d'Arc, Delacroix i wszędzie tam, gdzie powiedziano mi, że może coś znajdę. Ale tutaj też niczego nie kupiłam. We wszystkich sklepach były tylko bele tkanin na stroje w stylu europejskim, zwykła wełna i pospolita bawełna, kreton, gabardyna i flanela na odzież dla pań i panów, dziecięce ubrania, uniformy. Nie znalazłam więc niczego, co przydałoby mi się do uszycia wyrafinowanych kaftanów, które zaplanowałam stworzyć,



żeby spełnić wymagania madame Hutton, księżnej bez księstwa, ekstrawaganckiej dziedziczki.

Ktoś powiedział mi o pewnym starym antykwariuszu w dzielnicy Fuente Nueva, ale za każdym razem, gdy wybierałam się do tego zakątka w medynie, zastawałam zamknięte drzwi. Dowiedziałam się też, że w Fezie jest sprzedawca starych perskich tkanin, ale z tysiąca różnych powodów ta podróż nie wchodziła w grę. Po drugiej wróciłam do domu sfrustrowana, umierając z gorąca, lewanter smagał wściekle dachy i fasady, psując dzień na plaży. Gdy tylko otworzyłam drzwi, z kuchni dobiegły mnie krzyki i płacz Víctora; ruszyłam tam pospiesznie i zastałam katastrofalny obraz. Wszystko było postawione na głowie: mój syn siedział na swoim wysokim krzeselku, wściekły, bo dawano mu do zjedzenia kolejną papkę, która znowu mu nie smakowała. Phillippa i jedna z arabskich dziewcząt kłóciły się, nie rozumiejąc siebie nawzajem; ta druga stała odwrócona plecami i głaskała kota, który usadowił się na parapecie, podczas gdy drugie zwierzę, skoro nikt nie zwracał na nie uwagi, lizało zawartość talerza.

– Co tu się dzieje?

Mój krzyk sprawił, że zapadła nieprzyjemna cisza. Nawet Víctor przestał nagle płakać, a koty wymknęły się na tylne patio z poczuciem winy. Po kilku sekundach jednak na powrót zapanował chaos: krzyki kobiet w darija, płaczliwe skargi po angielsku zastraszonej Phillippy, bek mojego syna. Z dzieckiem na rękach, opartym na biodrze, próbowałam mediować między trzema dziewczynami, ale nie było na to szans: jak niby pogodzić dwie Arabki z przedmieść Tangeru z flegmatyczną poddaną Imperium w sprawie warzywnego purée. Zmęczona, nie będąc w stanie doprowadzić do porozumienia, poprosiłam jedne, żeby posprzątały kuchnię i wróciły do swoich domów, a drugą, żeby zeszła mi z oczu i robiła, co jej się żywnie podoba. Potem dałam Víctorowi banana i poszliśmy na górę, żeby się przebrać. Pół godziny później oboje siedzieliśmy już w taksówce w drodze do Tetuanu. Tym razem podczas jazdy nie było czasu na melancholię ani tęsknotę, na głowie miałam wystarczająco problemów. Czułam bezradność, ponieważ nie znalazłam tkanin, których potrzebowałam do pracy, oraz frustrację,

bo nie potrafiłam zaprowadzić porządku we własnym domu. Oburzona, zła na wszystkich i samą siebie – w takim stanie pokonałam tę trasę. Nawet nie przypilnowałam, żeby Víctor, którego uśpił turkot samochodu, dokończył jeść przeklętego banana.

Moja matka znowu powitała nas z otwartymi ramionami. Udało jej się sprawić, żeby wnuk łapczywie zjadł podwieczorek, a ja, pod wpływem jej opanowania, powoli się uspokajałam. Przemilczałam jednak swoje troski; wolałam, żeby nie widziała mnie tak kruchej. Wyszliśmy z dzieckiem na spacer, podczas gdy Sebastián został w domu, czytając „Diario de África” i słuchając Radio Dersa. Przemierzałyśmy te same ulice co zawsze, dotarłyśmy aż do parku.

– Może wrócimy przez La Lunetę i przywitamy się z Candelarią?

Zgodziłam się natychmiast, jak mogłam odmówić. Dotarłyśmy na ulicę od strony południowej, przeciwległej do plaza de España, pokonując tę samą trasę, którą szłam pewnej ryzykownej gwiazdzistej nocy – tyle że w przeciwnym kierunku – obładowana pistoletami i odziana w haik. Ani słowem nie pisnęłam matce o tamtym epizodzie, ale na samo wspomnienie dostałam gęsiej skórki. Ciężar żelastwa przylegającego do skóry i droga w stronę stacji, strach zżerający mi wnętrzności, kiedy żołnierz zatrzymał mnie na kilka chwil. I ta droga powrotna, gdy zaczynało świtać, a ja brudna i bosa, z plikiem banknotów, ale nie czując ani odrobiny satysfakcji, a do tego owładnięta przerażającą myślą, co się mogło stać z mężczyzną, który odwiązał ładunek z mojego ciała.

Idąc niespiesznie, mijając Arabów i Hiszpanów, sprzedawców ciepłych bułeczek i rozków z pieczoną ciecierzycą, przeszliśmy obok Teatru Narodowego, Monumental Cinema, kawiarni Oriente, baru Levante i uliczki Intendencia; obok lokali, które znałam, i innych, które zostały otwarte w ostatnim czasie. Coś w rodzaju mocnego smagnięcia przeszło mi wnętrzności, kiedy dotarłyśmy do mojego dawnego pensjonatu, w połowie ulicy. Tam zobaczyłam siebie znowu, chudą, kruchą, uczepioną małej walizki, przerażoną pryncypialnością komisarza Vázquez.

Drzwi były otwarte; weszłyśmy do sieni, ciemnej i chłodnej.

– Candelaria! – zawołała moja matka.

Nikt do nas nie wyszedł, choć w moich wspomnieniach zaczęli się pojawiać ówcześni mieszkańcy, jak gdyby przeszłość nagle wróciła. Kaszłący nauczyciel don Anselmo, głupi Paquito i jego despotyczna matka, słodka Jamila z koszem boćwiny.

– Candelaria! – usłyszałam ponownie.

Víctor zaprotestował na swój sposób, bo to miejsce chyba niezbyt mu się podobało. Ja natomiast nie mogłam się oprzeć, by nie przejść się znowu po płytkach z tamtych czasów.

Znalazłyśmy ją na patiu za kuchnią, właśnie gniotła w moździerzku składniki na gazpacho. Siedziała na wysłużonym trzcinowym krześle, sama w tym miejscu, dawniej zawsze pełnym ludzi, w wytartym fartuchu i espadrylach, z niepofarbowanymi włosami i przygaszonym spojrzeniem. Wokół zauważyłam tylko resztki ówczesnej zieleni: niegdyś pełne bujnych roślin donice teraz były puste, zostały jedynie marne pelargonie posadzone byle jak w puszkach po konserwach. Nawet w klatkach kanarków nie było już życia.

– Co za wspaniała niespodzianka, Dziewico pięknej miłości!

Szczerą radość mieszała się w jej głosie z pewną niezręcznością. Nie była zachwycona, że widzimy ją i jej dom w takim stanie. Mimo to robiła dobrą minę do złej gry i zaprosiła nas, byśmy usiadły. Dolną częścią fartucha wyczyściła brudny stół. Víctorowi dała kawałek chleba, który wziął z zachwytem; moja matka i ja przyjęłyśmy po szklance zimnej wody z dzbana.

Potem opadła na krzesło, które zaskrzypiało pod ciężarem jej ciała, i dwukrotnie mocno klepnęła się w uda.

– No i same widzicie, jak się tu sprawy mają. Jest cholernie ciężko, po co się oszukiwać.

Próbowaliśmy złagodzić jej pesymizm, choć bez większego przekonania: trudno było nam udawać ślepe wobec tego, co oczywiste.

– Dzisiejsi goście idą prościutko do nowych pensjonatów na nowych osiedlach. Tych z balkonami wychodzącymi na ulicę, ciepłą wodą, pokojami bez przecieków i wilgoci. Ale to jest tylko część mojego nieszczęścia. Zresztą jak nie ma gości, to przynajmniej nie

haruję całymi dniami jak wół, nie mam już do tego zdrowia. Nie, za gośćmi nie tęsknię. Gorzej mają się moje inne sprawy.

Domyśliłam się, że ma na myśli nielegalny handel. Kupowanie i sprzedawanie pod stołem, machinacje i przekręty. Tutaj też musiał panować zastój, sądząc po okolicy.

Candelaria ponownie chwyciła tłuczek, skupiła wzrok na cząstkach pomidorów i kawałkach ogórka, dolała oliwy i zaczęła mocno ugniatać, niemal ze złością. Nie podnosząc oczu, dodała:

– To wszystko wina Hindusów.

Zmarszczyłam brwi. Hindusów? O jakich Hindusach i o jakiej winie mówiła szmuglerka? Na odpowiedzi nie musiałam długo czekać, wyjaśnienia popłynęły z jej ust strumieniem.

– Już wcześniej mieli tu parę sklepów, ale teraz, odkąd skończyła się wojna światowa, w mgnieniu oka stali się panami całego interesu. Wieczne pióra, fikuśne pończochy, zegarki i perfumy, wszystko, co wcześniej sprowadzałyśmy z Gibraltaru ukryte pod kieckami, żeby potem odsprzedać, tutaj mają teraz oni, wszystko elegancko ułożone i na widoku w witrynach. Cośmy się najeździły tam i z powrotem moje kumy i ja, żeby zarobić trochę grosza; ileśmy się natrudziły, żeby policja nas nie złapała... Pamiętasz, Sirta, komisarza don Claudia i ile trosk mi przysparzał, drań jeden?

Z nutką nostalgii przypomniałam sobie komisarza Claudia Vázquez. Odszukałam też w pamięci jakiś sklep, ale nic wielkiego. Moja dawna gospodyni tymczasem dalej energicznie pracowała nadgarstkiem, miażdżąc warzywa.

– Nawet radia teraz sprzedają, wszyscy są tutaj pod nosem, przy La Luneta. I lakiery do paznokci, i te kremy Pond's do twarzy, i urządzenia do robienia zdjęć, i mydła Lux, te amerykańskie. Mają wszyścusięńko, dranie jedne.

– A co tu robią ci wszyscy ludzie? – chciała wiedzieć moja matka. Jej zainteresowanie było szczerze, ona też miała niewielkie pojęcie o geografii i o tym, co się działo na świecie.

– Ponoć w Indiach są problemy z tym cholernym Imperium Brytyjskim. Tak mówią ci, co się znają, bo ja nie rozumiem tego ni w ząb.

Znowu odezwała się moja matka, pytając mnie ostrożnie.

– Ty mieszkałaś wśród tych ludzi, córciu, coś pewnie wiesz o tym całym Imperium.

Rozmawiało się o tym na ulicach Londynu i pisało w prasie, czytałam o tym w listach od Fran Nash i Nicka Souttera. Wielkie, potężne, majestatyczne Imperium Brytyjskie zaczynało się chwiać i twierdzono, że początek jego końca jest bliżej niż dalej. Ciągłe organizowano demonstracje na rzecz niepodległości Indii, prowadzono żmudne negocjacje. Być może dlatego niektórzy Hindusi, przewidując niespokojne czasy, decydowali się wyjechać. Mimo to wciąż nie wiązałam Tetuanu z Indiami Brytyjskimi.

Candelaria, pracując coraz gwałtowniej przy miażdżeniu pomidorów, papryk i czosnku, wyjaśniła mi to natychmiast.

– Przybywają na Gibraltar, zasadniczo to jest ich kierunek. I niektórzy tam zostają, a inni przyjeżdżają tutaj albo do Ceuty, słyszałam, że docierają też na Wyspy Kanaryjskie. Żeby grać na nerwach.

W tym momencie wbiła tłuczek w dno mózdzierza z taką złością, że roztrzaskała gliniane dno. Płynna masa zaczęła jej kapać na fartuch i nogi, na ziemię spadły kawałki brudnej ceramiki, a ona rzuciła przekleństwo, sprawiając, że mój syn głośno się roześmiał.

Wstałyśmy, żeby jej pomóc; matka zajęła się lepkim fartuchem, ja się schyliłam, aby zebrać kawałki stłuczonego mózdzierza. Víctor tymczasem najwyraźniej świetnie się bawił, obserwując to spontaniczne widowisko.

– Z czego ty się śmiejesz, mały? – zapytała go szmuglerka, biorąc się pod boki. – Czyżby dlatego, że sam jesteś pół-Anglikiem i nie chcesz, żebym krytykowała tych ludzi?

Jak gdyby ją rozumiał, Víctor ze swojego miejsca na ziemi rzucił jej pod nogi kamyk i podarował jej kolejną porcję śmiechu; wszystkie trzy też się zaśmiałyśmy. Nie było w tym nic szczególnie zabawnego, ale dziecięca reakcja dała nam pretekst, żeby odciągnąć Candelarię od jej zmartwień. Przynajmniej na chwilę.

Zaczekałyśmy, aż się umyje i przebierze, a potem wyszłyśmy razem na ulicę i, trochę z życzliwości, pozwoliłyśmy jej pchać wózek po La Lunecie. Po przejściu kilku metrów wyciągnęła ramię i pokazała palcem wskazującym.

– Tutaj, o, tutaj zaczynają się te sklepy.

Podczas naszego poprzedniego spaceru matka i ja nie dotarliśmy do tego odcinka ulicy, który ciągnął się od pensjonatu aż do plaza de España. Najbardziej handlowej i ruchliwej części.

– Sama zobacz, córciu, jeden za drugim otworzyli swoje lokale; policz je, sześć albo siedem. Sprzedają wszystko, spójrz, jakie piękne wystawy. Szkło, porcelana, krawaty, cienkie pończochy, szwajcarskie zegarki, kostiumy kąpielowe Jantzen. No i nawet nie masz pojęcia, jakie sprzedają tkaniny: jedwabie, brokаты, złote nici... Można dostać zawrotu głowy. Mają wszystko, kochanieńka.

Powstrzymałam się, by nie wejść od razu do jednego z tych sklepów. Wolałam poczekać, by nie rozdrażnić jeszcze bardziej szmuglerki. Tę noc spędziliśmy w mieszkaniu matki. Obudziłam się o świcie, kiedy muezin wezwał na pierwszą modlitwę. Zanim jeszcze w sklepach podniesiono kraty, byłam już z powrotem na La Luneta.

Candelaria miała rację, niektóre z indyjskich tkanin, jakie mi pokazano, były wspaniałe. Pośród najróżniejszych towarów znalazłam doskonałą bawełnę z Dżajpuru, delikatne jedwabie wykonane przez słynnych tkaczy z Waranasi, materiały wyrobione zręcznymi dłońmi przędzarek, farbiarzy i hafciarzy zgodnie z wielowiekowymi technikami. Wszystkie te informacje o tkaninach przekazali mi właściciele sklepów, uprzejmi sprzedawcy, którzy nie mieli nic wspólnego z diabłami z trójzębem, jak postrzegała ich wściekła Candelaria.

Nie kupiłam jednak niczego. Wolałam poczekać. A stało się tak dlatego, że jeden z nich zasugerował mi coś swoim dziwnym hiszpańskim.

– Te wszystkie tkaniny, dobrze. Ale jeśli pani chce kupić bardziej lepsze, pani musieć jechać na Gibraltar. Do magazyn moja rodzina na Main Street. Stamtąd rozprowadzać. Tam znaleźć cuda.

Félix przyszedł tuż przed kolacją, kiedy sałatka była już gotowa, a to, co miało się zamienić w pyszną tortillę ziemniaczaną, roztaczało swój zapach po wszystkich pomieszczeniach. Wyniesiony na portyk stół był przykryty świeżo wyprasowanym obrusem, na środku stały nawet świeczka oraz mały wazon z trzema białymi różami ściętymi z klombu.

– Co to za cud, dziewczyno? Sprawiaś, że usługują ci ludzie z hotelu Valentina, czy na loterii fantowej wygrałaś anioła stróża?

– Ten cud ma swoje imię. Zajrzyj do kuchni, no już.

Krzyk zaskoczenia zadudnił między ścianami, gdy mój przyjaciel zobaczył szmuglerkę z patelnią w dłoni – to właśnie ona nadała nowy bieg domowym obowiązkom. Pomysł, jak niemal wszystkie sensowne rzeczy w moim życiu, wyszedł od matki. Córeczko, a może zabierzesz ją ze sobą do Tangeru, żeby ci pomagała? Ja bym do ciebie pojechała, gdybym mogła, zajęła się dzieckiem i zaprowadziła porządek w domu, ale z Sebastiánem, sama rozumiesz... A Candelarii wyświadczyłybyś wielką przysługę. Miałaby zajęcie, a tego jej brakuje. Płaciłabyś jej tyle, ile byście uzgodniły; biedaczka, sama widziałaś, chodzi jak struta. A ty miałabyś pod bokiem kogoś zaufanego.

Tego samego popołudnia Candelaria, zachwycona, przyjechała razem ze mną. Dwie zasuszone staruszki, które gościła w pensjonacie, zostawiła samym sobie; w sumie i tak już bardziej były jego częścią niż tamtejsze meble. W trakcie jazdy bez przerwy opowiadała o amerykańskim pasie wyszczuplającym, który chciała sobie kupić w Monoprix, i o *tocinos de cielo*<sup>3</sup>, którymi zamierzała się delectować w La Española; miała ze sobą sfatygowaną tekturową walizkę – kto wie, ile razy się z nią telepała, mijając zakręty i wyboje na swojej drodze życia. Gdy tylko dotarliśmy do Tangeru, zabrała się

do roboty. Rzuciła głośne pochwały, widząc ten nowy dom, w którym woda lała się z kranów strumieniami, nie brakowało żarówek i była nawet lodówka, żeby jedzenie mogło zachować świeżość. Wybrała dla siebie pokój w głębi i powiesiła w szafie swoje nieliczne rzeczy: ubrania pozbawione blasku i klasy, nawet jakiś strój, który własnoręcznie uszyłam jej już ponad dziesięć lat temu, kiedy nie otworzyłam jeszcze atelier w nowej dzielnicy hiszpańskiej w Tetuanie, a sąsiadki były moimi jedynymi klientkami.

Kiedy już się rozgościła, następnym krokiem było przejęcie roli gospodyni domu: takiej samej jak sumienna Ira Belline w Sidi Hosni, tyle że w innej skali. Po arabsku wydawała polecenia dziewczętom, ustaliła dla nich harmonogram prac i przydzieliła im konkretne zadania, które miały wykonywać począwszy od następnego poranka. A nawet, znając po angielsku trzy słowa na krzyż, trzymała w ryzach delikatną Phillipę, zawsze tak nieśmiałą i pozbawioną inicjatywy. Zakończywszy wydawać rozkazy i ostrzeżenia, zawiązała sobie w pasie fartuch, stanęła przed kuchenką i w ciągu dwudziestu minut ugotowała dla Víctora potrawkę, którą zjadł ze smakiem. Następnie przeszła do przygotowywania kolacji dla dorosłych, prostej i prawdziwej hiszpańskiej: w londyńskim Martínezie z pewnością chcieliby podawać tak pyszne tortille jak ta. Candelaria właśnie zręcznie przewracała ją na drugą stronę, kiedy Félix zajrzał do pomieszczenia, które od tej pory miało być nowym królestwem szmuglerki.

Zadowolona usłyszałam z oddali krzyki i śmiech obojga, cieszących się z tego ponownego spotkania. Candelaria niewątpliwie zdjęła mi z barków spory ciężar. Zwolniła mnie z wielu obowiązków, a także gwarantowała ład i porządek pod dachem, który miał być moim domem, przynajmniej na jakiś czas.

– A teraz, moje drogie, jeśli pozwolicie, chciałbym porozmawiać o sprawach zawodowych z panią domu – oznajmił Félix.

Skończyliśmy właśnie kolację w ogrodzie, my troje oraz Phillipa, która nie kryła zaskoczenia, że ją zaprosiliśmy, by dołączyła do grona starych przyjaciół. Moja teściowa złapałaby się za głowę, gdyby zobaczyła takie spoufalanie się ze służbą.

Candelaria zaczęła sprzątać ze stołu.



– Za kwadrans kuchnia będzie błyszczeć jak złoto, a pięć minut później kładę się do łóżka i śpię jak zabita.

Niania, bez tak wylewnych wyjaśnień i z większą dyskrecją, tak samo usunęła się w cień. Wtedy Félix wyciągnął kilka złożonych kartek z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– No dobrze, kochana. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile się dowiedziałem o tej twojej dziedzicze.

Kręcąc się tu i tam, przeglądając gazety w konsulacie brytyjskim oraz w placówce amerykańskiej, grzebiąc Bóg jeden wie w jakich innych instytucjach i zakamarkach, mój przyjaciel zdobył mnóstwo informacji i przyniósł je zapisane starannym pismem sumiennego urzędnika.

– Jeśli chcesz, jutro przekażę ci to wszystko przepisane na maszynie, ale teraz opowiem tylko pobieżnie, *d'accord*?

Od czasu do czasu Félix uwielbiał wtrącać francuskie słówka, co miało być małym mrugnięciem w stronę kosmopolityzmu, o który on się tylko ocierał.

– Zgoda, zaczynaj.

– Dobrze, na początek weźmy na tapet rodzinne korzenie i jej dziadka. Nazywał się Franklin Winfield Woolworth. A wiesz, czym się zajmował ten dobry człowiek?

– Zarabianiem pieniędzy.

– To znaczy przedtem. Zanim stworzył swoje imperium.

– Nie mam pojęcia.

– Był synem prostego farmera i zaczął pracować jako pomocnik sprzedawcy w miejscowym sklepie, za co nie dostawał nawet wypłaty. Tam zobaczył, że kawałki materiałów i inne towary, które najwyraźniej nie cieszyły się zbyt dużym uznaniem klientów, lądowały na ladzie i były oferowane za stałą cenę pięciu centów. A jako że był roztargnięty, wpadł na pomysł, żeby otworzyć własny interes, sprzedając właśnie rzeczy o niewielkiej wartości w jednej cenie. Trzydzieści lat później skromna sieć sklepów, którą założył na początku, zamieniła się w nowoczesne domy towarowe Woolworths i miał ich ponad pięćset. A dzięki nim wystarczająco pieniędzy, żeby zbudować najwyższy jak dotąd budynek w Nowym Jorku.

Wciąż siedzieliśmy w ogrodzie, już sami. Mój przyjaciel przyniósł tego wieczoru butelkę francuskiego wina. Kończyliśmy ją, a z Parque Brooks dobiegała muzyka – kolejny wieczór z orkiestrą i tańcami.

– Przejdźmy teraz do następnego pokolenia – powiedział, przysuwając swoje notatki do światła świecy. – Mężczyzna poślubił swoją narzeczoną, którą znał od najmłodszych lat, i miał z nią trzy córki: Helenę, Ednę i Jessie. Interesuje nas ta środkowa. Widziałem jakieś jej zdjęcie i nie żeby była piękną, ale taka fortuna jak jej zawsze pomaga zamienić brzydkie w ładne, więc ostatecznie wyszła za takiego przystojnego gościa, któremu też nie brakowało pieniędzy i który, co było do przewidzenia, od początku ją zdradzał. Mieszkali wtedy w luksusowym apartamencie hotelu Plaza i mieli sześciolletnią córkę. Pewnej nocy, kiedy tatuś był z jedną ze swoich kochanek, a niańki i guwernantki nie wiadomo gdzie, dziewczynka zatęskniła za mamą i biegała po wszystkich pokojach, krzycząc: mamusiu, mamusiu, mamusiu...

– Féliksie, proszę cię – przerwałam mu. – Przestań się wygłupiać i przejdź do rzeczy.

– *Pardonne-moi, chérie*, ale to wszystko jest tak dramatyczne, że nie mogłem się oprzeć.

– I co się wtedy stało?

– Mama łyknęła całą fiolkę pigułek i leżała w wannie jak ptaszek.

– To znaczy martwa? I dziewczynka tam ją znalazła?

– Otóż to, znalazła ją słodka Barbarita, ta sama, która niedługo będzie nosić twoje kreacje. Osierocona przez matkę, została z ojcem, który nawet nie zwracał na nią cholernej uwagi, a z powodu przezornych kroków prawnych nie mógł też położyć łapy na fortunie swojej żony. Niedługo potem do nieba poszli też dziadkowie, zostawiając ponad tysiąc sklepów i wiele milionów dolarów. Dziewczynka została sama, ale porządnie nadziana. Od tamtej pory dzieliła swoje życie między internaty i domy krewnych.

Moje słowa zabrzmiały niczym refleksja w środku nocy.

– Na pewno miała ciężkie dzieciństwo, pomimo pieniędzy.

– Cóż, sama wiesz, że kiedy ma się chleb, smutek jest mniejszy. Gdybym ja mógł wybierać, bez wahania zamieniłbym tę sukę moją matkę na parę tych milionów.

– Nie bądź grubiański i mów dalej, no już.

Dopił swoje wino i wrócił do notatek.

– Kiedy miała osiemnaście lat, przedstawiono ją w towarzystwie w Nowym Jorku podczas bankietu, który kosztował sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Jutro, jak tylko wstanę, wybiorę się do kantorów przy Siaghin, sprawdzę kurs dolara i przeliczę ci na pesety. Ale to musiało być strasznie dużo, bo podobno skończyło się wielkim skandalem. To był trzydziesty rok, wyobraź sobie, sam środek wielkiego kryzysu po krachu z dwudziestego dziewiątego, ludzie zrujnowani, zwijane interesy, brak pracy, ciężkie czasy... A tymczasem ci bogacze szastają pieniędzmi na prawo i lewo, ze swoimi butelkami szampana, futrami i samochodami w Ritzu-Carltonie, z Maurice'em Chevalierem przebranym za Świętego Mikołaja wręczającym wystawne prezenty bożonarodzeniowe zaproszonym gościom, jakby rozdawał orzeszki. W rezultacie prasa się na nich rzuciła, więc w końcu poszli po rozum do głowy i postanowili pozbyć się dziewczyny, wysyłając ją do Europy. Wtedy nadeszły wielkie zmiany.

– W kim? W niej?

– Raczej w jej ciele. Do tej pory dziewczyna była nieco przy kości, a potem zamieniła się w kij od szczotki. No i jest jeszcze ten przeskok od zwykłej i pływającej bogaczki do rzekomej księżnej.

– Właśnie tak nazywa ją Ira Belline: „księżna to”, „księżna tamto”. Ale co takiego zrobiła? Nie mów, że kupiła sobie tytuł.

– Nie, głuptasko. Kupiła sobie raczej męża. Czeka, gdzieś tu mam nazwisko...

Z Parque Brooks zaczęły dobiegać dźwięki bolera, czysta noc niosła tu całe zwrotki. „Kobieto, jeśli możesz z Bogiem rozmawiać...”

– Jest. Niejaki Alexis Mdivani okazał się tym szczęśliwcem. Ona miała dwadzieścia jeden lat, on dwadzieścia osiem. To księżę pochodzenie jest raczej wątpliwe. Z tego, co czytałem, była to rodzina dobrego pochodzenia, która opuściła Gruzję, gdy weszli tam Rosjanie, i zamieszkała w Paryżu. Bóg jeden wie, skąd wytrzasnęli ten tytuł. W każdym razie to bez znaczenia, bo małżeństwo trwało tylko dwa lata. Nasza Barbara pozbyła się młodzieńca za sprawą

porozumienia, które kosztowało ją kilka ładnych milionów, ale tytułu nie oddała. Fałszywy czy nie, wciąż go używa.

– Dobrze, pierwsze małżeństwo kaput. Przejdź do drugiego.

– Jeszcze w tym samym roku wyszła za duńskiego hrabiego o nazwisku niemożliwym do wymówienia, zmieniła narodowość, zbudowała sobie willę w Londynie, urodziła syna Lance'a i nagromadziło jej się trochę problemów. Wygląda na to, że nowy mąż był okropnym facetem, który zamienił jej życie w piekło. Ona dalej cierpiała na anoreksję i inne zaburzenia, zaczęła zaglądać do butelki i sięgać po prochy, aż wylądowała w szpitalu. Wykorzystując tę sytuację, on próbował ją ubezwłasnowolnić, żeby móc samemu zarządzać majątkiem.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Głos piosenkarza wypełnił ciszę. „A ty, kto wie, dokąd pójdziesz...”

– W każdym razie – ciągnął Félix – skończyło się kolejnym rozwodem, który był dobrą pożywką dla prasy. On oczywiście nie odszedł z pustymi rękami. Czekaj, przeczytam ci, co facet wziął, zaraz, gdzie ja to mam...

– Nieważne, Félixie. To mnie nie interesuje. No już, idźmy dalej.

– W tym celu musimy przeskoczyć do Kalifornii. Tam wyjechała w trzydziestym dziewiątym, kiedy zaczęła się wojna w Europie. Tam też poszła do ołtarza z Carym Grantem. Niezły temat w samym środku wojny. Gwiazda Hollywood i najbogatsza kobieta na świecie, oboje rozwodnicy, nagle stali się parą. Wygląda na to, że poznali się podczas kampanii propagandowej, której celem było zebranie środków i sprzedaż bonów na rzecz aliantów. W oczach opinii publicznej stali się niemal bohaterami.

– Ale ten związek też się nie udał.

– Nie, rozwiedli się po trzech latach. Ona najwyraźniej wciąż miała nierówno pod sufitem od czasu poprzedniego małżeństwa, a on też chyba nie miał łatwego charakteru. Ale przynajmniej okazał się dżentelmenem i przy rozwodzie nie zażądał od niej ani dolara. Jednak ona, jako że pieniądze wychodziły jej uszami, postanowiła mu to zrekompensować.

– Bardzo szczodra...

– Właśnie. To jest zresztą jeden z przymiotników, który najczęściej się powtarzał we wszystkich artykułach, które przeczytałem. Wygląda na to, że jest tak szczodra, że czasami ociera się o absurd: sypie podarkami na prawo i lewo, jak gdyby chciała sobie kupić uczucia.

*The poor little rich girl*, tak ją nazywa prasa od czasów dzieciństwa.

– A więc podsumowując, Féliksie...

– Podsumowując, twoja przyszła klientka jest, jak właśnie powiedziałem, szczodra aż do przesady, cierpi na przewlekłą depresję, jest kapryśna, niestabilna i zmienna, umiarkowana alkoholiczka, uzależniona od różnych substancji i ma obsesję na punkcie swojego wyglądu, co doprowadziło ją do anoreksji. Teraz zapragnęła kupić sobie pałac w Tangerze, ale równie dobrze jutro może nabyć posiadłość w Sewilli, kawałek Wielkiego Muru Chińskiego albo ranczo. Pewne jest jedno: zawsze dostaje to, czego chce. Tak więc, kochana, możesz już ostrzyć nożyce.

**M**oże mogłybyśmy zacząć od sześciu strojów dziennych oraz dwóch wieczorowych, co pani na to?

Zamierzałam wrócić do Sidi Hosni, żeby Ira Belline udzieliła mi dokładnych informacji, zanim wybiorę się na Gibraltar w poszukiwaniu tkanin. A przy okazji mogłabym się dalej rozeznawać w zawilóściach pałacu i jego otoczenia, żeby skupić się na tym, co było moim prawdziwym zadaniem w Tangerze. Ale ona mnie ubiegła i wcześniej rano następnego dnia zastałam przed drzwiami młodą Marokankę z wiadomością od rosyjskiej *housekeeper*. Zapraszała mnie do herbaciarni Madame Porte. Stawiłam się tam o wyznaczonej godzinie.

Zaproponowała, żebym za jednym zamachem uszyła osiem kreacji. Osiem strojów dla Barbary Hutton w niecałe dwa tygodnie. Chciałam już wybuchnąć śmiechem i zapytać: oszalała pani? To byłaby tytaniczna praca, niemal niewykonalna. Mimo to podniosłam filiżankę do ust i nie odrzuciłam zamówienia. Wiedziałam, że znajdę jakiś sposób.

Siedziałyśmy przy ścianie z wielkim lustrem, przy małym okrągłym stoliku nakrytym obrusem w kolorze wanilii. Dookoła nas prawie nie było klientów. W letnie tangerskie popołudnie plaża albo sješta były znacznie przyjemniejsze niż delektowanie się czekoladową eklerką w tym słynnym lokalu przy ulicy Estatuto, który później miał się przenieść na nowocześniejszą ulicę Goi. Ale Ira Belline, podobnie jak Candelaria, była niezmordowana pomimo zaawansowanego wieku. Pobieźnie opowiedziała o niektórych zadaniach, jakie miała na głowie w tej chwili – od zdobywania berberyjskich dywanów odpowiednich do wielkości pomieszczeń po użeranie się z malarzami, kowalami i murarzami. Nie zapytała, gdzie zamierzam kupić tkaniny do uszycia strojów, ani ja o niczym jej nie

powiedziałam, i tak miała na swoich wąskich barkach wystarczająco dużo problemów, żebym dokładała jej jeszcze swoich.

Instrukcje, które mi przekazała, opierały się w zasadzie na trzech filarach: jakość, *charme* i zaufanie do mojej wizji. Kiedy wszystko między nami zostało ustalone, poprosiła o rachunek i otworzyła torebkę, żeby zapłacić. Zobaczywszy jej zawartość, westchnęła znużona.

– Odkąd rozeszła się wiadomość, że księżna zamieszka niebawem w Tangerze, do Sidi Hosni cały czas przychodzą wszelkiego rodzaju prośby i propozycje. Ludzie zgłaszają się do pracy, ale są też tacy, którzy błagają o pożyczkę albo chcą sprzedać księżnej działkę, proszą, żeby została matką chrzestną noworodka albo zamierzają przekazać jej stado kóz. Nawet sobie pani nie wyobraża, z jak absurdalnymi rzeczami przychodzą. *Généralement* nie zawracam sobie nawet głowy odpowiadaniem, ale obawiam się, że niektórych spraw nie wolno zignorować. Na przykład tej sprzed kilku dni.

Dwoma palcami wyciągnęła kartkę w kolorze kremowym. Położyła ją na obrusie, nie wypadało mi jej nie przeczytać. „Międzynarodowe Stowarzyszenie Prasy ma zaszczyt zaprosić Panią Barbarę Hutton lub jej reprezentanta na Galę Estival, która odbędzie się w Emsallah Garden”. Godzina: dziesiąta trzydzieści. Data: tego samego wieczoru.

– Nie mam najmniejszej ochoty tam iść – przyznała, spuszcżając wzrok. – Ale obawiam się, że nie mam innego wyjścia. Z Paryża dostałam jasne wytyczne, żeby utrzymywać dobre stosunki z lokalnymi mediami. Wygląda na to, że księżna martwi się takimi rzeczami.

Przypomniałam sobie opowieść Félix'a z poprzedniego wieczoru. Wspominał, że prasa amerykańska rzuciła jej się do gardła, krytykując za szastanie pieniędzmi podczas pierwszego bankietu, a później szczegółowo rozpisywała się o jej ślubach i rozwodach. Powiedział też, że chwalono ją za szczodre wsparcie armii podczas wojny. Tak, może Ira Belline miała rację. Może słynna *socialité*, choć robi to, co się jej żywnie podoba, nie przejmując się opiniami innych, martwi się tym, jak jest postrzegana. Jasne, że teraz nie chodziło

o „The New York Times” ani gazety podobnej wagi, tylko o zwykłą miejscową prasę w zakątku afrykańskiej mapy.

– W każdym razie – dodała Rosjanka, biorąc resztę – postaram się wykrzesać siły.

– Może wcale nie będzie nudno – powiedziałam. Chciałam jej tylko ulżyć, moja rola fałszywej reporterki skończyła się przed wyjazdem z Londynu.

Zamknęła portmonetkę z kliknięciem i spojrzała mi w oczy.

– Nie miałyby pani ochoty wybrać się tam ze mną, *chérie*? Koniec końców obie jesteśmy teraz powiązane z księżną.

Oczywiście nie byłam zainteresowana w najmniejszym stopniu. Nie zdążyłam jednak wymyślić wymówki, a tych kilka sekund milczenia ona zinterpretowała jako częściową zgodę.

– Nie wiem, czy zna pani to miejsce: to piękny ogród i z pewnością podadzą pyszną kolację. Przynajmniej byśmy się trochę rozerwały.

Kompleks Emsallah Garden okazał się kolejnym nowym obiektem rekreacyjnym stworzonym po wojnie. I na szczęście znajdował się względnie blisko mojego domu, konsulatu, Szpitala i Szkoły Hiszpańskiej oraz placu Biskupa Betanzos.

Atmosfera przypominała eleganckie przyjęcie na wolnym powietrzu, z lampionami i żarówkami, stołami i kelnerami, letnimi strojami i orkiestrą, która grała akurat melodyjną piosenkę, kiedy przechodziłyśmy przez bramę w postaci szerokiego roślinnego łuku. Większość dziennikarzy stanowili mężczyźni, ale tego wieczoru towarzyszyły im ich żony, narzeczone albo przyjaciółki, więc Ira Belline i ja nie byłyśmy jednymi kobietami, choć może najbardziej się wyróżniającymi. Dojrzała Rosjanka zamieniła swój dzienny strój na wieczorową suknię, może odrobinę staromodną, ale niezmiernie wystawną. Ja natomiast zdecydowałam się na najbardziej efektowną z moich angielskich sukienek, z odsłoniętymi ramionami i plecami. Nawet nie włożyłam jej podczas tournée Evy Perón: uznałam, że jest zbyt śmiała jak na naszą zachowawczą Hiszpanię. Teraz jednak wydała mi się idealna na tangerski wieczór nad brzegiem Atlantyku. Koniec końców nikt mnie tu nie znał i po raz pierwszy od długiego czasu sądziłam – cóż za naiwność – że nie będę musiała kłamać ani niczego udawać.



Pomyliłam się jednak. Gdy tylko rozeszła się wieść, że zjawiłyśmy się w imieniu Barbary Hutton, wszyscy byli szczerze zainteresowani, żeby nas poznać. *To make a long story short*, jak mawiają Anglicy, w oczach tych ludzi nagle stałam się bardzo bliską osobą z kręgu słynnej dziedziczki, kobiety, która wpadła na niedorzeczny pomysł, by kupić sobie dom na terenie kazby.

Być może z powodu wielu moich poprzednich zadań, choć tego wieczoru żadnego nie wykonywałam, znów uruchomiłam swoje umiejętności i raz za razem rejestrowałam nazwy gazet i instytucji, których przedstawiciele do nas podchodzili. Rozmawiali ze mną uprzejmi pracownicy francuskiej gazety „La Dépêche marocaine”. Gadatliwy Amerykanin, który stał na czele „Tangier Gazette”, nie przestawał zasypywać mnie pytaniami, bezczelnie gapiąc się na mój dekolt, zaś reporterzy z tygodnika „Cosmópolis” zapytali mnie, czy prawdziwe są plotki, jakoby bogata Amerykanka zamierzała wydać przyjęcie dla setek gości przybyłych z całego świata. Przywitał się ze mną doświadczony Alberto España, najstarszy z tangerskich dziennikarzy, a ojcowie franciszkanie, którzy wydawali magazyn „Mauritania”, z najwyższym szacunkiem zapytali, czy doña Bárbara byłaby łaskawa zlitować się nad największymi nieszczęśnikami po tej stronie Cieśniny, przekazując na ich rzecz jakąś darowiznę. Rozmawiałam także z ludźmi radia; nie miałam pojęcia, że w Tangerze jest tyle stacji radiowych.

Akcenty i tony tych wszystkich ludzi były różnorodne. Pytania natomiast w zasadzie takie same: kiedy przybędzie księżna, jak postępują przygotowania, na jak długo zamierza zostać, co planuje robić w Tangerze, czy byłaby skłonna udzielić wywiadu, czy to prawda, że kupiła ten pałac, podwajając ofertę, którą poprzedniemu właścicielowi złożył sam Franco. Zainteresowanie dziedziczką imperium Woolworths okazało się większe, niż zakładałam, i najwyraźniej wydawało się szczerze – być może dlatego, że wszyscy się spodziewali, że jej obecność mogłaby być potężnym magnesem, zdolnym przyciągnąć większy prestiż, renomę i bogactwo do miasta, które już i tak było dość zamożne.

Wszyscy nadal stali, popijając wino, jedząc kanapeczki i kromki. W pewnym momencie, niepostrzeżenie, Ira Belline i ja

rozdzieliłyśmy się, trafiając do zupełnie różnych grup. Chwilę później przedstawiło mi się szefostwo dziennika „España”; przez kilka minut rozmawiałam z jego redaktorem naczelnym Gregoriem Corrochano, a także z sympatycznym dziennikarzem Jaimem Menéndezem, który miał ksywkę Chato. Żadnemu z nich nie przyznałam się, że w trzydziestym ósmym, w samym środku wojny domowej, byłam obecna, na zaproszenie Beigbedera, na inauguracji ich gazety; to właśnie Wysoki Komisarz otworzył strumień gotówki, by jego przyjaciel Corrochano mógł zacząć wydawanie gazety, będącej skuteczną bronią propagandową na rzecz frankizmu. Beigbedera jednak nie było już w Maroku i chociaż redaktor naczelny pozostał ten sam, to gazeta zmieniła profil, skupiając się na sprawach międzynarodowych i stając się bardziej otwarta – prawie bez cenzury, przedstawiając sprawy zgodnie z prawdą i prezentując nieco szerszy wachlarz poglądów i ideologii. Do tego wręcz stopnia, że jej egzemplarze czytelnicy wyczekiwali na Półwyspie Iberyjskim jak kania dżdżu.

– Jeśli w Cieśninie nie ma burzy – poinformował mnie z dumą Chato – około południa można je już kupić w Kadyksie, Sewilli i Maladze, a po południu docierają do kiosków w Madrycie, gdzie wyrywają je sobie z rąk.

W tym momencie podszedł fotograf gazety, żeby zrobić grupowe zdjęcie; Ira Belline nadal rozmawiała w innym kółeczku, a ja w tej chwili byłam jedyną kobietą w mojej grupce. Ten i ów starał się, żebym zajęła najbardziej eksponowane miejsce, być może po to, żeby pozostał dowód moich prawdziwych relacji z Barbarą Hutton, a może dlatego, że moja sukienka i mój wygląd stanowiły przeciwwagę dla samych krawatów. Uwaga, uwaga, trzy, dwa... jeden. Rozbłysnął flesz. Gotowe.

I tak spędziłam jeszcze trochę czasu z kieliszkiem w dłoni, odpowiadałam na pytania, nie komplikując sobie życia. W żadnym momencie nie przyszło mi do głowy, żeby komukolwiek wspominać o moich audycjach w BBC – pozbawiona przebrania reporterki ograniczyłam się do unikania niebezpiecznych pytań, wymyślania miłych odpowiedzi i uśmiechania się w otoczeniu szanowanych dziennikarzy, urzędników, przedsiębiorców i pracowników

wysokiego szczebla, zarówno Żydów, jak i chrześcijan oraz nielicznych Arabów. O sobie powiedziałam jedynie tyle, że nie, nie mieszkam w Sidi Hosni, tylko w willi przy Parque Brooks.

Na tym przyjęciu nie było jednak ani śladu kapryśnych cudzoziemców w kolorowych fularach i żółtych marynarkach, którzy jedli kolację w Le Parade i którzy tak bardzo fascynowali Félixą. Jak sam mi wyjaśnił, z pewnością żyli w osobnym świecie.

– To muszą być ci nowi z Gibraltaru – powiedział ktoś. – Właśnie przyszli.

Wszystkie głowy obróciły się w stronę pleców trzech mężczyzn; w tym środkowym coś wydało mi się mgliście znajome. Może chód, może kark, ramiona, szyja. Ale nie zaprzętałam sobie głowy budowaniem mostów między tym, co widziały moje oczy, a depozytami pamięci; sama wzmianka o Gibraltarze natychmiast przypomniła mi o moich pilnych obowiązkach.

– Przepraszam, panowie, może będziecie mogli mi pomóc. Jak najłatwiej dostać się stąd na Skałę?

Przypuszczałam, że najszybszą i najbardziej logiczną opcją jest statek. Koniec końców odległość drogą morską była niewielka, wystarczyło przepłynąć Cieśninę i już.

– Są promy Bland Line – odpowiedział ktoś. – Ale niedawno Anglicy utworzyli codzienne połączenie lotnicze. Po zakończeniu wojny mają chyba za dużo samolotów.

Nasza grupka wybuchnęła śmiechem, a zaraz potem usłyszeliśmy zaproszenie do zajęcia miejsc przy stołach.

– *Je suis exténuée* – wyszeptała Ira Belline, kiedy goście zaczęli się kierować w stronę krzeseł.

Nie musiała podawać powodów. Po kilkorgu trwających całą wieczność przeprosinach ruszyliśmy razem w stronę wyjścia – owinięte w noc zostawiałyśmy za sobą sprawy, które miały powrócić we właściwym czasie.

Choć jeszcze tego nie wiedziałam, jedno spośród tamtych trzech męskich pleców znałam bardzo dobrze. Nie przeczuwałam, że pozowanie do zdjęcia, które zostało w aparacie fotografa z dziennika „España”, będzie miało dla mnie złowrogie konsekwencje.

Félix siedział obok mnie, złapałam go za rękę i mocno ścisnęłam. Wóz ciągniony przez osła przejeżdżał przez środek pasa do lądowania akurat w tej samej chwili, kiedy mały samolot, lecący prostopadle do niego, miał dotknąć ziemi. Wyglądało jednak na to, że ani staruszek w berecie i espadrylach, który jechał na wozie, ani pilot za sterami naszego samolotu nic sobie z tego nie robili. To musiał być typowy obrazek na Gibraltarze: piesi, zwierzęta, auta i rowery, szmuglerki i samoloty, przemytnicy i wozy poruszali się w przeróżnych kierunkach na tym piaszczystym przesmyku o niejasnym zwierzchnictwie, który oddzielał wielką Skałę od reszty Półwyspu Iberyjskiego. Każdy robił swoje, wedle własnego uznania i w swoim tempie. Obywatele brytyjscy i Hiszpanie, którzy przyjeżdżali tu codziennie, żeby dla nich pracować albo nabyć rozmaite towary, a później je odsprzedać. To nadal były czasy ciężkiego powojnia i tu na południu wciąż panowała bieda.

Z dwóch powodów poprosiłam Félix, żeby mi towarzyszył. Po pierwsze chciałam, żeby mi pomógł w załatwieniu sprawy. Zamierzałam kupić tkaniny i od razu tego samego popołudnia zabrać je ze sobą do samolotu. Powinnam jak najszybciej wziąć się do pracy, skoro stroje dla madame Hutton miały być gotowe na czas. Chciałam więc, żeby Félix pomógł mi z zamówieniami i paczkami, potrzebowałam kogoś godnego zaufania. Tak mu właśnie powiedziałam, a on zgodził się z radością – po raz pierwszy wsiadł na pokład samolotu, po raz pierwszy w życiu opuszczał Afrykę. Tak naprawdę z Hiszpanią łączyły mojego przyjaciela tylko wykształcenie i paszport; co do reszty jego natura była kolonialna, oderwana od ojczyzny, niczym Kreol z dala od kraju swoich przodków.

Nie wspomniałam mu jednak o drugim powodzie, dla którego potrzebowałam jego towarzystwa, bo wolałam zachować to dla siebie i nie mówić mu o bólu, jakiego się spodziewałam. Na Gibraltar przyjechałam bowiem niegdyś z Marcusem z Madrytu, żeby się z nim pobrać w najprostszy i najbardziej dyskretny sposób. Bez kwiatów, kościoła i gości, nawet bez obrączek. W tym miejscu Marcus i ja parafowaliśmy rodzinny projekt, wspólny plan na przyszłość. Teraz on nie żył, a ja wykonałam entą już woltę, żeby przyjąć kolejną nową tożsamość, fałszywą i zagmatwaną.

Na szczęście kontrast między zimowym i ołowianym dniem naszego ślubu a letnim porankiem, kiedy wysiedliśmy z samolotu linii BOAC, okazał się tak drastyczny, że nostalgia postanowiła obejść się ze mną łagodnie i dała mi chwilę wytchnienia. Podczas mojej poprzedniej wizyty Skala była w dużym stopniu zmilitaryzowana, handel zamknięty na cztery spusty, mieszkańcy ewakuowani do Irlandii Północnej, na Jamajkę, na Maderę. Teraz, ponad dwa lata po kapitulacji Niemiec, choć nadal widziało się wielu marynarzy Royal Navy, cywilni mieszkańcy byli tu z powrotem, repatriowani, a na ulicach toczyło się codzienne życie i panował ruch. Liczne flagi Union Jack powiewały na wietrze, puby, kawiarnie i sklepy były otwarte, kręcili się dostawcy i uliczni sprzedawcy lodów, wszędzie widziało się ogłoszenia i plakaty.

Taksówka zostawiła nas na Main Street, tuż przed sklepem, który figurował na wizytówce, jaką wręczono mi przy ulicy La Luneta. Daldas & Sons. Dealers in Wholesale & Retail z firmą macierzystą w Hajdarabadzie w Indiach i filiami rozrzuconymi na całym świecie: w Hongkongu, Kantonie, Port Saidzie, Bombaju, Sierra Leone, na Teneryfie, w Panamie, Casablance. I naturalnie w Tetuanie, skąd mnie tu przysłano.

Witryna była szeroka, na dziesiątkach wieszaków i haczyków wisiały gobeliny, dywany, chusty, ubrania. Weszłam z Félixem do środka, gdzie pachniało kadzidłem. Zaprowadzono nas do magazynu na tyłach. Uprzejmy hinduski sprzedawca o miedzianej cerze, kruczoczarnych włosach i dużych białych zębach zaczął pokazywać nam tkaniny zgodnie z moimi życzeniami. I rzeczywiście, oczy rozszerzyły mi się z zachwytu w obliczu piękna i jakości tego

wszystkiego, co mi podawał. Przędzona wiskoza, wspaniałe jedwabie zarówno w żywych, jak i stonowanych kolorach. Fantazyjne nici, szpulki z szeroką gamą odcieni, wstążki, guziki, hafty, brokаты, koraliki. Prawdziwy raj dla krawcowej, która od dłuższego czasu nie szyła i której, zrzędzeniem losu, powierzono stworzenie garderoby w stylu marokańskim. Nic z tego nie przypominało północnoafrykańskiej estetyki, pochodziło wszak z drugiego końca świata, ale znalazłabym jakiś sposób, by wyglądało podobnie.

Wahałam się przed podjęciem decyzji: asortyment był bogaty i musiałam wybierać rozważnie. Cierpliwy sprzedawca, wyczuwając, że może dokonać dobrej transakcji, wrócił do głównej części sklepu, zostawiając mnie samą, żebym spokojnie się zastanowiła. Znudzony Félix tymczasem postanowił wyjść na ulicę – nie zamierzał marnować swojego wielkiego dnia pośród tych ścian. Zostałam więc w słabo oświetlonym magazynie, wychodząc co chwilę z tkaninami w ręku, żeby obejrzeć je dokładnie w świetle słońca, wahając się, debatując sama ze sobą. I to właśnie podczas jednego z takich wyjść, kiedy stałam przed sklepem pełnym klientów, doświadczyłam czegoś, co wywołało u mnie kolejne *déjà vu*, podobne do tego z poprzedniego wieczoru w Emsallah Garden, gdy patrzyłam na plecy trzech mężczyzn. Być może teraz była to jakaś twarz, jakiś gest, nieokreślony zapach, jakieś pojedyncze słowa. Coś, w środku tego zamętu, wydało mi się nagle tak bliskie, niczym delikatna pieśczoła duszy, kiedy człowiek błądzi pośród ciemności.

Ostatecznie zostawiłam na ladzie sporo funtów szterlingów, a sprzedawcy zwinnymi rękami zaczęli pakować moje zakupy. Uzgodniliśmy, że osobiście dostarczą paczki na lotnisko. Była właśnie pora obiadu, w sklepie pusto, inni klienci już wyszli, zostaliśmy tylko my i włączone radio. Właśnie nadawano serwis informacyjny. Zbliżająca się niepodległość i podział Indii, lord Mountbatten, Pakistan i Nehru – najwyraźniej to były aktualne tematy. Pracownicy przerwali na kilka chwil swoje zajęcia, mówiono o ich kraju pochodzenia, toteż interesowały ich te wiadomości. Ja w tym czasie, otoczona niezwykłymi towarami, poczułam, że w środku coś się we mnie ściska. I wtedy nagle sobie uświadomiłam. To nie podawana informacja, lecz głos emitowany przez fale

przenosił mnie do dawnych chwil i przeciągał do innego kraju. O agonii Imperium Brytyjskiego z całkowitym opanowaniem mówił nie kto inny jak Nick Soutter.

Rozgłośnia? *Station*? Jaka rozgłośnia? Jaka *station*? Pytania wychodziły niezdarnie z moich ust, mężczyźni potrzebowali kilku chwil, żeby mnie zrozumieć.

– Aaa... – odezwał się w końcu ten, który mnie obsługiwał ze swoim spokojnym uśmiechem i dużymi zębami. – GB. Gibraltar Radio.

Nie potrafili mi jednak wyjaśnić, gdzie dokładnie znajduje się miejsce, z którego nadawano. Właśnie starali się dojść w tej sprawie do porozumienia, kiedy Félix wrócił z butelką szkockiej whisky i dwoma kartonami papierosów Craven A, swoimi luksusowymi zakupami.

– Ty jeszcze nie skończyłaś, skarbie? Umieram z głodu, a znalazłem restaurację o nazwie El Sombrero, chodź, wygląda fantastycznie.

Nie odpowiadając mu, pożegnałam się pośpiesznie z uprzejmymi Hindusami.

– Idź sam – powiedziałam, gdy wyszliśmy na zewnątrz. – Mam jeszcze coś do zrobienia.

– O tej porze? Przecież na ulicy nie ma żywego ducha, dziewczyno. Ci ludzie mogą sobie być Brytyjczykami i poddanymi Jego Wysokości, ale w godzinach największego upału uciekają do cienia, tak samo jak ich sąsiedzi z La Línea.

Udało mi się go pozbyć. Następnie postanowiłam zapytać o stację jednego z miejscowych bobbies, identycznych jak ci londyńscy.

– Wellington Front, madam.

Taksówkarz nie wiedział, że w tej dawnej fortyfikacji wojskowej usytuowano siedzibę rozgłośni radiowej, dlatego przez chwilę się kręcił, zanim zostawił mnie przed miejscem, które wyglądało na wejście. Nie widziałam, żeby ktoś tam wchodził, z nikim się też nie minęłam, gdy szłam dalej, aż znalazłam ponury i cichy korytarz, silnie kontrastujący z jasną Zatoką Algeciras. To miejsce w niczym nie przypominało wspaniałej siedziby PBS w Jerozolimie, a tym bardziej budynku Broadcasting House czy Bush House w Londynie.

Idąc między surowymi skalnymi ścianami, znalazłam jedynie znak wskazujący drogę do studia. Nie będąc niczego pewna, ruszyłam za strzałką.

Wreszcie zobaczyłam go przez szklany panel i przez kilka sekund nie mogłam uwierzyć. Zmierzwione włosy, rozluźniony krawat, rękawy koszuli podwinięte do łokci odsłaniały jego masywne ręce i brązowe nadgarstki; ten co zawsze zegarek Orator na skórzanym pasku i te mocne ramiona, w których trzymał mnie tyle razy w czasie mojej żałoby. Te same – teraz sobie to uświadomiłam – które poprzedniego wieczoru zauważyłam tyłem do mnie podczas kolacji z tangerskimi dziennikarzami. Kiedy on przyszedł, ja wychodziłam, minęliśmy się, nie widząc.

Naprzeciwko mnie, oddzielony jedynie szybą i w odległości kilku metrów, siedział mężczyzna, który był moim przyjacielem i moim pocieszeniem w Palestynie. To masywne ciało, z którym zderzyłam się przypadkowo, kiedy wchodził do Barclays Bank podczas mojego pierwszego poranka w Ziemi Świętej; nogi, na które zwymiotowałam, gdy jeszcze nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Człowiek, który pomimo mojego braku doświadczenia zaufał mi, kiedy zaproponowałam współpracę z jego radiem; mąż kogoś, kto w Londynie próbował mnie zniszczyć z powodu bezsensownej zazdrości.

Siedział przed mikrofonem, ale nie mówił – serwis informacyjny skończył się chwilę wcześniej. Nadal był jednak skupiony na swoich kartkach, nieobecny i poważny, siedział ze spuszczonego wzrokiem. W palcach trzymał prawie wypalonego papierosa. Zamierzał właśnie włożyć go do ust, żeby zaciągnąć się ostatni raz, kiedy zastukałam w szybę. Podniósł głowę, zmarszczył brwi. Początkowo mnie nie zauważył – korytarz był pogrążony w mroku, on w swoim surowym studiu miał włączone światło, co nie pozwalało mu mnie zobaczyć. Ale w jakiś sposób, powoli, wydawało się, że rozpoznaje moją sylwetkę. Nawet nie patrzył, co dokładnie robi, zgniótł niedopałek w popielniczce pełnej popiołu i petów – gwałtowny w swoich ruchach, jak wiele razy wcześniej. Później zaczął wstawać. Pomału. Z niedowierzaniem.



**A**leja Doctora Cenarra też nie znajdowała się daleko od mojego domu. Wskazówki, jak tam dotrzeć, dał mi szczerbaty chłopczyk w krótkich spodenkach z andaluzyjskim akcentem, którego spotkałam na Boulevard Alejandría. Podążając w kierunku wskazanym przez jego wyciągnięty palec, ruszyłam w poszukiwaniu Marujy Peñi.

Mniej więcej wiedziałam, jakiego rodzaju stroje muszę uszyć, ale potrzebowałam jeszcze szczegółów. Żeby je zdobyć, w drodze powrotnej do Tangeru zleciłam Félixowi nowe zadanie: miał wziąć pod lupę tradycyjny marokański ubiór na wystawne przyjęcia, podobnie jak dawniej zrobił w Tetuanie, kiedy wymagająca niemiecka klientka zamówiła u mnie strój do tenisa, a ja nie miałam pojęcia, na czym polega ta gra ani jak wygląda to ubranie. Kiedy połączyłam informację o stroju z moją intuicją, mogłam przygotować przyszłe ubiory na szkieletową sylwetkę nowej klientki, używając indyjskich tkanin, a jednocześnie nadając im wyrafinowany i własny styl. O tym wszystkim powinnam myśleć tego poranka, idąc na poszukiwanie moich przyszłych pracownic. Ale nie, nie robiłam tego. W głowie miałam jedynie miejsce na wspomnienie spotkania z Nickiem Soutterem.

Na tym ciemnym korytarzu naszym pierwszym wspólnym impulsem było paść sobie w ramiona. Wzruszona do głębi, z twarzą zatopioną w jego klatce piersiowej i ramionami wokół jego pleców, nie zdołałam powstrzymać płaczu. Ze względu na zniszczoną Jerozolimę, którą zostawiliśmy, na Marcusa i mojego syna, który urodził się bez ojca. Ze względu na to, ile znaczył dla mnie Nick podczas żałoby i jak bardzo brakowało mi jego wsparcia, odkąd wyjechałam z Palestyny.

Potem nadrobiliśmy zaległości, opowiadając co u nas, wciąż zdziwieni tym przypadkowym spotkaniem, zdumieni, jak mały może być świat. Wszystko jednak miało swoją logikę i przyczynę. PBS, radio publiczne w Palestynie, któremu Nick poświęcił swoje wysiłki w ostatnich latach, również padło ofiarą coraz bardziej wyniszczającego konfliktu między Żydami, Arabami i Brytyjczykami. Prawie nic już nie zostało z solidnej stacji, jaką była swego czasu, a w konsekwencji niemal nie było tam już miejsca dla takiego profesjonalisty jak on, związanego z Brytyjskim Mandatem Palestyny, który niebawem miał upaść. W takiej sytuacji rozważał możliwe kierunki wyjazdu, ale perspektywy w całym Imperium były równie zniechęcające – nikt już nie miał wątpliwości, że brytyjska potęga dobiega końca.

Zdrowy rozsądek i serce podpowiedziały mu więc, że powinien wrócić na Zachód.

– Ale Londyn – powiedział – przy trwającym rozwodzie wolałem sobie na razie odpuścić.

Wtedy pojawiła się możliwość, by zacząć tworzyć cywilną radiostację na Gibraltarze, wykorzystując dawny obiekt wojskowy. Miało to być coś powiązanego z BBC, a zarazem coś niezależnego. Swoje stanowisko objął zaledwie kilka tygodni wcześniej.

– To niewielki projekt, nie mamy dużo środków, nadajemy tylko wiadomości trzy razy dziennie. Ale traktuję to jako etap przejściowy, zobaczymy, co przyniesie przyszłość.

Siedząc naprzeciwko siebie w tym nijakim studiu, dalej rozmawialiśmy o mnie, o nim, o Víctorze, o jego dzieciach, o naszej wspólnej przyjaciółce Fran Nash, która nie zamierzała opuszczać swojego apartamentu w Austrian Hospice na Starym Mieście i relacjonowała konflikt jako wzięta reporterka freelancerka dla coraz większej liczby gazet. Opowiedział mi o nieznośnym napięciu w Palestynie, o narastającej przemocy i coraz radykalniejszym nastawieniu, o American Colony i Bercie Vester, o Katy Antonius i innych osobach, które tam poznałam. Ja natomiast zrelacjonowałam mu moje przygody w Londynie i podróż z delegacją Evy Perón po Hiszpanii, opowiedziałam mu też o mojej niespodziewanej umowie z londyńską firmą ubezpieczeniową

i nowym zadaniu w Maroku. Nie mogąc się powstrzymać, poinformowałam go również o moich sporach z jego żoną. Siedząc tak przed wyłączonymi mikrofonami, nie zjadłszy obiadu i nieświadomi tego, jak szybko płynie czas, rozmawialiśmy dalej, aż w końcu uzmysłowiłam sobie, że spóźnię się na samolot, którym miałam wrócić na drugą stronę Cieśniny.

– Chodźmy, przy wejściu mam samochód.

Pospiesznie wyszliśmy z Wellington Front, a potem jechaliśmy szybko w stronę pobliskiego lotniska. Z daleka, gdy już się zbliżaliśmy, dostrzegłam Félixą, który kręcił się nerwowo przed terminalem razem z jednym z hinduskich sprzedawców, otoczony mnóstwem paczek; włosy i poły marynarki rozwiewały mu się na wietrze. Zapewne się zastanawiał, gdzie, do diabła, się podziewam – nasz samolot miał odlecieć za dwadzieścia minut.

Nie było już więcej objęć z Nickiem, ale tuż przed otwarciem drzwi nasze dłonie dotknęły się między siedzeniami. To była tylko chwila, moje chude palce splątane z jego silnymi palcami.

– Chcesz, żebym cię odwiedził w Tangerze?

Odpowiedź utknęła mi w gardle, musiał się zadowolić delikatnym potwierdzającym skinieniem głowy.

Wylądowaliśmy o zmierzchu. Kiedy wróciłam do domu, Víctor już spał. Umierałam z głodu, a Candelaria, niesamowita w wypełnianiu swoich nowych zadań, miała dla mnie przygotowaną kolację na stole na portyku. Zanim jednak usiadłam, poszłam na górę, żeby zobaczyć syna, i cichym głosem, niemal szepcząc mu do ucha, powiedziałam, że nasz przyjaciel Nick znowu jest w pobliżu.

Rozmyślając o tym wszystkim następnego poranka, starając się nie mylić wrażeń z uczuciami, przeszłam tę wznoszącą się aleję Doctora Cenarra, którą wieńczył park Marshan, albo Marchán, jak mawiali moi rodacy. Idąc jednym z chodników, minęłam siedzibę dziennika „España” – nie wiedziałam, że mieści się w tym miejscu, ani nie przewidywałam, jaki skutek może mieć to, że dałam się uwiecznić na zdjęciu w Emsallah Garden przez ich fotografa. Rozpoznałam również dom, który wydał mi się mgliście znajomy, przypomniałam sobie wtedy, że dawno temu byłam w nim z Rosalindą, żeby zamówić nakrycia głowy u niejakej Mariquity Kapeluszniczki, dość osobliwej

modystki, której nieśmiały syn Antoñito, siedząc na podłodze u jej stóp, ćwiczył kaligrafię i obserwował klientki okrągłymi krótkowidzącymi oczami; nie podejrzewałyśmy wtedy, że jako dorosły już człowiek będzie pisarzem, który opíše w swojej powieści przyszły upadek miasta.

Szłam dalej. Wzdłuż alei znajdowały się liczne wille z przednimi ogrodami, ale ja szukałam innego domu. Po tym, jak zapytałam dwie dziewczyny, wreszcie trafiłam do miejsca, gdzie mieszkała Maruja, na patio Pinto.

W tamtym ostentacyjnym Tangerze powszechne były sąsiedzkie patia, świadczące o tym, że nie wszędzie panował dobrobyt. Patio Pinto, patio Inglés, patio Marché, patio Benchimol, patio Eugenio... Tak je zwykle nazywano, na cześć właściciela, który za garść peset albo hassanów na miesiąc udostępniał częstokroć dużym rodzinom skromne mieszkanie. Żyli w nich, ściana w ścianę, ci mający mniejsze szczęście: chrześcijanie, Żydzi i Arabowie, których szybko rozwijające się miasto bezlitośnie odsuwało na margines; ludzie, którzy nie mieli nic wspólnego z prężnie działającymi firmami importowo-eksportowymi, wspaniałą bankowością czy działalnością wolną od podatków. Weszłam na podwórko, gdzie na środku rosła wielka palma, na drutach wisiało pranie, luzem chodziło kilka kurczaków. Zapytałam o Maruję bawiące się tam dzieci.

Krawcowa przyjęła moją propozycję, jakżeby inaczej; z trudem zdołała ukryć radość, jaką poczuła, gdy usłyszała, ile zamierzam jej zapłacić.

– Ale to będzie praca na akord, czekają nas ciężkie tygodnie.

– Do usług, proszę pani. Zaraz zawołam moją sąsiadkę Luisę, siostrzenicę Higinę, szwagierkę Pruden, kumę Pacę i krajanekę Pepe. Będzie nas sześć, zgodnie z pani prośbą, gotowych do pracy.

– Każda ze swoją maszyną – podkreśliłam.

– W południe zięć zawiezie je do pani domu i od razu po południu zabierzemy się do roboty.

Później udałam się do Sidi Hosni, by potwierdzić Irze Belline, że wszystko posuwa się do przodu. Kazba wyglądała tak samo jak podczas mojej poprzedniej wizyty, pełna rozmaitych ludzi, co zupełnie nie przystawało do otoczenia, w jakim powinna się

znajdować pałacowa willa. Weszłam do rezydencji, *housekeeper* zastałam w jednym z salonów, stojącą na drabinie roboczej razem z dwoma elektrykami – próbowali zawiesić na suficie ogromną marokańską lampę. Przywitawszy się, wykorzystałam jej niewygodne zajęcie, żeby rozejrzeć się po domu: oprócz moich zadań jako *couturière* nie powinnam zapominać o innym zleceniu. Wyjęłam więc mały notes, który zawsze przy sobie nosiłam, oraz długopis, który kupiłam w Jerozolimie; w moich wspomnieniach, już kolejny raz tego dnia, pojawił się Nick Soutter.

Przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia, zaczęłam notować informacje dotyczące wszelkich wejść, liczby okien, balkonów, tarasów i drzwi; w którą stronę były zwrócone, z jakimi innymi pokojami albo patiami były połączone, jak łatwo albo jak trudno było intruzowi wejść, nie będąc widzianym, i wymknąć się bez śladu. Nie byłam zadowolona, że muszę przerwać pracę, bo udało mi się obejrzeć tylko część rezydencji. Ira Belline potrzebowała jednak mojej opinii, by powiesić w jadalni perski gobelin – wahała się między ścianą po lewej a ścianą po prawej stronie. Potem wymknęłam się ponownie, ale ledwie zdążyłam sprawdzić kolejny pokój, już wołała mnie z prośbą o nową konsultację. I tak zrobiło się południe, musiałam gnać do domu.

O trzeciej wszystkie maszyny do szycia stały już na swoich miejscach, a sześć kobiet czekało na moje polecenia. O wpół do czwartej odesłałam marokańskie służące do swoich domów, a Phillipę wysłałam z Victorem na basen w Parque Brooks, przykazując, by wrócili około siódmej. Potrzebowałyśmy spokoju bez rozpraszania uwagi, bo zaczynała się praca. Stworzyłam dwa zespoły po trzy krawcowe: Maruja, Higinia i Paca oraz Luisa, Prudencia i Pepa. Każda grupa miała uszyć inny kaftan, zaczynając od tych dziennych. Félix, wśród różnych znalezisk, zdobył dla mnie ilustrowany magazyn z protektoratu francuskiego z kilkoma zdjęciami marokańskich księżnych i księżniczek z nielicznych oficjalnych uroczystości, na których mogły się pokazać. Lalla Abla bint Tahar, druga żona Muhammada V, jej starsze córki Lalla Aisha i Lalla Malika, jej siostra Lalla Hania bint Tahar. Ich stroje sprawiały

wrażenie przesadnie ozdobionych i zbyt ciężkich, ale stanowiły dobry punkt odniesienia.

Dołączyła do nas szmuglerka jako moja prawa ręka. Pomieszczenie wypełnił odgłos naciskanych pedałów, dźwięk nożyczek, szelest tkanin oraz słownictwo, którego od dawna nie słyszałam i które pojednało mnie z dawnymi czasami. Popołudnie zleciało jak z bicza strzelił. Byłam tak pochłonięta tym, co robiłam, że nawet nie zdałam sobie sprawy z upływu czasu.

– Będziemy się już zbierać, proszę pani – oznajmiła Maruja, wykonawszy ostatnie szwy. – Rodzina niedługo będzie się domagać kolacji.

Candelaria włączyła światło sufitowe, bo zrobiło się już prawie ciemno.

Podniosłam wzrok, zatrzymałam igłę w powietrzu. I właśnie w tym momencie coś we mnie wybuchło. Coś w rodzaju makabrycznego przeczucia. Niczym smagnięcie przerażenie przeszło moje wnętrze.

Zerwałam się na równe nogi, jedwab, nad którym pracowałam, zsunął się na podłogę. Gwałtownie otworzyłam drzwi, wyszłam, żeby ich zawołać. Zajrzałam do dużego salonu i do małego, do jadalni, do kuchni. Przeskakiwałam po dwa stopnie naraz i wbiegłam do sypialni na piętrze, pospiesznie wróciłam na dół, głośno powtarzając ich imiona. Weszłam do pokoju szmuglerki, wybiegłam jak strzała na portyk i do ogrodu, przebiegłam działkę aż do tylnego patia.

Nic. Nigdzie ani śladu.

Było już po dziewiątej, właściwie noc.

A Phillippa i Víctor jeszcze nie wrócili.

**S**tarając się ukryć niepokój, pospiesznie pożegnałam się ze szwaczkami; lepiej, żeby nie zauważyły mojego strachu. Gdy tylko ruszyły z powrotem na swoje patia i do swoich domowych obowiązków, ja wystrzeliłam jak z procy w stronę Parque Brooks, gdzie niania i mój syn mieli spędzać popołudnie. Candelaria chciała pójść ze mną, ale krzyknęłam, żeby czekała w domu – na wszelki wypadek.

Na pewno tam są, powtarzałam sobie naiwnie. Zasiedzieli się, może zasnęli albo się bawią, nic się nie stało, za minutę ich znajdę. Wpadłam jak pocisk, nawet nie przywitałam się z dozorcą. Na zewnątrz świeciły się już lampiony, na trawie i w ogrodzie nie było ręczników ani ludzi, kilka stolików na tarasie zajmowali Amerykanie, jedząc wczesną kolację. Prześlizgnęłam się obok rzeźby syreny przy wejściu, podszedł do mnie uprzejmy kelner z bujnymi wąsami i w czerwonym fezie, pozbyłam się go, niemalże odpychając, i pospiesznie ruszyłam w stronę basenu. Powierzchnia wody błyszcząca niczym arkusz ciemnej stalowej blachy, ogromna betonowa trampolina rzucała niepokojący cień. Po pływakach nie było ani śladu; zastałam tylko dwóch młodych Marokańczyków, którzy kończyli ustawiać leżaki, przygotowując je na następny dzień. Zapytałam ich zdenerwowana: Niania? Dziecko? W odpowiedzi jedynie wzruszyli ramionami.

Znalazłam plac zabaw: zjeżdżalnia bez ześlizgujących się dzieci, nieruchome huśtawki wiszące na łańcuchach. Weszłam do przebieralni, damskiej, męskiej. Wołałam ich i trzaskałam drzwiami. Nic. Wyszłam z powrotem, przebiegałam bez tchu cały teren wzdłuż ogrodzenia przyozdobionego nowoczesnymi muralami. Wielkimi susami znów weszłam do środka, zajrzałam do kawiarni i jadalni, pytałam pracowników jednego po drugim. Nic. Wróciłam do domu,

serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Tymczasem przyszedł Félix, czekał na mnie razem z Candelarią tuż przy bramie, oboje ze zmienionymi twarzami. Też nic.

Znowu poprosiłam szmuglerkę, żeby została, stojąc na straży. Mój przyjaciel i ja ruszyliśmy na pobliskie ulice. Może pomylili drogę, wymamrotałam, dobrze wiedząc, że to niemożliwe. Jedno miejsce dzieliło od drugiego zaledwie sto metrów, to był jeden z powodów, dla którego zdecydowałam się na ten dom. Mimo to oboje ruszyliśmy biegiem, ja przeczesalam drogę do Szpitala Włoskiego, Félix dotarł aż do ulicy Inglaterra. Nic.

Zostawiliśmy Candelarię, żegnającą się jak automat. Nie była kobietą głębokiej wiary, ale zwykle modliła się do niebios, kiedy przeciwności losu pokazywały swoje ostre zęby. Ruszyliśmy na plac Biskupa Betanzos w poszukiwaniu taksówki. Kierowcą okazał się mężczyzna z Malagi, który potraktował mój strach jak własny i zaczął przemierzać najbliższe ulice, łamiąc ograniczenia prędkości i przepisy drogowe. Nie znalazłszy ich, pojechaliśmy aż na plac Francuski, przemierzaliśmy Boulevard Pasteur z głowami właściwie na zewnątrz, starając się dostrzec dwie osoby pośród mnóstwa spacerowiczów. Nic. Poszukiwania kontynuowaliśmy na Boulevard Anteo. Pojechaliśmy w przeciwnym kierunku, wysiedliśmy i wsiedliśmy z powrotem. Potem pojechaliśmy na ulicę Estatuto, na Zoco Grande, zajrzeliśmy na medynę. Nic.

Wróciliśmy do domu, nie byłam w stanie powstrzymać płaczu. Félix wpadł na kolejny pomysł.

– Trzeba pójść do Sûreté.

Nie wiedziałam, o czym mówi.

– Policja międzynarodowa – wyjaśnił. – Kwaterę mają niedaleko, w pasażu na końcu ulicy América del Sur, tuż przy Zoco de Afuera. Ja się tym zajmę.

Wzdrygnęłam się na dźwięk słowa policja, ale może to było najrozsądniejsze. Mojemu synowi i Phillippie coś się stało, to nie było zwykłe zabłądzenie. Nie miałam wątpliwości co do niewinności niani – dokąd niby miałyby pójść taka nieśmiała i wycofana dziewczyna, z własnej woli i w tym obcym mieście. W takiej sytuacji,



choć już sama myśl o tym sprawiała mi ból, sprawa była jasna: ktoś gdzieś ich zabrał.

Gdy tylko Félix wyszedł w poszukiwaniu pomocy, Candelaria zapytała, czy może pójść do kościoła pod wezwaniem Świętego Franciszka. Żarliwy religijny impuls najwyraźniej przeszył ją do szpiku kości. Zostałam sama w ciemnym ogrodzie, siedząc na jednym z kamiennych schodków. Jak każdego wieczoru zaczęła rozbrzmiewać muzyka w Parque Brooks, skąd oni powinni wrócić, gdzie być może wcale nie byli. Zamknęłam oczy, dłońmi zasłoniłam uszy. Dźwięki i słowa bolera wywoływały we mnie mdłości.

Pół godziny później Félix wrócił z mężczyzną, który przedstawił się jako sierżant Renard, dość młody, z obojętnym wyrazem twarzy i chudy. Mówił słabym hiszpańskim z silnym francuskim akcentem.

– Jest Belgiem – wyjaśnił mi szeptem Félix.

Zrelacjonowałam mu przebieg wydarzeń w najdrobniejszych szczegółach, mężczyzna notował, nie zmieniając wyrazu twarzy. Nie przerwał mi ani razu, nie okazał też najmniejszej oznaki empatii. Później zaczął zadawać pytania, jedno za drugim, z dokładnością metodycznego funkcjonariusza.

– Ojciec dziecka?

– Nie żyje.

– Jakaś inna osoba, która pełni funkcję ojca?

– Żadna.

Mówił neutralnym tonem, bez werwy, jakby pytał, czy wolę kawę czy herbatę, bilet w pierwszej czy drugiej klasie.

– Czy ktoś może mieć jakiś osobisty powód, który mógłby uzasadnić porwanie?

Poczułam się tak, jakby ktoś wbił we mnie nóż rzeźnicki.

– Nie, o ile mi wiadomo.

Zakończył przesłuchanie, wstał i schował notes w ciemnej oprawie do kieszeni kurtki. Z jego ust nie wyszło jeszcze ani jedno słowo współczucia.

– Zajmiemy się tym jutro rano, będziemy panią informować – powiedział, jak sądził, w ramach pożegnania.

Wyskoczyłam jak kot, którego kopią z pogardą.

– Jak to: zajmiecie się tym jutro?! – zapytałam, krzycząc. – Nie zamierzacie robić nic tej nocy?

– Spróbujemy przeprowadzić śledztwo, ale to będzie trudne. Na służbie mamy tylko trzech ludzi.

Zaczęłam wrzeszczeć, protestować, żądać, w końcu złapałam go za kłapy. Candelaria i Félix musieli mnie odciągnąć. Lodowaty policjant odszedł kilka kroków, rzucił suche *bonne nuit* i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

– I co teraz? – zapytałam, szlochając.

Próbowałam się uspokoić, zastanowić na chłodno, ale myśli nie zaprowadziły mnie w żadne miejsce. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to znowu wyjść na zewnątrz, przemierzać ulice, aleje, pasażę, bulwary, place – aż krwawiłyby mi stopy, aż zdarłabym paznokcie. Zejść do plaży, wspiąć się do kazby, na Monte Viejo, sprawdzić wszystkie zakątki i zakamarki, chodzić, aż padłabym wyczerpana.

Candelaria powstrzymała mój obłęd swoją naturalną mądrością.

– Gdziekolwiek są i ktokolwiek ich przetrzymuje, o tej porze chłopiec na pewno śpi. Kręcenie się w kółko nie ma żadnego sensu, dziewczyno. Nie znajdziesz ich, choćbyś nie wiem ile chodziła.

– Nie powinniśmy byli iść na policję, Félixie, tylko do konsulatu – powiedziałam z przekonaniem. – Oboje, dziecko i Phillipa, są brytyjskimi poddanymi, tam na pewno mogą...

– W tym momencie to niemożliwe, królowo. – Spojrzał na zegarek. – Dochodzi pierwsza, o tej godzinie nawet nie odbiorą telefonu.

Na kilka chwil odzyskałam spokój, żeby ocenić środki, jakie miałam do dyspozycji; frustrujące było to, że nie znalazłam żadnego, który naprawdę byłby coś wart. W Maroku nie było pożytku z moich kontaktów ze służbami wywiadowczymi; podobnie jak z mojej współpracy z firmą ubezpieczeniową. Nie, wykorzystując moją formalną brytyjską narodowość, nie osiągnę znacznych postępów; a hiszpańską – jeszcze mniejsze, bo brakowało mi powiązań, nie zachowałam nawet paszportu mojej ojczyzny.

W Madrycie mogłam liczyć na Ignacia, chociaż oficjalne hiszpańskie instytucje miały w Tangerze już niewielkie lub wręcz żadne znaczenie. Inaczej by było, gdyby do takiej sytuacji doszło

wtedy, kiedy na czele protektoratu stał Beigbeder, ale po chwilowej chwale dawnego Wysokiego Komisarza nie został już żaden ślad. Chociaż... pomyślałam nagle. Chociaż. Podczas wizyty w Madrycie, w kręgach nowej władzy, miałam przynajmniej jednego przyjaciela: Diega Tovara, dyrektora Biura Informacji Dyplomatycznej. Może... pomyślałam z promykiem nadziei. Może gdybym do niego zadzwoniła, mógłby zainterweniować, żeby coś się pilnie ruszyło wśród dyplomatów w Tangerze. Diego Tovar i hiszpańska placówka, Diego Tovar i konsul Hiszpanii. Przełknęłam ślinę. To do nich powinnam się zwrócić, gdy tylko wstanie słońce.

– Słuchaj, a może... – wymamrotał Félix.

Błyskawicznie przekierowałam moją uwagę z jednej sprawy na drugą.

– A może co?

– Może mogłyby zainterweniować najwyższe władze, jak w sprawie Perdicarisa.

– Co to za jeden?

– Facet, który znalazł się w sytuacji godnej powieści, ale to zdarzyło się naprawdę i w dodatku tu, w Tangerze. Ludzie Raisuniego, naczelnika plemienia Jebala, porwali tego amerykańskiego przedsiębiorcę i jego syna, i wtedy interweniował sam prezydent Theodore Roosevelt.

– I wypuścili ich?

– Przysięgłbym, że tak.

– Kiedy to było? – zapytałam niecierpliwie.

Odpowiedział po kilku sekundach, przygaszonym tonem.

– Chyba na początku wieku.

Pod ręką miałam tylko jeden z sandałów, który właśnie zdjęłam. Rzuciłam w niego z furją, trafiając w głowę.

Poza tym, że dotrzymywali mi towarzystwa, że Félix poszedł do bezużytecznej policji, a Candelaria do kościoła, żeby zanieść do Najwyższego swoje błagania, przeczuwałam, że moi starzy przyjaciele na niewiele mi się przydadzą. Nawet nie przypuszczałam, jak bardzo się myliłam.

W żadnym momencie nie chciałam wchodzić na piętro – tylko bardziej bym się załamała, widząc puste łóżeczko Víctora, złożoną

piżamkę, pluszowego królika i włochatą owieczkę bez jednego ucha. Siedzieliśmy w salonie wszyscy troje, milczący, zmarkotniali, przerażeni oraz niepewni. Candelaria zrobiła kawę, przygotowała kanapki z masłem i wędliną – wypiliśmy dwie filiżanki, ale jedzenia nawet nie tknęłam – około trzeciej zaczęła przysypiać. Nalegałam, żeby poszła się położyć, lecz stanowczo odmawiała. W końcu zaczęła chrapać w fotelu, z rozsuniętymi nogami, skrzywioną szyją i wpółotwartymi ustami. Spod nie do końca zamkniętych powiek było widać białka oczu. Félix wytrzymał nieco dłużej, starając się nie przerywać rozmowy, żebym była cały czas zajęta. Ale ja nie chciałam rozmawiać, nie chciałam niczego. Przed czwartą on też odpłynął. Poddał się z głową na oparciu sofy i przekrzywionymi okularami: jedno szkło na policzku, drugie nad brwią.

Było po piątej, kiedy z trudem odwinęłam się z kłębka, w jaki się skuliłam. Bolały mnie plecy. Ukradłam mojemu przyjacielowi paczkę cravenów i pudełko zapalek. Zostawiając ich śpiących, wyszłam do ogrodu w poszukiwaniu powietrza. Temperatura spadła, jak zawsze nad ranem. Było chłodno i wilgotno. Słyszało się jedynie dźwięki natury na tym niedawno zurbanizowanym terenie, nieopodal dawnego Zoco de los Bueyes, na kawałkach ziem uprawnych i pół trzciny cukrowej.

Nieobecność syna wbijała mi się w duszę z bolesną wściekłością. Gdzie może być, kto go zabrał, dlaczego Phillipa go nie ochroniła. Staralam się nie zadręczać, przeczekać tylko te godziny, aż będę mogła pójść do konsulatu. Niechętnie zapaliłam papierosa, zaciągnęłam się. Właśnie wypuszczałam dym, kiedy usłyszałam kroki na chodniku na zewnątrz. Powolne kroki, które sprawiały, że żwir chrzęścił, jakby ktoś stawiał stopy z największą ostrożnością. Na ulicy, poza zasięgiem mojego wzroku. Blisko, po drugiej stronie muru.

Usłyszałam kolejny krok, jeszcze jeden i jeszcze jeden. Ktokolwiek to był, bez wątpienia podchodził do ogrodzenia ogrodu.

Po kilku sekundach dostrzegłam sylwetkę.

**T**y skurwysynu.

Słowa wyszły z mojego gardła niczym lepka flegma. Rzuciłam papierosa na ziemię i jak oszalała popędziłam w stronę bramy, pytając o syna, przeklinając, żądając, żeby go oddał.

– Ćśśś. Jeszcze jeden krzyk i znikam.

Zabrzmiało szorstko, więc natychmiast ściszyłam głos.

– Gdzie go masz, dokąd go zabrałeś, co z nim, jak się czuje? Jadł, spał? A Phillippa, co z nią zrobiłeś?

Pytania wypływały ze mnie w sposób zupełnie niekontrolowany, wściekłymi strumieniami. Naprzeciwko mnie stał Ramiro, na powrót rozrywając na strzępy moje życie. Ramiro Arribas, to on porwał Víctora i nianię. Doskonale ich znał, kto wie, do jakich sztuczek uciekł się tym razem, żeby oszukać nieostrożną Angielkę.

Nie miałam pojęcia, dlaczego jest w Tangerze i jak mnie znalazł; ani tego nie wiedziałam, ani nie obchodziło mnie to w tym momencie. Wciąż znajdowałam się w ogrodzie, trzymając się żelaznych prętów bramy. On tymczasem stał na ulicy, choć właściwie w moim zasięgu. Wyciągnęłam rękę, próbując go chwycić, chciałam nim potrząsnąć, żeby mi odpowiedział. Zwinnie cofnął się o krok, nie pozwalając, bym go dotknęła. Oświetlało nas słabe światło dwóch latarni wiszących po obu stronach bramy.

– Myślałaś, że już więcej mnie nie zobaczysz, prawda? Myślałaś, że się mnie pozbyłaś swoją brudną zagrywką.

– Oddaj mi syna – błagałam. – Oddaj mi dziecko, oddaj mi...

– Zamknij się!

Starłam się uspokoić, dosłownie ugryzłam się w język.

– Twoja strategia okazała się bardzo sprytna, Sirita, widać, że się uczysz. Order Izabeli Katolickiej w mojej kosmetyczce, twoje kombinowanie z Doderem... Nigdy bym nie przypuszczał, że staniesz

się kobietą wyrachowaną, taka byłaś niewinna, kiedy pierwszy raz przywiozłem cię do Tangu. No i jak się zmieniło samo miasto.

Jego gwizd rzekomego podziwu przeciął poranek.

– Nie miałem czasu, by wiele zobaczyć, tylko tyle, co przejazdem, ale nowe hotele przy plaży, kąpieliska, te banki przy *boulevard*, nowoczesne sklepy... Tyle samochodów i turystów, jedni w poszukiwaniu słońca, inni taniej satysfakcji dla swoich ciał. I te wszystkie nowe tereny mieszkalne; na pewno pełno tu teraz szans na robienie interesów. Perspektywy są znacznie lepsze niż wtedy, kiedy ty i ja chcieliśmy zdobyć licencję i otworzyć Akademię Pitmana, pamiętasz?

Teraz mówił udawanym neutralnym tonem, jakby był zwykłym podróżnikiem. Nie odważyłam się pytać dalej o Víctora, czułam, że nie powinnam go denerwować.

– Szkoda, że nie mogę zostać, żeby wybadać, jak się tu teraz sprawy mają, ale jak sama wiesz, czekają na mnie interesy w Buenos Aires. Tak naprawdę, wsadzając mnie na statek swojego przyjaciela armatora, może nawet wyświadczyłaś mi przysługę, dzięki temu zaoszczędziłbym na bilecie.

Gdzieś w oddali zapiał kogut, mimo że było jeszcze ciemno. Ramiro potraktował to jako ostrzeżenie, by się streszczać.

– No dobrze, nie traćmy więcej czasu. Dziesięć tysięcy dolarów. Tyle chcę za oddanie ich obojga. I potrzebuję ich już, natychmiast.

Równie dobrze mógłby zażądać ode mnie dziesięciu milionów, jak i dziesięciu centów – moja głowa nie była w stanie zajmować się liczeniem.

– Powiedz, gdzie jest mój syn, powiedz, jak...

– Przestań pytać o pieprzonego dzieciaka!

Zagryzłam wargi, wbijając sobie zęby prawie do krwi. On mówił dalej, bezwzględny w swoich żądaniach.

– Niczego ci nie powiem, wolę, żeby skręcało cię w środku. Powtarzam: dziesięć tysięcy dolarów, zapamiętaj tę sumę. I potrzebuję ich natychmiast, dziś po zmroku. W tym samym miejscu, na tym rogu. Przyjdę, żeby je odebrać.

Podbródkiem wskazał w bok, dostrzegłam tam ciemny kształt samochodu.

– Dziesięć tysięcy dolarów w legalnych banknotach, banknotach z banku – podkreślił. – Papierowe, twarda gotówka. Część może być w funtach szterlingach, część we frankach francuskich. Franki marokańskie i pesety hiszpańskie niech ci nawet nie przyjdą do głowy. Nie da się ich nigdzie wymienić, a ja nie mam zamiaru wracać do tych krajów.

Moja głowa nie była w stanie przeanalizować tych liczb, chociaż doskonale wiedziałam, że taka kwota jest poza moim zasięgiem.

– Nie sądzę... – wymamrotałam.

Zamknęłam na chwilę oczy, próbując to wyjaśnić. W tym momencie on wsadził rękę między pręty. Zanim zdążyłam zareagować, chwycił mnie za szyję i mocno ścisnął.

– Posłuchaj mnie uważnie – wycodził, przyciągając mnie do siebie, jakbym była szmacianą lalką. Moja twarz wcisnęła się między dwa żelazne pręty. – Powodów mam aż nadto, żeby cię załatwić, suko. Żeby zmiażdżyć czaszkę twojemu pieprzonemu bachorowi i przelecieć tę Angielkę tak, ażbym ją rozerwał.

Nie mogłam oddychać, brakowało mi powietrza; gdyby chciał, mógłby mnie udusić. Ale nawet się nie ruszyłam, nie broniłam się ani nie zdobyłam na żaden wysiłek, by uwolnić się od jego palców jak haki. Tylko spuściłam wzrok, chcąc uniknąć jego oczu.

– Ale może nie powinienem brudzić sobie rąk.

Nagle mnie puścił, gwałtownie odpychając. Zrobiłam kilka niezdarnych kroków do tyłu, potykając się, straciwszy równowagę. Potem zgięłam się wpół, włosy opadły mi na twarz, a z moich ust wydobyły się ślina i kaszel.

Nie zwracał na mnie uwagi, tylko mówił dalej, niewzruszony.

– Jeśli mnie zawiedziesz, może najlepiej będzie wsadzić ich w samochód, który wynająłem w południe po przyjeździe, i pojechać w jakieś nieokreślone miejsce. Po drodze na pewno znalazłbym jakiś zjazd, który zaprowadziłby mnie na ziemię niczyją. I tam, na jakimś suchym polu bez śladu życia, zostawiłbym po prostu tę głupią niańkę i tego delikatnego dzieciaka. Bez jedzenia, bez wody, bez żałosnego cienia, pod którym można by się schronić przed słońcem. Sami, opuszczeni przez Boga, czekający na nic.

Zrobił pauzę, jak gdyby wykonywał matematyczne równanie.

– Po jakim czasie by umarli, Siro? Po dwóch, trzech dniach? Jak myślisz, które padłoby pierwsze: *nanny* czy twoja lalka?

Zdołałam się wyprostować, piekły mnie oczy, wciąż czułam ucisk w gardle.

On uśmiechnął się cynicznie.

– Wybacz, że cię dręczyłem, piękna, trochę się zdenerwowałem. Dobra, zmierzajmy do końca. Za chwilę się rozwidni i wolę jak najszybciej się stąd zmyć.

Przytaknęłam. Owszem, lepiej, żebyśmy doszli do porozumienia. I lepiej zrobić to, zanim obudzą się Candelaria albo Félix, albo zanim na ulicy zacznie się ruch. Tylko my dwoje, bez interwencji osób trzecich.

Zakaszlałam ostatni raz, przeciągnęłam po twarzy nagim przedramieniem, żeby wytrzeć ślinę, łzy i smarki.

– Nie jestem mściwy, Siro, chcę, żeby to było jasne. Już cię nieźle urządziłem swego czasu, kiedy cię porzuciłem. A ty mi się odpłaciłaś, sprzedając mnie władzom. Coś za coś, jesteście kwita. Ale nie chciałaś wyciągnąć do mnie ręki, kiedy błagałem cię o pomoc z Doderem, a to zamknęło mi drogę do dobrej operacji i sprawiło, że straciłem znaczną sumę. Tak więc teraz zrekompensujesz mi te pieniądze, których nie zarobiłem, a których pilnie potrzebuję.

W oddali zaszczekały psy, dało się słyszeć dźwięk motocykla i stukot pojazdu, może wozu rozwożącego mleko i jajka. Zbliżał się świt, niedługo znowu miało się rozpocząć życie.

– Nietrudno było mi wysiąść z Hornero, wiesz? – zaczął mówić szybciej. – Kiedy Evita wyjechała z Hiszpanii, nie obchodziłem już argentyńskich marynarzy. Tak więc, dzięki serii szczęśliwych przypadków, statek ostatecznie wypłynął beze mnie.

– I pewnie zaczęłaś mnie szukać.

Mój głos zabrzmiał dziwnie, niemal jak skrzek.

– Oczywiście. Pierwszym ekspresem Barcelona–Madryt, nie tracąc czasu. Ale ty, bystra i przezorna dziewczyna, podjęłaś już odpowiednie kroki i w mieszkaniu przy Hermosilli po tobie i twojej rodzinie nie został ślad. Na szczęście dozorczyńni twojego ojca jest kompletnie do niczego; dzięki jej głupocie zdołałem się dostać do wielkiego mieszkania. Tak łatwo było mi tam wejść, że wróciłem



i zostałem na kilka nocy; przynajmniej zaoszczędziłem na hotelu i miałem czas, żeby zrobić kilka machlojek. Jeśli Gonzalo Alvarado chciałby odzyskać któryś ze swoich obrazów, w razie gdyby były rodzinną pamiątką albo szczególnie mu się podobały, to przekaz mu, że sprzedałem je na Rastro. Zegarki, pióra i kilka spinek do mankietów wzięłem sobie na pamiątkę. W każdym razie znalazłem tam niewiele więcej, jak na tak ogromne mieszkanie.

Nie zadałem sobie trudu, żeby zapytać, jak mnie znalazł, sam postanowił mi o tym opowiedzieć.

– Wobec tego, że nie wracałaś do Madrytu, przyznam, że postanowiłem się poddać i wrócić do Argentyny. Mało brakowało, żebyś znowu wygrała. W biurze podróży przy Gran Vii dowiedziałem się, że statek firmy Ybarra będzie miał niedługo krótki postój w Kadyksie w drodze do Buenos Aires, więc pojechałem tam pociągiem, żeby na niego zaczekać. Ale wypłynięcie się opóźniało i musiałem zostać w Kadyksie kilka dni, w nędznym pensjonacie niedaleko portu. Miałem już wszystkiego dość, Hiszpania mi obrzydła, byłem na ciebie wściekły. Aż nagle, czwartego dnia po przyjeździe, gdy dla zabicia czasu piłem kawę i znudzony przeglądałem prasę, znalazłem to.

Wyjął coś z wewnętrznej kieszeni marynarki, rozłożył stronę z gazety i mi ją podał. Gdyby chwila nie była tak złowroga, wybuchnąłabym śmiechem.

Fotografia zajmowała połowę strony. Ośmiu mężczyzn i ja w środku: jedno ze zdjęć ilustrujących relację z wieczornego przyjęcia zorganizowanego przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Prasy. Moja jasna obcisła sukienka, dekolt i nagie ramiona kontrastowały z formalnymi ubiorami mężczyzn stojących po bokach. Pod fotografią znajdowała się wymowna notka.

„Kierownictwo dziennika »España« z panią Arish Bonnard, współpracowniczką doñi Barbary Hutton. Pani Bonnard wprowadziła się właśnie do willi niedaleko Parque Brooks, żeby przygotować wszystko na przyjazd amerykańskiej milionerki do Strefy Międzynarodowej”.

To, co miało być czysto informacyjną notką, zawierało więcej wskazówek na mój temat, niż można było przypuszczać.

Jak opowiadał mi Chato, całe paczki wydawanej w Tangerze jego gazety codziennie przekraczały Cieśninę. Kiedy egzemplarze trafiały na Półwysep Iberyjski, czytelnicy rozkupywali je w mgnieniu oka, nawet jeśli przyływały zamoczone. Właśnie w ten sposób znalazłam się przed oczami Ramira w kawiarni w Kadyksie.

To, co na początku było zaledwie niewinnym graficznym świadectwem spotkania, ostatecznie obróciło się przeciwko mnie, i to z krwawą furią.

Candelarii spalił się chleb na kuchence.

– Zobacz, jak mnie zdenerwował ten wredny gnojek, aż ręce mi się trzęsą!

Zaczynało świtać, obudziła się, gdy usłyszała, że wracam z ogrodu. I swoimi głośnymi pytaniami przy okazji obudziła Félixę, wciąż leżącą krzywo na sofie. Pokrótce opowiedziałam im o wizycie Ramira. Kiedy skończyłam, żebym znowu się nie załamała, Candelaria uparła się, że przygotuje nam śniadanie.

– Myślisz, że może im coś zrobić? – wymamrotał mój przyjaciel, gdy tylko szmuglerka zniknęła w kuchni.

Mój głos wyszedł z gardła zachrypnięty, wciąż czułam na szyi jego rękę.

– Nie wiem, Félixie. Desperacko potrzebuje pieniędzy, musi siedzieć w długach po uszy. A na dodatek żywi do mnie urazę. Urazę i złość.

Wzięłam ledwie dwa małe kęsy grzanki z oliwą i cukrem. Nie mogąc zjeść więcej, potarłam powieki i oznajmiłam:

– Muszę zacząć działać.

Ani do konsulatu brytyjskiego, ani do konsulatu hiszpańskiego. Ani do Ignacia, ani do Diega Tovarę, ani do obojętnego belgijskiego policjanta. Do żadnej z tych instytucji ani osób nie zamierzałam zwracać się o pomoc. Musiałam to załatwić z Ramirem, to była sprawa tylko między nami: nierówny *tour de force*, ponieważ byłam gotowa od razu się poddać. Podczas jego wizyty w Hiszpanii zdołałam go przechytrzyć, lecz teraz miałam przegrać nawet bez walki. Zamierzałam ulec jego żądaniom, musiałam zdobyć pieniądze, szukając ich wszędzie, gdzie się tylko da, zrobiłabym wszystko, żeby odzyskać mojego syna i jego nianię. To nie musiało być równo dziesięć tysięcy dolarów; zbyt dobrze znałam Ramira,

zawsze mierzył wysoko. Przeczuwałam, że zadowoliliby się przybliżoną kwotą. Kłopot polegał na tym, by ją zdobyć.

– Candelario, w jakim stanie został wczoraj warsztat?

Złapała się za głowę, przeklinając swoje roztargnienie. Z miotłą w ręku ruszyła pospiesznie, żeby zmieścić kawałki nici, ścinki i resztki rozrzucone po podłodze. Ruszyłam za nią, wzięłam mój notes, w którym miałam notatki i miary. To, co miałam teraz zapisać, nie pasowało do długości rękawów ani szerokości pleców, to miały być cyfry innego typu.

– Kiedy przyjdą Maruja i pozostałe kobiety, ani słowa – przykazałam jej. – Zajmij się nimi, niech pracują dalej według wczorajszych wytycznych. Niech wezmą się do roboty jak gdyby nigdy nic.

W końcu odważyłam się pójść na piętro, powoli weszłam do sypialni i przebiegłam palcami po barierce łóżeczka. Łzy znowu napłynęły mi do oczu, kłujące i bolesne. Świadomość, że nie stawiam czoła nieznanemu, tylko przeciwnikowi o konkretnej twarzy i nazwisku, sprawiała jednak, że poczułam się odrobinę lepiej.

Siedząc w nogach łóżka, zaczęłam dokonywać szybkich wyliczeń, jedno za drugim. Miałam pieniądze Marcusa i moje, które przywiozłam z Jerozolimy, sumę z testamentu, którą Dominic wpłacił na moje nazwisko, i to, co zarobiłam za pracę jako rzekoma reporterka BBC podążająca za Evą Perón. Mój problem polegał na tym, że wszystko było w Anglii. Poza tym firma ubezpieczeniowa przekazała mi tylko zaliczkę na konto, pozostałą część kwoty miałam dostać po wykonaniu pracy. Z drugiej strony była jeszcze Ira Belline i to, co miała mi zapłacić za stroje uszyte dla Barbary Hutton. Najgorsze było to, że niczego nie miałam w ręku.

Przeszłam do nowej strony, zapisałam jedno słowo: pożyczki. Pierwszą osobą, o której pomyślałam, był mój ojciec, szybko jednak uzmysłowiłam sobie, że po zamknięciu odlewni i zakończeniu wojny nie posiadał zbyt dużego majątku poza swoim mieszkaniem. Nawet Ramiro zdał sobie sprawę z tego, że zostało w nim niewiele wartościowych rzeczy. A oprócz tego była to własność, którą miały odziedziczyć jego prawowite dzieci, ja zasadniczo nie miałabym prawa nawet do części. Następnie pomyślałam o jego ukochanej

Olivii, mojej teściowej. Po przybyciu do Tangeru napisałam do nich obojga na adres przy The Boltons, ale nie dostałam jeszcze odpowiedzi.

Na wspomnienie londyńskiego domu coś ścisnęło mnie w środku. Może tam mogłabym szukać ratunku. W świetle prawa, jak ustanowił Marcus i jak potwierdził mi jego przyjaciel Dominic, dom należał do nas, do Víctora i do mnie. Nigdy nie wyrzuciłabym z niego mojej teściowej, ale jej samej przyszło swego czasu do głowy, żeby go sprzedać. Być może teraz mogłabym go wykorzystać jako zabezpieczenie pod kredyt.

Z głową pełną liczb wzięłam kąpiel, a potem, owinięta w ręcznik, rozczesałam mokre włosy, stojąc przed lustrem. Po drugiej stronie zobaczyłam zmęczoną twarz, ciemne worki pod oczami i brzydkie ślady po męskich palcach wokół szyi. Zebrałam włosy w kok, włożyłam skromną szarą sukienkę, a na szyi zawiązałam jedwabną chustkę, żeby ukryć ten złowrogi ślad.

Schodząc po schodach, usłyszałam dźwięk pracujących maszyn do szycia – moje nowe, sumienne pracownice były już na miejscu. Candelaria krzątała się po kuchni, Félix czekał na mnie w salonie. Uczesał się byle jak, poprawił krawat, a pogniecioną koszulę włożył w spodnie. Mimo usilnych starań ciężką noc było po nim widać na kilometr.

– Potrzebna mi lista banków w Tangerze.

– Po co, skarbie?

Zamiast wyjaśnienia, którego się domagał, ponowiłam swoją prośbę.

– Zaczynij od tych największych.

– Mmm... Jest Marokański Bank Państwowy, ma siedzibę przy Zoco Chico, oprócz tego Bank Hiszpanii, Exterior, Bilbao...

Przypomniałam sobie przykaz Ramira: ani jednej pesety.

– Marokańskie i hiszpańskie odpadają. Podaj mi angielskie.

– Jest Bank of British West Africa i jeszcze jakiś.

– Oddział Barclays Bank?

– Nie, o ile mi wiadomo. Ale ostatnio chyba widziałem go na Gibraltarze.

Ostatnio na Gibraltarze – tak powiedział. W mojej głowie na powrót pojawiły się wspomnienia. Czas upływał mi tak szybko, że odnosiłam niemal wrażenie, że nasz wyjazd miał miejsce tygodnie, miesiące, lata, wieki temu. Znowu przypomniałam sobie Nicka Souttera. Dałabym kolejne dziesięć tysięcy dolarów, gdybym je miała, żeby móc liczyć na jego bliskość w tym trudnym momencie.

Nieświadomy moich refleksji Félix wyliczał dalej.

– No i są jeszcze francuskie, Banque de France i Banque de l'Algérie et de la Tunisie, i jeszcze co najmniej dwa lub trzy inne, sama wiesz, jakie chełpliwe są te żabojady. A poza tym jeszcze dwa duże i poważne banki żydowskie, Bank Salvador Hassan i Bank Pariente, który właśnie się przeniósł do lepszego lokalu przy ulicy Estatuto.

Prawie go nie słuchałam, wciąż byłam pogrążona we własnych myślach.

– A oprócz tego po wojnie otworzyli jeszcze mnóstwo innych placówek bankowych, chociaż nie wiem, czy godnych zaufania, jest pełno spryciarzy, co nie mają wstydu. Na każdym rogu znajdziesz szyld, wystarczy tylko patrzeć na fasady przy *boulevard* i sąsiednich ulicach. Bank Tangersko-Szwajcarski, South Continental Bank...

– Félixie... – przerwałam mu, otwierając torebkę i szperając w środku.

– Muszą traktować Tanger jako okazję i sprowadziły się tu szczone lisy z całego świata. Nikt nie kontroluje operacji, nie ma podatków ani prawa czy organów, które by to wszystko regulowały...

– Félixie – powtórzyłam. – Wyświadczysz mi przysługę?

Natychmiast przerwał swój słowotok. Tak bardzo chciał być pomocny, że się zagalopował.

– Przepraszam, nie jedną – poprawiłam się. – Lepiej dwie, dwie przysługi.

– Zawsze do usług, piękna.

– Pierwsza: jak najszybciej odwołaj wczorajsze zgłoszenie. Powiedz, że już się znaleźli, że zaszło nieporozumienie, cokolwiek przyjdzie ci do głowy. Tylko pozbądź się policji.

Jego twarz zamarła, ale nie dałam mu szansy, by zakwestionował moją prośbę. Zanim zdążył zareagować, podałam mu wizytówkę

Nicka, którą ten przekazał mi w radiu.

– A później, gdy tylko to załatwisz, znajdź miejsce z telefonem, zadzwoń pod ten numer na Gibraltar i zapytaj o tego człowieka.

Podniósł na czoło swoje grube okulary krótkowidza i przysunął wizytówkę do oczu na odległość kilku centymetrów.

– Nicholas Soutter – wymówił powoli.

– Jak chcesz, możesz z nim rozmawiać po francusku, powiedz, że dzwonicz w moim imieniu. Przekaż, żeby przyjechał do Tangeru, że to pilne. Że... że chodzi o...

Sześć liter imienia ugrzęzło mi w gardle.

– ...że chodzi o Víctora.

Wyszłam z domu, trzaskając drzwiami, w stronę niewiadomego. Nad Tangerem wstawał piękny poranek, z bezchmurnym niebem i delikatną bryzą z zachodu. Moje wysiłki w bankach na nic się zdały i zawisły nade mną mroczne chmury niczym w straszną zimową noc. Ani w pierwszym, ani w drugim, ani w trzecim banku nie udało mi się niczego załatwić. Jak mi przekazano, przesłanie moich pieniędzy z Londynu zajęłoby sporo czasu, a jeśli chciałam wziąć pożyczkę, potrzebowałam poręczycieli, majątku albo źródła utrzymania. To, że byłam właścicielką rezydencji w Royal Borough of Kensington and Chelsea, musiało brzmieć dla nich jak niedorzeczność, a kiedy wspomniałam o kwocie dziesięciu tysięcy dolarów w banknotach, niejeden uśmiechnął się protekcjonalnie.

Félix prawdopodobnie miał rację, że Tanger był finansowym rajem: wolny i pozbawiony restrykcji rynek, gdzie można było spekulować walutami, handlować złotem i gdzie wystarczył zwyczajny gryzmoł, żeby otwierać albo zamykać przedsiębiorstwa i firmy. Można było zrealizować czeki z każdego zakątka świata, prac pieniądze z przemytu i wykonywać operacje finansowe bez kontroli. Ale mnie, samotnej, nieznannej kobiecie, wyglądającej na zdesperowaną, najwyraźniej nikt nie był skłonny dać złamanego grosza.

Sfrustrowana negatywnymi odpowiedziami instytucji brytyjskich, w następnej kolejności skierowałam się do jednego z żydowskich banków, o których wspominał Félix, do tego należącego do rodziny Pariente. Nawet przez sekundę nie pomyślałam o zamachu na King

David Hotel, krocząc po marmurowej podłodze wspaniałego lokalu, do którego właśnie się przeprowadzili. Nie tracąc czasu, pracownikowi siedzącemu po drugiej stronie mahoniowej ludy próbowałam wyjaśnić, w czym rzecz, poprosiłam o rozmowę z dyrektorem, wicedyrektorem, jakimś kierownikiem. Ale było lato, wczesna pora i znowu odniosłam wrażenie, że nikomu się nie spieszy i nikt nie ma żadnych obowiązków w tym mieście, w którym normą było hasło „żyj i pozwól żyć”. Rozczarowana skierowałam się do wyjścia. Chciałam błagać, krzyczeć, przeklinać cały świat. Właśnie miałam opuścić lokal, kiedy nagle ktoś gwałtownie popchnął drzwi do środka.

– No wreszcie, kochana! Szukamy cię od godziny!

Mój podniesiony głos na widok Félixa sprawił, że ludzie zaczęli odwracać głowy w naszą stronę.

– Co się stało? Wrócił Ramiro? Oddał Víctora? Jakież wieści?

– Nic nowego, uspokój się. Ale przyszedł ktoś, kto może nam pomóc.

Musiałam być na wpół oszołomiona, nieprzespana noc i rozpaczliwy poranek zaczynały się na mnie odbijać. Félix zmusił mnie, bym się ruszyła, ciągnąc mnie i popychając w plecy.

– No już, idziemy, czeka na ciebie na zewnątrz.

Kapelusz rzucał mu cień na twarz, ale mimo to rozpoznałam go od razu, gdy dwoma palcami dotknął róna. Na moje wyjście z Banku Pariante czekał komisarz Vázquez, człowiek, który zaufał mi, gdy nie miał powodu tego robić, człowiek, który czuwał nade mną i jedną ręką trzymał mnie krótko, a drugą pozwolił, bym się wzbiła.

Właśnie przyjechał z Tetuanu na prośbę Candelarii. Po tym, jak się ze mną przywitał, odesłał Félixa z powrotem do domu.

– Ktoś musi tam być, pilnować tego, co się dzieje na zewnątrz, w razie gdyby zdarzyło się coś ważnego. Proszę obserwować okolice domu, wychodzić na ulicę w nieregularnych odstępach czasu i zwracać uwagę na wszystko, co wyda się panu nietypowe.

Gdy tylko mój przyjaciel ruszył z powrotem, by wypełnić polecenie komisarza, don Claudio postanowił być ze mną szczerzy:

– Tak naprawdę tym mogłaby się zająć Candelaria, ale wolę zostać z panią sam na sam.



Zaoferował mi swoje ramię i przeszliśmy na drugą stronę ulicy.  
– Chodźmy do El Minzah, to tutaj naprzeciwko. Wygląda pani tak, jakby pilnie potrzebowała kawy, panno Siro.

**A**ni grosza.

– Gmało nie udławiłam się omletem, który komisarz uparł się dla mnie zamówić, zmartwiony moją mizerną twarzą.

Siedzieliśmy na centralnym patiu hotelu, oprócz nas nie było już żadnych gości i kelnerzy sprząтали po śniadaniu z ostatnich stolików. Ludzie wrócili do swoich pokoi i niedługo mieli wyjść z nich ponownie, żeby wybrać się na jakąś wycieczkę, na plażę albo kupić pamiątki lub dywany. Krótko mówiąc, czas wolny i odpoczynek dla gości eleganckiego El Minzah, podczas gdy mnie niepokój zżerał od środka.

– Proszę zapomnieć o zdobyciu tych pieniędzy. Trzeba spróbować załatwić to inaczej.

– Nie chcę, żeby mieszała się do tego policja – upierałam się. – Już panu mówiłam. Znam tego drania, wiem, że lepiej jest...

– W porządku, zapomnijmy zatem o Policji Międzynarodowej, jeśli tak pani woli.

– W takim razie pan też musi się usunąć, komisarzu. Nie może pan interweniować. Proszę mi doradzić, pokierować mną, ale proszę pozwolić...

– Nie ma powodu, żebym się usuwał, panno Siro. Oficjalnie nie pełnię już służby, parę miesięcy temu przeszedłem do rezerwy.

Musiał mieć już ponad sześćdziesiąt lat, ale wcale się nie postarzał. Może miał trochę więcej siwych włosów, oczy nieco bardziej przymknięte i był może odrobinę chudszy, lecz niezmiennie elegancki w swoim jasnym lnianym garniturze.

Candelaria zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru. Skłamała, gdy powiedziała, że idzie się pomodlić do kościoła. Tak naprawdę robiła dobrą minę do złej gry i ruszyła na poszukiwania telefonu, żeby skontaktować się ze swoim dawnym przeciwnikiem,

doświadczonym stróżem prawa, który tyle razy udaremnił jej nielegalny handel i tyle trosk przysporzył jej swoją gorliwością. Po kilku próbach zdołała znaleźć don Claudia w Tetuanie. Szybko przedstawiła mu moją sprawę – nie miał zielonego pojęcia, że wróciłam do Maroka. Zaskoczył szmuglerkę i zamiast zaoferować tymczasową pomoc przez druty i kable, zaproponował, że przyjedzie do Tangeru. I teraz siedzieliśmy naprzeciwko siebie.

– Nie sądzę, żeby załatwienie takiej sprawy na własną rękę było najwłaściwsze, ale skoro się pani upiera, możemy to zrobić prywatnie.

– Nawet pan nie wie, jak bardzo jestem wdzięczna.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd zatrzymał mnie na przystanku „Walencjanki”, kiedy straciłam dziecko Ramira i po moich nogach zaczęły spływać skrzcypy i strumienie krwi. Claudio Vázquez osobiście, własnym samochodem, zawiózł mnie do szpitala, a później zabrał mnie stamtąd, gdy już wydobrzałam. On też oddał mnie pod opiekę Candelarii do pensjonatu przy ulicy La Luneta i uważnie śledził wszystkie moje poczynania.

– Nie chcę się wtrącać w pani życie prywatne bardziej niż to konieczne, ale pewne rzeczy muszę wiedzieć – powiedział. – Na początek, kto jest ojcem dziecka.

– Pamięta pan tamtego rzekomego angielskiego dziennikarza, który przybył do Tetuanu, żeby przeprowadzić wywiad z Beigbederem?

– Logan się nazywał, czy tak?

Don Claudio był również świadkiem pobytu Marcusa w Maroku. Nie wiedział jednak, że nasze ścieżki znowu się przecięły.

– Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Mark Bonnard i, jak pewnie już wtedy pan podejrzewał, nie był reporterem, tylko agentem brytyjskiego wywiadu.

Wbiłam widelec w ostatni kawałek tortilli. Zrobiła się już zimna, ale dobrze robiła mi na żołądek, dodając trochę siły. Zanim podniosłam go do ust, dodałam:

– Po różnych perypetiach, które nie mają teraz znaczenia, w końcu się pobraliśmy. To on jest ojcem mojego syna. Zginął rok temu w Jerozolimie, w tym samym dniu, w którym urodziło się dziecko.

Podejrzewałam, że miał o wiele więcej pytań na temat mojej przeszłości, ale powściągnął ciekawość i wolał mi odpuścić. Skoncentrowany upił łyk ze swojej filiżanki i wymownym gestem przegonił kelnera, który zamierzał zabrać mój talerz.

– Dobrze, skupmy się więc na teraźniejszości i podsumujmy, żeby wszystko było dla mnie jasne. A zatem osobnik, który teraz nas zajmuje, to ten sam, który porzucił panią wtedy, gdy ją poznałem, zabrał wszystkie pani dobra i zostawił panią z niezapłaconym rachunkiem w hotelu Continental, zgadza się?

– Tak.

– I mniej więcej miesiąc temu przypadkiem spotkaliście się w Madrycie i on poprosił panią, żeby załatwiła mu pani spotkanie w interesach z rzekomym argentyńskim przyjacielem, zgadza się?

– Tak.

– Pani odmówiła, a on zaczął nękać nianię pani syna, zgadza się?

– Tak.

– A pani, obawiając się, że mogłoby to pójść za daleko, wzięła sprawiedliwość w swoje ręce i doprowadziła do tego, że zatrzymano go za przestępstwo, którego tak naprawdę nie popełnił.

Zawahałam się. Ujmując to w ten sposób, odnosiło się wrażenie, że ja jestem okrutną mścicielką, a Ramiro biedaczyskiem, które ostatecznie wzięło na siebie winę obcego człowieka.

– Mniej więcej, ale...

Podniósł rękę, nie pozwalając mi mówić dalej.

– Nie musi się pani tłumaczyć. Wyobrażam sobie, jak duży stres wywołała ta sytuacja, że zdecydowała się pani zrobić coś takiego.

Wdzięczna za jego wyrozumiałość próbowałam się uśmiechnąć z odrobiną ulgi. Spokój trwał jednak zaledwie kilka sekund.

– Wyobrażam też sobie, jaką awersję musi czuć do pani ten człowiek.

Patio wreszcie opustoszało, sprzątnięto już ze wszystkich stolików z wyjątkiem naszego. Pierwsi amatorzy kąpieli zaczęli przechodzić obok, zmierzając w stronę basenu.

– Przypuszczam, że są jeszcze setki innych rzeczy, o których opowie mi pani później. Teraz proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło dziś nad ranem.

Powtórzyłam historię, którą w wielkim skrócie opowiedziałam mu, kiedy szliśmy chodnikiem, zanim znaleźliśmy się w El Minzah. Teraz zrobiłam to z mniejszym pośpiechem i w sposób bardziej uporządkowany.

– Więc mówi pani, że złapał ją za szyję?

Dyskretnie podniosłam rękę do jedwabnej chustki i zsunęłam ją do obojczyka, żeby sam mógł zobaczyć ślady. Musiał to uznać za drobnostkę w porównaniu z ranami po pchnięciach nożem, jakie widział zapewne w trakcie swojej długiej kariery. Mimo to, sądząc po grymasie na jego ustach, widok nie był przyjemny.

– Proszę mi powiedzieć, co pani wie o jego sytuacji w Tangerze.

– Tylko tyle, że nie wracał tu przez cały ten czas. Odkąd... odkąd...

– Odkąd zostawił panią bez grosza i obarczył swoimi długami, rozumiem. Zakładałam zatem, że nie ma tu kontaktów ani przyjaciół. A tym bardziej współników.

Uważałam dokładnie tak samo.

– A poza tym działa w pośpiechu – dodałam. – Sam mi powiedział, że przyjechał w południe. Przypuszczam, że z Algeciras. Wszystko robi pochopnie, w biegu, na chybcika.

– Powiedział też pani, że wynajął samochód, czy tak? Mogła go pani zobaczyć? Kolor, marka, model?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie umiem powiedzieć. Stał na rogu, w pewnej odległości, prawie nie było tam światła.

Milczeliśmy przez kilka chwil, każde zaniepokojone inną stroną tej samej monety. On sposobami działania faceta pozbawionego skrupułów, który kierował się czystym instynktem. Ja – o to, gdzie i w jakim stanie są mój syn i Phillipa.

– A odnośnie do tego, jak wyglądał, co mi pani może powiedzieć? Czy coś zwróciło pani szczególną uwagę?

Pokręciłam głową z lewej strony na prawą. Też nic. Nawet o tej porze, nad ranem, nawet po tym, jak przedostał się z jednego kontynentu na drugi, żeby porwać dwie niewinne osoby, Ramiro zjawił się nienagannie ubrany i uczesany. Wyglądał tak jak zawsze.

– Chociaż...

– Co?

– Niech pomyślę. Było coś. Coś ulotnego, co w pewnym momencie mi zazgrzytało...

Zamknęłam oczy, usiłowałam się skoncentrować. Owszem, było coś. W tej chwili, gdy chwycił mnie za szyję, gdy chciał, żebym na niego patrzyła, a ja spuściłam wzrok, bo instynktownie nie zamierzałam dać się wciągnąć w jego grę. Właśnie wtedy, kiedy mnie dusił, coś wydało mi się osobliwe, nie na miejscu. Co to było, na Boga, co to było...

Mimowolnie zacisnęłam dłonie w pięści, jakby paznokcie wbite w skórę miały mi pomóc bardziej wyostrzyć myśli. Aż w końcu obrazek ułożył mi się w pamięci całkiem wyraźnie.

– Miał błoto – powiedziałam. – Błoto na butach.

Komisarz zmarszczył brwi, próbując zrozumieć.

– Miał brudne buty, a zwykle nosi je lśniące.

Siedzieliśmy w El Minzah do momentu, aż stoliki na patiu ponownie zaczęły się zapełniać pierwszymi turystami, którzy chcieli orzeźwić się piwem, kolorowymi koktajlami i nowoczesną coca-colą w szklankach pełnych lodu. Wtedy postanowiliśmy wrócić do kwatery głównej, do mojego domu. I nie wyszliśmy z pustymi rękami, lecz z kilkoma gazetami.

To ja wystąpiłam z inicjatywą, żeby o nie poprosić.

– Chwileczkę – powiedziałam do komisarza, ściskając go za ramię.

Portier przytrzymał już otwarte drzwi. W swoim czerwonym fezie, złotej kamizelce i aksamitnych szarawarach trzymał usłużnie uchwyt z brązu, byśmy mogli wyjść na ulicę Estatuto. Zobaczyłam jednak coś, co zapaliło we mnie iskrę: niedaleko recepcji siedział jeden z gości, zaabsorbowany lekturą „Españi”, dziennika, z którego Ramiro dowiedział się o moich działaniach.

– Proszę nadużyć trochę swojej dawnej władzy – wyszeptałam komisarzowi prawie do ucha.

Uniósł brew, nie rozumiejąc.

– Niech pan poprosi przy recepcji o prasę z ostatnich dni. Stamtąd pochodzą wszystkie informacje, jakie ten mydłek ma o mnie i o obecnym Tangerze, może warto by było rzucić okiem.

Po powrocie zastaliśmy w domu wszystko w najlepszym porządku, choć bez żadnych nowych wieści. Szwaczki po zakończeniu porannej pracy poszły na swoje patia, by podać rodzinom gulasze, które przyrządziły o świcie. Przezorna Candelaria przygotowywała coś także dla nas. Wydawało się jednak, że nikt nie jest głodny. Félix, komisarz i ja usiedliśmy w salonie, a szmuglerka, jednym okiem rzucając na kuchenkę, a drugim na nas, stała w drzwiach, gotowa chodzić tam i z powrotem. Ale może pilnowanie ognia stanowiło

jedynie wymówkę i nie usiadła z nami, ponieważ postać don Claudia nadal wywoływała w niej respekt podszyty nieufnością.

– Dobrze, panno Siro, postarajmy się myśleć jasno i nie dać się ponieść emocjom.

Być może dlatego, że byłam teraz szczególnie nadpobudliwa, rozczułało mnie to, że nadal zwracał się do mnie per panno. Komisarz miał swoje solidne metody działania, ale nazywał mnie panną wtedy, kiedy byłam młodą przestraszoną dziewczyną bez grosza przy duszy, i panną nazywa mnie wciąż, dziesięć lat później, mimo że byłam matką i wdową, mimo moich dawnych przeżyć i obecnego nieszczęścia.

– Przyniesienie tych egzemplarzy to był bardzo dobry pomysł. Skoro ten cały Arribas przypłynął do Tangeru wczoraj i natychmiast skierował się tutaj, to wiarygodnym źródłem lokalnych informacji, do których mógł mieć dostęp, jest prasa. Dobrze, że pani o tym pomyślała.

– Przyszedł prościutko po nich, drań jeden, niech spłonie w piekle... – złościła się Candelaria ze ścierką w dłoni.

Komisarz jej zaprzeczył.

– Niekoniecznie, szmuglerko. Jestem skłonny przypuszczać, że przyszedł tutaj bez żadnego konkretnego planu, chciał po prostu wy badać, co byłoby najlepsze. I nagle trafiła mu się taka okazja: niania i dziecko, sami, na środku ulicy.

– To była... To była... – Mój głos zabrzmiał jak bełkot. – O tej porze nigdy nie wychodzą, zostają w domu na sjętę. Ale wczoraj... Wczoraj... Warsztat... Miałyśmy dużo pracy... Nie powinnam była...

Uniósł rękę, powstrzymując mnie.

– Proszę się nie obwiniać, nic tym pani nie osiągnie prócz tego, że zrani samą siebie. Gdyby nie stało się to tak, jak się stało, znalazłby inny sposób, żeby wymusić od pani pieniądze. Tyle że porwanie okazało się dla niego proste: jako że miał już z nimi do czynienia w Madrycie, zastosował mniej więcej tę samą strategię. Proszę się nie zadręczać tym, co się wydarzyło wczoraj, teraz musimy spróbować się dowiedzieć, gdzie ich przetrzymuje.

Otworzyłam gazetę z poprzedniego dnia, zaczęłam przewracać strony. Kwestia Indonezji, napięcia w Palestynie, brutalne ataki



greckich partyzantów w Tracji. Alarmujące spadki na giełdzie w Londynie, poszukiwania gestapowskiej oprawczyni na terytorium Francji.

Don Claudio mówił dalej, dzierząc ster jak wiele razy wcześniej.

– Dobrze, skoncentrujmy się na zakwaterowaniu; to było pierwsze, czego potrzebował, żeby spędzić noc.

Reklamy hoteli przeplatały się z doniesieniami ze świata, wiadomościami lokalnymi, sportem i informacjami dotyczącymi Maroka.

– Ramiro nie jest głupi – podkreśliłam. – Nie sądzę, żeby przyszło mu do głowy zabrać ich w jakieś znane miejsce, na oczach ludzi.

– Do Continentalu zapewne nie wrócił – przewidywał komisarz. – To byłoby zbyt nierozważne.

– Tutaj reklamują Rif, ten nowoczesny hotel przy plaży.

– Nie, nie, nie... – uciął stanowczo. – Nie potrzebujemy czytać ogłoszeń jednego za drugim, musimy działać w inny sposób. Powiedziała pani, że miał ubłocone buty, prawda? Zaczniemy więc od wykluczania hoteli, które znajdują się w najbardziej zurbanizowanych miejscach, przy drogach publicznych, gdzie pobrudzić się jest znacznie trudniej.

– A zatem odpadają Villa de France, El Minzah, Rif, Cecil i Villa Valentina – powiedział Félix. – Poza tym są zbyt eleganckie i za bardzo rzucają się w oczy.

– Doskonale – oznajmił komisarz. – Idźmy dalej.

Zmysł obserwatorski mojego przyjaciela pozwolił mu bez wahania wyliczać kolejne lokalizacje.

– Można odrzucić też te przy Zoco Chico. Ani Bristol, ani Fuentes, ani żaden inny. Poza tym to byłoby niczym wpadnięcie w pułapkę na myszy, nie można tam nawet wjechać samochodem.

Przeglądałam kolejne strony gazety. Ani hotele w mieście, ani hotele przy plaży, ani hotele w medynie; wszystkie te miejsca nie wchodziły w grę, widełki się więc zwięzały. A może się mylimy i to, że miał błoto na butach, o niczym nie świadczy. Byliśmy jednak zdesperowani, nie mogliśmy tracić czasu.

W pewnym momencie mój wzrok padł na małe ogłoszenie, w samym rogu parzystej strony. Musiało być tanie, sądząc po

rozmiarze i miejscu, ten hotel raczej nie oferował wielkich luksusów.

– Féliksie, kojarzysz El Fahrar?

– Oczywiście, królowo. Na Monte Viejo. Ale to nie jest hotel, tylko miejsce, gdzie można spędzić trochę czasu. Stoi na uboczu i...

Ostry głos komisarza nie pozwolił mu dokończyć zdania.

– Był pan tam kiedyś?

Mój dawny sąsiad kilka sekund zwlekał z odpowiedzią. To była krótka pauza, ale wyczułam, że ukrywa za nią coś, co powoduje wyrzuty sumienia.

– Tylko raz, kilka miesięcy temu. Kiedy... kiedy wprowadził się tam ten amerykański pisarz. – Zniżył nieznacznie ton. – Bowles, ten, który gra na pianinie. Był ze swoją grupą tamtego wieczoru w Le Parade, pamiętasz?

Każdy miał prawo do swoich słabości. Mojego przyjaciela ciągnęło do nieco ekstrawaganckich lub jedynie odmiennych obcokrajowców, choć ograniczał się do obserwowania ich z daleka. Tym razem jednak jego pasja miała nam przynieść korzyści.

– Spokój – zaczęłam czytać, wracając do ogłoszenia – widoki na Cieśninę i oba morza. Niskie ceny. Długie i krótkie pobyty.

– Mają coś w rodzaju bungalowów rozrzuconych po całym ogrodzie i...

Znowu przerwał mu tnący głos don Claudia.

– Jakiego typu ogród?

– Duży, zielony. Z mimozami i eukaliptusami, i...

– A jakieś miejsce jakby z... z... z... roślinami, które potrzebują wody, gdzie może być błoto?

– *Bien sûr*. Właścicielami są Anglicy, sami wiecie, jak ci ludzie lubią kwiaty. Mają wspaniałą ogród różany.

Gdyby to ode mnie zależało, wybrałabym się tam od razu. Komisarz, zawsze taki przenikliwy, zdał sobie z tego sprawę.

– Proszę się nie wyrywać, panno Siro – uprzedził mnie poważnym tonem. – Przede wszystkim jest to przypuszczenie, a nie pewność. A poza tym musimy działać ostrożnie, rozważnie i z chłodną głową. Proszę dać mi się zastanowić nad najlepszym sposobem postępowania. A w tym celu, jeśli nie ma pani nic przeciwko...

Wstał i wziął kapelusz.

– Nie zostanie pan na obiedzie, kochany komisarzu? – Zaskoczony głos Candelarii rozbrzmiał w połowie drogi między salonem a garnkami. – Zrobiłam gulasz z kalmarów, że palce lizać.

Kiedy szmuglerka miała wreszcie okazję, żeby przypodobać się mężczyźnie, przez którego spotkało ją tyle kłopotów, jej plan ostatecznie wziął w łeb.

– Niestety, nie zostanę. Poszukam przyjaciela, mojego dawnego kolegi.

Następnie zwrócił się bezpośrednio do mnie, żebym przyjęła do wiadomości, co miał mi powiedzieć:

– Człowiek, z którym zamierzam się zobaczyć, też był policjantem, chociaż, podobnie jak ja, nie jest już w czynnej służbie. Zanim jednak zacznę działać, muszę z nim porozmawiać, żeby zaplanować następne kroki. Sprawa jest delikatna, chcę się z nim skonsultować, może nawet poprosić go o pomoc.

Przytaknęłam niczym pilna uczennica, która zrozumiała trudną lekcję. Wtedy się odwrócił, gotowy do wyjścia, chciałam więc wstać, żeby go odprowadzić.

– Proszę się nie kłopotać, nie trzeba.

Posłuchałam, wykręcając sobie palce.

– Proszę coś zjeść – zasugerował – uspokoić się i spróbować przespać się chwilę.

Z brzucha wydobył mi się gorzki śmiech.

– Jak mogłabym spać, komisarzu, na litość boską...

– Proszę się przynajmniej odprężyć. Wszystko będzie dobrze, proszę mi zaufać. Przedtem jednak muszę się zastanowić, jak najlepiej do tego podejść. Jaki sposób, przy najmniejszym ryzyku, może przynieść nam optymalne rezultaty. I proszę się uzbroić w cierpliwość, bo bez względu na to, co uzgodnię z moim kolegą, w żadnym wypadku nie będziemy działać przed wieczorem.

Zanim włożył kapelusz, znowu wbił w Candelarię i we mnie przenikliwe spojrzenie: tak jak kiedyś, kiedy przywiózł mnie do pensjonatu przy La Luneta.

– Nie ufam wam obu za grosz, więc będę miał was na oku – powiedział tamtego sierpniowego poranka trzydziestego szóstego roku, tuż po rozpoczęciu wojny.

Teraz jego ostrzeżenie nie było takie samo, ale zabrzmiało bardzo podobnie.

– Ostrożnie, kobiety. Dla własnego dobra, nie traćmy głowy.

**N**ie możesz tracić głowy. Zdeterminowana, by nie zawieść don Claudia, powtórzyłam sobie to zdanie sześć czy siedem razy. Nie możesz tracić głowy, nie możesz tracić głowy, nie możesz tracić głowy...

Odesłałam Félixą do domu, żeby się wykąpał, przebrał i nabrał energii na nadchodzące godziny. Następnie wpadłam na kilka minut do zaimprovizowanego warsztatu, szwaczki wróciły do swoich zajęć w porze sjesty. Na szczęście praca, którą rozdzieliłam pierwszego dnia, była czasochłonna, tak więc nadal zajmowały się pierwszymi kaftanami dla Barbary Hutton i nie potrzebowały kolejnych poleceń. Na wszelki wypadek poprosiłam Candelarię, żeby z nimi została. W razie gdyby pojawił się jakiś kłopot, miała pełnić funkcję pośredniczki. A w mniejszym stopniu także dlatego, że chciałam być sama, na uboczu, żeby nic mnie nie rozpraszało.

Wzięłam ze sobą trochę szycia, naiwnie wierząc, że pomoże mi to zająć myśli. Odłożyłam jednak tkaninę, nożyczki i szpulkę na stolik kawowy, nawet nie zwracając na nie uwagi. Uznałam, że lepiej będzie posłuchać rady komisarza. Zamknęłam okiennice w salonie, pozwalając, by światło wpadało tylko przez szpary. Zdjęłam buty i położyłam się na sofie, sztywna jak kołek, z rękami złożonymi na brzuchu i zaciśniętą żuchwą, nieruchoma, jakbym była kawałkiem drewna, kamieniem, kością. Odpężyć się – to właśnie polecił mi komisarz. Nie myśleć o moim dziecku, o tym, w jakim może być stanie, o tym, jak traktuje go ten łajdak Ramiro, i o tym, jak chłopiec radzi sobie z rozłąką. Nie możesz tracić głowy, wymamrotałam kolejny raz, z zamkniętymi oczami. Nie możesz tracić głowy.

Musiałam być tak wyczerpana, tak wycieńczona fizycznie i psychicznie, że wbrew temu, czego się spodziewałam, na kilka chwil mój mózg oderwał się od rzeczywistości i zapełnił

niewyraźnymi obrazami. Aż coś gwałtownie wyrwało mnie ze snu. Dźwięk silnika gdzieś w pobliżu. Usiadłam ze strachem wbitym w klatkę piersiową. Silnik samochodu – to właśnie usłyszałam. Na ulicy. Silnik samochodu, który właśnie zatrzymał się przed bramą.

Zerwałam się, jakby od tego zależało moje życie, wybiegłam do ogrodu boso, z potarganymi włosami i podciągniętą spódnicą. A jeśli to Ramiro? A jeśli pożałował tego, co zrobił, i przywiózł Phillipę i Víctora? Pospiesznie zbiegłam po schodach portyku, jak najszybciej pokonałam odcinek do bramy, przez której pręty rozmawiałam z nim nad ranem, i otworzyłam ją gwałtownie.

W tym momencie z taksówki wysiadał jakiś mężczyzna. W ręce trzymał skórzaną torbę, miał na sobie wygniecioną marynarkę w prążki i papierosa w zębach. I nie, to nie był Ramiro, lecz ktoś, kogo uścisnęłam ze wszystkich sił. Nie pozwól odjechać taksówce, to jedyne spójne zdanie, jakie zdołałam wypowiedzieć. Oczywiście po angielsku – Nick Soutter nie zrozumiałby mnie, gdybym użyła mojego ojczystego języka.

Chciał się dowiedzieć, o co chodzi, dopytywał wiele razy.

– Poczekaj chwilę – odparłam jedynie.

Biegiem wróciłam do środka. Dotarłam do sofy, schyliłam się w poszukiwaniu butów, które zamierzałam włożyć w samochodzie. Spiesząc się, wpadłam na stolik kawowy, na którym zostawiłam szycie; jedwab, nici i nożyczki spadły na podłogę. Bez wyraźnego powodu te ostatnie instynktownie włożyłam do kieszeni.

– Na Monte Viejo – nakazałam taksówkarzowi kilka chwil później. – Zna pan miejsce, które się nazywa El Fahrar?

Za kierownicą znowu siedział mój rodak, kolejny z wielu Andaluzyjczyków, którzy tu pracowali. Ciemnowłosa, kościsty, z ostrymi rysami twarzy i oczami czarnymi jak węgiel, który sprzedawano przy Zoco de Afuera.

– Mniej więcej wiem, gdzie to jest.

– Więc proszę nas tam szybko zawieźć, ale kiedy będzie się pan zbliżał, proszę zachować ostrożność.

Staralam się z całych sił – przysięgłabym to na wszystkie świętości, gdyby ktoś mnie o to poprosił. Próbowalam się podporządkować poleceniom komisarza, że będę potulna,

zdyscyplinowana, wręcz uległa. On wiedział, jak należy postąpić, kierowały nim chłodna przytomność umysłu oraz dekady doświadczenia, ja byłam tylko zrozpaczoną kobietą, której ukradziono dziecko. Dlatego postanowiłam wypełniać jego nakazy, słowo honoru. Chciałam być odpowiedzialna, godna zaufania, rozsądna, posłuszna. Lecz mimo wysiłków nie udało mi się to. Instykt matki przeważył nad poczuciem obowiązku. I to ostatecznie przechyliło szalę.

Powoli zostawialiśmy za sobą obszar miejski i wspinaliśmy się na Monte Viejo, gdzie dziesiątki Europejczyków miały swoje rezydencje, w większości okazałe, wiele z nich z widokiem na Cieśninę. W pewnym momencie skończyła się droga brukowana, ustępując miejsca krętej dróżce otoczonej gęstą roślinnością. Kiedy podskakiwaliśmy na wybojach, wyjaśniłam wszystko Nickowi.

– Jesteś pewna tego, co robisz? – zapytał, kiedy skończyłam swoją opowieść.

– Tak, jeśli mi pomożesz.

Dalsze słowa były zbędne. Siedząc na tylnym siedzeniu, objął mnie ramieniem i nerwowo przyciągnął do siebie. Samochód wspinał się dalej, aż w pewnym momencie skręcił w prawo. Nagle przed naszymi oczami pojawiły się wejścia na teren dwóch willi. Nie zdołaliśmy jednak zobaczyć tych budowli: znajdowały się w głębi, otoczone murami i gęstą roślinnością. Zostawiliśmy je za sobą i dalej jechaliśmy kamienistą ścieżką.

– Dojeżdżamy, proszę pani – poinformował taksówkarz. – Co mam teraz zrobić? Wjechać do środka czy zostać na zewnątrz?

Poprosiłam, żeby zaczekał. Wtedy ustaliłam wszystko z Nickiem, wyrzucając z siebie szybkie zdania i polecenia; on przytakiwał, niczego nie kwestionując. Samochód zwalniał, aż zatrzymał się przed podwójną bramą. Skromny napis wygrawerowany na marmurowej tablicy wskazywał, że jesteśmy we właściwym miejscu. Ogrodzenie po prawej stronie zasłaniała bugenwilla, po lewej zaś liście i owoce przerośniętej opuncji figowej.

Nick dostał jasne instrukcje. Chwycił swoją torbę podróżną i zaczął otwierać drzwi.

– *Just a moment* – poprosiłam go nagle.

Niemalże szarpiąc, zmusiłam go, żeby zdjął marynarkę. Z nią w rękach wydałam polecenie kierowcy.

– Pan i ja zostajemy tutaj i czekamy.

Powstrzymując oddech, obserwowałam Nicka, jak przechodzi przez bramę i oddala się ścieżką na terenie posiadłości, pewnym i spokojnym krokiem. Torbę niósł na ramieniu, jakby był zwyczajnym zagubionym podróżnikiem, szukającym zakwaterowania: anonimowy Anglik, jeden z wielu, których pełno w okolicy i którzy nie mają nic przeciwko temu, by zatrzymać się obok swoich rodaków, wśród gęstej roślinności na Monte Viejo.

Wrócił po półgodzinie, pokonując ścieżkę tym samym pozornie spokojnym krokiem. Wyglądał na gościa, który właśnie się zameldował i postanowił rozprostować nogi, włóczęc się po okolicy bez pośpiechu czy konkretnego celu. Kiedy już znalazł się poza terenem obiektu, pospiesznie skierował się do samochodu. Czekałam na niego z otwartymi drzwiami, zżerałam strach.

– Są w środku.

Zasłoniłam usta rękami, żeby powstrzymać krzyk.

– Są w środku i nic im nie jest. Víctor i dziewczyna, oboje.

Cała się trzęsłam, Nick musiał mnie objąć.

– Nic im nie jest, nic im nie jest, nic im nie jest... – powtarzał mi na ucho, a dłoń położył na karku, usiłując uspokoić mnie głaskaniem. – Widziałem ich przez tylne okno. *Nanny* i chłopiec siedzą na podłodze i spokojnie się bawią. Są zabawki, drewniane klocki.

W dalszym ciągu zasłaniałam usta dłońmi, jedną na drugiej, obsesyjnie, jakbym się obawiała, że przez nie może mi uciec krzyk, wymiociny, ostatni oddech. Z moim synem było wszystko w porządku, wznosił konstrukcje, jak wiele razy wcześniej: niestabilne budowle, które później zazwyczaj burzył uderzeniem ręki, śmiejąc się do rozpuku na widok zniszczenia. Z moim synem było wszystko w porządku. Zamknięty, przetrzymywany siłą, choć jego dziecięcy umysł nie zdawał sobie z tego sprawy. Był spokojny i zdrowy.

– A Ramiro? – zdołałam zapytać cienkim głosem.



– On jest w tym samym bungalowie, w przyległym przednim pomieszczeniu. Wchodzi i wychodzi, nie może wytrzymać bez ruchu. Wygląda na zewnątrz, trochę spaceruje, nie oddalając się zbyttnio, i znów wchodzi do środka. Widać, że jest... Powiedziałbym, że niespokojny, wygląda nawet, jakby miał dość tej sytuacji.

Chciałam pytać dalej, chciałam, żeby podał mi szczegóły, nakreślił kompletny obraz sytuacji.

– Widziałeś jedzenie, wodę, łóżko, kołyskę...?

– Posłuchaj, Siro. Posłuchaj.

– Wpada tam powietrze, jest czysto, czy w pobliżu są zwierzęta albo jakieś zagrożenie?

Wolał nie zawracać sobie głowy takimi drobiazgami. Przyzwyczajony do sprawnego kompresowania zdań przed mikrofonami, również tutaj jak najlepiej wykorzystał czas spędzony w środku.

– Posłuchaj mnie. Rozmawiałem z właścicielem, to Amerykanin, niejaki Buckingham. Jego żona Angielka i dzieci są teraz w Brighton. Mieliśmy szczęście. Przedstawiłem mu sprawę, absolutnie niczego nie podejrzewał. Są tu cztery bungalowy, nowoczesne konstrukcje rozrzucone po ogrodzie. Oni są w ostatnim, tym najbliższym urwiska, w znacznej odległości od głównego budynku. Dwa inne bungalowy zajmują jacyś amerykańscy pisarze, ale wyjechali na kilka dni w Atlas. Dlatego nikt nie słyszał ani głosów, ani krzyków, ani płaczu, o ile w ogóle były.

Krzyki, płacz... Żeby nie raniły mnie te słowa, wolałam iść dalej.

– A ten Buckingham byłby gotów nam pomóc?

– Oczywiście. Od razu zaproponował, że zadzwoni na policję.

Z mojego gardła kilka razy wyszło stanowcze nie.

– To najrozsądniejsze, Siro.

– Nie, przynajmniej do momentu, aż wyrwiemy Víctora z rąk tego łajdaka. Dopóki nie będzie przy mnie.

Wciąż siedzieliśmy w samochodzie, na tylnym siedzeniu. Kierowca wysiadł i teraz palił papierosa kawałek dalej, obserwując horyzont, obojętny wobec naszych wysiłków. Prawdopodobnie był uodporniony na ekstrawagancje klientów.

– Można się jakoś dostać do jego bungalowu tak, żeby nas nie zobaczył? – upierałam się. – Jakaś... nie wiem, jakaś ścieżka z drugiej strony?

– Nie. Widziałem tylko małą ścieżkę, która schodzi do morza, wąską i stromą.

– Daj mi pomyśleć, daj mi pomyśleć... – wymamrotałam. – Mówisz... mówisz, że Ramiro wygląda tak, jakby miał tego dość. Nic dziwnego. To zwierzę społeczne, miejskie, dynamiczne, zawsze w ruchu. Pilnowanie wiejskiej chatki musi być dla niego torturą, a na dodatek zżera go niepewność, jak się skończy to całe szaleństwo.

Przez kilka chwil łamaliśmy sobie głowy.

– A może zaproponuję mu trochę rozrywki? – podsunął Nick.

– Właśnie też o tym pomyślałam. A tymczasem ja...

– Ty nie, mam Buckinghama.

Mój sprzeciw zabrzmiał niemal jak krzyk.

– Jak to nie?

– Lepiej, żebyś trzymała się od niego z daleka. Tak czy inaczej, jesteś jego celem.

– Wejdę tam, Nick – powiedziałam stanowczo. – Ty zadbaj o to, żeby trzymać go z daleka przynajmniej na kilka chwil. Będziemy działać od razu.

– Siro, nalegam. Pozwólmy, żeby Buckingham zadzwonił na policję, wszystko będzie...

W takiej sytuacji i pomimo mojej wcześniejszej odmowy uznałam, że prawdopodobnie miał rację, może policja była najlepszym rozwiązaniem. Ale świadomość, że mój syn jest tak blisko, właściwie na wyciągnięcie ręki, wywołała we mnie takie emocje, że nie mogłam się kontrolować.

– Jaki fizycznie jest Buckingham? Energiczny, dynamiczny?

– Szczuplejszy ode mnie, ale ma mocny głos, nie powinno mu brakować sił.

Co prawda to dwóch na jednego, ale Ramiro był zwinny i śliski jak wąż.

Przez szybę widziałam wracającego taksówkarza; facet musiał mieć już po dziurki w nosie tego marnowania czasu. Nasz wzrok spotkał się na chwilę. Nie wiedziałam, co zobaczył w moich oczach,

ale ja w jego dostrzegłam wiele rzeczy. Głód, rozpacz, nędzę. Wykorzenienie jako jedyne wyjście, zesłanie w zamian za przyłączenie się do sprawy, która obiecywała nieszczęśnikom choć trochę nadziei. Musiał mieć dość harowania dniem i nocą, żeby zapełnić soczewicą talerze swoich dzieci.

– Proszę pana.

– Słucham panią.

– Byłby pan gotów pomóc nam w pewnej sprawie, tam w środku?

Wskazałam podbródkiem El Fahrar, a potem dodałam:

– Za zapłatą, ma się rozumieć.

Podszedł bliżej. Miał ręce w kieszeniach, wątpliwości między brwiami i niedopałek w kąciku ust.

– O co chodzi?

– Trzeba nauczyć rozumu pewnego łajdaka.

– Coś pani zrobił? Źle się zachował?

– Jak prawdziwa świnia.

– Za sto peset pomogę wam nawet wyrwać mu zęby.

Wszystko trwało tyle, co trzask bata; gwałtowny powiew wiatru, który tworzy wir piaskowy i uspokaja się równie szybko, jak się pojawił.

Znudzenie Ramira grało na naszą korzyść. Nick udawał gościa, który dopiero co przyjechał. Sprawiał wrażenie samotnego i pogubionego, z łatwością więc namówił Ramira na drinka, a gdy tylko ten się odwrócił, ja zaczęłam się prześlizgiwać w stronę bungalowu. Ostrożnym krokiem i z zachowaniem najwyższej czujności przy naciskaniu klamki udało mi się wejść do środka. Na twarzy Víctora pojawiła się radość, zamierzał nawet rzucić mi drewniany klocek, kiedy zobaczył mnie z palcem na ustach, prosząc, by zachował ciszę. Phillippa z kolei się trzęsła i nie kryła zdumienia, kiedy pokazałam jej na migi, żeby po cichu ruszyli w moją stronę.

Ale Ramiro nie był w ciemę bity i to, że zgodził się napić whisky z nieznanym Anglikiem, nie oznaczało, że zapomniał o swojej sprawie. Dlatego wydarzyło się to, co było do przewidzenia. Stałam już przy drzwiach, gotowa udać się do dużego centralnego domu z Phillippą i Víctorem na rękę przykrytym marynarką Nicka – przyciskałam go do piersi, udając, że bawimy się w chowanego, *hide-and-seek*, jak wiele razy wcześniej. Akurat w tym momencie przenikliwy Ramiro coś usłyszał albo miał przeczucie. Odwrócił się podejrzliwie i nas zobaczył. Z jego ust dobył się zwierzęcy ryk, gdy domyślił się, kto znajduje się pod przykryciem. Błyskawicznie rzucił się w naszą stronę, gotowy odciąć nam drogę ucieczki. Miał zmienioną twarz, dzieliło nas zaledwie kilkanaście metrów. Nie ofuknął mnie ani nie rzucał przekleństw, ostrzeżeń czy gróźb, chciał mnie tylko zaatakować, by ponownie móc odebrać mi dziecko. To

właśnie wtedy wolną ręką, tą, którą nie trzymałam syna, pomacałam bok spódnicy i włożyłam rękę do lewej kieszeni.

– Jeszcze jeden krok i ci je wbiję.

Być może powstrzymała go pewność mojego głosu, a może złowieszczy blask słońca na nożyczkach; tak czy inaczej, nagle przystanął, podnosząc obie ręce. I właśnie ten moment wykorzystali Nick i taksówkarz, który wyłonił się spomiędzy róż, żeby mocno złapać go od tyłu. Życie jednak przyzwyczało Ramira do zręcznego uwalniania się od problemów, każdego typu. Tej samej umiejętności użył i teraz, żeby pozbyć się obydwu mężczyzn. Oni uciekli się do brutalnej siły, on postawił na śliską zwinność. I zdołał im się wymknąć.

Nie miał jednak za bardzo dokąd uciekać. Do obu mężczyzn dołączył Buckingham, właściciel tego miejsca. We trzech zablokowali mu drogę. Mnie, jako swój cel, postanowił porzucić, przekonany, że jeśli doprowadzi mnie na skraj wytrzymałości, spełnię swoje groźby. Chcąc chronić syna, nie zawahałabym się przed przewierceniem mu bebechów nożyczkami. W takiej sytuacji jego jedyną drogą ucieczki mogła być ścieżka prowadząca w stronę morza, ścieżka donikąd.

Zatrzymał się na kilka sekund, jak gdyby oceniał swoją pozycję, patrząc na mężczyzn niespokojnymi oczami, z włosami potarganymi na czole. Słyszał tylko cykady, wiatr poruszający liśćmi eukaliptusa, stłumiony szloch Phillipy za moimi plecami i morze uderzające o skały. Staliśmy tak. Z jednej strony ja, wciąż przyciskając Victora do siebie, a z drugiej trzej mężczyźni, dający Ramirowi do zrozumienia, że ucieczka jest niemożliwa. Aż nagle, w środku tej ciszy, w samym środku napiętego spokoju, usłyszeliśmy pomruk silników.

Kilka chwil później zobaczyliśmy, że auta szybko przejeżdżają przez bramę i hamują, aż opony zaskrzypiały o żwir. Z pierwszego samochodu wyskoczyli dwaj policjanci: Belg, którego poznałam poprzedniego wieczoru, i jego kolega w podobnym wieku, obaj z pistoletami; z drugiego wysiedli komisarz Vázquez i ten, który musiał być jego dawnym kolegą, łysy i postawny mężczyzna.

– Stój, Arribas!

Albo Buckingham ich wezwał, albo mój strach zaalarmował don Claudia. W każdym razie dwaj młodzi funkcjonariusze i dwaj emerytowani policjanci właśnie dołączyli, by zacieśnić krąg.

– Ani kroku!

Ścieżka w stronę morza, owszem, była teraz dla Ramira jedynym rozwiązaniem, może tam mógłby znaleźć jakieś rozwidlenia, które ułatwiłyby mu ucieczkę. Pozbawiony innych możliwości, wystrzelił więc w tamtą stronę. Nie spodziewał się jednak tak nierównego terenu. Odgłos upadku dobiegł do naszych uszu w ciągu zaledwie kilku sekund – stromizna była tak duża, że mógł się zabić, skręcić kark, zmiażdżyć sobie czaszkę o kamienie. Na szczęście dla niego nie było aż tak źle. Ale bynajmniej nie wyszedł z tego bez szwanku.

Zeszli po niego młodszy policjanci: obojętny Belg i jego kompan okazali się sprawnymi facetami. Ponieważ Ramiro nie mógł iść o własnych siłach, wciągnęli go razem, trzymając bezceremonialnie pod pachy, mimo że musiał mieć złamaną co najmniej jedną nogę. Część twarzy miał zakrwawioną, a sądząc po tym, jak zginał tułów, wyglądało na to, że czuł ostry ból w brzuchu albo w żebrach. Jego elegancja i styl zniknęły, a wysokiej jakości ubranie zamieniło się w brudne strzępy, bez możliwości załatania. W dole znajdowała się pusta i na wpół ukryta plaża Merkala, która mogła być jego ratunkiem, a ostatecznie się nim nie stała.

Nie zamierzałam patrzeć mu w oczy, nie kusiło mnie, żeby go znieważać, zwyzywać albo powiedzieć: zemściłam się na tobie, ty draniu. Chciałam tylko, żeby znowu o mnie zapomniał. Po tym, jak zostawił mnie pierwszy raz, nie przypuszczałam, że wróci. Ponowne spotkanie okazało się jeszcze okrutniejsze niż pierwszy cios. Teraz, odzyskawszy syna, pragnęłam jedynie raz na zawsze uwolnić się od tego łajdaka. Dlatego unikałam spotkania z nim twarzą w twarz, a i on nie szukał mojego wzroku. Jak zawsze martwił się wyłącznie o siebie.

Gdy tylko zaczęli ciągnąć go w stronę jednego z samochodów, szybko zabrałam Víctora i Phillipę do głównego budynku. Nick zjawił się chwilę potem, za nim przyszedł taksówkarz, podczas gdy właściciel domykał z policją nieprzyjemną sprawę, jaka niespodziewanie wstrząsnęła jego spokojnym obiektem. Miał wielkie

szczęście, że ani jego rodzina, ani żaden z gości nie znajdowali się tutaj w tym momencie.

Víctor nie widział Nicka od sześciu miesięcy, odkąd opuściliśmy Jerozolimę i przyjechaliśmy do Londynu. A mimo to wydawało się, że go rozpoznał. A przynajmniej z sympatią reagował na tego mężczyznę, który tak wiele dla mnie znaczył w czasie mrocznych dni. Musiał wydać mu się tak bardzo miły, że po kilku chwilach z największym zaufaniem przeszedł na ręce Nicka, żeby ciągać go za krawat i wkładać mu go do ucha. Fakt, że był przetrzymywany przez Ramira, najwyraźniej nie odbił się na moim synu, co ukoło mój niepokój i przyniosło głęboką ulgę.

Podeszłam do Nicka od tyłu i położyłam brodę na jego ramieniu. Wsuwając rękę do jego kieszeni, powiedziałam mu na ucho:

– Kradnę ci portfel.

Wyjęłam pięć banknotów jednofuntowych. Kiedy wybiegałam z domu, żeby jak najszybciej dostać się na Monte Viejo, nawet nie pomyślałam o tym, żeby wziąć torebkę czy trochę pieniędzy. Zabrałam jedynie nożyczki krawieckie, które wróciły już do kieszeni. Gdyby to było konieczne, nie zawahałabym się wbić ich w ciało mężczyzny, którego kiedyś tak bardzo kochałam.

Przy kursie wynoszącym dziewięćdziesiąt osiem peset na wolnym rynku tangerskim kwota, którą ostatecznie zapłaciłam taksówkarzowi, pięciokrotnie przewyższała tę, o którą sam poprosił. Zmrużył oczy, a z ust o mało nie wypadł mu niedopałek, ale nie odmówił, tylko złożył banknoty i wsadził je do kieszeni koszuli na klatce piersiowej.

Phillippa tymczasem usiadła w fotelu, obok pianina i klatki z milczącą papugą. Patrzyła w pustkę, a jej twarz była pozbawiona wyrazu: nie zobaczyłam na niej ani zgryzoty, ani ulgi, ani strachu czy satysfakcji – niczego. Wzięłam jej rękę i ścisnęłam między swoimi dłońmi.

– Niezmiernie mi przykro, że musiałaś przez to przechodzić, *my dear*. I z całego serca ci dziękuję, że z takim oddaniem opiekowałaś się Víctorem. Jutro bezzwłocznie kupię ci bilet powrotny.

Opuściła i podniosła podbródek. Nie miała nikogo prócz ciotki w jakimś zakątku West Midlands. W Anglii nie czekało na nią nic

ciekawego, ale uważałam, że każde miejsce byłoby dla niej lepsze niż pozostanie z nami w Maroku. Nie sądziła, że opieka nad jednym dzieckiem może przysporzyć jej takiej udręki.

Puściłam jej dłoń w chwili, gdy zauważyłam sylwetkę komisarza Vázquezę przechodzącego pod jednym z łuków prowadzących na taras z morzem w tle. W bezchmurne popołudnie dało się stąd dostrzec nawet wydmy w Tarifie, po drugiej stronie Cieśniny Gibraltarskiej. W momencie gdy wchodził, usłyszeliśmy uruchamiany silnik pierwszego samochodu. Funkcjonariusze Policji Międzynarodowej zabierali Ramira, wreszcie wyciągnęli go z jego kryjówki i odsunęli od ofiar, żeby przewieźć najpierw do aresztu Sûreté, a później – tego już nie wiedziałam.

Powoli podeszłam do don Claudia.

– Przykro mi, że znowu pana zawiodłam, komisarzu.

Wiele lat wcześniej kazał mi poszukać przyzwoitej pracy w Tetuanie, zatrudnić się gdzieś, a ja mu się sprzeciwiłam, otwierając interes dzięki pieniądzom podejrzanego pochodzenia. Teraz zażądał, bym nic nie robiła, póki nie wyda poleceń, ale ledwo się odwrócił, a ja zignorowałam jego prośby i postanowiłam załatwić sprawę po swojemu.

– Już dawno nauczyła się pani sama o siebie dbać, panno Siro. Powinienem był to przewidzieć.

Jego słowa zabrzmiały stanowczo i surowo, typowo dla stanowiska, które sprawował przez tyle czasu. Wydało mi się jednak, że na jego poważnej twarzy dostrzegłam coś w rodzaju uznania.

– A co się tyczy tego osobnika – dodał – nie będzie już pani więcej niepokoił, może być pani spokojna. – Odwrócił się i wskazał taras. – Mój przyjaciel zadba o to, żeby poszedł za kraty, wciąż ma znajomości.



**T**ego wieczoru Candelaria nie nakryła do stołu na portyku, tylko w rogu ogrodu, oświetlonym przez jedną z latarni i pod osłoną wiciokrzewu. Mały stolik, jedynie z dwoma krzesłami.

Félix znowu przyniósł butelkę wina, ale zniknął, wymawiając się inauguracją jakiegoś nowego lokalu pełnego tych obcokrajowców, do których miał tak wielką słabość, Bóg jeden wie, w jaki sposób zdobył zaproszenie. Szmuglerka z kolei oznajmiła, że po długim dniu i poprzedniej nocy boli ją nawet kość ogonowa. Od wielu godzin marzę o moim łóżku, dziecinko, przysięgała, zanim zniknęła. Przedtem zaniósła Phillippie tacę ze szklanką mleka i owocami; biedna niania nie chciała wyjść ze swojego pokoju.

Prawie zapadł zmierzch, kiedy zjawił się Nick, świeżo wykąpany, w czystym ubraniu, już bez swojej skórzanej torby. Na razie do końca tygodnia postanowił zatrzymać się w El Fahrar; nie wiedzieliśmy jeszcze, o ile ostatecznie przedłuży się jego pobyt. Czekałam na niego z Victorem siedzącym mi na kolanach. Nie chciałam się z nim rozstawać, jak gdybym potrzebowała wypełnić szczelinę jego krótkiej nieobecności.

Brama zaskrzypiała, oznajmiając przybycie Nicka, przyniósł mi kilka kwiatów, które zerwał po drodze przy jakimś ogrodzeniu, a także rustykalny bębenek dla mojego syna kupiony na ulicznym straganie od jakiegoś mieszkańca z gór Rif na północy Maroka. Nie zdążyłam wstać, nie było powitania ani gratulacji, ani żadnych zbędnych słów, jedynie nachylił się nade mną i wreszcie zrobił to, na co nigdy nie odważył się w Jerozolimie: na moich ustach złożył długi pocałunek.

To była pierwsza z wielu nocy, pierwsza z licznych kolacji z zapachem morza i jaśminu pod gwiazdami, preludium do nieuniknionego zbliżenia między nami.

Mieliśmy przed sobą resztę lata. To, co miało nadejść później, na razie nas nie martwiło.

## EPILOG

**K**iedy Barbara Hutton wylądowała w Tangerangze na początku sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, piękne kaftany wisiały już na wieszakach w jej garderobie. Z kolei na biurku Brax Insurance Ltd w londyńskim City leżał szczegółowy raport, który wysłałam im osobiście: dwadzieścia trzy strony maszynopisu zawierające szczegółowy opis wszystkich mocnych i słabych stron, jak również ewentualnych niebezpieczeństw Sidi Hosni. Na podstawie tych informacji stworzono polisę, która zapewniała ochronę klejnotom Romanowów; wiedziałam, że osiągnęli porozumienie, bo podczas przyjęcia inauguracyjnego w pałacu na terenie kazby, ubrana w jedną z moich kreacji z luksusowego indyjskiego jedwabiu, milionerka miała na głowie diamentową tiarę. Na przyjęcie poszłam razem z Nickiem; dzięki Irze Belline zdobyłam także zaproszenie dla mojego przyjaciela Félix, który nie posiadał się z radości.

W ten sposób zrodziła się tradycja, która trwała przez całe lata na tarasach z widokami na morze i dachy Tanageru i wyznaczyła pewną epokę. Gwiazdy, arystokraci i inne osobistości brylowali przy dźwiękach orkiestr lokalnych lub sprowadzonych z Nowego Jorku czy skądkolwiek księżna sobie zażyczyła – jakie to miało znaczenie, skoro wszystko było kwestią ceny. Z równie kapryśną swobodą sprowadzała z Paryża prywatnym samolotem elementy dekoracyjne, ozdoby kwiatowe, setki skrzynek szampana i inne okazałe rzeczy. Tangerskie hotele zapełniały się gośćmi z całego świata, faktury były później przesyłane do pałacu na nazwisko Iry Belline. Wykazując się szczodrością, Barbara Hutton zawsze pokrywała koszty wszystkich podróży. Często słyszałam później narzekania *housekeeper* na bezczelne wykorzystywanie hojności madame Hutton przez wielu gości, którzy dokładali do tych wydatków osobiste kaprysy i zachcianki.

Przez cały ten czas, równoległe z przyływem i odpływem przyjaciół, służących i łajdaków, których obdarowywała luksusowymi klejnotami i którym odmawiała pozdrowienia, w burzliwym życiu bogatej dziedziczki pojawiały się kolejne małżeństwa i rozwody oraz rozmaici kochankowie. Barbara Hutton miała aż siedmiu mężów i prawie wszystkich zabierała do Sidi Hosni. Czwartym był pewien rosyjski zrujnowany książę, a piątym dominikański dyplomata Porfirio Rubirosa, słynący tak z sympatycznej bezczelności, jak i miłosnych atrybutów. Po nich byli jeszcze znany tenisista oraz zubożały francuski arystokrata z rzekomymi posiadłościami w Indonezji. Wśród tych, którzy przewinęli się przez jej serce lub łóżko bez zawierania małżeństwa, znajdowali się młody wędrowny gitarzysta, liczni anonimowi mężczyźni, którym płaciła za ich usługi, a nawet torreador Ángel Teruel, za którym jeździła po arenach całej Hiszpanii, kiedy on miał zaledwie dwadzieścia kilka lat, a ona przeszło sześćdziesiąt.

Była wówczas tak przedwcześnie zniedołężniała, że ledwo mogła się ruszać i często musiała być noszona na rękach. Alkoholizm, nadużywanie różnych substancji i brak snu, depresja i zaburzenia odżywiania sprawiły, że wiele razy chciała popełnić samobójstwo. Nie udały jej się próby zakończenia życia z własnej woli, ale wraz z upływem czasu stawała się coraz słabsza. Zmarła w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, zmizerniała i samotna, w hotelu w Beverly Hills. Z olbrzymiej fortuny, którą odziedziczyła w dzieciństwie, zostało niewiele ponad trzy tysiące dolarów. Wtedy od wielu lat nie żył już jej syn, więc wierzyciele, byli mężowie i rzekomi spadkobiercy zlecieli się niczym sępy w poszukiwaniu łupu. Nie zostawili nawet wystarczających środków, żeby można było wypełnić jej ostatnią wolę i pochować ją w Tangerze.

W każdym razie miasto, do którego szczątki Barbary Hutton nigdy nie dotarły, pod koniec lat siedemdziesiątych nie było już takie samo jak wtedy, gdy je poznała. W kolejnych dekadach świat bardzo się zmienił.

Tego samego lata czterdziestego siódmego roku nadszedł początek końca Imperium Brytyjskiego, rozpad największej światowej potęgi w historii. Zmieniające się czasy, pojawienie się kolejnych mocarstw,

dążenia niepodległościowe oraz samoświadomość Brytyjczyków zmieniły porządek rzeczy. Wielka Brytania, zrujnowana i poturbowana po wojnie światowej, ostatecznie się poddała. Piętnastego sierpnia tego samego roku, podczas gdy w Sidi Hosni przygotowywano świece, przekąski i dywany na pierwsze przyjęcie, Indie, klejnot Imperium, uzyskały niepodległość, dzieląc się na dwa państwa: Indie i Pakistan.

W następnych miesiącach kolejny podział nastąpił w Palestynie. Nick i ja z narastającym niepokojem śledziliśmy wszystkie doniesienia. Pod koniec listopada czterdziestego siódmego roku Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych przyjęło rezolucję zakładającą podział Palestyny na dwa państwa: żydowskie i arabskie. W ten sposób powstało państwo Izrael. Jak można się było spodziewać, Żydzi przyjęli tę decyzję z radością, Arabowie – odrzucili ją całkowicie. Jednocześnie Wielka Brytania musiała się wycofać, dystansując się od wojny domowej, która wybuchła na tym terytorium, siejąc coraz okrutniejszy i coraz bardziej krwawy terror. W nocy z czternastego na piętnasty maja tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku wygasł Brytyjski Mandat Palestyny i zarówno władze, jak i wojsko opuściły terytorium. Gorzki konflikt arabsko-izraelski miał pociągnąć za sobą dziesiątki tysięcy ofiar i trwać przez długie dekady.

Tymczasem w tamtym dostatnim, wspaniałym i tętniącym życiem Tangerze po wojnie światowej nikt jeszcze nie przewidywał efektu domina. Choć, owszem, po rozpoczętej w czterdziestym siódmym roku przez Wielką Brytanię dekolonizacji zaczęło się rozchodzić coś w rodzaju fali uderzeniowej, która spotkała się z odpowiedziami w innych częściach świata. Do zakończenia międzynarodowej kontroli nad Marokiem zostało już tylko dziewięć lat, ale w ciągu tamtych dni nie brano tego jeszcze pod uwagę i w dobrze prosperującej Strefie Międzynarodowej nadal pojawiały się obiecujące możliwości, jak gdyby to niepożądane jutro miało nigdy nie nadejść.

Równocześnie z historycznymi wydarzeniami, które zapełniały szpalty gazet, w naszym najbliższym otoczeniu również pojawiły się szokujące wieści. Pierwsza niespodzianka przypląnęła statkiem

z Southampton, na którego pokładzie przybyli mój ojciec i moja teściowa. Nawet mnie nie uprzedzili, tylko niczym nierozważni młodzieniaszkowie, pomimo swojego wieku, Olivia Bonnard i Gonzalo Alvarado postanowili zjawić się w Tangerze, żeby przekazać mi dwie wiadomości. Najpierw poinformowali, że pojawiła się poważna oferta zakupu domu przy The Boltons. Później oznajmili, że zamierzają się pobrać.

Przekonana, że moja opinia i tak na nic by się zdała, przemilczałam swoje zdanie, przełknęłam obiekcje i ograniczyłam się do zakwaterowania ich w hotelu Cecil, naprzeciwko plaży, i załatwieniu wszelkich formalności, by mogli spełnić swoje marzenie. Jako że wyznawali różne religie, ostatecznie mój ojciec po dżentelmeńsku ustąpił i ślub wzięli w kościele anglikańskim Saint Andrew's w obecności skromnej grupki gości. Byliśmy tam Víctor, Nick i ja, Candelaria i Félix, wikary, konsul brytyjski oraz Buckingham, który zagrał na pianinie. Po ślubie zjedliśmy obiad na tarasie hotelu Villa de France; oni toast wznosili radośnie, ja natomiast – choć nie dałam tego po sobie poznać – zrobiłam to bez przekonania. Początkowo planowali zamieszkać razem w Madrycie, ale ich powrót się opóźnił. Z biegiem dni, zachwyceni przyjemnym życiem na północy Afryki, zaczęli nawet oglądać domy, żeby zostać tu na dłużej. Żadne z nich w najmniejszym stopniu nie było zainteresowane opuszczeniem tej ciepłej ziemi, gdzie nie istniały kartki żywnościowe, gdzie mogli rozmawiać w swoich ojczystych językach, czytać prasę ze swoich krajów i być blisko swojego wnuka.

Nick stał się dla mnie kimś ważnym, towarzyszem, który rozświetlił moje życie i zapewnił mi oparcie. Nieustannie kursował między Gibraltarem a Tangerem, nieskończoną ilość razy przekraczał Cieśninę, żeby spędzać ze mną tyle czasu, na ile pozwalała mu praca. Dzięki uporowi i sprytowi, nalegając i negocjując, doprowadził do tego, że Cora, jego była żona, zgodziła się, żeby ich dzieci spędziły z nim parę tygodni; w ten sposób Víctor i ja poznaliśmy Paula i Ashton, i zrodziła się między nami prawdziwa bliskość. Razem z dziećmi, zadowolonymi i spieczonymi na słońcu, spędzaliśmy dni na plaży, robiliśmy wycieczki do Lasu Dyplomatycznego, wieczorami spacerowaliśmy po *boulevard* aż do

murku, a w ogrodzie jadaliśmy kolacje: pyszne szaszłyki szmuglerki popijaliśmy lemoniadą z miętą. Wiele razy jeździliśmy także do Tetuanu, żeby odwiedzić moją matkę. Na basen w Parque Brooks natomiast nie wróciliśmy już nigdy.

Wraz z końcem sierpnia wyjechały dzieci Nicka, a także Barbara Hutton i całe mnóstwo letników. Po drugiej stronie Atlantyku nie słyszało się w tych dniach pożegnań, lecz powitania. Po ponad dwóch miesiącach Tęczowej Podróży Eva Perón wróciła właśnie do Argentyny, gdzie została przyjęta euforycznie. Jej wizyta w Hiszpanii okazała się wielkim sukcesem, w pozostałych krajach (we Włoszech, Francji, Monako, Portugalii i Szwajcarii) przebiegała raczej dyskretnie. Mimo jej żarliwych pragnień król nie przyjął jej w Londynie. Jednakże w oczach opinii publicznej w jej ojczyźnie podróż do Europy była ogromnym sukcesem.

W kraju słowem nie wspomniano o odwołanych spotkaniach ani o plotkach, które pojawiły się w związku z niektórymi celami podróży. Złe języki rozpowiadały, że wybrała się do Szwajcarii, żeby ulokować miliony na podejrzanych kontach bankowych i że w Monte Carlo miała romans z Aristotelisem Onasisem, notabene wielkim przyjacielem Alberta Doderó, armatorem jak on sam. Prawda czy kłamstwo – najważniejsze, że Evita wróciła do ojczyzny znacznie bardziej wiarygodna i z silniejszym wizerunkiem. Nikt wtedy jeszcze nie podejrzewał, że zmęczenie, jakie odczuwała podczas niektórych etapów podróży, woskowy odcień skóry oraz puchnące kostki, które oddana Lillian Lagomarsino masowała jej wieczorami, mogły być wczesnymi symptomami czegoś bardzo poważnego.

Kilka dni po jej powrocie do Buenos Aires Izba Deputowanych przyjęła ustawę wprowadzającą w Argentynie powszechne prawo wyborcze oraz równe prawa polityczne kobiet i mężczyzn. Ona sama była bardzo mocno zaangażowana w tę sprawę; niedługo potem do tłumu zebranego na Plaza de Mayo skierowała przemówienie rozpoczynające się słowami „Obywatelki mojej ojczyzny...”, w którym mówiła o długiej historii zmagania, potknięć i nadziei, braku zrozumienia i zgody, o sprawiedliwości. Na zdjęciach, które jej wtedy zrobiono, widać, że nie nosiła już tych wymyślnych fryzur, w których pokazywała się w Hiszpanii, ani krzykliwych i barokowych strojów,

które oglądałam podczas jej publicznych wystąpień i w jej pokojach w El Pardo. Po powrocie z Europy Evita postanowiła przyjąć styl wolny od teatralności, który nadał jej korzystniejszy i poważniejszy wygląd, styl skromnej elegancji. Kiedy przeglądałam gazety i czasopisma z tamtych dni, wydawało mi się, że widzę podobieństwo jej strojów i moich kostiumów od Digby'ego Mortona.

Ktokolwiek słuchał, jak krzyczy z tą przejmującą pasją, stojąc naprzeciwko tysięcy mieszkańców, nie mógł przypuszczać, że zostało jej niespełna pięć lat życia; miała umrzeć niedługo po trzydziestych trzech urodzinach. Trawiona przez raka szyjki macicy, ale aktywna i zaangażowana do samego końca. Opłakiwał ją cały naród, który pogrążył się w ogromnym bólu – wykupiono wszystkie kwiaty w kraju i cała Argentyna zapełniła się łzami, masowymi procesjami z pochodniami, uroczystymi ceremoniami i kilometrowymi kolejkami, by ją pożegnać. Stała się ikoną, mającą swoich obrońców i przeciwników, zdolną wzbudzać ogromną pasję i wściekłą nienawiść pomimo upływającego czasu. Jej zabalsamowane ciało stało się później tematem innej powieści.

Ale do śmierci Evity zostało jeszcze kilka lat, a moje myśli w tamtych dniach zajmowała terażniejszość. Tamta terażniejszość przyniosła także nowe perspektywy. Dzięki mojej względnej bliskości z otoczeniem Barbary Hutton otrzymywałam zaproszenia na rozmaite przyjęcia – podobnie jak było to w przypadku bankietu zorganizowanego przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Prasy – czasami je przyjmowałam, czasami odrzucałam, w zależności od nastroju i rodzaju spotkania. Aż pewnego piątkowego wieczoru, podczas kolacji w willi Marshan, na której byłam razem z Nickiem, ktoś rzucił propozycję, żeby stworzyć nową stację radiową.

Po zakończeniu wojny światowej północno-zachodnia Afryka stała się jednym z wielkich centrów komunikacyjnych świata, mostem pomiędzy Ameryką a dziesiątkami krajów w Europie. Wykorzystując dawną wojskową infrastrukturę albo urządzając się w nowych budynkach, dzięki postępowi elektronicznemu i antenom między nadawcami a odbiorcami zaczęły płynąć wiadomości i idee, propaganda i intrygi. Potężna amerykańska rozgłośnia RCA postawiła właśnie swoją stację nadawczą na pobliskim wzgórzu



Charf; Radio Tánger Internacional i Pan American Radio transmitowały już swoje programy obok skromniejszych stacji. Pośród słuchowisk, prostych konkursów, reklam i pozornie nieszkodliwej muzyki, czy to po arabsku, francusku, angielsku czy hiszpańsku, siła radia w kształtowaniu opinii cały czas rosła.

I wraz z tą propozycją pożegnaliśmy lato.

Nie powiedziawszy ani tak, ani nie, obejmując się w pasie, pieszo wróciliśmy do mojego domu. Nick miał doświadczenie, ja pieniądze, które powinny przyjść po sprzedaży domu przy The Boltons; żadne z nas nie miało nic przeciwko temu, żeby zrobić coś wspólnie. Świat przygotowywał się do zimnej wojny i wszyscy musieliśmy się w nim jakoś odnaleźć, pośród krawieckich ściegów lub fal radiowych.

## NOTA OD AUTORKI

**K**iedy w czerwcu 2009 roku ukazała się *Krawcowa z Madrytu*, byłam nieznaną pisarką, a jej bohaterka – krawcowa zaangażowana w działania szpiegowskie – pojawiła się wśród nowości wydawniczych jako pewna osobliwość. Ciepłe przyjęcie ze strony czytelników sprawiło, że losy powieści potoczyły się zupełnie niespodziewanie i w związku z tym pojawiły się powracające pytania: Czy będzie kontynuacja? Czy dostaniemy drugą część? Czy przeczytamy dalszy ciąg?

Nigdy stanowczo nie zaprzeczyłam, wiedziałam jednak, że w tamtym momencie Sira Quiroga i ja potrzebowałyśmy od siebie odpocząć. Po blisko dwunastu latach spotkałyśmy się jednak ponownie. Tak samo jak w przypadku poprzedniej powieści korzystałam z licznych materiałów źródłowych i kolejny raz mogłam liczyć na szczerą pomoc i wsparcie różnych osób.

Żeby nakreślić atmosferę i przedstawić zdarzenia, do których doszło w Jerozolimie podczas ostatnich lat brytyjskiej administracji, bardzo pomocne okazały się książki: *Palestine between Politics and Terror 1945-47* (Golani, 2013), *One Palestine, Complete. Jews and Arabs under the British Mandate* (Segev, 2000), *Ploughing Sand. British Rule in Palestine, 1917-1948* (Shepherd, 2000) oraz *Mandate Days. British Lives in Palestine 1918-1948* (Sherman, 1997). Działalność Palestine Broadcasting Service została szczegółowo opisana w *This is Jerusalem Calling. State Radio in Mandate Palestine* (Stanton, 2014). Jeśli zaś chodzi o zamach na King David Hotel, drobiazgową rekonstrukcję tego zdarzenia można znaleźć w *By Blood and Fire. July 22, 1946. The Attack on Jerusalem's King David* (Clarke, 1981).

O tym okresie w niektórych swoich książkach wspomina także Amos Oz, zwłaszcza na stronach poświęconych dzieciństwu w *Opowieści o miłości i mroku* (2002), jego poruszającej autobiografii. Etap ten jest również pokazany w książce *O Jeruzalem!* autorstwa

Dominica Lapierre'a i Larry'ego Collinsa (1970). Choć wykracza to poza ramy czasowe właściwej akcji powieści, to żeby zrozumieć zakończenie brytyjskiej obecności w Palestynie, pouczające okazują się wspomnienia i refleksje tych, którzy w tamtych latach pełnili różne funkcje. *The End of the British Mandate for Palestine, 1948. The Diary of Sir Henry Gurbey* (Golani, 2009) jest jednym z takich świadectw. Inne, bardzo znaczące spojrzenie rzuca Hiszpan Pablo de Azcárate, dyplomata i urzędnik Organizacji Narodów Zjednoczonych, który piastował na tym obszarze istotne stanowiska. Nowe wydanie jego książki *Misión en Palestina. Nacimiento del Estado de Israel* ukazało się ostatnio (2019) w kolekcji La Valija Diplomática wydawnictwa Cuadernos del Laberinto, ze znakomitym wstępem i przypisami Jorgego Ramosa. Za pomoc w nadaniu spójności terminologii związanej z tym miejscem i czasem chcę podziękować dziennikarce „El País” Ángeles Espinosie, dawnej koleżance z akademika i wielkiej znawczynie Bliskiego Wschodu.

Pablo de Azcárate był również świadkiem perypetii hiszpańskich wygnańców w Londynie, kiedy pełnił funkcję ambasadora Republiki w Wielkiej Brytanii, i bez wątpienia miał kontakt z wieloma ekspatriantami, o których wspomina się na kartach tej powieści. Ich losy badał Luis Monferrer Catalán w swoim kompleksowym studium z 2007 roku zatytułowanym *Odisea en Albión. Los republicanos españoles exiliados en Gran Bretaña (1936-1977)*. Na temat pracy niektórych z nich w BBC znaczące wzmianki znajdują się także w książkach Rafaela Martíneza Nadala *Antonio Torres, de la BBC a The Observer. Republicanos y monárquicos en el exilio. 1944-1956* (1996) oraz José Castillejo, *el hombre y su quehacer en La Voz de Londres. 1940-1945* (1998). W lżejszym tonie wiele informacji na temat tej kolonii zebrał Esteban Salazar Chapela w *Perico en Londres, una crónica novelada del exilio* wydanej po raz pierwszy w Buenos Aires w 1947 roku i ponownie opublikowanej nakładem wydawnictwa Renacimiento w roku 2019, z interesującym wprowadzeniem i przypisami autorstwa Franciski Montiel.

Powstanie i znaczenie serwisów zagranicznych BBC zostało omówione w takich pracach jak *Let Truth Be Told. 50 Years of BBC External Broadcasting* (Mansell, 1982) i *A Skyful of Freedom. 60 Years*

of the BBC World Service (Walker, 1992). Szczegółową rekonstrukcję legendarnych emisji w języku hiszpańskim można znaleźć w sekcji *Locutores y presentadores del Servicio Latinoamericano de la BBC de Londres. Lista histórica* na stronie internetowej La Galena del Sur, prowadzonej przez urugwajskiego dziennikarza Horacia A. Nigro Geolkiewsky'ego.

Żebym mogła osadzić moich bohaterów w przygnębiającej rzeczywistości Londynu po drugiej wojnie światowej, ogromnie przydatna i poruszająca była dla mnie praca autorstwa Davida Kynastona z 2007 roku zatytułowana *Austerity Britain 1945-48. A World to Build*. W tej kwestii, za pomoc w zagwarantowaniu spójności tekstu z otoczeniem i danym momentem, chcę wyrazić swoją wdzięczność profesorce Elizabeth Murphy, wspaniałej koleżance z moich czasów akademickich.

Pragnę podziękować również Jimmy'emu Burnsowi Marańónowi (autorowi książki *Papá espía*), który przed laty ugościł w Londynie *Krawcową z Madrytu* i z którym mam jeszcze zaległe spotkania. Bez jego pomocy Tom Burns (jego ojciec) nigdy nie spotkałby się z Sirą na śniadaniu w Embassy.

Żebym mogła cofnąć się do lat po drugiej wojnie światowej w Hiszpanii i zlokalizować dokładne adresy nieruchomości i instytucji Trzeciej Rzeszy, nieodzowna okazała się wnikliwa praca Petera Besasa *Nazis en Madrid* (2015).

Harmonogram Evy Perón podczas jej wizyty w Hiszpanii można szczegółowo prześledzić dzięki kronikom z takich dzienników jak „ABC” i „La Vanguardia” oraz pracom wielu autorów argentyńskich. Trasę tamtych tygodni drobiazgowo opisuje także Enrique F. Widmann-Miguel w *Eva Perón en España. Junio, 1947* (2014); podróż Evity została również zrelacjonowana w książce *La enviada. El viaje de Eva Perón a Europa* (1998) Jorgego Camarasy; interesujące są także spostrzeżenia samej Lillian Lagomarsino de Guardo zawarte w jej wspomnieniach *Y ahora... hablo yo* (1996). W szerszej perspektywie, by móc lepiej przyjrzeć się postaci i historii argentyńskiej pierwszej damy, istotne były dla mnie tytuły takie jak *Evita* (1994) Marysy Navarro, *Evita íntima. Los sueños, las alegrías, el sufrimiento de la mujer más poderosa del Mundo* (1993) Very Pichel,

*Santa Evita* (1995) Tomása Martíneza Eloya, a także *La pasión según Eva* (1994) Abila Posse. Wśród najbardziej aktualnych i najlepiej udokumentowanych książek wyróżnia się ta autorstwa Felipe Pigny zatytułowana *Evita. Jirones de su vida* (2012). Z hiszpańskiej perspektywy istotny jest rozdział, który w swojej książce *Así los he visto* (1974) poświęca jej José María de Areilza, ambasador Hiszpanii w Argentynie w latach 1947–1950.

Na bardziej osobistym poziomie chcę wyrazić swoją wdzięczność Mercedes Güiraldes, redaktorce argentyńskiego oddziału wydawnictwa Planeta za trafne i wnikliwe spostrzeżenia. Dziennikarce Catalinie de Elí – autorce *Maten a Duarte* (2020) – za przybliżenie mi postaci brata pierwszej damy. Diegowi Arguindeguyowi za oczarowanie mnie swoją mądrością i rozłożenie swoich erudycyjnych skrzydeł nad całą powieścią. I mojemu kochanemu Nachowi Iraoli, dyrektorowi Planety w Ameryce Południowej, za zawieszenie pierwszego mostu, aby Sira przekroczyła Atlantyk, i za traktowanie mnie zawsze tak, jak Evita chciała, by przyjęto ją w pałacu Buckingham.

Przechodząc już do czwartej i ostatniej części powieści, pośród rozlicznych publikacji na temat Barbary Hutton, chcę wyróżnić biografie *Million Dollar Baby. An Intimate Portrait of Barbara Hutton* (Van Rensselaer, 1979) oraz *Poor Little Rich Girl. The Life and Legend of Barbara Hutton* (Heymann, 1983), jak również wspomnienia *In Search of a Prince. My Life with Barbara Hutton*, napisane w 1988 roku przez Monę Eldridge, która była jej sekretarką i spędzała razem z nią długie okresy w Tangerze.

Przy pracy nad zrekonstruowaniem tamtych wspaniałych dni niezastąpione okazały się zarówno liczne artykuły autorstwa Dominga del Pino w różnych mediach, jak i książka Leopolda Ceballosa *Historia de Tánger. Memoria de la ciudad internacional* (2009).

Równie cenne są wspomnienia, którymi podzieliło się ze mną kilku tangerczyków (rodowitych lub adoptowanych) mających nadal świeżo w pamięci splendor i zmierzch tamtego mikroświata. Ogromnie za to dziękuję Vicentemu Jorro, który mieszkał w okolicy Parque Brooks, kupił obrazy z Sidi Hosni, kiedy pałac został

opuszczony, i zawsze ma dla mnie dziesiątki fascynujących historii. Ramónowi Buenaventurze, który nauczył się grać w tenisa w Emsallah i który na przyjęcie Międzynarodowego Stowarzyszenia Prasy pożyczył mi swojego dziadka, słynnego dziennikarza Alberta Españę – autora książki *La pequeña historia de Tánger* (1954). Manolowi Canterze, który zajmował jeden z bungalowów w El Fahrar i mógłby napisać mnóstwo tekstów o tych, którzy przewinęli się przez ten obiekt. Sonii Garcíi Soubriet, która przepięknie opisała zmierzch tego miejsca w swojej książce *El Jardín (Al Bustán)* (2007). Chemie Menéndezowi, który w *Diario „España” de Tánger* (2020) zrekonstruował dziennikarskie losy swojego dziadka Jaimego Menéndeza zwanego Chato.

Skupiając się na Tetuanie, jestem dozgonnie wdzięczna Ricardowi Barceló za liczne spacerunki i nieustającą życzliwość oraz mojej cici Estrelli Vinuesie za to, że wciąż dzieli się ze mną historiami z czasów, w których nadal pachnie drzewo sandałowe z hinduskich sklepów przy ulicy La Luneta. Z myślą o tych, którzy nie przeżyją już ponownie tamtych momentów, oddaję hołd pamięci Paca Trujillo i Marii Rosy Temboury, którzy nie ustawali w wysiłkach, żeby zachować żywą obecność Hiszpanów w Maroku poprzez Asociación La Medina (Stowarzyszenie La Medina). A także pamięci mojego wuja Enrique Vinuesy, który spędził tam dzieciństwo i młodość, oraz mojej kuzynki Elisy Álvarez Moreno, która dorastała pośród tęsknoty za protektoratem, do którego najpierw jeździli nasi dziadkowie, później nasze matki, a wreszcie my, trzymając ich za ręce.

Ta powieść nigdy nie trafiłaby do księgarń bez opieki jak zawsze wspaniałych zespołów wydawnictwa Planeta; jestem dozgonnie za to wdzięczna wszystkim ich członkom, a zwłaszcza, za życzliwość i nieustające wsparcie, Belén López Celadzie, Isie Santos, Laurze Franch, Ferranowi Lópezowi Olmo i Sabrinie Rinaldi, Marcowi Rocamorze, Lolicie Torelló i Silvii Axpe oraz Dolors Escorizie i jej ekipie. Szczególne podziękowania dla Loli Gulias, która jako pierwsza poznała Sirę, i Raquel Gisbert, która dała się uwieść i która zostawiła kawałek swojego serca w Jerozolimie z tej powieści. Dziękuję mojej agentce Antonii Kerrigan i jej fantastycznym współpracownikom. A także mojej rodzinie i moim przyjacielom.

Duża część tej historii została napisana podczas pandemii, która nawiedziła świat w ostatnim czasie. Chcę moją książką uczcić pamięć tych wszystkich, których oczy się zamknęły – jak mówią słowa tanga – podczas gdy świat kręci się dalej i zmierza ku upragnionej normalności. Im oraz wszystkim czytelnikom, którzy przez te lata sięgnęli po *Krawcową z Madrytu*, Sira i ja dedykujemy to ponowne spotkanie.

- 
- <sup>1</sup> La Pasionaria, wł. Dolores Ibárruri (1895–1989) – działaczka polityczna, członkini, a potem przewodnicząca Komunistycznej Partii Hiszpanii. Autorka słynnego hasła *¡No pasarán!* (Nie przejdą!). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- <sup>2</sup> Fuerzas Regulares Indígenas (Regularne Oddziały Tubylcze) – hiszpańskie jednostki wojskowe utworzone w 1911 roku w Afryce Północnej; w ich skład wchodził miejscowi żołnierze i hiszpańscy oficerowie.
- <sup>3</sup> Tocino de cielo – dosł. niebiański boczek; deser na bazie żółtek i cukru, pokryty karmelem, podobny do flanu.